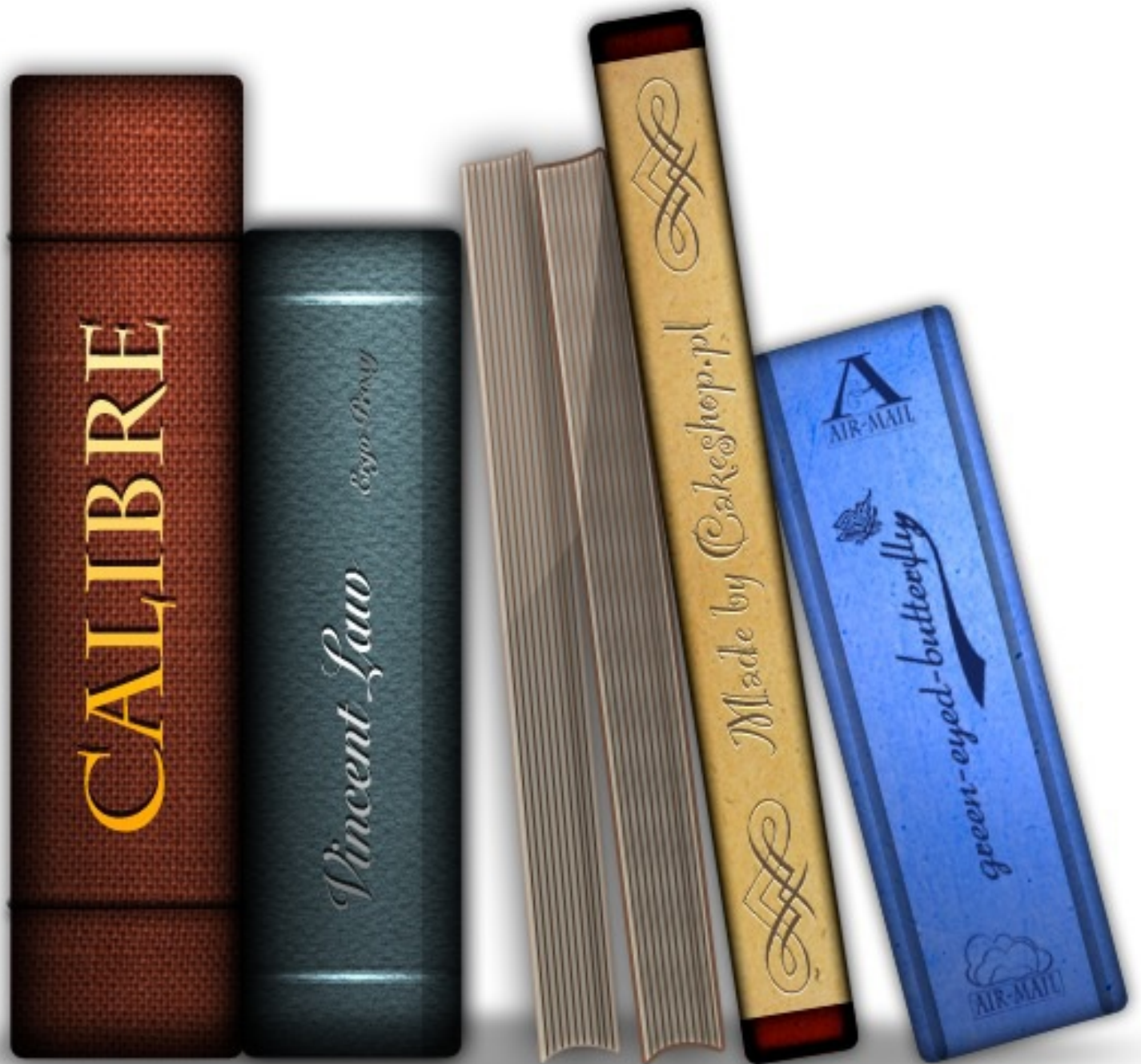


Orinoko

Fiedler Arkady



calibre 0.7.3

Arkady Fiedler

Orinoko

Spotkanie

na

morzu

Przez dwie doby po opuszczeniu bezludnej wyspy – naszej Wyspy Robinsona, jakem ją przezwał – płynęliśmy równym kursem na wschód, dwa razy co rano widząc prościuteńko przed sobą czerwoną tarczę słońca, kiedy wylaniało się spoza oceanu. Ocean stał się pusty, nie było widać nijakiego statku jak okiem sięgnąć, co nas otuchą napawało. Wiatr i fale szły od północnego wschodu i chociaż niewprawne dłonie rozpinały żagle, a przeciwnie prądy morskie utrudniały nam żeglugę, przecież szkuner nasz na żółwiu nie jechał i czynił niezłe postępy. Przez cały dzień pierwszy i drugi z oka nie traciliśmy stałego lądu, rozpościerającego się na południu smugą wyboistą, wybrzeże tej części Ameryki Południowej, a ściślej mówiąc: Wenezueli, było wzgórzyste. Wódz Manauri i jego Indianie wypatrywali na dalekim lądzie znajomej góry, pod którą, jak mnie zapewniali, leżały ich wioski. Nosiła miano Góry Sępów.

–Ale czy poznacie ją z tak daleka? – wyrażałem wątpliwość. – Siła mil

oddziela nas od lądu! Tam jeden szczyt wydaje się bliźniakiem drugiego...

–Poznamy, Janie, naszą górę, poznamy! – odpowiadał Manauri w języku

arawaskim, a moi młodzi przyjaciele, Arnak i Wagura, którzy cztery lata przebywali w niewoli u Anglików, jak zwykle tłumaczyli mi słowa wodza na język angielski.

–Może statek przybliżyć do lądu? – podsunąłem myśl.

–Nie trzeba! Bliżej mogą być skały podwodne i nie trudno o rozbicie... Górę

Sępów poznamy. Ma uderzające oblicze, widoczne z daleka...

Jakże żarliwie wypatrywaliśmy wszyscy onej góry, zwiastunki lepszych dni. Rozumieliśmy, że tam, w wioskach Arawaków, skończy się nasza bieda. Tam moi indiańscy przyjaciele znajdą się znowu wśród swoich – po szczęśliwej ucieczce z okrutnej niewoli hiszpańskiej na wyspie Margarita; tam również sześcioro Murzynów, takóŜ byłych niewolników, będących obecnie z nami, dozna na pewno u przyjaznego szczepu ochrony i gościny. A ja? Ja, rozbitek z kaperskiego okrętu, wyrzucony przez fale na bezludną wyspę, na której blisko półtora roku z dwoma młodymi Arawakami, Arnakiem i Wagurą, wiodłem żywot Robinsona, liczyłem na to, że raz stanąwszy na lądzie południowo-amerykańskim, łatwo będę mógł dotrzeć przy pomocy Indian do angielskich wysp na Morzu Karaibskim. Wiedziałem, że Indianie ci nie zawiodą mych nadziei; że pomogą mi ochoczo i z całego serca; wśród straszliwych doświadczeń ostatniego tygodnia związała nas wierna, dozgonna chyba przyjaźń. Była to walka na śmierć i życie. Na

naszą wyspę na chybkim szkunerze przypłynęła za zbiegłymi niewolnikami zaciekle pogoń. Zgraja kilkunastu Hiszpanów, wyposażona w rusznice i w gończe ogary na ludzką nastawione zwierzyńcę, myślała, że łatwo pokona i wyłapie bezbronych niewolników. Kosa trafiła na kamień wszelako. Nad zbiegami objąłem dowództwo i – w broń ich wyposażając – nie pozwoliłem im zginąć. Kierowało mną nie tylko serdeczne współczucie dla ich niedoli, ale jednocześnie i własnej bronilem skóry. W zażartych potyczkach, jakie się wywiązały, wróg natłukł nam sporo ludzi. Jedenaścioro naszych postradało życie, aleśmy w końcu walnie wzięli górę. Wszystkich Hiszpanów udało nam się wybić do nogi, szkuner ich zagarnąć. A oto na zdobytym statku, pełni dobrej myśli po odniesionym zwycięstwie, pruliśmy fale Morza Karaibskiego, dążąc ku ojczystym stronom wyswobodzonych Indian. Czy dziwić się, że z taką niecierpliwością wyglądaliśmy nad wybrzeżem morskim Góry Sępów, znaku zbawienia? I że niejeden z nas w ciągu onych dwóch dni żeglugi spozierał ukradkiem wstecz, azali nie ściga nas nowa pogoń mścicieli z wyspy Margarity? Ale los był łaskawy. Morze stało bezludne, dal czysta, wiatry sprzyjające. Z nastaniem drugiego wieczoru kazałem ukrócić żagle, ażeby w mroku nie wpaść na jakie podwodne lichy. Ster powierzyłem Manauriemu i Arnakowi na zmianę. Noc upłynęła spokojnie, bez wypadku. O świcie trzeciego dnia nagle na pokładzie wielki krzyk i przerażenie.

–Hiszpanie!! – złowróźnie niby grom przeszło powietrze.

–Gonią nas!

–Pościg za nami!!

–Uciekajmy!

Kto spał jeszcze, na równe zerwał się nogi. Co żywo skoczyłem do steru. Czuwał u niego, wachtę sprawując, Arnak.

–Tam! Tam oni! – pośpiesznie objaśnił mnie chłopak wskazując dłonią na północ.

Wszyscy, którzy właśnie sen spędzili z powiek, patrzyli tam, z wypisanym na twarzach lękiem. Noc miała się ku końcowi. Niebo zbladło; już świt wyjaśniał morze i wszelakie na nim przedmioty. W mrocznej oddali majaczyły kontury widma – nie widma. Tak, to był statek, wielka trzymasztowa brygantyna. W ćmie jeszcze panującej wydawała się potężnym okrętem, groźnie wyolbrzymiałym. Szła w tym samym co my kierunku wschodnim, jeno dalej na morzu, odległa od nas – jeśli półmrok oczu nie zwodził – o jakie trzy czwarte mili, a może i kęsek mniej.

–Rozwinąć całe żagle! – krzyknąłem przejąwszy ster z rąk Arnaka.

Arnak przetłumaczył mój rozkaz. Natychmiast zakrzętałi się Manauri, Wagura i Murzyn Miguel i dopadli żagli, pociągając innych za sobą.

–Arnak, ty przy mnie pozostań! – zawołałem, by w razie potrzeby mieć tłumacza pod ręką.

Byliśmy żeglarzami od siedmiu boleści, tyle tylko że ja ongi szereg miesięcy spędziłem na okręcie kaperskim. Wszakże Indianie Arawakowie, mieszkańcy wybrzeża, od pokoleń zżyci z morzem, łatwo pojęli tajemnice szkunera i jego olinowania.

Żagle, w czasie nocy ściągnięte do połowy, teraz rozwinęliśmy w całej okazałości. Statek rozpedził się. Woda po burtach głośniej zabulgotała. Kiedym zwrócił go bardziej ku lądowi, ażeby odsunąć się od brygantyny, wiatr, dmący dotychczas z przodu od lewej burty, dostaliśmy bardziej z boku i to dodatkowej jeszcze przysporzyło nam chyżości.

–Czy nas odkryli, jak myślisz? – zapytał mnie Arnak, śledząc bacznie brygantynę.

–Chyba nie! Jeszcze nie rozedniało się należycie, zresztą brygantyna idzie, jak dotąd, starym swym kursem.

–Może oni wcale nas nie gonią?

–Tak i ja tuszę. Mógł prosty przypadek sprowadzić ich na ten szlak.

–Hiszpan to czy ktoś inszy?

–Skocz no po perspektywę!

Ludzie, którzy pomogli rozpiąć żagle i zakończyli tę pracę, schodzili się na rufie, dokoła steru.

–Podpływasz do brzegu? – zapytał wódz Manauri z niepokojem.

–Podpływam, ażeby od brygantyny być jak najdalej! – wyjaśniłem.

–Tu morze niepewne, wiele raf pod wodą...

–Nie ma dla nas inszej rady, trzeba próbować szczęścia!... Stań, Manauri, na dziobie statku i do pomocy weź kilku ludzi z najlepszymi oczyma. Dajcie mi znać, jeśli co zauważycie! W razie czego krzyknijcie, w którą stronę sterować!...

Tak też kilku uczyniło i zajęło stanowiska na przodzie. podczas gdy inni mieli pomagać przy przestawianiu żagli.

Przez lunetę nie trudno było rozpoznać, że to hiszpańska brygantyna. Gdy rozwidniło się nieco bardziej, oni także i nas odkryli, a odkrywszy, zaraz ku nam statek swój skierowali, Czy powodowała nimi li tylko zwykła ciekawość, czy był to istotnie pościg z Margarity? Może spostrzegli wprzódki nasze do ucieczki zboczenie, co zwidziało im się podejrzane? Cokolwiek bądź, należało ich unikać jak dżumy.

Zwrot brygantyny w naszą stronę wywołał u nas na pokładzie, rzecz prosta, pewne poruszenie. Widoczny stał się zamiar Hiszpanów: chcieli z bliska nam się przypatrzeć, co my za jedni, a to równałoby się naszej zgubie, gdyby zamysł swój wykonać potrafili. Stojący dookoła Indianie i Murzyni wznieśli ku mnie stroskane spojrzenia, jak gdyby szukając pomocy czy rady.

–Nie ma obawy! – zawołałem gromkim głosem. – Nie dogonią nas!

–Skądś taki pewny, Janie? – zapytał Manauri.

–Brygantyna ma głębokie zanurzenie. Dlatego zwrócił nasz szkuner ku wybrzeżu, bo tam między innymi brygantyna gonić za nami się nie odważy.

–A jeśli się odważy, jeśli to nasi prześladowcy?

–To wylądujemy i ukryjemy się na lądzie... Ale do tego nie dojdzie. Patrzcie!

Szybciej płyniemy niż oni. Coraz bardziej zostawiamy brygantynę w tyle...

Szkuner nasz był długi i wąski, kształtem podobny do śmigłego szczupaka, brygantyna zaś ciężka i krępa, przypominająca żółwia. I w istocie, nie potrzeba było wielkiej bystrości, ażeby zmiarkować, że odstęp między dwoma statkami stale rósł, nawet wtedy gdy, podpłynąwszy pod brzeg, wzięliśmy znowu pierwotny, wschodni kurs. Nagle tajemniczy świst rozległ się w powietrzu i o dwa stajania od nas, z prawej burty, armatnia kula wzbijała fontannę wody, a w chwilę później doszedł nas głuchy odgłos wystrzału od strony brygantyny. To Hiszpanie puścili za nami w ruch artylerię. Ludzie na szkunerze zdrętwieli z przerażenia. Murzynka Dolores, której ostatnie wypadki na wyspie jak gdyby umysł przyćmiły nieco, krzyknęła na głos. Potem lamentowała, dopóki Indianka Lasana jej nie objęła troskliwie i nie uciszyła jak dziecko.

–Arnak! – rzekłem donośnie i z całym spokojem, iżby wszyscy widzieli moje opanowanie. – Zabierz kilku przyjaciół i wnieście na pokład całą naszą broń: muszkiety, guldynki, garłacze, pistolety. Nabijemy je... Przynieś także

szable...

Arnak natychmiast przetłumaczył słowa moje na język arawaski.

Wtedy zaszła rzecz, pozornie tak nikła, tak nie mająca nic wspólnego z napięciem panującym na pokładzie, że aż się zdumiałem, iż akurat teraz nasza mię ta świadomość, jak równie zdumiałem się z samego odkrycia, którym uczynił. Mianowicie jeden z Indian, zagadniętych przez Arnaka, zapytał go:

–Czy proch też przyniesiemy?

–A jużci! – odrzekł chłopak.

–I kule?

–Ma się rozumieć...

Ale Indianin, mało rozgarnięty gamoń, jakoś niezbyt rozumiał i czegoś się tam jeszcze dopytywał w sprawie prochu, niepotrzebnie marudząc. Zależało mi na każdej minucie, więc troszkę zniecierpliwiony takim guzdraniem się, sam wyręczyłem Arnaka wołając bezpośrednio do Indianina:

–Macie przynieść wszystko, co potrzebne do strzelania. A jak to byś chciał strzelać, wojowniku, z muszkietu bez prochu i kul? Ładny z ciebie strzelec!...

–To dojdzie do strzelania z muszkietów? – zapytał mnie Indianin.

–Dojdzie czy nie dojdzie, nie zaszkodzi mieć strzelby nabite...

Rzecz w tym, że w pośpiechu mówilem to wszystko po arawasku, z pewnością kalecząc język co niemiara, wszelako mówilem, jak też niezłe rozumiałem poprzednią rozmowę między Arnakiem a Indianinem. Więc ja, Anglik, ściśle mówiąc Anglik wirginijski pochodzenia polskiego – więc ja po arawasku? Jakże to? Skądże to? Druga z brygantyny kula armatnia wyrznęła w morze znacznie bliżej naszego statku niż pierwsza, ale niezdolna była stłumić mego zdumienia, nigdy do tej chwili nie uświadamiał sobie, że umiem po arawasku. Zatem skąd się wzięła ona znajomość indiańskiego języka? Żadnej w tym nie było magii, wytłumaczenie aż nazbyt proste!

Podczas przeszło rocznego współżycia z Arnakiem i Wagura na bezludnej wyspie stale posługiwałem się mową angielską, którą dosyć dobrze władali obydwaj chłopcy. Ale gdy młodzi Indianie rozmawiali między sobą, używali oczywiście wyłącznie swego języka arawaskiego, przy czym nigdy nie krępowali się moją obecnością. Bezwiednie obsłuchalem się z dźwiękiem obcej mowy, i to tak rzetelnie, że wnet, nie zdając sobie z tego sprawy, rozumiał poszczególne wyrazy, a potem i całe zdania. Małom przykładał wagi do tego wszystkiego, więc osobliwej umiejętności nabywałem niepostrzeżenie, bocznym, przygaszonym jakoby szlakiem, aż oto, gdy zaszła potrzeba, wiedza ta nagle wytrysnęła na wierzch, ujawniła się w całej pełni. W ogólnym napięciu nikt tego na szkunerze nie zauważył zresztą – prócz mnie samego. Ludzie przynieśli broń. Kazałem nabić pod moim okiem i ułożyć na podporędku.

Tymczasem Hiszpanie z brygantyny walili do nas od czasu do czasu. Na szczęście chybiali. Szkuner pod pełnymi żaglami i przy krzepkim wietrze porannym wysuwał się rażno naprzód. Gdy słońce weszło, przewaga naszej chyżości nad brygantyną jawnie się już pokazała, a takeśmy się odbili od przeciwnika, że kule jego nie dosięgały celu. Padały do morza daleko za nami i coraz to dalej. Niebawem tam na brygantynie snadź uznali daremność wysiłków, bo zaprzestali strzelania, a potem nawet zmienili kierunek statku i poszli w dal na morze, odpływając od wybrzeża. Zostawili nas w pokoju. Na ten widok kamień spadł nam z serca i

wielka zapanowała na szkunerze radość. Nagle Wagura, młodociany wesołek, zerwał się i zaczął dokazywać, a śpiewać, a tańczyć. Okrutnie ciasno było na pokładzie, ale w uciesze nikomu to nie przeszkadzało i wkrótce wszyscy – Indianie z Manaurim na czele zarówno jak Murzyni – dawali upust ochocie wśród zabawnych podrygów, wesołego wyśpiewywania i wybuchów śmiechu. Jedyne kobiety nie brały udziału w zabawie, bo przygotowywały śniadanie na trzech ogniskach, i nie brał udziału Arnak, stojący obok mnie. Tego przyjaciela najbardziej chyba zamknąłem w sercu. Był to na wskroś prawy i dzielny Indianin, bystry umysłem, ale pomimo młodego wieku – miał mniej więcej dwadzieścia lat – zawsze ogarnięty jakimś smutkiem i zadumą. Wciąż jeszcze trwałem przy sterze.

–Czemu z nimi nie bawisz się? – przyganiłem życzliwie Arnakowi. – Czy nie wesoło ci na duszy?

–Wesoło, Janie!... A czemu ty nie tańczysz? – odparł.

Myśl, że mógłbym tańczyć jak inni, wydała mu się bardzo zabawna i lekki uśmiech przebiegł po jego twarzy.

–Nie tańczę, bo trzymam ster! – wyjaśniłem.

–Daj mi go, zastąpię cię przy nim, jeśli masz ochotę tańczyć – przekomarzał się.

–Czy uważasz, szelmo, że już za stary do tańca?

–Za stary jeszcze nie, bo masz dopiero lat dwadzieścia siedem, aleś pewnie za...

za...

–No, co?

–Pewnie za godny?

–To bierz ster! Zaraz ci pokażę, jak tańczą u nas w lasach wirginijskich!...

Ale do tego nie doszło, bo niewiasty właśnie zawołały, że posiłek gotowy. Zabawa ustała. Wszyscy nadal byli rozochoceni i siadali na pokładzie, gdzie kto mógł.

Oddalająca się brygantyna częściowo już znikła za widnokrzem. Pełno było na jej temat rozmów i domysłów, bo właściwie pozostało zagadką, po kie lichy Hiszpanie nas atakowali. Ten i ów posyłał za nimi zaciśniętą pięść wraz ze złorzeczeniem lub szyderstwem.

Indianka Lasana, młodziutka wdowa po zabitym przez Hiszpanów Murzynie Mateo, przyniosła mi w tykwie gorącą papkę, ugotowaną z roztartej kukurydzy, i wraz z drewnianą łyżką położyła ją na pokładzie obok steru.

Indianka, smuklejsza i nieco wyższa aniżeli jej współplemieńcy, o zwinnych, powabnych

ruchach, wyróżniała się ujmującą urodą. Ludzie na pokładzie wodzili za nią rozjaśnionym spojrzeniem i otaczali ją przyjazną myślą. Przeważałem ją w duchu Czarowną Palmą. W smagłej twarzyczce zwłaszcza oczy przykuwały uwagę. Wielkie, czarne i wilgotne, o niezmiernie długich rzęsach, były pomimo zwykłej indiańskiej powściągliwości tak wymowne, że widziało się w ich źrenicach wszystko, jak gdyby całą duszę. Przede wszystkim zaś były to oczy żywe i rozumne; u młodej istoty zdradzały skłonność do silniejszych uczuć i zdolność myślenia szczególną. Indianka niosła przywiązane na plecach swe roczne dziecko. Dotychczas przybita niedawną śmiercią Matea, teraz – bodaj czy nie po raz pierwszy – i ona poddała się nastrojowi panującemu na pokładzie i przynosząc posiłek mile do mnie się uśmiechnęła. Nie ukrywała swego upodobania, patrząc otwarcie na przemian to w moją twarz, to na moje dłonie spoczywające na sterze. Ponieważ te ręce jakowyś zagadkowy budziły w niej zapal, zapytałem obecnych Arnaka i Wagurę, co Lasana ciekawego w nich sobie upatrywała. W odpowiedzi podeszła do mnie blisko i kładąc śmiało swe ręce na moich rzekła śpiewnie:

–Mocne ręce, dobre ręce!... Można im zaufać!

Żywo odczułem ciepły i przyjazny uścisk jej małych dłoni.

–Uważaj! – krzyknąłem. – Tak mnie krępujesz, że nie mogę sterować!

–Czy silny człowiek da się tak łatwo skrępować? – zapytała niby zatroskana. –

Skrępować takim słabym dloniom, jak moje? A może ty jednak słaby?

Oglądała figlarnie swe ręce wciąż leżące na moich i potem bardzo poważnie moją twarz.

–Może ja rzeczywiście słaby przy tobie – przyznałem.

Zajrzała mi, bestia, tak serdecznie i poufale w oczy, że mi się zmieszał i jak gdyby poczuł ciarki przelatujące mi po plecach.

–Nie, ty nie słaby! – stwierdziła oceniając mnie od góry do dołu.

–Po czym to poznajesz, Czarowną Palmo?

–Widzę w twoich oczach. Zapaliły się jak u jaguara... Jak ty mnie nazywasz?

–Czarowna Palma.

Pograżyła się na chwilę w myślach.

Jeśli ty mnie tak pięknie nazywasz, toś ty zuchwały myśliwy! – pochwalila z nieodgadniętym wyrazem twarzy, w której filuterność zdawała się zmagać z powagą i nie wiadomo było, co w niej bierze górę.

–Dlaczego ja zuchwały?

–Bo... nie tchórzysz przed Indianką... Zaśmiała się głośno, dźwięcznie i puściła mnie.

–Do tego potrzebna taka zuchwałość? – zapytałem.

–Myślę, że tak...

–Nie. Dobre oko tylko i troszkę zdrowego rozumu...

Strzelił jej do głowy jakiś nowy, zabawny pomysł, aż zaklaskała w dłonie z uciechy.

–Powiedzcie mu – zwróciła się do Arnaka i Wagury, tłumaczących naszą wesołą rozmowę – powiedzcie mu, że gdy wrócimy do naszych wiosek, czeka go miła niespodzianka, bardzo miła!

–Ciekawym, co to będzie?

–Damy mu najładniejszą dziewczynę za żonę. Niech ona pozna jego mocne, dobre ręce!

Zrobiłem przesadnie uradowaną minę na tak słodkie widoki i czekające mnie delicje, ale potem pokiwałem głową.

–Nie w smak ci? – drwiąco zmartwiła się Lasana.

–W smak, w smak, jeśli to będzie, jak powiadasz, najładniejsza dziewczyna. Ale

–zafrasowałem się – czy tam w waszych wioskach nie będzie żadnych palm?

Wszyscy dokoła stropili się nie wiedząc, co mają palmy wspólnego z dziewczynami; słowem: gdzie Rzym, gdzie Krym – jak to matka w mym dzieciństwie często mawiała.

–Palmy? Są palmy... palmy kokosowe i inne – wyjaśniał Wagura.

–Ach! – zachwyciłem się. – To będzie i Palma!

–Jaka palma?

–Czarowna...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a także i Lasana, która nie mogła pohamować wesołości.

–Szczodra jesteś, Czarowną Palmo – ciągnąłem zwracając się do młodej kobiety

–bo przyrzekasz najładniejszą dziewczynę z waszej wioski. Wszakże przypomina mi się przysłowie, jakie kiedyś powtarzała moja matka, pochodząca z dalekiego kraju za morzem.

Czy chcecie je wiedzieć?

–Chcemy, Biały Jaguarze! – odparła Lasana płacąc mi pięknym za nadobne i kładąc nacisk na to przezwanie.

–Przysłowie mówi, że lepszy mały ptaszek w ręku niż wielki ptak wysoko na dachu oświadczyłem, wymownie patrząc na Lasanę.

Gdy jej przetłumaczono przysłowie i wyłożono, do czego się odnosi, dopiero kobietka w krzyk i w udane oburzenie:

–Co, to ty małym ptaszkiem mnie zowiesz?

–To tylko takie przysłowie! – bronilem się. – Ty przecież – orlica!...

Tak swawoląc i dowcipami sobie przygadując płynęliśmy bez przerwy i bez przygód w kierunku wschodnim. Wroga brygantyna hiszpańska przepadła nam z oczu za widnokrzem. Morze było znowu puste i bezpieczne.

W miarę jak wzbijało się słońce, a wzmagał się żar coraz nieznośniejszy, radosne podniecenie godzin porannych przechodziło w spokój zwykłego dnia. Ludzie dręczeni spiekotą szukali cienia, którego mało było na szkunerze. Tak mijały godziny południa.

Słońce kłoniło się ku zachodowi, gdy na pokładzie nastąpił nowy wybuch radosnego gwaru. Wszyscy biegli na przodek statku i stamtąd bacznie śledzili dal przed sobą. Z sinych oparów daleko na wschodnim nieboskłonie wylaniały się na brzegu lądu zarysy góry osobliwego kształtu. O zboczu stromym od morza, a łagodnym z drugiej strony, góra wyglądała jak potężny dziób papugi lub ptaka drapieżnego, sterczący ku niebu. *i*

–Góra Sępów! – słyszałem uniesione głosy.

Do mnie, stojącego ponownie przy sterze, podszedł wódz Manauri, a zaraz za nim napłynęła cała reszta: Arnak, Wagura, Lasana, Indianie, Murzyni. Tyle radości i tyle szczęścia biło z ich wszystkich twarzy, że i mnie udzieliło się ogólne wzruszenie.

–Zbliżamy się!... – wyrzekł Manauri jedynie.

Ile odbicia ludzkiej doli było w tym prostym wyrazie, ile wagi! Kończyła się ich ponura jak wieczna noc udręka wieloletniej niewoli. Nieszczęśni ci Indianie, gwałtem porwani ongiś ze swych wiosek, po straszliwych doświadczeniach na wyspie Margaricie i po zuchwałym wydarciu się z rąk oprawców – oto wreszcie ujrzeli przed sobą niezaprzeczony znak wolności: pod Górą Sępów leżały ich ojczyste wioski.

Skinąłem Arnakowi, by przejął ster, a sam skoczyłem do Manauriego. Owładnięci serdecznym

uczuciem objęliśmy się w pół na modłę białych ludzi. Radość, bijąca z jego twarzy, odmładzała go o połowę lat i wódz wyglądał teraz, jak gdyby miał ich dwadzieścia kilka.

Wnet się opanował. Wzrok jego nabrał mocy i szedł ku mnie z jakąś twardą uporczywością i prośbą zarazem.

–Janie! – odezwał się Manauri uroczyście. – Znowu przychodzę do ciebie z tymi samymi słowami, co parę dni temu. Czy pamiętasz je?

–Powiedz!

–Wiemy, kim ty jesteś i jakim jesteś. Jesteś nam bratem i kochamy cię! Tobie zawdzięczamy ocalenie na bezludnej wyspie. Twoja przemyślność i twoje strzelby pokonały Hiszpanów ścigających nas. Twoja przyjaźń przywróciła nas życiu. Ty, wielki wojownik swego kraju, nie możesz jeszcze wrócić do swoich, bo cię ponoć możni wrogowie tam prześladują. Przeto prosimy cię, jak tu stoimy: zostań u nas. Zostań na zawsze!

Wszyscy obecni żywo poparli jego słowa wśród radosnego zamieszania.

–Dziękuję wam serdecznie za ofiarowanie mi gościny, lecz niestety, nie mogę jej przyjąć! – oświadczyłem z wielką stanowczością. – Pozostanę u was tylko tak długo, dopóki nie przygotuję wyjazdu na wyspy angielskie. Czy mogę liczyć na waszą pomoc, Manauri?

–Jesteś naszym bratem! – odparł wódz. – Uczynimy, czegokolwiek zażadasz...

2. Wieś

Bez

Ludzi

Gdyśmy zoczyli Górę Sępów, była oddalona od nas siła mil. Dopiero po wielu godzinach żeglugi podpłynęliśmy w pobliże jej stóp, ale wtedy już i słońce zachodziło. Do najbliższej wioski Arawaków, leżącej nad laguną u ujścia rzeki, z tamtej strony góry, pozostawało jeszcze jakie dwie pełne godziny żeglowania przy korzystnym wietrze i dobrej widoczności, a tu i wiatr z wieczora zanikał, i mroki gęstniały. Nie było innej rady, jak pod płynąć pod górę najbliżej i niedaleko brzegu zarzucić na noc kotwicę. Indianie znali tu każdą piędź dna morskiego, ale woleli doczekać świtania i za dnia dopiero wprowadzić szkuner do zatoki. Ściemniało całkowicie i jeno gwiazdy nam przyświecały, kiedy uporaliśmy się z pracą i stanęli na kotwicy. Nikt prócz dzieci nie myślał pójść na spoczynek. Jutrzejszy dzień wszystkich na równi podniecał, Indian, Murzynów i mnie. Jeszcze przed nastaniem ciemności Indianie spodziewali się ujrzeć na morzu lub na brzegu jakie znaki życia ludzkiego, choćby łodzie łowiących rybaków, ale daremnie

wyżejali wzrok.

–To dziwne! – zwierzył się Manauri. – Przypominam sobie dobrze, jak to dawniej bywało. Przed wieczorem ry bacy wypływali na morze.

–Z pewnością byli tam i dzisiaj – wyraziłem przy puszczenie.

–To gdzie się podziali?

–Po prostu spostrzegli oni nas pierwej niż my ich. Obawiając się obcych ludzi na szkunerze, schronili swe łodzie w zatoce.

–Czy to być może? – zadumał się wódz.

Na pokładzie ludzie wygodnie leżeli grupkami i półgłosem rozprawiali między sobą, czasem zapadając w milczenie. Wtedy gorliwe ucho łatwo wychwytywało dźwięki z lądu. Do brzegu nie było dalej niż dwa, trzy stajania, przeto dawały się słyszeć nocne odgłosy z gąszczów, a bliżej szum leniwej fali morskiej, z rzadka bijącej o piasek. Były tam zarośla, o czym przekonałem się za światła dziennego jeszcze, bardzo podobne do tych, wśród jakich żyłem na bezludnej wyspie: nie zbity, gęsty las, lecz krzewy wysokie, suche i kolczaste, a wśród nich ostępy znajomych mi kaktusów i agaw, poprzewlekane gdzieś tam wysokopienną palmą lub innym drzewem. Głosy nocnego życia przyrody stamtąd bijące były niemal te same, jakie rozbrzmiewały w chaszczach mej wyspy, a jednak o ileż głębiej wnikały do duszy. Niewysłownym wzburzeniem uczuć napelniały mi serce, rozpałały wyobraźnię. Wiem, dlaczego rozpałały. Szły wszakże od potężnego, tajemniczego lądu, pokrytego gdzieś w głębi przepastnymi puszciami, gdzie toczyły się nurty wielkich rzek, gdzie koczowały nieznanne szczepy dzikich tubylców, gdzie okrutni Hiszpanie i Portugalczycy zakładali miasta, a nieubłaganym mieczem narzucali swe prawo i swą wiarę. Szły one odgłosy, słowem, od lądu, groźącego złowieszczym losem tudzież zamęttem nieodgadnionych przygód i niebezpieczeństw. Wódz Manauri, Arnak i Wagura siedzieli tuż przy moim boku. Ciekawy, co mnie nazajutrz czeka i jakich miałem spotkać tam ludzi, począłem wypytywać się wodza o arawa-skie siedziby. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że było tam niewiele wsi, społem pięć.

–Pięć wsi tylko? Więcej ich nie ma?

Tu ich nie ma więcej.

–To pewnikiem bardzo ludne wsie?

–Są i ludniejsze, i mniej ludne. W mojej wsi, zaliczanej do największych, żyło za moich czasów blisko trzy razy stu.

–Trzystu wojowników?

–Gdzie tam! Razem: wojowników, starców, kobiet i dzieci.

–To we wszystkich pięciu wsiach ilu was mogło być razem?

–Prawie dziesięć razy stu.

–Z kobietami i dziećmi?

–Z kobietami i dziećmi. Ledwom wierzył własnym uszom.

–Tylko was tylu?! Żartujesz chyba, Manauri!

–Nie, Janie, nie żartują.

–I to cały szczep Arawaków? Myślałem, że was więcej!

–I nie myliłeś się. Jest Arawaków znacznie więcej, bo to wielki naród, ale żyje nie tu, jeno daleko na południu, w krainie zwanej Gujana, o przeszło miesiąc marszu od nas.

–Miesiąc marszu to mniej więcej pięćset mil stąd?

–Może pięćset, może więcej. Żeby do tamtych Arawaków dotrzeć, trzeba przebyć

wielką rzekę Ibrinoko i dopiero sporo marszów jeszcze na południe od tej rzeki wznoszą się siedziby naszego narodu.

–Rzeki Ibirinoko?

–To indiańska nazwa rzeki, którą Hiszpanie zwą Orinoko.

–Tedy mieszka tutaj jedynie mały odłam Arawaków?

–Mały odłam, tak jest.

Wiadomość ta w pierwszej chwili zaniepokoiła mnie, bom sobie pomyślał, że jeśli ich tu tak niewielu, to może nie znajdę dostatecznej ilości śmiałych żeglarzy, którzy przewiozą mnie na wyspy angielskie Morza Karaibskiego. Ale Manauri oświadczył, że nie mam się kłopotać: znajdę dość żeglarzy, w tym już jego głowa.

Niespodziewaną okolicznością istnienia tu na północy niewielkiej części Arawaków, z dala od ich głównych siedlisk, wódz wnet mi wytłumaczył. Jakie pięć czy sześć pokoleń temu – a więc przed przeszło stu laty – wśród poszczególnych rodów arawaskich na południu powstał ostry rozłam i wybuchły bratobójcze walki. O co wtedy chodziło, nie wiadomo. Wsie nad rzeką Essequibo,

gromadniejsze niż inne, wzięły górę i srogo gnębiły swych przeciwników. Ci, co żyli nad brzegami rzeki Pomerun, najbardziej cierpieli, więc któregoś roku załadowali dobytek na łodzie i w poszukiwaniu nowej ojczyzny ruszyli na północ wzdłuż morskiego skraju. Szukali długo, bo dostępu bronila czasem niegościnnosc wybrzeża, częściej wrogość obcych szczepów, ale w końcu znaleźli, czego pragnęli, w pobliżu Góry Sępów. Tu się osiedlili. Z jednej i z drugiej strony mieli za sąsiadów dwa wojownicze szczepy karaibskie, ale dość odległe, więc po pierwszych nieudanych zwadach nie zakłócały im później spokoju. Dopiero w ostatnich latach spadły nowe troski: hiszpańscy piraci i łowcy niewolników dokonywali napadów i od nich to groziło niebezpieczeństwo.

–A ty, Manauri – zagadnałem go – czy jesteś wodzem wszystkich Arawaków tutaj na północy?

–Nie. Każda z tych pięciu wsi ma swego naczelnika, głowę rodu, i ja jestem jednym z nich.

–To nie macie nad sobą naczelnego wodza?

–Mamy. Nazywał się Koneso. Ale on nie ma wiele do gadania, tylko w bardzo ogólnych sprawach.

–Więc kto piastuje u was rzeczywistą władzę?

–Naczelnik rodu albo wsi, ale i jego władza jest ograniczona. Taki wódz musi słuchać tego, co uradzą wszyscy dorośli mężczyźni wsi na ogólnej naradzie...

–A jeśli narada w moim przypadku uchwali, że nie macie mi pomagać, bom z innej, wroziej wam rasy?

Manauri się zachnął:

–Przecież, Janie, jesteś naszym przyjacielem i wybawcą, a taka rada składa się z ludzi mających rozum i serce. To byłaby hańba nie do darowania, zaćmienie umysłu...

–Przypuśćmy, że w latach, kiedyś ty był w niewoli, twój zastępca posmakował władzy i jak wroga przyjmie ciebie, a tym bardziej mnie. Czy to jest niemożliwe?

Musiało być możliwe, bo Manauri nagle umilkł. W ciemności nie widziałem jego twarzy, ale m odgadł jej spochmurnienie. Dręczyły i jego zapewne jakieś wahania. Po chwili odezwał się:

–Poruszasz bardzo zawile możliwości. Nie, ciebie nie spotka u nas krzywda ani niewdzięczność. A jeśli – co wprost niemożliwe – szczep chciałby tobie odmówić gościnności i pomocy, jedna rzecz pozostaje pewna jak istnienie tego morza i istnienie tej góry: to my, to nasze przywiązanie. My wszyscy, którzyśmy tu na tym statku, jesteśmy tobie oddani na śmierć i życie – przyjmij te słowa tak, jak je mówię: na śmierć i życie! Chociażby przeciw woli reszty szczepu!

Wypowiedział to z tak głębokim przekonaniem, że tylko utwierdził mnie w zaufaniu, jakie miałem do tych ludzi. Wszakże łączyły nas najsilniejsze więzy, jakie łączą człowieka z człowiekiem, mianowicie braterstwo zdobyte we wspólnej, krwawej walce o samo życie. Arnak i Wagura, tłumaczący słowa wodza, od siebie przywłóżyli zapewnieniom wierności, że mnie nigdy nie opuszczą w żadnej biedzie, a znając młodych przyjaciół na wskroś, mogłem im wierzyć. Oni poszliby za mną do samego piekła. Z takimi druhami u boku można było stawić czoło wszystkim niebezpieczeństwom nieznanego ładu, który teraz oto nieustannie coś do nas gadał i wołał tajemniczego. Poprzez mroki nocne dolatywały stamtąd pomruki, chrzęsty, skrzeki – czasami tak zgryźliwe i niepokojące, jak gdyby miały nas przerazić i odstraszyć. Wkrótce miesiąc wyłonił się spoza morza i rozjaśnił krajobraz dookoła statku. Zarysy Góry Sępów uwypukliły się na tle nieba. Wyraźnie wystąpiły plamy zarośli na stoku górskim, który w poświęcie dziwnie przybliżył się do nas. Widok ten wielce ożywił Indian i uzmysłowił im bliskość ojczystych wsi. Noc zapowiadała się widna. Więc Manauri, Arnak, Wagura i jeszcze kilku postanowili tej nocy wylądować na łódkach, jakie mieliśmy przycumowane do szkunera, odwiedzić najbliższą wieś i zawiadomić o naszym przybyciu, a przed świtem wrócić na statek.

–Idę z wami! – oświadczyłem.

Indianie chcieli zaraz wyruszyć, ale Manauri powstrzymał wyprawę o godzinę, ażeby doczekać się jaśniejszego blasku miesiąca.

–Czy zabierzemy jaką broń prócz noży? – zapytał mnie

Arnak.

–Muskietów chyba nie potrzeba – odrzekłem. – Może tylko pistolety.

Więc przygotowuję trzy pistolety: dla ciebie, dla mnie i Wagury...

Poprzednia rozmowa moja z Manaurim wywarła na wodzu większe wrażenie, aniżeli przypuszczałem. Wzniecila w nim obawy, jakie niezawodnie tliły się dotychczas na dnie jego duszy. Jakie spotka go przyjęcie po tylu latach nieobecności? Oto było zatrwajające pytanie.

Wódz nie ukrywał swych wątpliwości przed Lasaną i kiedyśmy czekali na wzbicie się księżyca, on w cichej z młodą kobietą rozmowie zwierzał jej się z ukrytych trosk. Widoczne, było, jak wysoce cenil jej zdanie i rozważę. Obydwoje stali na pokładzie tuż przy mnie, nieledwie ocierając się o mój bok, więc lubo tłumili głosy, mimo woli żem łapał moc słów ich i coś niecoś je rozumiał.

Nagle usłyszałem moje imię wymawiane po arawasku. Wypowiedział je Manauri i potem coś Lasane usilnie przekładał, niestety tak cichym szeptem, że nie docierał do mnie. Dopiero zrozumiał ostatnie jego słowa, natarczywe i proszące zarazem:

–Zrób to dla mnie, Lasano, zrób koniecznie!...

Cisza. Kobieta oblekła się w milczenie, jak gdyby ważyła w myślach, czy może „to” zrobić.

Po dłuższej chwili wyrwał się z ust Manauriego zduszony syk zniecierpliwienia.

–Czemu milczysz? – napierał wódz. – Na jaki pożytek się namyślasz, kiedy sprawa jest tak prosta i tak jasna, taka łatwa dla ciebie?

–Mylisz się, Manauri! – odpowiedziała Lasana. – źle radzisz! Sprawa niełatwa dla mnie.

–Pojmij, kobieto, jak wiele od ciebie zależy!...

Nastąpiły słowa, których nie rozumiałem, po czym Manauri zakończył:

–Jego pomoc nam wszystkim potrzebna!... Koneso nigdy nie darzył mnie

życzliwością, a Pirokaj był zawsze pełen zawiści i wręcz moim wrogiem. Obawiam się ich nikczemności.

–Pirokaj, twój młodszy brat?

–Mój brat. On pewnie jest teraz głową naszego rodu. Koneso to srogi

ciemężyciel, Pirokaj to złośliwa żmija... Bez pomocy Jana może być z nami krucho! Jan ich przytlumi. On musi pozostać z nami w szczepie!

–To dlaczego otwarcie mu tego nie oznajmiłeś?.

–Nie chciałem go wtajemniczać w nasze sprawy.

–Widzę, masz podwójny język, Manauri! – Lasana wyrzekła spokojnie, ale niechęć drgała w jej głosie.

–Podwójny język? Jakże możesz tak pleść, dziewczyno?!

–W oczy jemu przyrzekasz, że odwieziecie go na wyspy angielskie, a za jego plecami knujesz, żeby u nas pozostał!

–Pozostał, tak, ale pozostał dobrowolnie. Dobrowolnie, słyszysz mnie, głucha

niewiasto? I do tego... twoim obowiązkiem zniewolić go, usidlić, rozkochać w sobie... Ty jedyna to potrafisz! Widziałem, jak się uśmiechał do ciebie...

–Stroiliśmy puste żarty.

–Tyś ponętna, a to nie żart! Dobro naszej grupy wymaga, żebyś uczyniła tak, jak tego od ciebie żądam, i żeby on pozostał...

–Przeto co mam czynić?

–Opętać go, rozumiesz? Opętać!!

Rozległ się przytłumiony śmiech Lasany.

–Łatwo ci tak, śmiały wodzu, żądać i rozkazywać – szydziła niby rozbawiona – ale jak to wykonać? Opętać? Jeśli przewidujesz niestworzone rzeczy, jakie rzekomo nas czekają tam we wsi, to daj mi dobrą radę na opętywanie takiego człowieka jak on.

–Jesteś ponętna, mówię!

–Ale ja nie chcę być przynętą! Tyś mu przychylny, wiem o tym... ale... ja nie wabik!

–Czy nie chciałabyś go mieć za męża?

Lasana zachnęła się, umilkła. W głupim znalazłem się położeniu słysząc wszystko. Ani im w głowie nie postalo przypuszczenie, że ich rozumiem. Trzpiot jakiś wewnętrzny podszeptował mi, by spletać im figla, co się zowie, i przemówić do nich po arawasku. Alem pohamował się i utrzymał język za zębami. Tymczasem Lasana, ogarnięta oburzeniem, zmywała Manauriemu głowę:

–Za kogo ty mnie masz? Po co mnie upokarzasz? Czyś zapomniał, co działo się

tak niedawno temu?... Przed kilku dniami zginął Mateo, ojciec mego dziecka, a ja już mam oglądać się za innym mężem jak podła suka?

–Dobro naszej grupy miej na oku! – warknął wódz.

–Nie dręcz mnie tym twoim dobrem naszej grupy... Nie żądaj, bym się ośmieszala. Ja w jego oczach nie chcę stracić szacunku!

Patrzcie, patrzcie! Dzika, rzekłbyś, Indianka, bodaj czy osiemnastoletnia, a już takie morały umiała wygarniać i tyle miała poczucia własnej godności! Dalibóg, chęćka mnie brała okrutna

uściskać dzielne kobieciątko.

–Powiedz! Czy jest on ci tak wstrętnym? – walnął Manauri zniecacka.

–Nie! – szczerze odrzekła.

–No, widzisz!

–Właśnie, nie widzę!...

Przy spokojnym morzu przeprawa na ląd nie nastęrczała trudności. Było nas jedenastu, dwie łódki wszystkich wygodnie pomieściły. Kiedyśmy jeden za drugim wyskakiwali na przybrzeżny piasek, każdy niewątpliwie odczuwał niezwykłą wagę tej chwili, jak gdyby wkraczał w nowy okres życia swego. Po jakiej że to żmudnej tułaczce los zapędził mnie na to wybrzeże Ameryki Południowej i co mi tu jeszcze gotował? Niezwłocznie udaliśmy się w drogę, krocząc gęsiego. Indianie sunęli bezszelestnie jak koty, ja jedyny stąpałem ciężko i głośno; wobec licznych w tych stronach węzów jadowitych, szczególnie ruchliwych nocą, Manauri radził mi przed wyprawą wdziać na nogi buty po Hiszpanie.

–Czemu ja jeden? – sprzeciwiłem się.

–Boś się tu nie rodził. Brak ci wrodzonej pojętności na węże.

–A wy ją macie, tę pojętność?

–Mamy. Żmiję bezwiednie wyczuwamy.

Więc, lubo odwykły od butów, wdziałem je posłusznie i teraz podczas pochodu grzmociłem nimi o grunt, że echo na ćwierć mili dudniło. Wszelako nie raziło nas to bynajmniej, byliśmy przecież na swojej ziemi, w pobliżu przyjaciół. Droga prowadziła stale u stóp Góry Sępów, najpierw wzdłuż samego wybrzeża, potem skręciła w prawo, w zarośla. Po przebrnięciu gęstwiny dotarliśmy do zatoki. Właściwie nie była to zatoka, lecz laguna na pół mili rozległa, o dość szerokim do morza ujściu. Manauri wskazał ręką na przeciwległy brzeg laguny i rzekł spokojnie:

–Tam wieś.

Hen na skraju wody majaczyły jakieś kształty niby chaty, ale trudno było rozeznąć obraz z tej odległości pomimo światła księżycowego.

–Czy we wsi są psy? – zapytałem.

–A jakże!

–Czy wiele psów?

–Wiele.

–Jakoś nie słycać ich!

Osobliwe milczenie stropiło także Manauriego i resztę Indian. Czyżby wszystkie psy spały jak zabite? To niemożliwe. Zawsze któryś zaszczeka i odgłos powinien by rozbrzmiewać ponad wodą. Podczas gdy zaniepokojeni Indianie wyrażali różne domysły, puściliśmy się w dalszą drogę brzegiem jeziora. Teren był taki sam jak dotychczas: piasek, miejscami pokryty gąszczem, gdzieś skałami. Tu i ówdzie skały wchodziły do wody tworząc jakoweś dziwaczne groty nad jeziorem. Po kilku minutach przebyliśmy połowę drogi do wsi i odróżnialiśmy już poszczególne chaty rozproszone w dolinie rzeczki. Ale wciąż żadnego znaku życia. Cisza wydała mi się do tego stopnia nienaturalna, że zatrzymałem pochód.

–Psów wciąż ani śladu! – rzekłem.

–Nie ma ich. – Manauri nie ukrywał swego zatroskania.

–Chaty stoją, wieś jest! – zauważył Arnak.

–Stoją tam, gdzie były. Ale czegoś im brak.

–Ludzi nie ma! – oświadczyłem. – Tu nie wszystko w porządku! Bądźmy ostrożniejsi. Chyłkiem trzeba się skradać.

Żałowałem teraz, że tak mało zabraliśmy ze sobą broni palnej i wcale nie mieliśmy łuków, ale było za późno, by temu zaradzić. Przede wszystkim należało wyświecić tajemnicę milczącej wsi. Wagura zbliżył się do mnie i zapytał szeptem zduszonym z przejęcia:

–Czy sądzisz, Janie, że stało się jakie nieszczęście?

–Coś tam niewyraźnego musiało zajść, to pewna! Mieszkańców nie ma.

–Może przyszli Hiszpanie i zabrali wszystkich?

–Przekonamy się o tym, gdy dojdziemy do chat.

Węże czy nie węże, należało podkradać się odtąd jak najciszej, więc szybko zezul diabelne obuwie i odsapnął z ulgą. Jakże przyjemnie ziemia chłodziła bosa stopy! Wagura schował buty w dziupli drzewa, rosnącego nad brzegiem jeziora, i tak pozbyłem się tarapatów. W dalszym pochodzie korzystaliśmy z osłony krzaków i wnet dotarliśmy do pierwszej chaty. Ściany jej były pokryte trzcina, strzecha liśćmi palm kokosowych. Jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że chata – od dłuższego czasu nie zamieszkała – chyliła się do upadku; ściany trzciniowe były powyrywane, przez wielką dziurę w dachu świecił do wnętrza miesiąc.

–Zajrzyj no, co tam w środku! – polecił Manauri Arnakowi.

Ukryci w cieniu gąszczu, czekaliśmy na powrót chłopaka.

–Czy pamiętasz, kto tu mieszkał? – zapytałem wodza.

–Pamiętam. Mabukuli, mój przyjaciel.

–Gdy na was Hiszpanie napadli, on nie dostał się do niewoli?

–Nie. W czasie napadu był tu nieobecny, jak wielu innych.

–To znaczy, że po napadzie mógł być powrócić i żyć tu dalej?

–Mógł.

Arnak wrócił z chaty i zdał nam sprawę, że nic podejrzanego tam nie zastał, niektóre przedmioty mniej ważne, jak na przykład tykwy do wody, leżały jeszcze na ziemi, a chata czyniła wrażenie opuszczonej z własnej woli mieszkańców.

–Czy śladów gwałtu nie dostrzegłeś? – dopytywał się wódz.

~ Nie.

Cisza panowała dokoła; wszystko wskazywało na to, że wieś była bezludna.

Indian, zrazu osłupiałych pustką, jaką zastaliśmy we wsi, ogarniało wielkie przygnębienie, które, rzecz prosta, i mnie się udzielało. Złowróżbna tajemnica przysłała martwość indiańskiego siola. Gdyśmy gromadą podchodzili do opuszczonej chaty, ostrzegłem towarzyszy, by do niej bez potrzeby nie chodzili: nie było nijakiej pewności, czy to nie jakaś zaraza wypędziła mieszkańców z ich siedlisk.

Postępując dalej, minęliśmy zgliszcza innej chaty. Ale jeden z Indian przypomniał sobie, że widział, jak się paliła wtedy, przed laty, gdy Hiszpanie napadli na wieś i jego uprowadzili. Więc pożar strawił chatę dawno temu, podczas gdy mieszkańcy opuścili wieś znacznie później – jak wynikało z różnych śladów zauważonych przy następnych szalasach – mniej więcej przed rokiem lub dwoma laty.

W tym nad wyraz smutnym otoczeniu brnęliśmy ostrożnie do końca wsi, wszędzie zastając chaty puste i opuszczone dobrowolnie. Chaty i szalasy nie stały gęstą kupą, lecz rozproszone z dala jedna od drugiej, zajmowały przestrzeń ośmiu, może dziesięciu stajañ. Wreszcie drogę zagroziła nam rzeka szeroka, lecz płytka, wpadająca do jeziora. Nad jej brzegiem siedliśmy na ziemi w cieniu drzewa obok siebie, by odbyć cichą naradę.

–Jedna rzecz pewna – oznajmiłem półszeptem – nie było tu napadu ani rozlewu krwi.

Szmerem wszyscy temu przyświadczyli.

–Nigdzie nie ma śladów walki, choćby złamanej włóczni lub strzały, nic –potwierdził Manauri.

–Ale dokąd mogli pójść? – zastanawiał się Arnak.

–Myślę, że nieco w głąb lasu, żeby dalej od wybrzeża – wyraziłem swe zdanie.

–Nad morzem widocznie wciąż grozili biali piraci.

Słowa te jak gdybym wyjął z ust i serc towarzyszy. Wszyscy uchwyciliśmy się tej możliwości, bo na niej można było budować uzasadnione nadzieje, że osiedle nie uległo żadnej katastrofie ani zabójczej chorobie.

–Zapewne odeszli od morza nie tak daleko – przypuszczał Manauri – i jutro

łatwo ich znajdziemy.

–A te inne wsie, te cztery, gdzie leżą? – zapytałem.

–Nad tą samą rzeką, tylko w górze jej biegu.

–Daleko stąd?

–Niedaleko. Najbliższa wieś jest jakie dwa razy dziesięć strzałów z łuku.

Dwadzieścia strzałów z łuku – obliczyłem – to bodaj czy pół godziny drogi. Ależ to bardzo blisko!

–Blisko.

Wódz, widząc moje ożywienie, natychmiast domyślił się jego przyczyny.

–Wiem, co masz na myśli! – rzekł. – Trzeba się przekonać, jak tam wygląda.

–Oczywiście! Może tam właśnie są wasi!

Spojrzeliliśmy na miesiąc i na gwiazdy. Daleko było jeszcze do połowy nocy. Przed świtem należało nam wrócić na szkuner, ale wskazane było, o ile możliwości, upewnić się przedtem co do stanu reszty arawaskich wsi. Więc Manauri wyznaczył czterech Indian, obytych z okolicą, i pchnął ich w górę rzeki, nakazując im nie oszczędzać nóg. Mielśmy ich powrotu oczekiwać tu, w pobliżu jeziora.

Nad brzegiem rzeki ziemia było podmokła, bagnista, pokryta pasem bujnej nader roślinności. Przenikliwy odór spleśniałych liści i butwiejących korzeni gęsto wisiał w powietrzu, prawie otumaniał zmysły. Pas roślinności nadrzecznej był wąski, może nieszerszy niż trzydzieści czy czterdzieści kroków, ale z gęszczy onego ile fantastycznych wylatywało odgłosów, jakie zaczepne paszcze zagadkowych potworów wydzierały się tam w dziwnym rozjuszeniu! Kłapało

to, skrzeczało, dobywało jęków, pukało, nade wszystko zaś dokuczało do szpiku srogim syczeniem. Rzekłbyś: spusty piekła otwarte, skąd wypadły różnorakie bestie i teraz harcowały w tym skrawku puszczy.

Noce w dalekiej puszczy wirginijskiej miały także swoje głosy, w suchych chaszczach bezludnej wyspy, którą niedawno opuściliśmy, również dźwięczało nocną porą, ale niczym to było wobec wrzawy, jakiej doświadczyłem teraz nad tą rzeką.

Indianie, przywykli do podobnych hałasów, najmniejszej nie zwracali na nie uwagi.

–Te syki rozdzierające uszy – odezwałem się – to pewnie świerszcze?

–Tak. Świerszcze i inne robactwo – odpowiedział Manauri.

Jakiś stwór groźnie zamiauczał.

–Czy to dziki kot? – wzdrygnąłem się mimo woli.

–Nie. Żabka w listowiu.

Wtem rozległ się stuk, jak gdyby kowal mocno bił młotem o kosę.

–A to co? Ptak?

–Także żaba, jeno w rzece.

Nagle głuchy skrzek i potem plusk wody. Manauri chwilę

łowił uchem, namyślał się.

Nie wiem, co to! – przyznał się. – Może wielki szczur wodny...

–A drapieźników większych nie ma tu?

–Może i są.

Wódz spokojnie rozejrzał się dokoła, objął gęstwinę niewzruszonym wzrokiem i stwierdził:

–Ale tu pewnie ich nie ma...

Natomiast tego miejsca cechą znaną, piętnem szczególnie przykrym, była zhora komarów; tysięcy, milionów komarów. Chmary ich otaczały człowieka i klęły jak nieboskie stworzenia. Indianie widać bardziej do tego przyzwyczajeni, mężnie znosili plagę i cierpliwie bili się po skórze. Ja bliski byłem szalu. W końcu oddaliłem się o dobre sto kroków od nadrzecznych zarośli i wlałem na piaszczysty pagórek, a tu jakby ręką odjął. Zadowolony, siadłem wygodnie na piasku i czekałem.

Chmurzyska jęły klębić się i przewalać po niebie, zasłaniając raz po raz miesiąc. Wtedy ciemności spowijały nas gęste. Lubo dobry Manaury uspokajał mnie, że pewnie nie ma tu drapieżników, przecież siedział we mnie nazbyt przetarty myśliwy, bym choć na chwilę zapomniał o tym, że ta knieja wszelakiego krwiożerczego paskudztwa ojczyzną. Zatem woląłem przezornie zbadać proch na panewce pistoletu, zali w porządku.

I słusznie uczynił. Kiedy podczas księżycowego zamroczenia przenikałem jak zwykle badawczym wzrokiem ciemną otchłań, zwidział mi się między dwoma pobliskimi krzewami jakiś podejrzany ruch. Przywidzenie, złuda zmysłów? Ależ

nie, właśnie że nie! Serce zabiło mi gwałtownie, bom nie miał już wątpliwości: tam wyraźnie sunął cień. Doylem zza pasa pistoletu jak najostrożniej i skierowałem go ku zwierzęciu. Wszakże zaraz powstała we mnie wątpliwość, czy wolno było hukem wystrzału alarmować okolicę, dopóki położenie nasze jeszcze nie wyjaśnione? Zwierz, jak wnosilem z jego ruchów, nie domyślał się mej obecności, uwagę całą zwróciwszy w kierunku rzeki, gdzie spoczywali moi towarzysze. Był dość wysoki, jak mi się wydawało, chociaż ciemności nie pozwalały ocenić celnie jego kształtu. Przypuszczałem, że to raczej jakaś wielka małpa aniżeli zwykły zwierz czworonożny. Strzelić czy nie strzelić? Wciąż się wahałem. Odległość wynosiła kilkanaście kroków raptem. Na wszelki wypadek odwiodłem kurek pistoletu. Na nic; lekki trzask, jaki przy tym się rozległ, dotarł do czujnych uszu zwierz. Spłoszony, szurnął w zarośla – i tyłem go widział. Dostyc już miałem samotności. Schodząc ku rzece do Indian, myślałem o tym bogatym, pociągającym, a groźnym łądzie, na który zwabił mnie los. To nie była już moja bezludna, sielankowa wyspa, gdzie po zniszczeniu wielkiego węża i zabiciu jaguara-przybłądy żyłem wśród nieszkodliwych zwierząt, wystrzegając się jedynie nielicznych żmij. Tu co innego! Tu knieja wrzała nieprzebraną obfitością dzikiego stworzenia, tu zwierz był jakiś zuchwały i krzykliwy. Towarzyszom powiedziałem o spostrzeżonym na wzgórkach zwierzęciu i o moim domniemaniu.

–Małpa? – zadziwił się Manaury. – To niemożliwe.

–A cóż by?

–Jakiś inny zwierz. Może tapir?

–Czy tapir wysoki?

–Dostyc wysoki i ciężki.

–On wydawał się zwinny, nie ciężki.

–Może puma? Czy był płowy?

–Był raczej ciemny.

–Tu tak wielkich małp nie ma! Trzymają się na drzewach! Po ziemi rzadko kiedy

chodzą...

Wkrótce powrócili wysłańcy, a niepomyślne wieści, jakie przynieśli z góry rzeki, bardzo nas przybiły; wszystkie cztery wioski arawaskie okazały się opuszczone tak samo, jak wieś nad jeziorem. Ni żywej tam duszy, a chaty i szałaszy przeważnie zapadłe, zniszczone.

To już chyba nie warto statku wprowadzać do zatoki! – zauważył ktoś zważpiał.

–Jeno co?

Płynąć zaraz dalej, aż dopłyniemy do rzeki Pomerun.

Tam napotkamy naszych pobratymców, Arawaków.

–Tego nie radzę! sprzeciwiłem się. – Przypomnijcie sobie wczorajszy statek, jak nas gonił. Gdy wyjdzie na jaw, żeśmy wybili pogoń hiszpańską, szkuner zaś zabrali – a wyjdzie to na jaw z pewnością niebawem, może już rozniosło się! – to będą nas szukali wszędzie na morzu i łatwo przydybią.

–Więc co radzisz?

–Chyba kilka tygodni ukrywać się na lagunie, a gdy huczek nieco minie, dopiero wyleźć z ukrycia. Wtedy płynąć dalej do waszego Pomerun.

–Jan słusznie mówi! – poparł mnie Arnak. – Szwendać się teraz na pełnym morzu, to napytać sobie biedy. Lepiej schować się tutaj.

–Tak jest, tak też i ja myślę! – przystał Manauri. – I myślę jeszcze, że trzeba obejrzeć sobie chaty za dnia, bo może znajdziemy jakie wyjaśnienie, dlaczego nasi odeszli.

Nie mieszkając zabraliśmy się w drogę powrotną ku statkowi. Wagura i dwóch Indian, którzy mieli pozostać na łodzi aż do czasu wprowadzenia statku w zatokę, odprowadzili nas przez wieś aż do drzewa, gdzie w dziupli schowaliśmy poprzednio moje buty.

–Czy wdziejesz je? – zapytał mnie Wagura.

Wdzieje! – odpowiedział za mnie Manauri, troskliwy, jako widać, o me cenne życie.

–Niech, będzie! – zgrzytnąłem ustępliwie.

Wagura pobiegł do drzewa. Po chwili usłyszeliśmy jego stłumiony okrzyk zdumienia. Podeszliśmy.

–Butów nie ma! – oznajmił nam chłopak, całkiem zmieszany.

Drzewo było to samo i dziupla była, ale buty znikły.

–Co, u licha? – zawołał Manauri. – Czary?

–Schowałem buty dobrze! – zapewniał Wagura. – Ktoś je ukradł!

–Ktoś, kto nas podpatrywał! – rzekł Arnak ściszym głosem i bacznie rozejrzał

się dookoła.

Nagle jeden z Indian, owładnięty przerażeniem, zaczął szeptać jak obłąkany, że wie, czyja to sprawka: to zrobił straszny kanaima, który opanował wsie, i dlatego one puste, bo kanaima wymordował wszystkich i nas gotów zabić.

–Stul gębę! – przerwał mu Manauri zduszonym od gniewu głosem. – Nie bredź

jak stara baba!

–On nie bredzi! – inny Indianin stanął w obronie lajanego. – Czy nie widzisz,

wodzu, co się stało w tych wsiach? Coś strasznego musiało się dziać! Mieszkańców nie ma! Kto ich wytępił? Kto ich przepędził?... I teraz te buty!

–Kanaima! To kanaima! – szeptały drżące usta.

–Uciekajmy! – zerwał się krzyk.

–To zaczarowane miejsce! Złe duchy nas zabijają! Kanaima!

Zwróciłem się pośpiesznie do Arnaka:

–Kto ten kanaima?

–Straszliwy duch zemsty! Cokolwiek złego się staje, to rzekomo jego wina!

Kilku Indian, zdjętych zabobonnym strachem, chciało w istocie uciekać. Najbardziej przejęty, niemal odchodzący od przytomności, był ten, który pierwszy wyrzekł słowo: kanaima. Indianin ów dygotał. Wydawało mi się to niepojęte, bo właśnie jego znałem jako nieustraszonego wojownika, kilka dni temu zuchwale rzucającego się na Hiszpanów w najgorętszy ogień walki. Zacząłem przeczuwać przeraźliwe pęta zabobonu i ciemnoty, dławiące dusze tych ludzi.

Manauri z trudem przywiódł ich do upamiętania.

Naraz przypomniałem sobie chwilę na piaszczystym pagórku i cień tajemniczego zwierza stanął mi przed oczyma. Ależ bez wątpienia, to nie był zwierz, to był człowiek! Tak tylko mógł wyglądać i skradać się człowiek.

–Teraz wiem! Wiem! – szeptałem z przyciskiem. – Oczy mi się przecierają!

Kiedym obwieścił swe domniemanie towarzyszom, przyznali mi słusność. Zrozumiałą rzeczą stało się od razu, kto zabrał buty. Nagle rozwiała się zmora duchów, a kanaima przestał straszyć. Przecież miast niego wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo, tym groźniejsze, że prawdziwe i bliskie: pojawił się nieznany człowiek. Byłże to wróg czy też istota przyjazna?

Mimo wszystko, planów naszych co do ukrycia statku w zatoce nie zmieniliśmy, zniknięcie z pełnego morza uważaliśmy w tej chwili za najważniejsze zadanie i za środek ostrożności nieodzowny.

Chyżym krokiem podjęliśmy przedzieranie się przez zarośla w stronę statku. Nikt nas nie zaczepiał. O kilka stajañ od drzewa z dziuplą, w gęstwinie największej, chyłkiem odłączyli się od nas Wagura i jego dwaj towarzysze i pozostali nad zatoką jeziora. Poleciliśmy im mieć uszy i oczy otwarte na wszystko, co wydarzy się we wsi podczas naszej nieobecności. Pozostawiliśmy im wszystkie trzy pistolety.

3 Kulawy

Indianin

Arasybo

Z brzaskiem porannym podnieśliśmy kotwicę i ruszyli przy wzmagającym się wietrze. Gardło zatoki czy – jakby to nazwać – ujście laguny do morza, szerokie na dwa z okładem stajania, nie było zbyt głębokie, przeto Manauri tudzież jego Indianie mocno wytrzeszczali oczy, aby znaleźć wśród podwodnych skał i mielizn właściwe przejście. Na szczęście szkuner nie miał głębokiego zanurzenia i przepłynął gładko, a kiedy pierwsze promienie słoneczne zarumieniły całe zbocze góry, wpływaliśmy już na ciche wody zatoki.

–Żadna brygantyna tędy się nie prześliźnie – zauważył Arnak.

–Masz rację. W zatoce nic nam nie zagrozi od morza – przyznałem mu.

W oddali na południowo-zachodnim widnokręgu czerniły się chaty bezludnej wsi. Obszukaliśmy wzrokiem cały brzeg jeziora, zali nie wykryjemy jakiej żywej duszy i odkryliśmy. Cztery postacie nad samym krajem wody dawały nam rękoma znaki.

–Toż tam nasi: Wagura! Poznają go! – zawołał Manauri pełen zdziwienia.

–Ale czterech ich, jeśli się nie myłę! – stwierdziłem.

–Czterech. Jeden przybył.

Przez lunetę doskonale ujrzałem naszych trzech towarzyszy i tego czwartego, obcego, w ich gronie. Był to Indianin. Nasi przyjaźnie odnosili się do niego, widać to było jak na dłoni. Podąłem lunetę Manauriemu.

–Aaa! – westchnął z wielkiego przejęcia, zaledwie spojrział przez szkło.

–Czy poznajesz go?

–Poznają. To człowiek z naszego rodu. Arasybo.

–Więc jednak pozostał ślad z dawnego życia?

–Pozostał.

Podpłynęliśmy do miejsca, gdzie czekali na nas czterej Indianie. Zatoka była tu głęboka, dlatego nie więcej niż o dziesięć sążni od lądu zarzuciliśmy kotwicę. Radość z tak niespodziewanego spotkania była wielka, ale Indianie nie okazywali jej zanadto ani w gestach, ani w słowach, co najwyżej oczy rozbłysły im płomykiem wzruszenia. Taki był ich zwyczaj w uroczystych chwilach. Arasybo, krępy, niskawy mężczyzna w sile wieku, kulał poważnie na jedną nogę. W źrenicach jego kryła się jakowaś przebiegłość czy też zaczajenie, ale – nie chcąc go krzywdzić – pomyślałem, że tak niekorzystne pozory stwarza pewnie jego brzydota, potęgowana złośliwym wyrazem oczu, zbyt blisko siebie osadzonych i na domiar zezujących.

Opowieść jego częściowo potwierdziła nasze nocne domysły. Arawakowie bez walki opuścili swe sadyby, aczkolwiek niezupełnie dobrowolnie. Uczynili to w obawie przed najazdem Hiszpanów. Łowcy niewolników napadali nie tylko od strony morza. O jakie dwadzieścia mil na zachód od zatoki, w okolicy górzystej i stepowej, powstało kilka lat temu wielkie hiszpańskie *rancho* hodowlane, nazwane La Soledad. Ludzie, którzy tam przybyli ze stadami bydła spod miasta Cumana, uznali, prawem pięści i miecza, że cały okoliczny kraj do nich należał, a wraz z krajem i wszyscy zamieszkujący go Indianie, zapowiedzieli, że bezwzględnie wytępią opornych, jeśli nowym rządóm by się sprzeciwili. Nie były to czcze słowa. Arawakowie pierwsi mieli nachylić kark pod jarzmo konwistadorów. Indianie, zbyt nieliczni i słabo uzbrojeni, ażeby podjąć walkę, jedną mieli tylko drogę ratunku – ucieczkę. Dwa lata temu zbiegli.

–I udało się?

–Udało się. Zbiegli na południe do starych siedzib arawaskich w Gujanie. Większość powędrowała pieszo przez stepy w stronę rzeki Orinoko i dalej do ojczystych brzegów Pomerunu. Inni załadowali dobytek swój na łodzie. Popłynęli wzdłuż wybrzeży morskich, i, lubo drogą okrężną, morzem dotarli tak samo do ujścia rzeki Pomerun.

–A skąd wiesz, że dotarli do celu?

Arasybo zmarszczył brwi namyślając się.

–Ci, co na łodziach byli – odrzekł po chwili – trzymali się blisko wybrzeża, więc czy mogli zginać albo zbłądzić? A ci drudzy, co szli przez stepy? Gdyby ich Hiszpanie ze Soledad opadli, to przecież jakieś słuchy o tym przedostałyby

się do mnie.

–Jakże to się stało, żeś ty tu został sam jeden, Arasybo?

Twarz Indianina skrzywiła się strasznie, przybierając jeszcze bardziej odrażający wyraz. Żal zrobiło mi się chłopca, że tak szpetny miał wygląd, bo chyba nie był taki zły, jak się przedstawiał na oko.

–Przed wyjazdem polowałem nad rzeką – oznajmił ponurym głosem. – Tam kajman-olbrzym capnął mnie za nogę. Długom walczył z nim o życie, wreszcie się uwolniłem. Straciłem wiele krwi, ległem bez czucia. Ile dni tak leżałem? Znaleźli mnie w ostatni wieczór przed wymarszem. Łodzie już wypłynęły na morze. Ze złamaną nogą nie mogłem się ruszać. Stary czarownik Karapana nienawidził mnie, bo...

Urwał niepewny, czy wolno mu dokończyć myśli.

–Bo co? – natarł nań Manauri.

Arasybo machnął rękoma i skrzywił oblicze na znak, że nie warto o tym mówić.

–Mów! Dlaczego ciebie nienawidził Karapana, gadaj! – nalegał wódz. – My tak samo nie jego przyjaciele... Gadaj!

–Nienawidził mnie, bom znał jego sposoby i zaklęcia. Bał się, że poderwę mu

jego władzę. Namówił Koneso przeciwko mnie. Więc Koneso nie pozwolił mnie nieść, skazał mnie na pozostanie i na zgubę. Wszyscy inni poszli, mnie porzucono na łaskę losu. Rodzina zostawiła mi trochę pokarmu i musiała iść. Alem wylizal się. Mogę chodzić, jak widzicie!

Chciał się zaśmiać, że to niby dowcip z tym chodzeniem, ale tylko zjadliwy grymas wypełził na jego twarz.

–To Koneso wciąż naczelnym? – warknął gniewnie Manauri. – I Karapana przy nim?

–Był wciąż! I Karapana przy nim.

A więc położenie nasze się wyjaśniło. Wyjaśniło?! Nigdy słowo to nie brzmiało tak okrutną ironią, jak teraz w tym wypadku. Wyjaśniło się bowiem, że jesteśmy sami, że nie możemy liczyć na żadną pomoc, a szczep Arawaków wywędrował gdzieś w niezbadaną dal i szukaj wiatru w polu. Przede wszystkim wzięły w łeb moje plany rychłego wyjazdu na wyspy angielskie. Bez pomocy szczepu nie mogłem nic przedsięwziąć, Manauri zaś i jego ludzie, po tylu latach niewoli spragnieni powrotu do swoich, nie daliby się za nic namówić – przynajmniej teraz – do nowych niebezpiecznych wędrówek po złowrogim Morzu Karaibskim. Anim słowem nie pisał do wodza w tej materii, wiedząc z góry, jaka będzie jego odpowiedź: „Chodź z nami do naszych wiosek, bądź tam naszym gościem, ptasiego mleka ci nie zabraknie, a potem zobaczymy, postaramy się pomóc ci!”. Również i sami Indianie znaleźli się w przykrym położeniu. Okolica była niepewna, sąsiedztwo zachłannych Hiszpanów – nadto niebezpieczne. Pozostać w tym miejscu dłużej, znaczyło tyle samo, co ściągnąć sobie na kark tarapaty. Arasybo w czarnych barwach malował srogość ludzi w Soledad: że siła ich pokaźna, że wszystkich chcą gnieść bezlitosną łapą, że to ruchliwi zbójcy, a w ich służbie wielu Cumanagoto.

Co to za jedni? – chciałem się dowiedzieć.

Cumanagoto to sąsiedni, szczep Indian od zachodu – pouczył mnie Manauri. – Ludzie bardzo dzicy i krwiożerczy. Chętnie pożerają przeciwników, na których ciągle polują.

–Czy to być może?! To ludożercy?

–Jako żywo! – zapewnił wódz. – Dawniej mieliśmy z nimi sporo kłopotów, to prawdziwi Karaibowie.

–Karaibowie to tacy źli?

–Źli dzicy. Karaibów jest wiele szczepów, a wszystkie lubią grabież, natomiast nie lubią pracować na roli.

–A wy – chyba nie Karaibowie? – niedowierzająco zapytałem?

Manauriego, Arasyba i wszystkich obecnych Indian aż zatknęło z odrazy na myśl, że można ich było poczytać za Karaibów.

–Nie! – wykrzyknął Manauri. – Widzę, że tego jeszcze nie wiesz. My

Arawakowie, my odmienny szczep, obyczajny, żyjemy na roli, nie tylko lasem...

–Aha, zaraz sobie tak wyobrażałem! – starałem się ułagodzić ich.

Wracając do wiadomości o Hiszpanach w Soledad pomyślałem, że Arasybo pewnie nieco przesadzał i dobarwiał gwoli większego wrażenia, jednakowoż jakieś tam tkwiło ziarno prawdy

w tym wszystkim dostatecznie niepokojące. Kobiety zwarzyły nam sute śniadanie, pierwszy na stałym lądzie posiłek, do którego Arasybo – widać cięty myśliwy na krokodyle – dostarczył nam mięsa z kajmana. Przyznam się, że mi wybornie smakowało przypominając cielęcinę, jeno trochę zalatywało błotem. Zaraz po śniadaniu wszyscy, także i kobiety, zasiedli w cieniu jednej z chat do walnej narady. W sprawie najważniejszej wszyscy byli tej samej myśli, że należy opuścić tę okolicę wcześniej i podążać za resztą Arawaków na południe. Ale zaraz wyłoniły się różne sądy przy pytaniu, jaką obrać drogę, lądową czy morską. Teraz ja stanąłem za morzem: szkoda mi jednak było porzucać zdatny a piękny statek, zdobyty na Hiszpanach, bom mniemałem, że później celnie mógł mi posłużyć do przeprawy z nad rzeki Pomerun na wyspy angielskie. Ale towarzysze innego byli zdania. Oni bali się morza. Groźne spotkanie z brygantyną hiszpańską dnia poprzedniego mocno wlazło im w pamięć i nauczyło ich przeczności. Więc uparli się, żeby maszerować na przelaj przez ląd.

–Ze szkunerem czy bez niego, zawsze ci pomożemy! – zapewniał Manauri. –

Polegaj na nas, Janie! Wrócisz na swe wyspy angielskie!

–Wierzę wam i polegam na was – odrzekłem. – Ale my mamy tutaj tyle

dobytku, że na plecach nie udźwigamy wszystkiego. A tych trzydzieści przeszło strzelb i kilkanaście pistoletów, a prochy, a olów? Co z tym poczniemy? Jakże nam tyle cennego dobra wyrzekać się? Boć przecież i pokarmu trzeba zabrać nieliczne zapasy.

To, co powiedział Arasybo o rancho Soledad, a Manauri o Indianach Cumanagoto, dawało mi przedsmak dzikości tego lądu i jego niebezpieczeństw. Tu człowiek człowiekowi okazywał się wrogiem wyjątkowo drapieżnym, więc broń ognista, jaką wieźliśmy, mogła stać się potężnym sprzymierzeńcem Arawaków w walce o byt. Za nic w świecie nie wolno jej było tracić, ale jak tu wszystko dźwigać przez tak rozległe wertepy, kiedy mieliśmy prócz prowiantu jeszcze innych przedmiotów niezbędnych sporo? Jednak i na to Manauri przedstawił zdrową radę:

–Zabierzemy ze sobą tylko tyle, ile sami wygodnie udźwigamy. Resztę dobytku zakopujemy w ziemi. Później ze szczepu przyśle się tutaj moc wojowników, oni całą resztę przeniosą.

–A szkuner?

–Pewnie ani tobie, ani nam potrzebny już nie będzie. Wszakże na wszelki

wypadek ukryjemy go. W lagunie wśród skalistych zrębów znajdzie się łatwo schowanie. Jeślibyś później koniecznie potrzebował statek, jakoś brzegiem morza przeprowadzimy go do ujścia rzeki Pomerun. Nic nie pójdzie na marne!

Tak, nic nie stracimy!, – poparli go inni.

Wywodom wodza nie można było odmówić słuszności. Stało na tym, że wyruszymy w drogą nazajutrz, skoro zdążymy dziś jeszcze przewieźć na brzeg cały ruchomy dobytek i zabezpieczywszy go od wilgoci, zakopać w sposobnym miejscu. Pod koniec narady zauważyłem wśród zebranych jakieś poruszenie. Żywo szeptali coś między sobą i co rusz spoglądali w kierunku dalszych chat. Dostrzegłem tam i ja Arasyba, idącego ku nam i trzymającego przed sobą parę hiszpańskich butów – przyczynę naszych nocnych niepokojów. Indianin kuśtykał powoli, z uroczystą miną kapłana niosącego świętość jakowąś. Z tą niewzruszoną miną dotarł do nas i zbliżył się do mnie wśród ogólnego milczenia. Wszyscy gapili się na to jak urzeczeni, jak gdyby w istocie spozierali na cudaczny obrzęd religijny. Wagura, trzpiot zatracony, przerwał ciszę parsknąwszy stłumionym śmiechem.

–Gonia cię buty! – zamamrotał mi do ucha. – Nie uciekniesz im teraz!

Arasybo podszedłszy do mnie, z namaszczeniem złożył buciory u moich stóp. Ależ to były buciska! Masywne, olbrzymie, twarde jak narzędzie tortur, z cholewami po kolana. Na słońcu musiało być w nich gorąco jak w piekle.

–To kanaima! – żartobliwie krzyknąłem wskazując na buty, niby udręczony, przywołując nazwę mściwego ducha, prześladowcy Indian.

Arnak i Lasana zaśmieli się, ale Manauri zachował niezmaconą powagę, niektórzy Indianie zaś na samo nazwanie groźnego demona marszczyli brwi.

–Nie chcemy, żebyś nam marnie zginął – rzekł do mnie wódz – zbyt cennym tyś dla nas bratem, a żmij tu zatrzesienie. Czy są tu żmije, powiedzcie? – z tym pytaniem zwrócił się do reszty Indian.

–Są! A jakże! Są! – wszyscy gorliwie potwierdzili.

Wodzów naszych poznać po ozdobie z piór na głowach – ciągnął nieustępliwie – natomiast ciebie poznamy po butach, ozdobie twoich nóg!

–Niewygodne diabelnie, upiec się można, ciężko je nosić! – opędzałem się, jak mogłem.

–Ciężko nosić niejedno brzemień w życiu, a trzeba! – wygłosił Manauri

napominającym głosem. – W butach będziesz postawny i nieodparty, szacowny, nieprzewyciężony...

–Ale obolały i smutny – zatrzepotałem rękoma. – Dajże mi święty pokój z tymi butami, wodzu!

Wszakci Manauri, nie usposobiony do dania mi świętego pokoju, uparł się szpetnie i nie myślał folgować. Rzekł do mnie grzecznymi słowy, ale z niezachwianą miną i z twardym wyrazem w oczach:

–Proszę ja ciebie, Janie, należy ci ozuć buty! One to będą oznaką twego dostojęstwa!

Dobry Manauri wymyślił dla mnie, jak widać, rolę jakowegoś niezdarzonego wodza, a paskudne buty upatrzył sobie jako mej władzy odpowiednie insygnia. A bodajże go!... Co najciekawsze, inni Indianie, jakem się spostrzegł, całkiem podzielali jego sąd i tak samo jak on, wbili sobie w łby, że nosić buty było moim zaszczytnym obowiązkiem. Czy odjęto im piątej klepki?

Jedynie Arnak i Lasana nie dziwaczyli, natomiast zachowując spokój, setnie bawili się kosztem moich z butami opalów. Milczeli, nie udzielali mi pomocy. A trzeciemu z nich, Wagurze, aż ślepska iskrzyły się z rozochocenia. On to zachichotał, cedząc do mnie, oczywiście, jak zwykle, po angielsku:

–Dogoniły cię buty, Janie! Będziesz teraz Biały Jaguar w butach!

Przypomniał sobie, kpiarz, że Białym Jaguarem przezwała mnie onegdaj Lasana.

W całym tym gronie jedynie Arasybo stanowił wyjątek. On ciągle jeszcze stał obok butów i, znieruchomiały, przenikliwie opatrywał się we mnie. Wzrokiem pożerał moje usta, zdawał się wdzierać do moich oczu i myśli. A dziwna jego twarz aż marszczkami pokryła się cała z wytężenia woli.

Czego Arasybo chciał ode mnie? Ileż pożądania było w jego spojrzeniu! Nagle zrozumiałem go!

Z chytrym uśmiechem zwróciłem się do wodza:

–A zatem powiadasz, że to moje buty?

–Twoje, Janie! – odrzekł skwapliwie. – Twoje!

–To dobrze.

Podniosłem je z ziemi i wręczyłem Arasybie:

–Masz! Daruję ci je!

Wódz chciał oburzyć się w pierwszej chwili i gniewać, ale Arnak, Wagura i Lasana wybuchnęli śmiechem, ja im zawtórowałem, Arasybo zaś, cupnąwszy, z małpią zręcznością już nakładał sobie buty – i nie było innej rady, jak pośmiać się razem z nami, a zajście całe obrócić w żart.

Gdy bractwo się jako tako uspokoiło, Manauri oświadczył:

–Dobrze, Janie, tym razem ustępuję. Ale musisz przyrzec mi dwie rzeczy, jedną i drugą dla własnego dobra.

–Jeśli dla mego dobra, to zgoda! Jakie to rzeczy?

–Patrzeć na ziemię i wystrzegać się węzów. A to drugie, to równie ważne. Gdy

wkroczy my do naszej wsi, wdziejesz na siebie mundur hiszpańskiego kapitana, jaki posiadasz – i buty.

–Czy zabierzemy ten mundur? – zaniepokoiłem się.

–Zabierzemy.

– Ubiorę się, ale tylko na tę jedną chwilę wkraczania.

–To wystarczy. Za to ubierzesz się za każdym razem, gdy przyjdą nas odwiedzać inni wodzowie.

Dla milej zgody i dogodzenia jego planom wybujalym przystałem i na to.

Hiszpańskie buty były dla Arasyba za obszerne, ale on na to nie zważał, gdyż ponoć ułatwiały mu chodzenie. Wyloniła się sprawa, co z kaleką zrobić. Arasybo zaręczał, że jego kulawość nie utrudnia mu żadnego maszerowania i żądał, żeby go nie zostawiać. Indianie kręcili na to głowami, obawiając się kłopotów w czasie pochodu. Napomykali, aby tymczasem pozostał pod Górą Sępów, a wrócił na południe dopiero razem z wojownikami, którzy przybędą tu po resztę dobytku.

Gdy to Arasybo usłyszał, dzika rozpacz pokurczyła jego twarz, a w źrenicach zapaliły mu się płomienie niemalże nienawiści czy obłędu.

–Krzywda! – charczał, niezdolny wykrztusić innych słów. – Krzywda!

Był wzburzony do ostateczności. Wydało mi się, że należało już wkroczyć i stanąć w jego obronie.

–Manauri! – zawolałem głośno, żeby przekrzyczeć powstały zgiełk. – Czy to konieczne, ażeby Arasybo pozostał tu na straży naszego dobytku?

–Byłoby korzystne, żeby pozostał – odparł wódz.

–Ale czy w istocie konieczne?

–Konieczne? – zawahał się wódz pod moim ostrym spojrzeniem. – Konieczne

to chyba nie...

–Czy obejdzie się tu bez niego?

–Może obejdzie się.

–A ty, Arasybo! Czy jesteś pewny, żeś dostatecznie mocny, by przetrwać trudy marszu?

–Mocnym, tak! Nie upadnę, nie powstrzymam pochodu! – zaskomlał kulawiec.

–Mam wygojoną nogę, tylko że krótszą. Buty pomogą!...

–Dobrze! – orzekłem. – Weźmiemy go ze sobą! Nie po ludzku byłoby go opuszczać.

Towarzysze nie sprzeciwiali się temu, bo w gruncie rzeczy wszyscy życzyli kalece jak najlepiej. Arasybo lypnął na mnie spode łba i wykrzywił wargi zbląkanym wyrazem podziękui. Dziwnie poczwarny nieborak. Natychmiast zabraliśmy się do pracy najpilniejszej, wedle statku. Indianie, z których większość dokładnie znała każdy zakątek laguny, zaciągnęli szkuner tuż do brzegu w pobliżu stromeego wzgórza. U stóp skały była tam pieczara, oddalona od wody o kilkadziesiąt zaledwie kroków, i do niej to przenieśliśmy wszystkie przedmioty, których nie mogliśmy zabrać ze sobą. Nagromadziła się tego kupa spora, bo nie tylko zawlekliśmy część broni, dobrze smarem zabezpieczonej, i siła narzędzi różnorakich, i prowiantu z kukurydzy tudzież suszonego mięsa (znalezionego na szkunerze), ale ponadto zdjęliśmy cały takielunek ze statku. W godzinach podwieczornych ukończyliśmy robotę, po czym zatkaliśmy wejście do jamy kamieniami i chrustem, ażeby nikt obcy niczego się nie domyślił. Szkuner zaciągnięto między urwiste głązy, sterczące z wody w zachodniej części laguny, i tu zakotwiczone go w wąskiej a głębokiej zatoczce. Byliśmy pewni, że w tej gardzieli, wśród skalistych ścian, tak łatwo nie odnajdzie statku oko nie wtajemniczone. Trzy posiadane łodzie wynieśliśmy na ląd i schowali w krzakach kładąc dnem do góry.

4. Pogrom

Hiszpanów

Nazajutrz, po nocy przespanej nad brzegiem laguny, ze wschodem słońca rażno ruszyliśmy w wielką drogę. Każdy z nas dźwigał spory toból na grzbiecie, pomimo że zabraliśmy przedmioty jedynie najniezbędniejsze. Prócz indiańskiej broni – łuków, oszczepów i maczug – mieliśmy trzy muszkiety, trzy guldynki i pięć pistoletów z odpowiednią ilością prochu i kul, z narzędzi taszczyliśmy kilkanaście siekier, noży, łopat, dalej wiele prowiantu, ażeby po drodze nie trwonić czasu na polowania, i w końcu nieco tkanin i fatalaszków hiszpańskich, wśród których królował paradny mundur kapitański, przeznaczony dla mnie na wielkie ceremonie.

Droga wiodła brzegiem rzeki wpadającej do laguny. W godzinach porannych minęliśmy opuszczone siedliska arawaskie, przedstawiające widok podobnie smętny jak wioska nad zatoką. Około południa odpoczęliśmy, po czym, opuściwszy dolinę rzeki, przekraczaliśmy łańcuch dość wysokich i uciążliwych gór, ciągnących się równolegle do wybrzeża morskiego. Pod wieczór zmogliśmy najwyższą przełęcz, za którą obniżała się kraina już mniej powikłana, o łagodniejszych wąwozach, bardziej dogodna do marszu. Na jej skraju stanęliśmy obozem, nieludzko zdrożeni.

Przez cały dzień Arasybo dzielnie Podążał z nami. Roślinność napotykałiśmy raczej ubogą, znamienne dla okolic o suchym klimacie. Drzew było mało, krzaki natomiast przeważnie kolczaste, raniące nam niemiłosiernie skórę na ciele. Zwierzyny godnej – ani śladu. Wśród nielicznego ptactwa daremnie wypatrywałem papug, miłych moich przyjaciółek na wyspie bezludnej. Jedynie sępy krążyły tu gromadnie nad górami i zachodziłem w głowę, jakiego to żeru ścierwojady wypatrywały w tych jałowych stronach – jeśli nie nas, ludzi? Wśród czarnych ptaszysk raz pojawił się rzadki sęp, inny, bardzo pięknie ubarwiony. Miał białą jak śnieg szyję i czerwoną głowę. Indianie uważnie śledzili jego lot, witając go z radością, był to bowiem ptak-bohater wielu ich mitów i legend, uchodzący – jak tłumaczył mi Arnak – za praojca i głównego wodza wszystkich innych sępów. Brzask następnego dnia zastał nas już w pochodzie. Po wyjściu z pasm górskich i przebrnięciu przez podgórze rozwarł się przed nami szeroki, bujny step. Z lekka falisty, porosły wysokimi trawskami, tu i ówdzie natomiast krzewami, ukrytymi w jarach i wądołach, przecież posiadał także i swe drzewa. Były to palmy o liściach osobliwych, nie spotykanych do tej pory. Liście nie miały wydłużonego kształtu jak u palm kokosowych, podobnych do dziewczęcych warkoczy, i nie były jak one pierzaste, lecz zadziwiająco przypominały olbrzymią rozcapierzoną dłoń ludzką albo jakiś wachlarz. Palmy te mile weseliły oko i rosły na stepie z rzadka, o kilkaset kroków jedna od drugiej. Nie tworzyły nigdzie zwartego gaju i nie hamowały rozbieganego wokół na wiele mil spojrzenia.

–Wspaniale, urzekające morze traw! Nie widać przed nami nawet jego krańca! –

zawołałem uniesiony, gdy ze wzgórza obejmowaliśmy okiem niezmierzone widnokregi.

–To llanosy, jak je Hiszpanie nazywają – uśmiechnął się Manauri. – Chciałbyś

widzieć ich krańce już teraz, Janie? Daleko do ich końca! Idąc tak prosto na południe, dopiero po dziesięciu dniach dojdziemy trawami do rzeki Orinoko. Tam nad wodą rośnie trochę drzew. Ale dalej na południu znowu te same llanosy, przez kilkanaście dni marszu jeno trawy i trawy, aż do górzystych ustroni, gdzie gęste chwasty i zbita puszcza... Co innego, gdybyśmy teraz skręcili na wschód!

–A co tam na wschodzie?

–Już za dwa, trzy dni skończyłyby się trawy, zaczęła puszcza. Ta sama puszcza,

która pokrywa całe ujście Orinoka i dochodzi na wschodzie do morza, na południe zaś

nieprzerwaną zielenią zaściela cały kraj. Puszcza jest tak ogromna, że nie znamy tam jej końca. Pono pół życia ludzkiego nie starczyłoby na przebycie tych mroczy. I nie zliczyć olbrzymich rzek przebijających się przez nią ani szczepów Indian w jej głębi żyjących. Przeróżne tam szczepy, łagodne i okrutne, niektóre do dzikich bestii podobniejsze niż do ludzi, szczepy zamożne i nędzne, a kryje się tam i taki, który pono posiada więcej złota aniżeli my kukurydzy, i chaty ze złota sobie buduje...

–Masz pewnie na myśli bogactwa Inków! – przerwałem mu. – Ale Hiszpanie

dawno już naród Inków podbili i z całego złota okradli!

–To w takim razie nie ci sami! Szczep, o którym mówię, dotychczas nie podbity i

nazywa się Manoa, tak samo jak jego miasto, zbudowane ze złota.

–Ej, to mi bajką zalatuje!

–Może to bajka, ale kto ich wie? W naszym szczepie, wśród Arawaków,

zachowało się dokładne podanie z zamierzonych lat o wielu wyprawach hiszpańskich. Szły one w górę rzeki Caroni, by zdobyć Manoa i złoto. I to na pewno tak było, że tam się wdzierały, ale prawie wszystkie ginęły.

–A ta zlotodajna Caroni czy naprawdę istnieje?

–A jakże, Janie, istnieje. Wpływa od południa do Orinoka, zanim ona rzeka nie

rozwidła się u ujścia na wiele odnóg i nie tworzy tysięcy wysp... Tak, hojna ta puszcza na południu, straszna i wiele tajemnic kryjąca puszcza...

–A wasza rzeka Pomerun też tam płynie w tej puszczy?

–Płynie, przecie, płynie tam! Tylko bliżej ujścia Orinoka, dziesięć do dwunastu dni marszu od tej rzeki na południe. Pola swe Arawakowie wykarczowali w tej samej puszczy, jaka dalej na południe ciągnie się bez końca.

Tak gawędząc o dalekich rzeczach i o zagadkowej puszczy, której przepych tropikalny, nie znany mi dotychczas i trudny do pojęcia, bardzo mnie nęcił – zanurzaliśmy się w wysokie trawy llanosów. Minęła właśnie pora deszczów przypadająca na miesiące letnie, więc zielska miejscami rozrosły się i sięgały nam wyżej głowy, ale najczęściej były do pasa, polaciami nawet jeno do kolan. Postępowaliśmy indiańskim zwyczajem gęsiego, a kto kroczył na czele, dla następnych torował ścieżkę bądź to własnym ciałem, bądź długim tnąc przed sobą nożem. O wschodzie słońca było ciepło i przyjemnie, wszakże w dwie, trzy godziny później nieznośny żar dawał nam się piekielnie we znaki. Wtedy lazurowe dotąd niebo przybierało siny, mglisty odcień, a nad stepem gęste powietrze ruszało się jak fale wody.

Nagle Manauri, idący na przód, zatrzymał pochód i nakazując wszystkim ciszę, ruchem ręki przyzwał mnie do siebie.

–Patrz! – spojrzał na ziemię, gdym się zbliżył.

Widniały tam świeże ślady zwierzyny, która niedawno tędy przeszła. Wnosząc z tropów, jakie zostawiły w trawie, były to okazałe zwierzęta i liczne ich stado.

–Czy żyją tu bizona? – zapytałem wodza.

Ale Manauri ani nikt z towarzyszy nie wiedział, co to bizona, a gdym opisał im zwierzęta, oświadczyli, że takich tu wcale nie ma.

–Więc cóż to za bestie? Jakaż to nowa zagadka?

Indianie, przecież biegli tutejszej przyrody znawcy, daremnie się głowili, nie mogąc dojść do ładu.

Szlak tropów przecinał ukosem naszą ścieżkę i dążył mniej więcej w tym samym co i my kierunku. Więc niezbyt zbacając posuwaliśmy się w dalszej drodze śladami zwierząt.

Nie uszliśmy i stu kroków, kiedym dostrzegł na ziemi łajno zwierzęce i od razu wszystkom zrozumiał: bydło szło tędy. Było nawet niedaleko. Gołym okiem odkryliśmy o jaką milę przed nami stado, składające się z kilkadziesiątu sztuk, wędrujące powoli na llanosach.

–Świeże mięso! – zaświeciły się oczy wodzowi.

–Gdzie bydło, tam mogą być i Hiszpanie! – ostrzegłem. Ale ostrzeżenie moje nie

brzmiało zbyt stanowczo, bo i mnie,

tak samo jak wszystkim innym, ślinka okropnie szła do ust.

Postanowiliśmy tedy upolować sobie jedną lub dwie sztuki, wszakże bezpieczniej wydało nam się opuścić linię tropów i z boku podejść zwierzęta. Bacznie rozglądaliśmy się przy tym dokoła, zali okolica była pewna, bez ludzi.

–Janie, co to? – zawołał raptownie Arnak wskazując w tył, skąd przyszliśmy.

W dali, blisko dwie mile za nami, zobaczyliśmy coś niewyraźnego, jakiś osobliwy, ciemny punkt. Ruszał się. Czyżby nowe stado bydła? Zaledwie przytknął lunetę do oka, kiedy rzecz się wyjaśniła: było tam kilku jeźdźców, galopujących w naszym kierunku. Krzyknąłem gromko na towarzyszy. Jeźdźcy pędzili co prawda nie naszymi śladami, lecz bydła, ale mało w tym było pociechy, bo właśnie dlatego w ciągu kilkunastu pacierzy musieli na nas wypaść. Jedna tylko pozostała możliwość uniknięcia spotkania.

–Szybko w bok! – zawolałem. – Uciekać gęsiego, żeby nie zmiarkowali po śladach, ilu nas jest!

Dwa razy nie trzeba było nawoływać; wszyscy zrozumieli, co nam groziło. Czoło pochodu odbiło się w lewo od szlaku zwierzęcego. Arnak, Wagura, Manauri i Murzyn Miguel doskoczyli do mnie podczas biegu.

–Ilu ich? – huknął wódz.

–Niewielu. Sześciu, siedmiu.

–Hiszpanie?

–Tak... Arnak, Wagura! Czy macie strzelby nabite?

–Mamy!

–Sprawdźcie proch na panewkach!... Kto niesie pistolety?

–Ja! – zawołał Miguel.

–Dobądź ich z worka i rozdziel!

Szcęściem pistolety przechowywaliśmy w tobole już gotowe do strzału. Nie traciliśmy przeto czasu na nabijanie ich; należało jeno zbadać, czy podsypane należycie. Llanosy w tym miejscu były równe prawie jak stół, bez większych wzniesień ani zagłębień, a przy tym, jak na złość, niewysoką porosłe trawą. Zielska starczyło zaledwie do kolan. Gdyby więcej stało nam czasu na czmychnięcie, powiodłoby się nam z pewnością, ale czasu już nie było. Dopiero odsadziliśmy się od szlaku o niespełna dwieście kroków, a już Hiszpanie spostrzegli nas. Było im, widać, śpieszno do stada bydła, bo ciągle dotychczas walili galopem. Dalsza nasza ucieczka okazała się bezpożyteczną, mogła nawet wywołać niepożądaną podejrzliwość. Kazałem grupie zatrzymać się i odsapnąć.

–Niech każdy broń ukryje obok siebie, jak może! – rzekłem. – Lepiej, że tamci jej nie zobaczą!

–A łuki? Oszczepy?

–Trzymajcie je w dłoniach, ale tak sobie, jak to czyni wędrująca kupa Indian, niepozornie, niedbale...

Muskiet mój schowałem w trawie tuż obok miejsca, gdzie stałem, a pistolet, tkwiący za pasem, przysłoniłem nabiodrnikami. Byłem nago jak wszyscy Indianie i tyłkom głowę szybko teraz okrył czerwoną chustą, sposobem marynarskim, ażeby jeźdźcy nie zauważyli moich jasnych włosów. Kilku Indian nosiło na głowach podobne chusty, więc niczym nie wyróżniałem się. Zarostu na twarzy także już nie miałem, bom teraz golił się codziennie, znalazłszy na

szkunerze brzytwę – więc, opalony na brąz, wyglądałem całkiem niby Indianin jakiś, jeno odrobinę jaśniejszy.

Gdy jeźdźcy zbliżyli się do nas na ćwierć mili, zwolnili biegu i po krótkim wahaniu zboczyli do nas. Podjechali zupełnie blisko, przypatrując się nam ciekawie, ale bez przystawania minęli nas i pocwałowali dalej w kierunku stada.

–*Indios!* - mruknął jeden z nich.

Byli już o kilkanaście koni za nami, gdy któryś podzielił się z innymi jakimś niezwykłym spostrzeżeniem, bo wszyscy odwrócili ku nam zdumiony wzrok. Ale mimo to jazdy nie wstrzymali i pędzili dalej w stronę bydła.

–Jest ich siedmiu! – zauważył Wagura. – Zali myślisz, że wrócą?

–Możliwe – odrzekłem. – Patrzeli, jakby coś osobliwego u nas odkryli!

Kazałem ruszyć co żywo, ażeby odsunąć się w bok jak najdalej od niepożądanego towarzystwa. Wszakże na wiele to się nie zdało. Na llanosaceli w czystym powietrzu widać było dobrze na parę mil dokoła; uciec pieszo od jeźdźców okazało się w tych warunkach niemożliwością. Liczyłem jeszcze na to, że tamci dadzą nam pokój i poniechają, ale gdzie tam! Jeźdźcy, dopędziwszy stada, zaszli mu drogę i zawrócili je, po czym zaczęli pędzić bydło w naszą stronę. Poganiaли zapalczywie, więc przestrzeń między nami żwawo się kurczyła. Uplłynęło zaledwie pół godziny, kiedy nas znowu dopędzili i, zostawiając stado o kilka stajañ na uboczu, podjechali do, naszej gromady. Stanęliśmy jak wprzód z bronią palną ukrytą, ale pod ręką, na wszystko gotowi. Toboły złożyliśmy na ziemi, ażeby nie krępowaly nam ruchów.

–*Buenas dias!* - burkliwie odezwał się jeden z przybyszów, olbrzymi Hiszpan o

czarnej brodzie i wyglądzie srogiego konkwistadora. Za pasem nosił wspaniały pistolet o rękojeści ze srebra, gęsto utkanej drogimi kamieniami. Był to zapewne ich prowodyr.

–*Buenas dias!* - odpowiedziało z naszego grona kilka potulnych głosów.

Jeźdźcy, stanąwszy tuż obok w jednym szeregu, nieledwie dotykali łbami końskimi naszych głów. Przypatrywali nam się z natarczywą, wzgardliwą ciekawością, z jaką spoziera się na martwy przedmiot albo zgoła na podłego zwierza. W ich przydługim milczeniu i przewlekaniu natrętnych spojrzeń wyczuwało się wyjątkową pogardę, powstałą z poczucia wyższości panów nad niewolnikami. Co ciekawsze, był tam wśród nich Indianin: on również patrzył z góry na swych pobratymców, tak samo wyniośle jak Hiszpanie. Ubrany podobnie do innych w szarawary i koszulę, w prawicy ścisnął długie biczysko, dokoła oczu zaś miał namalowany czarny krąg, nadający twarzy jego wyraz diabelski. Wszystkim jeźdźcom wicherzyły się czarne brody, z wyjątkiem owego Indianina i najmłodszego z nich, wyrostka kilkunastoletniego, który – dziw nad dziwy! – jakkolwiek Hiszpan, przecież inaczej na nas spoglądał, jakoś przyjaźniej, bez onej okrutnej buty. Każdy z jeźdźców dzierżył długą laną, przeznaczoną widocznie do

poganiania bydła. Czterech miało strzelby, trzech – szpady u boku, a wszyscy – com dokładnie policzył – pistolety, tkwiące za pasem: uzbrojenie niezłe, tym niebezpieczniejsze, że cztery pistolety były dwururkami i każdy mógł położyć dwóch przeciwników.

–Widzisz Indianina? – szepnął do mnie Manauri za pośrednictwem Arnaka. –

On ze szczepu Cumanagoto.

–Z tych okrutnych Indian? Po czym poznajesz?

–Po czarnej obwódce dookoła oczu. Taki to znak tego szczepu.

–Oni wszyscy pewnie z rancho Soledad?

–Pewnie...

Wreszcie ich starszy, ów posiadacz srebrnego pistoletu, przerwał nieme przyglądanie się i zapytał szorstko:

–Dokąd maszerujecie?

Pytał oczywiście po hiszpańsku, ale łatwo domyślił się treści słów.

–Daleko za Orinoko maszerujemy – odrzekł Manauri zgodnie z prawdą. – Nad rzekę Pomerun maszerujemy. Tam nasi rodacy.

–A czego tu szukacie tak daleko na północy?

–Żyliśmy przez wiele lat pod Górą Sępów, ale teraz chcemy połączyć się z naszym szczepem.

Odpowiedź ta, tak samo szczerą jak poprzednia, sprawiła dobre wrażenie i jako tako zaspokoila ciekawość brodacza. Ale on ani towarzysze jego nie ruszali się z miejsca, ciągiem wpatrując się w naszą grupę pożądliwie jak pies w gnat.

–Co macie w tych workach? – zagadnął znienacka Hiszpan.

–Żywność.

–I co jeszcze?

–I drobiazgi różne...

–Jakie drobiazgi?

–Jakie drobiazgi?... – powtórzył wódz przeciągle. – Takie sobie... Co Indianin potrzebuje na codzień, ażeby żyć... Tykwy, powrozy...

–Mów dokładniej, co tam macie? – nalegał Hiszpan nie podnosząc głosu, ale nieco twardziej niż dotąd. Czuło się, że wzbiera w nim jakoweś zniecierpliwienie.

Wtem Indianin Cumanagoto szeroko zamierzył się biczyskiem, bezczelnie smagnął nim tuż ponad naszymi głowami. Nikogo nie trącił, ale trzask był tak ostry, że dzieci uderzyły w płacz.

–A to co? – zawołał Hiszpan i ostrzem lancy dotknął jednego z tobołów, leżących na ziemi.

Wystawała tam rękojeść łopaty, niedostatecznie ukryta.

–To... – wyjaśnił spokojnie Manauri – to do kopania ziemi.

–I na codzień to wam potrzebne również? Wam, Indianom, taki rzadki sprzęt?

–Potrzebny, panie! My Arawakowie!

–Nie rozumiem, co ma jedno do drugiego!

–My rolnicy! – poprawił wódz.

–A skąd macie tę łopatę? – tym razem głos jego był ostry jak cięcie noża. –

Gdzieżeście ją ukradli?

–Nie ukradliśmy jej!

–Z nieba wam spadła?

–Nie z nieba – łagodnie odparł Manauri cierpliwym głosem – ale z morza.

Podziwiałem przytomność wodza, za to opanowanie jego rozdrażniało Hiszpanów.

–Z morza? – warknął brodac. – Czy kpisz sobie?

–Nie śmiałbym kpić z ciebie, o panie! – rzekł Manauri jak gdyby zatrwożony. –

Okręt angielski rozbił się niedaleko naszej laguny. Była burza. Wiele przedmiotów wyrzuciło morze na nasz brzeg.

–A te chusty na głowach czy też morze wyrzuciło?

Nagle Hiszpan, jawnie rozzłoszczony, zamierzył się laną, jak gdyby chciał przebić wodza.

Manauri ani drgnął. Szybko, aż zbyt gwałtownym ruchem, objął ręką mego pistoletu. Nikt z jeźdźców tego nie zauważył. Ale Hiszpan, na szczęście, nie uderzył, jeno krzyknął:

–Łiesz, psu bracie! Te chusty są świeże, nie były w morskiej wodzie.

–Nie były! – zapewnił wódz. – Mówisz słusznie.

–Więc skłamałeś?

–Nie skłamałem.

–Czyś głupi, czyś tak zuchwały?

Manauri pozostał nadal spokojny, nie dał się wywieść z równowagi.

–Ja nie zuchwały – tłumaczył – tylko mówię, jak było, chusty znaleźliśmy suche, bo zamknięte w skrzyni... Skrzynia była szczelna. Wyrzuciło ją morze, po rozbiciu okrętu... Oto wszystko, panie. Oto wszystko!

Niestety, to nie było wszystko, czego pragnęli Hiszpanie, i teraz dopiero poczęła się prawdziwa bieda. Brodacz jeszcze rzucił podchwytiliwie:

–Kiedy to nastąpiło, to rozbicie okrętu?

–Niedawno temu... Trzy księżyce...

Po czym Hiszpan skierował zły wzrok w stronę, gdzie stali nasi towarzysze, Murzyni, i huknął:

–A ci – co za jedni?

Z jego drapieżnego ożywienia zmiarkowałem, że ta sprawa była dlań najważniejsza, snadź o Murzynów chodziło mu od samego początku.

–To ludzie naszego szczepu – odrzekł Manauri z najobojętniejszą miną.

–Wasi niewolnicy?! – Hiszpan gniewnie schmurzył brwi. – Od kiedy wy,

Indianie, posiadacie niewolników?!

–Nie posiadamy niewolników! – zaprzeczył wódz. – To ludzie wolni i należą

do szczepu tak jak my!

–Ach, to więc Indianie? – zawołał brodacz. – Tylko skóra im pociemniała?

–Nie, panie, to Murzyni, ale teraz przestali być Murzynami i są Arawakami!

Hiszpanie przyjęli to niezręczne oświadczenie wybuchem śmiechu.

–Nie udawaj kpa! – jeździec zgromił Manauriego. – Dość już tej zabawy! Mów prawdę, bo inaczej was wszystkich wytniemy! Z jakiej hacjendy ci niewolnicy uciekli?

–Czy nie mówiłem ci, o panie, że okręt angielski rozbił się u naszych wybrzeży?

–przypomniał z pokornym wyrzutem Manauri.

–A zatem oni tak samo uratowali się z tej burzy, powiadasz?

–Jako żywo!

–Z okrętu angielskiego, który się rozbił?

–Tak jest!...

Hiszpan na chwilę się zawahał, coś pomyślał, następnie konia przybliżył do grupy Murzynów, którzy wszyscy pięciu z Murzynką Dolores stali razem – i wyciągając zza pasa swój srebrny pistolet zwrócił się do kobiety z pozorną przyjaźnią:

–Powiedz mi, dobra niewiasto, jak ci na imię?

–Dolores – odpowiedziała, wylękniona.

–A w jakiej hacjendzie służyłaś?

Dolores, nieprzytomnej ze strachu, zawsze brakowało trochę piątej klepki. Wszakże pomimo że teraz obłądnym wzrokiem śledziła rękę z pistoletem, miała na tyle rozumu, iż pamiętała, co przed chwilą mówił Manauri o statku angielskim, więc wyjaśniła poprawnie:

–Byłam na rozbitym okręcie, panie... Wyratowałam się...

–A ci towarzysze twoi, Murzyni, tak samo pochodzą z tego okrętu?

–Tak samo, tak samo! – zadyszała biedaczka, w siódmych potach.

–Jaki to był okręt, angielski czy hiszpański?

–Angielski, panie, angielski.

–I nigdy nie byłaś u Hiszpanów w niewoli?

Przerażonej coraz bardziej kobiecie jakoś było trudno kłać mać, ale wykrztusiła:

–Nie, nigdy!

Hiszpan umilkł. Po chwili zagrzmocił głosem karcącym:

–To powiedz mi, Dolores, gdzieś nauczyła się po hiszpańsku?

Kobiecina, zapędzona w kozi róg, zaczęła szlochać, nic niezdolna wypowiedzieć.

Węc Hiszpan zwrócił się do wodza, wciąż wymachując pistoletem niby to w zabawie. Ani na drgnięcie źrenicy nie spuszczałem z niego oka: postanowiłem wpakować mu kulę w łeb w chwili odwodzenia przezeń kurka. Nie domyślał się, szalencie zarozumiały, jak na włosku wisiało jego życie.

–A ty, gdzieś ty nauczył się hiszpańskiego? – huknął na wodza. – Jak ci na imię?

–Manauri.

–Skąd ty umiesz po hiszpańsku?

–Nauczył mnie padre misjonarz. Żył długi czas w naszej wiosce.

–Toś ty chrześcijanin?

–A jakże, chrześcijanin!

–Przeżegnaj się!

–W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Manauri to umiał, przeżegnał się prawidłowo. Wszyscy niewolnicy na wyspie Margarita musieli przyjąć religię swych panów.

–Dobrze! – zawyrokował Hiszpan. – Wy, Indianie, je steście wolni i idźcie

sobie do diabła! Natomiast tych pięciu niewolników Murzynów i Murzynkę zabieramy ze sobą! Należą do nas!...

–Ależ, panie! – wykrzyknął Manauri błagalnym głosem. – Oni nie są

niewolnikami! Oni przyjęci do szczepu, są nam równi...

–Są niewolnikami!! – huknął brodac. – I milcz, jeśli ci życie mile!!!

Manauri skurczył się, jakby wylękniony groźbą.

Widząc taką pokorność, struchlałem. Pamiętałem, jak niedawno temu Indianie ci mężnie się bili na bezludnej wyspie. Wtedy utwierdziłem się w przekonaniu, że to nieposkromieni wojownicy, którym starczyłoby fantazji tudzież serca choćby i na podbój samego piekła. A oto,

czegom teraz przykro doświadczał. Stali kupą potulną, zahukaną, jakby odrętwiałą ze strachu, jakieś liche kreatury, jakieś mizeraki, obezwładnione krzykiem miotającego się Hiszpana, niezdolne podnieść nań oczu, a cóż dopiero rąk. Czyżby z jarzma niedawnej niewoli jeszcze się nie otrząsnęły ich dusze? Przeląkłem się – nie gwałtowności przeciwnika, jeno słabości swoich, bom na chwilę zwątpił, zali uderzą wraz ze mną, kiedy dam hasło do walki.

A Arnak, a Wagura, wypróbowani od wielu miesięcy druhowie, czy i oni zawiodą? Spojrzałem na nich z obawą, ale nic nie odkrył krom maski skupienia i zagadkowej uległości. Czy odstąpią ode mnie i oni?

Tymczasem położenie stawało się coraz groźniejsze, pioruny coraz bliższe wisiały w powietrzu.

–To nasi ludzie! – z nutą rozpaczony wstawiał się Manauri za Murzynami. –

Proszę, nie krzywdź ich! Nie rozbijaj nas, panie! My należymy do siebie! To wolni ludzie!

–Nie ma wolnych Murzynów na tym lądzie, wiedz o tym! – krzyknął Hiszpan.

–Ci tu umieją po hiszpańsku, przeto wiadomo, że byli niewolnikami na hacjendzie i uciekli z niej. Brać ich! – rozkazał następnie swym ludziom.

Jeźdźcy dopadli do Murzynów, ażeby przemocą oddzielić ich od reszty. Dolores podniosła nieczłowieczy, przeciągły krzyk.

–*We must kill them all!* - szepnąłem do Arnaka i Wagury. – Musimy ich wszystkich zabić!

Zamrugali powiekami na znak zrozumienia.

–Powiedzcie wszystkim, żeby byli gotowi!

–Są już gotowi, Janie! – zapewnił Arnak.

Nie bardzo temu ufał, ale nie było czasu do wyjaśnień. Upominałem tylko:

–Zważajcie na wszystko, co zrobię!...

Tymczasem wzmagal się rwetes dokoła Murzynów, więc nie zwłócząc wystąpiłem z szeregu i krzyknąłem głośno, z całą energią:

–Stójcie!

Krzyknąłem, rzecz prosta, po angielsku, bom nie znał hiszpańskiego, ale i to poskutkowało. Nakazujący, gromki głos, po raz pierwszy usłyszany z grona Indian, zdziwił jeźdźców niezmiernie, ba, stropił ich. Wszyscy zatrzymali się jak wryci. Patrzeli w moją stronę oniemiały, że Indianin śmiało podnieść na nich głos tak ostry.

Dopiero po chwili herszt ich ochłonął ze zdziwienia i zwrócił się do mnie głosem nabrzmiałym od gniewu i rozbawienia zarazem:

–A tyś co za kundel?

Ażebym go zrozumiał, słowa jego musiał tłumaczyć Manauri na język arawaski, a Arnak z arawaskiego na angielski. Słowa dotarły do mnie już w przyzwoitszej postaci, mniej obraźliwej.

–Jestem Anglik, wyrzucony na ten brzeg z rozbitego statku – wyjaśniłem. –

Nazywam się John Bober.

–Bardzo ciekawe to spotkanie, panie Angliku! – wycedził Hiszpan głaszcząc ze zjadliwym zadowoleniem swą czarną brodę. – A czy domyślasz się, gdzie cię kaduki zawiodły? Jaki to tu kraj?

–Wenezuela, przypuszczam.

–Zgadłeś, Wenezuela, a zatem ziemia hiszpańska – ty natomiast Anglik, gość zaszczytny, ale nieproszony.

–Z musu tu się znalazłem, nie z własnej woli!

–Kto cię tam wie! Quien sabe! Zresztą jaki ty Anglik? Nagi, zdziczały jak każdego Indio, nawet bosy, bez butów?

–Tak wygodniej... Zresztą buty są! Patrz!

Wskazałem na buciska, darowane Arasybie. Dawno już kulawiec nie nosił ich na nogach, bo wygodniej mu było bosy, ale skarbu nie porzucił i teraz trzymał go pieczołowicie na plecach. Snadź widok buciorów był imponujący i nie przeszedł bez wrażenia, bo Hiszpan zaczął z innej beczki:

–A czemuś przedtem tak krzyknął na nas? Cośmy ci zrobili?

–Chcieliście brać moich ludzi!

–To Murzyni są twymi niewolnikami?

–Nie niewolnikami, lecz pod moją opieką.

–Nie rozumiem tego!

–Sprawuję nad nimi opiekę i oni do mnie należą.

–Czy i ty twierdzisz, że oni są wolni?

–Tak jest.

–To wiedz, że w tym kraju nie ma Murzynów wolnych i co ty prawisz, to

brednie. Ci Murzyni byli w ręku Hiszpanów – bo skądżeby umieli po hiszpańsku? – i teraz pójdą nazad w ręce hiszpańskie.

–Chyba nie pójdą, senior! Byłby to przecież jawny gwałt!

–Gwałt? Ty, przybłąda niepożądany, śmiesz mnie jeszcze obrażać?!

–Na Boga, nie! Przeciwnie, chciałbym, ażebyśmy byli uprzejmi dla siebie!

Słyszałem wiele o ogładzie Hiszpanów i ich uprzejmości, szczególnie dla cudzoziemców, a także wobec Indian...

Brodacz wpatrywał się we mnie ponuro i był tak zarozumiały i pewny siebie, że nawet nie wyczuł urągania w moich słowach.

–Chciałbym – westchnąłem – ażebyśmy rozstali się w zgodzie, po przyjaźni.

–Wszakże mówiłem, że Indianie mogą sobie odejść, gdzie im się podoba.

Pozwalam!

–Chodzi tylko o Murzynów...

–Murzyni to co innego, do nas należą – i koniec! Bez gadania!

–Jeśli, o senior, nie chcesz okazać nam hiszpańskiej wielkoduszności, to nie bądź głuchy, proszą, na co inszego!

–Mianowicie?

–Na głos rozsądku.

–Rozsądku?

–Tak, rozsądku. Policz, nas jest więcej niż was. Jeśli dojdzie do gniewania się, to

nasz gniew na pewno będzie większy i dobitniejszy. Może nawet groźniejszy, kto wie!... Ustąp lepiej i rozejdźmy się po przyjacielsku.

Mówilem to grzecznym sposobem, naśladowując Indian. Zależało mi bardzo na rozstaniu się w pokoju. Ale Hiszpanie na prośby me i przekładania tylko parsknęli kpinami, a pogróżki wzięli za wyskok zuchwalca, nadrabiającego miną. Przeświadczonym o swej przewadze broni i godności, nie powstała w pysznej głowie myśl o jakimkolwiek poważniejszym z naszej strony oporze.

–Podły intruzie! - oburzył się Hiszpan. – Nie dość, żeś bezprawnie wlaź na tę ziemię, ale jeszcze grozisz Hiszpanom? I ciebie bierzemy! Pójdiesz razem z nami!

–Nie pójdę! Opamiętaj się, człowieku...

Daremne słowa. Nie słuchał ich, nie słyszał.

–Brać go!! – wrzasnął do swych ludzi i sam przyskoczył do mnie, ostrogi w bok konia wbijając.

Rękę miał wolną, bo już przedtem zatknął pistolet.

Zamierzał mnie ucaścić za kark, ale nie zdążył. Poszło to piorunem: wyrwać zza pasa pistolet, odwieść kurek, wypalić mu z bliska w pierś – to jedna chwila. Brodacz tylko jęknął i waląc się do tyłu, spadł z konia.

Dwoma susami doskoczyłem do muszkietu i porwałem go z ziemi. Podniósłszy broń do strzału rozejrzałem się szybko, z której strony uderzy wróg. Ale nikt nie uderzył, wroga już nie było.

Trudno opisać słowami to, co nastąpiło po moim wystrzale. Trwało chyba ułamek sekundy. Było to jak błyskawica, jeden zryw, jedno uniesienie. Na raz huknęło kilka naszych strzelb jakby z jednej rury, a równocześnie zamigotały w powietrzu strzały z łuków, warknęły włócznie, trzasnęły maczugi. Niesamowitą wydała się ta gwałtowna przemiana potulnych jagniąt w rozjuszone koty, coś niepojętego było w nagłym przeskoku z pozornej ich bojaźliwości w niepohamowany wybuch gniewu. Zaskoczeni jeźdźcy nie zdążyli nawet podnieść broni. Postrzeleni, zakłuci, zrabani padli, ten czy ów zaledwie dobywszy charkotu.

Jeden tylko, Indianin Cumanagoto, zdołał wspiąć konia i puścić do ucieczki. Wszakże daleko nie umknął: Murzyn Miguel, mistrz rzutu, cisnął za nim oszczepem, który ze straszliwą siłą wbił się w plecy uciekającego i zwałił go z konia. Inni doskoczyli i ранego zatłukli.

Zgasła krótką, krwawą walką. Nastąpiła chwila głuchej ciszy. Stałem wciąż zdębially szalonym przebiegiem wydarzeń, a jeszcze bardziej oszołomiony sprawnością, z jaką towarzysze pokonali wroga. Toż był to hufiec wojowników, jakich mało. Patrząc na nich z niekłamanym podziwem przejrzałem, ile w tej garstce niezwykłej tkwiło siły, ile odporności w ich zespole. I jakże w duchu błędnie poprzednio nie dowierzałem ich odwadze! Na czele takich zabijaków – było ich dwudziestu jeden – niejednego czynu słusznego dokonać by można na tym rozległym łądzie.

Niektóre konie spotkał los jeźdźców, leżały zabite. Ale wierzchołek Indianina, pozbywszy się

ciężaru, rwał dalej galopem. Miguel, niewiele się namyślając, skoczył na jednego z pozostałych przy życiu koni i pomknął za zbiegiem. Umiał jechać konno, dziarski junak, i wnet przywiódł rumaka, prowadząc go na linie.

–Toś się spisał, chwacie! – poskoczyłem do niego z radości i uściskałem mu

dłoń. – Celniesz grzmotnął mu w plecy, nawet konia nie darujesz!

–Ha! – zaśmiał się Miguel. – Skoroś tak odważnie nas bronił, nas –

Murzynów...

–Nijakich śladów po Hiszpanach nie zostanie! – stwierdził Manauri z

zadowoleniem. – Nikt żywy nie zdradzi nas, nawet żaden koń!

–Co teraz, Janie? – zwrócił się do mnie Arnak.

–Przede wszystkim zakopać trupy głęboko w ziemię, ażeby sępy nie sprowadziły ludzi.

–A następnie?

Otóż to: co następnie? Czy po tym, co zaszło, bezpiecznie było wędrować dalej przez llanosy jak dotychczas? Prędzej czy później zabójstwo wyjdzie na jaw i sfera mścicieli rzuci się w ślad za nami. W takich warunkach wyjście obronną ręką z tarapatów widziało się niemożliwością. A więc wracać pośpiesznie do laguny i płynąć dalej na szkunerze? Tak, to było jedyne wyjście.

Nie omieszkałem wyjawić natychmiast towarzyszom swego mniemania i tym razem nie napotkałem sprzeciwu. Wszystkim wylazła bokiem wędrówka przez tak niebezpieczny step. Woleli losy swe powierzyć morzu, lubo i tam niejedna przykra czekać nas mogła niespodzianka.

W chwili gdy z wielkim pośpiechem zabieraliśmy się do kopania dołu na zwłoki, zaszedł niezwykle wypadek. Jeden z Hiszpanów, widać nie dość tęgo uderzony, odzyskał przytomność. Był to ów gołowąsy młodzian, który poprzednio nie patrzył na nas z taką pogardą jak ci drudzy. Teraz poruszył rękoma i podniósł głowę. Gdy ujrzeli to moi towarzysze, niektórzy doskoczyli hurmem, ażeby go uśmiercić. Ale wyprzedził ich i dopadł go pierwej niż oni.

–Nie zabijać! – krzyknąłem.

–Czemu nie?! – wrzasnęli, rozindyczeni. – Przecież to paskud, to wróg, Hiszpan!

–To Hiszpan, tak! – odparłem. – Dlatego mi potrzebny!

–Potrzebny, na co?

–Wycisnę z niego wieści o ludziach i kraju! Niezbędne mi to!

Innych przyczyn, bardziej ludzkich, przytaczać im nie było pożytku. Zresztą niedalekom był prawdy, wyrostkowi nietępo patrzyło z oczu, więc mógł mi służyć do nauki języka hiszpańskiego, tak przydatnego w tym kraju.

Ale Indianie mieli w oczach niepohamowaną dzikość i podobni byli do wilków, którym z paszczaki wydzierają się łup.

–Zabić go! – sierdzili się nadal.

Wszakże, jak zwykle, tak i teraz stanęli po mej stronie niezawodni przyjaciele, Arnak i Wagura, a także Murzyn Miguel. Odważnie stanęli. Wódz Manauri zaś rozjątrzoną ludźmi przemówił do rozsądku. Szybko się udobruchali dając mi słusność, a młodego Hiszpana uznając za mego jeńca.

Zresztą wszyscyśmy wiedzieli, że nie wolno nam tracić czasu na spory. Więc cztery łopaty, jakie posiadaliśmy, poszły w robotę. Co kilka minut jedni kopacze zastępowali drugich. Nie upłynęły i dwie godziny, kiedy dokonaliśmy pracy, a zwłoki ludzkie i końskie leżały w dole, ukryte pod dostateczną warstwą ziemi.

Jeszcze zanim skończyliśmy kopać, kilku Indian zamierzało urządzić polowanie na stado, bydła, dla zdobycia zapasów świeżego mięsa.

–Nie! – przeciwstawiłem się. – Szkoda każdej minuty!

–Będzie co jeść!

–Będzie i bez tego! Mamy trzy żywe konie! Zabierzemy je ze sobą!

Konie przydały się znakomicie, bo umieściliśmy na ich grzbietach nie tylko jeńca, wciąż otumanionego, ale i nasze, stroczone ze sobą, toboły. Lżej nam się teraz maszerowało, więc wracaliśmy ku morzu przyśpieszonym krokiem. Jedyne Lasanie, obarczonej małym dzieckiem, było trudno. Jechać konno nie umiała i nie chciała. Widząc, że pewnie nie podola, ofiarowałem jej swą pomoc. Zaśmiała się:

–Chcesz nosić moje dziecko? – A co w tym dziwnego?

–To rzecz kobieca, nie mężczyzn!

–Głupstwo!

–Śmialiby się z ciebie! Biały Jaguar – noszący obce dziecko?

Rzecz była w pojęciach Indian tak niestosowna, że ci, co kroczyli w pobliżu nas i słyszeli rozmowę, setnie się ubawili. Ale wcalem na ich docinki nie zważał i jedynie żał mi było młodej

niewiasty, bośmy sunęli przez step półbiegiem, niemal że na łeb, na szyję.

–Daj dziecko! – natarłem i prawie przemocą wyciągnąłem je z zawinięcia na jej plecach.

Była zmieszana i uradowana, w oczach jej odbijało się niepojęte zdumienie.

5. Broń

ognista

Następnego dnia, kiedy słońce opuściło się dość nisko, wróciliśmy do laguny pod Górą Sępów. Wszystkośmy zastali w takim stanie, w jakim opuścili kilka dni temu: bezludną wieś, ukryty szkuner, schowane w pieczarze przedmioty. Spieszno nam było ulotnić się z tego nieprzychylnego lądu, przeto natychmiast, pomimo zmęczenia wytężonym marszem, zaciągnęliśmy statek pod sam brzeg i na pokład jęli przenosić dobytek. Gorzej było z końmi. Największe trudności wynikały przy wciąganiu ich przez burtę. Wspólnymi siłami udało się je w końcu wydzwignąć na statek, ale zwierzęta wierzgały przy tym okrutnie i dwa z nich połamały sobie nogi. Nie było to jednak żadną dla nas stratą, bo konie i tak przeznaczaliśmy na spożycie w czasie podróży. Pod wieczór spadł rześisty acz krótkotrwały deszcz, z wielką przeze mnie witany ulgą. Byłem pewny, że zamaże nasze ślady, pozostawione na stepie, i utrudni jakąkolwiek pogoń, jeśliby wyruszyła za nami. Młody jeniec przyszedł do siebie, więc Indianie, lubo związali mu ręce i nogi, baczne mieli wciąż na niego oko. On nieco się uspokoił stwierdziwszy, że na razie nic nie grozi jego życiu, ale przygotowania nasze do wyjścia na morze śledził z coraz większą trwogą. Widział, jak przenosiliśmy broń palną z lądu na statek, a wielka jej ilość wywołała u niego wyraźny popłoch. Jak gdyby teraz dopiero uprzytomnił sobie swe srogie położenie, począł się wydzierać; krzyki jego brzmiały czasem jak skarga, czasem jak groźba.

–Czego on chce? – zapytałem.

–Chce z tobą rozmawiać.

–To dlaczego nie powiecie mi?

Konie pomieściliśmy już na szkunerze, a ludzie ładowali teraz zapasy trawy, więc mogliśmy nieco odetchnąć. Zawolałem Manauriego i Arnaka, żeby mi tłumaczyli rozmowę z jeńcem.

–Jak się nazywasz? – zagadnąłem go.

–Pedro Martinez.

–Czyś z rancho La Soledad?

–Tak, panie.

–Ci z rancho to okrutni ludzie, gnębią Indian. Sam widziałeś, jakżeście nas potraktowali.

–Widziałem. Ale ja nigdy nie byłem zły dla Indian.

–Mówisz tak, bo chodzi ci o tve gardło i jesteś w naszej mocy.

–Mówię, bo tak było! – zapewnił drżącym głosem, z uczuciem bezsilnej rozpaczycy w oczach. Chłopak nie miał odpychającego wyglądu.

–Jakeś pracował na rancho? Jeniec zawahał się.

–Właściwie... nie pracowałem.

–Tylko coś robił? Bąki zbijał?

–Byłem w gościnie u stryja.

–Stryja?

–Tak, właściciela rancho.

–Aha... Jeśliś tam nie pracował, to gdzie pracujesz na chleb?

–Jeszcze nigdzie, panie. Jestem uczniem.

–Uczniem? Ile masz lat?

–Osiemnaście. Uczę się w kolegium ojców dominikanów...

–W La Soledad?

–Nie, tam nie ma kolegium. W mieście Cumana. Mam zostać lekarzem...

Onże Pedro wyglądał istotnie na młodziana z pewnym wykształceniem i mógł się przydać dla moich zamysłów znakomicie. Była to cenna zdobycz.

Tymczasem patrzył na mnie z zamętem w głowie, z zastygłą na obliczu trwogą.

–Panie! – zawołał zdławionym głosem. – Czego ode mnie chcecie? Co się stanie ze mną?

–Nic ci się nie stanie – uspokoiłem go. – Jesteś moim jeńcem. Pojedziesz z

nami.

–Kto wy jesteście?... Na morze mnie wywlec chcecie?

–Tak, na morze. Ale nie obawiaj się...

–To wy piraci?

–Skąd ci to do głowy wpadło?

–Tyś Anglik, panie. Macie tyle strzelb, macie statek...

–Nie, my nie piraci!

–Więc dokąd mnie wywozicie? Czy na wyspy angielskie? – zapytał z lękiem.

–Nie. Na wyspy nie. A dokąd, to dowiesz się później, gdy będziemy na morzu.

Nagle zmieniła mu się twarz, jak gdyby – złamany – bliski był płaczu.

–Panie! – jęknął. – Bądź litościwy, puść mnie! Zwróć mi wolność, proszę!

Przecieżem nic złego ci nie zrobił!

–Ty nie, to prawda, ale za to twoi towarzysze! Zresztą mniejsza z tym. Teraz

śłuchaj, Pedro! Jesteś moim jeńcem i przez szereg miesięcy nim pozostaniesz. Będziesz uczył mnie języka hiszpańskiego, dlategoś mi potrzebny. Później uwolnię ciebie i poślę do swoich. Jeśli pogodzisz się z obecnym losem, okażę ci pełną życzliwość i włos z głowy twojej nie spadnie. Natomiast jeśli będziesz wierzgał albo próbował ucieczki, nie ręczę za twe życie...

Noc spędziliśmy na lądzie pod ochroną wystawionych straży. Nic niepokojącego nie zaszło i, pokrzepieni kilkogodzinnym snem, wstaliśmy sporo czasu przed brzaskiem. Świeciły jeszcze na ciemnym niebie gwiazdy zwiastujące świt, kiedyśmy opuścili ląd, ciągnąc szkuner za trzema łodziami, zaczęliśmy lawirować ku ujściu laguny. Poszło gładko, bo Indianie, jako się rzekło, znali te wody. Przy wejściu słońca byliśmy już na morzu i łapali w żagle pierwsze podmuchy wiatru, budzącego się z północnego wschodu. Kierunek wzięliśmy znowu wzdłuż wybrzeża prosto na wschód i tak niezmiennie spodziewaliśmy się płynąć przez kilka dni. O względności uczuć ludzkich! Teraz chropowate deski pokładu wydały nam się najmiłszymi przyjaciółkami, sam szkuner był przytulny jak dom ojczysty, morze zaś pachniało nam wolnością, o burte rozbiły się weselo gościnne fale, a słony wiatr karmił nas wielką nadzieją. Kiedy żagle były już rozpięte jak się. patrzy, kiedy wiatr nabral stalości i szkuner prul fale prawidłowo, zwołałem wszystkich towarzyszy dokoła siebie, by mnie posłuchali.

–Jestem wdzięczny za wasze do mnie zaufanie i dumny z waszej przyjaźni –

mówilem mniej więcej tymi słowy. – Napelnia mnie szczególnie dumą, że tak zgraną i bitną tworzymy drużynę. Jak świetnie odnieśliśmy zwycięstwo tam na llanosach, jak sprawnie zniszczyliśmy zgraję Hiszpanów! Serce się radowało! Ale chodzi o to, żeby także w przyszłości zwycięstwa szły w trop za nami. Już to pierwsze spotkanie z wrogością ludzi powinno nas ostrzec, że to ład okrutny i bezlitosny dla słabych, i jeśli nie chcemy zginąć, musimy być silni, bardzo silni i bardzo odporni!

–Jako żywo! Prawda jest! – zawołał wódz Manauri.

–Mamy wiele broni ognistej w naszym ręku – ciągnąłem – i prochu tudzież

ołowiu nielichy zapas! Ale cóż nam po tym bogactwie, kiedy tak mało z nas umie strzelać i z bronią się obchodzić? Oprócz mnie tylko dwóch mamy strzelców biegłych, Arnaka i Wagurę, a rusznic blisko czterdzieści i tyleż prawie pistoletów. Jaki z tego wniosek?

–Wszyscy powinni się nauczyć strzelać! – odpowiedział Arnak.

–Otóż to właśnie mam na myśli! Każdy powinien stać się dobrym strzelcem, i to jak najszybciej, już teraz podczas podróży na morzu. Do ćwiczeń wykorzystamy każdy spokojniejszy dzień.

Pożytek z takiej nauki nie ulegał najmniejszej wątpliwości, toteż Manauri przyjął mój pomysł z zapalem. Natomiast wielu innych Indian, ku mojemu zdziwieniu, nie podzielało zdania wodza.

–Na cóż to nam?! – rozległy się głosy przeciwne. – Wnet dopłyniemy do rzeki

Pomerun, a tam, wśród swoich, nic nam już grozić nie będzie! Wystarczą nam łuki i maczugi!

–Czy wystarczą? – podchwycił Arnak. – Może tak, może nie! Przed nami

jeszcze wiele dni niepewnej podróży i niejedna przygoda może nam kark

złamać!

–Nad Pomerunem – podjął wódz – nic nam już grozić nie będzie, powiadacie?

Dlaczego Hiszpanie są wszędzie silniejsi niż my i zadają nam klęski? Bo mają lepszą broń – kule z rusznic lepiej zabijają niż strzały z łuków!

–Ale nie w gęstej puszczy! – ktoś krzyknął.

–Gdzie nasze wsie i pola uprawne, tam gęsta puszcza się cofnęła.

Chcąc położyć kres spieraniu się, poprosiłem o spokój.

–Według mego zdania – oświadczyłem – zdania człowieka, który kawał widział świata, a wam

z serca życzy powodzenia, nie ulega wątpliwości, że luki są przydatne w gęstej puszczy, ale Manauri i Arnak mają większą rację: zawsze to lepiej umieć władać różną bronią, a przede wszystkim ognistą, jeśli nie chce się stracić wolności ani życia. Taka już na tym świecie stara prawda, że kto włada lepszą bronią, ten górą.

Mimo wszystko byli tacy, którzy nauki nie chcieli. Stałem oto wobec uderzającej cechy Indian, nieobcej mi z owych czasów, kiedym przebywał w Ameryce Północnej, w lasach wirginijskich – mianowicie od nowa doświadczyłem u tych pierwotnych ludzi braku przewidywania dalszych wydarzeń i rażącej beztroski co do przyszłości. Oni nie umieli patrzeć w jutro. To mnie bolało.

Chętnych do nauki, oprócz Manauriego, okazało się tylko pięciu Indian, a byli to wszystko, z wyjątkiem kulawego Arasyba, zażyli wodza przyjaciele. Co do kaleki zaś, snadź pamiętał, że okazał dlań ludzkie uczucie sprzeciwiając się pozostawieniu go nadal w samotności pod Górą Sępów, więc był mi przyjazny. Reszta Indian na statku, dziewięciu, wolą pozostać na uboczu i próżnować. Ale zgłosiła się z ich grona jeszcze jedna osoba, Lasana.

–Ty? Ty chcesz strzelać? – zrobiłem wielkie oczy.

Wszakże Manauri wyjaśnił mi, że wiele Indianek, towarzyszących swym mężom w wyprawach, włada bronią równie biegle jak niejeden wojownik, a ponoć w głębokich lasach nad rzeką Cuyuni żyje szczep, z samych składający się kobiet.

–To musi wymrzeć! – zauważył Wagura ze znajomością rzeczy. – Bez chłopów...

–Patrzcie, jaki to znawca! – wódz pokiwał głową, obrzucając młodziana

złośliwie pochwalnym spojrzeniem. – Ano, nie musi wymrzeć, bo są to nader wojownicze baby. Często urządzają zbrojne napady na sąsiednie szczepy i wylapują sobie jeńców, podobnych do ciebie mądrali i junaków, którzy muszą im usługiwać. Jeśli urodzi się dziewczyna, puszcza ją jeńca na wolność, jeśli urodzi się chłopiec, zabijają noworodka i jeniec musi dalej służyć.

–To straszne! – osądził Wagura, aliści oczy jego, na przekór słowom, zaszły tajemnym rozmarzeniem.

Wszystkich pięciu Murzynów tymczasem odbywało szeptem na uboczu jakieś narady. Oni zawsze stali po mej stronie, ale szczególnie teraz, kiedy na llanosach zobaczyli stanowczość, z jaką wziąłem ich w obronę przed Hiszpanami – teraz gotowi byli iść za mną w ogień. Więc widząc, jaką przykrość mi sprawiali ociągający się Indianie, Murzyni kupą podeszli do mnie, a Miguel oświadczył:

–My wszyscy z tobą, Janie! Chcemy strzelać z muszkietów...

Było zatem tych uczniów dwanaścioro, dobre i to. Bez zwłoki zacząłem pierwszą naukę, kując żelazo dopóki gorące. Na przykładzie srebrnego pistoletu – ach, jakież to cudo zdobyliśmy! – pokazałem im, jak się broń nabija i ile bierze się prochu, a ile ołowiu. Zresztą nie była to im pierwszyna, w ostatnich bowiem dniach na bezludnej wyspie już nieco otrzaskali się z rusznicami.

Po tym wstępie wyręczyli mnie Arnak i Wagura prowadząc dalej ćwiczenia.

Wiatr mieliśmy niezmienny, przy sterze stał wprawiony Indianin. Gdy młody jeniec, Pedro, spostrzegł mnie bez zajęcia, przystąpił i sam zaofiarował się z nauką języka hiszpańskiego. Na statku nie miał już więzów. Mógł swobodnie krążyć, gdzie bądź, i czuł się w niewoli coraz różniej. Teraz dotknął głowy i rzekł: *la cabeza*, następnie ręki: *la mano*; wskazał na statek: *el navio* - i tak zaczęła się moja nauka.

Pedro był niezwykle rozgarnięty. Wykładał przejrzyście po godzinie przyswoilem sobie ładną wiązkę słów. Miał chłopak olej w głowie. Toteż gdy tamci ukończyli majstrowanie przy pistolecie, przywołałem Arnaka i Manauriego i poleciłem im zapytać się Pedra, czy uczył się geografii Ameryki Południowej. Oczywiście, uczył się. Czy widział mapę tych stron? A jakże, widział. Czy umiałby narysować z pamięci kształt naszego wybrzeża? Pedro nie był tego pewny, ale mógłby popробować.

W tym, co pozostawili na statku poprzedni właściciele, znaleźliśmy wysoce cenne przedmioty, jak pęk papieru do pisania tudzież inkaust i gęsie pióra. Teraz kazałem je przynieść i poleciłem Pedrowi skupić się i narysować linię wybrzeża tej części Ameryki.

Młody Hiszpan najpierw lekko nakreślił za pomocą kawałka ołowiu kontury i poprawił, co wydało mu się wypaczone, potem dopiero pociągnął atramentem. Wpatrywaliśmy się w jego palce jak zakłęci, a Indianie z zapartym oddechem. Prócz wodza i Arnaka przyłączyli się do nas Wagura, Murzyn Miguel i Lasana.

Linia wybrzeża wiodła prosto w kierunku wschodnim jeszcze mniej więcej sto dwadzieścia mil, potem głęboko wrzynąła się w ląd i czyniąc zatokę, skręcała na południowy wschód aż do końca papieru. W miejscu jej załamania się leżała wielka wyspa Trinidad, która, jak gdyby zasłaniając zatokę od strony oceanu, stwarzała z niej rodzaj olbrzymiej laguny czy jeziora mającego do morza dwa ujścia, na północy i na południu. „Golfo de Paria” wpisał Pedro na lagunie: zatoka Paria.

–A gdzie ujście rzeki Orinoko? – byłem ciekawy.

–Czy ujście główne, panie? – zapytał Hiszpan.

–Główne – odrzekłem, chociaż dotychczas nie wiedziałem, że istniało jeszcze inne.

Główne ujście było dalej na południe, o jakie sto pięćdziesiąt mil od wyspy Trinidad, a samo Orinoko płynęło z głębi kraju w prostej niemal linii od zachodu na wschód. Ale na blisko sto pięćdziesiąt mil przed samym ujściem liczne odnogi rzeki zaczęły odrywać się ku północy, niektóre wpadając do zatoki Paria, naprzeciwko wyspy Trinidad, inne do otwartego morza. Wielka ilość tych odnóg-rozlewisk tworzyła między sobą siła wysp, a Pedro nazwał tę krainę deltą rzeki Orinoko. Lubo szczyciłem się niejakim wykształceniem, bom za młodu nauczył się pisać i czytać i niejedną już polknąłem księgę, przecież wychowany w lasach wirginijskich, jakże mizerne miałem o bożym świecie pojęcie. Pedro wyczarowywał na mapie tajemnicze znaki lądu, rzek, wysp, zatok, a wszystko to było wielką dla mnie nowością, po raz pierwszy poznawaną. Ba, światlejsi w tej materii okazywali się Indianie, bo oni, nadspodziewanie trafnie wyczytując kreski Pedra, szmerem uznania stwierdzali wierność mapy.

–Wyrysuj wyspy angielskie na Morzu Karaibskim – poleciłem.

Pedro uczynił zakłopotaną minę i oświadczył, że Jamajka leży daleko na północnym zachodzie, poza zasięgiem karty papieru.

–Mam na myśli Barbados, nie Jamajkę – wyjaśniłem.

Barbados leżała wprost na północ od Trinidad, ale też daleko, jakie dwieście mil od lądu.

–Czyś tego pewny?

–Tak, panie.

Nie było to blisko i z niepokojem myślałem sobie, ile trudności będzie trzeba przewyciężyć, żeby tam się dostać. Indianie żądali wyrysowania rzeki Pomerun. Pedro odrzekł, że to niewielka rzeka, więc dokładnie jej biegu nie pamięta, ale przypuszcza, że wpływa do morza gdzieś na południu, między ujściem Orinoka a ujściem wielkiej rzeki Essequibo.

–To zgadza się! – wykrzyknął Manauri.

Ujście Essequibo wyrysował Pedro o dwieście mil na południowy wschód od ujścia Orinoka i Indianie temu żywo przyświadczyli, wyznaczając bieg rzeki Pomerun o pięćdziesiąt mil na północ od Essequibo.

Zamyśleni, wpatrywaliśmy się w mapę. Otwierała mi cokolwiek oczy na ten świat, w którym w następnych miesiącach czekał mnie nieznan los.

Po chwili Pedro przerwał milczenie:

–Czy mam jeszcze coś wyrysować?

Wszyscyśmy się zawahali, jedynie mały Wagura nie miał wątpliwości.

–Tak – rzekł bardzo pewnym głosem.

A gdy Pedro go uprzejmie zapytał, czego mianowicie sobie życzy, Wagura odrobinę się spieszył, coś tam zachybotało się w jego żrenicach i chłopak odrzekł, już nie tak stanowczo, bodaj czy nie wstydliwie:

–Rzekę Cuyuni.

–Jest to lewy dopływ rzeki Essequibo – tłumaczył Pedro i jednocześnie nakładał

jej przypuszczalny bieg na mapie. – Płynie tak samo jak Orinoko z zachodu, tylko przez gęste i mało znane puszcze, i to jedynie wiadomo, że nad jej dolnym biegiem żyje wojowniczy szczep karaibski Akawoi.

–Słusznie! – potwierdził Manauri.

–A gdzie... gdzie ten drugi szczep... kobiet? – zatroskał się Wagura.

–Nie wiem.

Już od pewnej chwili Manauri, Arnak, Lasana i ja rzucaliśmy ku sobie rozbawione spojrzenia, a teraz nie mogliśmy się powstrzymać od wybuchu głośnego śmiechu.

–Ryby wystraszycie! Wy! – zganiał nas młody człowiek żądny wiedzy i

wzruszywszy ramionami, odszedł. Zazwyczaj wesołego usposobienia, był na chwilę okropnie urażony i nadęty.

–Gdzie są tu stanowiska hiszpańskie? – zapytałem Pedra, wskazując na mapie okolice dolnego Orinoka.

–Nie wiem, czy znam je wszystkie – odparł młodzian – zresztą nie ma ich

wiele. Na przykład jest osiedle hiszpańskie na wyspie Trinidad, zdaje się, że od strony zatoki Paria. Nad samym Orinoko przypominam sobie osadę Angostura, jakoby sto pięćdziesiąt do dwustu mil od ujścia Orinoka do morza.

–Więcej ich nie ma?

–Hiszpańskich chyba nie. Za to dalej na południu są plantacje holenderskie.

Holendrzy podobno wdarli się w głąb lądu i założyli swe faktorie nad rzeką Cuyuni. Wlazły tu w paradę faktoriom angielskim, które znajdują się u ujścia rzeki Essequibo...

–Pedro!! – krzyknąłem zrywając się. – Coś ty rzekł? Faktoriom angielskim?

–Tak... Faktoriom angielskim... No, tak, panie!... Tak mnie uczono... Ale... –

zaciął się, jakoś przerażony, widząc nagłą w mej twarzy zmianę.

–Czy nie mylisz się, Pedro, chłopie jeden?!

–Nie myślę się, panie!... Niejeden raz słyszałem o tym...

–Faktorie angielskie u ujścia Esseąuibo? – powtórzyłem nie dowierzając własnym uszom.

–Tak jest, panie, u ujścia Esseąuibo!...

Wiadomość uderzyła mnie, jakoby piorun trząśł: faktorie angielskie u ujścia Esseąuibo, a więc niedaleko rzeki Pomerun, do której dążyliśmy – to przecież kres mego błakania się po tym obcym lądzie, to łatwe dotarcie pod bezpieczny dach rodaków. W szale radości gotów byłem uściskać Pedra i wytrząść wszystkich towarzyszy, ale gdym ochłonął z pierwszego uniesienia, zaraz nasunęły się wątpliwości.

–Jest to część Ameryki Południowej – oświadczyłem – której panami wyłącznymi uważają się Hiszpanie od czasów odkrycia. Czy tak?

–Tak jest!

–Jakże więc mogli osiąść tam Holendrzy i Anglicy – czy to nastąpiło za zgodą Hiszpanów?

–O, nie, panie!

–Więc czemu Hiszpanie ich nie wyrzuca?

–Bo nie mogą. Władza ich nie sięga tam, do Gujany.

–Nie sięga?

–Po prostu jest tam za daleko od głównych siedlisk hiszpańskich w Wenezueli. A

poza tym między właściwą Wenezuelą a okolicami zajętych przez Anglików i Holendrów, wznosi się rozległy mur tropikalnej puszczy, trudny do przebycia, w tej puszczy zaś żyją wojownicze szczepy. One niejedną zniosły wyprawę hiszpańską. Hiszpanie dali na razie pokój. Żyją tam wśród innych owi nieustraszeni Akawoje nad rzeką Cuyuni...

–A ci Akawoje Holendrów tak spokojnie cierpią nad swą rzeką? Nie wyrzną ich?

–Z Holendrami żyją podobno w wielkiej zgodzie. To ich sprzymierzeńcy...

Obraz, przedstawiony przez Pedra, pomimo początkowych pozorów fantastyczności wydawał się prawdziwy: jacyś tam Anglicy musieli siedzieć nad rzeką Essequibo! Zmieniło to z gruntu dotychczasowe moje plany odzyskania wolności i powrotu do ojczyzny.

Rozmowa z Pedrem ustaliła jeszcze inną rzecz: dzień w kalendarzu. Od miesięcy całkiem pomieszała mi się rachuba czasu, ale teraz stwierdziłem, przy pomocy Pedra, że dzień, w którym młody Hiszpan narysował mapę, był dniem 12 września roku Pańskiego 1727. Odtąd obarczyłem Pedra obowiązkiem dokładnego zapisywania daty każdego dnia.

Na noc podpłynęliśmy starym zwyczajem pod brzeg i stanęli na kotwicy, by od brzasku podjąć podróż. Nazajutrz około południa przeżywałem nie lada wzruszenie, kiedym wśród roślinności na łądzie niebywałą dostrzegł zmianę. Oto ubogie dotychczas zarośla, z suchej, kolczastej i przeważnie wypłowiałej składające się krzewiny, przeszły teraz w wysokopienny las niezmiernie gęsty i splełany, ciemnozielony. Była to puszcza, owa sławna puszcza ziem gorących, pełna zielonego przepychu, wspaniała plód południowego słońca i gorącej wilgoci. Nie mogłem oderwać oka od lunety, oczarowany bujnością roślin, ja, zagorzały myśliwy, znający do tej pory jedynie knieje swej chłodnej ojczyzny.

–Odtąd – objaśnił Manauri zauważywszy moje zaciekawienie – odtąd już

zawsze będzie tylko ten las i las. Nigdzie nie zobaczymy nic innego, wszędzie ta sama zieleń!

–Wszędzie?

–Wszędzie. Nad Essequibo i nad Pomerunem, i nad Orinokiem, i wszędzie

między tymi rzekami, i także na całej wyspie Kairi, którą Hiszpanie nazywają Trinidad, i dokoła zatoki Paria... Cały ten kraj pokryty jedną puszcza...

Wrzesień w onych stronach to początek pory suchej, znamiennej tylko tą różnicą, że padają nieco słabsze ulewy niż kiedy indziej i rzadsze, mniej gwałtowne biją burze. Morze dzięki temu mieliśmy na ogół łagodne, podróż spokojną, więc nauka z bronią odbywała się regularnie co rano i pod wieczór. Nasza dwunastka, pełna dobrej chęci, czyniła szybkie postępy, podczas gdy reszta, trwająca w uporze, przyglądała jej się z pewnym politowaniem. Ale wieczorem trzeciego dnia podróży zaszedł wypadek, który na opornych próżniaków podziałał niby smagnięcie biczem.

Tegoż wieczora zarzucaliśmy kotwicę nieco wcześniej, za światła dziennego jeszcze, i jak zwykle kilku towarzyszy popłynęło jedną z łodzi na ląd, ażeby narwać paszy dla naszego konia. (Pozostał nam jeden całkiem zdrowy; dwa inne, okaleczone, musieliśmy zarznąć i mięso ich, pocięte na pasy, wystawiliśmy na słońce dla wysuszenia). Ponieważ było jeszcze jasno, niektórzy towarzysze postanowili na łądzie zapolować i uzbrojeni w łuki tudzież noże weszli do puszczy. Byli tam niespełna pół godziny, gdy nagle rozległy się w głębi leśnej dzikie okrzyki.

–Napadli naszych! – zawołał Manauri.

Wrzask dochodził na raz z kilku różnych stron i szybko zbliżał się w naszym kierunku.

–Gonia! – huknął Arnak.

–Arnak! – podskoczyłem. – Muszkiety do łódek!! Wszyscy do wiosel!!

Broń, na szczęście nabiła, przechowywaliśmy pod pokładem. Zrazu powstało zamieszanie, bo zbyt wielu rzuciło się równocześnie w jedną ciżbę, alem prędko rozdzielił ludzi i utworzył z nich żywy łańcuch. Podawanie broni z ręki do ręki szło szparko i wnet dziesięć rusznic było w większej łodzi. Skoczyłem do niej i porwałem za wiosło. Za mną Manauri i jeszcze kilku, a wśród nich Lasana. Napędzać przy wiosłach nie było trzeba, każdemu z wyężenia wychodziły ślepska na wierzch. Arnak z kilku innymi wiosłował w drugiej łódce. Brzeg nie był daleko, jakie pięćdziesiąt sążni od żaglowca, aleśmy ledwo zdążyli na ostatnią chwilę. Właśnie niefortunni nasi myśliwi wyprysnęli z puszczy na otwarty piasek i pędzili ku nam. A za nimi kilka chwil później, tamci. Całą chmarą. Było ich kilkudziesięciu. Wyli przeraźliwie i strzelali z łuków. Siekańcami wygarnąłem w ich kupę, oddaloną o sto kroków. Na tę odległość pociski śmierci już nie niosły, ale co ich posiekły, to posiekły. A w tej chwili u mego boku huknął drugi strzał i trzeci, czwarty i na raz kilka więcej – ogłuszającą salwą. Napastnikom ołowiu i grzmotu było dość. Dali drapaka i ulotnili się w gęstwinie. Nikogo z naszych nie brakowało. Jeden tylko odniósł lekką ranę od strzały. Na szczęście grot nie był zatruty.

–Cóż to za szczep? – zapytałem.

–Pariagoto zapewne! – odrzekł Manauri i dodał z odrazą: – Karaibowie.

Wśród tych, którzy na brzegu oddali strzał, była także Lasana. Młoda kobieta strzelała po raz pierwszy w życiu, dlatego zapomniała należycie przycisnąć strzelbę do ramienia i podczas strzału odczuła mocne uderzenie w ramię i policzek. Zraniła się, krew pociekła, ale nie było to groźne.

–Teraz będę doświadczona! – zawołała do mnie, pokrywając uśmiechem zmieszanie i ból.

–Ho, ho! Już doświadczona? – rozbawiony, pokiwałem głową. – A przynajmniej trafiłaś kogo?

–Czy nie widzisz? Siebie...

–Dobrze, że nie kogo z nas.

–Ty, Biały Jaguarze, wystrzegaj się!...

Jakoś dziwnie dwuznacznie to powiedziała i zaraz parsknęła śmiechem. Nie chcąc wystawiać

się na ponowną napaść, wypłynęliśmy ze statkiem na pełne morze i tam spędzili noc. Gdy następnego dnia rano, utartym zwyczajem, Arnak i Wagura zwoływali towarzyszy na ćwiczenia z bronią, zgłosili się wszyscy bez wyjątku mężczyźni. I nie był to ogień słomiany. Od tego czasu więzy, jakie całą naszą gromadę łączyły na skutek wspólnych przeżyć, wzbogaciły się w nową spójnię, spójnię wspólnej broni. Przyszłość wykazała, że było to silnym, trwałym spoidłem. Niemiła przygoda z Indianami Pariagoto zdarzyła się na wybrzeżu, nazwanym przez Pedra półwyspem Paria, niedaleko miejsca, gdzie ów półwysep kończył się, naprzeciwko wyspy Trinidad, a na południu rozwierała swe szerokie wody zatoka Paria. W tę zatokę należało nam skręcić i odtąd dążyć w kierunku południowym. Atoli kiedyśmy dotarli do samego czuba półwyspu, okazało się, że z zatoki Paria tak potężne parły prądy wody, iż żadnym sposobem nie mogliśmy podплыnąć przeciw nim. Ilekroć się zbliżaliśmy, silne nurty spychały nas jak lupinę i odrzucały daleko na morze.

–*Boca del Drago* - tłumaczył mi Pedro – Paszczą Smoka nazywają Hiszpanie cieśninę między półwyspem Paria a Trinidad. Tu jeno wielkie żaglowce wedrzeć się mogą – i to podobno tylko w takie dni, kiedy prądy znacznie słabną.

–Dlaczego prąd tutaj taki wartki?

–Bo jest, jak już wspomniałem, drugie wejście do zatoki Paria, od południa,

znacznie szersze niż to północne tutaj, i tym drugim wejściem wtaczają się do zatoki wody wielkiego prądu oceanicznego. Poza tym do zatoki wpada kilka odnóg rzeki Orinoko. To wszystko razem stłacza się tu na północy do wąskiego kilkumilowego gardła i dlatego przez *Boca del Drago* tyle wodnej masy wydiera się z zatoki do morza...

Nie było innej rady, jak poniechać zamiaru wejścia do zatoki Paria i, okrążywszy paskudną Paszczę Smoka w przyzwoitej odległości, płynąć dalej na wschód, teraz już wzdłuż wybrzeży Trinidadu. Żegluga naokoło wielkiej wyspy przedłużała naszą podróż o więcej niż sto mil. Szczęściem pogoda nam sprzyjała. Statków hiszpańskich ani innych nie napotykalismy. Także tubylców nie było widać ani śladu, lubo co wieczór podplywaliśmy pod brzeg dla zdobycia końskiej paszy i słodkiej wody. Wreszcie osiągnęliśmy wschodni cypel Trinidadu. Stamtąd statek skręcił prosto na południe i szedł przez dwa dni wzdłuż wyspy, następnie dotarł znowu do stałego lądu. Jakże odmienny powitał nas krajobraz! Jak okiem sięgnąć, równy, płaski kraj, ani najdrobniejszego w nim wzniesienia. Była to osławiona delta rzeki Orinoko, szeroka na przeszło dwieście mil, kraina niezliczonych rozwidleń tej jednej rzeki, rozlewisk, zalewów i kraina tysięcy między nimi wysp, ostrowów i żuław. Odwieczna puszcza pokrywała te ustronia tak samo jak na półwyspie Paria i na Trinidadzie, ale podczas gdy tam wznosiły się góry i wzgórza, tu ino moczary, trzęsawiska, grzęzawice. Tu milami drzewa stały w wodzie, stercząc z niej na napowietrznych korzeniach, w obłędnym zamęcie ze sobą splątanych.

–Ludzi tu chyba nie ma? – napomknąłem.

–Są. Szczep Guarauno!

–To gdzie mieszkają?

–Na suchych kępach albo na palach. Żyją z rybołówstwa...

Morze miało teraz inną niż dotychczas barwę. Straciło swą przezroczystość granatową, było mętne i żółte od rzecznej wody. Od tej wielkiej rzeki Orinoko szła jakaś niepojęta siła, której poddawały się wszelkie żywy przyrody. I podczas gdy dzień po dniu płynęliśmy obok niezmiernych bagien, otoczonych niedostępną tajemniczością, sami coraz bardziej pod urokiem złowrogiego majestatu rozległych ostępów, nie zaniedbywaliśmy na pokładzie zwykłych zajęć: ja nauki hiszpańskiego i, ukradkiem wciąż, arawaskiego, towarzysze – obchodzenia się z bronią palną. Kiedyśmy docierali do głównego ujścia Orinoko, tworzyliśmy – com z wielką stwierdzał radością – coraz bardziej zwartą, zgraną ze sobą grupę przyjaciół. Nikt z nas nie wiedział, co go czeka w najbliższej przyszłości i widocznie ta niepewność skuwala nas wszystkich w jeden zgodny związek, jedno jakby bractwo rodowe, rzekłbyś: samoistne plemię. Ludzie w końcu nienajgorzej nauczyli się władać bronią ognistą i, co również ważne, chronić ją w zachłannym klimacie od zniszczenia. Co więcej, ludzie przywiązali się do niej jak do czegoś drogiego, rozmiłowali się w niej, a muszkiety, guldynki, garłacze, pistolety darzyli niezwykłym zgoła uczuciem. Nie chcąc wywoływać nieporozumień ani rozczarowań oświadczyłem, że broń ta na razie do mnie należy, ale kto dobrze z nią się obejdzie, później otrzyma ją na własność. Żeglowanie wzdłuż delty Orinoka dokuczyło nam brakiem wody do picia, toteż gdy odsłonił się przed naszymi oczyma rozległy widok głównego ujścia, postanowiliśmy wpłynąć nieco w górę rzeki, gdzie łatwiej spodziewaliśmy się znaleźć słodką wodę. Był właśnie przyływ morza, prąd wody parł w stronę lądu, toteż rażno płynęliśmy wedle jednej z większych wysp. Po paru godzinach skręciliśmy w boczną odnogę i zarzucili kotwicę wśród gęstwiny, przy suchym brzegu. Kilku ludzi, wysłanych na zwiady, wkrótce wróciło pędem, jakby gonionych przez demony. Jeszcze z brzegu rzucali ku nam nieme oznaki przestrogi. Gdy pośpiesznie wdrapali się na szkuner, oznajmili, że tuż w pobliżu jest wielkie osiedle Indian, ukryte w puszczy.

6. Gdzie

mrówki

sędziami

Pomni smutnego doświadczenia na półwyspie Paria, jedni rzucili się do broni, inni do podnoszenia kotwicy. Staliśmy, niestety, tuż przy brzegu, zupełnie zresztą ukrytym pod zbitą masą gałęzi, wysuwającą się daleko ponad powierzchnię wody. Mieliśmy nadzieję, że Indianie nas nie zauważą i że odpłyniemy na drugi brzeg rzecznej odnogi, jeszcze zanim spadnie na nas jaka bieda. Atoli nie tak się stało. Indianie nas odkryli. Naraz z gąszczu tuż naprzeciwko naszego statku rozległ się donośny okrzyk. Wołający nie znajdował się dalej niż o kilkanaście kroków, ale w bujnym listowiu wcale go nie widzieliśmy ani też nie rozumieli jego słów. Naraz z góry, z wierzchołków najbliższych drzew, ktoś inny do nas krzyknął. Zadarliśmy tam głowy i wybaluszyli oczy, ale i on pozostał niewidzialny.

–To na pewno Warraulowie! – szepnął do mnie Manauri, pełen trwogi.

–Warraulowie albo Guarauno to to samo – wyjaśnił Arnak.

Wtem usłyszeliśmy trzeci głos, który wprowadził nas w nie lada osłupienie. Mianowicie głos dobywał się z samej wody, tuż u dziobu statku. Nikogo tam w rzece nie było, a mimo to dźwięk przecież szedł wyraźnie spod naszej burty. Wiedziałem o istnieniu ludzi z niezwykłą zdolnością, tak zwanych brzuchomówców, umiejących różne głosy posyłać z różnych stron, ale na to nie wpadł. Głosy wydały nam się niesamowite, położenie nasze nad wyraz przykre. Żadna to przyjemność słyszeć dokoła siebie tajemnicze odgłosy, a nie widzieć nikogo, i oczekiwać lada chwila gradu strzał. Tubylcy spostrzegli nasze zmieszanie i, jak tośmy wyczuli, nieźle się bawili. A gdy spoglądaliśmy na wodę, chcąc wykryć źródło tajemniczego głosu, z kilku stron parsknął ku nam szydery śmiech. Obce słowa, skierowane do nas, powtarzały się często i brzmiały jak pytanie, kto my zacz. Więc Manauri odpowiadał to po arawasku, to po hiszpańsku, że my Arawakowie czyli Lokono, tak bowiem nazywali Arawakowie siebie samych. Słowo „Arawak” tamci widocznie pojęli, bo kilkakrotnie powtórzyli je, następnie zaczęli coś głośno wołać, jak gdyby kogoś przywołując z daleka. Po kilkuminutowej ciszy w gęstwinie odezwano się, całkiem dla nas zrozumiałym językiem – po arawasku:

–To wy Arawakowie?

–Tak właśnie, Arawakowie – odrzekł Manauri.

–Co tu robicie?

–Wracamy do naszych stron, nad rzekę Pomerun.

–Skąd wracacie?

–Spod Góry Sępów.

W gąszczu nastąpiło milczenie, jak gdyby ukryty tam człowiek się zastanawiał albo naradzał po

cichu z innymi. Dopiero w chwilę później zawołał gniewnie:

–Falszywy twój język! Kłamiesz!

–Oho! Tak sądzisz?

–Arawakowie spod Góry Sępów dawno już wrócili na południe, nikt tam nie pozostał! Wy nie spod Góry Sępów!

Nieznajomy dobre miał, jak widać, znajomości. Był to niezawodnie Arawak, lecz z innej niż moi towarzysze okolicy.

–My jednak spod Góry Sępów! Wódz Manauri nigdy nie

mijał się z prawdą, spamiętaj to sobie! – odrzekł wódz karcącym głosem i w krótkich słowach opowiedział o napadzie Hiszpanów sprzed kilku laty na wieś rodzinną pod Górą Sępów, o niewoli na wyspie Margarita, o niedawnej ucieczce z niej, powrocie do opuszczonej wsi i o ruszeniu dalej, ku rzece Pomerun.

–A ty kto jesteś? – zapytał wódz na koniec.

–Nazywam się Fujudi i pochodzę znad rzeki Esseąuibo – odrzekł tamten już znacznie przyjaźniej.

–A co robisz tu u ujścia Orinoko, tak daleko od Esseąuibo?

–Ja już od tamtej suchej pory opuściłem Esseąuibo. Obecnie odwiedziłem tutaj swych znajomych ze szczepu Warrauł. Ja należę teraz do grupy wodza Konesa i mieszkam u ujścia rzeki Itamaka...

–Konesa? Czy tego, który był wodzem pod Górą Sępów?

–A jakże, tego samego!

–To gdzie on teraz, gdzie jego grupa?! Przecież do niej płyniemy!

–Koneso jest teraz nad Orinokiem, niedaleko stąd.

–Co ty mówisz?! Nie poszedł nad rzekę Pomerun?

–Nie. Tam teraz zamęt, zbyt gorąco od Akawojów! Koneso, wędrując z północy, wołał tu pozostać nad Orinokiem, u ujścia rzeki Itamaka, jak ci mówiłem...

–Daleko stąd to ujście?

–Jakie cztery, pięć dni łódką, jeśli z prądem płynąć...

Wieść owa, tak ważna dla nas, ogromnie poruszyła każdego na statku. Toż to nie potrzeba było płynąć do rzeki Pomerun; cel naszej podróży był tuż blisko, nad samym Orinoko.

Rozmowny dotychczas Fujudi – jak on się przedstawił – zamilkł, widocznie zdając komuś w zaroślach sprawę z wyniku rozmowy. Aliści nowe co do nas powstały tam podejrzenia, bo po wielominutowym milczeniu Fujudi zapytał:

–Na waszym statku nie tylko sami Arawakowie. Kto ci insi?

–Murzyni, którzy tak samo jak my zbiegli z niewoli i teraz z nami będą żyli – objaśnił Manauri.

–A ten młody *Espaniol*?

–To nasz jeńiec. Podczas ostatniej z Hiszpanami walki wybiliśmy cały ich oddział, jego tylko wzięliśmy żywego!

–Wybiliście cały oddział?! Toście tacy bohaterowie? – brzmiało to jak ironia.

–Wybiliśmy, na to nie ma rady, czy wierzysz, czy nie.

–Na coście wzięli tego jeńca?

–Zna dobrze kraj i wie, gdzie forty hiszpańskie.

–A ten drugi *jalanaui*? - *Jalanaui* znaczy biały człowiek.

–To *Paranakedi* (Anglik), bogaty wódz w swym kraju, najsłynniejszy myśliwy i wojownik. Ma nieustraszone serce, niezmierzone doświadczenie i niebywałą przebiegłość wojenną.

–Ajajaj!...

–On serdeczny nasz przyjaciel, którego cenimy jak najpotężniejszego wodza.

Dzięki niemu i jego muszkietom odnieśliśmy dwa wielkie zwycięstwa nad Hiszpanami.

–Ajajajaj!...

–Wszystkich wrogów wytłukliśmy, zdobyli piękny statek...

–I tego konia?

–I konia... On wódz niezwyciężony.

–Jak nazywacie to cudo?

–Jakie cudo?

–To cudo waleczności, tego Paranakedi?

–Biały Jaguar! – odrzekł Manauri bez zająknięcia.

Nieumiarkowane wychwalanie mojej osoby nie było na wiatr, służyło – jak tegom się domyślał – ukrytym celom wodza. Widocznie szczwany wilk, hojnie wkładając we mnie właściwości potęgi i wszelakich cnót, upatrywał w tym i dla siebie niepośledni pożytek jako mój przyjaciel i sojusznik – więc biada zuchwalcom, którzy szukaliby z nim zwady. Manauri nie wiedział, jak go przyjmą w ojczystym szczepie, raczej obawiał się mało przychylnego powitania – rozsiewał zatem wieści, żeśmy niezwyciężeni.

–I powiadasz, że on taki bogaty? – ciągnął Fujudi już mniej urągliwym głosem, raczej zdziwionym. – To czemu chodzi nago jak każdy z was, chuderlaków?

Masz, diable, kaftan! Znowu to samo! Tubylcy nie wyobrażali sobie innych Europejczyków jak tylko ubranych, obutych, wystrojonych, ukapeluszonych, do tego z błyszczącą szpadą u boku. W ich umyśle łączyło się pojęcie władzy ze zbyt kownym strojem. Europejczyk bez szat to chłopina bez władzy i w ogóle bez znaczenia. Tłumaczyć im, że podczas pobytu na bezludnej wyspie w gorącym klimacie odwykłym od noszenia ubrań czując się wygodniej bez nich – byłoby rzucaniem grochu o ścianę.

–Taki jego zwyczaj i taka wielkiego wodza zachcianka! – tłumaczył mnie Manauri. Na lądzie koniec końców ustaliło się korzystne o nas przekonanie. Fujudi zawołał, że chce przyjść na pokład i żeby mu przywiosłować łódkę. Podczas tej czynności rozwarła się nieco ściana zieleni i na chwilę ujrzeliśmy wielu Indian z lukami w ręku, ukrytych wśród pobliskich drzew. Ładnie wyglądalibyśmy, gdyby doszło do walki!

Fujudi był krępy, muskularnym mężem w sile wieku, o bystrych, choć z ukosa patrzących oczach i żywych ruchach. Człek rozgarnięty to rzucało się natychmiast w oczy. Po raz pierwszy ujrziałem Indianina w pełnym, uroczystym odzieniu. Miał na głowie kołpak z barwnych piór utkany, na szyi trzy bogate naszyjniki, z których przeróżne kolorowe orzechy, rybie zęby i zwierzęce kolce zwieszały się na pierś. Jakkolwiek nagi, z przepaską biodrową jeno, przecież ciało – a zwłaszcza twarz jego – bogate zdobiły malowidła z kres czarnych i czerwonych.

Towarzysze moi, sami wciąż zaniedbani, tacy, jakimi wyrwali się z niewoli, na widok strojnisia

nie mogli wyjść z podziwu graniczącego z zazdrością. Teraz dopiero, w obecności takiego rodaka jak gdyby po raz pierwszy odczuli oddech wolności, uzmysłowili sobie cel tej podróży.

Ze zrozumiałą skwapliwością wypytywali się o obecne położenie rodaków u ujścia Itamaki, ale Fujudi tylko niechętnie, półgębkiem im odpowiadał, że wszystko w porządku, natomiast sam żądał dokładnego opisu naszych przygód. Towarzysze moi nic nie ukrywali. Potem Fujudi zwrócił się do mnie:

–Rodacy moi chwalą ciebie, Biały Jaguarze, żeś im pomagał i żeś dobrym przyjacielem. Witam cię zatem jako przyjaciela, obyś nadal był nam bratem. Jekuana, mój gospodarz, wódz tutejszych Warraulów zaprasza ciebie i wszystkich, ażebyście dopłynęli do jego wsi. Dziś wielka u niego uroczystość, a on chce was należycie uczcić!

–Chętnie przyjmuję zaproszenie! – odrzekłem. – A jaka to uroczystość?

–Sądu mrówczego. Syn wodza żeni się...

Niezbyt sobie wyobrażałem, o co chodzi w tym sądzie mrówczym, ale wszyscy towarzysze okazywali radosne podniecenie, więc nie psulem im zabawy. Wtedy kilkanaście wielkich łodzi wystrzeliło spoza zakrętu rzeki i wielu wioślarzy podpłynęło do nas. Wzięło szkuner na cumy.

Tak ciągnieni wspólnymi siłami, ruszyliśmy ku osiedlu Warraulów, leżącemu tuż, tuż, o ćwierć zaledwie mili od dotychczasowego postoju. Tymczasem Manauri i Arnak przynieśli mi hiszpański mundur kapitana okrętu, ów paradny, piekielnie gorący mundur, z którym nie chcieli się rozstać – i kazali mi szybko wdziać go na siebie. Polegałem na ich znajomości tutejszych zwyczajów, przetom nie wzbraniał się i wzięłem szaty. Również włożyłem na nogi buty Arasyba, przypasałem do boku szpadę o rękojeści z perłowej macicy, a za pas wsadziłem srebrny pistolet. Ale szczytem uświetnienia i wystawności okazała się skóra jaguara.

Ach, teraz zrozumiałem! W ostatnich dniach podróży kobiety nasze wydobyły skórę na pokład i od rana do wieczora pracowicie garbowały ją, miętosily, nacierały, gładziły, aż zmiękła zupełnie, a sierść nabrała pięknego połysku. Była to skóra jaguara, ubitego wspólnie z Arnakiem i Wagura na bezludnej wyspie. Teraz oto wsadzono ją na mnie w ten sposób, iż głowa drapieżnika przykryła moją głowę pozostawiając jedynie twarz odsłoniętą, a reszta skóry luźno zwisała mi na plecach i boki aż do stóp. Tej maskarady skutki okazały się nadspodziewanie dobitne. Towarzysze patrzyli na mnie jakby na bóstwo jakoweś, a przekornej zazwyczaj Lasanie oczy jeszcze bardziej niż zwykle zwilgotniały ze wzruszenia i stały się niewymownie piękne. Coś mnie polechtało jakby próżnością, alem pohamował to, zawstydzony, i zagadnął Manauriego:

–Słuchaj, wodzu! Zabawa zabawą. Ale czy ręczysz, że tu nie grozi nam żaden podstęp?

–Nie ma podstęp! – zapewnili mnie Manauri i Arnak. – Wierz nam!

Tymczasem dopłynęliśmy do wsi. Na porębie, wydartej puszczy, stało na wysokich palach kilkanaście chat, a raczej szalasów z dachami, przeważnie bez ścian. Domostwa były rozrzucone tu i ówdzie, z dala od siebie. Natomiast w pośrodku polany, tuż nad samą wodą, wznosił się, również na palach, rozległy pomost, mierzący chyba przeszło sto kroków wzdłuż i sto wszerz. Na tym to pomoście stało także kilkanaście chat, ale jedna blisko drugiej, jakieś okazalsze i większe niż tamte, rozsiane w sąsiedztwie. Otaczały z trzech stron nie zabudowaną przestrzeń: był to dziedziniec na pomoście, otwarty w stronę rzeki. Tamże na dziedzińcu, pod obszernym dachem z liści palmowych, oczekiwał nas wódz Jekuana w otoczeniu starszyny, składającej się z kilkunastu wojowników, uzbrojonych w łuki, oszczepy, maczugi i tarcze. Wódz był człowiekiem potężnej tuszy i on jeden siedział na stolcu bogato rzeźbionym, reszta stała dokoła. W pobliżu były trzy puste stołki, zapewne przeznaczone dla nas, gości

Wszyscy ci ludzie mieli malowane ciała, obficie ozdobione naszymi naszyjnikami, przepaskami, sznurami nanizanych zębów dzikich zwierząt tudzież barwnych owoców. Ale tylko jeden Jekuana nosił na głowie pióropusz, z czego wnioskowałem, że to godło wodzowskie i że Arawak Fujudi, tak samo w pióra wystrojony, uważał się za równego wodzowi. Jak mnie pouczono, ceremonia nakazywał, by Jekuana oczekiwał nas siedząc na stolcu, a dopiero po naszym zupełnym doń zbliżeniu się powstał i przemówił. Tymczasem wódz, jak gdyby osłupiał czy olśniony naszym widokiem, nie wytrzymał. Zaledwie wspięliśmy się po drabinach na pomost i stanęli na jego krawędzi – ja i kilku towarzyszy, uzbrojonych dla większego wrażenia w rusznice, reszta bowiem pozostała na szkunerze pilnując dobytku – gdy Jekuana pomimo otyłości zerwał się z siedzenia i żywo podszedł do nas.

Przemówienie jego, tłumaczone przez Fujudiego na język arawaski, na szczęście nie było długie, za to nader serdeczne, po czym równie grzecznie odpowiedział mu Manauri. Pod dachem, wedle stołków, stało kilka olbrzymich garncy glinianych, mieszczących każdy w sobie dobrych dwieście kwart i wypełnionych mętną, żółtawą cieczą. Gdy Jekuana, Manauri i ja siedliśmy, zaczęto tykwami czerpać płyn i rozdawać go nam do picia. Był kwaskowy, cuchnący, ale nie wstrętny i zawierał nieco alkoholu.

–To kasziri – szepnął Arnak stojący za mną – napój z kassawy. Nie pij za wiele!

Jednocześnie rozległo się rytmiczne bicie kilku bębnow i na dziedziniec wpadli drobnym krokiem mężczyźni i kobiety w dwóch rzędach. Do wtóru dość jednostajnego śpiewu krążyli w koło tanecznym truchcikiem, w powietrzu czyniąc rękoma łagodne ruchy. Twarze ich były surowo poważne.

Wśród nich uwijał się człowiek w masce, przedstawiającej jakieś upiorne straszidło, i spełniał czynność niby wodzireja. Przy tym tańczył na swój sposób, rzucał się jak szalony i w płasach przedstawiał jakieś polowanie czy bitwę.

–To czarownik! – tłumaczył Arnak.

–Może to ten, co przedtem wywoływał dziwne głosy.

–A juści...

Jekuana był osobliwym Indianinem, bo nie tylko wyróżniał się obfitością ciała, ale i nader wesołym usposobieniem. Śmiał się stale do wszystkich, zwłaszcza do nas, gości, paplał żartobliwe opowieści, zachęcał do picia. Tykwy z napojem kasziri krążyły bezustannie od ręki do ręki, ale ja coraz mniejsze pociągałem łyki, a w końcu tyłkom maczał usta. Mimo to mnie, odwykłego zupełnie od trunków, zamroczyło z lekka i zrobiło mi się potwornie gorąco. W okrutnie parnym powietrzu pot lał się z czлека strugami, i to nie tylko ze mnie, ze wszystkich. W pewnej chwili w przystępie zuchwałości i rozpachy zdarłem ze siebie skórę jaguara, cisnąłem ją na pomost i z pasją przydeptałem butem. Sądziłem, że ludzie się oburzą, ale nie. Przeciwnie. Jekuana ruch mój przyjął z podziwem jako objaw władczej potęgi nad naturą jaguara i wołał klaskając w dłonie:

–Biały Jaguar!... Nasz brat: Biały Jaguar!...

Tym zachęcony, ściągnąłem z siebie kapitański mundur i równie zamasyście rzuciłem go na skórę jaguara. Indianie wzięli to za znak pogardy dla Hiszpanów i cieszyli się wśród okrzyków:

–Pogromca Hiszpanów! Zabójca Hiszpanów!...

Niektórzy zaraz pragnęli przytaszczyć Pedra przed nasze oblicze i poigrać z jeńcem ku uciesze serca, a dokuczyć mu dokumentnie, ale – poważniejąc – ostrzegł ich, by odstąpili od niewczesnych zachcianek, a jemu spokój dali – i dali spokój.

Tymczasem na dziedzińcu, tuż przed nami, tańce i śpiewy odbywały się bez przerwy, przy Czym ogólna wrzawa rosła z minuty na minutę. Powoli namiętny nastrój zabawy i mnie się udzielał. Oszołomionemu tym wszystkim po spólu: wypitym kasziri i tańcami, i zgiełkiem, i dusznością powietrza – widziała mi się nagle fantastyczną i dziwną moja obecność i moja rola wśród rozochoconych Indian. Czyż naprawdę w to leśne ustronie u ujścia gorącej rzeki wenezuelskiej zapędził mnie los? Czy to rzeczywiście ja, Wirginijczyk Jan Bober, śmiałem się bezmyślnie do grubasa Jekuany, oglądałem tańczących bez ustanku Indian, podchwytywałem zalotny uśmiech jakiejś hożej dziewczyny, wchłaniałem w siebie niepojętą, niezgłębioną obcość tych ludzi, jakże odmiennych, jakże nedorzecznie dalekich a przecież przyjaznych?!

Obcość tych ludzi. Tak. Niespodziewane wtargnięcie w sarn środek tajemniczej uroczystości Warraulów, w sam wir ich pijackiej zabawy wydało się urojeniem, snem zabląkanego. Wszakże zaraz napływało inne uczucie, serdecznego ciepła. Warraulowie byli mi obcy, to prawda, ale za to moi towarzysze podróży, zbratani wspólną dolą i niedolą, jakże bliscy! Byli mi tak bliscy, że kochałem ich jak swą rodzinę, w ich gronie doznawałem takiego poczucia wspólności, że zastępowało mi niemal ojczyznę. Owładnięty głębokim przywiązaniem, czułem się osobliwie silny, obwarowany, iż nawet na cudactwa tak obcego świata patrzyłem jak spoza bezpiecznej palisady.

A cudactwa były zdumiewające! Nagle pojawiło się tuż przed moimi oczyma ptaszysko niby z bajki wyjęte, bo tak olbrzymich rozmiarów biały bocian o czarnym dziobie do góry zadartym. Przez chwilę patrzył na mnie zdębiały, widocznie byłem dla niego równie dziwną poczwara jak on dla mnie, a potem z całym spokojem zabrał się do wyżerania pieczonych ryb, rozłożonych przede mną na szerokich liściach. Ludzie ze śmiechem go odpędzali; on natychmiast z ponurą namiętnością wracał i dalej kradł, co wlało pod dziób. A wtem kilkanaście oswojonych małp przyłączyło się do niego i, zerkając podejrzliwie w stronę dziwołaga, to jest białego człowieka, siały spustoszenie wśród zapasów słodkich owoców. Oblaskawionych ptaków i czworonogów innych kręciło się między nogami ludzi co niemiara.

Naraz bębny ucichły z wyjątkiem jednego. Tancerze ustali i rozproszyli się. Wszędzie, gdzie na pomoście sterczały pale, porozwieszano na nich poziomo niewielkie, podłużne sieci, które nazywano hamakami. Do dwóch z nich zaprowadzono parę młodych ludzi: wyrostka w wieku naszego Wagury i znacznie młodsze dziewczątko. Oceniałem je najwyżej na trzynaście lat wieku, ale rozwinięte nieźle piersi świadczyły o tym, że to już nie dziecko.

Byli to nowożeńcy. Ubrani jak większość tutejszych ludzi, on tylko w przepaskę z włókna dokoła bioder, ona w takiż fartuszek okrywający łono, więc niemal nadzy – musieli położyć się w dwóch hamakach wiszących obok siebie. Czarownik, który tymczasem zdjął z głowy maskę i okazał się starszym, choć żwawym jegomościem o nieprzytomnych ślepiach, tańczył teraz dokoła leżącej spokojnie pary, wykrzykiwał nad nią zaklęcia i wymachiwał dwoma niewielkich rozmiarów koszykami, szczelnie zamkniętymi. Mimo że wszyscy, nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, a nawet dzieci, mieli tęgo w czubie, cisza zapanowała na pomoście taka, jakby makiem zasiał. Jedyne przepędzone małpy, z daleka świegocąc, kwiliły. Zauważyłem, że Jekuana, ojciec młodziana, niemal wytrzeźwiał z przejęcia.

W pewnej chwili czarownik doskoczył do mnie i w dowód łaski pozwolił mi zajrzeć do jednego z koszyków otworzywszy na chwilę jego wieko: roilo się wewnątrz od tysięcy ruchliwych, rozwścieczonych mrówek. Potem wśród ogólnego napięcia czarownik położył jeden koszyk na nagiej piersi młodzieńca, drugi na piersi dziewczyny. Sąd mrówczy się zaczął.

–W koszykach są maleńkie otwory – tłumaczył mi Fujudi za pośrednictwem Arnaka. – Mrówki nie mogą przez nie uciec, ale mogą przez sitko kąsać. O, już tną!

Widać było po twarzach nieboraków, że mrówki w istocie nie próżnowały. Pot lał się z ciała obydwójga obficie, a jedno i drugie przygryzało z bólu wargi, lubo czyniło to nieznacznie, żeby się nie zdradzić.

–Rzecz w tym – wyjaśniał dalej Fujudi – żeby wszystko przyjęli mężnie, z wielkim spokojem. Niechby tylko poruszyli się z boleści, a jeszcze gorzej: jęknęli, koniec.

–Jaki koniec? – zapytałem.

–Nie mogą się żenić, na domiar wstyd okrutny!

–Nie mogą się żenić? – zwróciłem się do Arnaka. – To oni jeszcze nie żyli ze sobą?

–Aj, żyli, żyli, jeno potajemnie. Teraz będą żyli jawnie i mogą sobie zbudować

wspólną chatę, otwarcie jeść przy swoim ognisku, ona będzie dla niego ziemię uprawiała, on znosił jej ryby i zwierzynę...

–I dzieci będą mieli.

–Dzieci mogły już być dotychczas, to nie szkodziłoby... Ale jeśli teraz krzykną, to nic z tego jeno wielka sromota.

Czarownik nie oszczędzał ich. Co chwila wstrząsał to jednym, to drugim koszykiem, by mrówki doprowadzać do szału, i kładł go zawsze na innej części ciała. Bęben wybijał tymczasem coraz zapalczywiej swój głuchy wtór, a ludzie z coraz większym, nielitościwym napięciem śledzili młode ofiary. Ludziom znowu świeciły się oczy, alem już nie wiedział z jakiej przyczyny: od nadmiaru trunku czy z okrucieństwa utajonego. Uroczysty obrzęd doszedł do szczytu, kiedy czarownik otworzył koszyki i zawartość ich wysypał na ciała nowożeńców. Takie było mnóstwo mrówek, że miejscami pokryły ludzką skórę czarnym, grubym plastrem. Kąsając – co nawet z daleka było widać – szybko wszędzie rozeszły się i już nie było odkrytego miejsca na dręczonych ciałach, którego by nie gryzły i swym jadem nie napępiały. Młodzi trzymali się dzielnie, ani drgnęli. On większą dostał porcję mrówek i czasem wydało mi się, jakoby tracił już na poły przytomność. Kąśliwe owady wlażyły im hurmem także na twarze i trapieni musieli zamykać powieki, żeby nie wyżarły oczu. Ale mimo wszystko wytrzymywali bóle nadspodziewanie. Jedyne Indiance łzy zaczęły kapać ciurkiem spod przymkniętych powiek, przecież i ona ani nie westchnęła, ani się ruszyła. Po pewnej chwili mrówki zaczęły zlażyć z ciał i rozpraszać się na pomoście. Czarownik uznał, że nowożeńcy zdali próbę. Ale wtedy kilku niesfornych młodzianów oburzyło się głośno: ona nie zdała próby, bo leciały jej łzy, więc żenić się nie mogą. Wszakże inni stanęli w obronie pary. Powstał rwetes, wybuchła kłótnia. Tylko ze względu na nas, gości, nie doszło do bijatyki. Szybko większość Warraulów wzięła górę nad warchołami i uśmierzyła zazdrośników za pomocą niejednego szturchańca. Wnet na pomoście zapanował spokój i zgoda. Młoda para wyszła z opresji obronną ręką.

–Widziałeś to zajście? – odezwał się do mnie Arnak ściszoneg głosem, mimo że przecież po angielsku nikt tu prócz Wagury nie rozumiał.

–Jakie zajście? Mrówczy obrzęd?

–Nie, ta burda! Czy wiesz, o czym to świadczy?

–No?

–Że ich czarownik fajtłapa, jeśli przeciw jego wyrokowi mogą się tak awanturować.

To niesłychane!

–Tak myślisz?

–Gdzie indziej taka zuchwałość nie mogłaby się zdarzyć! Co orzeknie czarownik, to święte! Czarownik więcej w tych stronach znaczy niż wódz. Ale ten?!...

I Arnak pokiwał głową. Po odbyciu sądu mrówczego zabawa z pijatyką rozhulała się huczniej niż wprzód, jako że teraz mieliśmy coś w rodzaju wesela. Dla nas, starszyny, rozwieszono hamaki i kazano się w nich ułożyć. Zająłem i ja taką sieć i przyznam się, że było mi w niej nader wygodnie i przyjemnie. Znowu często krążyło kasziri, ale tylko udawał, że piję. Natomiast wielu naszych Arawaków srodze się strąbiło. Arnak, Wagura i Lasana na szczęście prawie nic nie pili i czuwali nad innymi. Niejednego z naszych użłopanego do bezprzytomności odprowadzali na pokład statku, by tam się wyspał. Bardzo podobała mi się wstrzeźliwa karność Murzynów. Widząc, że prawie wszyscy Arawakowie się upili i że to głównie uroczystość indiańska, w połowie zabawy Miguel i reszta Murzynów wycofali się na szkuner i tam pilnowali, by nikt niepowołany nie dobrał się do naszego mienia. Tymczasem Manauri, czując się w siódmym niebie, nie stronił od wypitki. Podchmielony, leżąc obok mnie, w żywą wdał się pogawędkę z Jekuana z pomocą Fujudiego. Musieli obaj wodzowie zwierzać sobie ważne tajemnice, bo Jekuana teraz rzadziej wybuchał wesołością, często czoło marszczył, a raz po raz ku mnie spojrzenia rzucał pełne przychylności. Wreszcie zlął z hamaku i przysunawszy stółek siadł obok mnie.

–Anau, wielki wódz, mądry Biały Jaguar! – śpiewnie zaczął wymachując nade mną rękoma, co widocznie wyrażało jego życzliwość. – Łebski z ciebie wódz,, potężny!...

–Wbijasz mnie, Jekuano, w dumę! – zaśmiałem się. – Manauri pewnie nabredził

ci o mnie rzeczy niestworzonych.

–Ehe, niestworzonych? – powtórzył Warraul, chytrze mrugając okiem na mnie

–Biały Jaguar jeszcze na domiar skromny! A kto ma tyle ognistych zębów, że bum, bum, bum! – poszarpie wszystkich wrogów?

Jekuana z szacunkiem wskazał na srebrny pistolet, który odłożyłem przed siebie, kładąc się do hamaku.

–Mam takie zęby, to prawda! – przyznałem, rozbawiony.

–A kto skłonił swoich towarzyszy – ciągnął dalej wódz tym samym pochlebny

tonem – żeby wszyscy, wszyscy nauczyli się kąsać ognistymi zębami? Biały Jaguar skłonił.

–I to także prawda! – przyświadczyłem wesolo. – Ale spójrz teraz dokoła!

Moje

ogniste zęby strasznie umieją kąsać, ale twój kasziri, chociaż to tylko napój, jednak mocniejszy.

Przy tych słowach spojrzałem wymownie na kilku pijanych Arawaków. Wszyscy obecni gruchnęli śmiechem, a Jekuana z chępliwym żalem przyznał, że taka to natura Indian, niepoprawnych, strasznych opojów. Chcąc rozmowę skierować na pożyteczniejsze przedmioty, zapytałem Jekuanę, co wie o Anglikach, mieszkających pono u ujścia rzeki Esseąuibo, do których chciałbym kiedyś się udać. Ale wódz zbył moje pytanie i niewiele mógł, czy nie chciał mi powiedzieć, jeno tyle, że tam gdzieś na południu w istocie żyją Anglicy, i że są znacznie życzliwsi dla Indian niż Holendrzy, za to Holendrów jest więcej i są gorsi...

–Oo, Holendrzy! – wzdrygnął się Jekuana jak na myśl o czymś nader przykrym.

–Tak wam wleźli za skórę? – zaciekawilem się.

–I jak jeszcze! Oni sami – nie. Ich zbiry, łapacze niewolników...

Ale jakby za wiele powiedział, ugryzł się w język.

–Ty, Biały Jaguarze – po chwili zwrócił się do mnie proszącym głosem – ty

teraz płyn na zachód, nad rzekę Itamaka, a nie na południe. U nas, Warraulów, i u Arawaków nad Itamaką znajdziesz otwarte serca, wielce ci przychylne, bo przybywasz w osobliwej chwili, kiedyśmy ci bardzo, bardzo radzi. Tu znajdziesz szczerych przyjaciół.

–Jakaż to osobliwa chwila?

Jekuana znowu uchylił się od odpowiedzi udając, że nie słyszał pytania, a może w istocie zanadto był podchmielony. Raz przy razie klaskał w dłonie, by przywołać usługujące mu kobiety. Kazał im wciąż nalewać kasziri i także podawać owoce oraz inną strawę. Były to przeważnie trzpiotowate podlotki. Jak ochocze sarenki obskakiwały nas dokoła, ale wśród nich uwijały się i dojrzsze dziewczyny, lubo tak samo wesole jak te najmłodsze. A dwie z nich klęknęły wedle mego hamaka zabawnie zakłopotane i podniecone, jedna przez drugą

szczebiotały do mnie jak dwa lube ptaszki.

–Czego one chcą? – zapytałem stojących dokola towarzyszy.

Fujudi zaśmiał się:

–At, figlują sobie, zbytkują.

–Jak to figlują? Co tam mówią?

–Mówią, że dla ciebie nie bałyby się mrówek...

Wszyscyśmy wzięli to za dobry żart, ale po chwili Lasana,

stanowcza, choć uśmiechnięta, chwyciła młode zalotnice za karczki, wyrzuciła je spod mego hamaka i przegnała.

Słońce dotykało już wierzchołków puszczy, dzień przygasał. Jekuana był bardzo ciekaw zobaczyć wszystką naszą broń, więc zaprowadziłem go na statek i kazałem rusznice wynieść na pokład. Zrobiły na nim wrażenie. Wódz spoglądał na oręż z niemym szacunkiem przez godną chwilę, potem zapytał, kiedy zamierzamy ruszyć dalej.

–Jutro, oczywiście.

–Po wschodzie słońca będzie przypyływ morza. Wtedy wypłyniemy.

–Ty także?

–Ja także. Muszę was zawieźć do Oronapiego. Już zawiadomiłem go o waszym przybyciu.

–Oronapi – któż to?

–To głowa wszystkich południowych Warraulów, główny nasz wódz.

–Moim towarzyszom, Arawakom, spieszno nad rzekę Itamaka! – przypomniałem.

–Nie przeszkadza! Siedziba Oronapiego, Kaiiwa, leży po drodze, tak samo nad brzegiem Orinoka, o dwa dni jazdy stąd.

–Aa, skoro tak, to możemy tam zawinąć.

Jekuana do tych odwiedzin przywiązywał niezwykłą wagę. Później ujął mnie za ramię i

zaprowadził opodal nad brzeg rzeki, gdzie leżało kilkanaście łódek, na pół wyciągniętych z wody. Niektóre były małe, z kory drzewnej, inne znacznie większe, wykonane z całego pnia, wewnątrz wypalonego. Wódz oświadczył, że daruje mi jedną z tych wielkich i że mam ją sobie wybrać. Taka łódka, mogąca pomieścić dwudziestu i więcej ludzi, przedstawiała nie byle jaki majątek, więc nieoczekiwana hojność Jekuany wprawiła w radosne osłupienie i mnie, i wszystkich obecnych Arawaków.

–Nic w tym nadzwyczajnego! – bronił się wódz. – Wasze trzy hiszpańskie

łodzie

zbyt ciężkie na te wody. Taka wąska łódź wam się przyda, bo lotna jak strzała. Zresztą, zakończył nie ukrywając zagadkowego uśmiechu – na wojnie tylko indiańska łódź pożyteczna.

–Ej, na wojnie?! To wojną nas straszysz?

–Nie straszę, Biały Jaguarze. W tej puszczy wojna czyha za każdym krzakiem i nie unikniecie jej, także i ty nie, i ty nie! Dlatego miej śmigłą łódź.

Wybuchnął znowu swą zwykłą wesołością i nie wiedziałem, jak przyjąć dziwne jego słowa. Nie chcąc być mu dłużny, poprosiłem go, żeby wybrał dla siebie jakąś broń z naszych zapasów; wybrał szpadę, godło wodzowskiej władzy widocznie dosadniejsze aniżeli rusznica. Kiedym później leżał w hamaku i przed zaśnięciem przebiegał myślami rojne wypadki tego dnia, nie mogłem się dość nadziwić gościnności i uderzającej wprost serdeczności War-raulów. W ich nieoczekiwanych uczuciach do mnie było jakby coś oszołamiającego; tak samo zresztą jak idące z pobliskiej puszczy zapachy błotnisk i butwiejących roślin, i jak przenikliwe wrzaski nocnego zwierza odurzały nasze zmysły, ogłuszały nas.

7. Przymierze

Z

Warraulami

Podjęta nazajutrz żegluga w górę rzeki nie nastroczała trudności: podczas przyływu morza bystry nurt niósł nas w głąb łądu i szkuner, na dodatek chwytający w żagle porywiste wiatry od oceanu, dobre czynił postępy. Gdy po kilku godzinach odpływ morza zmieniał prąd na przeciwny, zarzucaliśmy pod brzegiem kotwicę i czekali na następny przyływ. Do diaska, jakież fantastyczne, co tam: oszalałe, pieniało się dokoła bogactwo przyrody! Przecieżem słyszał o nim niejedną gadkę, a jednak trudno było obecnie nie wpadać często w zachwycenie. Ileż tam ryb różnorodnych, dziwnie olbrzymich, przewalało się w mętnych nurtach, wyskakując nad powierzchnię wody; ileż małą dokazywało w gałęziach przybrzeżnych drzew! Jakież tam tajemnicze skrzeki drażniły naszą wyobraźnię! A cóż to było za olśnienie dla oka i serca, gdy wysoko nad nami leciały na niebie najurodziwsze z ptaków, potężne papugi, promieniujące nieprawdopodobnym kaprysem barwnych piór – cudowne ptaki, nazywane przez Indian

arakanga i ararauna! A dopiero puszcza, pokrywająca wszystkie brzegi! Puszcza zwariowana, obłądna bajka w zieleń zaczarowana, tętniąca szumem miliarda owadów, tak wściekle pogmatwana i zbita, i spleciona, że bez miecza nijak niedostępna – taka puszcza przechodziła ludzkie pojęcie! Szumiąca miliardem owadów, otóż to! Ja, rodzony i wychowany w lesie wirginijskim, lasem karmiony, lasowi oddany miłośnik, mógłbym mniemać się w raju – gdyby nie paskudne owady. Roje ich, a zwłaszcza potwornie kłujące komary i muszki rodem z piekła, dniem i nocą zatruwały nam życie. Jużem zrozumiał, że trzeba będzie przeprosić hiszpańskie koszule i spodnie i przywdziać je na nowo, osobliwie podczas przedzierania się przez zarośla. Nogi potrzebowały również ochrony, więc kazałem kobietom sporządzić sandały z końskiej skóry, jaką mieliśmy na pokładzie. Ułomność Arasyba polegała jeno na tym, że jego lewa noga, ongiś złamana i źle zrosnięta, była krótsza niż prawa. Noszenie ciężkich butów hiszpańskich okazało się psą niewarte. Głowiąc się nad sposobami obucia, wpadłem na pomysł, żeby i kulawiec nosił jak ja sandały, jeno lewy o wielokrotnie grubszej podeszwie. Pomysł był prosty, ale w skutkach wręcz nadspodziewany Arasybo przestał prawie utykać. Kaleka po ludzku dziękować nie umiał, jednak zauważyłem, że był wzruszony i gotów na swój nieporadny sposób nieba mi przychylić. Oprócz darowanej mi łodzi towarzyszyła nam w górę Orinoka druga z załogą dwudziestu kilku Warraulów. Sam Jekuana płynął wraz z nami na szkunerze, natomiast wielu towarzyszy, Arawaków, wołało przesiąść się z żaglowca do mej łodzi i wiosłować. Miłe nastroje, jakie panowały we wsi Je-kuany, trwały nadal. Po drodze nie było końca wesołym przyśpiewkom i ludzie chętnie ucinali sobie przyjazne gawędy. Mieliśmy jeszcze cały dzień żeglowania do Kaiiwy, kiedy Orinoko, przy ujściu podobne do niezmiernej zatoki, przybrało teraz znamiona rzeki, szerokiej co prawda na kilka mil, wszakże wyraźnie już rzeki. Ludności nie zauważyliśmy dotychczas ani śladu, ale obecnie docierały do nas z puszczy odgłosy bębnow. Gdyśmy przepływali, mieszkańcy na brzegu rzeki, niewidoczni w zaroślach, uderzali w swe drewniane pudła i bili odtąd bez ustanku. Słyszeć ich było bardzo daleko, a brzmiało to radośnie i niesamowicie zarazem. Jekuana kraśniał i wołał do mnie:

–Witają ciebie, Biały Jaguarze! Jesteś im miłym bratem!

–To Warraulowie tam?

–Ehe!

Czasem jakaś mała łódka odbijała od brzegu z dwoma, trzema wioślarzami, którzy wymachiwaniem rąk z daleka dawali nam przyjazne znaki. Zanim dotarliśmy do wioski Oronapiego, zwołałem Manauriego, Arnaka i Wagurę na naradę.

–Czy Arawakowie i Warraulowie zawsze byli tak wielkimi przyjaciółmi?

zapytałem ich.

–Nie – odparł wódz krótko. – Gryźli się często z nami.

–Więc czym tłumaczyć sobie ich obecną żarliwość?

–Teraz się zmieniło.

–A nie wydaje ci się to dziwne; taka nagła zmiana?

–Nie.

–Mnie to dziwne! – wtrącił się Arnak.

–Mówię wam, nic to dziwnego! – uspokajał nas Manauri z całym przekonaniem

i z zagadkowym uśmiechem jakby wtajemniczonego. – Zresztą tu nie tylko o nas, Arawaków, chodzi, lecz przede wszystkim o ciebie, Janie! Ciebie witają!

–Właśnie tego nie rozumiem.

–A ja rozumiem. Czy przypominasz sobie, jak Jekuana mówił, że wojna czyha za

każdym krzakiem? Coś mi się widzi, że to nie był pusty żart – a ty masz sławę zwycięskiego wodza.

–Boś im za wiele o mnie gadał, gaduło! – obruszyłem się.

–Gadałem, Janie, ale nie za wiele! To było potrzebne!

–Więc na jaką wojnę się zanosi? Z Hiszpanami?

–Nie.

–To z kim, do licha?

–Jeszcze nie wiem. Ale czy dzikich Karaibów mało w głębi lądu?

–A Warraulowie to szczep karaibski?

–Nie.

Widoki wplątania nas w jakąś tam niewiadomą zawieruchę niezbyt mi się uśmiechały, za to odnosiłem wrażenie, jakoby były wodą na młyn Manauriego. Czyżby wódz spodziewał się, że wśród zamieszek wojennych łatwiej odzyska wpływy w swym szczepie? Widocznie. W miarę zbliżania się do siedziby Oronapiego, którą Warraulowie nazywali Kaiiwa, bębny na brzegu były coraz gorliwiej, nawet przez całą noc nie ustając, miejscami zaś słyhać je było z wielu jednocześnie stron. Wtedy w istocie można było sądzić, że to cała puszcza triumfalnie a burzliwie gotuje nam powitanie. Gdy podpływalismy już pod samą Kaiiwę, musiałem znowu wdziąć na siebie mundur kapitański, złotem szamerowany, i ciężkie buty na nogi, i skórę jaguara na głowę, a nie zapomnieć o srebrnym pistolecie ani o szpadzie perłową macicą wykładanej, ani – co najważniejsze wedle pouczeń Manauriego – ani o buńczucznej, groźnej

minie. Kaiiwa nie miała wspólnego pomostu jak wieś Jekuany, lecz chaty stały osobno na palach, wbitych w ziemię. W cieniu największej z nich, oddalonej o dwieście kroków od brzegu, czekał na nas Oronapi na czele orszaku swej starszyny. Wszyscy, ale najbardziej Oronapi, byli wystrojeni w barwne pióra, naszyjniki i świeże malowanki na ciałach, a u boku mieli maczugi bogato rzeźbione. Jedynie wódz naczelny siedział na stolku, obok zaś widniało kilka pustych siedzeń – co widocznie odpowiadało uświęconemu ceremonialowi. Po naszym wylądowaniu Oronapi nie wyszedł ku nam naprzeciw, jak to uczynił w swej wiosce Jekuana, lecz nadal siedział dumny i nieruchomy, wpatrzony w naszą grupę. Więc powolnym krokiem podjąłem w jego stronę pochód w otoczeniu Manauriego, Jekuany, Arnaka, Wagury i Fujudiego. Ale Oronapi i teraz jeszcze nie powstał. Zapewne miał o sobie wysokie pojęcie i chciał siedzieć, dopóki nie zbliżymy się zupełnie. Po przebyciu mniej więcej połowy drogi Manauri szepnął mi, żeby się zatrzymać. Tak też uczyniłem. Wtedy Jekuana pomimo otyłości chyżo przyskoczył do mnie i, pełen ożywienia i grzeczności, zapraszał do dalszego marszu. Ale Manauri warknął na niego, żeby stulił gębę i sam szedł sobie dalej bez nas. Jekuana zamilkł, sapał zmartwiony i nie wiedział, co począć. Oronapi, widząc z daleka, co się dzieje, zaniechał dumnej postawy i szybko wstał. Zbliżał się do nas krokiem mniej godnym, niż się należało. Już z daleka okazywał radość i wołał ochoczo: – Chodźcie, przyjaciele! Chodźcie śmiało, chodźcie śmiało i wesolo, chodźcie śmiało, wesolo i zdrowo, chodźcie... Powtarzając w kółko miłe słowa powitania, zbliżył się, ujął mnie za ramię i zaprowadził wśród życzliwej wrzawy w cień pod dachem. Lody między nami – jeśli w ogóle były – w mig stopniały. Stanąwszy przed stolkiem Oronapiego, przyglądałem się drewnianemu zydłowi z nadmierną uwagą, jakby na jakie dziwo – i w końcu zapytałem z udaną powagą: – Czy rzeczywiście taki wygodny, że trudno z niego powstać? Oronapi zrozumiał przytyk i przyjął go na wesolo, i natychmiast poprosił, żebym siadł na tym stolku: – Spróbuj ty sam, Biały Jaguarze! Więc zasiadłem na jego wodzowskim stolku i zaczęły się tańce, śpiewy, pożeranie smażonych ryb, zwierzyny i słodkich owoców, przeplatane piciem kasziri (w którym maczałem tylko usta!), słowem: rozpoczęła się uczta całą gębą, tak ochocza i w tak serdecznym nastroju, że wszystko to przechodziło nasze oczekiwania. W pewnej chwili szepnąłem do siedzącego obok Arnaka, po angielsku oczywiście:

–Czy rozumiesz to wszystko, Arnak? Ja – nie!

–Niezwykła ich gościnność, to prawda!

–Czy zawsze byli tacy gościnni i mili?

–Ja ich nigdy nie znałem, ale Manauri mówi, że nie zawsze oni tacy...

–Więc co? Wojna o włos?

–Nie inaczej, wojna im jakaś grozi...

Wyrzekł to z ogromną, niewzruszoną pewnością siebie, ażem wybuchnął śmiechem, nie tylko z niego, ale na myśl ó niedorzecznym skojarzeniu: jakaż wojna mogła tu grozić, jeśli ludzie okazywali tyle radości i mogli tak ochoczo się bawić? Oronapi, w przeciwieństwie do jowialnego

grubasa Jekuany, wydawał się być usposobienia raczej pochmurnego i surowego, posiadał maniery nieco szorstkie, ale tego dnia starał się być nad wyraz grzeczny. Cały tonął w życzliwości do nas i chęci przypodobania się. Tak mu wyraźnie zależało na nas, że zabiegi jego nieco mnie śmieszyły i sam będąc w różowym humorze, bom kasziri jednak coś niecoś wypił, kazałem go wręcz – może zbyt obcesowo – zapytać, czemu i jakim pomyslnym wiatrom mam przypisać jego niezwykłą gościnność i grzeczność. Oronapi spojrział na mnie, zaskoczony takim pytaniem, ale zmieszanie jego nie trwało długo. Spoważniał. Utkwił zamyślony wzrok w tykwę kasziri, jaką trzymał w ręku, i po chwili napój wylał daleko od siebie na znak, że nie chce teraz pić.

–Zależy mi na sojuszu z tobą! – wyrzekł z przyciskiem, patrząc mi mocno w oczy. – Zależy mi na twojej przyjaźni, Biały Jaguarze!

–Domyślam się tego – odparłem lekko, nie wchodząc na jego uroczysty ton.

Ale czemu ci tak zależy na tym?

–Chcesz wiedzieć? Zależy mi, bo umiesz się bić! Ty i twoi towarzysze umiecie się bić!

–To tak wyjątkowe i tak ważne?

–Tak, to tak ważne!

Nastąpiła chwila milczenia.

–Słuchaj teraz, Biały Jaguarze, co ci powiem!

I Oronapi wyluszczył prośbę, skierowaną mniej do mnie niż do Manauriego, ażebyśmy, nie płynąc dalej, osiedlili się tuż wedle jego wsi, gdzie na wywyższonym brzegu rósł tęgi las i było wiele płodnej ziemi na uprawę roli. Oronapi przyrzekał udzielić nam wszelkiej pomocy przy zagospodarowaniu się, a że niewiele było u nas kobiet, naczelny wódz postanowił wszystkim wolnym na naszym statku mężczyznom przydzielić co najzdrowsze dziewczyny na żony i towarzyszki.

Niektórym Arawakom słowa te wielce przypadły do smaku, bo już kasziri tego rozgrzało ich umysły, a krzątające się wokół dziewczęta warrauskie nieszpetyne były dla oka i chwytu – wszakże Manauri w grzeczny sposób dziękując Oronapiemu za hojność oświadczył, że nie może przyjąć jego zaproszenia, bo obowiązkiem jego zgłosić się w swoim szczepie.

–Ale będę zawsze pamiętał twoje słowa – zakończył.– I jeśli, wodzu Oronapi,

zażadasz kiedyś od nas usługi, nigdy ci jej nie odmówimy, choćby chodziło o odparcie wroga, co

oświadczam przy tak dostojnym świadku, Białym Jaguarze. Natomiast sami liczymy na to, że w razie naszej biedy – znajdziemy u ciebie pomoc!

–Znajdziecie pomoc! – pośpieszył Oronapi z zapewnieniem.

Wtedy, mając już dość tych niedomówień i uroczystych zapewnień, zażądałem od naczelnego wodza, żeby mi otwarcie powiedział, co się święci nad rzeką, na co się zanoszą, bom rad widzieć jasno rzeczy niejasne. – Masz rację, rzeczy niejasne! – potwierdził Oronapi. – I wiedzieć powinniście, co nam tu grozi... Podczas gdy zabawa wśród tańca, śpiewów i bicia bębnow toczyła się dalej, kilku z nas – Oronapi, Jekuana, Manauri, Fujudi, Arnak, Wagura i ja – przysiadło się bliżej do siebie i pilnie słuchało tego, co nam mówił Oronapi, a tłumaczył Fujudi. Na zachodzie, nad brzegami Orinoka, były osady Hiszpanów, ale na ogół spokojne, natomiast na południu, blisko morza, nad rzekami Esseąuibo, Demerara, Berbice, Cajena, w krainie zwanej Gujana, usadowili się Holendrzy, Anglicy i Francuzi. Przybyli tam jako handlarze, by wymieniać towary na produkty Indian i jak długo jeno handlem się zajmowali, było dobrze. Najwięcej przypluwało z morza Holendrów i oni pierwsi oprócz faktorii handlowych zakładali plantacje dla uprawy rozmaitych cennych roślin. Do tej pracy potrzebowali usług ludności tubylczej, ale że Indianie niezbyt skorzy byli do trudu, plantacje zaś mnożyły się jak żarłoczne ryby sipari w rzece – Holendrzy zaczęli rozglądać się, jak sprostać potrzebom. Różne szczepy indiańskie żyły tam na południu, a więc Arawakowie w pobliżu morza i pokrewni im Wipisana w głębi lasów, i Atorai, i Taruma, którzy byli jeno odgałęzieniem Wipisanów. Wszelako oprócz tych szczepów spokojnych, głównie rolnictwu oddanych, istniały inne, karaibskie, zachłanne, chętne do wojaczki i rabunku. Wśród nich groźni dla sąsiadów byli Akawoje tudzież Karibisowie, obydwie szczepy grasujące bliżej morza, zaś Makuszi i Arekuna, czyli Taulipangowie żyli dalej w głębi kraju, bądź to w puszczy, bądź już na llanosach. Holendrzy rozmaicie znosili się z Indianami, czasem bratając się, czasem wojując z nimi, przecież kiedy coraz dotkliwiej zaczęli odczuwać brak niewolników na swych plantacjach, z niektórymi Karaibami, mianowicie tymi najbardziej wojowniczymi, zwąchali się namawiając ich, ażeby dostarczali im jeńców-niewolników. Więc uzbrojone przez Holendrów hordy urządzały zuchwale napady na sąsiednie szczepy – Akawoje łowiąc niewolników na zachodzie i północy gdzie zapuszczali się do brzegów Orinoka, Karibisowie zaś na zachodzie i południu, niosąc pozożę pono aż nad górne Esseąuibo i rzekę Rupununi. Niektóre okolice zamieniali w pustkowia bezludne. Wszędzie tam, gdzie wiodły ich krwawe szlaki, siali przed sobą grożę, pozostawiali za sobą lzy a złapanych żywcem jeńców wlekli na plantacje holenderskie.

–I dawno się tak srożą? – zapytałem.

–Od wielu, wielu lat. Ale ostatnimi czasy coraz gorzej.

–A krzywdzone szczepy nic? Potulne jak sarniątka? Nie mają maczug, dzid, luków?

–Mają, ale tamci wprawni do rozbojów, skorsi do rozlewu krwi – jednakowoż

inne szczepy nie mają tego okrucieństwa, zadowolają się uprawą roli albo rybołówstwem jak my, Warraulowie. A do tego Akawoje władają lepszą bronią, nawet rusznice od Holendrów dostali. Któż im poradzi?

–I nie walczyście?

–Walczyliśmy, ale oni silniejsi, przykro to przyznać. Ludzie nasi jedni ginęli, innych porywano do niewoli. Teraz jedyny ratunek w ucieczce.

–Aż tak źle?! To wrogów jest pewnie znacznie więcej niż was?

Oronapi zapewnił, że ich w istocie znacznie więcej, lecz temu zaprzeczyli zarówno Jekuana jak Fujudi: Akawoje napadają przeważnie małymi grupami, liczącymi zaledwie po kilkunastu wojowników, rzadko kiedy kilkudziesięciu, ale nie ma sposobu na ich przebiegłość, ich zaciekłość, ich zwinność, ich krwiożerczość – to jaguary wcielone...

–Czy na naszych Arawaków nad Itamaką również napadli? – odezwał się

Manauri.

–Otwarcie jeszcze nie – odrzekł Fujudi. – Ale zeszłej pory suchej nasi myśliwi,

którzy poszli polować w góry Ima-taca na południu, tajemniczo przepadli, ślad wszelki po nich zaginął, a w pobliżu uwijała się banda Akawojów, jakieśmy później to spostrzegli...

–Sucha pora – podjął Oronapi – u nas już zawitała. Codziennie teraz mniej

deszczów, rzeki opadają. To czas dogodny dla wypraw wojennych. Doszły nas słuchy, że Akawoje nad rzeką Cuyuni szykują wyprawę w nasze strony...

–Może są już w drodze?

–Może.

Gęsta puszcza przylegała do chałup nie dalej niż o sto kroków. Widocznie pola uprawne mieszkańcy Kaiiwy mieli gdzie indziej, w puszczy. Jakże w tych okolicznościach łatwo byłoby wrogowi podkraść się zaroślami i napaść na nich zniemacka!

–Oronapi, czy wystawiłeś czaty? – zapytałem.

–Co takiego?

Nie rozumiał, co to czat wystawienie w czasie pokoju, a gdy mu wreszcie wytłumaczyłem zawile dłań pojęcie, zdziwiony wzruszył ramionami.

–Nie! – odrzekł.

–Trzeba wystawić czaty! – radziłem.

–Mówisz? – mruknął nieprzekonany.

I ucztowano dalej, środków ostrożności nie przedsięwziąwszy. Słyszac o Akawojach przypomnialem sobie wojownicze szczepy irokeskie w Ameryce Północnej; niezawodnie Akawojów można było nazwać Irokezami Południa. Przy tym wszystkim nie mogłem wprost nadzieić się lekkomyślności naszych gospodarzy. Toż to, nieopatrzni, wprost kusili los i wyzywali niebezpieczeństwo. Tegoż dnia stanęło przymierze między Oronapim a Manaurim i mną: uroczyście przyrzekliśmy sobie wzajemną obronę i pomoc. Na przypieczętowanie sojuszu Oronapi darował nam dwie łodzie, jedną wielką, z pnia wypaloną, zwaną itauba od nazwy drzewa, z jakiego ją zrobiono, drugą małą, z kory drzewnej, zwaną jabota, ażebyśmy chyżo mogli przy płynąć mu z odsieczą – na co ja wręczyłem wodzowi hiszpańską szpadę, jeszcze ozdobniejszą niż ofiarowaną Jekuanie. Poza tym daliśmy mu jedną z naszych hiszpańskich łodzi. Noc spędziliśmy w Kaiiwie, lecz dla bezpieczeństwa kazałem wszystkim towarzyszom spać na szkunerze i wyznaczyłem warty. Dobry statek dawno już stał się dla nas wiernym przyjacielem; był jak mała forteca, jak niezawodny opiekun i opoka. W nocy zbudziwszy się sprawdziłem naszą straż. Indianin, wyznaczony do czuwania, spał niestety. Tak samo spali wszyscy mieszkańcy Kaiiwy, jeno psy wśród chat poszczekiwały tu i ówdzie i puszcza jak zwykle wyprawiała swe nocne brewerie. Nazajutrz, skoro nastał przypływ od morza i rzeka zaczęła wzbierać, ruszyliśmy w drogę, żegnani bardzo serdecznie przez wszystkich Warraulów.

8. Naczelny

Wódz

I

Czarownik

Wdziecństwie matka opowiadała mi o greckim herosie Odyseuszu, blakającym; się po morzach, zanim powrócił do ojczyzny, i takimi Odysami widzieli mi się teraz towarzysze Arawakowie, wracający po latach niewoli do swoich rodzin. Ich wszystkich ponosiła uciecha bliskiego spotkania. Na myśl, że wkrótce ujrzą krewnych i przyjaciół, byli radośni i skupieni zarazem. Na drugi dzień po opuszczeniu Kaiiwy zebraliśmy się wszyscy na szkunerze, by raz jeszcze wspólnie się zastanowić i pogadać. Ja niewiele się odzywałem. Głos miał Manauri, jego też największa trapiła niepewność jutra. Nie trudno mu było przekonać ludzi: one chmury, kłębiące się na południu, od strony srogich Akawojów, groziły także najściem na brzegi Orinoka, do naszych toldów – czego najlepszym dowodem były nie tylko przestrogi Warraulów, ile ich zachowanie się, tak nam przyjazne. Jakież z tego wynikały dla nas wskazówki? Trzymać się razem kupy jak dotychczas, nie opuszczać jeden drugiego. My wszyscy, obecni na żagłowcu, winniśmy czuć się jednym rodem, braterskimi węzłami spojonym – tym bardziej że wieńczyła nas wspólna sława zwycięskich walk z Hiszpanami i wyprzedzał nas rozgłos posiadania niezwalczonej broni. Słowa Manauriego padły w serca, chętnie przyjęto myśl złączenia się w jeden ród, do którego – rzecz prosta – miano zaliczyć również wszystkich bliskich krewnych, żyjących nad Itamaką...

–Ale rodu pod jakim znakiem? – Rodu Żagłowca! – ktoś podsunął.

–Głupstwo! – skrzywił się wódz. – Rody nasze wywodzą się od zwierząt i zwierzęce noszą nazwy!

–Jest tylko jedna dobra nazwa! – wystąpił kulawy Ara-sybo. – Ród Jaguara...

–I to niemożliwe! – potrząsnął Manauri głową. – Ród Jaguara już istnieje. Jego głową jest Koneso, naczelny wódz.

–Ja wiem! – poderwał się Arnak. – Nazwiemy się rodem Białego Jaguara!

–Tak najlepiej! – z zapalem przyklasnął Arasybo.

Indianie rzucili ku mnie pytające spojrzenia, bo już widocznie nazwa

Białego Jaguara przykleiła się na dobre do mej osoby. Nie byłem temu przeciwny. Niech nazywają ród, jak im się podoba, byleby wyszła z tego korzyść dla jego członków i dla szczepu całego.

–Będzie to z korzyścią! – wykrzyknął Arasybo.

Jego uniesienie podzielali inni, boć i oni, jak Manauri, nie wiedzieli, co ich czeka nad Itamaka, natomiast tutaj zgodne zespolenie się naszej gromady było oczywiste, szczere i wróżyło trwałość.

Przecież był na statku ktoś, kto marszczył brwi i kręcił na to wszystko nosem – Fujudi. Przybyły na żaglowiec dopiero przed niewielu dniami, oczywiście do rodu należeć nie miał. Więc teraz ostrzegał ostrymi słowy, brzmiącymi niemal jak groźba, że takie powstanie nowego rodu może podważyć uświęcony od pokoleń porządek i zgodę szczepu.

–Wywołacie jeno gniew starszyny! – napomniał surowo. – Koneso tego nie pochwali, a cóż dopiero taką nazwę, zbliżoną do nazwy jego rodu!

–Nazwa dobra! – buńczucznie huknął Arasybo.

Wtedy Fujudi ostro i przeciągle nań spojrział, po czym zjadliwie wycedził: – Ty, synu kajmana, lepiej byś gęby nie rozdziawiał! Nie myśl, że twoje sprawki zapomniano!...

Słowa te wywarły nieoczekiwane wrażenie niby biczem smagnęły kalekę. W jego zezowatych oczach na chwilę zamigotał przestrasz. Arasybo natychmiast ochłonął i jakby się skurczył.

–Jakie to sprawki? – zapytał Manauri.

–At -machnął ręką Fujudi – nie ma co gadać! Lepiej nie wspominać!

–Jakżeś zaczął, to dokończ! – nalegał wódz.

–To warchoł, klótnik, rozbijacz! – oskarżał Fujudi, potępiającym palcem celując w Arasyba.

–Wytłumacz!

Przewinienie Arasyba było ciężkie: dopuścił się świętokradztwa. Będąc razem z innymi Arawakami jeszcze pod Górą Sępów, nie chciał się pogodzić z jakimś wyrokiem czarownika Karapany, wymierzonym przeciw jego rodzinie. Śmiało sprzeciwiać się jego nakazom, podkopywał jego powagę, ba, szalony oszczerca nie cofnął się przed obelgą głosząc, że Karapana to słaby czarownik. Wyłącznie wypadkowi z nogą i kalectwu Arasybo zawdzięczał, że nie wydano go na śmierć, jeno porzucono pod Górą Sępów...

Obecni na żaglowcu patrzeli na kalekę ze zgrozą i zdumieniem, iż tak niemrawy człeczyna

zdolen był do podobnego zuchwalstwa.

–Czy tak było? – skierował wódz pytanie do niego.

–Tak było! – mruknął Arasybo, ale przekora w jego oczach mówiła wyraźnie, że nie czuł się winny.

–Może czarownik okazał się niesprawiedliwy dla niego? – stanąłem w jego obronie.

Nikt na moje słowa nie odpowiedział, nawet nie wiedziałem, czy w ogóle na nie zważano. Widocznie powaga czarownika była nietykalna, sprawiedliwość jego nie podlegająca sądzeniu.

–Nie wiem, dlaczego utworzenie nowego rodu miałyby wywołać gniew starszyny! – zaczepnie odezwał się Manauri, nawiązując do poprzednich słów Fujudiego.

–Koneso takich rzeczy nie lubi! – odparł Fujudi krótko.

–Nie lubi?

–Może nie uzna ich.

Wódz niecierpliwie przygryzał wargi, oczy mu spochmurniały.

–Ale będzie musiał uznać to, że wracamy! – rzekł.

–To niewątpliwie.

–I to, że byliśmy w niewoli przez szereg lat...

–A jużci.

–I że widzieliśmy niejedną rzecz na świecie, nauczyli się wiele nowego i że

zła dola zmusiła nas do rozwagi. Musi zrozumieć, żeśmy stali się twardsi i bardziej rozgarnięci, i bardziej odporni, i mniej lękliwi...

Nieglupio wygarniał to Manauri; wódz miał, widać, swój rozum. Towarzysze słuchali go z uznaniem, natomiast Fujudi z naczupurzoną miną. Po chwili milczenia Fujudi zapytał:

–A kto ma być głową waszego rodu?

Manauri i kilku Arawaków spojrzęło na mnie.

–Nie! – zaprzeczyłem. – Nie ja! Wkrótce opuszczę was i popłynę na południe, do angielskich

faktorii. To jasne: Manauri jest waszym wodzem i głową!...

Puszcze po obydwu brzegach rzeki stały na potwornych trzęsawiskach nieprzebytych dla nogi ludzkiej. Milami całymi drzewa wyrastały z wody lub z mszarów całkiem wodą przepojonych. Kęp suchej ziemi było mało. Odór gnijącej roślinności, który szedł od bagnisk, miejscami tak odurzał, że mdło się robiło. Tu żyć by nie można. A przecież jak bujne, jak rozpełtane życie zwierzęce wrzało w tych przepadliskach. Puszcze grały od ptactwa, miliardy owadów brzęczały w parnym powietrzu.

Tum po raz pierwszy zauważył niezwykle motyle: tak okazało, że – wstrząśnięty – ledwie oczom własnym wierzył.

Były wielkie jak dwie dłonie i jasnobłękitne jak niebo, a przy tym błyszczące w słońcu jak metal. Wylatywały często z lasu krążąc nad naszym statkiem. Miały coś urzekającego w sobie: swym lazurem przenosiły człowieka w jakąś szczęśliwą krainę bajki, takie były osobliwe i czarujące. Indianie jeszcze potęgowali ich urok mówiąc, że niektóre motyle to duchy leśne, hebu, i to czasami bardzo złośliwe dla ludzi. Nie mogłem jakoś pogodzić złośliwości z taką urodą i wykpiłem androny Przyjaciół. Niezwykłość tudzież ogrom otaczającej przyrody przygniatały duszę. Puszcza była tak potężna w złowrogim majestacie, że w jej cieniu ludzkie sprawy i troski wydawały się znikomą blahostką i nieraz ginęły nam z oczu, jak ginie światło świecy w blasku słońca. Pewnego dnia zamajaczyły daleko na południu niezbyt wysokie, za to rozległe wzgórza pokryte lasami. Były to ostatnie krańce wielkiego pasma, nazwanego przez Pedra Sierra Imataca. Pasma ponoć ciągnęło się na przestrzeni prawie pół tysiąca mil od zachodu na południowy wschód i tworzyło barierę, za którą na południu toczyła swe nurty osławiona rzeka Cuyuni. Już sam widok odległych wzniesień sprawiał nam ulgę: tam przynajmniej nie było męczących moczarów. Siedliska Arawaków nad Itamaką leżały o kilka mil powyżej ujścia, tej rzeki do Orinoka, ale jeszcze zanim dotarliśmy do onego ujścia, brzegi, lubo wciąż bagniste, nasiąkały wielką przychylnością i wesołą nowiną. Wieść o naszym zbliżaniu się wybiegła przed nami, więc teraz ludzie wypływali nam naprzeciw. Z przybrzeżnych oczeretów i zalewisk wypryskiwały ich łódki ku naszemu statkowi. To Arawakowie-tubylcy witali powracających rodaków, ojcowie wypatrywali synów, bracia spotykali braci. Wielu przychodziło na pokład żaglowca i napełniało go wesołym gwarem. Jedyne do mnie tubylcy zbliżali się z ogromną nieśmiałością. Ledwie ważyli się patrzeć mi w twarz, pełni bojaźni i czci jakby do nieziemskiej istoty. Dopiero gdy widzieli, że człowiek zwykły jak wszyscy inni i przyjazny im, nabierali śmiałości.

–Prawią, że wiesz ze sobą jakowychś skarbów siła – wyjaśniał mi Manauri ze śmiechem.

Wódz promieniał. Oto nie poszedł wśród swoich w zapomnienie przez lata niedoli. Ludzie pamiętali o nim, uznawali go, witali z szacunkiem. Tylko trochę bolało go, że wśród pozdrawiających nie było jego brata, Pirokaja, obecnego naczelnika rodu, człowieka – jak mi Manauri nieraz wspominał – nieżyczliwego i zazdrością trawionego. Zresztą nikt ze starszyzny do nas na statek nie przybył, witali nas jedynie prości ludzie i zwykli wojownicy. Za to witali serdecznie, z radością nadspodziewaną.

Na czwarty dzień po wyjeździe z Kaiiwy podplywaliśmy do siedziby naczelnego wodza, Konesa. Miejscowość nazywała się Serima i leżała na suchym brzegu rzeki Itamaka, otoczona wspaniałą, wysokopienną puszcza. Bagna rozlewisk Orinoka tu już nie sięgały.

Ostatni dzień wielkiej podróży był upalny, duszny, bez wiatru i bez słońca, zakrytego białą zasłoną gorących oparów. Indianie kazali mi znowu przywdziać galowy strój kapitański. Sami również poubierali się w przeróżne hiszpańskie koszule i pludry tudzież przypasali zdobyczne kordelasy i szpady. Wyglądali dziwacznie i pysznie.

Uderzyło mnie tego dnia podniecenie Lasany. Chciała wciągnąć mnie do rozmowy, ale w ostatnich godzinach gwaru i przygotowań do lądowania jakoś trudno z tym było. Miała coś do mnie, poznałem to po jej częstych ku mnie spojrzeń.

–Co jej jest? – zapytałem Arnaka.

–Widać, jakieś babskie humory – wzruszył chłopak ramionami. – Lasana czegoś się niepokoi.

–A co ją ukąsiło?

Arnak tego nie wiedział, ale że młoda kobieta była niedaleko, kazałem ją przywołać.

–Co ci dolega, Czarowna Palmo? – palnąłem prosto z mostu. – Brak ci czegoś?

–Nie brak...

Indianka zmieszała się i wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle. Wielkie swe oczy starała się ukryć pod długimi rzęsami.

–Czy obawiasz się czegoś?

–Tak, obawiam się – przyznała szczerze.

–Wszyscy się cieszą, jeno ty się obawiasz? To mi dziwne! – skarciłem ją żartobliwie.

–A Manauri? – przypomniała z przekornym drgnieniem w kącikach ust. – Czy on również się cieszy i taki spokojny?

–On co inszego! On wódz, ty zaś młodziutka kobieta.

–A widzisz, właśnie: młodziutka kobieta! – powtórzyła z pewnym

rozdrażnieniem.

–I to nieszpeta – pochwaliłem obrzucając ją spojrzeniem.

Nie, tym razem Lasana nie myślała przekomarzać się jak zy/ykle. Ciężko było jej na duszy.

–Więc ostatecznie czego się lękasz? – zapytałem.

–Łądu! – odrzekła. – Szczepu, praw szczepu... Rozłaki...

Brzmiało to jakoś zagadkowo, ale nie było już czasu ani warunków, by wyjaśniać zawilosci indiańskich zwyczajów. A może Lasana wzdragała się mówić zbyt wiele przy Arnaku, naszym pośredniku?

–Janie! – odezwała się głosem prawie uroczystym, z powagą na twarzy – czy

przypominasz sobie, jak wzięłeś w obronę naszych towarzyszy, Murzynów, gdy Hiszpanie chcieli ich porwać do niewoli?

–Wtedy, na llanosach? Przypominam sobie.

–Tak, wtedy powiedziałeś, że masz ich pod swą opieką i że Hiszpanom nie wolno

ich ruszać... Janie! Weź mnie teraz tak samo pod swoją opiekę!

–Ciebie, Lasano?

–Tak, Janie! Mnie: kobietę – ty: mężczyzna!

Wyrzekła to z taką prostotą i dobroduszością, że chciało mi się zaśmiać. A to ładnego ćwieczka zadała mi podwika! Nie wypadało jej odmówić.

–Zgoda, biorę ciebie pod swą opiekę, Czarowna Palmo!...

Itamaka, rzeka niezbyt szeroka, ale nader głęboka i wciąż

jeszcze dostępna przyplywom dalekiego oceanu – pozwoliła nam dobić żaglowcem o parę kroków zaledwie od samego brzegu. Z łądu rzucono na krawędź pokładu kilka pni i po nich mogliśmy przejść na ziemię, nawet wyprowadzić konia.

Serima nie była wsią gęsto zabudowaną. Chaty jej, zwyczajem tutejszych Indian, stały rozproszone daleko od siebie. Wylądowaliśmy w samym środku osiedla.

Koneso, bogato przybrany w pióropusz i różne sznury z leśnymi paciorkami, oczekiwał nas w otoczeniu starszyny w cieniu rozłożystego drzewa. Wszystko przypominało przyjęcia u Oronapiego i Jekuany, ale gdyśmy przeszli połowę drogi między rzeką a naczelnym wodzem,

zwróciła moją uwagę znamienna rzecz: obok Konesa, który zajmował miejsce na wodzowskim stolku, siedział jeszcze jeden człowiek, starzec, gdy reszta starszyzny, jak zwykle, stała. Co mnie jednak szczególnie zaniepokoiło to brak wolnych stolców dla nas, gości. Czy Koneso chciał, żebyśmy stali, gdy on siedział?

–Arnak, czy widzisz? – szepnąłem. – Nie ma stolców

–Widzę.

–Co zrobić?

–Może nie iść dalej? Niech Koneso przyjdzie tu!

–Nie przyjdzie... Zrobimy co innego! Na statku mamy nasze stolki. Wagura! Skocz no na pokład i przynieś dwa! Ale pędem!

Wagura zrozumiał, o co chodzi, i w mig pognął do żaglowca.

–Kto jest ten starzec obok Konesa? – zapytałem Manauriego, gdyśmy wolnym

krokiem podjęli pochód.

–Karapana, nasz czarownik.

–Tak ważny, że może siedzieć?

–To prawa ręka i rozum Konesa. Bez jego woli nic się nie dzieje w całym szczepie... Wedle indiańskiego ceremoniału gospodarz oczekiwał gości siedząc na obrzędowym stolku, ale przy powitaniu winien był powstać – tymczasem Koneso siedział nadal. Uważnie nam się przyglądał i uporczywie milczał. Istotnie stolców dla nas nie przygotowano. Niechęć i gburowatość naczelnego wodza i jego świty sprawiały przykre wrażenie, ale jednocześnie śmieszyły mnie, bo tak rażąco odbijały od wylewnej serdeczności, z jaką większość podwładnych Konesa witała powracających rodaków. Akurat przybiegł Wagura, ale z jednym tylko stolkiem. W pośpiechu nie mógł znaleźć więcej – wyjaśnił szeptem. Niewiele się namyślając podsunąłem przyniesiony stół Manauriemu, sam zaś zamaszystym ruchem zrzuciłem z siebie skórę jaguara tudzież surdut kapitański i kazałem Arnakowi złożyć je tak, iżby tworzyły stos, na którym wygodnie siadłem. Czynności te starszyzna arawaska śledziła z wielkim zaciekawieniem, nie pozbawionym lęku. Niezawodnie wietrzyła jakiś symboliczny obrzęd, znowu jak ongiś na przyjęciu u Warraulów Jekuany, i z pewnością niepokoila się domysłami, jaką magiczną posiadam moc. Czyżby większą niż potęga samego jaguara? Wiedział dobrze roztropny Manauri, co robi żądając, ażebym obnosił trofeum! Koneso, człek w sile wieku i słusznej postawy, wydał mi się wyższy i muskularniejszy niż inni Arawakowie. Twarz miał zarozumiałą, napuszoną, ale co najbardziej w niej uderzało, wprost raziło, to piętno bezecnej lubieżności. Nalane usta wyrażały jeno wynaturzoną zmysłowość, oczy spozierały pożądliwie. Wszakże w tej chwili ani buńczuczna duma, ani zmysłowe żądze nie potrafiły ukryć niepewności, jaką w

głębi duszy odczuwał naczelny wódz. Inaczej czarownik Karapana. Liczył sporo lat wieku, głębokie zmarszczki porały jego starcze oblicze, ale oczy miał nad podziw bystre i młode. Siedział wyprostowany, sztywny, bez najmniejszego ruchu, z rękoma spoczywającymi na kolanach – rzekłbyś, że to rzeźba bożka leśnego – i tylko przebiegłym wzrokiem pożerał nas, jakoby usiłował przebić na wskroś. Był wielce opanowany, posępny i niedocieczony. Czulo się, że z zimną krwią, zdolny do wszelkiej zdrady, potrafiłby z lekkim sercem uśmiercić każdego, kto nie byłby po jego myśli. Nie daremnie Arawakowie bali go się jak zarazy. Wedle Konesa z drugiego boku stał mały, szczupły wódz o żywych, rozlatanych oczach. Ginał niemal pod przepychem ozdób z pasów kolorowych i piór ptasich: widocznie bogaty strój miał uzupełnić nikłość jego postaci. Był to Pirokaj, brat Manauriego, ów niebezpieczny intrygant. Patrzył teraz na swego brata, alem wiele radości w jego spojrzeniu nie wyczytał. Siedzieliśmy sporą chwilę bez słowa, oczy na siebie wybaluszając. Wreszcie Koneso chrząknął i otworzył usta. Ale zamiast kwiecistego pozdrowienia, do czego przyzwyczaili mnie już Indianie, usłyszałem chrapliwe, raczej obojętne mruknięcie, skierowane ni to w stronę Manauriego, ni to w moją:

–Czyście... zmęczeni?

Akurat to wydało mu się w tej chwili najważniejsze?! A niech go kule biją!

–Nie – odburknął Manauri.

–A głodniście? – wypytywał dalej Koneso.

–Nie – powtórzył mój towarzysz.

Ponieważ naczelny wódz nie chciał być rozmowniejszy, przeto i nam nie zbierało się na zbytnią uprzejmość.

–Ja głodny! – odezwałem się. – Głodni my wszyscy,

którzy przybywamy.

Zaledwie Arnak przetłumaczył moje słowa, Koneso polecił kobietom, stojącym z daleka, by przyniosły strawę i napoje.

–Źle mnie zrozumiałeś, wodzu! – rzekłem. – Miałem insze pożywienie na myśli.

Jakie?

–Ciepłe słowa powitalne.

Koneso nie stropił się ani na krztynę:

–Czy nie witali was moi ludzie i nie mieli ciepłych słów? – odparł zaczepnie.

Czy nie wypływali z brzegów i nie pozdrawiali was jak braci?

–Oni – tak, pozdrawiali, ale ty? Ty – nie!

–Mam jeszcze czas! – odciął wódz z kwaśną miną i zwrócił się ku kobietom

niosącym kosze pełne pokarmu i wielkie dzbany z nieodzownym napojem kasziri.

Pilnował, by sprawiedliwie wszystkim się dostało – w równej mierze i nam, trzydziestu gościom, i jego orszakowi starszyny.

Skrzywiony, przepił do mnie i do Manauriego i zaczęło się ucztowanie. Jakże insze niż u gościnnych Warraulów! Jakże przytłumione, niby pod przymusem, bez radosnych okrzyków, bez swobodnych uśmiechów! Czarownik Karapana nic nie jadł ani nie pił, jeno siedział niewzruszony i palił tytoń z długiej fajki, zrobionej z bambusa. Ćmiąc z rzadka, oglądał nas zimnym, beznamiętnym, wszakże uporczywym spojrzeniem, jak gdyby na wszystkich naszych twarzach niewidzialną pieczęć wycisnąć zamyślał. Kulawy Arasybo bał się jego wzroku. Przycupnął za moimi plecami, ale i tam dosięgały go oczy czarownika. Na żądanie Konesa Manauri opowiedział dzieje niewoli na wyspie Margarita, ucieczki stamtąd oraz wszystkiego, co się działo od tego czasu aż do dnia dzisiejszego. Opowieść trwała długo. Ludzie, otoczywszy nas gęstym kręgiem, słuchali z zapartym oddechem, nawet starszyna zmiękła nieco, lubo nie zaniechała względem nas powściągliwości. Gdy Manauri przestał mówić, nastąpiło milczenie, przerwane dopiero po dłuższej chwili przez Konesa. Z błyszczącymi złowieszczą oczyma zwrócił się naczelną wódz twardym głosem do Manauriego i do mnie:

–Z czym wyście tu przybyli? Teraz gadajcie!

Zarówno nagła wrogość jak i niespodziane słowa wydały nam się niezrozumiałe. Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć.

–Co knujecie?! – huknął Koneso obcesem.

Wtedy po raz pierwszy widziałem, jak Manauri zawrzał dużym gniewem. Twarz mu pociemniała, rysy ściągnęły się nie do poznania, a była w nich dzikość drapieżnego zwierza. Ale towarzysz mój nie stracił panowania nad sobą. Nie wybuchnął, nie uczynił żadnego niepoczytalnego ruchu. Wycedził tylko zdławionym głosem:

–Jak śmiesz rzucać nam takie oszczerstwo? Nic nie knujemy, spamiętaj to sobie,

Koneso! Jako bracia przybywamy do braci! Czyste nasze myśli!

–Czyste?

–Czy śmiesz wątpić? Gdzież twoja rozwaga?... Tak: czyste!

Na to Koneso parsknął nienawistnym śmiechem.

–A u Warraulów co się działo? Czy temu zaprzeczysz? – spytał.

–Co się działo, do licha?!

–Czy zaprzeczysz? Możeście nie zmaiwiali się?

–Zmawiali!? Warraulowie podejmowali nas gościnnie.

–Może nie zawieraliście nikczemnego przymierza?...

–Nikczemnego?

–Tak, Manauri, nikczemnego przymierza przeciwko mnie, mnie na zgubę, aby

przy pomocy Warraulów siać niezgodę w szczepie...

Tego Manauriemu było już za wiele. Powstał. Powoli, jakby czając się, podszedł do naczelnego wodza, nachylił się nad nim z wyrazem pogardliwego oburzenia i rzucił mu w twarz obelżywe słowa: – Koneso, tobie robaki rozum wyżarły! Ty, mało gościnnie, skąpiłeś nam i sobie kasziri, więc niewiele go wypileś, a przecież bredzisz głupstwa, jakbyś się uchlał do nieprzytomności!... Powiało ogólnym przerażeniem. Naczelnny wódz u szczepów południowo-amerykańskich przeważnie nie posiadał bezwzględnej władzy, nie był panem życia i śmierci swych ludzi, władał nad nimi jedynie wtedy, gdy uznali jego męstwo i rozum – wszakże teraz obraźliwe słowa Manauriego mogły zrodzić nieobliczalne skutki, wręcz sprowadzić katastrofę. Wszak Koneso mógł rzucić swą świętą, uzbrojoną po zęby, na nas, nie mających w tej chwili prawie żadnej przy sobie broni, i powalić nas jednym zamachem. Pomyślałem sobie, że Manauri przeciągnął strunę. Na szczęście nie doszło do bitki. Koneso nie uczynił nic. Siedział nadal spokojnie. Może uląkł się przychylnych nam nastrojów wśród szczepu? Może z natury nie był pochopny do gwałtu? Klótnię należało uśmierzyć jak najszybciej i nie dopuścić do ostateczności. Podejrzywałem Manauriego, że, psiajucha, umyślnie doprowadził do zaostrzenia zwady, ażeby przekonać się o swych wpływach w szczepie i, tak niepolityczną dając odprawę gburowatości Konesa, wypróbować swe siły. Jeżeli do tego dążył, to niezawodnie swego dopiął i wziął górę nad Konesem, alści gorącą głowę jednego i drugiego należało ostudzić. Wśród powszechnego poruszenia zerwałem się na równe nogi i żądałem głosu. Arnak i Wagura setnie mi sekundowali i szybko uciszyliśmy ludzi. – Jestem przyjacielem Manauriego – zawołałem donośnym głosem – ale chcę zostać takim samym przyjacielem i Konesa, i Karapany, i Pirokaja... Po czym wywodziłem, jak wśród doświadczeń wspólnej doli i wspólnych walk polubiliśmy się nawzajem, Arawakowie, Murzyni i ja, i jak szczerze pokochałem towarzyszy. Zdobyli mój szacunek, bom odkrył u nich te same zalety myśli i serca, które i ja najbardziej ceniłem – a ceniłem najbardziej uczciwość i wierność. Ponieważ kłamstwo nie przejdzie mi przez usta, przeto Koneso musi mi wierzyć, gdy go zapewnię, że wszyscy tu przybywamy z czystymi myślami jako bracia do braci i że przymierze, zaofiarowane nam przez Warraulów, w niczym, w najdrobniejszej nawet kruszynie nie jest skierowane przeciw naczelnemu wodzowi...

–Więc po coście je zawierali? – warknął Koneso.

–A czy nie wiesz, co grozi od południa? Czy zeszłej pory

suchej nie przepadł oddział arawaskich myśliwych bez wieści? – przypomniałem. Koneso dobrze znał niebezpieczeństwo, grożące od Akawojów, i równie dobrze znali je wszyscy obecni Arawakowie, więc szmer zrozumienia przeszedł po ludziach.

–Warraulowie żyją nie tylko nad Orinokiem – ciągnąłem – ale tolda ich sięgają

daleko na południe i już niejedne cięgi wzięli oni od Akawojów. Czy dziwić się, że widząc nas dobrze uzbrojonych i znając nasze czyny, chcieli przymierza z nami? Czy w tym coś złego?

–Dlaczego do mnie nie przyszli, jeno do was? – burzył się Koneso.

–Bo byliśmy pod ręką przepływając statkiem wedle ich siedzib. Zresztą

przymierze, rozumie się, dotyczy wszystkich Arawaków nad Itamaka, my tylko jego orędownicy, przekazujący tobie, Koneso, sojusz z Warraulami...

Nawet takie wytłumaczenie nie uczyniło zadość draśniętej próżności naczelnego wodza.

–A cóż to za nowy ród, coście utworzyli? – gniewnie parsknął. – Klina wbić

zamierzacie do szczepu, rozbrat...

–Uchowaj Boże – zaprzeczyłem żywo. – Ludzie, którzy tyle lat przecierpieli w

niewoli, zżyli się w nieszczęściu, razem wywalczyli sobie wolność – ci ludzie i nadal chcą ze sobą żyć jak jeden ród, a przy tym służyć całemu szczepowi. Czy brać im to za złe?

–Przychodźcie zasobni! – nie ustawał tamten. – Wszystkich innych zńecie

do swego rodu! Stwórzycie własny szczep! Zagrażacie...

–Przestań, Koneso! – odezwał się przeciągły, starczy głos. Głos nieznaczny,

cichy, a jakie wywarł wrażenie! Koneso nie tylko zamilkł, lecz jakby w jednym mgnieniu oka ochłonął. To Karapana, czarownik, się wmieszał. Od jego słów nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał.

–Przestań! – powtórzył Karapana. – Szczekasz, Koneso, jakoby pies

nierozumny!

Koneso zamilkł w istocie jak uderzony kundel. Lubieżne, jego oczy wypełniły się takim

osłupieniem, że nie trudno było zgadnąć, iż ze zdumienia wszelka myśl pierzchła mu z głowy. Usta otwierał, może chciał bezwiednie zaprzeczyć, ale Karapana do niczego nie dopuścił, jeno oświadczył:

–To bracia nasi! Witajcie ich!

–Oczywiście, że bracia wasi! – potwierdziłem uradowany.

–Podajcie im dłonie! – czarownik żywo zachęcał starszyznę. – To zwyczaj

białych, a oni długo wśród białych przebywali! Nie żałuj im ręki, Koneso, i ty, Pirokaj, i wy wszyscy!...

Wrogi nastrój prysł, jakby ręką odjął. Rozsądek i serdeczność zwyciężyły. Starszyzna zbliżyła się do nas. Ściskano sobie garście, nie szczędzono uśmiechów, padały życzliwe słowa. Wielu Indian, stojących na uboczu, zgorszonych dotychczasowymi humorami starszyzny, teraz nie posiadało się z uciechy. Jedynie Karapana, roztropny sprawca onej chwalebnej zgody, nie brał udziału w rozgwarze. Nadal siedział na stołku, pełen starczej godności. Kurzył z fajki i spoza kłębow dymu patrzył bystro, mało co się odzywając.

–Ciekawiśmy, czy przywieźli dla nas dary jak dla Warraulów! – zawołał

któryś ze starszyzny.

–A przywieźliśmy, przywieźliśmy! – odpowiedział ochotco Manauri.

–Ja chcę szpadę! – krzyknął Fujudi.

–I ja też szpadę! – skwapliwie zawtórował Pirokaj, a inni porywczo za nim: – I

ja!... I ja!...

Widać, od czasu naszej bytności u Warraulów, hiszpańskie szpady weszły w modę nad Orinoko. Zbędnych szpad posiadaliśmy, niestety, już dwie tylko, więc dostali je Koneso i Pirokaj. Insi zadowolili się szmatami, odzieżą, i kaftan niejeden przyoblekł plecy co przedniej szych wojowników. Oczy czarownika rozbłysły z łakomstwa, ale i on otrzymał swoje: okazały kapelusz kapitański z przepięknym strusim piórem. Starszyznę ogarnął istny szal posiadania. Każdy nagabywał nas z dziecięcym natręctwem i chciał, aby mu coś darowano, i to nie jedną rzecz, lecz wiele rzeczy.

–Daj mi rusznicę! – zajazgotał do mnie Koneso.

–I mnie także! – przyskoczył Pirokaj.

–Teraz strzelb nie wydam! – odparłem. – Jeszcze je potrzebuję! Dostaniecie później.

–Kiedy? – rozczarowany naczelny wódz skrzywił wargi. – To daj mi tego

jeńca, Hiszpana!

–On moją własnością! – rzekłem stanowczo. – Pozostanie przy mnie!

Powtórny zawód wywołał w nim nagły gniew, co nie uszło uwagi czarownika.

–Ko-ne-so! – zabrzmiał karcący głos Karapany.

Wódz od razu pohamował się, ale obłądnym w nienasyconej chciwości wzrokiem wodził dokoła. Ujrzał Lasanę. Ślepią jego paskudnie zaiskrzyły się pożądliwością. Wysunął mu się spomiędzy warg język. Wódz sprawiał w tej chwili wrażenie równocześnie nieposkromionego dziecka i rozwiązłego dzikusa, dotkniętego szałem.

W oko wpadł mu nasz koń, stojący opodal.

–Chcę konia! – wrzasnął obrzucając mnie wyzywającym spojrzeniem, przekonany z góry, że odmówię mu tak cennego daru. Omylił się, tym razem nie odmówiłem:

–Konia? Weź sobie!

Koneso całkiem zgłupiał, co aż nadto dobitnie malowało się na jego oniemialej gębie: koń był nad dolnym Orinoko zwierzęciem niezmiernie rzadkim i wprost bezcennym.

–Daję ci konia pod jednym warunkiem! – dorzuciłem. – Dopóki od was nie odjadę, wolno mi go używać do woli.

Niespodziewany podarunek, ale jeszcze bardziej zapowiedź mego odjazdu otrzeźwiły wodza. Spojrzał na mnie badawczo, spode łba.

–To nie zostaniesz u nas na stałe? – zapytał niedowierzająco.

–Nie. Nigdy tego nie zamyślał! – odrzekłem.

Z jak niezwykłym napięciem również i Karapana przysłuchiwał się rozmowie! Aż przechylił się naprzód, żeby nie uronić żadnego słowa.

–Nie zostaniesz?! – powtórzył Koneso zaskoczony. – A kiedy zamierzasz nas opuścić?

–Jeszcze nie wiem. Gdy nadejdzie właściwy czas. Może za kilka tygodni...

–Dokąd wyruszysz?

–Czy nie słyszałeś o angielskich faktoriach na południu, gdzieś u ujścia rzeki

Esseąuibo?

–Słyszałem. To tam się udasz?

–Tam. Jeśli mi pomożecie...

Koneso i Karapana zamienili między sobą przelotne spojrzenia, ale nie mógł zmiarkować, na czym polegało ich porozumienie. To pewna, że ucieszyła ich wieść o rychłym pozbyciu się mnie znad Itamaki. Wciąż mi nie ufają – pomyślałem. Dzień szedł ku schyłkowi. Panowała jeszcze jasność, lubo słońce za chmurnymi oparami kłoniło się do zachodu. Pobliska puszcza ożyła, zwyczajnie jak co dzień w godzinach przedwieczornych. I to z jaką namiętnością ożyła, ilu przedziwnymi głosami! Kiedym usłyszał nieznane ptaki, przesyłające nam z gąszczu powabne witania, owładnęła mną taka gorączka myśliwska, taka porwała mnie ochota, żem chciał zerwać się i biec do lasu z guldynką w rękę. Jeśli było tam tyle ptaków, to ileż mogło być inszego zwierza łownego? Oto żmudna wędrówka nasza, a przynajmniej moich towarzyszy, dobiła celu: zawitali u swoich. Wielomiesięczne, co tam, wieloletnie najgorętsze ich dążenia spełniły się całkowicie, iż lepiej nie można było wymarzyć. Nawet szczęśliwie obaliliśmy te ostatnie zawady, zwalczyli wstręty, czynione nam przez opryskliwą starszyczkę i rozbroiliśmy ją szczerym słowem tudzież darami. Więc kiedy wreszcie uciszył się rwetes chciwości i zastąpił go radosny gwar ludzi, którzy znaleźli siebie i swój uśmiech – jakaż ulga spłynęła na mnie. Uczulem ciche szczęście tulacza, wracającego po znojnnej wędrówce, doznałem błogiego spokoju żołnierza po zwycięskiej walce. Nareszcie mogłem odtajać, odprężyć się, być sobą, mogłem poniechać męczącej czujności wobec ludzi i skierować czujność – ach, inną, krzepiącą czujność! – na zwierza. Jakże zapachniała mi znowu puszcza, jak słodko zagrały mi leśne głosy, jakże wabiła mnie teraz gorąca bujność kniei! Młodość zbiegła mi przecież na łowach w ostępach wirginijskich, więc wrócić nareszcie do swej natury, pójść upajać się od nowa urokami leśnej guszy, tropić jaguara, potykać nieznane stwory – to na nowo wydało mi się rozkoszą godną życia. Tak myślałem i marzyłem... Ocknąłem się pod natężonym wzrokiem czarownika. Wpatrywał się we mnie badawczo, z niemiłym, kpiącym uśmieszkiem dokoła zimnych ust. Gdy spojrzenia nasze się zeszyły, okrucieństwo jego twarzy natychmiast zelżało, schowało się. Karapana zapytał mnie ruchem rąk, czy pragnąłbym pociągnąć z jego fajki. Dałem do zrozumienia, że tak. – Nie bierz fajki do ust! – usłyszałem nagle za sobą wylękniony szept. To kulawiec Arasybo, siedzący na ziemi tuż za mną, ostrzegał mnie przytłumionym głosem. Nikt go prócz mnie nie słyszał. Ponieważ jednak mówił po arawasku, udałem, że przestrogi nie rozumiem. Odebrałem fajkę z rąk Karapany, a przyłożywszy ją do ust, zaciągnąłem się mocno. I w tej samej chwili, przerażony, stwierdziłem słuszność ostrzeżenia, ale było już za późno. Fajka zawierała truciznę. Poprzez dym tytoniu wyczułem obcy, gorzki smak. Równocześnie zakręciło mi się w głowie, postać Karapany zawirowała w oczach, wpół zemdląłem. Na szczęście siedziałem na skórze jaguarzej, inaczej upadłbym na ziemię. Wszystko to odbyło się z błyskawiczną szybkością. Niemoc trwała jeno sekund parę, nie więcej, a gdy wracała mi przytomność, czarownik wciąż uśmiechał się do mnie tym samym drwiącym grymasem co wprzód. W głowie szumiało mi jeszcze, ale i te dolegliwości prawie zaraz uleciały i zatrucie

jakoby żadnych nie pozostawiło następstw. Karapana z nadmierną uprzejmością wyjął z mej dłoni fajkę i sam z niej zaćmił raz, drugi raz i trzeci, wciągając w płuca i następnie wypuszczając z nich obfite kłęby dymu. Śledziłem go z pilną uwagą, najdrobniejszy ruch jego nie uszedł mych oczu. Ale pomimo że czarownik nic w fajce nie zmieniał i kurzył ją tak samo jak ja, żadnych nie odkryłem u niego oznak niedomagania. Na niego trucizna albo nie działała, albo – co prawdopodobniejsze – nie było jej wcale w dymie, gdy on palił -i tego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć. Karapana, widząc moje zdumienie, zachichotał rozbawiony i podrwił: – Nie przyzwyczajonyś do tytoniu znad naszej rzeki, jak mi się zdaje! Powstałem. W kolanach wciąż czułem lekką słabość. Pochyliłem się nad czarownikiem i marszcząc groźnie brwi, a pokazując mu pięść, wycedziłem: – Ty, Karapana, nie chcesz mnie poznać inszego niż jako przyjaciela, mówię ci to po dobroci! A głupich sztuczek swoich nie próbuj więcej na mnie!... Słowa te, tłumaczone przez Arnaka, Karapana puścił mimo uszu, jakoby nie dotarły do jego świadomości. Uważał wszystko za jakiś dobry żart. Cichy triumf wycierał mu z oczu, triumf i szyderstwo, gdy grzecznym głosem, z pozornym współczuciem, niby usprawiedliwiał się: – Nie służy ci nasz tytoń, Biały Jaguarze, nie służy! Całe to zdarzenie niezawodnie miało być ukrytą przestrogą, i tak też je rozumiałem. Zatem czujności – jak to poprzednio marzyłem – nie wolno mi było uśpić lekkomyślnie, czujnego oka nie wolno było odwracać od ludzi.

9. Jadowite

Węże

Trucizna, zadana mi przez czarownika, nie nabawiła mnie żadnej poważniejszej biedy i już w pół godziny później zupełnie przyszedłem do siebie. Gdy znaleźliśmy się sami, Arasybo przez Arnaka wytłumaczył mi podstęp czarownika. Mianowicie w bambusowej fajce jego były dwie rurki, oddzielone od siebie drewnianą płytką: w jednej mieścił się zwykły tytoń, w drugiej tytoń z trucizną, zapewne jakowymś ziołem złośliwym. Tam, gdzie trzymało się fajkę, wtajemniczony mógł przydusić bambus palcem, niewidocznie dla innych, i tak zamknąć rurkę z trucizną, a wtedy wciągnął do ust jedynie dym z drugiej rurki, gdzie był zdrowy tytoń. Kto o tym nie wiedział, wdychał dym z obydwóch rurek – i oczadziały, tracił przytomność.

–Czy to wielka trucizna? – zapytałem.

–A jakże! – zapewnił Arasybo. – Jeśli zażyć jej troszkę więcej, nic już człowiekowi nie pomoże.

–A skąd ty, chłopie, to wszystko wiesz? – spojrzałem na Arasyba nie bez cienia podziwu.

Kaleka, mile polechtany, uśmiechnął się od ucha do ucha:

–Podpatrywałem go, szpiegowałem, uczyłem się w skrytości jego czarów i

sposobów...

–Dlatego Arasybo taki przez nich nie lubiany – wtrącił Arnak.

–Przez Karapana i Konesa?

–Aha. Gdyby się dało, udusiliby go...

Wyznaczona dla mnie przez naczelnego wodza chata na kwaterę stała nad rzeką o przeszło pół mili od sadyby Konesa, a kilkadziesiąt kroków dalej wznosił się szalas, w którym miał na razie zamieszkać Manauri. Gdy nazajutrz rano, po przespanej na pokładzie szkunera nocy, udałem się do mej chaty, pierwszą rzeczą, jaka wewnątrz rzuciła się w oczy, była ludzka czaszka, umieszczona pod ścianą na kopczyku z ziemi. Szkaradzeństwo szczyrzyło zęby ku wchodzącemu. Wzdrygnąłem się przejęty niesamowitym widokiem i zaraz przywołałem towarzyszy. Oni, ogarnięci zgrozą, oniemieli, potem mocno kiwali głowami.

–Tu umarł człowiek – tłumaczył mi Arnak – a to jego grób i jego czaszka.

Nieboszczyków chowa się u Karaibów w chatach, jakie zamieszkiwali za życia.

–Mówisz u Karaibów? To nie chata arawaska?

–Nie, to chata dawniejsza i widocznie mieszkała tu jakaś rodzina karaibska. Nikt żywy w takiej chałupie już nie śmie przebywać krom ducha zmarłego.

–To czemu Koneso każe mi tutaj zamieszkać? – zdziwiłem się.

–Może przypuszcza – powiedział Arnak – że to tylko obyczaj ważny dla nas, a nie odnoszący się do ciebie, białego...

–Nie wierzę! – burknął Manauri.

Rada w radę postanowiliśmy, że chaty z grobem nie zamieszkać. Przebywanie w chacie, w której mieszkał nieboszczyk, nie trafiało mi do smaku, a co więcej, mogłoby zrazić wielu Indian do mnie, jako do świętokradcy, i odstraszyć ich. Więc tymczasem wprowadziłem się do szalasu Manauriego, towarzysze zaś, przy pomocy mojej i wielu ochotników spośród tubylców, nie zwłócząc zabrali się do wznoszenia dla mnie nowego schroniska. Praca w wesołym nastroju szła rażno od ręki i już na południe stanęło domisko, niewiele uboższe od siedziby samego Konesa, domisko z mocnym dachem palmowym, na burze odpornym, z trzema ścianami bambusowymi, z czwartą częściowo odkrytą, lubo chronioną od ulew rozłożystym okapem. Dom, a raczej przestronny szalas, był tak obszerny, że miałem wprowadzić się doń także Arnakowi i Wagurze, nieodstępny moim przyjaciółom, tudzież Pedrowi. Reszta towarzyszy podobnie budowała dla siebie naprędce chaty, ale nie w rozproszeniu, jeno w kupie, jeden tuż wedle

drugiego. Widać, ród nasz chciał nadal trzymać się razem. I dziwno, jak w tym stawianiu sobie chałup odbijały się niby w zwierciadle różne uczucia i osobliwe przyciągania. Tak oto nasi Murzyni postawili się całkiem blisko chaty Manauriego, niby gwardia przyboczna swego wodza. Natomiast Arasybo wołał uciec się pod mój bok i zostać moim najbliższym sąsiadem, podczas gdy z drugiej strony, równie blisko mej chaty, usadowiła się w szalasię Lasana z dzieckiem. Gdy pod wieczór odwiedził nas Koneso, by zobaczyć, jak się urządziliśmy, skorzystałem ze sposobności i wyciąłem mu kilka słów gorzkiej prawdy co do chaty z nieboszczykiem. Oświadczyłem mu, niedwuznacznie, że mam sierzni-stą naturę, nie znoszącą zniewagi, i że wyrządzone mi krzywdy nie zawsze puszczam płazem.

–Krzywdy? – zapytał z głupia frant. – Tu nie było krzywd!

–Jeno co?! Psikus niedorzeczny, pułapka złośliwa?

–Może i pułapka – przyznał niby filuternie, a mięsiste jego wargi ułożyły się do nieprzyjemnego uśmiechu – ale nie złośliwa. To próba sił człowieka była!

–Jeden złośliwie zadaje mi truciznę w fajce, drugi posyła mnie do zaklętej chaty... wyrzucałem mu.

–Zali dziwno ci? – usta jego wciąż się uśmiechały, ale kosę oczy spowaźniały, zaczajone.

–Tak, dziwno mi: Przecieżem gość wasz, czyż nie?

–Jużci, że gość, ale jaki? Niezwykły! Nie taki jak inni goście. Przychodzisz do nas z zagadkową siłą, chcemy ją wypróbować!

I dlatego darzycie mnie trucizną?

Tak jest! Działa na ciebie trucizna, teraz wiemy. I wiemy, że duch zmarłego mocniejszy niż ty! Boisz go się! Straszno ci przed nim!

W tym mylisz się, Koneso!

A nie uciekleś z chaty zakazanej?

Uciekłem, a jakże! Ale nie ze strachu przed duchem, wierzaj mi!

Oho! – nalana jego twarz wypełniła się urągliwym niedowierzaniem.

Szanuję wasze obyczaje i wierzenia! – prawilem z naciskiem. – Nie chcę

znieważać chaty zmarłego! To wszystko!

Ale wątpliwości nie zeszły mu z oczu, gdy bez ogródek badał mnie od głowy w dół natrętnym wzrokiem:

–Ludzie mówią, że kule z rusznicy odpadają od ciebie...

–Brednie!

–I że strzały z łuku nie przebijają twego ciała, czy to prawda?

–Głupstwo! – zaperzyłem się nie na żarty. – Takim samym śmiertelnikiem jestem jak każdy inny, wszystko u mnie to samo co u kogokolwiek...

Koneso nie spuszczał ze mnie podejrzliwego spojrzenia; nie wierzył mi tak do cna. Głowę jakoś nieufnie przechylił i potrząsał nią raz po raz.

–Wszakże nie zaprzeczysz, że jest w tobie coś, czego u innych nie ma?

–Prawda to jest! – potwierdziłem żywo.

–A widzisz?

Rzekł to z triumfem w głosie, alem go zaraz ugasił:

–Jest we mnie coś, prawda, jest większe doświadczenie! Wielem świata zleciał,

**wielu wrogów potykałem! Jednych ja białem, inni mnie bili – i od tych najwięcej się uczyłem...
Uczyłem się, słyszysz, to właśnie całą moją tajemnicą...**

**–Kiedyś spotykał jaguary? – znieacka spytał mnie zmienionym głosem,
jakoby z zasadzki zaskoczyć mnie usiłował.**

Odrzekłem swobodnie:

–Jeden raz to było! Spotkałem jaguara na wyspie bezludnej, kiedyśmy w trójkę,

Arnak, Wagura i ja, ubili go po ciężkiej walce.

–To był król jaguarów! – mruknął Koneso znacząco.

–Diabli go wiedzą!

–A przychodził jaguar do ciebie po nocach, we śnie? – tłumiąc oddech
dociekał wódz niby sędzia śledczy.

–Śnił się, jakem żyw, śnił mi się niejeden jaguar po ubiciu tamtego! –
parsknąłem głośnym śmiechem. – A ty snów nie masz?

–Mam – odburknął – ale inne, zdrowe...

Rozmowę wiedliśmy przed moją chatą, w cieniu wysuniętego okapu, i właściwie nie
wiedziałem, czy udało się rozwiązać jego wątpliwości i podejrzenia, czy nie. Obawiałem się, że
nie. Wtem ujrzeliśmy Lasanę, która wracała znad rzeki do swego szałas, niosąc na głowie
wielką tykwę z wodą. Na widok urodziwej Indianki oczy Konesa zaokrąglily się z pożądliwości i
wódz patrzył, jakoby chciał ją żywcem pożreć.

–Ty tu? – zawołał do niej zdziwiony.

–Tu! – mruknęła krótko i szła dalej, nie zważając na naszą obecność.

–Stój! Lasano! – wezwał. – Coś ci powiem! Tu nie twoje miejsce!

–A gdzie? – podniosła ku niemu gniewną twarz i zwolniła kroku.

–Należysz do mej chaty! – oświadczył. – Idź tam zaraz! Zgłoś się!

Lasana obrzuciła go niezbyt uprzejmym spojrzeniem, ale i lęku swego całkiem ukryć nie
zdolała.

–Co ci wpadło do głowy?! – fuknęła.

–Nie rozzuchwalaj się, dziewczyno! Usłuchaj, idź!

–Nie pójdę! – odmówiła stanowczo. – Należę do rodu Białego Jaguara i tu
moje miejsce, właśnie tu!

–Właśnie pójdiesz! – wrzasnął wódz ostro. – Ruszaj! Żywo!

Opór jej rozjątrzył go. Widać, okrutnie przypadła mu do smaku ponętna kobieta i zęby sobie
na nią ostrzył.

–Czekaj, Koneso! – odezwałem się przyjaznym głosem i chwyciłem go za ramię.

–Pogadajmy spokojnie, po ludzku! Wszakże u Arawaków kobiety mają swoje prawa i
niewolnicami mężczyzn nie są, tak mi mówiono!

–To co? Co z tego? – wódz obruszył się opryskliwie.

–Wolno jej chyba czynić, jak jej się podoba!

–Nie całkiem! Młoda jest. Miała męża, straciła go. Ma dziecko. Wymaga pieczy.

Szczep winien więc wziąć ją w opiekę...

–Ona ma już opiekuna! – rzekłem.

–Kogo?

–Mnie.

Koneso zaczepnie przymrużył oczy:

–Czy chcesz powiedzieć; żeś jej mężem? Wiem, że tak nie jest!

–Nie jest, ale wziąłem ją pod swą opiekę, a to niemal to samo.

–Ona chciała tej opieki?

–Chciałam! – Lasana potwierdziła gromkim głosem, wojowniczo potrząsając

czupryną, aż na wszystkie strony rozleciały się czarne pukle. – I nadal chcę tak!

Nie byliśmy sami. Oprócz Arnaka świadkami zajścia było kilkunastu Indian z naszej grupy i kilku innych, zasiedziałyh Arawaków. Zwłaszcza tych ostatnich bezczelne wymagania Koneso srogo zgorszyły. Wódz zauważył to, więc wołał spuścić z tonu i zwinąć żagle.

–Zobaczymy jeszcze! – zamruczał pod nosem i chciał odejść.

–Słuchaj, Koneso! – zatrzymałem go. – Sprawa jest jasna, Lasana

pozostanie przy mnie, ale to, co ty mówisz, jest niejasne, jest niezrozumiałe!

Co masz na myśli?

Czynisz nam wstręty, a przecież przyjąłeś podarki, dostałeś i szpadę, i konia... Czy jeszcze ci mało?

Może mało! – zaśmiał się wyzywająco ze swego dowcipu.

Nie rozumiem jednej rzeczy – ciągnąłem. – Tam gdzieś na południu żyją

Akawoje i ponoć wybierają się przeciw wam tutaj nad Orinoko, a wy, zamiast

skupić swą czujność i siły, trwonicie je jak obłądzeni ślepcy, wy – zjadliwi i swarni – szerzycie w szczepie niezgodę, burzę ściągacie na siebie, na nas wszystkich

nieszczęście...

Ktooo?! – zawołał Koneso, jakby rozbawiony. – Kto ściąga? My? My

szerzymy niezgodę?!

Więc kto?

Wy! Gdy was tu nie było, nikt nie naruszał zgody. Kto zburzył spokój w

szczepie, jeśli nie wy waszym przybyciem? To wyście winni wszystkiemu!

Tak przewracając kota w miechu i szydząc odszedł i pozostawił nas w większej rozterce niż przedtem. Kilku co popędliwszych zapaleńców wśród moich przyjaciół rzuciło myśl, aby opuścić Serimę i siedlisko nasze nad Itamaką założyć o kilka mil powyżej niegościnniej wsi, ale większość, a wraz z nią i Manauri, temu się sprzeciwiła. Wierzyli oni, że złe humory starszyny rozejdą się same po kościach i nieporozumienia niebawem ustaną.

Dni następne upływały nam pod znakiem próżnowania i odpoczynku. Jadła mieliśmy obfitość, bo mieszkańcy Serimy, nieźle zdomowieni od dwóch lat, szcudrze znosili nam zapasy, a ponadto pozwalali nam iść na pola i zbierać dojrzałe plony. Główny pokarm stanowiły olbrzymie korzenie rośliny, zwanej przez Indian i Pedra mandioką, z których należało wpierv wycisnąć niestrawny sok, zanim gotowano bulwy i spożywano je. Znakomitym urozmaiceniem stawy były liczne owoce, zarówno uprawiane w pobliżu sadyb jak i w puszczy dziko rosnące, ale przede wszystkim ryby, od których nad podziw roilo się w rzece i w każdej niemal kałuży. Poza tym nie brakowało nam oczywiście wszelkiego rodzaju zwierzyny leśnej, od dzikich świń poczynając aż do liszek w spróchniałych pniach się gnieźdzących.

Już po niewielu dniach ludzie naszej grupy rażno jęli się wdrażać w powszedni bieg życia wsi indiańskiej. Gnuśność im nie dogadzała. Więc gdy jedni szukali odpowiednich ustroni w puszczy, gdzieby wykarczować drzewa i półka założyć, inni do wody się zabrali, by łowić ryby na różne sposoby, to wędką, to węcierzem, to odgradzaniem strumienia albo strzelać z łuku, a nawet głuścić ryby trucizną. Jeszcze inni szli do lasu zbierać owoce lub polować na zwierzynę. Tym ostatnim i ja towarzyszyłem, nareszcie szczęśliwy, że w swoim żywiole.

Szkuner przeprowadziliśmy do naszego osiedla i zakotwiczyli przy brzegu na wprost mej chaty. Chodziło o to, żeby mieć statek blisko i stale pod okiem, albowiem w lukach jego przechowywaliśmy nasze zapasy i przedmioty zdobyte na Hiszpanach. Niebezpieczeństwo, grożące od strony Akawojów, nie pozwoliło mi spocząć i kilka razy przeprowadzałem ćwiczenia z bronią palną. Strzelcy chętnie się garnęli, aż mi serce rosło, toteż gdy nabyli dostatecznej wprawy, pozwoliłem im zabierać guldynki na polowanie. W puszczy pożyteczniejsze wydały się Indianom łuki i strzały niż broń ognista, ale mimo to gorliwie zabierali strzelby i przewieszali je

sobie z fantazją przez ramię, bo to w ich oczach podnosiło urodę męską, jako też przysparzało powagi. W chwilach wolnych od leśnych i rzecznych wypraw nie zaniedbywaliśmy ćwiczeń również inną bronią, jak łukiem, dzidą, maczugą i nie znaną mi dotychczas dmuchawką, bambusową rurą na osiem, dziewięć stóp długą, z której wydmuchiwało się małe, zatrute strzałki na znaczną odległość. Ogarniała nas wszystkich jakby gorączka współzawodnictwa, a niektórzy strzelcy dochodzili do zdumiewającej wprost wprawy.

Koneso i jego poplecznik Pirokaj od samego początku starali się rozbić naszą gromadę odciągając od niej ludzi złotymi obiecankami, ale niewielkich rzeczy dokazali. Zabiegi ich, z wyjątkiem dwóch wypadków z chwiejnymi duszami, spełzły na niczym. Ludzie nasi chcieli być razem ze sobą, czuli się naprawdę jednym rodem, jedną rodziną i wnet zmiarkowałem, na czym to polegało: nie tylko na wspólnych doświadczeniach i przeżytej razem niedoli albo na wielkim ze sobą zżyciu się, nie tylko na istnieniu i mnie, i moich strzelb, i zasobnego statku, ale przede wszystkim polegało to na tym, że byli oni teraz inni niż reszta Arawaków. Owi ludzie, targani przez los, włóčení' po świecie, postąpili naprzód, stwardnieli i urobili się, żwawszą posiadli krew i mocniejszą żywotność, byli pręż-niejsi, ruchliwsi, bardziej ciekawi spraw życia, bardziej spragnieni radości życia niż ich zasiedziali ziomkowie.

Rzutność ich i przemyślność wywierały też na wielu mieszkańców Serimy wprost magiczny wpływ. Indianie ci, zazwyczaj ospali, leniwi, niemrawi duchem, teraz jakoby ocknęli się i żywiej zaczęli myśleć. Że bliższa rodzina członków gromady Białego Jaguara ściągnęła i zamieszkała w naszych szalasach, to rzecz zrozumiała. Ale inni, bynajmniej nie krewni, również garnęli się do naszego grona, przyciągani jakąś siłą neodpartą. Jakże łaknęli naszej przyjaźni, szukali porady i wesolej gawędy, jakże chętnie osiedliliby się na stałe gdzieś blisko wśród naszych ognisk. Jednakże Manauri temu stanowczo się sprzeciwił, ażeby nie podjudzać zawiści starszyszy i tak już kosym okiem lypiącej.

Do puszczy polować chodziliśmy w dwójkę lub trójkę, ja zazwyczaj z Arnakiem, Wagurą albo Pedrem, a czasem i z Lasana, po sprowadzeniu się matki do jej chaty. Teraz dopiero zacząłem przeżywać tę nieprawdopodobną, oszołamiającą rzecz, jaką była puszcza w naszej okolicy. Na północy ojczysty las wirginijski obrastał przeróżnymi drzewami, lecz czymże to było wobec szalonego zbytku, wobec nieokiełznanej różnolitości tutejszych roślin? W lesie wirginijskim bywał i srogi gąszcz, ale jakże porównać go z tą płataniną, z tą zieloną furją, z natłokiem nieubłaganych gałęzi, liści, pnączy, kolców, gdzie tak trudno było krok stawić, gdzie wszystko więziło człowieka, przygniatało mu ciało, nawet dusiło myśl i duszę jego? Na oko – zamęt bezrozumny, odpychający, wszakże gdy doświadczony myśliwy dokładniej się wpatrywał, w pozornym zamęcie jał dostrzegać rozum przyrody i jej mądre prawa bytu, jał wyczuwać jej dzikie piękno, co więcej, czerpać z niej dziwną, cierpką rozkosz. Ale nigdy nie wiedział, czym wobec niego, człowieka, była nieprzejrzana gęstwina – życzliwą przyjaciółką czy nieubłagany wrogiem.

Zwierząt w tej puszczy była mnogość; przecież nie łatwo było je spostrzec, a jeszcze trudniej upolować. Kryła je zielona zasłona, a przy tym czujne ich zmysły z daleka wychwytywały przedzierającego się przez chaszczę łowcę. W puszczy były ścieżki, ludzkie i zwierzęce, i one

Jedynie ułatwiały ciche skradanie się i podejście pod zwierza. Jeśli urzekającym myśliwca powabem jest wielka niespodzianka, czekająca łowcę za każdym krzewem, jeśli urokiem jest możliwość nieprzewidzianych wypadków, to puszcę nad Itamaką godziłoby się nazwać najbardziej wymarzoną łowiskiem, rajem, Czarowną kolebką nieprawdopodobnych spotkań. Jakie różnorodne w tej kniei przebiegały bestie, jakie snuły się dziwy.

Oprócz jaguara mogły wyskoczyć przed myśliwym inne drapieżne koty, z których jednego, płowego całkiem jak lew, pumą nazywał Pedro. Mogły nasunąć się pod rurę i jelenie gua-supita, i dzikie świnie saguino w głębi boru, a wodoświnki nad brzegami rzek, i maszadi, potężne zwierzęta o twardej jak tarcza skórze a nosie wydłużonym niby u cudaczego słonia – i oczywiście wielorakich małp niezliczone stada. Mógł napotkać myśliwy i hateke, zwierza całkiem pancernymi płytami pokrytego, i innego dziwoląga, tamanoa, pożeracza mrówek o niedorzecznie długim pysku, pazurach przednich zaś tak krzepkich, że człowieka w pół rozdzierały – i napotkać jeszcze większe dziwadło, unau, czworonoga do cna potulnego, wiszącego pod gałęzią drzewa i tym dziwnego, że niemal bez ruchu.

A dopiero rozmaite żółwie wodne i leśne, a jaszczury, z których guana istne są smoki wyglądem i usposobieniem, jeno że skromnego, kształtu – a liczne plemię węzów jadowitych i węzów olbrzymich, a zdradzieckie kajmany – krokodyle, czyhające w cichych wodach, a w tych wodach oprócz mrowia ryb jadalnych jakież monstra: to płaskie sipari o trującym kolcu w ogonie, to niewielkie ryby huma o obłędnej wprost krwiożerczości, to jaringa, o których opowieści Indian wydały mi się zmyśloną bajką, albowiem potworki, nieduże nawet, z lekka trącając kąpiącego się człowieka, rzekomo raziły go niby piorunem i obezwładniały. A niezmierny, barwny świat tysięcy ptaków na ziemi i nad ziemią, świat szczebiotliwy, wdzięczny, wesoły, nad którym wszakże wysoko na niebie krążył i panował ponury władca: orzeł-olbrzym o czubatej głowie, na w pół legendarny mezime, niezwykły morderca małp i innego stworzenia, silacz ponoć mogący chłopca piętnastoletniego porwać w powietrze.

Arawakowie, mieszkający od dwóch lat nad Itamaką, nie ukrywali przede mną tego, co wiedzieli o tajnikach puszczy, więc nasłyszałem się moc o niejednym dziwotworze. Trudno było czasem odróżnić, gdzie prawda, a gdzie wymysł wyobraźni, bo z równą trwogą przestrzegano mnie przed niebezpieczeństwem jaguara jak kanaimy, o którym już wiedziałem, że to tylko duch mściwy – i równie szczegółowo opisywano mi postać złośliwych jaszczurek guana jak wygląd leśnych hebu, istot włochatych z wystającymi oczyma, istot, które okazywały się złośliwymi duchami zmarłych. Podając mi do wiadomości wypadki napaści na ludzi wielkiego węża komuti, który żył istotnie nad brzegami wody, z równą skwapliwością opowiadano mi o stworach wodnych maikisikiri, pokazujących się tylko kobietom, nigdy mężczyznom, i okrutnie zawziętych na pleć żeńską – i dopiero później dowadywałem się, że maikisikiri to duchy wodne. Tak to świat rzeczywisty i świat urojony gmatwały się w jednym kłębie, a wchodząc do bezgranicznej puszczy nigdy nie wiedziałem, gdzie w niej granice niebezpieczeństwa, gdzie miara grozy i zachwytu, gdzie rzeczywistość, a gdzie mamidło. To uczucie niepewności napawało rozkoszą dziwną i niezmierną – jak wszystko, co było w tej puszczy.

Dokoła naszej chaty zdumiewająco wiele było obrzydliwych gadzin, i to węzów jadowitych.

Zwłaszcza w pobliżu ścieżki, wiodącej od nas do puszczy, i na niej samej ubijaliśmy po kilka sztuk dziennie, ale następnego dnia rano nie widać było ubytku i nowe paskudztwa pelzały po ziemi.

–Cóż one tak nas kochają? – zawołałem żartobliwie oburzony. – Czy spadają z nieba?!

Przyjaciele spoglądali po sobie zakłopotani, jakoby w niedorzecznym poczuciu własnej winy czy wstydu za ową nie-przychylność natury. Tłumaczyli mi gęsto, że czasem tutaj tak bywa: całymi okolicami nie spotkasz ni ogona żmii, a gdzie indziej zatręśnienie. Manauri przypomniał sobie, jak kiedyś, przed laty, zaszedł do ustronia, gdzie w jednym miejscu wygrzewało się w słońcu kilkanaście na raz węzów, i to samych sororoima, najjadowitszych z jadowitych. Uciekł natenczas, ale przez wiele dni na samo wspomnienie skóra mu cierpła na ciele.

Tedy nie mając innej rady przeprosilem się z wysokimi butami hiszpańskimi i nosilem je dla bezpieczeństwa, zęby węzów bowiem nie przebijają takiej skóry. A matka Lasany, kobieta nader życzliwa, na swój sposób pomogła: skąd przybyła, stamtąd przyprowadziła oswojonego tujuju, olbrzymiego bociana z czarną głową i takimże dziobem, zagorzałego tępi-ciała wszelakiej gadziny. W istocie od tego czasu przy ścieżce jakoby licha widocznie ubyło.

Weszło w zwyczaj, że co rano odwiedzał pokład szkunera i do luk, gdzieśmy przechowywali baryłki prochu, zawsze zaglądał, czy wszystko w porządku. Po kładce, jaką przerzucałem z łądu na burtę, wraz ze mną Y/biegał na pokład laciaty kundel, stróż wesoly naszego obejścia.

Psisko wskoczywszy tak pewnego razu do luku jakoś żałośnie warknęło i natychmiast wypadło z oznakami przerażenia. Za nim w pogoni wypelzł nieduży wąż ciemny, brązem nakrapiany. Jadowity, jakem zaraz spostrzegł po sercowym kształcie głowy Ledwom uskoczył. Na szczęście miałem pręt w ręku. Zdzieliłem gada raz i drugi przez łeb, aż opadł. Aliści w luku czyhał jeszcze jeden wąż, taki sam niebezpieczny, a pod sterem odkryłem trzeciego. Ten, zwinięty w kłębek, wznosił głowę gotując się do uderzenia na mnie. Wściekłość strzelała mu z małych ślepi Łatwo udało mi się unieszkodliwić wszystkie trzy bestie, bo na pokładzie nie mogły poruszać się szybko, a wtedy jeno bywały groźne, gdy nieświadomy człowiek blisko je nachodził. Obecności ich na statku nie mogłem sobie wytłumaczyć w naturalny sposób. Szkuner stał otoczony zewsząd wodą i nie miał połączenia z łądem z wyjątkiem chwil, gdy przerzucano nań kładkę – więc skąd się tu wzięły straszne gady? Czy podrzucił je ktoś, znający moje drogi i godzący na me życie? Dziwne to było, a gady straszne. Pies, niechybnie draśnięty gadzinowym zębem, nie dotarł dalej niż do brzegu. Nagle ni stąd, ni zowąd padł porażony. Żył jeszcze minutę, może dwie. Okropne drgawki wstrząsały jego ciałem, piana krwawa wystąpiła mu z pyska. Krew nawet z oczu szła i z uszu. Gdy, martwy, ustał, stwierdziłem oniemiały piorunujące działanie jadu, a jednocześnie uświadomił sobie, że gdyby nie ubiegł mnie ten mimowolny dobroczyńca, ja miast niego leżałbym oto bez ducha. Nieskorym ja do trwożliwości, wszelako wtedy ze zgrozy poczułem ciarki na grzbiecie. Lubo przyjaciółom nie zwierzyłem się z podejrzeń, jakie mi przyszły do głowy, przecież oni zaraz się domyślili, że to wroga ręka. Czyja? – nie trudno było zgadnąć. Teraz obfitość węzów przy ścieżce jawiła im się również podejrzana, wcale niezgodna z naturą.

Tak, to on, to jego sprawka! – stwierdził Arnak, zachmurzony, i powiódł dokoła zaczepnym wzrokiem, jakby szukając ukrytego w chaszczach wroga.

–Teraz go nie ma! – uśmiechnąłem się. – Chyba tylko w nocy podrzuca nam gady...

–Mówisz, że podrzuca? – zapytał Manauri, pełen wątpliwości.

–A któż by, jeśli nie on, Karapana? – zdziwiłem się.

–On, a jakże on! Żadnych nie ma wątpliwości. Ale czy on sam podrzuca?

–Jeśli nie on sam, to jego pomocnicy...

–I to także wątpliwe, Janie!

–Tego już nie rozumiem! Więc skąd się tu biorą węże? Na obliczu Manauriego osiadł niepokój i troska.

–On czarownik – napomknął wódz jako wytłumaczenie.

–To myślisz, że czarami tu przywabił owe bestie? – zawołałem.

–On wiele potrafi! To wielki, niebezpieczny czarownik! – odrzekł Manauri wymijająco.

Wyszło na jaw, że wódz łączył pojawienie się tych węży ze złymi czarami, a inni towarzysze, z wyjątkiem Arnaka, jakoby podzielali jego wiarę. Czary to dla Indian wielka potęga, z którą beznadziejnie walczyć, więc srodze się zaniepokoiłem w obawie, że arawascy przyjaciele wobec siły wyższej gotowi mnie odstąpić, a przynajmniej upaść na duchu. Tymczasem oni nie myśleli odstępować ni upadać na duchu z przyczyny, którą mi nie zwłócząc wyjawili: Karapana groźny, ale ja Paranakedi, Anglik, i do tego Biały Jaguar, przeto posiadam swoje czary i władam negorską mocą odpierania zaklęć czarownika.

–To sądzicie, że mu podolałam? – zapytałem.

–Podolaasz, podolaasz! – odrzekli.

–Złość jego wolę zwalczać pewniejszą bronią niż czary!

–Nie ma pewniejszej! – krzyknęło na raz kilku dotkniętych Indian. – Jaka?

–Chociażby czujnością. Lekceważenie osiadło na ich twarzach:

–Ach, to się rozumie!...

–A wy mi w tym pomożecie?

–Jakżeby inaczej! Tyś nasz Biały Jaguar! Przyjacieli! – zapewniali. – Pomożemy.

–To wam dam rusznice i w nocy będziemy czatowali na łajdaka! Zobaczymy, jak zdzierzy nasz ołów!

Jednakże tego nie chcieli próbować. Nocne strzelanie nie było im po myśli, nie mieli w tym upodobania, i w ogóle nie chcieli gniewać tajnych potęg. W nocy woleli spać niż polować na kogoś straszego i stanęło tylko na tym, że wzmogą baczenie i pilniej będą tępili węże.

Gdy następnego dnia o zorzy wyruszyłem na polowanie w towarzystwie Pedra i Arnaka, w miejscu, gdzie ścieżka wchodziła do puszczy, nagle się zatrzymaliśmy jak wryci. W poprzek ścieżki, niby zagrządzając nam drogę, leżało kilka małych rzeźb, wykonanych z gliny niezdarnie, jakby były dziecięcą ręką lepione. Zaledwie Arnak je spostrzegł, w tejże chwili przyciął się i gwałtownym ruchem rąk powstrzymał nas, by nie pójść dalej. Z osłupieniem na twarzy, tak niebywałym u niego, wlepił wzrok w rzeźby.

Nie większe niż na palec lub półtora palca, przedstawiały różne zwierzaczki, a więc jaszczurkę, małą ropuchę, młodego węża, jakoweś zwierzę czworonożne i ptaka, i nawet skorpiona. Wszystkie stworzenia tak ustawiono, że zwracały głowy w naszą stronę, a przyjrząwszy im się dokładnie zauważyłem, że każde wykazywało ohydne zniekształcenie którejś części ciała: to spłaszczoną głowę, to urwaną łapę, a wyżarty grzbiet, a wydłubane oczy.

–Nie podchodźcie bliżej! – szepnął Arnak przejętym głosem.

Spojrzałem na przyjaciela, zaskoczony i trochę speszony jego zachowaniem się.

–Znowu niewczesne czary? – odezwałem się.

–Tak, czary! – potwierdził.

–I ciebie już chwyciło? – rzekłem z wyrzutem. – Arnak! Arnak kochany! To bzdury!

–Nie, Janie! – zaprzeczył poważnie. – To już nie bzdury! Jeśli czarownik chce kogoś zniszczyć, to takie figurki zaklęte kładzie mu na ścieżkę.

–Dlaczego kładzie?

–Żeby osłabić mu wole, serce zepsuć, myśl pomieszać...

–A ja mu podepcę te czary – oświadczyłem.

–Nie czyn tego! Mogą być zatrute i trucizna wejdzie ci przez buty do ciała...

Po chwili Arnak jakby ochłonął z pierwszego wrażenia, wyjaśnił czoło, a lekki uśmiech wystąpił na jego ustach.

–Nie, Janie! – rzekł pogodniej, aby mnie udobruchać. – Tyś mnie uczył, że to

zabobony i nauka nie poszła na marne! Ale tutaj nie mrzonki, bo widać, jak Karapana na ciebie godzi zajadle. To mnie trapi...

–A skąd wiesz, że na mnie godzi, a nie na nas wszystkich?

–Zobacz!

Wzrokiem wskazał miejsce o kilka kroków za szeregiem rzeźb i tam odkryłem na ścieżce jeszcze jedną postać ulepionego zwierza. Rzeźba z grubsza wyobrażała drapieżnika, mianowicie jaguara, pomalowanego na białą, a zatem – białego jaguara. Aha, to już wyraźnie mnie tyczyło. Maleńka dzida przesywała na wylot pierś zwierza – widocznie taki los był przeznaczony i dla mnie. Wszystkie te groźby i straszenia figurkami budziły u mnie jeno wzruszenie ramion, a przecież w owej zaciekłości prześladowczej odczuwałem mimo woli coś niesamowitego. Czyżbym bezwiednie zaczął już ulegać zgubnym wpływom czarownika?

Tymczasem Arnak ułamał kawał gałęzi i zaczął z całych sił bić nią w rzeźby, dopóki nie rozłupił ich na mialki proch, proch zaś wymiółł starannie ze ścieżki na bok. Zamierzał uczynić to samo z figurą jaguara, ałem go. powstrzymał, chcąc ją dla siebie zachować na pamiątkę. Chłopak pokręcił głową, wszelako zgodził się.

–Tylko zważ na jedno – ostrzegł. – Nie dotykaj jej!

Więc uwiązaliśmy rzeźbę na cienkiej lianie i przywiesili do

gałęzi krzaku, by zabrać ją w drodze powrotnej.

Gdy w parę godzin później wracaliśmy tą samą ścieżką, czekała nas nowa niespodzianka: rzeźby nie było. W czasie naszych łowów ktoś ją zabrał. Nikt swój, z naszego rodu, tego nie uczynił. Więc krążył tu w pobliżu naszych chat ktoś obcy.

Gąszcz leśny, otaczając nas murem, ukrywał przed nami posępną tajemnicę i w tej nieprzejrzystej płataninie byliśmy bezradni.

–Białego jaguara z przebitym sercem wróg ma w swym ręku! – oznajmił Arnak.

–Uważaj na swe serce!

–Serce me zdrowe jak u konia! – parsknałem.

Jakoż w istocie zdrowie służyło mi nadzwyczajnie, wprost tryskało ze mnie; aż dziw, bo przecież w tych febrycznych oparach liczne musiały gnieździć się choróbska, czego najlepszym dowodem byli sami Indianie: wielu z nich wycieńczały różne gorączki i inne podle przypadłości.

Drugiej czy trzeciej nocy po odkryciu złowróżbnych rzeźb kiepsko spałem, a przebudziwszy się nie mogłem zasnąć. Od pobliskiej puszczy szła zgielkliwa muzyka, od rzeki krzyczała druga kapela, nieco inna, lubo równie hałaśliwa, a w trzciniowych ścianach chaty szeleściły jakieś jaszczureczki czy inne robactwo. Sen pierzchnął z powiek na dobre, przeto różne myśli kołatały mi po głowie. Czarownik swą niepojętą zawziętością wytwarzał z każdym dniem coraz drażliwsze położenie i należało przedsięwziąć jakieś stanowcze kroki. Ale jakie?

Nagle cały zamieniłem się w słuch. Leżałem pod samą ścianą na łożu z gałęzi pokrytych skórami. Oto akurat nade mną usłyszałem coś, co zdało mi się odmiennym od zwykłych szelestów dokoła. Rozległ się szczególny chrobot niby skrzyp trzciny ostrożnie rozsuwanej. Po chwili nabrałem niemal pewności, że ktoś, stojący na dworze, czynił siłą otwór w ścianie chaty. Już chciałem zerwać się, by wyskoczyć i złapać tajemniczego gościa, gdy jakiś przedmiot spadł na mój brzuch i – zastygłem w ruchu. Całe szczęście, że nie uległ przerażeniu i nie drgnął: był to wąż! Przytomność umysłu ocaliła mi życie.

Wąż nie był zbyt duży, nie miał pewnie więcej niż półtorej stopy. Po upadku zaczął się leżąc ciągle na moim ciele, jakby nie wiedział, co czynić dalej. Ledwom śmiał oddychać, lubo serce biło mi jak opętane. Poznałem w ostatnich dniach naturę tych gadzin na wskroś, przetom uświadamiał sobie doskonale, że wystarczy najmniejszy ruch z mej strony, a rozdrażniona bestia gotowa ciąć mnie jadowitym zębem.

Po chwili, dłużej jak wiek, wąż powoli rozwinął się i zaczął pełznąć. Czulem jego oślizgłość i wyteżalem całą siłę woli, ażeby nie drgnąć. Zesunął się z mego brzucha, ale nie oddalił. Pomalutku postępował wzdłuż mego ciała, potem nawet okręcił mi się wokół nogi w kostce i tak spoczywał przez parę minut. Ale i to przetrwałem, po czym gad zeszedł z mego łoża.

Odetchnąłem, Cały byłem w potach. Dopiero po jakimś czasie krew zaczęła pulsować należycie i wróciła zwykła zdolność myślenia.

Wszystko to działo się w zupełnej ciemności, nie pozwalającej nic widzieć. Jakkolwiek bezpośrednio niebezpieczeństwo już mi nie zagrażało, wiedziałem, że jeszcze całkiem go nie ominął. Gad znajdował się gdzieś w pobliżu, może czyhał o kilka cali ode mnie. Nie odważyłem się więc ruszyć i nadal ani nawet krzyknąć do towarzyszy śpiących w hamakach.

Tak przepędziłem kilka godzin w bezruchu, dopóki nie nadszedł świt. Gdy światło, szparami wnikające do środka, jęło rozpraszać ciemności, bacznie rozejrzałem się dokoła. Węża nigdzie nie zobaczyłem. Przebudzili się towarzysze. Uwiadomiłem ich o tym, co zaszło. Skoczyliśmy na ziemię.

Po przetrząśnięciu wszystkich niemal kryjówek w chacie wreszcie znaleźliśmy go. Niedaleko się ukrył: wśród gałęzi pod moim posłaniem. Był to wyjątkowo jadowity wąż i za-czepny. Osaczony, rzucił się na nas. Szybko i celnie trzeba było wyrzucić kijem, ażeby go unieszkodliwić.

Nad moim łóżem widniał otwór w trzciniowej ścianie, ślad wymowny. Było to już wyraźne godzenie na życie. Wszyscyśmy zrozumieli powagę chwili i potrzebę skuteczniejszej niż dotąd obrony. Nikt już teraz nie sprzeciwiał się temu, ażeby wystawić w nocy strażę i strzelać, jeśli ktoś niepowołany się zbliży.

–Ja będę czuwał! – pierwszy zgłosił się Arasybo, Miał nienawiść w oczach.

–Wszyscy po kolei będziemy czuwali! – odrzekł Arnak.

–Ja pierwszy! Ja tej nocy! – upierał się kulawiec.

Ale on miał przecież zeza, a w nocy potrzebny był doskonały wzrok. Wszakże przyjaciele wyjaśnili mi, że Arasybo ma wyborne kocie oczy. Więc na noc przygotowałem dla niego garłacza, nabitego ołowiem posiekany na śrut, i nakazałem nie strzelać z odległości bliższej niż trzydzieści kroków. Ażeby zaś nie zabić przypadkiem kogoś swojego, przed strzałem okrzyknąć go i przekonać się, kto zacz.

–Już ja odkryję, kto zacz! – warknął Arasybo.

Wieczorem ostrześliśmy najbliższych sąsiadów, ażeby nie

podchodzili nocą do naszej chaty ani do ścieżki, prowadzącej od nas w puszcę.

Okolo północy zerwał nas ze snu huk wystrzału. Wypadliśmy na dwór. Arasybo zawołał, że strzelił do podkradającego się człowieka.

–Czy krzyknąłeś do niego? – zapytałem kalekę.

–Po co?! To był wróg!

Duchem roznieciliśmy pochodnie i pobiegli na miejsce, wskazane przez Arasyba. Nikogo tam nie zastaliśmy. Strzelec chybił albo tylko zranił – albo może miał przywidzenie po prostu.

Gdy rozwidniło się na świecie, jeszcze raz zbadaliśmy miejsce. Tym razem z wynikiem. Łatwo odkryliśmy ślady krwi. Arasybo triumfował. Krwi było sporo.

10. Wąż,

dziki

i jaguar

Strzał Arasyba wydał nader pomyślne owoce, bo jakby odstraszył złośliwe duchy. Plaga węzów szybko ustała, nikt w ciemnościach już nie zakłócał nam spokoju, daremnie czatowaliśmy po nocach. Indianie po kilku dniach chcieli zaniechać czuwania, wszakże na to się nie zgodziłem i w końcu przeprowadziłem swoje: pora sucha, pora wojen, ustalała się w puszczy na dobre i nocne baczenie nasze miało na oku już nie jedno, lecz dwa niebezpieczeństwa, mianowicie zakusy czarownika i możliwość napadu ze strony Akawojów. Do pełnienia straży przyciągnęliśmy wszystkich mężczyzn naszego rodu. Taka przezorność była przeciwna naturze tutejszych Indian, zupełnie wyzbytych daru zapobiegania przeciwnościom, ale potrafiłem ich do tego nakłonić, bo mnie szanowali i osobistej przykrości sprawiać mi nie chcieli.

Pozostało zagadką, kogo zranił nocny strzał Arasyba. W każdym razie nikogo z naszego rodu, ale też i nie ugodził Karapany, Konesa, Pirokaja ani Fujudiego, jak o tym wkrótce się wywiedzialem.

Przewidując kłopoty z Akawojami, chciałem mieć dokładną mapę lasów, gór, rzek i ścieżek, znajdujących się między dolnym Orinoko a rzeką Cuyuni na południu, więc posyłałem Arnaka i Pedra, biegłego rysownika map, do wszystkich

mieszkańców Serimy, mogących udzielić dokładniejszych o tych stronach wieści. Udzielali ich chętnie i powstała piękna mapa, wielce mi przydatna, a jednocześnie myszujący Arnak zasięgał ostrożnie języka co do nocnego gościa. I nic, tamten jakoby kamień do Wody. Jeśli ów człek leżał gdzieś i leczył się z ran, to potajemnie i sprytnie ukryty w bardzo ustronnym zakątku.

Z Pedrem stosunki świetnie układały się na stopie przyjaznej. Okazywał się chłopakiem pogodnym, uczciwym, uczynnym, którego nie podobna było nie polubić. Zaprzyjaźnił się szczególnie z wesołym Wagurą jak brat z bratem i wnet młody Hiszpan zapomniał, że znajduje się w niewoli. Był zręczny i chętny i miałem z niego pomoc nie tylko przy nauce hiszpańskiego. Pojętny, szybko przyswajał sobie język arawaski. Cieszył się swobodą taką samą co wszyscy inni, dałem mu nawet broń palną do ręki i przyrzekłem, że przy pierwszej sposobności zwrócę go rodakom. Może to śmieszne, ale dzięki niemu odkryłem rzecz bardzo ludzką i wielce mi przyjemną, mianowicie, że wśród Hiszpanów, łapserdaków pełnych okrucieństwa, były też jednostki szlachetne, godne miłości i szacunku.

Pewnego poranku udałem się z Wagurą i Lasaną na polowanie. Kroczyliśmy tą samą co zwykle ścieżką, która ponoć wiodła dziesiątki mil na południe, poprzez wąwozy gór Imataca do doliny rzeki Cuyuni, używana od niepamiętnych lat przez wędrujących kupców indiańskich. Ja miałem pistolet za pasem i guldynkę na ramieniu, znakomicie bijącą, lubo nie tak daleko jak muskiet, Lasana – luk, z którego rzadko kiedy chybiała, a Wagura uzbroił się w mało używaną w tych okolicach broń, dmuchawkę. Jej strzały, nieduże i lekkie, były przecież straszne: zaprawione trucizną urari, nawet nieznacznie drasnawszy grubego zwierza czy człowieka, w paru minutach

niechybną zadawały mu śmierć.

Gdy po dwóch mniej więcej godzinach dotarliśmy do ustroni obfitujących w zwierzyne, zaskoczyła nas taka ulewa, że prawie ciemno zrobiło się w lesie. Lasana i ja przypadliśmy do pnia potężnego drzewa zwanego przez Indian mora, a Wagura ukrył się tak samo o kilkadziesiąt kroków dalej.

Pomimo pory suchej doświadczaliśmy prawie codziennie podobnych nawalnych deszczów, trwających godzinę, dwie godziny, po czym wystrzelało znowu mocne słońce i najczystszy lazur oblekał niebo. Tym razem ulewa nie trwała długo, jakie pół godziny. Niebawem zaczęło się wypogadzać na niebie i wyjaśniać w puszczy.

Staliśmy jeszcze pod drzewem, kiedy nawykiem myśliwskim rozglądałem się po otaczającej nas kniei sięgając wzrokiem także ku konarom drzew.

W rozrzutnym natłoku rosły tu jakby trzy lasy w jednym, bo oprócz zwykłego, wysokopiennego, pienił się na dole nie-przedarty gąszcz krzewów, u góry zaś, na konarach i gałęziach drzew, rozwalala się trzecia knieja, armia posożytni-czych krzaków i zielsk. A na domiar całą płataninę spowijały we wszystkich kierunkach wariackie sieci z lian-powrozów. Lubilem wpatrywać się w tę burzę rozrzutności i poddawać błogiemu oszłomieniu.

Nagle – zaostrzyłem wzrok. Puls zabił mi gwałtowniej, guldynkę przysunąłem do strzału. O kilkanaście zaledwie kroków od nas czał się nad ziemią, w gałęziach drzewa, potężny wąż. Nie był to szary komuti, żyjący w pobliżu wody, bo odznaczał się żywym ubarwieniem. Pokryty był żółtawymi plamami na szaroczerwonym tle. Nie dało się odgadnąć, jak długi był, bom widział zaledwie część jego ciała, ale musiał to być olbrzym, jeśli wnosić z grubości cielska. Głowę wystawiał spoza liści gałęzi i śledził z góry, co działo się na ziemi. Dawno nas już odkrył.

Jeszcze się wahał, co zrobić, czy strzelić, czy nie, kiedy uwagę naszą odwróciły od węża niezwykle odgłosy, przychodzące z dala, z głębi puszczy. W kilku miejscach trzaskały tam lamane gałęzie i łoskot ten, zrazu niewyraźny, zbliżał się do nas coraz bardziej, a potem usłyszeliśmy także inne głosy, szorstkie i głuche: niby rechoty, niby chrząkanie.

–Saguino! – szepnęła do mnie Lasana. – Dzikie świnie!

Szły całą watahą prosto na nas. Siła nasłuchalem się opowiadań, jakie to niebezpieczne dla człowieka zwierzęta, jeśli je nieopatrznie rozdrażnić. Zaślepienie bowiem w swej furii, rzucają się na każdego wroga, człowieka czy jaguara, i chociażby nie wiem jak się bronił, najczęściej rozszarpują go na śmierć. Tylko pośpieszna wówczas ucieczka na drzewo może go uchronić od rozjuszonych paszczek.

Z pnia mory, pod którą staliśmy, pierwszy konar wyrastał o dziesięć stóp ponad ziemią, więc chwyciwszy Lasanę wpół pomogłem jej ucześcić się gałęzi i wejść na nią, po czym sam się wspiąłem. Widzieliśmy, że Wagura wlażł także na drzewo.

Zbadałem panewki, czy nie zamokły – co niestety w wilgotnej puszczy często się zdarzało – i podsypałem świeżego prochu na guldynkę i pistolet.

–Patrz! – zwróciła Lasana uwagę na węża.

Gad, który tak samo jak my usłyszał zbliżające się stado dzików, nabrał życia. Powoli zesunął się nieco niżej. Ogon mając gdzieś wysoko zaczepiony wśród gałęzi, głową i przednią częścią ciała zawisł w powietrzu niezbyt wysoko nad ziemią. Gdy tak wisiał nieruchomo, raczej do grubej liany podobniejszy niż do węża, zionął ukrytą grozą, jakowąś podstępną upiornością – i widać było, że coś tam powziął złowieszczy w swym splaszczonym łbie.

Tymczasem wataha nadeszła. Dziki sunęły wśród krzewów wprost pod nami i dokoła nas nie spiesząc się. Była ich cała chmara, szeroką ławą rozciągnięta, licząca może sto sztuk a może znacznie więcej; trudno w gęstwinie całość ogarnąć okiem. Zwlekałem ze strzelaniem, ażeby dzików jak najwięcej minęło, za to Lasana na odległość kilkunastu kroków ustrzeliła z łuku jedną z pierwszych loch. Zwierz, przeraźliwie fuknąwszy, wyszarpał paszczą strzałę z rany, ale już dostał po raz drugi w komorę i bezwładny opadł na przednie biegi. Wściekle klapiąc zwabił część stada do siebie. Dziki obstąpiły go z najeżoną na karku szczeciną. Podniecone zagadkowym zajściem, wznosiły łby i donośnie wietrzyły, ale nie mogły nas odkryć.

Wtem uderzył wąż. Pochwycił szczękami za grzbiet wycinka, ważącego kilkadziesiąt dobrych funtów, i jak gdyby to był lekki ptaszek, błyskawicznie uniósł go w górę. Przenikliwy kwik pojmanego rozdarł powietrze. Wąż, nie zważając na krzyk i rozpaczliwe wrywanie się zdobyczy, podźwignął się nieco wyżej. Tam przyłożywszy ją do pnia drzewa, na którym się znajdował, i pień, i dzika oplótł jednym zwojem swego ciała. Uścisk był śmiertelny. Wycinek, z połamanymi zapewne żebrami, z rozgniecionymi wnętrznościami, trochę pofajtał i stężał.

Wszystko to działo się na oczach stada, wpatzonego w leśną tragedię jak urzeczone. Ale już podczas ostatnich drgawek ofiary dziki na dole się ruszyły. Kilka z nich dopadło do drzewa, na którym był wąż i rznąły pień kłami. Inne poszły za ich przykładem.

Drzewo nie było grube, cztery dłonie męskie mogły je pewnie objąć. Pod naporem rozjątrzonych szczęk pień zatrzęsł się od korzeni po wierzchołek. Wąż wypelzł jak najwyżej. Oszalała zgraja coraz wścieklej dobywała sił. Z pnia leciały drzazgi. Z głuchym grzmotem ciało martwego zwierza spadło na ziemię. Stado odskoczyło, jakby przelękłe, ale natychmiast podjęło atak z podwójną dzikością. Wiadomo było, że drzewo długo się nie ostanie.

Zrozumiał to także i wąż.

Tymczasem Lasana nie próżnowała. Walka rozgrywała się tuż pod nami, o jakie dwadzieścia od nas kroków. Każda strzała z łuku trafiała, lubo nie każda zadawała śmiertelną ranę.

Mimo woli częste rzucałem spojrzenia na hożą kobietę. Rozploniona, z rozwianymi puklami włosów, jakże uroczy przedstawiała widok. Siedziała okrakiem, krzepkimi udami ściskając konar drzewa, a gibkość jej ciała i jędrność ramion były podziwu godne. Zgiełk na dole tudzież

unesienie myśliwskie porywały mnie tak samo jak urodziwą istotę obok, a przecież rozgorączkowanej myśli narzucały się dawne wspomnienia: chłopcem będąc widziałem kiedyś w domu ojcowskim rysunek przedstawiający nagą boginię rzymską, Dianę, gdy strzelała z łuku do jelenia. Obraz niezatarte wywarł wtedy na mnie wrażenie i teraz oto wyraźnie mi się przypominał.

Odważyłem się strzelić do dzików i ja z mej guldynki. Oczywiście dziki słyszały huk nad głową, ale rozjuszone, zaślepione jednym wrogiem, wężem, jego tylko widziały i wszystko na jego kładły karb. Więc' nabijałem spokojnie strzelbę i waliłem w stado raz po raz z dobrym powodzeniem.

Wąż uświadomił sobie, że jego ostoja, coraz silniej wstrząsana, lada chwila przewali się na ziemię. Tuż obok stały sąsiednie drzewa, wysuniętymi gałęziami wnikałymi między konary, do których przywarł zabójca. Niestety gałęzie te, dość wiotkie, nie wytrzymałyby ciężaru wężowego cielska. Ale były liany, i to wcale potężne, przewieszane niby girlandy z drzewa na drzewo, łączące ze sobą pobliskie pnie.

Jedną z nich wąż wybrał sobie do ucieczki. Wybrał źle. Samo pnącze było grube i silne, nierozzerwalne, ale niezbyt mocno zaczepione o gałęzie. Wąż, posuwający się z całą ostrożnością, jeszcze nie dotarł do środka liany, gdy ów pomost pod olbrzymim ciężarem zaczął się zwolna obsuwać. Dziki, widząc to, wszczęły piekielny wrzask i już skakać w górę, by wroga uchwycić. Nie dosięgały.

Gad może by ocalał, gdyby nie stracił panowania nad sobą. Pragnął zbyt szybko przedostać się na drugie drzewo i gwałtowniejszy uczynił ruch. Podejrzanie trzasnęło w gałęziach i pnącze znowu obniżyło się o kilka stóp. Dziki odchodziły prawie od zmysłów. Podskakiwały jak wściekle, ale wciąż daremnie.

Trzymanie się węża na tak kruchym oparciu stanowiło sztukę nie lada. W pewnej chwili gad, jakby gubiąc nieco równowagę, okręcił się. Mimo woli odczepił przy tym od liany ogon, który zawisł w powietrzu. Wielki odyniec akurat skoczył wysoko w górę. Udało mu się; uchwycił koniec ogona. Zajadle szczęki już nie popuściły. Ciało węża, ostro szarpnięte, osunęło się. Dopadły inne dziki, ucały kłami. Okropnie się wżerały. Ściągnęły wroga na ziemię. Olbrzym poradziłby zapewne dwom, trzem, ale nie wszystkim. Kiedy wpil paszczkę w ryj jednego, inne z niepohamowaną zaciekłością rozszarpały go i szybko rozszarpały.

W powietrzu wisiał gęsty odór piżma. Dziki, niesyte odniesionego zwycięstwa, wciąż się mściły na cielsku węża. Częściowo je pożerały wśród głośnego kłapania i innych srogich odgłosów. Ale powoli się uspokajały.

Wtem kilka zwierząt zadarło lby do góry, jakby wietrząc. Coś nagle obudziło ich czujność. W pierwszej chwili sądziłem, że odkryły nas, ludzi. Ale nie, ku nam nie patrzyły. Raczej w stronę zarośli, skąd przywędrowały. Pukając z oznakami lęku zrywały się do ucieczki za częścią stada, które wprzódy już odeszło. Wnet na placu boju nie pozostał żaden dzik z wyjątkiem

ustrzelonych przez nas i tych, które – ranione – dogorywały.

Jeszcze dochodził nas trzask od strony uciekających, gdy wśród gęstwiny pod nami mignął potężny kształt. Żółtawy, Cętkowany, wydłużony kształt.

Jaguar! – gwałtownie zabiło mi serce.

Tak, to był jaguar, skradający się śladem dzików. I on także chciał ze stada coś urwać dla siebie. Gdy podpełzł bliżej, zatrzymał się, zdumiony widokiem tyłu rozrzuconych dokoła trupów i rannych dzików.

Dzieliło nas niespełna trzydzieści kroków. Mielśmy go przed sobą jak na dłoni. Drapieżnik był wyraźnie zaskoczony niezwykłością sceny. Przywarł całkiem do ziemi, ale kocimi ślepiami świdrował w prawo i lewo. Niewątpliwie chciał zrozumieć, co tu się działo zagadkowego.

–Patrzy na nas! – szepnęła Lasana.

–Nie ruszaj się! – ostrzegłem ją z podniecenia zapominając, że nie powinien używać języka arawaskiego.

Jaguar utkwił w naszą stronę wzrok i już z nas nie spuszczał. Pałały mu ślepie okrutnie. Widać, upatrzył nas sobie. Czyżby myślał, żeśmy jakoweś małpy na żer dobre?

Nie ukrywam: ciarki przeszły po mnie. Guldynkę miałem wystrzeloną i już czasu nie było nabijać. Za pasem tkwiły jeno pistolet i nóż. Pistolet wprawdzie nabity, ale jak tam właściwie się miało z prochem na panewce, tegom nie wiedział. Ostrożnie namacałem uchwyt broni i powolenteńku wysunąłem ją przed siebie w sposobne do wystrzału położenie. Odwiodłem kurek. Proch był na panewce i wydawał się suchy. Odetchnąłem.

Tymczasem drapieżnik nie zwracał najmniejszej uwagi na leżące wedle niego dziki, co dziwno było, za to nas na konarze wprost pożerał krwiożerczym wzrokiem. W końcu ruszył się czołgając. Szedł chyłkiem ku nam. W tym zaczajonym podkradaniu się tkwiła jakaś ohydna groźba nieubłaganego losu, przed którym nie było ucieczki. Konar rósł zbyt wysoko, żeby jaguar jednym susem do nas doskoczył, ale zwierz, zwinny na drzewie, łatwo mógł dostać się po pniu do upatrzonej zwierzyny.

Trzymając oburącz pistolet wymierzony w stronę jaguara, kątem oka zauważyłem, że dzielna moja towarzyszka nie straciła głowy. Ona także gotowała się do obrony. Ostatnią strzałę, jaka jej została, nałożyła na cięciwę i skupiona czekała wypadków. Jej spokój, jej odwaga, jej gotowość do walki wzruszyły mnie do głębi, serce wypełniły mi dziwną tkliwością.

Jaguar szedł naprzód. Nie było wątpliwości, że na nas ostrzył kły. Podczołgał się pod nas na dziesięć może kroków i przycupnął. Jakby ogniem iskrzyły mu się oczy. Jego zupełne milczenie potęgowało grozę. Wreszcie zwierz zamarł. W ruchu – z wyjątkiem ogona, którego koniec

zamiatał ziemię. Wtedy spostrzegłem, że drapieźnik wzniósł nieco zad na tylnych łapach – ostatnia przed skokiem chwila.

W obydwóch dłoniach trzymałem pistolet, bezustannie wycelowany w jego łeb. Gdy on sprężył się do skoku, a muszka na mej lufie pokrywała jego oko, pociągnąłem za spust. Wraz hukiem wystrzału jaguar podskoczył rozpaczliwie w powietrze i wydał przenikliwy, krótki ryk. Bolesny ryk. Upadłszy ciężko, małą chwilę leżał jakby nieprzytomny, potem zerwał się i niezdarnymi susami popędził w głąb lasu. Pędził niedołąźnie, odurzały, jakby mu coś przeszkadzało.

–Dostał, dostał... – wołała Lasana z całych sił i uniesiona radością chwyciła mnie za ramię, przyciągając do siebie.

–Uważaj, bo spadniemy. – Bronilem się wśród śmiechu, który przyszedł na nas razem z niewysłowioną ulgą po nieczłowieckim napięciu.

Powoli otrzeźwieliśmy i, ochłonięci, spokojniejszym już wzrokiem ogarniali pobojowisko pod nami. Jaguar przepadł w gęstwinie i przestał być groźny, zapewne rzetelnie dostał w głowę. Dziki leżały wszędzie, rozkład piękny i okazały. Mięsa nabiliśmy tyle, że żywności było pod dostatkiem dla wszystkich przyjaciół i sąsiadów. Oto zaśmiało się do nas szczęście. Od uciechy czułem się jak pijany, rozpierało mnie. A na domiar urzekające słońce wyjrzało z nieba. Olśniło świat od nowa i zsyłało w ostępy puszczy jasne promienie, przenikające do nas złotymi sznurami.

Zanim zlazłem z drzewa, przezornie nabiłem guldynkę i pistolet.

Z dołu spojrziałem na roześmianą Lasanę i nigdy dotąd nie widziałam mi się tak ponętna i bliska sercu. Odłożywszy myśliwskie przybory wedle pnia, stanąłem pod konarem i wyciągnąłem ramiona ku górze, by ona do mnie zeskoczyła. Uczyniła to z wdziękiem, podobna do zwiewnego ptaka, i wpadła mi w dłonie jak dojrzały owoc. Oszłomiło mnie. Żadne zmysły zbudziły się nagle niby drapieżne zwierzęta.

Lewą garścią szorstko ująłem ją w tyle głowy za włosy i na odległość ramienia przysunąłem jej twarz do siebie. Patrzałem w nią twardym wzrokiem człowieka, który postanowił zawładnąć. Syciłem się każdym powabem jej oblicza, drażniącą rozkosz pilem z jej oczu. Oczywiście, dotychczas rozbawione, teraz zwilgotniały, zaszły mgłą.

Nie puszczając jej włosów, jak gdyby w niedorzecznej obawie, że ona mi ucieknie, opasałem jej kibić prawym ramieniem i przygarnąłem do siebie. Nie broniła się. Sama mocno uchwyciła mnie rękoma za kark.

Nie zdążyliśmy opaść na ziemię, gdy z daleka zawołał Wagura. Zbliżał się, wesóło pokrzykując. Wróciliśmy do przytomności. Puściłem ją, odstąpiliśmy od siebie. Potrząsnęła włosami, by się ułożyły, i dotykając tyłu głowy, gdzie ją wprzód łapał, pogroziła mi z

uśmiechem:

–Bołało...

–Czy bardzo bołało?

Kiwnęła skwapliwie głową, że nie.

Dziki, po zatłuczeniu tych, które jeszcze żyły, a uciec nie mogły, poznosiliśmy w jedno miejsce i zabrali się do żmudnej roboty patroszenia. Parę godzin to trwało. Następnie rozwiesiliśmy zdobycz na gałęziach drzew, ażeby zabrali ją później ludzie przysłani ze wsi, dwa dziki zaś uwiązaliśmy na drągu i sami je ponieśli, ja z przodu, Wagura z tyłu. Ogółem upolowaliśmy przeszło dwadzieścia sztuk, w tym kilka zastrzelonych przez Wagurę z dmuchawki. Jaguara nie znaleźliśmy, aleśmy go też nie bardzo szukali.

11. Między

życiem

a śmiercią

Kiedy zbliżaliśmy się do domu, słońce zaledwie zeszło z południa. Mięso dzików szybko się psuje, więc bez odpoczynku rażno sunęliśmy po ścieżce. Ów wypadek, od którego życie moje zawisło na cienkiej nitce, spotkał mnie już niedaleko chat, o jakie sto kroków przed wyjściem na skraj puszczy.

Postępując – jak już wspomniałem – jako pierwszy, opierałem drąg z dziczyzną na ramieniu. Ścieżka była wąska, więc gałęzie krzewów często nas uderzały. Takie podobne uderzenie w lewe ramię, niezbyt silne ani bolesne, i teraz poczułem. Zerknąwszy w tę stronę spostrzegłem dziwne mignięcie tuż obok na krzaku. Spojrzałem uważniej: był to wąż. Mierzył może trzy stopy długości. Czyhał na gałęzi, gdy mnie ukąsił. Po budowie głowy od razu poznałem, że jadowity.

–Uwaga! – odezwałem się zduszonym głosem najspokojniej, jak tylko mogłem. –

Ugryzł mnie wąż!

–Gdzie? – zerwał się Wagura jakoby ze snu. – Gdzie?

–W lewe ramię ugryzł – odrzekłem odskakując na prawo od ścieżki. – A on tam, o, jeszcze go widać!

Lasana, idąca za nami, była teraz najbliżej węża. Jednym susem doskoczyła do niego i używając łuku jako kija mocnym ciosem złamała gadowi kość pacierzową. Uderzony spadł z gałęzi, ale niezupełnie, bo zawisł w powietrzu.

–Przywiązany! – zdumiał się Wagura.

Był w istocie przywiązany za ogon do gałęzi. Ktoś go tam przywiązał nad ścieżką, ażeby tym pewniej ukąsił przechodnia. I ukąsił!

Obydwoje przyskoczyli do mnie. Pokazałem im ukąszone miejsce: dwie maleńkie cętki, trudne do zauważenia, gdyby o nich nie wiedzieć. Przerazenie w najwyższym stopniu odbiło się w twarzach przyjaciół.

–Noża! – wrzasnęła Lasana nieswoim głosem.

Sama wyrwała mi nóż zza pasa, lecz Wagura wydarł go z jej ręki wołając, że on lepiej to zrobi. Kazali mi szybko sięść na ziemi.

Chłopak chwyciwszy mnie mocno za ramię zaczął gwałtownymi cięciami rozkrawać skórę i mięśnie tam, gdzie było ukąszenie. Krew tryskała dokoła z coraz głębszej rany, ale on nie baczył na to, tylko rznął i rznął. Miętosił równocześnie ramię, żeby jak najwięcej wydusić krwi.

Nie zważałem na ból, świadomy, o jaką stawkę chodzi.

Następnie Wagura odrzucił nóż i schylił się ustami do rany.

–Nie! – krzyknęła Lasana i gwałtownym ruchem odepchnęła go ode mnie. – Ty nie możesz! Masz ranę na wardze!

Sama dopadła do mego ramienia i zaczęła ssać krew, co chwila ją wypluwając. Nie tylko ssala, lecz żuła skrawki mięsa w ranie, jakby je chciała wygryźć i jeszcze powiększyć otwór. Wkrótce całą twarz, ręce i piersi strasznie sobie ubabrała na czerwono.

Wszystko to działo się piorunem, szybciej aniżeli da się opisać. Od chwili ukąszenia upłynęła może raptem minuta, gdy Lasana, ledwo dysząc z wysiłku, na chwilę ustała.

Widząc bezczynnie stojącego nad nami Wagurę zgromiła go ostro i nakazała:

–Pędź do mej matki! Powiedz jej, co zaszło!...

–I co?

Niech przybiegnie z lekami. Pędź!

Ależ chłopak pognał! Niczym sarna. Jakże oni jednak mnie lubili!

Sam siedząc spokojnie jak bożek jakowyś, nie mogłem wyjść z osłupienia na widok ich obłądnego przejęcia i tak narwanego pośpiechu. Dobrze pamiętałem psa, który zdechl tak szybko po ukąszeniu i słyszałem o niejednym smutnym wypadku, ale teraz nie czując na razie żadnego bólu – prócz tego, jaki mi Wagura nożem zadawał – ani żadnego skrępowania i mając tylko lekki zawrót głowy jakoś trudno mi było pojąć grozę chwili i nadzwyczajne wstrząśnienie przyjaciół.

Lasana wciąż całym wysiłkiem wysysała mi krew, której z otworu coraz mniej broczyło, bom jej utracił już chyba kwartę. Widząc bladość jej twarzy i nie niknące przerażenie w oczach zapytałem ją, dlaczego nie pozwoliła ssać Wagurze.

–Krew w twojej ranie zła – wyjaśniła – może zatruć dziesięciu ludzi, jeśli twoja jedna kropla dojdzie do ich krwi... Wagura ma ranę na ustach...

–A ty sama nie masz może ranki, gdzieś ukrytej?

–Myślę, że nie mam.

–Toś niezupełnie pewna tego?

–Któż może być pewny?

–A jednak ssiesz?

–Ssę – burknęła takim głosem, jak gdyby narażanie się było oczywistą jej powinnością.

Podczas tej krótkiej rozmowy doznałem silniejszego niż wprzódki zawrotu głowy i zdjął mnie niepokój, gdy w ukąszonym ramieniu odezwał się ból. Nagle uderzyły na mnie tak gwałtowne poty, że wprost lało się z całego ciała. A więc jad przedostał się dalej i działał. Obraz ukąszonego psa w ostatnich podrygach dręczył mnie nieznośną wyrazistością.

–Nie umrzesz! – słyszałem zdławiony szept Lasany tuż nad uchem, ale głos docierał do mnie jak przez ścianę. – Nie umrzesz!

Powtarzała to jak zaklęcie.

Ludzie przybiegli znad rzeki, podparli moje plecy i kazalimi pić obrzydliwie gorzki wywar z jakichś czarcich ziół. Aż w bebechach się przewracało od paskudztwa i w istocie zacząłem strasznie wymiotować tudzież wypróżniać się. Osłabłem przy tym, ale jak gdyby jednocześnie w głowie się przejaśniało, a ból w ramieniu lżał.

Potem Arasybo przytknął do mych ust wielką dynię i wlewał do gardła wyjątkowo silny kasziri. Inni trzymali mi głowę, żeby nie opadła w tył. Już po kilkunastu łykach byłem odurzony napojem, ale kulawiec wciąż lał i lał, dopókim, pijany zupełnie, nie stracił przytomności.

Kiedym odzyskiwał przytomność, było już ciemno na świecie. Zdrętwiałe zmysły tylko nieśmiało odżywały, jakoby opornie powracając z innego świata. Dopiero głuchy ból nieznośnego pragnienia doprowadził mnie do pełnej świadomości.

Leżałem na łożu w naszej chacie. Na dworze paliło się ognisko, którego światło przez otwór wejściowy biło mi w oczy. Tuż wedle mego boku stał na ziemi dzbanek z wodą. Sięgnąłem do niego prawą ręką i piłem łapczywie. Lewego ramienia nie mogłem ruszać.

Odgłos picia usłyszeli przyjaciele siedzący przy ognisku i wpadli do chaty. Gdy ujrzeli mnie przebudzonego, wielce się uradowali.

–Dusza wraca do ciała! – stwierdził Manauri. – Więcej mu wody do picia!...

Byłem całkiem trzeźwy, lubo bardzo osłabiony. Ból w lewym ramieniu ustąpił, co poczytywano za dobry znak. Arnak dotknął mego czoła.

–Nie poci się! – zawołał do przyjaciół ucieszony.

I mnie również się wydało, że nastąpiło przesilenie choroby, a ciało zwalczyło jad. Straszny jad o przerażającej mocy! Piekielny jad smoczego nasienia! Przecież małą kropelkę, jaką wąż

wcisnął mi tuż pod skórę, prawie natychmiast usunięto z rozciętej rany i na domiar zaraz ją skrętnie wyssano, a jednak owa tysięczna część kropelki, jaka mimo wszystko wtargnęła do krwi, owa niezmiernie rozcieńczona drobinka jakże piorunem powaliła mocnego, zdrowego chłopca. Ież w tym było nieograniczonej potęgi szkodliwej, aż rozum ludzki się przewracał, a myśl wzdrygała się i pojąć nie mogła. Zjadłe zło czaiło się w puszczy, ale nie tylko w puszczy: także i wśród ludzi poniekórych.

–Znaleźliśmy jeszcze dwa węże na krzakach! – oznajmił mi Arnak.

–Przywiązane? – zapytałem wątlym głosem.

–Przywiązane! – odrzekł i wargi zagryzł.

Po chwili przybliżył się całkiem do mnie i siadł na ziemi obok łoża. Chmura na jego twarzy, oko osowiałe.

–Radziliśmy, co robić – rzekł ze ściśniętym gardłem. – Trza z tym skończyć...

–Z czym? – spojrzałem nań uważnie.

–Niektórzy mniemają, że najlepiej opuścić Serimę i gdzie indziej założyć nam wieś,

wyżej biegu Itamaki. Inni natomiast upierają się, że nie: pozostać, zabić Karapanę i Konesa. Tych, co tego pragną, więcej w naszym rodzie...

Arnak, ujrawszy skrzywienie mej twarzy, zawahał się.

–Na czym stanęło? – zapytałem.

–Oddalić się od Serimy niebezpiecznie: Akawoje. Mogą przyjść lada dzień. W

kupie jesteśmy silni, osobno – słabi, łatwiej narażeni na napaść i zgubę. Tedy nie ma wyboru, pozostaje jedynie ta druga możliwość: zabić ich! I takeśmy uchwalili. Pójdziemy i zatłuczemy ich...

Wzburzony, uniosłem się z posłania, chociaż liche i w kościach omdlały.

–Nie! – zawołałem gniewnie. – Tego wam nie wolno! Nie wolno! – powtórzawszy krzyknąłem najgłośniej, na ile sił mi starczyło.

Arnak z okrągłymi oczyma, bezgranicznie zdumiony, patrzył na moje uniesienie. Takiego sprzeciwu nie spodziewał się ze strony człowieka, który dwukrotnie ledwo uszedł złośliwej śmierci.

–Pomnij, kto te gady ci nasyłał! – oburzył się.

–Pomnę!

–I jeszcze ich bronisz?

–Nie bronię!

–Nie bronisz, a nie pozwalasz ich zabić?!

–Nie pozwalam!

Arnak, wyraźnie przejęty lękiem, patrzył na mnie, jak gdyby zabrakło mi piątej klepki. Uśmiechnąłem się do niego.

–Rozum, rozum miejcie! – westchnąłem.

–Rozum?! – zachnął się drwiąco. – Rozum jedno mówi: zabić ich jak psów!...

Dlaczego nie pozwalasz?

–Nas zaledwie trzydziestu wojowników, ich dziesięć razy więcej...

–Wielu z nami pójdzie...

–Wielu, ale nie wszyscy. Główny wódz i czarownik to nie byle jaka władza i

powaga, sam to mówiłeś niejednym razem. Siła zwolenników pójdzie za nimi i mścić będzie ich śmierć. Będzie wojna braci z braćmi, najobrzydliwsza z wojen, która niejednym naród, potężniejszy niż wasz szczep, do cna wytraciła. A tu jeszcze Akawoje...

–Może nie przyjdą! Kto wie?

–Chociażby nie przyszli, to szczep ma się wzajemnie wyrzynać, we własnym

łonie? Ej, Arnak, z twoim rozsądkiem mi się coś nie widzi!...

–Chcę twego dobra, Janie! O ciebie nam chodzi! – wyrzucił niemal z rozpaczą.

Lubo Arnak twarz zawsze miał zamkniętą, przecież w blasku ogniska dostrzegłem, co w nim siedziało: troska i smutek. Serdecznie położył prawicę na jego rękę i mocnom uściśnął.

–Wiem, Arnak, wiem, żeś mi życzliwy! – kiwnąłem głową, bliski wzruszenia. – Ale skoro wam o mnie chodzi, to słuchaj!

I w słowach krótkich, acz dobitnych wyłożyłem moje zdanie: właśnie dlatego, że chodziło tu o mnie, za nic nie chciałem dopuścić do rozlewu krwi. Ja byłem tu tylko przybyszem, wdziercą nieledwie i nie zniósłbym, żeby z mej przyczyny doszło do bratobójczych walk. Koneso i

Karapana, zaślepieni błędnym jakimś rozumieniem, uwzięli się na mnie, ale nie traciłem nadziei, że prędzej czy później przekonają się o swej omyłce...

–A jeśli się nie przekonają? – wtrącił Arnak.

–Nie wypadnie robić na razie nic innego, jak podwoić czujność... Czy rozumiesz mnie?

–Rozumiem, Janie!

Poprosiłem chłopaka, żeby po arawasku wyjaśnił Manauriemu i innym moje polecenie: żadnych wrogich kroków. Nie było to po ich myśli, zwłaszcza wodzowi, ale przyrzekli mnie słuchać.

Miało się pod rano, więc wszyscy mężczyźni poszli do puszczy, by przynieść ubite dziki.

–Lasana i jej matka – rzekł do mnie Arnak przed wyruszeniem – będą cię pilnowały. Czy dać ci jaką broń pod rękę?

–Po co? Chyba pistolet połóż mi tutaj...

Rozmowa z przyjaciółmi całkowicie wyczerpała me siły. Po odejściu ludzi Lasana przyszła do chaty i opatrzyła ranę przykładając na niej świeże liście ziola leczącego.

–Dziękuję ci, Czarowną Palmo! – odezwałem się serdecznie.

–Za co dziękujesz?

–Za to teraz i za to, w lesie...

–Żem napila się twojej krwi? – szczyrzyła do mnie zęby szczęśliwa i uśmiechnięta. – Bardzo smakowała... Za trzy dni wstaniesz zdrowy.

–A rana kiedy się wygoi?

–To dłużej potrwa, o, dłużej. Na lewe ramię będziesz niedołągą przez sporo dni...

–To się pewnie cieszysz?

–Cieszę się? – zdumiała. – Dlaczego miałabym się cieszyć?

–Tak prędko lewą ręką nie chwyć cię znów za włosy i nie zgotuję ci bólu!

–Ach! – schyliła się nisko nade mną z szydliwym migotem w oczach. – Czy nie

będziesz miał drugiej, zdrowej ręki?

Ale zaraz odstała ode mnie o krok, czymś mocno stropiona, i wlepiła we mnie tak badawczy wzrok, jakby chciała mnie przeszyć do głębi.

–Hej! – zawołałem rozśmieszony. – Czy nie poznajesz leżącego?

–Nie! – odparła krótko i cierpko.

–To ja, Biały Jaguar! – żartowałem dalej.

–Jużem coś zmiarkowała tam, w puszczy – bąkała zamyślona, jakby do siebie, nie zważając na mój swobodny ton. – Ty przecież mówisz po naszymu! Jak to możliwe?

–Nauczyłem się.

–Kiedyż to? – nie wychodziła ze zdziwienia.

–Małom się nasłuchał waszej mowy u Arnaka, Wagury, Manauriego, u ciebie?

Ach, u ciebie! – zaśmiałem się bezgłośnie.

–Co ci tak wesoło?

–Przypomina mi się nocna rozmowa między pewną hożą niewiastą a jej wodzem, u stóp Góry Sępów, na pokładzie żaglowca...

–Toś nas rozumiał wtedy?

–Ehe!

–I nic nie mówileś?

–Wyście mówili tak wiele...

Zmiarkowałem po oczach Lasany, jak bardzo splonęła, zmieszana tym, co jej zdradziłem. Po prostu zaniemówiła.

–Nie masz się czego wstydzić! – pogłaskałem jej rękę pieszczotliwie. – Żądano

od ciebie, byś mnie, jak to się wyraził Manauri, byś mnie opętała, a tyś z jaką niepowszednią godnością odmówiła, jak szlachetnie stawiałaś opór! Wtedy ujęłaś mnie za serce...

–Więc jednak opętałam! – parsknęła.

–Chyba tak! ~ przyznałem. – A czy chcesz mnie jeszcze bardziej ująć?

–Chcę.

–Tedy nie mów nikomu, że umiem po arawasku. Niech to pozostanie między nami...

W ostatnich minutach opadła mnie znowu taka niemoc, że coraz bardziej kleiły mi się powieki, a zmęczone myśli uciekały z głowy. Lasana coś jeszcze gwarzyła, ale to już nie docierało do mnie; zapadałem w sen iście nieprzytomny. Dręczyły mnie koszmary senne, jakieś właśnie bratobójcze, poczarwane wężyka, i dokuczały mi zawzięte klótnie, uparte, krzykliwe. W końcu skwapliwy jazgot przebił powłokę snu i zacząłem się budzić. Z dworu napływały odgłosy sprzeczki – tym razem rzeczywistej. Wytrzeźwiałem w mgnieniu oka, poznavszy po głosach, kto tam się spierał: Lasana z Konesem i Karapaną. Lasana broniła im wstępu do mej chaty.

–Nie można! – kipiała, rozdrażniona i stanowcza. – Manauri zakazał wpuszczać!...

–Zakazał wpuszczać i mnie, wodza naczelnego?

–Kogokolwiek! Nikomu nie wolno!

–Odejdź, jędzo! – zasyczał Koneso. – Bo rozwalimy ci łeb! Chcemy go tylko widzieć – i mu pomóc!

Lasana uznała, że tym dwom sama nie da rady, a wszyscy mężczyźni naszego rodu byli jeszcze w puszczy.

–Dobrze! – zgodziła się po chwili wahania. – Ale odłóżcie broń przed chatą! Nie wolno z maczugami!

–Niech będzie, jak chcesz! – przystał wódz. – A to złoźnica!

–Suka! – warknął czarownik.

Nastał już jasny dzień, słońce może przed godziną się pojawiło. W chacie panował widny półmrok, pomimo że wejście zawieszono skórą. Jak tylko usłyszałem głosy, sięgnąłem szybko po pistolet i z odwiedzionym kurkiem schowałem go pod matę, pod którą spoczywałem. Położyłem broń wzdłuż prawego uda trzymając ją za rękojeść, a palec na cynglu.

Wsunęli się najpierw obydwaj mężczyźni, za nimi Lasana. Wejście zostawili odsłonięte, dzięki czemu było widniej. Podeszli do łóża. Lasana stanęła z boku, by baczyć na każdy ich ruch.

Leżałem na wznak, z podwyższoną nieco głową. Nieruchome oczy, wpatrzone sztywno w kąt dachu przede mną, miałem tylko na wpół zamknięte, jak to bywa u ludzi sparaliżowanych. Kątem oka ledwie ogarniałem postacie przybyłych.

Przez długą chwilę wpatrywali się we mnie z góry, nic nie mówiąc. Potem Karapana zniżył głowę do wysokości moich oczu i z bliska zatopił w nich natężony wzrok. Badał długo, tak długo, żem zmartwiał z wysiłku, by nie zdradzić się nierozważnym ruchem. Widziałem, jak grdyka w chudej szyi czarownika chodziła w górę i na dół.

–Poraziło go rzetelnie! – odezwał się wreszcie półgębkiem, czyniąc grymas jakby do chichotu. – Leży półmartwy.

–Czy umrze? – zapytał Koneso.

–Powinien, powinien.

–Kiedy?

–Nie wiem. Może niedługo.

Mówili ze sobą nie krępując się obecnością Lasany a przekonani że nie rozumiem ich języka. Ponieważ gadali tuż nade mną, docierało do mnie każde słowo.

–Oczy ma nieco otwarte! – zauważył wódz podejrzliwie.

–Ale niewiele już widzi! – uspokoił go Karapana. – Chyba że...

–Że co?

–Że udaje przed nami.

Teraz z kolei Koneso przystąpił całkiem blisko i dobrą minutę przypatrywał mi się w milczeniu.

–Błady okropnie – stwierdził – ale żyje.

–Długo nie pożyje! – burknął czarownik i jeszcze raz zamajaczyła przede mną

jego pomarszczona, złośliwa twarz. Wlepił we mnie spojrzenie tak straszne i nienawistne, że łatwo było odgadnąć, iż to nieubłagany wróg, który wydał na mnie wyrok śmierci.

–A jeżeli udaje? – nie dowierzał Koneso.

–To mimo to długo nie pożyje, uspokój się! – powtórzył Karapana, w zaciętości swej jakiś bardzo pewny siebie.

Dotychczas wszystko, co się działo dookoła mnie, śledziłem z opanowaniem niepoślednim, czując w garści rękojeść pistoletu. Ale gdy usłyszałem ostatnie słowa czarownika, zawierające tajemniczą groźbę, jakoś nieswojo mi się zrobiło i serce skoczyło galopem. Z jakiej strony zagrażało niebezpieczeństwo?

–Lasana! – zwrócił się czarownik do kobiety – pokaż nam jego ranę.

–Nie chcemy jej dotykać – dodał wódz – żeby nas źle nie posądzano.

–Rana zalepiona liśćmi! – broniła się Lasana.

–Nie szkodzi! Tyś go opatrywała?

–Nie, matka.

–Przywołaj matkę.

Zawahała się, czy pozostawić ich samych ze mną, ale pewnie uznała, że nic mi na razie nie groziło. Zresztą daleko nie wybiegła, jeno dwa kroki przed wejście. Stamtąd krzyknęła do swej chaty oddalonej o niespełna staję i w paru słowach poleciwszy matce przyjść, natychmiast wróciła.

W tym czasie – a trwało to zaledwie kilka chwil – coś tajemniczego stało się przy łożu. Karapana śmignął za moje plecy, jak gdyby nieco się schylając do ziemi, ale co tam robił, nie wiedziałem, bom nie chciał odwracać głowy. Doszedł mych uszu lekki, osobliwy szmer, przecież tak słabiutki, że trudno było odgadnąć jego źródło. Jakoby nieznacznie zbulgotało czy zabręczało, może zaszleściło? Zresztą zbyt krótka chwila pozostawała do namysłu, bo już wpadła nazad Lasana nieufnym okiem ogarniając chatę i dwóch mężów. Widać nic podejrzanego nie spostrzegła, bo spokojnie zapowiedziała, że matka jej zaraz przybędzie.

Gdy kobiecina się zjawiała, odkryła moją ranę, na szczęście nie odsłaniając maty z prawego ramienia, gdzie był pistolet. Karapana pochwalił opatrunek i wręczył kobietom swoje własne zioła, które uważał za najskuteczniejsze. Ale zaraz dodał, że nie wie na pewno, czy działają, bo choremu już pewnie nic nie pomoże.

–Nie pomoże? – zdziwiła się staruszka. – Przecie już mu lepiej!

–Ja poprawy nie widzę! – surowo oznajmił czarownik. – Czy on długo leży tak sztywno?

–Długo, ale przedtem się ruszał.

–Więc teraz zdrętwiał, bo zbliża się śmierć. Do wieczora umrze.

Kobieta była innego zdania, wszakże nie śmiała zaprzeczyć Karapanie, a bezwzględność

groźnej zapowiedzi nabawiała ją lęku.

–Umrze! – powtarzał czarownik rozkoszując się tą myślą. – Umrze, bo ukąsił go niezwykajny wąż.

–Niezwykajny?

–Niezwykajny: zaklęty.

–Wiemy, kto go zaklął i powiesił na krzaku! – prychnęła gniewnie Lasana.

–Dziewko przemądrzała! – skarcił ją czarownik z ponurą powagą. – Ty, głupia, nigdy nie domyśliłabyś się, kto zaklął węża!

–Któż więc?

–On sam!

–On, Biały Jaguar?

–On sam!

Nastalo wymowne milczenie, a kobiety zapewne nie umialy ukryc swego powatpiwania.

–Tak, on sam! – zapewniał Karapana. – Tyś, Lasana, mloda i glupia, ale twoja matka moze ci powiedziec, ze sa roznego rodzaju kanaimy.

Najgorsi to ci, ktorzy czynia wrazenie dobrych ludzi, moze nawet sa dobrymi ludzmi, tylko nie wiedza, ze maja zapiekla, zgubna dusze kanaimy. Gdy ciało ich spi, dusza odrywa sie od niego i czyni straszliwe szkody ludziom i zwierzetom, zabija, krew zatruwa, wężę nasadza. Czy sa tacy ludzie, powiedz! – zwrócił się do staruszki.

–Są! – przyznała, zastraszona.

–Więc co wy, durne, wiecie o nim, waszym Białym Jaguarze? Czy znacie jego

niehumanne występki, popełniane w śnie, kiedy może on sam o tym nie wie kiedy może on sam nie zna własnej, zbrodniczej duszy kanaimy?

–A po czym poznajesz, że on ma taką duszą? – odezwała się Lasana.

–Spójrz, dziewczko, na moją twarz i zobacz, ile mam lat. A doświadczenia tyle, ile lat. Czy umiesz patrzeć i czy rozumiesz?

–Patrzeć umiem – odrzekła hardo – i dlatego nie widzę w nim kanaimy, a u

ciebie widzę złość i bezsilną nienawiść, luboś wielkim czarownikiem!

Nastala chwila ciszy. Postanowilem czarownikowi strzelić w leb z pistoletu, skoroby rzucił się na Lasanę. Nie rzucił się. Stłamsił w sobie wściekłość. Tylko rzekł spokojnie, chrapliwym głosem:

–On dziś zdechnie! A ty uważaj, sekutnico, żebyś nie poszła razem z nim!

Wypowiedziawszy to, zabierał się do odejścia. Wtedy Koneso dopadł Lasany i chwyciwszy oburącz jej ramiona zaczął nią trząść zapamiętane.

–Jeśliś przy rozumie i chcesz żyć – ślinił się z naglej pożądliwości a rozjuszony

zarazem – jeśli chcesz żyć, to wiesz, co robić! Tylko ja, ja jedyny cię uchronię od śmierci! Nakazuję ci iść zaraz do mojej chaty!...

–Nie dotykaj mnie! – usłyszałem jej zimną odpowiedź. – Obrzydliwyś!

–Chcę, żebyś żyła! – pieniał się błagalnym na poly głosem. – Nakazuję ci...

Nagle puścił ją i podążył za Karapaną, który znikł już z chaty.

Po ich wyjściu kobiety szybko ochłonęły. Matka zapytała córkę wskazując na mnie:

–Czy dotykali go?

–Nie.

To starą uspokoiło, ale nie rozwiało jej rozgoryczenia. Patrzała na mnie niechętnie, bez przyjaźni. Czyżby śmieszne brednie czarownika o mej szkodliwej rzekomo duszy jednak wywarły jakieś wrażenie? A może brała mi za złe kłopoty, jakich im mimo woli przysparzałem? Uśmiechnąłem się do niej, ona nic. Dopiero gdy wyjąłem spod maty pistolet, kobiety ucieszyły się, że nie byliśmy bezbronni wobec Konesa i Karapany, a ja od nowa jako tako zyskałem łaską w oczach starowiny.

Niewiasty natychmiast zabrały się do sumiennego przeglądania ziół ofiarowanych przez Karapanę, zali nie domieszał czegoś trującego, podczas gdy ja sam pilnie badałem miejsce wedle łoża, kędy czarownik dokonywał zagadkowych zabiegów. Stał tam na ziemi dzbanek z wodą do picia, przeznaczoną dla mnie, i nic więcej. Nagle rozjaśniło mi się w głowie! Znalazłem wyjaśnienie, a z przejęcia gorąco oblało mnie po całym cieie. Nie było wątpliwości: poprzednie ciche bulgotanie pochodziło od mieszania wody w dzbanku, a mieszano, żeby w niej coś rozpuścić. Trucizną? Oczywiście, trucizną – i oto, czemu czarownik był tak pewny, że dziś jeszcze pożegnam ten świat. Gdyby nie moja czujność, chytrego jego zamysłu nie

odkrylibyśmy, aż poniewczasie.

–Pocieszcie się! – zawołałem. – Nie minie was niespodzianka.

Kazałem Lasanie przynieść rozbitą przez pół dynię, wlać w nią wody z mego garnka i podać do picia obcemu psu, który przybył do naszej chaty wraz z dwoma gośćmi, a jeszcze w pobliżu się wałęsał.

–To pies Konesa – zauważyła matka Lasany.

–Tym lepiej!

Jeszczem na pewno nie wiedział, czy podejrzenie moje się sprawdzi. Pies wychleptał wodą jak się patrzy, potem hasał grzecznie przed chatą razem z innymi kundlami. Atoli po kwadransie Lasana wbiegła z wiadomością, że psisko przewróciło się jak ścięte z nóg i fajtało łapami w przedśmiertnych dreszczach. Wnet uległo truciznie.

Uśmiechałem się zadowolony, gdy mi zdawała z tego sprawę, ale na dnie duszy miałem smutek i popłoch. Zaciekła nienawiść czarownika przejmowała mnie mimowiednym przerażeniem. Z mocnym postanowieniem, że jednak trzeba będzie podjąć bezwzględną walkę, ponownie zapadłem w sen.

Zbudziły mnie okrzyki. Tym razem wesole. Nasi przynosili z puszczy zdobycz. Składali ubite dziki przed moją chatą tworząc tam pokaźną ich kupę. A do środka wpadli z iskrzącymi się oczami Wagura i Arnak dźwigając wysoko na bambusowych żerdziach skórę jaguara.

–Jest! – wrzasnął Wagura.

–Skóra całkowita! – chwalił Arnak. – Nigdzie dziury. Czy czarami go uśmierciłeś?

Wiedział dobrze młody przyjaciel, jak zginął jaguar i tylko żartował, ale żart jego podsunął mi pewną myśl.

–Może czarami! – uśmiechnąłem się. – To wcale nieglupi pomysł!... Czy daleko szedł po strzale?

–Sto kroków. Przez lewy ślep przestreliliś mu mózg.

Weszli do chaty Manauri, Murzyn Miguel i sporo jeszcze indian, wszyscy w górnych nastrojach.

–Dziesięć i dziesięć, i osiem – tyle dzikich świń! – radował się Manauri. – Jak je rozdzielić, poradź!

–Dwanaście dla ludzi Konesa – odrzekłem – osiem dla Pirokaja, a pozostałe osiem dla naszego rodu.

–Czy nie za dużo dla tamtych? – nasunęły się wodzowi wątpliwości.

–Nie!

–A czarownik Karapana nic nie dostanie?

–Dostanie, owszem. Skórę jaguara.

–Skórę jaguara?!? Skórę jaguara?!

Wszyscy sądzili, że mnie źle słyszeli, albo że nie pojął należycie pytania Manauriego.

–Dobrzeście słyszeli! – potwierdziłem. Karapana dostanie skórę jaguara!

Wagura schwycił się za głowę, inni podnieśli rwytes:

–Janie! Taką piękną skórę temu lajdakowi? To szaleństwo! To godło twoje. Jemu?

–Jemu! – powiedziałem, okrutnie rozbawiony ich osłupiałymi minami.

–Janie! zasroził się Arnak. – On źle zrozumie! Pomyśli, że tchórzem oblatasz!

Nie powinien dostać.

–Dostanie – upierałem się przy swoim – i zobaczycie, dobrze zrozumie!

Po czym obydwie kobiety opowiedziały przyjaciółom, jak znów czarownik nastawał z trucizną na moje życie.

12. Oko

Jaguara

Naród Arawaków, którego północny odłamek żył obecnie nad rzeką Itamaka, niewątpliwie zażywał lepszego bytu i oglady niż większość plemion południowo-amerykańskich, zwłaszcza leśnych. Był to, jako się rzekło, szczerp – w przeciwieństwie na przykład do takich Akawojów czy innych Karaibów – rolniczy, na uprawie ziemi opierający swój byt. To nie tylko zmuszało go do osiadłego trybu życia, lecz pozwalało mu doskonalić się w niektórych rzemiosłach. Tak więc Arawakowie, a raczej ich kobiety słynęły z wytworów garncarskich i tkackich. Wielobarwne tkaniny, plecione na prostych warsztatach tkackich tudzież pomysłowe garnki, nieraz olbrzymich rozmiarów, stanowiły przedmioty wymienne, wielce poszukiwane przez innych Indian. Gdy deszcz nie padał, matka Lasany codziennie przez parę godzin na dworze tkala z

włókien roślinnych wzorzyste maty wcale kunsztowne. Natomiast jeśli umysłem Arawakowie również wyprzedzali inne plemiona, to chyba nieznacznie i tak samo jak one tkwili w siódlach zawitych zabobonów. Byli pastwą różnych czarów, urzeczeń, zaklęć, duchów i demonów. Czasem zdawało mi się, jakoby ich mroczne wierzenia upodobniły się do onej przeraźliwie zagmatwanej puszczy, otaczającej nas zewsząd, bo tak samo były poplątane, poguźlone, trudne do przedarcia się przez ich męczące chaszczce.

Demony, zazwyczaj złośliwe i zawsze natarczywe, potrafiły przybierać rozmaite postacie, to zwierząt jakichś okropnych, to straszydeł poczwarnych – lub stawać się niewidzialne i natenczas jeszcze groźniejsze. Ludzi dręczyły w snach zatruwając im krew, myśliwym w puszczy mieszały ścieżki i rozum, innym niosły choroby i zadawały śmierć. Zwyczajny człowiek najczęściej był wobec nich bezbronny, więc osłaniał się amuletami, jak mógł, ale byli wśród ludzi i tacy, którzy zawierali z siłami nieczystymi przymierze, ba, sami przeistaczali się w demonów lub w krwiożercze bestie, według swej woli.

Tacy straszni ludzie-upiory czynili swym bliźnim wiele zła, a czarownik szczepu musiał wyęźać wszystkie swe zdolności, by ich wykryć i wydać na śmierć. Szczególną obawę budzili szkodnicy, którzy jako ludzie mogli być niewinni, poczciwi, pełni dobroci, ale, sami o tym nie wiedząc, posiadali krwiożerczą duszę najgorszego demona. Gdy spoczywali w śnie, dusza ich chyłkiem opuszczała ciało i czyniła dokoła okropne spustoszenia, nawet wśród najbliższej rodziny. Owych mimowolnych wrogów szczepu wyśledzić było najtrudniej. Łajdacka uwaga Karapany, że mam właśnie taką przewrotną duszę, mogła ściągnąć nie lada biedę na moją głowę, bo jakże oczyścić się z podobnego obwinienia?

Na szczęście ludzie naszego rodu nie hołdowali przesądom już tak niewolniczo, a Arnak prawie całkowicie z nich się otrząsnął.

Nazajutrz po zniesieniu z puszczy zdobyczy myśliwskiej przywołałem do łóża Arnaka, Wagurę, Manauriego, Arasyba i Lasanę, by przedstawić im plan działania przeciw czarownikowi.

–Nareszcie! – zgrzytnął zajadle Manauri. – Nareszcie przejrzałeś! Kiedy go zabić?

–O, nie! – odparłem. – Zabijać nie wolno.

–Będzie nadal szkodził!

–Zwalczymy go tąż bronią, jakiej on próbował przeciwko mnie: czarami!

Czarami? – wódz przeciągnął słowo z powątpiewaniem. Nie zwłócząc wyjaśniłem im, o co chodzi.

–Ty, Arnak, z dwoma przyjaciółmi weźmiesz skórę jaguara, zanieziesz ją Karapanie i

uroczyście oświadczysz mi, że to dar ode mnie. Powiedz, że oko, przez które ja zwierza uśmierciłem, ma urzekającą siłę i dokładnie widzi, co czarownik knuje, zaraz donosi czaszce jaguara, a czaszka, która u mnie pozostanie, wszystko mi natychmiast zdradza. Tak zdradziła mi truciznę, jaką mi wsypano do mej wody do picia i pies Konesa musiał zdechnąć. Powiesz, że usunięcie skóry albo zniszczenie jej nic Karapanie nie pomoże, czarodziejskie oko bowiem będzie mimo to widziało, zawiadomi czaszkę i mnie. Jeszcze powiesz, że skóra jaguara zasłania mnie od wszelkich niebezpieczeństw, iż każdy zamach, skierowany przeciwko mnie, odwraca się na samego złoczyńcę. Na razie zginął pies Konesa: tak samo może zginąć każdy człowiek – i żadne odczynianie go nie uratuje... Czy pójdziesz, Arnak?

–Pójde!

–Czy to poskromi Karapanę? – Manauri wydał z lekka wargę.

–Myślę, że tak! odrzekłem, lubom nie był pewny swego.

Sposób wydawał się może naiwny, ale właśnie liczyłem na chorobliwą wyobraźnię tudzież zabobonną przewrotność Karapany i jego zauszników.

–Poskromi go, poskromi! – krzyknął Arasybo w nagłym wybuchu zgryźliwego zapału. – Ulęknie się. Oko jaguara urzeknie go!

Manauri spojrział na niego spode łba, nieprzychylnie.

–A ty czego się drzesz?! – bryznął na niego. – Durnyś!

–Arasybo nie taki durny! wziął go Arnak w obronę i dodał wesolo: – To przecież na pół czarownik! On zna sztuczki tamtego!

Wódz wzruszył ramionami, ale Arasybo zawołał z wielką mocą:

–Karapana ulęknie się, mówię wam!! Ulęknie się oka jaguara!

Skórę, wywarem trującej liany już zaprawioną przeciw pasożytom, można było wydać bez obawy, że zniszczeje. Poselstwo zastało Karapanę w jego chacie obrzędowej, stojącej na uboczu, o kilkaset kroków od reszty Konesowego osiedla. Czarownik przywitał Arnaka szyderczym chichotem, a gdy usłyszał posłannictwo, nie zmartwił się, nie ulękł się, lecz wręcz ucieszył, że będzie miał piękną skórę.

–Lewe oko zaczarowane! – powtórzył doń Arnak z groźnym naciskiem, jak gdyby

Karapana nie dosłyszał poprzednich jego słów. – Oko zwierza jest posłuszne Białemu Jaguarowi i wszystko mu powiada.

–Zatem Biały Jaguar ustrzelił lewe oko? – zapytał czarownik.

–Ustrzelil.

–A prawego oka nie zranił?

–Nie.

–Nie zranił, powiadasz?

Karapana zaskrzeczał nieludzkim śmiechem, brzmiącym jak szczekanie, jak wycie, jak ryk, aż struchlałemu Arnakowi i jego dwom towarzyszom serca zamarły na chwilę.

–Nie zranił prawego oka? – rechotał czarownik. – Przez to tylko lewe oko

posłuszne Białemu Jaguarowi! A prawe oko posłuszne jemu czy nie? Gadaj!

–Nie wiem! – zająknął się chłopak.

–O prawym oku Biały Jaguar nic nie mówił? Gadaj!

–Nic.

–Nic nie mówił?! – huknął starzec. – To ja ci powiem! Gzy wiesz, komu prawe

oko zwierza będzie posłuszne?

–He?

–Lewe oko posłuszne Białemu Jaguarowi, ale prawe oko – mnie posłuszne!

Zaniósł się ohydny, niepowstrzymanym śmiechem i wciąż zwycięsko wykrzykiwał, niby straszne zaklęcie, jakoby nie słowami, lecz maczugą bił ich trzech po głowach:

–Posłuszne mnie! Mnie posłuszne!...

W pół godziny później słuchaliśmy wszyscy w mej chacie sprawozdania Arnaka, zasepieni, zmartwiali.

–Zaraz mówilem! – wytykał Manauri. – Karapana wielki czarownik,

niezwalczony. Śmiał się z ciebie, Janie! Wydrwiwał twoje czary! Byle czym niesposób go zdusić. Tylko jedna rzecz na niego niezawodna...

–Wiemy, wiemy! – syknąłem zniecierpliwiony. – Kula w łeb!

–Ani chybi: ołowiana kula w łeb!

–Nie! – zachnąłem się. – Nic z tego!

–Szydził z twoich uroków! – pastwił się wódz nade mną, uparty, uszczypliwy. –

Prawe oko jaguara jemu posłuszne. Jemu! Nie pomyśleliśmy o prawym oku...

Arasybo porywczo przystąpił do mego łóża. Gniew i zapalczliwość jeszcze bardziej zeszpeciły wyraz jego zezowatych oczu i twarzy.

–Nieprawda! – zacharkotał kulawiec. – Prawe oko jaguara nie będzie mu posłuszne!

–Phi! – parsknął Manauri drwiąco. – Nie będzie posłuszne? Takiś mocny? Ty to sprawisz?

–Ja! – rąbnął Arasybo niby siekierą w pień.

Spojrzeliliśmy wszyscy na kalekę, dziwnie podnieconego.

Gorączkowe ognie paliły się w jego źrenicach. Zdławionym głosem, szeptem zadyszonym z przejęcia, wyluszczał nam swe myśli: Biały Jaguar może spokojnie spać, może bezpiecznie wracać do zdrowia. Karapana nie dosięgnie go. Karapana wielki czarownik i zły, ale nie będzie miał mocy nijakiej nad okiem zwierza... W naszym ręku jest czaszka zwierza. Tylko przez czaszkę, jak powiedział Biały Jaguar, ślepia zwierza mają zgubną moc... On, Arasybo, w czerepie gliną zalepi prawy oczodół i Karapana tym okiem nic już nie zobaczy, nikogo nie skrzywdzi... A czaszkę jaguara Arasybo wywiesi przed chatą, aby wszyscy widzieli, że jeden ślepy jest bezsilny, zaskorupiony...

–A jeśli kto wykradnie nam czaszkę? – Manauri skrzywił usta i głośno, pogardliwie dmuchnął przez nos.

–Niech spróbuje! – zezowate oczy załśniły nienawiścią. – Niech spróbuje!

Dniem i nocą będę pilnował czaszki! Zginie, kto się zbliży, aby wykraść!...

Przyjaciele, stojący dookoła, zadumali się. W tejże chwili osobliwa owładnęła mną niemoc. W głowie zawirowało, spłoszone myśli wypowiedały posłuszeństwo, robiło mi się mdło. Mdło i źle, duszno. Być może, iż to skutkiem jadu wężowego nagle poczułem się okrutnie osamotniony, aż do bóleści. Kimże byli ci ludzie, którzy otaczali mnie? Czy w istocie przyjaciółmi? W półmroku brązowe ich twarze stały się całkiem ciemne, prawie niewidoczne, i nawet to przyczyniło mi cierpienia. Oto gwałtowna trwoga przed obcością onych ludzi i ich świata dławiała mnie za gardło, bałem się, że ani oni mnie, ani ja ich nigdy należycie nie zrozumieję.

Jak to się stało? Wymyśliłem hecę z zaklętym okiem jaguara niemal jako igraszkę, żeby nastraszyć groźnego opętańca, zapędzić go w kozi róg i zmusić, facecją swawolną zmusić do

opamiętania. Przecież tylko żartem mogła taka myśl powstać i u mnie, i u moich przyjaciół, jakżeby inaczej! A tymczasem igraszka, odbita niby piłka od chaty Karapany, pod jak zmienioną postacią wróciła do nas! Żart przestał być żartem, oko jaguara i skóra, i czaszka jakoby w istocie przybrały piętno sił magicznych, a już kulawy Arasybo, chłopisko poczciwe i oddane, w uniesieniu, z niezwykłą powagą prawił o czarowaniu i ze mnie czynił jakiegoś szamana – przyjaciele przyjmowali to uważnie, słuchali go zadumani?!

Duszno mi było. Nachodził mnie nieznany lęk. Wszystko tu, przepojone czarami, duchami, stawało się wrogie, nieludzkie, niepojęte. Tchnęło grozą obcości. Z mroków puszczy i z mroku tych dusz zabobonnych wdzierały się do mej chaty demony. Demony i przesady stawały wrogą zaporą między mną a przyjaznymi mi istotami. Ludziom odbierały ludzkie, życzliwe cechy. Zawyło coś we mnie chorobliwą tęsknotą: zatęskniłem za człowiekiem. Za dobrym, uśmiechniętym człowiekiem, a nie zadumanym nad czarownością oka jaguarzego.

Coraz duszniej mi było. Ogarniały mnie mdłości. Czulem szkaradny ucisk w głowie i ból, ostry ból. Ściemniało mi w oczach. Wtedy usłyszałem wystraszony głos Arnaka, jakby z ogromnej dali.

–Janie, co tobie?!... Jak on się poci! Zemdlął!

Głos jego, zatroskanie młodego przyjaciela zagrzały gasnące serce, dodały mi życia. Wrócił mi czucie. Zmusiłem się do uśmiechu, powiodłem wzrokiem dokoła:

–Kto zemdlął? – zapytałem.

–Myślałem, żeś... – zamruczał po angielsku.

Jakże mu wdzięczny byłem, że odezwał się ojczystym moim językiem.

Dotknął mego czoła; równocześnie doznałem silnego, czulego ściśnienia mej dłoni: była to Lasana. Powróciłem całkowicie do siebie. Słabość minęła.

Wszyscy stali jak wprzód, Manauri z urągliwą, zaciekłą miną, Arasybo wzruszony, z roziskrzonym wzrokiem.

–Karapana? Drwił sobie z waszego poselstwa! – uporczywie powtarzał wódz jedno i to samo. – Drwił sobie z waszego jaguara! Drwił w żywe oczy! Drwił! Drwił! Śmiał się! Ha, ha!...

Nagle zmienionym głosem:

–Jedna rada: kula mu w łeb!...

Arasybo gwałtownie zamachał rękoma w stronę Manauriego, ażeby przerwać potok jego zjadliwości, i zwrócił się do Arnaka, sam jakiś niepowszednio przejęty:

–Znam go na wskroś! – zapiał. – Znam Karapanę na wskroś, jak złe licho!

–Wierzę – burknął chłopak, zaskoczony jego zapalczywością.

–Mów mi, Arnak, jak on wtedy wyglądał, kiedy was przyjmował, kiedy śmiał się!

Jaki był?

–No jak miał wyglądać? Zwyczajnie,...

–A latała mu grdyka w górę i w dół, w górę i w dół? Pomnisz?!

–Latała, latała paskudnie!

–Jak szczur w klatce skakała? W górę i w dół?

–Jak szczur w klatce, prawdziwie jak szczur...

–Nie mylisz się?

–Nie!

Arasybo powoli skierował ku Manauriemu twarz, całą wykrzywioną w złości i pogardzie:

–Słyszysz, co mówi Arnak?

–Słyszę! – prychnął wódz. – To co?

**–To to, że czarownik wyśmiewał się tylko gębą, a w sercu miał strach! Znam to
ścierwo! Gdy mu grdyka chodzi w górę i w dół, to znak, że czarownik niespokojny...**

Słowa kaleki wywarły wrażenie. Jedynie Manauri nie dawał mu wiary i trwał przy swoim:

–A jednak szydził, szydził!...

–Bał się! – krzyknął Arasybo.

–Śmiał się!! – wódz jeszcze głośniejsze.

–Bał się, uląkł się!!

**Stali naprzeciw siebie rozjuszeni, obydwaj w niewysłowionej, nierozumnej wściekłości.
Pożerali się oczyma pełnymi zacierzewienia.**

**Znowu ogarniały mnie mdłości, nachodziła niemoc i obmierzły wstręt. Krew upływała mi z
głowy, w oczach ciemniało.**

–Dosyc! – jęknąłem resztkami sił. – Ludzie! Rozumu!

Spojrzeni na mnie zmieszani i zawstydzili się. Powściągnęli pasję, złagodnieli, wreszcie wygładziły im się oblicza.

–Chodźmy stąd! – szepnął Arnak. – Niech zaśnie.

Wyszli. Pozostała tylko Lasana. Podeszła do łóża, uklękła, nachyliła się. Troska i wielkie przywiązanie w dobrych, wilgotnych oczach. Oczy teraz więcej niż piękne: macierzyńskie. To był człowiek serdeczny, oddany. Ale czy bliski? Czy rozumiał, co mnie napelniało grozą? Jak mnie męczyła ich obcość, ich nieprzyjazny, przesądny świat?

–Duszę się – westchnąłem.

Nachylona jeszcze bliżej, badawczo spozierała mi w oczy. Jej włosy spadały mi na twarz. Była w nich woń sprzeczna: zapach ciepłej kobiety i odór dzikiej puszczy. Lasana widać spostrzegła u mnie przykry grymas, bo się zaniepokoiła.

–Co cię dusi? – zapytała miękko.

–Ich nienawiść.

–Czyja? Karapany?

–Nie tylko Karapany: Manauriego, Arasyba... Zastanawiała się chwilę, wahała się, zagłębiała w sobie.

–U mnie nienawiści nie ma! – rzekła z mocą.

–Zatruwa mnie ich złość, ich wrogość! – wyrывało mi się z żalem.

–Janie, jam nie wroga! Nie mam złości!

–Ach, Lasano, czy ty mnie rozumiesz? Obezwładnia mnie ich mrok, ich przesady wciągają mnie w ćmę...

–We mnie jasno, Janie! Słonecznie... Rozumiem ciebie!

–Ty należysz do nich, dziewczyno!

–Nie! Należę do ciebie, Janie!

Głos jej tchnął głęboką czułością. Nie dała się odepchnąć. Walczyła o swe miejsce przy moim boku. Miała rozszerzone oczy. Sprzęgły się nasze źrenice niby w gorącym uścisku. Krew

mocniejszym tętnem napłynęła mi do serca. Prawą dłoń położyłem na jej ramieniu i było to, jakobym dotknął samego życia. Świeży prąd ciepła przechodził od niej na mnie.

Nazajutrz, przespawszy kilkanaście godzin twardym snem, zbudziłem się znacznie zdrowszy i silniejszy. Wstałem i na kilka minut wyszedłem na dwór. Przygnębienie dnia poprzedniego rozwiało się, nowy wstąpił we mnie duch.

Na palu, wysokim na półtora chłopca, wbitym w ziemię o dwadzieścia kilka kroków od mej chaty, sterczała czaszka jaguara. Mrówki w mrowisku oczyściły ją z mięsa, więc teraz jaśniała z dala, a okazałe zębiska błyszcząły drapieźnie. Lewy oczodoł,,mój”, czerniał otwartą jamą, natomiast prawy, wylepiony gliną i wiórami, był ślepy, z pewnej odległości zupełnie niewidzialny. Można było mniemać, że wisiało tam jeno nasze godło rodowe, a przecież nadaliśmy jemu straszliwą moc czarodziejskiej pułapki, mającej wroga usidlić, złamać i zniszczyć. Patrząc na to dzieło Arasyba mimo woli wzdrygnąłem się.

Kulawiec sam czuwał w pobliżu i zaledwie mnie zoczył, wyszedł z ukrycia, sztykutając. Szpetna jego gęba cała roześmiana była od ucha do ucha.

–Widzisz, jak ładnie wisi? – żywo mnie powitał. – Dobrze go pilnuję!

Czaszka lewym oczodołem zwrócona była w kierunku Serimy i chaty Karapany. Między owym osiedlem a nami rosły drzewa nie wyciętej w tym miejscu puszczy, wąskim językiem dochodzącej do brzegu rzeki, przeto za tą zasłoną nie było widać siedziby Konesa – ale czerep w tamtą stronę właśnie szczyrzył kły.

Arasybo miał dziś wyjątkowy humor.

–Czego się tak cieszysz? – zagadnąłem go.

–Cieszę się! – odrzekł z tajemniczą miną i nie ukrywając swej dumy, chępliwie wskazał kciukiem na zatkniętą czaszkę: – Ziarno zakielkowało!

–Jakie ziarno?

–Karapana szaleje! Słyszysz marakę?

Kilku sąsiadów wyszło z chat i zbliżyło się do nas. Byli niezwykle podnieceni, potwierdzili: czarownik szalał. Kiedy dnia poprzedniego Arasybo wystawił czaszkę, Karapana natychmiast o tym się dowiedział od szpiegów i zaczął gwałtownie odczyniać uroki, zażegnawać złe oko. Dostał szału. Jak obląkany tańczył dookoła swego obrzędowego szałas i tańczy dotąd, nie zmrużywszy oka w nocy. Okropne wykrzykuje zaklęcia, popada w drgawki i kurcze, pieni się.

Jakiś grochot rzeczywiście było słycać bezustannie po całym osiedlu i dudnienie czarodziejskiego bębna. Ludzi w Serimie zdjął wielki strach...

–Co to: Maraka?

–Najważniejsza rzecz u czarownika!...

Okazało się, że jest to pusty, twardy owoc z włożonymi

do środka kamyczkami: grzechotka po prostu, ale o niezmierzonej potędze czarodziejskiej.

–Nic mu nie pomoże! – Arasybo chichotał, a cała twarz jego buchała okrucieństwem, nienawiścią i obłądnym zadowoleniem.

–Dostaliśmy go, Białe Jaguarze, dostaliśmy go! I już nie wypuścimy!

–Zali od nas to zależy? – powątpiewałem

–Od oka jaguara! – zaskrzeczał triumfalnie.

–Jest w mocy oka!

–Może się z niej wyrwie?!

–Nie wyrwie! Będzie miotał się aż do utraty zmysłów, legnie jak zdychający pies, potem powstanie, znów będzie rzucał się, znów zemdleje – i tak w kółko, aż do końca...

Zginie?

Zginie. Rozum straci, serce mu pęknie, zemrze...

Arasybo, mściwy za doznane ongiś krzywdy, pławił się

w zdrożnej rozkoszy, ale inni ludzie naszego rodu nie podzielali jego uczuć. Im truchlały serca od grozy, jaką rozsiewał Karapana i obawiali się, że czarownik, nawet gdyby w końcu zginął, w szaleństwie swym mógł potwornych dopuścić się zbrodni. Wściekły pies, wiadomo, jaki jest niebezpieczny – a cóż dopiero oszalały czarownik! Oni się bali, Arasybo nie on triumfował.

–Dostaliśmy go! – zgrzytał zębami. – Czaszka go zabije!

Matka Lasany spostrzegła mnie na majdanie, przybiegła, zburczała sierdziejście i zapędziła do łoża. Po kilku godzinach spoczynku nie wytrzymałem i wstałem znowu pod wieczór.

–Jakiś ty krzepki! – pokpiwała sobie Lasana, wszelako patrząc na mnie z uznaniem.

–Tyś istny Jaguar, przemogłeś jad!

–Tobie to zawdzięczam, Palmo!

Krzepkiś, krzepkiś! – z zachwytem w oczach, już nie kpiarskim, mierzyła mnie od stóp do głowy.

Śmialiśmy się, szczęśliwi. Szybkom wracał do zdrowia. Z daleka, spoza puszczy, od strony Serimy słyhać było nieustanny, głuchy łoskot bębna. W trójkę, Arnak, Arasybo i ja, poszliśmy na zwiad. Krokiem powolnym, aby mi nie zaszkodziło. Ja zabrałem lunetę, oni strzelby.

Przebywszy lasek, dzielący nasze chaty od Serimy, zatrzymaliśmy się na skraju gęstwiny, ukryci przed oczami mieszkańców siola. Chata Karapany stała na uboczu, z prawej ręki, niedaleko puszczy. Oddaleni od niej o jakie trzysta kroków, widzieliśmy ją jak na dłoni, dokoła osiedla bowiem rozciągał się szmat łąk po wykarczowanym już dawno lesie.

Od razu go odkryliśmy. Biegał dokoła chaty tańcząc, a właściwie zataczając się jak pijany. Wyhukiwał dzikie zaklęcia, zwolywał mściwe duchy, a w nieprzytomnym rozkielznaniu tupał nogami i wywijał ramionami. W każdej dłoni trząśł maraką, z której grzechot donośny szedł od lasu po rzekę. Obok siedział na ziemi jego uczeń i on to dobijał mu takt na bębnie. ‘

Ależ go omotało! Już od przeszło doby tak bez przerwy się srożył. Nie widać było po nim zmęczenia, pewnie zażył napój siły wzmagający. Ciskał ohydne klątwy, ale widać było, że sam, zniewolony potężniejszym przekleństwem, złowiony w niewidzialne sidła, szamotał się jak drapieżny zwierz na łańcuchu. Czy zerwie się z uwięzi?

–Zginie! – dziwacznie zabulgotał z uciechy Arasybo. – Dostanie pomieszania zmysłów!

Wstrząsający ten widok budził odrazę i jednocześnie sprawiał zadowolenie: oto los wymierzał surową sprawiedliwość. Działy się tam tajemnicze, szkaradne rzeczy, lecz cokolwiek by o nich sądzić, jednego byliśmy pewni: Karapana wpadł w matnię, z której się pewnie już nie wykaraska. Nie ujdzie swemu przeznaczeniu.

–Ludzie mówią, że może rozszać się i szkody uczynić – zauważyłem.

–Może to zrobić – potwierdził Arnak.

–Nie zdoła! Zginie pierwej! – uniósł się zaperzony Arasybo.

Podniecenie kulawca bynajmniej nie przytępiało jego czujności. Umysł miał podejrzliwy, oczy otwarte. Wiedząc, jak zgubny wpływ na czarownika wywierała czaszka jaguara, pilnował jej jak oka w głowie, a na noc chował ją w ukryciu, sobie tylko znanym.

Tymczasem Karapana nie szedł ku swemu zatraceniu nieuchronną drogą – jak to sobie wyobrażał Arasybo, a myśmy mu wierzyli. Snadź czarownik opanował swe szaleństwo. Już nie krążył obłądnie dokoła chaty, wkrótce suchy turkot maraki ustał, a jeno bęben wciąż warczał. Bił w niego nie czarownik, lecz młody uczeń.

–On sam leży w chacie, dogorywa! – pocieszał się Arasybo.

13. Choroba

Dziecka

Nie dogorywał. Widziano go wśród ludzi osiedla, rozmawiał z nimi. Miał ponoć oczy straszne, jak u bestii nieprzytomnej, więc siał lęk i szacunek jeszcze większy niż wprzód. I wcale nie myślał ustępować ani wyrzekać się walki: w owe dni szatański wylał się pomysł w jego chytrym łbie. Od Serimy zawiało ku mnie nowym, wielkim niebezpieczeństwem.

Półtoraroczne blisko dziecko Lasany – synka po poległym na bezludnej wyspie Murzynie Mateo – nawiedziła zagadkowa choroba. Chłopczyk zaczął gorączkować, oblał wrzodami na ciele, krzyczał z bóleści, chudł. Lasany matka, której leki tak szybko przywracały mnie do zdrowia, nie szczędziła wysiłków, by wyleczyć wnuczka. Daremnie. Żadne zioła ani zabiegi, ani zamówienia nie pomagały, dziecko więdło z dnia na dzień. A od pierwszej niemal godziny jego choroby pojawiły się ni stąd, ni zowąd niepokojące pogłoski, zrazu niepojęte i powiewne jak wietrzyk najłżejszy, potem coraz natrętniejsze niby muchy, potem już natarczywe jak wyziewy trujące: pogłoski o mej szkodliwej duszy. Ludzie nie tylko z Serimy, ale i niektórzy z naszego rodu zaczęli szeptać; chwytalem ich spojrzenia płochliwe i szybkie odwracanie ode mnie oczu. W miarę jak rozwijała się choroba dziecka, zła gadanina krzepła i już niedwuznacznie łączyła mnie z nieszczęściem: to moja dusza przewrotna zabijała dziecko, Lasana bardzo je kochała i była zrozpaczona, gdy lekarstwa matki nie wywierały skutku.

Przyszła do mej chaty, stanęła przede mną wyprostowana, jakaś podniosła i stanowcza, i lubo oczy jej się szklily z żalości, rzekła serdecznie i odważnie, z uroczystą powagą:

–Nie słuchaj, co ludziska plotą!... Ja przy tobie!...

To samo prawili mi ze zmarszczką na czole czterej wierni przyjaciele, Arnak, Wagura, Manauri i Murzyn Miguel. A zapewniając mnie, że podmuch wrogiej plotki wnet przejdzie, że odwróci się ode mnie i szejnie – przyjaciele, pogrążeni w niewesołych myślach, jednocześnie uważnym spojrzeniem patrzeli w dal albo śledzili pobliskie chaty i krawędź puszczy. Jedynie Arasybo milczał ponuro, ale i on podejrzliwie się rozglądał, przyczajony, wyczekujący.

Na trzeci czy czwarty dzień choroby dziecka Zakipiało wśród wszystkich Arawaków nad Itamaką. Karapana, mocą swej godności w szczepie, oświadczył wobec całego siola, że siły niewidzialne zdradziły mu, kto winien chorobie dziecka. Winien Biały Jaguar. W śnie uslužne duchy pokazały czarownikowi taki obraz: wiele tygodni temu, podczas szybkiego pochodu przez step na północy, Biały Jaguar wyrwał z rąk Lasany dziecko i przyłożył do swej piersi, dźwigając je tak przez długi czas. W tym uścisku dusza jego opanowała duszę dziecka i poprzysięgła mu śmierć. Jeśli teraz dziecko umrze – a umrze na pewno! – to wiadomo, kto winien jego śmierci...

–Tak było! – chwycił się Wagura za głowę. – Jan dźwigał malca Lasany, ażeby jej ulżyć! Pamiętam

–Pamiętamy wszyscy! – lypnął Arnak oburzonym okiem. – Karapana o tym przypadku się dowiedział, bo to żadna tajemnica, i oto ukuł sobie ładną gadkę, wszystko nikczemnie powiązał przeciw Janowi. A bodaj go zabito, nędznika!...

Nie były to przelewki. Nagle skłębiło się bliskie niebezpieczeństwo, otwarła się przede mną przepaść, życie zawisło na włosku. W wrogim mi otoczeniu Konesa ozwały się głosy, żeby mnie wypędzić ze szczepu, zanim innych nie zgubię; bardziej rozindyczeni żądali mej natychmiastowej śmierci. Ale sam czarownik – łaskawy! – ujął się za mną: zaczekać, dopóki dziecko nie umrze, potem dopiero zabić Białego Jaguara! Tak radził rozjątrzonemu mieszkańcom Serimy, a wieści o tych nastrojach szybko docierały do mej chaty.

–Dziecko umrze! – stwierdził Manauri posępnie.

Wódz był z nas najbardziej przybity ostatnimi wypadkami, jakby czuł się winny, że mnie do szczepu sprowadził. Przecież nie sprowadzał, ja sam chciałem tu przybyć. Manauri zdawał sobie sprawę, że gdy mnie osiągnie wyrok czarownika, następny, który zginie, będzie on. To go napawało przerażeniem i widać było, jak usiłował trzymać się w karchach, ażeby go nie roztrzęsło do reszty.

W tych ciężkich dniach poznałem przyjaciół. Wspaniały Arnak nawet na moment nie zawahał się ani nie stracił trzeźwej głowy. Był gotów zginąć w mej obronie razem ze mną. Tak samo Wagura, lubo młodzik na chwilę doznał niewyraźnego uczucia. Bez namysłu pięciu Murzynów z Miguelem na czele oświadczyło się po mej stronie. Większość mężczyzn naszego rodu przyszła zapewniać, że mnie nie opuści, mimo że różnorakie łączyły ją węzły z ludźmi Serimy. Pedro – cóż miał jeniec do wyboru? – był ściśle związany z moim losem.

W owym czasie napięcia, Arasybo przysparzał mi głębokiego niepokoju. Dziwnie się zmienił, dziwnie zachowywał. Spochmurniał, osowiał, na wszystkich kosił spode łba zezem. Stale milczał nastroszony, jakby mu język odjęto, ale aczkolwiek nie odzywał się do nikogo, nie stronił od nas: lgnął. Gdyśmy rozprawiali w chacie, on zawsze siedział u wejścia i patrzył uparcie na dwór, a ucha nastawiał w naszą stronę, by nie uronić żadnego słowa. Zagadnięty, mamrotał niewyraźnie i odpychająco: z oczu źle mu patrzyło. Arnak i Wagura coraz nieufniej go mierzyli.

Chociaż ród stanął przy mnie, to jednak nie pragnął walczyć z resztą szczepu i dopuścić do rozlewu krwi. Coraz częściej przebąkiwano o wywędrowaniu gdzieś w górę rzeki Itamaka. Mieliśmy szkuner, mieliśmy dwie wielkie a śmigłe łodzie od Warraulów tudzież kilka mniejszych duszgubek. Można było podjąć wędrówkę.

–A ty, Lasano? – spytałem. – Pojedziesz z nami? Zdumiona była, że się pytał

w ogóle:

–Pojadę.

–Z dzieckiem?

–Z dzieckiem.

Jeśli większość rodu gotowa była zgodnie przeciwstawić się wojowniczym zapędom Karapany, to przecież w stosunku do mnie jednomyślniej zgody nie było. Zatrute ziarno czarownika padło w niejedną duszę. Jaki taki swój, z rodu, ujrawszy mnie z dala, nagle chyłkiem zbaczał, by nie spotkać się, a zaczaiwszy się za krzewem, podejrzliwym okiem ścigał moje ruchy. Ten i ów, dawniej towarzysz życzliwy, dziś odwracał wzrok, bał się mego spojrzenia. Jeszcze nie był mi jawnym wrogiem, ale drażył go jad niepewności, kim ja byłem. Któż wiedział, czy jednak nie tkwiła we mnie ta przewrotna dusza?

Nawet w najbliższe otoczenie zakradł się cień wątpliwości. Wszedłem kiedyś do szalasu Lasany, sąsiadującego z moją chatą, by czegoś się od niej dowiedzieć. Całkiem naturalnie rzuciłem wzrok na nieszczęsne dziecko. Gdy matka Lasany to spostrzegła, wrzasnęła jak zbikowana, rzuciła się na dziecko, zakryła je przede mną swoim ciałem i z przeraźliwym krzykiem kazała mi iść precz. Ścisnęło mi się serce; poszedłem.

Siadłem u progu mej chaty. Zaraz przykuśtykał Arasybo i przycupnął wedle mnie, prawie bokiem ocierając się o bok. Była w przyrodzie cisza nadzwyczajna, parne, ciężkie powietrze stało nieruchomo. Krople jeszcze nie padały, ale ulewa wisiała nad głową. Kłęby niskich chmur opierały się tu i owdzie na wierzchołkach drzew. Dudnienie bębna w Serimie, zawsze to samo, zawsze to samo, słychać było wyraźniej niż kiedykolwiek. Odgłos ten, niby złowieszczy pomruk demonów, tchnął nielitościwą wymową, nabierał nieomylnego znaczenia. Wieścił śmierć. Obaj wsłuchiwalismy się w to samo i te same napływały nam myśli. Arasybo trącił mnie w bok, leniwie podniósł dłoń w stronę Serimy i półgębkiem wybąkał jakby drwiąco:

–Głupi Kanaholo.

–Jaki Kanaholo?

–Ee – ziewnął kulawiec – uczeń czarownika. Głupi.

–Głupi?

–Głupi.

Po dłuższej chwili znów się odezwał ospałym półgłosem, jakby do siebie raczej niż do mnie:

–Głupi Kanaholo myśli, że bębni tobie na zgubę... A bębni komu innemu.

–Wiadomo, dziecku Lasany!

Zagulgotało coś obok mnie niby stłumionym chichotem:

–Nie dziecku Lasany. Bębni na zgubę Karapany, ale nie wie o tym, głupi...

–Bajesz, Arasybo, bajesz – uśmiechnąłem się blado.

–Karapana zginie dziś... albo jutro...

Wypowiedział to od niechcienia, jakby niewczesne żarty go się trzymały. A może ja go źle zrozumiałem?

–Co pleciesz, Arasybo!

–Karapana zginie dziś... albo jutro... w nocy...

W jego niedbałym pozornie głosie brzmiała jakowaś ukryta twarda nuta, która obudziła moją czujność. Teraz dopiero podniosłem wzrok na twarz Arasyba i oniemiałem. Posępne jego odrętwienie ostatnich dni gdzieś się podziało. Od nowa wylała z jego oczu dawna nienawiść, ale poza nienawiścią cała gęba buchała diabelną radością.

Co z tobą? – poderwałem się zdziwiony.

On bawił się moim osłupieniem. Kurcz uśmiechu wykrzywił jego twarz. Wyraźnie coś miał w zanadrzu, więc droczył się i ociągał.

–Mówże, do licha, Arasybo!

–Kiedy nasz myśliwy idzie na polowanie, nie zawsze jego strzały są zatrute

truczyną kurare, bo tej nie ma w tym lesie. Trzeba ją kupować od dalekich Indian Makuszi, drogo draniom przepłacać. Aleć rośnie w gąszczu naszym własna trucizna, kumarawa, choć nie tak mocna jak kurare. Bierzemy ją, bo też zabija.

–Gadaj do rzeczy, Arasybo!

–Nie gadam do rzeczy? Przecież mówię: kumarawa też zabija. Paskudne jej liście!

Dotknąć ich raz łapą, powstaną wrzodziska, człowiek majaczy jak pijany. Dotknąć ich częściej, człek zemrze. Niegodziwe liście...

–Do rzeczy, Arasybo, do rzeczy! Nie dręcz!

Obrzucił mnie przeciągłym, uszczypliwym spojrzeniem, pełen idiotycznej uciechy z mego zniecierpliwienia.

–Co za gorączka z ciebie, Biały Jaguarze! – zaklekotał wesolo, mrużąc zezowate oczy. – Ciekawym, jakbyś ty się czuł, Jaguarze! Wkładają ci co noc listek kumarawy do łoża. A ty nic nie wiesz. Jęczysz z bólu i wijesz się, i wrzody wylażą, i coraz ci gorzej, nikniesz w oczach, dogorywasz... O, patrz, taki listek mały!...

Rozwinał skrawek starej tkaniny, jaki trzymał dotychczas w garści, i odsłonił coś, co leżało wewnątrz, a było drobne, zielonkawoszarego koloru: na pół zeschnięty, pokurczony liść.

–Nie dotykaj! – wypuczył wargi. – Kumarawa wciąż złośliwa niczym skorpion!...

Potem nagle, jakby już dość było swawolenia, spoważniał i wykrztusił ostrym szeptem, wskazując na trujący liść:

–Znalazłem to w nocnej macie dziecka Lasany... I dodał podnosząc się: Co noc mu podrzucal... Musiało zachorować...

–Kto podrzucal? – bezmyślne zadałem pytanie, bo przecie zaczęło mi świtać.

–On, on, Karapana!...

Aż zawirowało mi w lepetynie. To mi odkrycie! W mig pojąłem jego doniosłość. Jeśliby przyłapać czarownika na gorącym uczynku, jakież triumf! Mnie oczyściłoby to od strasznych podejrzeń, jego pograżyłoby doszczętnie jako jawnego zbrodniarza. Z szalonej radości porwałem Arasyba za ramiona i trząsłem nim bez opamiętania, a tańcząc, a porykując. Wycharkiwalem zadyszany:

–Jakeś to odkrył, człecze?

–Aaa, odkryłem... Pomyślałem, szukałem... Potem ja znowu:

–A dziecko... dziecko da się uratować?

–Da się.

Gotów byłem wyściskać brzydala, rozgnieść na śmierć:

–Czarodzieju! Głowaczu! Cudotwórco!...

Kiedyśmy się jako tako ustatkowali i wrócili do rzeczywistości, powstało oczywiście pytanie, co czynić dalej. Zwołać tajną naradę przyjaciół. Kogo? Manauriego, Arnaka, Wagurę i nikogo więcej. Murzyna Miguela? Nie, tylko samych Indian; to sprawa szczepowa. A Lasanę? Lasanę tak, rozumie się.

Przyjaciele nie byli daleko: na rzece. Przygotowywali właśnie szkuner do pospiesznej ucieczki na wypadek ataku ze strony Serimy. Przerwali pracę, przyszli natychmiast. Po przywołaniu Lasany zabezpieczyliśmy się w chacie – Pedra nie było w pobliżu – a Arasybo odsłonił wszystkim dzieje swego odkrycia. Ich początkowe oszłomienie przemieniło się w żywiołową radość, tak samo jak u mnie. Ciężki kamień spadł i mnie, i przyjaciołom z serca, ale równocześnie uświadamialiśmy sobie, że teraz czeka nas najcięższe zadanie: rozprawa na śmierć i życie z czarownikiem.

–Na śmierć! Jego śmierć! – powtarzał Manauri przez zaciśnięte zęby.

Przypuszczaliśmy, że Karapana podrzucił truciznę co drugą albo trzecią noc, a że znalezione listki kumarawy były już zleżały, spodziewaliśmy się odwiedzin czarownika tej nocy.

Postanowiliśmy zatem czuwać po dwóch równocześnie, ze zmianą o północy.

–Tyś, Janie, wyłączony! – odezwał się Manauri. – Rana wciąż nie zagojona.

W istocie sił pełnych jeszcze nie odzyskałem. Ale nie godziło się trzymać mnie na uboczu w tej rozstrzygającej chwili, więc przyłączono mnie jako trzeciego, dodatkowego, do pierwszej warty Arnaka i Arasyba.

–Jeszcze jedną rzecz ustalmy! – rzekł wódz po dłuższym rozważaniu. – Jedyna to sposobność, żeby go zabić! Musimy go zabić.

–Musimy! – zadyszał Arasybo.

–Czy kto przeciwny temu? – zapytał Manauri musnąwszy mnie baczny spojrzeniem.

Arnak i Wagura milcząc potrząsnęli głową na znak zgody, ja także. Nie było już innego wyboru jak jego śmierć.

–Pozwólcie mi także czuwać! – prosiła Lasana.

–Czuwaj! Owszem! – odrzekł Manauri. – Ale nie z nami na dworze, lecz wewnątrz waszej chaty, przy dziecku...

Nikt, nawet najbliższy, nie śmiał odgadnąć naszych zamierzeń. Lasanie polecono spalić matę dziecka i ułożyć mu do spania nową, w innym miejscu szałas, ale tak, żeby jej matka niczego się nie domyśliła.

Przed wieczorem spadł deszcz rzęsisty, choć krótkotrwały. Kiedy ustał, chmury nadal zakrywały niebo. Obawialiśmy się, że noc będzie bardzo ciemna, ale nie. Gdzieś ponad obłokami świecił księżyc i nieco wyjaśniał mrok na ziemi.

Szałas Lasany stał mniej więcej o pięćdziesiąt kroków od rzeki, tyłem do wody, a wejściem zwróconym w stronę puszczy. Dookoła szałas, prócz zdeptanej trawy i kilku pozostałych po puszczy krzaczków, nic więcej nie rosło, zatem otwarta przestrzeń i niezupełna ciemność sprzyjały naszym celom.

Jako broń mieliśmy każdy krótką, składną pałkę z twardego drzewa, a poza tym Arnak i

Arasybo wzięli noże, ja zaś pistolet nabity siekańcami do strzału na bliską odległość. Uzgodniwszy głosowe znaki, jakie sobie przesyłać mieliśmy w razie czego, z nadejściem nocy zajęliśmy stanowiska. Arnak ukrył się z tyłu szalasu, od strony rzeki, a Arasybo i ja z przeciwnej strony, o kilka kroków od wejścia. Wewnątrz chaty, jak polecił Manauri, czuwała Lasana.

Deszcz parokrotnie walił nam na głowy krótkimi, gwałtownymi nawałnicami i wtedy robiło się prawie zupełnie ciemno, powietrze pozostawało niezmiennie ciepłe i parne. Przemokliśmy, ale na to nie było rady. I nie było rady na nudę wlokących się powoli godzin. Nieustanne przebijanie ciemności wytężonym wzrokiem nużyło i w końcu przytępiało umysł. Do tego niepewność, czy wróg zjawi się tej nocy, nie ułatwiała nam czuwania. Od czasu do czasu ulegaliśmy złudzeniu zmysłów. Dziwne, jak zawsze, rozlegały się głosy i przy skraju puszczy, i na brzegu rzeki, a tajemnicze cienie smykały w mroczy. Były to włóczące się psy i oswojone zwierzęta lub zgoła dzika gadzina z gąszczu, a także olbrzymie owady czy inne nieznanne straszidła.

Nadciągała północ i już powoli zbierałem się, by odejść i zbudzić przyjaciół na następną wartę, gdy usłyszeliśmy za szalaszem trzykrotny płaczliwy skrzek żaby – umówione hasło ostrzegawcze Arnaka. Musiał coś tam zauważyć. Palkę ścisnąłem mocniej w prawej dłoni, lewą garścią namacałem rękojeść pistoletu. Było wciąż jak wprzód, u progu nocy – ani ciemniej. ani jaśniej. Mające przed nami obydwaj narożniki szalasu, ocienione wystającym okapem, odbijały się ciemną linią na tle jaśniejszego nieco majdanu. Naraz wydało mi się, że na tym tle coś z lewej strony zaczerniało, jak gdyby stanął u węgła lub przylgnął do niego – jakowyś stwór. Szturchnąwszy w bok Arasyba, wskazałem mu ręką zagadkową zjawę.

On – szepnął kulawiec podniecony. – Jest... Był tam ktoś obcy, na pewno nie Arnak. Wieczorem, umówiliśmy się z chłopakiem, że nie opuści swojego stanowiska, zanim nie będzie głośniego alarmu. Ale zagadkowa istota nie wyglądała i na Karapanę: była jak gdyby krępawa i niska, podczas gdy czarownik miał chudą, wydłużoną postać. Tajemniczy człowiek ruszył, przyczajony, w kierunku wejścia do szalasu. Utwierdzałem się w przeświadczeniu, że to nie Karapana. A może było ich dwóch? Może czarownik skradał się w tyle, za tym pierwszym? Widząc, że Arasybo zamierza wyskoczyć z ukrycia, pochwyciłem jego ramię.

–Czyś zauważył? – tchnąłem mu do ucha. – To nie Karapana.

–Nie! – przyznał.

–Żywcem go!

–Żywcem? – czułem w głosie towarzysza rozczarowanie i opór. – Po co?

Nie było czasu rozprawiać wiele. Silnie potrząsnąłem ramieniem Arasyba i nakazałem mu zduszonym warknięciem:

–Tylko żywcem! Ani się waż inaczej!

Wyrwał mi się. Z nożem w prawicy dał susa naprzód. Skoczył z niepojętą zwinnością, o jaką nigdy bym go nie posądzał. Cztery, pięć kroków było do celu. Ale przeciwnik miał się na baczności. Czy ostrzegło go coś podejrzanego, czy usłyszał nasz szept – dość że zniecałka uskoczył. Nie trafił go nóż. Nawet nie ucapiała go łapa Arasyba, ześliznąwszy się z natłuszczonego ciała.

Napadnięty wywinął się w stronę narożnika szalasu, gdzie go pierwszy raz ujrzał. Dalej nie zdołał. Zbiegłem mu drogę i pałką wygarnąłem w łeb. Słabom, widać, go zdzielił: on potknął się i już, już padał, ale nie upadł. Chciał prysnąć naprzód i wpadł w ramiona Arnaka. Obydwaj przewrócili się. Ponownie wyrznąłem go w głowę, a Arnak wskoczył na niego i przydusił do ziemi.

–Żywce! – wrzasnąłem na całe gardło.

–Nie mogę go ułapać! – huknął Arnak. – Cały oślizgły!

Przeciwnik wciąż wyszarpywał się jak szalony, ale nic

mu już nie pomogło. Oburącz objąłem go za szyję i nie puściłem, Arnak zaś wyrwał mu z ręki nóż i wygiął ramiona do tyłu na plecy, aż w stawach zatrzeszczało. Jeniec był nagi, jedynie przewiązany sznurem w stanie i cały nasmarowany tłuszczem, ażeby utrudnić pojmanie go.

W ciemności trudno było rozeznąć, kto zaczął, wszakże nie ulegało już wątpliwości, że to nie Karapana. Nasze pytania, kto on, zbywał milczeniem.

Lasana przybiegła z powrozami i związaliśmy go. Był widocznie sam jeden, nikogo innego nie odkryliśmy.

–Przyplynał łódką! – powiadomił Arnak. – Słyszałem go, jak wychodził z niej.

–Czy był sam?

–Sam! Nie widziałem drugiego!

–Pędź nad rzekę, zobacz, co z łódką!

Łódka była na miejscu.

Gdy zaczęło się szamotanie, matka Lasany, nagle przebudzona, wszczęła ogłuszający wrzask sądząc, że to wrogi napad. Wszyscy sąsiedzi pobudzili się i zbiegać zaczęli z różnych stron, każdy z taką bronią, jaką zdołał uchwycić w pośpiechu.

Alarm wypadł nad podziw dobrze. Nie upłynęło i pół minuty, kiedy pierwszy wojownik przybył na miejsce, a zaraz potem wszyscy inni. Wielu było uzbrojonych od stóp do głowy, a nikt nie zapomniał swej rusznicy. Sprawnie uwinął się nasz ród, aż mi duma – pomimo podniecenia –

rozpierała piersi, boć taka bojowa gotowość głównie moją była zasługą.

Niektórzy, przezorniejsi, przynieśli ze sobą rozniecone naprędcy pochodnie tudzież kaganki z tłuszczem i gdy ich światło padło na twarz jeńca, osłupienie ogarnęło wszystkich: był to młodociany uczeń czarownika, Kanaholo, chłystek chyba niespełna czternastoletni, a taki już w zbrodniczym zawodzie biegły.

Gdy się bronił, był zwinny jak małpa i miał nóż przy sobie, ale teraz związanemu, leżącemu na ziemi trucicielowi struchlała dusza i w pięty uciekła. Widząc nad sobą tyle wykrzywionych wściekłością twarzy myślał, że ostatnia wybiła mu godzina,

w czym po prawdzie tak bardzo się nie mylił.

Manauri donośnym głosem dokładnie wyjaśnił ludziom, co młodego przestępcę tu sprowadziło. W miarę jak odsłaniał nikczemne intrygi Karapany, rosło oburzenie na jego ucznia i współnika, a najbardziej rozsierdzały się kobiety. W pewnej chwili matka Lasany doskoczyła do młokosa i chciała wydrapać mu oczy.

–Ty morderco!! – szalała. – Potworze! Wnuka zabijałeś, dziecko niewinne!...

Z trudem oderwano ją od niego. Ale inni nie myśleli oszczędzać jego życia i wołali, by natychmiast go uśmiercić. Takie wzburzenie umysłów mogło wyrządzić niepowetowane szkody, przeto należało je opanować, a z chłopaka jak najwięcej wyciągnąć wiadomości.

Tymczasem Manauri kazał w pobliżu rozpaść dwa ogniska i wyznaczył kilku młodszych do stałego czuwania, by nie wygasły. Stało się dość jasno i można było lepiej widzieć jeńca.

W pierwszych chwilach po obezwładnieniu go nie wyczerało mu z twarzy nic innego jak obłądne przerażenie. Atoli Kanaholo szybko spostrzegł, że nie grozi mu natychmiastowa śmierć i ślepią mu zhardziały. Zaczaiła się w nich przebiegłość – wiadomo, że czarownik na swego ucznia i następcę nie wybierał gapia.

Jeniec leżał w nienaturalnej jakiejś pozycji, prawym pół-bokiem do ziemi, co z początku sprawiało wrażenie, jakoby ciało miał uszkodzone. Gdy go rozciągnięto na wznak, wnet zmienił ułożenie i powrócił do poprzedniej niewygody. Działo się to może przypadkiem, a może i nie, w każdym razie ściągnęło na siebie moją uwagę. Czyżby Kanaholo usiłował pod prawym bokiem coś ukryć przed naszymi oczami?

–Czy znaleziono przy nim trujące liście? – zapytałem stojącego obok Arasyba.

–Nie. Jeszcześmy nie szukali. Trzeba jasnego dnia doczekać. Przeszukamy wtedy murawę...

–Bo to przecież najważniejsze! Liście to niezbity dowód winy!

–Tak, ale ciemno teraz na szukanie.

–A przy nim samym nic się nie znajdzie?

Arasybo obrzucił leżącego niepewnym spojrzeniem. Jeniec będąc całkiem nagi nie mógłby nigdzie ukrywać truciznę, a dłonie miał puste.

Manauri jął zadawać mu pytania, lecz niczego nie dopiął: wyrostek zaszył się w uparte milczenie i ani słówka nie pisnął. Ludzie stali dokoła, trzydziestu ich było, może czterdziestu, mężczyzn, kobiet, nawet dzieci, i lubo z uniesienia pierwszego ochłonęli, paliła ich nadal nie zaspokojona ciekawość, oczekiwali wyjaśniającego słowa; pragnęli dowodu winy, widocznego dowodu.

W zbiegowisku dokoła jeńca znalazło się kilku ludzi nie należących do naszego rodu, bliskich sąsiadów, zwabionych wrzawą tak samo jak inni. Oni nie byli moimi wrogami, ale też nie byli przyjaciółmi, więc gdy usłyszeli z ust Manauriego ciężkie oskarżenia, potępiające Karapanę, przelękli się. Oni uznawali władzę swojego czarownika, byli pod jego wpływem: oni nie myśleli popędliwie odsądzać go od czci dlatego tylko, że komuś podobalo się rzucać na niego gromy. Więc zaczęli szeptać między sobą. A gdy Kanaholo zaciął się w milczeniu, przystąpili do Manauriego ze swymi wątpliwościami:

–Ciężkie słowa słyszeliśmy, wygadywałeś zuchwale rzeczy.

–Wiem, com mówił! – odparł wódz. – Biały Jaguar jest niewinny, ma zdrową

duszę. Karapana chce go zniszczyć, dlatego zatruwał dziecko Lasany, podrzucał mu przez Kanahola liście kumarawy...

Kto widział te liście?! – odkrzyknęli tamci. – Mówisz ze Arasybo? Arasybo kaleka, narwaniec. Czego się po nim spodziewać? On nienawidzi Karapany, zmyślił sobie kłamstwa...

–Widziałem na własne oczy liść podrzucony dziecku!

–Kto ci go pokazał? Gdzie?

–Arasybo znalazł...

–Znalazł? Przyniósł ci go Arasybo, ha?! Arasybo mógł tak samo przynieść z puszczy!...

–A Kanaholo – oburzył się Manauri – Kanaholo po co podkradał się nocą tutaj, do chaty chorego dziecka?

–Nie wiemy! Ale i ty nie wiesz!

–Wiem! Jutro znajdziemy liście kumarawy w pobliżu chaty, zobaczycie!

–Może podrzucone przez Arasyba? – zarechotali tamci.

Szelmy, którym powierzono ogniska, widać zaniedbali dorzucania paliwa, bo płomienie opadły po trosze. Stałem najbliżej jeńca. Ręce miał związane do tyłu i na nich leżał. Skoro tylko ogniska przygasaly, nie uszło mej uwagi, że młokos, wykorzystując półmrok, zaczął czynić rękoma zagadkowe wysiłki, jak gdyby chciał coś uchwycić, co było ukryte pod jego prawym bokiem. Wkrótce nowe strzeliły płomienie w ogniskach i jeniec zmarł w bezruchu. Wtedy zrobiłem ciekawe odkrycie: zauważyłem jakiś przedmiot, wystający odrobinę spod boku leżącego. Czyż to nie był koniuszek kawałka bambusa? Bambusa, używanego tu powszechnie do przechowywania różnych małych przedmiotów? Teraz nie wątpilem ani przez chwilę, dlaczego Kanaholo tak dziwacznie leżał: starał się ukryć pod sobą coś, co mogło wydać jego tajemnicę.

Jużem zwracał się do Arnaka, by go ostrzec o moim odkryciu, gdy Arasybo, który nas na chwilę opuścił, przybiegł z czaszką jaguara. Wbił w ziemię włócznię, że sterczała pochylona nad jeńcem, i wsadził na jej koniec czaszkę, otwartym oczodołem spozierającą na chłystka. W migotliwym świetle czerep jakby odżył, drapieżne kły jakby się ruszały, a czarna jama oczna rzuciła z góry niesamowitą groźbę na złoczyńcę. Wrażenie było przejmujące. Młokos zadrżał, gały mu ledwie z głowy nie wyszły, ale jeszcze bardziej zawział się w uporze. Zdjął go strach, tego nie potrafił ukryć przed nami.

–Teraz wyśpiwasz wszystko, łotrze! – huknął nad nim Arasybo. – Mów, bo cię jaguar rozszarpie!

Arasybo najchętniej sam by go rozszarpał własnymi łapami, wszakże i on nic nie osiągnął. Tamten tylko usta zaciął i milczał jak grób.

–Nic z niego nie wydobędziecie! – z grona zwolenników czarownika parsknął głos, jak gdyby dodający otuchy wyrostkowi.

Manauri wyprawił posłańca po Kanaholego ojca, mieszkającego w samej Serimie, w nadziei, że może widok ojca przełamie jego krnąbrność.

–Źle! – mruknął do mnie Arnak. – Uparty łobuz! Przegramy!

–Hej, przegramy? Tak łatwo skrzydełka opuszczasz, ty, Arnak?

–Nie udowodnimy im winy.

–Nie poznaję mego Arnaka, zwieszającego nos na kwintę przed takim smarkaczem... Oślepleś, Arnaczku, niedowidzisz!...

Przyjaciela uderzyła tajona wesołość w moich słowach, tak jak mnie onegdaj uderzyła zmiana głosu u Arasyba. Arnak podniósł na mnie oczy:

–A ty widzisz coś pomyślnego?

–Widzę.

I zwierzyłem mu się z domysłu, na jaki mnie naprowadziły osobliwe ruchy jeńca tudzież chęć ukrycia pod sobą rurki bambusowej. Arnakowi zabłyśły oczy, chociaż zawsze umiał panować nad sobą. Po chwili sam się przekonał o słuszności moich spostrzeżeń.

–Jucha zakrywa coś! Teraz sam widzę! – szepnąwszy, spojrział na mnie z podziwem. – Janie, oko ci wraca i dawna krzepa ci wraca! Nie damy się!... Jeno mi pozwól, żebym ja ujawnił ich lajdactwo.

–Ależ oczywiście! Rób, co chcesz!

Arnak kilku słowami uprzedził Manauriego, Wagurę i Arasyba, po czym kazał podsycić ogniska i przywołał do jeńca kilku poważniejszych wojowników zarówno z rodu naszego jak i z innych, zwłaszcza onych niedowiarków. Gdy już wszystko przygotował, gromkim a uroczystym głosem zawiadomił, że oka jaguara nie można oszukać. Oko jaguara zdradziło nam zbrodnicze zamiary czarownika i powiedziało, gdzie Kanaholo ukrywa liście kumarawy.

–Czy chcecie wiedzieć, gdzie? – zapytał tocząc dokoła triumfującym wzrokiem.

–Ciekawiśmy! – ozwały się głosy.

–To uważajcie!

Podszedł do jeńca, ujął go pod pachy i szarpnąwszy postawił na nogi.

–Czy widzicie?! – krzyknął, zażarty w nagłym gniewie.

Wszyscy widzieliśmy: u powrozu opasującego kibić młokosa wisiał na prawym pośladku kawałek bambusa.

–Co masz w tym bambusie? – huknął Arnak na jeńca.

To już nie był buńczuczny, hardy uczeń czarownika. To był smarkacz, przerażony niemal do nieprzytomności, pędrak struchlały, drżący ze wzruszenia i strachu.

–Co masz w bambusie? – teraz Manauri powtórzył pytanie ostro i rozkazująco. – Gadaj!!

Kanaholo belkotał pod nosem coś niezrozumiałego. Nagle roztrzęsienie jego tylko utwierdzało nas w przekonaniu, że coś podejrzanego tkwiło w bambusie, ale jeszcze nie mieliśmy całkowitej

pewności. Arasybo doskoczył do jeńca, oderwał mu od pasa bambus, wyjął zeń zatyczkę i na oczach wszystkich wysypał, co było w środku, na swą rozwartą dłoń – w zacierzewieniu nie dbał o ostrożność. Były tam dwa lub trzy zmiętoszone liście.

–Kumarawa! – piskliwym z uniesienia wrzaskiem zarżał kulawiec, w tym

momencie z wyglądu piekielny demon raczej niżli człowiek. Wyciągniętą dłoń przybliżył do ogniska i kazał podchodzić ludziom, ażeby dokładnie się przypatrzyli.

–Jest to kumarawa czy nie jest? – pytał każdego, a w gardle z niepohamowanego przejęcia rechotało mu, buczało, świstało.

Wiedział, że jest to chwila, w której wszystko się waży, w której mógł zniszczyć władztwo czarownika, zawziętego swego wroga. Zwycięstwo, nienawiść i szaleństwo przenikały jego rozdygotaną twarz. Jak opętany charczał do każdego zbliżającego się:

–Powiedz, czy to jest kumarawa?

–Jest kumarawa! – potwierdzali ze zgrozą ludzie naszego rodu.

Inni nic nie odpowiadali; przyciśnięci, zamykali się w sobie, ale widzieli, poznawali, zaprzeczyć nie mogli. Matka Lasany przepchała się przez tłok z białą matą w rękę.

–Rzuć tu liście! – nakazała kalece. – Jeszcze ci zaszkodzą!

Arasybo rzucił liście i sam ujął matę, wciąż nadal podtykając truciznę ludziom pod oczy.

Tymczasem Kanaholo, którego znowu obalono na ziemię, mniemał, że to ostatnia chwila jego życia i trząsł się jak w febrze.

–Patrz na jaguara – huknął na niego Manauri – i gadaj teraz prawdę, jeśli ci życie

mile! Będziesz gadał?

–Bę... będę! – wyłkał jeniec.

–Kto cię tu przysłał?

–Karapana.

–Mów głośniejsze, żeby wszyscy słyszeli: kto przysłał?

–Karapana... czarownik.

–Czy dawał ci liście kumarawy?

–Da... dawał.

–I co kazał robić z nimi?

–Kazał je wkładać do... do dziecka Lasany, gdzie spało.

–Ileś razy to robił?

–Trzy... nie, cztery razy... cztery...

–Czy dziecko miało umrzeć?

–Tak, tak, miało...

–Żeby wina spadła na Białego Jaguara?

Ale w tej chwili jeńca od nowa zatkąło przerażenie i młokos wybuchnął spazmem płaczu. Zresztą wystarczyło, co powiedział. Ludzie słyszeli, zrozumieli: zbrodnia Karapany wyszła na jaw, nikt nie śmiał wątpić o jego winie. Przybył ojciec chłopca, zbudzony przez naszego posłańca. Obecność jego była już właściwie niepotrzebna, jako że chłopak przyznał się do winy. Widać było, że Aripaj – tak się nazywał ojciec jeńca – to istota raczej poczciwa, dusza człowiek, który zapewne nie przeczuwał sprawek syna. Kanaholo musiał przy nim powtórzyć, co zeznał przedtem. Ojciec słuchał z ponurą miną, wielce przygnębiony, pustym wzrokiem to wodząc po nas, to mierząc syna.

–Co z nim zrobicie? – w końcu zapytał.

Było kilku, którzy domagali się śmierci młodego winowajcy, a żądając tego, powoływali się na odwieczne szczerpu zwyczaj. Natomiast większość nie tak surowo osądzała sprawę uważając, że Kanaholo był jeno narzędziem w rękach rzeczywistego winowajcy. Ci umiarkowańsi nie chcieli jego śmierci, a gdy mnie zapytano o zdanie, oczywista, że stanowczo ich poparłem. Więc młodzikowi rozcięto więzy i kazano mu iść z ojcem.

–Pilnuj go! – pożegnałem Aripaja. – Lepiej teraz opiekuj się synem! Nie oddawaj go w niepewne ręce...

Indianin cieszył się, że Kanaholo wyszedł cało z tarapatów, ale oblicza nie rozjaśnił.

–Syn mój – odrzekł zasepiony – nie w mojej opiece. Czarownikowi oddany. Do niego musi wrócić...

Następnego dnia obiegła chaty arawaskie żalonna wieść, że Kanaholo nagle zmarł, Nieszczęsnego chłopca znaleziono martwego na skraju puszczy w pobliżu Serimy, bez żadnych śladów gwałtu. Ludzie naszego rodu przyjęli nowinę niezwykle spokojnie: spodziewali się, że tak właśnie będzie, że taka kara spotka nieboraka, który zdradził, lubo niezupełnie z własnej

winy, tajemnicę czarownika.

14. Repartimentos

Przyłapanie Kanahola na gorącym uczynku oraz jego zeznania uwolniły mnie od głupich posądzeń o przewrotną duszę, ale właściwego zbrodniarza nie dosięgły. Szczwany czarownik umiał się wymigać. Srogi w szczepie miał mir. Wszystko świadczyło przeciw niemu, nawet śmierć Kanahola, a przecież tchórzliwość czy zahukanie ludzi Serimy były tak wielkie, że nie śmieli podnieść buntu. Woleli raczej dać posłuch niewiarygodnym poduszczeniom czarownika, który rozsiewał wieść, jakoby z Kanaholem nie wszystko było w porządku: że kto wie, jakimi występnymi środkami wymuszono zeznania z gamajdy, a podstępnie podrzucono młokosowi trujące liście. Słowem: Karapana przewracał kota w miechu i niektórzy ludzie Serimy, ze strachu czy dla wygody, przytakiwali jego bredniom.

W naszym gronie bliskich przyjaciół toczyły się gorące narady, co czynić. Doszliśmy do przekonania, że nawet teraz wpływy czarownika, lubo nadszarpane, były wciąż przemożne, a zgładzenie go zdawało nam się niemożliwe bez wywołania krwawej w szczepie zawieruchy. Wróciliśmy zatem do pierwotnego zamysłu opuszczenia Serimy i podjęli ostatecznie w tym celu przygotowania. Obecnie cały nasz ród, jak jeden mąż, kwapił się do wyjazdu, każdemu bowiem kością stawały w gardle zbrodnicze matactwa czarownika. W tych ostatnich dniach zacieśniły się jeszcze bardziej węzły przyjaźni między rodem i mną, przyjaźni, zaufania i wiary we wspólne nasze przeznaczenie. Wkrótce okazało się, że Serima też już nie była tym, czym dawniej, jednolitym, zwartym zbiorowiskiem ludzi jednakowej myśli. Gdy przesiąkły tam wieści o naszym zamiarze wyjazdu, wielu zasiedziały Indian wyraziło chęć towarzyszenia nam. Nie chciało pozostawać pod władaniem groźnego czarownika. Wolno im było to uczynić, wędrowni nikt nie miał prawa im zabraniać, takie panowały u Arawaków zwyczaje. Ale te ich zamierzenia ogromnie, rzecz prosta, rozzłościły Karapanę tudzież zaniepokoiły głównego wodza Konesa. Ażeby zapobiec rozłamowi szczepu – czego obydwaj właśnie najwięcej się obawiali od pierwszej chwili naszego przybycia – w zdradzieckiej głowie czarownika wylągl się potworny plan napadnięcia na nas i wybicia do nogi, jeśli nie całego rodu, to przynajmniej najważniejszych jego członków nie wykluczając Manauriego ani Pedra, ani Lasany. Na szczęście życzliwi nam ludzie zawczasu nas ostrzegli, więc mieliśmy się na baczności i czujnym okiem śledzili ruch w Serimie, broni z rąk nie wypuszczając, a gotując się do wczesnego wyjazdu.

W tej napiętej dla obydwu stron chwili zaszły nieoczekiwane wypadki, które z gruntu pokrzyżowały nam wszystkim wszystkie dobre i złe zamiary.

Dnia tego, w dwie mniej więcej godziny po wzejściu słońca, dwóch mieszkańców Serimy wypadło z lasku oddzielającego osiedle głównego wodza od naszych chat i z oznakami podniecenia pędziło ku nam. Nie był to żaden podstęp, jakeśmy w pierwszej chwili sądzili, a gdy biegnący Indianie ujrzeni nas z daleka, nie ustając wykrzykiwali dziwne słowa.

–Czy ich dobrze słyszę? – zagadnąłem Arnaka, tknięty złym przecuciem. – Hiszpanie?!

–Tak wołają – odrzekł przyjaciel nieswoim głosem.

Rozległy się nasze okrzyki przestrogi i w pobliżu nie było szalasu ni chaty, z których by nie wyskakiwali ludzie, poderwani niezwykle zajściem.

Tymczasem biegnący dopadli nas, całkiem zdyszani, ledwie trzymając się na nogach. Widok przedstawiali żaloszny: zapewne nie tylko szybki bieg, ale i groza, jaka nimi targala, odbierały im siły.

–Hiszpanie!... – ziajali tocząc obłądnym na poły wzrokiem.

–Hiszpanie... Tam!...

–Gdzie? – krzyknął na nich Manauri.

–U nas w Serimie... przyplýnęli... wylądowali!... Hiszpanie!

Wieść zatrważająca, słowo niby grom: Hiszpanie! Przecież wszyscy ludzie naszego rodu przebywali do niedawna w niewoli hiszpańskiej i wiedzieli, co to piekło hiszpańskie – wszyscy z wyjątkiem Arnaka i Wagury, którzy byli w niewoli angielskiej. Hiszpanie – to brzmiało jak przekleństwo dla Indianina, a gdziekolwiek z nimi się potykaliśmy, czy to na wyspie bezludnej, czy na llanosach pod Górą Sępów, wszędzie musieliśmy bronić się rozpaczliwie od ich wrogości. Więc niejeden z nas zadrzał w głębi serca.

–Czy napadli na was? – zapytał Manauri. – Zabili kogo?

–Nie, nie napadli.

–Nie doszło do walki?

–Nie,

–Czy wszyscy nasi zdołali uciec z Serimy?

–Nie zdołali. Hiszpanie zaskoczyli nas. Tylko niektórym się udało.

–To Hiszpanie nie wszczęli walki?

–Nie, nie wszczęli walki, ale wyszli na ład okrutnie zbrojni, groźnie wyglądają...

–Ilu ich jest?

Gońcy, wciąż łapiąc oddech, nie umieli ustalić liczby przybyszów: jeden mówił, że ich tyłu, ile palców u obydwu rąk, drugi natomiast twierdził, że dziesięć razy tyle.

–Nie! – zaprzeczył pierwszy. – Hiszpanów jest niewielu, reszta to sami Indianie...

–Z jakiego szczepu Indianie?

–Nie znamy ich, to jacyś obcy.

–Na ilu łodziach przyплыnęli?

–Na pięciu łodziach.

Wielkich?

–Tak, na itaubach.

–Nie pięciu – poprawił drugi goniec – na trzech łodziach.

–A po co przybyli, nie wiecie?

Nie wiedzieli, nie domyślali się. Mogli tylko stwierdzić to jedno, że Hiszpanie, lubo walki nie zaczęli, zachowywali się władczo, wyzywająco, jak surowi panowie, jak ktoś, kto przychodzi z groźbą, a nie w gościnę. Wiało od nich nieszczęściem i niedolą, trwogę siali...

Porozumiawszy się spojrzeniami z Manaurim i Arnakiem, kazałem wszystkim obecnym pobiec po broń i natychmiast stawić się przed moją chatą. Na szczęście cały prawie ród był na miejscu, bo już wprzód stał na pogotowiu. Wedle mnie przy boku był Pedro. Gdy usłyszał, że to rodacy jego przybyli, wszelka krew wyciekła mu z twarzy, która stała się blada jak u widma. Szturchnąłem go przyjaźnie łokciem.

–No i co? – odezwałem się do niego po hiszpańsku, którego to języka mnie nauczył. – Przybyli...

Pedro był tak zaskoczony, że pewnie i do pięciu nie umiałby zliczyć. Na przyjemnym, otwartym jego obliczu, budzącym tyle zaufania, malowało się bezgraniczne osłupienie.

–Czy... – zająkał się, pełen lękliwej niepewności – czy...?

–Ależ oczywiście! Jesteś wolny i możesz z nimi odjechać, gdziekolwiek ci się podoba...

–O panie!... Dziękuję!

–Hej, Pedro! – zaśmiałem się. – Jużes taki obcy, że nagle „panem” mnie częstujesz?

Nie... Przepraszam ciebie, Janie... Kołowroci mi się w głowie.

–Więc, Pedrinio, miej wciąż głowę na karku, bo cię jeszcze potrzebuję!...

A może ty się domyślasz celu przybycia twoich rodaków?

I Pedro także nie potrafił nic powiedzieć. Ponieważ Serima leżała całkiem ukryta na uboczu, o kilka mil od ujścia rzeki Itamaka do Orinoka, czyli nie nad uczęszczanym szlakiem wodnym, należało przypuszczać, że Hiszpanie nie przybyli tu przypadkiem, jeno mieli jakiś upatrzony z góry cel.

–Ale skąd mogli przybyć? – zadałem sobie i Pedrowi pytanie.

Kazałem mu przynieść mapę, jaką rysował od kilku tygodni. Widniała na niej linia dolnego biegu Orinoka na północy, a równoległe niemal do niej linie rzeki Cuyuni daleko na południu, poza tym wiele ich dopływów, między dwoma wielkimi rzekami zaś rozpościerały się łańcuchy górskie tudzież snuły – ze szczególną pieczołowitością narysowane – główne ścieżki Indian wiodące z południa na północ, od Cuyuni do Orinoka.

–Gdzie tu siedzą Hiszpanie? – zapytałem.

–Od nas w dół rzeki Orinoko aż do jej ujścia nie ma ich wcale – wyjaśniał Pedro

–jak się o tym sami przekonaliśmy. Więc ci przybysze mogli przyplłynąć albo z wyspy Trinidad, gdzie jest placówka hiszpańska, albo z wyspy Margarita...

–To chyba zbyt daleko?

–Nie wiadomo, Janie! Może to pościg?... Albo przyplnęli, co podobniejsze do

prawdy, z okolic leżących powyżej nas nad Orinoko, gdzie Hiszpanie usadowili się od dawna...

–Czy mają tam silne załogi wojskowe?

–Załogi wojskowe mają, ale czy silne, nie wiem. Są misje dominikanów z

poddanymi im szczepami indiańskimi, jest miejscina Angostura, o której słyszałem...

–Co sądzisz, jak daleko od nas?

–Angostura? Nie wiem dokładnie... Może sto, sto pięćdziesiąt mil...

Podczas gdy rozmawiałem z Pedrem, schodzili się uzbrojeni wojownicy naszego rodu, a że wszyscy mniej lub więcej znali język hiszpański, więc pilnie przysłuchiwali się rozmowie. Przybyło także kilku Indian z innych rodów. Oni nie rozumieli ani w ząb hiszpańskiego, ale gdy usłyszeli nazwę Angostura, powstało między nimi żywe poruszenie. Znali to słowo. Przystąpili, a jeden z nich odezwał się do mnie:

–Biały Jaguarze! My wiemy, co to Angostura... Tam Hiszpanie! Oni byli tu przed

**dwoma porami suchymi, krótko po naszym przywędrowaniu nad Itamakę... Tu nas odkryli...
Wtedy zapowiedzieli, że wrócą.**

–Powiedz Jaguarowi, co wtedy zrobili! – przypomniał mówcy inny Indianin.

–Co zrobili? – zapytałem.

–Ach, prawda! – zaśmiał się tamten. – Dali Konesie wiele różnych przedmiotów

–nie jako podarki, o nie! Powiedzieli, że gdy wrócą tu, to im zapłacimy za te rzeczy... Może to oni wrócili teraz?

–Co to były za przedmioty?

–Różne, przeróżne! Koszule i spodnie, jakie noszą Hiszpanie, ale już bardzo

podarte. I dostaliśmy także buty na nogi, tylko że dziurawe, i suszone mięso z ich krów. Mięso bardzo śmierdziało, pełno miało robaków, psy nasze się utuczyły na nim. I dali nam kilka tych dziwnych noży. Ty masz taki nóż, Biały Jaguarze! Rano wychodzisz przed chatę i skrobiesz nim sobie brodę...

–To brzytwą! Dali wam brzytwy? Przecież nie rosną wam włosy na gębach!

Indianin spojrział na mnie zdumiony, jak gdybym Bóg wie jak nadzwyczajne zrobił odkrycie. Następnie wybuchł dziecięcą wesołością.

A kto powiada – usta drgały mu szyderstwem – kto powiada, że noże miały ścinać nam włosy na gębach?

–A do czegoż by służyły?

–Do niczego. Były zużyte, wyłamane, zardzewiałe, nawet miękkiego drewna nie ucięły, kruszyły się w palcach...

–To po coście brali?

–Trza było, przymus. Nie chcieliśmy brać, ale zmusili, inaczej wzięliby nas do niewoli...

–Wzięliby was do niewoli?

–To nie byli kupcy... Przysłał ich hiszpański naczelnik w Angostura, corregidor, i

dodał im żołnierzy z nabitymi strzelbami.

Opowieść Indianina wydała mi się niedorzeczna i fantastyczna, ale Pedro, który już coś niecoś rozumiał język arawaski, wyjaśnił mi, że tak w istocie mogło być, jak o tym pisał Indianin. Jednym z hiszpańskich sposobów trzymania Indian w ryzach były tak zwane *repartimientos*. Polegały one na tym, że corregidorowie czyli prefekci okręgów zmuszali szczepy, zwłaszcza w ustronnych okolicach, do nabywania od nich rozmaitych towarów, zazwyczaj mało użytecznych, czasem całkowicie nieprzydatnych, ale zawsze po okrutnie wysokich cenach. Indianie musieli kupować owe przedmioty, czy chcieli, czy nie chcieli, wszakże nie płacili za nie zaraz, lecz znacznie później, po roku albo dwóch latach i, ma się rozumieć, płacili w naturze, produktami ziemi, lasu lub wyrobami rzemiosła. A jeśli długu spłacić nie mogli lub czymkolwiek nie zadowolili wysłanników corregidora, zabierano im za karę odpowiednią ilość młodych ludzi do pracy na hacjendach lub w kopalniach.

–Według prawa zabiera ich się – kończył Pedro – na określony czas, na dwa,

trzy, pięć lat, ale w rzeczywistości prawie nikt z zesłanych nie wraca do ojczystej wioski. Umiera przeważnie daleko od swoich z wycieńczenia, ze smutku, nie puszczony przez swego pana aż do końca życia... Widziałem takich niejednym raz. To bardzo nieszczęśliwi nędzarze...

–Czy przypuszczasz, że to wysłannicy gubernatora przybyli teraz po zapłatę?

–Możliwe...

Manauri już poprzednio pchnął dwóch zwiadowców na skraj puszczy, by śledzili ruchy Hiszpanów, a znać nam dali w razie ich zbliżania się. Na rzece stał nasz szkuner, smaczna gratka dla chciwości hiszpańskiej. Z Serimy nie było go widać za skrzętem. Przybysze nie powinni byli odkryć ani żaglowca, ani naszych przyjaciół, Murzynów.

Kiwnąłem nieznacznie na Manauriego, Arnaka i Murzyna Miguela, ażeby poszli za mną do chaty. Gdy byliśmy sami, wyluszczyłem im mój plan: Miguel i jego czterej rodacy zaciągną niezwłocznie statek wzdłuż brzegu w górę Itamaki. Łatwo to pójdzie, bo właśnie dążył prąd od strony Orinoka na skutek przyływu morza. W oddaleniu jakiejś mili od nas dawne koryto rzeki wrzyna się wąską a długą zatoką w puszcę. Tam szkuner, wciśnięty w chaszczę, bezpieczny będzie przed okiem szpiega. Wszyscy Murzyni, dobrze uzbrojeni w strzelby, pistolety, maczugi, wraz z Murzynką Dolores pozostaną na pokładzie i sprawować będą straż nie ruszając się z miejsca.

Przyjaciele wyrazili na to zgodę, jedynie Manauri dodał życzenie, ażeby szkuner zaciągnąć nieco dalej: przeszło trzy mile stąd była druga zatoka, zwana Potaro. Lepiej tam ukryć statek, bo dalej od ludzi.

–Dobrze! – rzekłem i zwróciłem się do Miguela: – Najważniejsze, żeby nikt nie zauważył waszego odjazdu, nikt, rozumiesz? To całkiem możliwe, bo uwaga wszystkich jest skupiona na Serimie, a rzeka płynie w dole, pod zboczem pagórka...

Pozostałych wojowników naszego rodu podzielono na dwie drużyny pod komendą Arnaka i Wagury. Zamierzałem właśnie wyruszyć na zwiady w towarzystwie Manauriego i Pedra, gdy jeden z naszych wywiadowców pędem wrócił z lasu z wiadomością, że biegnie do nas Koneso.

–Biegnie? – zapytałem zdziwiony. – Naczelnny wódz biegnie?

–Biegnie, tak...

Koneso rzeczywiście biegł. Biegł nie tak szybko jak dwóch pierwszych zwiastunów, boć zażywniejszy był i leciwszy niż oni – ale biegł, spieszyło mu się do nas. Do Manauriego. Z twarzy naczelnego wodza opadła zwykła jego buńczuczność, znikło napuszenie. Był to już tylko zasapany brzuchacz w tarapatach.

–Manauri! – jęknął. – Ciebie potrzebuję! Szybko! Szybko! Musisz mi pomóc!

–Pomogę, ale w czym? – spieszył się Manauri.

–Nie mogę z nimi się dogadać! Ty mówisz po hiszpańsku...

–Mówię.

–Trzeba im wytłumaczyć, że nie mam bogactw! Żądają tyle, jakby niespełna rozumu byli! Nie stać nas! My biedni, nie stać nas! To im powiesz!

–Czego żądają mianowicie?

–Wszystkiego, wszystkiego! Pytaj się, czego nie żądają! Żeby nasycić ich chciwość,

cały szczep musiałby harować okrągły rok w polu i w lesie, i na rzece, i jeszcze by mało było! A bodajby ich zadusiło! Nie mamy czym płacić, a oni żądają!

–Ilu ich jest? – wdałem się w rozmowę.

Koneso zamilkł, by zebrać myśli.

–Jest Hiszpanów dziesięciu albo dwunastu, a na ich czele jest don Esteban,

wysłannik corregidora w Angosturze. Wszyscy oni okrutnie uzbrojeni...

–A Indian ilu?

–Będzie ich dobrze pięć razy po dziesięć. To wioślarze ze szczepu Czaima, ale

wszyscy mają indiańską broń przy sobie...

–Cóż to za Indianie? Gdzie żyją?

–W pobliżu Angostury. To ludzie z misji dominikanów...

–Czy to ci sami Hiszpanie, którzy byli tu przed dwiema suchymi porami?

–Ci sami!

–I wtedy narzucili wam tyle rzeczy zepsutych?

–Ci sami! Skąd to wiesz?

–Wiem.

Węc sprawa się wyjaśniała: chodziło o repartimientos. Hiszpanie przybyli nie na podbój ani zabijanie, lecz po zapłatę, po haracz. Ale gdy zapłaty nie dostaną, co wtedy? Czy nie rzuca się na Indian, zawsze skorzy do gwałtu wobec „dzikich”? Tym samym obawom oddawał się Koneso. Stąd jego podniecenie i kurczowe szukanie wyjścia.

Gdy rozbiegane oczy jego padły na Pedra, strzeliła mu jakaś myśl do głowy. Żywo podszedł do chłopaka i przyjaźnie ujął go za ramię, a na twarzy nagle rozgorzał od ucha do ucha uprzejmością.

–Tyś nasz jeniec, prawda? – uśmiechnął się do niego przymilnie. – Czy miałeś u nas źle, powiedz? Czy spotkała cię jaka krzywda, jaka niesprawiedliwość?

Zmieszany Pedro nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

–Nie – wymamrotał.

–Otóż to, nie możesz się poskarżyć na nas! Zwracam ci wolność, ale za to musisz

wstawić się za nas u don Estebana! My mu darujemy ziomka, jeśli on w zamian wzgląd okaże, dług daruje! Czy wstawisz się?

–Jak chcesz... Mogę...

–Słuchaj, Koneso! – przerwałem ich rozmowę. – Ty zdajesz się zapominać, że

Pedro moim był jeńcem...

–Czy to nie wychodzi na jedno? – wódz zerknął na mnie z ukosa, a gniew strzelił mu z oczu.

–Nie wychodzi na jedno!

–Czy chcesz dalej trzymać Pedra w niewoli?

–Nie. Już mu oświadczyłem, że jest wolny.

–Więc zabraniasz mu pójść do don Estebana?

–Ależ bynajmniej! Tylko ja go zwolniłem bez żadnego warunku – i tak pozostanie!

–A czy może zakazesz Pedrowi bronić nas przed Hiszpanami? – jazgotał dalej Koneso zjadliwie.

–Nie myślę z tobą się kłócić, wodzu naczelny! – odrzekłem wruszając ramionami.

Wtedy nie uszło mej uwagi, że oczy jego, które niespo dzianie na chwilę zdrętwiały jakby pod wpływem nowej myśli, zamigotały dziwnym, chytrym błyskiem i natychmiast przygasły. Koneso mimo woli rzucił przelotne spojrzenie w kierunku rzeki – gdzie stał nasz szkuner, lubo z naszego stanowiska niewidoczny poza wzgórkim spadzistego w tym miejscu brzegu. Koneso błyskawicznie, jakby spłoszony, odwrócił stamtąd wzrok, ale właśnie zdradził się owym bezwiednym popłochem i wyrazem przebiegłości, który nagle wypełził mu na twarz i nie dał się ukryć.

Odgadłem. Koneso pomyślał o szkunerze. Kombinował jak nędzny zdrajca. Skoro nie dopisał Pedro, miał wodza wybawić nasz dobry, dumny statek. Za taki dar jakże Hiszpanie byliby mu wdzięczni!

Jak tylko domyślił się jego plugawych intencji, szepnąłem Arnakowi po angielsku, ażeby poszedł chyłkiem nad rzekę, Murzynom kazał przerwać robotę przy szkunerze, ich samych zaś gdzieś dobrze schował. Potem przyskoczyłem do Konesa i wskazując czaszkę jaguara, sterczącą w pobliżu na palu, wściekle wrzasnąłem mu do ucha:

–Patrz! Patrz na oko jaguara! Ono mi wszystko mówi!

Stojący dokola wojownicy, przerażeni moim wybuchem, spojierali zdumieni to na mnie, to na czaszkę jaguara. Koneso zmieszał się na potęgę.

–Czaszka wyjawia mi – ciągnąłem – że knujesz zdradę! Chcesz się okupić naszym kosztem! Wara ci do tego!

–Czaszka! Czaszka?! – mruczał struchlały wódz. – Zaczarowana czaszka!

–Tak! Właśnie mi powiedziała dokładnie o tym, co w tej chwili gotujesz

haniebnego!...

Jego wzruszenie potwierdziło jeno moje domysły. Zostawiwszy go samego, odwołałem Manauriego na bok. Polecilem mu iść z Konesem do Serimy, czyniąc zadość życzeniom naczelnego wodza, ale Manauri miał jednocześnie zabrać ze sobą bystrego towarzysza z naszego rodu, biegłego w hiszpańskim języku. Zadaniem jego było zawiadamiać mnie co pewien czas o stanie rzeczy i przebiegu rokowań z Hiszpanami.

Wkrótce Koneso, Manauri i ten trzeci wyruszyli, ale zanim się oddalili, Koneso, niby mimochodem, podszedł nad brzeg rzeki, by rzucić na nią okiem. Nie odstępowałem go. Naczelnny wódz już ochłonął i opanował swe uniesienie. Na widok statku, przywiązanego jak zwykle do brzegu, owianego ciszą, jakby zapomnianego przez ludzi, wyraz zadowolenia wystąpił na obliczu wodza – i na moim również.

Krótko po ich odejściu sam udałem się na skraj lasu, by lunetą ogarnąć Serimę. Przybysze posiadali trzy duże łodzie wiosłarskie, będące w użytku na wodach orinockich. W pobliżu łodzi siedziało na brzegu w gromadzie kilkudziesięciu Indian-wioślarzy, uzbrojonych w łuki i maczugi.

Nieco dalej ujrzałem Hiszpanów. I oni trzymali się razem, przy czym niektórzy leżeli sobie na trawie i spali, inni stojąc jak gdyby sprawowali straż. Tuż wedle ich grupy sterczała broń palna w kozły ustawiona. Jakem mógł zauważyć przez lunetę, ci, co stali, byli to wszystko brodacze o czarnych zarostach i zuchwałych gębach zawadiaków. Ich dusze i sumienia zdawały się niewiele jaśniejsze niż ich brodziska. Wysłannika gubernatora, don Estebana, jak go Koneso nazywał, nie dało się nigdzie odkryć. Widocznie wiodł rozmowę z naczelnym wodzem i Manaurim pod dachem jednej z chat sadyby.

W zachowaniu się załogi hiszpańskiej tudzież Indian Czai-ma przebijał spokój, alem to łatwo wywnioskował z ich ugrupowania i z broni trzymanej na podorędziu, że przybysze mieli się na bacności. Nic ciekawszego na razie nie odkrywszy czym prędzej wróciłem do siebie.

Po dwóch godzinach, około południa, otrzymałem pierwsze wiadomości z Serimy: trudno było o porozumienie. Hiszpanie z całą bezwzględnością żądali sutej zapłaty grożąc, w razie odmowy, nałożeniem najsurowszych kar. Dowiedzieli się już o istnieniu moim i naszego rodu. Co gorsza, nieżyczliwe usta podszeptały im, że cały ród składał się z byłych niewolników, którzy uciekli z niewoli hiszpańskiej i przy tym wielu zabili Hiszpanów. Obecność Pedra nie pozwalała ukryć przed przybyszami wszystkich szczegółów naszej przeszłości i walk stoczonych, ale bardzo mnie zabolalo, że wśród Arawaków znalazł się tak nikczemny donosiciel: toż to przed nienawistnym wrogiem własnych braci oskarżać nie wzdragał się. Czyżby Koneso aż tak nisko upadł w swym zacierzwieniu?

Tymczasem szkuner ulotnił się z naszego brzegu i gładko dotarł do kryjówki w ustronnej

zatoce, o czym wnet mi zameldowano. Przedtem kazalem wynieść z żaglowca na ląd wszelką broń palną i papier z piórem i atramentem.

–Pedro! odezwałem się do chłopaka. – Jest taka książka hiszpańska, opisująca uciészne przygody dziwaka-rycerza... Czy znasz ją?

–To chyba Don Quijote.

–O to, to! Jak się nazywa twórca tego dzieła?

–Miguel de Cervantes Saavedra.

Przy pomocy Pedra taki oto napisałem list do Hiszpanów:

Illustrissime Senior Commandante!

Jaśnie Panie Komendancie!

Korzystając ze szczęśliwej okazji Pańskiego przybycia w nasze okolice, poczytują sobie za wielki zaszczyt, że mogę Imć Panu przekazać me wyrazy pozdrowienia i należytego szacunku. Jednocześnie pozwalam sobie z przyjemnością niezmierną zawiadomić Go o powierzeniu Jego opiece zacnego młodziana, Pedra Martinez, który na skutek kapryśnego zbiegu okoliczności tudzież wypadków, lubo pożałowania godnych, acz nie zawinionych przez nas, stał się w ostatnich miesiącach moim towarzyszem podróży. Prosząc Pana Komendanta o zabranie go pod swą opiekę, śmiem dołączyć usilną prośbę o okazanie moim przyjaciółom, Indianom-Arawakom, wielkoduszności godnej przedstawiciela narodu, który wydał Cervantesa Saavedra. *Racz, Panie, przyjąć me ukłony*

John Bober

–Czy z tym Cervantesem Saavedra w porządku? Czy to nie brzmi zbyt górnolotnie? – zapytałem Pedra. – A nuż piszę do chamidla jakiego?

–Spróbować nie wadzi... – odrzekł chłopak, będący w złotym humorze, że sprawy jego wzięły pomyślny obrót, chociaż nie bez żalu myślał o rozstaniu się z nami.

Z listem wyprawilem Pedra do Serimy prosząc go, by już pozostał tam w gronie rodaków. Przypadł on ogromnie do serca i mnie, i moim przyjaciółom, a szczególnie wesolemu Wagurze, więc jakkolwiek to nie było ostateczne pożegnanie, czule go wszyscyśmy ściskali.

16. Nocna

Wyprawa

Niebawem przystąpiła do mnie matka Lasany z zagadkową miną i szeptem oznajmiła mi, co następuje: właśnie ona sama wróciła z puszczy, gdzie zbierała zioła. Na skraju gąszczu zaczepił ją stary Katawi, ten, co mieszka u ujścia naszej rzeki (Itamaki) do Wielkiej Rzeki (Orinoka), i kazał mi oznajmić, żebym przyszedł do niego tam do lasu. Ma mi do powiedzenia coś bardzo ważnego. Ale żądał, żeby to działo się w wielkiej tajemnicy.

–Dlaczego on sam tu nie przyjdzie? – obruszyłem się podejrzewając jakiś

podstęp, którego nie przeczuła niewiasta.

–Nie chce, żeby go tu widzieli, taka to doniosła rzecz!

–Katawi, kto on? Znasz go?

–Znam, znam go dobrze! To swój! Dobry człowiek, nie lubi czarownika. Idź do niego, bo mu pilno!...

Wtajemniczyłem w sprawę Arnaka i Wagurę, którzy, lubo Katawiego nie znali, darzyli pełnym zaufaniem rozum i przezorność kobieciny.

–Idźmy w trójkę! – poddał Wagura, któremu żywe ślepska palily się do przygody.

Poszliśmy, uzbrojeni niby na polowanie. W oznaczonym miejscu spotkaliśmy go. Był to Indianin w podeszłym wieku, lubo jeszcze rześki, trudniący się rybołówstwem. Chata jego stała o pięć mil w dół rzeki. Jakkolwiek miał wygląd uczciwy, budzący zaufanie, dla ostrożności oddaliliśmy się od miejsca spotkania o kilkaset kroków, bacznie rozglądając się po gąszczu. Nikt za nami nie szedł.

–Mów, Katawi! – zachęciłem go, gdyśmy w czwórkę stanęli w cieniu wielkiego drzewa.

Katawi był może dzielnym rybakiem, ale kiepskim mówcą. Trza było pilnie uważać i z luźnych jego słów wytrząsać jak przez sito właściwą treść opowieści, z którą przybył. W miarę jak ją odsłaniał, wprawiała nas w coraz większe zdumienie i napięcie.

O świcie dzisiejszego dnia był Katawi nad wodą i ujrzał wylaniające się z półmroku pięć obcych łodzi. Były to wszystko tak zwane itauby, czyli potężne łodzie, wyciosane z jednego pnia drzewa itauba, od czego ich nazwa. Szły z dołu Wielkiej Rzeki i byli na nich Hiszpanie, bo w mroku słyszał, jak w swym języku wydawali rozkazy indiańskim wioślarzom. Naprzeciw miejsca, gdzie Katawi się ukrywał, wylaniała się mała wyspa niedaleko brzegu i tam na niej wylądowały itauby. Wkrótce trzy łodzie popłynęły dalej i weszły w ujście rzeki Itamaka i – jak

się dowiedział rybak – są obecnie w Serimie. Natomiast te dwie inne, które pozostały na wyspie, wzbudziły jego szczególną ciekawość. Mianowicie gdy dziś rano się rozwidniło, Katawi odkrył wielu jeńców, może trzy razy dziesięciu, leżących pokodem w jednej łodzi i związanych w łyka. Ażeby móc się lepiej przypatrzeć, wlaź na wierzchołek drzewa i wtedy z góry poznał, że to wszystko Warraulowie.

Ponieważ jeńcy leżeli skrępowani, Hiszpanie nie pozostawili przy nich licznej warty: tylko dwóch Hiszpanów i dwóch Indian. Katawi długi czas ich śledził, ale więcej strażników wypatrzeć nie mógł.

–Co myślisz, czy rychło opuszczą wyspę? – zapytałem rybaka.

–Nie widziało mi się, żeby zamierzali opuszczać. Obozowali spokojnie...

–Nie wcześniej ją opuszczą, dopóki ci w Serimie nie wrócą na wyspę, to pewne! – odezwał się Wagura.

–Ani chybi!

–A ta druga łódź? Mówiłeś, Katawi, że mają tam dwie itauby! – wypytywałem się dalej. – Jedna jest z jeńcami. A druga? Czy pusta?

–Nie, ona wypełniona po brzegi, tyle tylko, że dla wioślarzy trochę miejsca z przodu i z tyłu...

–A czym wypełniona?

–Nie wiem, bo przykryta matami. Pewnie strawą dla całej wyprawy, boć ich przecie do kupy prawie dziesięć razy dziesięciu.

–Czyś pewny, Katawi, że to Warraulowie w łykach?

–Zabij mnie, jeśli nie pewny tego!...

Już podczas jego opowiadania powziąłem mocne postanowienie, by przyjść Warraulom z pomocą i ich uwolnić.

Sprawdzało się, co mi Pedro mówił o systemie repartimientos. Zapewne Warraulowie nie uczynili zadość żądaniom Hiszpanów i ci przemocą zabrali owych trzydziestu do niewolniczej pracy.

–Łączy nas uroczyste przymierze z Warraulami – przypomniałem towarzyszom

–oni jakby naszymi braćmi! Nie pozwolimy ich krzywdzić!

–Ja bym Hiszpanów nie prosił o ich uwolnienie! – zatrwożył się Wagura.

–Nikt prosić ich nie zamyśla! – odparłem stanowczym głosem. – Sami ich uwolnimy!

Obydwaj przyjaciele prawie że podskoczyli z radości, nawet statecznego Arnaka poniosło.

–Katawi! – zwróciłem się z uznaniem do rybaka. – Wielka twoja zasługa w tym, coś zrobił! Wdzięczność ci się należy! Ale to nie wszystko! Musisz nam jeszcze pomóc w ich uwolnieniu, bez ciebie nie podolamy!...

Katawi, jak wiadomo, był starym rybakiem i nie okazywał zbytniego zapału do bohaterskich czynów. Zakłopotał się:

–Czy ja potrafię?

–Wskażesz nam tylko drogę, resztę my zrobimy.

–O, to dobrze, to dobrze! – uspokoił się i nabrał znowu ochoty.

–Jak przedostać się z lądu na wyspę?

–Łatwo, bardzo łatwo. Mam dwie małe łódki. To bardzo blisko.

–Ilu nas pomieszczą?

–Sześciu, siedmiu.

–Wyśmienicie, będzie nas sześciu, a ty, przewodnik, siódmy!... Wyruszymy tam, jak tylko nastanie noc!

Katawi był zbyt ważnym ogniem w śmiałym przedsięwzięciu, ażeby go wypuszczać choć na chwilę spod oka. Zresztą czekał go jeszcze obowiązek szczegółowego opisanie nam wyspy i położenia obozu na wyspie, rzecz jakże doniosła, jeśli zważyć, że do nie znanej nam wyspy dotrzeć mieliśmy dopiero w ciemnościach głębokiej nocy. Więc niewiele się pytając zabraliśmy go ze sobą w drogę powrotną, przezornie omijając z dala obce szalasy. Okrężną drogą, zaroślami wzdłuż brzegu rzeki, dotarliśmy do naszej chaty. W chacie kazaliśmy mu sięść w ciemnym kącie i dodali mu jednego z wojowników do towarzystwa.

Ważne było, żeby w nocnej wyprawie wziął udział ktoś, kto znał język Warraulów. Przy tej sposobności znakomitą radą posłużył nam onże Katawi: podał ojca nieszczęsnego Kanahola, znajomego nam Aripaja, który za żonę miał kobietę ze szczepu Warraulów i znał ich język. A

Aripaj był nam życzliwy. Tedy natychmiast wyprawilem po niego posłańca, który miał równocześnie podszeptać Manauriemu stanowcze polecenie, by wszelkimi sposobami starał się odwieść Hiszpanów od zamiaru wyjazdu, gdyby chcieli dziś opuścić Serimę.

Po niespełna dwóch godzinach pojawili się Aripaj i posłaniec z wiadomością, że Hiszpanie nie myślą dziś odpływać. Aripaj, wciągnięty do spisku, chętnie przystał na udział w nocnej awanturze.

Gdy podczas tych gorączkowych przygotowań na chwilę nastal spokój i przyszło jakby odprężenie, mimo woli ogarnęła mnie osobliwa zaduma: jakże skłębily się wydarzenia w ostatnich godzinach, ileż powstało niepewności i niepokoju. Więc szczep Arawaków rozbity na dwa obozy i nie wiadomo, jakie jeszcze nikczemności gotują przeciw nam ludzie nieżyczliwi; więc wiszące jak miecz nad głową niebezpieczeństwo ze strony rozjątrzonych Hiszpanów, gotowych lada chwila, lada kaprys wylać na nas swe okrucieństwo, więc czarownik Karapana, może czający się z jakąś nową na mnie zasadzką, a wódz Koneso chwiejny i przerażony, jakże w zdradzieckim łbie zaprzątnięty, żeby nas sprzedać Hiszpanom; nasz szkuner – czy dobrze ukryty i czy Mateo obroni go w razie napaści; i jeszcze ten nowy kłopot z jeńcami warrauskimi i zamierzona wyprawa nocna, która w razie niepowodzenia jakich kaducznych nabawi nas kłopotów? Wszystkie nici tych zawilych spraw skupialy się w mych rękach, plątały się, kręciły, jeno patrzeć, która pierwsza się zerwie i spadnie na nas nieszczęściem. Jakże łatwo było się potknąć i pogruchotać! Głowa trzeszczała od tego wszystkiego i myśli się mąciły, alem nabierał od nowa spokoju i otuchy, kiedy spoglądałem na majdan przed moją chatą: tam stało dziesięciu wojowników naszego rodu pod bronią, gotowych na wszystko, czekających rozkazu, w zaciekłym pogotowiu, z kamiennym obliczem, a wśród nich niezachwiani przyjaciele: Arnak i Wagura. Kto zatem zwycięży? Niedługo trwała cisza, nie dano myślom wypoczynku. Od lasku co duchu biegł ku nam Indianin, stojący tam na czatach.

–Siedmiu Hiszpanów się zbliża! – wpadł na nas z nowiną. – Wszyscy srogo uzbrojeni!

–Czy na pewno do nas idą?

–Do nas! Zaraz wyjdą z lasku.

Wojownicy przyjęli wiadomość z podziwu godnym opanowaniem, bez najmniejszego popłochu. Polecilem Arnakowi i Wagurze trzymać swe drużyny niedaleko mej chaty, lecz oddzielnie, w pewnym od siebie odstępie – i uważać na mnie, jaki dam im znak.

–A ja co? – zagadnął mnie Arasybo. – Co mam robić?

–Wejdz do mej chaty i pilnuj zapasowej broni, jaką tam złożyliśmy. I nie zapomnij o Katakawim!...

Hiszpanie w istocie wyszli niebawem z lasku. Dążyli miarowym, statecznym krokiem wprost na moją chatę, widać znaną im z opisu. Muszkiety opierali na ramionach, zwyczajem żołnierzy w marszu. Gdy podeszli do mnie na dziesięć kroków, stanęli, rusznice oparli kolbami o ziemię, a starszy z nich, wystąpiwszy nieco naprzód, rzekł do mnie wzniośle, z przesadną powagą:

–*Senior capitano!* Don Esteban, nasz pułkownik, uprzejmie kazał podziękować za list i pragnie się odwzajemnić, grzecznie zaprasza pana kapitana do siebie w gościnę.

Zmykało się ku wieczorowi, za godzinę słońce miało zająć. Zaraz na początku nocy zamierzałem wyruszyć w dół rzeki. Tedy pora była dziś zbyt późna na odwiedziny, które nie wiadomo jak długo mogły mnie zatrzymać w Serimie.

–Podziękuj waszmość don Estebanowi za zaproszenie i zapowiedz, że jutro przed południem złożę mu wizytę.

–Oh prosi, żeby dziś jeszcze!

–Ja proszę, żeby do jutra on zaczekał!

Nieznaczną chmurą oblekła oblicze Hiszpana, który mimowiednie targnął za pas zniecierpliwionym ruchem dłoni.

–Dostałem rozkaz – oświadczył nieco twardszym niż dotychczas głosem – żeby, okazując panu kapitanowi cały należny szacunek, przyprowadzić go dziś jeszcze do naszego obozu!

–Czyli macie tworzyć honorową eskortę? – ożywiłem się.

–Tak jest, eskortę!

Ku jego zdziwieniu wybuchłem wesołością:

–Ależ nie potrzebuję waszej! Mam swoją własną eskortę! Patrzcie tu, patrzcie tam!

Ręką wskazałem Hiszpanom w prawo i w lewo na drużyny Arnaka i Wagury. Wojownicy mieli swobodną postawę, ale rusznice trzymali w garściach i spokojnym wzrokiem patrzeli w naszym kierunku.

Hiszpan zrozumiał wymowne znaczenie ich obecności i kwaśno się uśmiechnął.

–Nie moja wina – rzekł uprzejmiejszym znowu głosem – że rozkazu w całości wykonać nie mogą!

–Nie, nie wasza wina! – przyznałem mu chętnie.

Zasalutowawszy chciał odejść, ale go jeszcze zatrzymał.

–Po zachodzie słońca – obwieściłem mu – nie wolno nikomu obcemu wchodzić

na tą polaną. Warty mają ostro nakazane strzelać do każdego. Indianie w Serimie znają to zarządzenie, znajcie też i wy, goście!

–Tak jest, panie kapitanie!

Odeszli, ale bynajmniej nie w stronę Serimy, lecz ku rzece, i to akurat prosto do miejsca, gdzie do niedawna stał nasz szkuner. Więc Koneso jednak zdradził im istnienie statku! Na mój znak oddziały Arnaka i Wagury zbliżyły się do mnie w chwili, gdy Hiszpanie już wracali z nad rzeki pospiesznym krokiem. Wracali podnieceni.

–Tam stał hiszpański statek! – zawołał ten, który wprzód ze mną rozmawiał. –

Senior, gdzie on?

–Nie ma go! – odrzekłem oschle.

–Jak to, nie ma?

–Czy nie widzieliście? Zresztą grubo się mylicie, że to hiszpański statek. To mój!

–Ale dawniej należał do Hiszpanów!

–Dawniej tak! Teraz – nie!

–Senior! – uraził się Hiszpan. – Nie przyszliśmy tu, żeby kpiny z nas strojono!

–Jeno po co? – zapytałem z głupia frant, podnosząc brwi.

–Po statek. Naczelny wódz kazał go nam zabrać.

–Nie miał prawa do tego!

–To nas nic nie obchodzi! Statek jest nasz! Gdzie on się znajduje?

–W bardzo bezpiecznym miejscu.

–Gdzie, *Caramba*

Zaśmiałem mu się w oczy i nic nie odpowiedziałem. Hiszpan był bliski niewnego wybuchu, ale pohamował się widząc, że powoli otaczali go nasi wojownicy.

–Jeśli to jest wszystko, coś miał mi wyjawić, to już idź waszmość! – przykazałem mu. – A don Estebanowi powiedz, że jutro przyjdę z wizytą.

Brzydką jakąś klątwę Hiszpan wymamrotał przez zęby i poszli – tym razem już grzecznie w stronę Serimy.

–I pamiętaj – ostrzegłem go jeszcze z daleka – o tym, co tu dzieje się po zachodzie słońca! Wtedy nie ma u nas żartów!...

Ludzie nasi, którzy przeważnie znali język hiszpański, cieszyli się, że tak słuszną dałem mu odprawę.

Słońce zaszło, ciemność gęstniała. Nikt ze Serimy nam się nie uprzykrzał. Wybrałem Wagurę i trzech najsprawniejszych wojowników i w siódmkę, z Aripajem i Katawim, rażno wyruszyliśmy w noc. Arnak pozostał na straży chat; zapasową broń i amunicję wyniósł do osobnej kryjówki. Jako że chodziło tu o nocne spotkanie, strzelby i łuki były nam zbędne, jednak okrom pistoletów, noży i krótkich maczug kazałem zabrać cztery łuki z odpowiednią ilością strzał.

–Na co łuki? – zdziwił się Wagura.

–Nieodzowne.

–W nocy mamy strzelać z luków?

–Nie.

–To po co je zabierać?

–Nie domyślasz się?

Ale Wagura nie mógł sobie wytłumaczyć potrzeby luków w tej wyprawie. Bawiąc się jego niemądrą miną, pozostawiłem go w niepewności.

Ile to już dni nie wędrowałem po puszczy! Kiedy więc uderzyły na mnie od nowa znajome odory leśne i znajome poświsty świerszczy, kiedy smagały mnie znowu mokre gałęzie nad wąską ścieżką, poczułem, że i serce mi rośnie, i siły wracają. Katawi dobrze znał drogę i sprężysto kroczył na czele, a my jak widma sunęliśmy za nim.

Po marszu prawie dwugodzinnym rybak dał nam znać, że podchodzimy do wyspy. Jaśniejsza tafla wody przeświecała po lewej ręce między roślinnością nadbrzeżną, gdy nagle przed nami wyrosła na ścieżce postać. Chrząknęła, Katawi odchrząknął.

Był to jego syn. Od południa, po odejściu ojca, pilnował wyspy. Zawiadomił nas, że w obozie nic się nie zmieniło. Tylko po południu strażnicy kazali jeńcom wyjść na ławę piaszczystą i załatwić

się z potrzebą, po czym znów ich zapędzili do łodzi, a każdemu zbadali łyka u rąk i na domiar powiązali nogi.

Wyspa – według opisu Katawiego – mając kształt wydłużony na jakie sto sążni z okładem, ale nie szersza niż osiemdziesiąt kroków, ciągnęła się równoległe do brzegu, oddzielona od niego niezbyt szerokim kanałem o głębokiej wodzie. Ostrów powstał z ławy piaszczystej, na której z biegiem lat naniosła się różnorodna roślinność, nawet wyrosło kilkadziesiąt drzew.

Hiszpanie założyli obóz nad kanałem, naprzeciwko stałego brzegu, więc – zasłonięci od strony głównego nurtu Itamaki owym laskiem na wyspie – pewni byli, że nie zobaczy ich nikt, kto by przypadkiem przejeżdżał środkiem rzeki. Ogniska nie rozniecali, by nie zdradzić się dymem. Straż sprawa-wowało zawsze po dwóch: Hiszpan z Indianinem. Tak też było i dzisiejszej nocy, jak to syn Katawiego zauważył w wieczornym półmroku. Podczas gdy dwóch czuwało w pobliżu jeńców, ich zastępcy spali na dziobie drugiej łodzi.

Pierwotnie chciałem podpłynąć kanałem do jeńców i przeciąwszy pierwszemu łyka, podrzucić im kilka noży i maczug, by sami bez nas się uwolnili i pokonali strażników, ale nie będąc pewnym ich odwagi i zręczności w walce, odrzuciłem ten plan i postanowiłem wykonać całe przedsięwzięcie własnymi siłami.

Dwie małe łódki swe rybak ukrywał w zaroślach nadbrzeżnych znacznie powyżej wyspy. Zastaliśmy je nie ruszone i cichuteńko spuściliśmy na wodę. Udzieliłem towarzyszom ostatnich wskazówek, a przede wszystkim przypomniałem im, że musimy działać przezornie, aby Hiszpanie na wyspie, czy w Serimie, nie śmieli się dowiedzieć, kto uwolnił Warraulów.

–Na wyspie także nie, mówisz? – szepnął Wagura. – To mamy ich zostawić przy życiu?

–Wiesz przecie, że nie lubię zabijać, jeśli to niekonieczne.

–Ale tu, właśnie tu bardzo konieczne!

–Nie sądzę! Jest ich tylko czterech. Nas pięciu, a z Aripajem sześciu. Zaskoczmy ich zniemacka bijąc maczugami po łbach. Jeśli komu rozwalimy łeb, trudno, smutny los. Ale można uderzyć tak, żeby przeciwnik stracił jeno przytomność – i tak to powinniśmy zrobić!

–Czy skrępujemy ich?

–Rozumie się! Skrępujemy i głowy im jakoś obwiążemy, żeby nic nie słyszeli i nie widzieli. Zresztą może nie będą mieli nawet czasu przyjść do siebie przy nas, bo wyspę szybko opuścimy.

Czułem, że Wagura coś jeszcze miał w zanadrzu. I miał. Łuki. Sprawa zabranych łuków nie

dawała mu spokoju, korciła go nawet teraz.

–Mówisz, że maczugami ich powalimy? – chytrze zapytał, z udaną obojętnością w głosie.

–Tak, maczugami.

–Nie inaczej, jeno maczugami?

–No tak, maczugami!

–Janie! Więc teraz sam przyznajesz, że łuki nam niepotrzebne! – pełen triumfu wyparskał jakimś zduszonym skowytym. – Zatem ja miałem rację. Daremnie je dźwigaliśmy. Chciał koniecznie postawić na swoim.

–A, ty zadziorny kogutku! – urągałem mu. – Wyobraź sobie, że nie miałeś racji!

–To łuki jeszcze wciąż potrzebne?

–Bardzo potrzebne.

–Tego nie rozumiem.

–Natęż mózgownicę!...

Odbiliśmy od brzegu. Ja z Katawim, jego synem i jednym wojownikiem w pierwszej łódce, w drugiej, płynącej tuż za nami, Wagura i reszta. Prąd porwał nas i mknęliśmy dość bystro w dół rzeki. Niewielkie łódki, z kory zrobione, ledwo pomieściły nas ośmiu.

Po chwili zamajaczyły przed nami nad wodą ciemniejsze zarysy: był to początek wyspy. Bacząc, by nie wjechać w kanał, trzymaliśmy się głównego nurtu rzeki, a po ominięciu czuba ostrowu wylądowaliśmy kilkadziesiąt sążni poniżej. Stanęliśmy zatem na wyspie od strony otwartej na pełną rzekę. Hiszpanie obozowali, jak zapewniał Katawi, raptem o sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kroków od nas i wystarczyło jeno przebrnąć przez zarośla pośrodku wyspy rosnące, aby dotrzeć do ich obozu.

Każdy z nas dokładnie już wiedział, jakie przypadło mu zadanie, więc niezwłocznie jęliśmy przedzierać się przez roślinność. Nie była zbyt gęsta ani powikłana; mając się na ostrożności sunęliśmy niemal bez szelestu. Nagle krzewy się urwały przed nami, jakby ręką odjął, i stanęliśmy na skraju zarośli. Dalej szarzało już tylko jakie piętnaście kroków samego piasku aż do brzegu kanału.

Obóz hiszpański odkryłem nieco niżej: w podłużnym, czarnym kształcie, leżącym na piasku,

łatwo odgadłem jedną z łodzi, wyciągniętą na ląd, podczas gdy druga łódź stała na wodzie.

–W tym czólnie na łądzie – Katawi tchnął mi szeptem do ucha – leżą powiązani jeńcy... Czy widzisz wartownika, jak czuwa nad nimi?

Owszem, zauważyłem kształt jakby kogoś siedzącego na krawędzi łodzi. Niewątpliwie był to jeden ze strażników. Nie ruszał się. Ale gdzie był drugi?

–Mówiłeś, że ich dwóch sprawuje wartę! – zaniepokoiłem się.

–Dwóch, tak jest.

–Tego drugiego jakoś nie widać!

Katawi z synem naradzali się, ale nieobecności drugiego wartownika objaśnić nie potrafili.

–Może poszedł spać?

–A czy wiecie na pewno, że tych dwóch innych śpi w drugiej łodzi?

–Na pewno! – odrzekł syn rybaka. – Śpią oni na czubie łodzi, a czub jest zwrócony w naszą stronę.

–Czy słyszysz, Wagura?

–Słyszę...

Idąc w cieniu zarośli można było jeszcze się zbliżyć do czólen na odległość mniej więcej dwudziestu kroków, ale potem, ażeby całkowicie dojść do strażnika, należało przebyć piaszczysty pas między krzewami a wodą. Te kilkanaście kroków odkrytej przestrzeni wystawiało nas na niebezpieczeństwo. Ażeby je zmniejszyć, a równocześnie wywachać, gdzie ukrywał się drugi wartownik, postanowiłem użyć podstępu, znanego mi z lasów wirginijskich, mianowicie wywołać fałszywy alarm. Kamieni większych i mniejszych leżało tu pod dostatkiem. Więc pouczywszy Katawiego i jego syna, jak i kiedy mają je wrzucać do wody, przystąpiłem do działania.

Było tak ciemno, że wystarczało nam skradać się brzegiem gęstwiny, nie wchodząc do jej środka. Z uwagą stawialiśmy kroki, ażeby piasek zbyt głośno nie skrzypiał pod stopami. Szybko dotarliśmy do miejsca na wprost łodzi z jeńcami. Tu pozostałem wraz z jednym wojownikiem. Onże, Kokuj, należał do największych silaczy naszego rodu. Wagura i jego trzej towarzysze minęli nas i poszli o kilkanaście kroków dalej, by stanąć jak najbliżej drugiego czólna.

Katawi nie próżnował. Daleko przed nami, w pośrodku kanału, rozległ się plusk wody od kamienia, rzuconego przez rybaka. Postać strażnika ani nie drgnęła. Czyżby drzemal siedząc na burcie łodzi? Drugi i trzeci kamień spadł z chlupnięciem jeszcze głośniejszym niż wprzódy.

Brzmiało to dziwnie, jakby bestie jakoweś baraszkowały tuż w wodzie.

Nareszcie! Wartownik dał znak życia. Powstał, przeciągnął się. Tajemnicze odgłosy wzbudziły jego ciekawość. Jął bacznie wpatrywać się w ciemną powierzchnię wody. A gdy nowe usłyszał pluski, nasunęły mu się wątpliwości i zawołał przyciszonym głosem:

–Senior Fernando! Senior Fernando!

Człowiek, niewidzialny dotychczas, bo leżący pod burtą na piasku, zerwał się ze snu.

–*Que cosa?* Co się dzieje? – zapytał spłoszonym głosem.

Był to Hiszpan, a ten, który straż sprawował, Indianin.

Szturchnąłem Kokuja w bok i dałem mu ruchem ręki do zrozumienia, że ja biorę na siebie Hiszpana, a on – tego drugiego...

Oderwaliśmy się od ściany gąszczu. Kilka sprężystych, ostrożnych skoków poprzez piasek. Znowu plusnęło w kanale, zresztą żabiska i świerszcze jakież wyczyniały harmider! Dobiegliśmy do łodzi nie zauważeni. Maczugi prawie jednocześnie spadły na obydwie głowy. Ugodzeni osunęli się na ziemię bez czucia, Hiszpan jeno glucho charknąwszy. Łoskot uderzeń był sygnałem dla Wagury.

Skoczyłem w stronę drugiej łodzi, ale tu pomoc moja była niepotrzebna. Przyjaciele sami już dokonali dzieła. Śpiący strażnicy nawet się nie zbudzili, tak zniemacka ogłuszyły ich ciosy. Wszystkim czterem pośpiesznie skrępowaliśmy ręce i nogi i zawlekli ich w głąb zarośli na środek wyspy, na domiar Hiszpanom obwiązawszy całe głowy ich własnymi koszulami. Indianie nie mieli koszul.

Uwolnienie Warraulów poszło w mgnieniu oka. Gdy chcieli coś gadać i wykrzykiwać, surowo nakazaliśmy im milczenie. Wspólnymi siłami zepchnęliśmy itaubę do wody i rozdzielili wioślarzy na obydwie łodzie. Na szczęście wiosel nie brakło. Katawi znał w pobliżu zatoczkę, której diabeł by nie odkrył. Wąskie wejście do niej całe było zasklepione chaszczami, iż ledwie przedarliśmy się przez nie z itaubami, ale raz dostawszy się do środka zatoki, byliśmy zupełnie bezpieczni. Tu w spokoju zbadaliśmy ładunek napchanej łodzi i stwierdzili, że w istocie były to zapasy żywności: kukurydza, korzenie mandioki tudzież suszone ryby i połacie mięsa wołowego. Ucieszył nas obfity łup, który czynił nas na pewien okres niezależnymi od pomocy reszty szczepu, ale jeszcze bardziej były mi na rękę dwie znalezione barylki prochu i godny mieszek ołowiu.

Warraulowie potwierdzili nasze domniemania. Pochodzili z Kaiiwy, osiedla naczelnego wodza Oronapiego, naszego sojusznika i przyjaciela. Hiszpanie byli u niego kilka dni temu, by ściągnąć haracz, Ponieważ dał im za mało okupu, najeźdźcy podstępnie napadli na ustronną część Kaiiwy i wyłapali wszystkich mężczyzn, jakich zaskoczyć im się udało. Natychmiast po tym gwałcie ruszyli w drogę powrotną, a że byli silnie uzbrojeni, Oronapi, widać, nie odważył się ich ścigać.

Jeńcy wiedzieli, co ich czekało w Angosturze, więc byli nam bardzo wdzięczni za wyswobodzenie. Wydzieliwszy Warraulom zapas żywności na jeden dzień, kazałem im czym prędzej wracać do Kaiiwy na tej samej łodzi, na której ich przywieźli Hiszpanie, a w przyszłości lepiej pilnować swej skóry.

–Broni palnej, odebranej Hiszpanom, wam nie dam – powiedziałem im na pożegnanie – bo nie umiecie jej używać. Weźcie natomiast łuki i maczugi, zdobyte na dwóch Indianach – żebyście mogli sobie co upolować po drodze słuchaj, Wagura, słuchaj! – dodam wam jeszcze cztery łuki ze strzałami.

–Czy myślisz, Janie, żem tego nie odgadł wprzód? – zabawnie napuszył się młody przyjaciel.

–Ho, toś ty, bestio, bardziej chytry, aniżeli przypuszczałem! – parsknąłem z udanym uznaniem.

Tymczasem Warraulowie zbili się w jedną kupę i, namiętnie poruszeni, coś gorąco między sobą szeptali.

–Co oni mają? – zapytałem Aripaja.

Aripaj nie dosłyszał, ale zaraz z grona Warraulów wystąpił silny i młody, o ilem poznawałem w ciemnościach, mężczyzna i przemówił do mnie śmiałym głosem:

–Biały Jaguarze, nazywają mnie Manduka i cenią mnie

za waleczność. Tyś nas uratował od niewoli i hańby. Tu u naszych przyjaciół są Hiszpanie. Hiszpanie na nich napadną tak jak na nas. My tobie winni pomoc. Ja teraz do Kaiiwy wracać nie chcę. Ja tu zostanę i będę walczył. Daj mi broń i rozkazuje, co czynić. Ja z tobą, Biały Jaguarze!

–I ja!... I ja!... – zgłaszali się inni.

Zaskoczony i – przyznam się – radośnie wzruszony taką nieoczekiwaną ochotą, spojrzałem pytająco na Wagurę:

–Czy brać ich?

–A czemużby nie? Brać!

–A z bronią jak będzie? Z łukami, strzałami?

–Znajdzie się dla nich.

–Dobrze! – zwróciłem się do Manduki. – Przyjmuję chętnie waszą pomoc. Ilu was jest?

Było ich jedenastu. Wszyscy palili się do bitki z Hiszpanami i do pomszczenia się na nich za

krzywdę.

–Przyjmuję was – dodałem – ale pod warunkiem, że we wszystkim posłuszni będziecie moim rozkazom. Aripaj będzie je tłumaczył...

Zaraz po wyjeździe reszty Warraulów i my ruszyliśmy w drogę powrotną, z wyjątkiem jednego naszego wojownika, który został w towarzystwie młodego rybaka, aby pilnować łodzi z zapasami.

Powodzenie nocnej wyprawy całkowite, bo nawet przeciwnicy nie dowiedzieli się, kto ich pokonał, wprawiło nas w świetny humor i gdy około północy wróciliśmy do naszych chat, mieliśmy roześmiane oczy. Arnak czekał na nas i natychmiast spostrzegł nasze zadowolenie.

–Przyprowadzamy sojuszników! – pysznił się Wagura. – Jedenastu Warraulów chce bić się!

–Prawda to? – zwrócił się Arnak do mnie.

–Prawda – odrzekłem. – Są na skraju lasu! Zajmij się nimi! Niech przenocują w jakiej chacie ukrytej. O świcie wydaj im broń – zbędne łuki, maczugi, dzidy, kilka noży i niech czekają dalszych rozkazów!.Później, gdy Wagura opowiadał Arnakowi o przebiegu nocnej wyprawy, chłopak zamyślił się, jakby zaniepokojony:

–Porzuciliście tych czterech powiązanych w gąszczu? Czy mają tam zginąć?

–Nie obawiaj się! – zapewniłem go. – Odnajdą ich łatwo Hiszpanie, gdy z

Serimy wrócą na wyspę...

Czuwała i czekała na nas jeszcze druga, poza Arnakiem, oddana dusza – Lasana. Przyniosła ze swej chaty ciepłą strawę z gotowanych owoców palmy buriti i kazała nam jeść. Uroczą istotę Serdecznie przycisnął do siebie.

16. Cztery

Strzały

Spałem przez resztą nocy, ujęty mocnym, zdrowym snem, dopóki ciemno było, ale gdy nazajutrz słońce wzeszło, a ja jeszcze wciąż leżałem pogrążony w uśpieniu, nawiedziły mnie trapiące zmyły. Zaczęły dusić coraz bardziej i dręczyć, jak gdyby przezorna natura ostrzegając mnie nie pozwalała spać w zwodniczym poczuciu bezpieczeństwa. Podnosił się dzień ciężkich rozstrzygnięć i walnej rozprawy z przeciwnikiem, ze srogim przeciwnikiem, jak to zdradziły wypadki ostatniej nocy. W taki dzień komuż by spać spokojnie?

Wszakże nie mary mnie przebudziły, jeno natarczywy, strwożony, znajomy głos:

–Biały Jaguarze! Biały Jaguarze!

Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą Aripaja. Wyraz jego twarzy natychmiast wybił mnie ze snu.

–Aripaj, to ty? – zerwałem się. – Co się stało?

–Źle, panie...

Zrozumiałem, że źle: wczoraj jeszcze odzywał się do mnie poufale, nie byłem dla niego panem.

–Więc co się stało, przyjacielu? Mów, do diabła!

–Zdrada, panie – wyszeptał – zdrada w powietrzu! Uciekłem z Serimy...

–Co? – zaniepokoiłem się nie na żarty. – Czy wytropili, żeś wczorajszej nocy...?

–Nie! To nie! Koneso gotuje nam zdradę!

–Koneso? Niech go piorun trzaśnie! Ale co on zrobił?

–Jeszcze nic, wszakże knuje! Chce nas wydać Hiszpanom!

–Was? Jakich: was?

–Tych wszystkich, którzyśmy zamyślali opuścić Serimę razem z waszym rodem.

Wiesz, po śmierci Kanahola...

–Aa, to i czarownik pewnie tka w to swe palce?

–Nie wiem, panie, tego nie wiem! Broń nas, panie, nie chcemy iść do niewoli

hiszpańskiej...

–Dobrze, Aripaj, zostań tu!... Ilu ludzi Koneso chce poświęcić Hiszpanom, czy wiadomo ci?

–Wielu, Biały Jaguarze! Wszystkich, którzy nie są mu oddani. Słyszałem, że pięć razy dziesięciu, a może i więcej...

–Razem z rodzinami?

–Nie, samych mężczyzn. Hiszpanie kobiet nie chcą.

–Czy ci ludzie już wzięci?

–Jeszcze nie. Wielu z rodzinami wołało zawczasu umknąć i dać nura do puszczy.

Kilka rodzin przybiegło także i tutaj, do ciebie. Moja kobieta i dzieci z nimi... Ale nie wszystkim udało się pierzchnąć! Ci, co zostali, już nie mogą ratować się ucieczką, bo ich otoczyli Hiszpanie z Indianami Czaima i także wielu ludzi Konesa przyłączyło się do tych stróżów. Koneso dotychczas nie wygadał się jasno, przecież wiemy dobrze, co się święci.

–Czy ci ludzie otoczeni wiedzą, co ich czeka u Hiszpanów?

–A już ci, wiedzą.

–To chyba stawiają opór?

Aripaj się zawahał, zasępił jeszcze bardziej.

–Siła na nich! – odrzekł niepewnie. – Pomyśl, panie: Hiszpanów dwunastu z rusznicami przeciw naszym i także przeciw naszym ich wioślarze Czaima i ludzie Konesa... Gdzież im tam opór stawiać.

–Czy wszyscy ludzie Konesa tacy zdrajcy? Żeby własną brać do niewoli hiszpańskiej oddawać?

–Czy wszyscy, tego nie wiadomo, panie! Ale jeśli tym mogą okupić swoją wolność? Każdy patrzy własnej skóry...

Smutne to były słowa, wiało od nich sromota i zwątpieniem. Paskudna przepaść rozwierała się przede mną. Przecież Arawakowie nie byli nikczemni ani tchórzliwi, tego na każdym kroku doświadczałem u ludzi naszego rodu. Serce ich potępiało zdradę, ufać im można było. Jeśli więc

tamci zdolni byli do takiej ohydy, ażeby ciężką krzywdą najbliższych rodaków chcieć okupić własny spokój to niezawodnie jedyną winę ponosiła tu znieprawiona starszyzna. Nędzny i słaby na duchu Koneso, zbrodniczy szaleniec Karapana, Pirokaj, brat Manauriego – tacy ludzie musieli wywierać zły wpływ na swe otoczenie. I tacy ludzie słusznie obawiali się naszego do szczepu przybycia, słusznie! – rozważałem ze wzbierającym gniewem.

Weszli przed chwilą do mej chaty Arnak i Wagura i milczeniem swym potwierdzali słowa Aripaj a: że ludzie Konesa gotowi do zdrady.

–Przecież za rok Hiszpan tu powróci! – uniosłem się – i ich samych zabierze!

Aripaj wzruszył ramionami:

–Na to nie ma rady, panie!

–A jak myślisz, Aripaj? Jeśli nasz ród wystąpi przeciw Hiszpanom, to co będzie?

Indianinowi zaczęły gorzeć oczy:

–Wygrasz, panie! Biały Jaguar niezwalczony!

–Nie o to mi chodzi! – wyjaśniłem. – Co będzie wtedy: czy ludzie, wyznaczeni przez Konesa do niewoli hiszpańskiej, chwycą za broń i stawią opór?

–Stawią opór, panie! Stawią! – skwapliwie przyświadczył Aripaj.

–A wy! – zwróciłem się do młodych przyjaciół. – Co wy myślicie o tym?

–Jeśli wcześniej nie odbiorą im broni, a my ruszymy, to i oni pewnie nie pozostaną w tyle – odrzekł ostrożnie Arnak.

–Tak, jeśli nie odbiorą im broni! – przywtórzył mu Wagura.

–Czy zanosi się na to? – spytałem. – Jakie wieści od Manauriego? Czy goniec przyszedł?

–Właśnie się zjawił. Ledwo go wypuścili z Serimy, wyrwał im się. To, co Aripaj mówi, zgadza się. Trzeba nam szybko działać, Janie.

–Co u Warraulów?

–Dostali broń i siedzą posłusznie w chacie na uboczu. Czekają na twój rozkaz.

–Niech nadal siedzą cicho! A nasi wojownicy – czy gotowi?

–Czekają pod bronią!

Wyszliśmy przed chatę. Stali tam wszyscy. Miny mieli gęste, oczy nieulekłe, usta zacięte, postawę śmiałą. Hufiec uzbrojony jak na wielką wyprawę wojenną, bo nie tylko w muszkiety, pistolety i noże, ale na dodatek w łuki, maczugi i dzidy – waleczny hufiec przedstawiał się okazale. Budził zaufanie, nakazywał szacunek. Miałem zapewne na jego widok zadowoloną minę, bo i wojownicy, zoczywszy mnie, wielce serdecznie powitali. Ale, mój Boże, ilu ich było? Jakaż to nikła garstka!

–To wszyscy? – zapytałem Arnaka.

–Wszyscy – odrzekł chłopak, a zgadując moje zaniepokojenie tłumaczył: –

Pięciu naszych, Murzyni, są na szkunerze...

–Żałuję, że ich wszystkich wysłałem! Dwóch by tam wystarczyło.

–Może przywołać ich z powrotem?

–Ale kogo po nich pošlemy?

–Arasyba.

–Nie, Arasybo tu potrzebny, włada bronią palną...,

–To Aripaja?

–Dobrze, pošlemy Aripaja! Zatem niech Miguel i jeszcze dwóch z nim wraca!

–Manauri jest w Serimie – wyliczał dalej Arnak. – Jeden czuwa nad łodzią z

żywnością u ujścia Itamaki. Dwóch naszych zaraz po przybyciu do Serimy przeszło do rodu Konesa. Na początku było nas razem dwudziestu jeden, bez ciebie. Dziewięciu odliczyć, to pozostanie dwunastu. Masz tu dziesięciu, Wagura jedenasty, ja dwunasty... Czy wysłać gońca do Manauriego?

–Nie. U nas będzie potrzebniejszy.

Dwunastu – diablo szczupła garść! Ze mną trzynastu, a jakież trudne przed nami zadanie! Dwunastu stało przeciw nam Hiszpanów, władczych i zaczepnych, mających pod komendą pięćdziesięciu indiańskich wojowników. Do tego nasz obóz był rozbity, skłócony, cały szczep w rozłamie, brat bratu do gardła skoczył skory – więc jakże tu się obronić tak nieliczną gromadką srogiemu wrogowi?

Kiedy napływały mi te nieucieszne myśli, oburzenie wzbierało we mnie tudzież złość na czarownika i na głównego wodza. Bezecni durnie wojnę mi wypowiadali, ścieżki węzami pokrywali, a kiedy człowieka przyprawili o niemoc długotrwałą, sprawy życia i śmierci całego szczepu, sprawy najważniejsze, poszły w zaniechaniu. Gdzieś na południu ponoć zbiera się akawojska nawałnica, ale wystarczył oto najazd hiszpański, by dosadnie obnażyć kruchość naszej obrony.

–Arnak – odezwałem się. – Ile mamy zapasowej broni ognistej?

–Bez mała trzydzieści strzelb i dwadzieścia pistoletów.

–Jeśli wyjdziemy cało z tej biedy z Hiszpanami co jeszcze na dwoje babka wróży, to trzeba nam natychmiast wyćwiczyć większy oddział wojowników.

–Więcej ludzi w rodzie nie mamy.

–Ale mamy przyjaciół w Serimie! Ściągniemy ich do naszego rodu, nie zważając na grymasy Konesa. A teraz chodźmy tam zobaczyć, czy smok taki groźny...

Zanim poszliśmy, odświeżyłem się kąpielą w rzece, następnie gładko ogoliłem twarz i kazałem sobie przystrzyć włosy, podczas gdy spożywałem śniadanie, po czym wdziałem na siebie wyczyszczony przez Lasanę mundur kapitański. Jużem nie sarkał na grube sukno ani na ciężkie buty: trza było połknąć przykrość dla godnej prezencji. Podobno pysznie wyglądałem. Tak mówili przyjaciele mlaskając językami, a Lasanie aż oczy zwilgotniały z zachwyty.

–Łatwo się unosisz! – skarciłem ją ni to żartem, ni to poważnie.

–Pięknyś, Janie! – uśmiechała się Lasana. – Jeszcześ nigdy tak dumnie i wspaniale nie wyglądał! Oj, biedne te dziewczyny w Serimie!

–To aż tak wyglądam, że – biedne?

–Tak wyglądasz! Przepadną za tobą!

–Ja wolę, żeby Hiszpanie przepadli...

Arnaka, Wagurę, Arasyba, wojownika Kokuja i Lasanę przywołałem do wnętrza chaty, by wydać im ostatnie poufne polecenie:

–U nas żałośnie mało bojowników, a Hiszpanów i ich sprzymierzeńców – siła

pokażna. Musimy zażyć ich podstępem, żeby myśleli, że nas więcej. Broni zapasowej mamy pod dostatkiem. Więc ty, Arasybo, ty, Kokuju, i ty, Lasano, weźmiecie po sześć rusznic albo i

siedem – Lasana weźmie same guldynki, żeby lżej miała – nabijajcie strzelby prochem jeno i każdy z was ustawi się blisko skraju puszczy, otaczającej Serimę. Każde stanie osobno, z dala jedno od drugiego. Na dany przeze mnie znak – jaki to znak to jeszcze omówimy – każde z was wypali szybko sześć, siedem strzałów, jeden po drugim, ze swoich strzelb, ażeby Hiszpanie myśleli, że mam w lesie oddziały zbrojne – po czym szybko ulotnicie się w inne miejsce na skraju puszczy, nabijecie strzelby i znowu czekać będziecie na mój rozkaz. Za drugim razem nabijecie broń ostro, kulami...

–A my? – wtrącił się Wagura. – Arnak i ja co zrobimy?

–Wy ze wszystkimi wojownikami pójdziecie do Serimy jako mój orszak...

Ustaliwszy szczegóły i znaki porozumiewawcze ruszyliśmy ku rozstrzygającym wypadkom. Było duszno. Niebo zakrywała opalowa para rażącej białości. Słońce nie przebijało jej, za to z tej mglistej kopuły nad nami nieznośny żar buchał na ziemię niby z rozpalonego pieca. Wchodząc do owego lasu, który oddzielał naszą polanę od Serimy, rzuciłem spojrzenia nazad, ku chatom. W ostatnich tygodniach stały mi się bliskie niby kruszyna ojczyzny. Ich pokoju i szczęścia zburzyć nie pozwolę nienawistnym wdziercom.

Przeszedłszy przez lasek wyznaczyłem na brzegu zarośli stanowisko Lasany, towarzyszącej nam do tego miejsca wraz z Arasybem i Kokujem. Oni mieli zacząć się tak samo na skraju puszczy, tylko Arasybo o pięćset kroków dalej, a Ko-kuj o tysiąc kroków – tak aby łańcuch ich trojga otaczał niemal półkolem Serimę.

Podziwiałem spokój i zimną krew Lasany. Waleczna niewiasta była opanowana niczym doświadczony wojownik. Z oczu jej wyczytałem, jak bezmierną ufność pokładała we mnie. Na pożegnanie chwyciłem ją lewą ręką za włosy w tyle głowy i umownym dla nas dwojga sposobem silnie ją potrząsnąłem.

–Nie zawiodę ciebie, Czarowna Palmo! – uśmiechnąłem się.

–Wiem – odrzekła bez uśmiechu, poważnie.

Czy nie przyrzekałem za wiele?

Bo w Serimie działy się niedobre rzeczy, widzieliśmy to wszyscy z daleka. Hiszpanie i ich indiańscy wioślarze, z bronią w ręku, dziko uganiaли się wśród chat. Okrzyki mężczyzn, płacz dzieci, skargi kobiet mieszały się z szorstkimi rozkazami, które stamtąd wyraźnie do nas docierały. Wśród rozgardiaszu niesposób było zrazu rozeznąć, po kie lichu ta żywa krzątania, i dopiero nieco później, po przebyciu połowy drogi do głównego majdanu, przejrzelśmy źródło zgielku i zamętu. Najeźdźcy wylapywali niektórych ludzi z szałasów i zapędzali ich na środkowy plac Serimy. Tym gwałtom przyglądała się większość Arawaków z opuszczonymi rękoma, nic nie czyniąc w obronie porywanych.

–Taniec jakoby się już zaczął – Z gorzkim uśmiechem obejrzałem się na wojowników. –

Przyjaciele! Kto zapachu prochu nie lubi, niech w czas wycofa się do lasku i pomoże Lasanie! Nuże! Tu będzie gorąco!

–Biały Jaguar żartuje z nas sobie! – nieco dotknięty burknął Arnak.

–My gorąco wytrzymamy! – ktoś ostro zawołał w drużynie.

–Praliśmy Hiszpanów dwa razy, czemużby nie prać trzeci raz? – dodał inny junak. – Rozkazuj tylko, Janie!

–Jak gdybym kij w mrowisko wetknął, takie to wszystko u was zadziorne i harde!

–rad oddałem im sprawiedliwość. – Jeno pamiętajcie: zachować spokój i mieć oko otwarte na wszystko, a patrzeć też na mnie, co ja robię!...

Skoro tylko nas ujrzano w Serimie, wrzaski szybko ucichły i ludzie znieruchomieli. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w naszą stronę. Nawet Hiszpanie zastygli w ruchu i milknąc wybałuszili na nas ślepia. W zbiorowym napięciu, jakie nagle zawisło nad osiedlem, wyczuwało się podniecenie kilkuset ludzi, oczekujących nowych, niezwykłych wypadków.

Nie zwracając uwagi na ich zdziwienie, postępowaliśmy dalej powolnym, niedbałym krokiem. Pod rozległym toldo, dachem bez ścian, pod którym kilka tygodni temu Koneso witał nasze przybycie do Serimy, stała obecnie starszyzna szczepu i także dowódca hiszpański – więc udaliśmy się w tę stronę.

Wagura na czele dziewięciu wojowników zatrzymał się na kilkadziesiąt kroków od tolda, mając na oku zarówno grupę starszyzny jak i cały majdan aż do samego brzegu rzeki. Tymczasem Arnak i jeden wojownik trzymali się tuż za moimi plecami, aby osłaniać mnie w razie niespodzianego z tyłu ataku.

Gdy zbliżyłem się do tolda na odległość strzału z łuku, dowódca Hiszpanów wyszedł mi naprzeciw i zamasyście się ukloniwszy zawołał z daleka uprzejmym głosem:

–Pozwól, zacny *caballero*, że powitam z należnym podziwem gościa, który nie lękał się przybyć do tej pustelnej krainy, a którego skroń opromienia blask sławy całkiem niezwykłej i... niepokojącej!

Tak niespodzianie grzeczne słowa, wypowiedziane ciepłym tonem, zaskoczyły mnie do tego stopnia, że na chwilą osłupiał. Zaraz jednakowoż zgarnawszy się, uchyliłem kapelusza równie uprzejmie jak on i odpowiedziałem:

–Składam waszmości ukłon pełen uszanowania i sprawia mi przyjemność, że w tej dzikiej puszczy mam zaszczyt spotkania tak układnego męża. Pozwól mi jednak, jeśli laska, na twe ujmujące słowa zauważyć, że do tego kraju nie przybył

z własnej woli i takó¿ nie z mej woli dostała mi się sława, jak waszmość mówi, niepokojąca.

Wypowiedziałem to po hiszpańsku nie tak gładko, jakbym chciał, ale don Esteban doskonale mnie zrozumiał, bo żywo odparł:

–Znam waści doświadczenia i przygody i wiem, że nie twoja to wina, iż dwukrotnie ścieżki wasze i Hiszpanów zeszyły się w niedogodnych warunkach, a przy tym przytrafiły się smutne wypadki, nie zawsze przyjęte wśród ludzi dobrej

konduity. Dokładnie zdał mi sprawę Pedro...

Prawiąc takie grzeczności podeszliśmy do siebie i uściskali sobie dłonie. Hiszpan miał chyba lat trzydzieści pięć. Cała twarz jego kraśniała przychylnością, a szczególnie usta pełne były szerokiego uśmiechu. Ale gdym z bliska spojrział na jego oblicze, zdumiałem się bardzo: zimne oczy nie brały udziału w życzliwości rozlanej na wesółych ustach. Jakoby do innego człowieka należąc, spojrzenie jego miało przedziwny chłód w sobie, raziło osobliwym wyrazem jakowejś srogości, oczy wyrażały całkiem coś innego niżeli usta, ale które z nich wyrażało prawdziwe uczucie?

A¿ lęk mnie ogarnął, że w pierwszej chwili tak lekkomyślnie skłonny był zaufać pięknym pozorom biorąc się na lep roześmianych ust i uprzejmych słów.

Czy¿by wilk w owczej skórze? – pomyślałem – a jeśli wilk, to jawnie wylaziła mu natura z oczu, kiepsko ukrywana.

–Na honor, oczekiwałem waszmości jak oblubienica obubieńca – uśmiechał się dalej Hiszpan ujmując mnie przyjaźnie pod ramię – bo mi potrzeba waćpana pomocy, a bez niej sprawy nijak nie ruszę z miejsca... Koneso to nieuczciwy łajdak i obrzydliwy krętacz, to parszywy pies! Don Juan, czy mi pan to przyznać raczy?

–Całkowicie.

–Zaraz wiedziałem, że z waszmością dojdziemy do ładu.

–Do ładu, senior, i do zgody ja zawsze skory. Ale jaki ład masz wasza miłość na myśli? – zapytałem z niewinną miną, wszakże nieznacznie podnosząc brwi.

–Koneso i jego ludzie nie poczuwają się do obowiązku, jaki przyjęli na siebie.

Chcą sianem się wykręcić, matacze! Nie dość, że nie myślą wypłacić się z zaciągniętych ongiś długów, ale nadto, pogrążeni w ciemnocie, nie widzą wielkich korzyści, jakie tym dzikusom przysporzyć pragniemy i, niewdzięczni, opór jeszcze stawiają.

–Czyż to być może? Nie chcą własnej korzyści?

–Nie inaczej. Szczep musi dostarczyć pięćdziesięciu młodych ludzi, którym

zamierzamy w Angosturze pokazać, co to owocna praca na roli, i wykierować ich na dzielnych rolników. Po dwóch latach wrócą tu i lepiej pracując dla siebie i szczepu, przyniosą wszystkim dostatku, szczęścia.

Jakże pięknie to brzmiało w ustach Hiszpana, a jakże inaczej wyglądało w istocie! Wiedzieli dobrze Indianie, co to owocna praca na hiszpańskich hacjendach, i co sądzić o tych dwóch latach i nie dali się zwieść.

–Aż pięćdziesięciu młodych ludzi wam dostarczyć? – zagwizdałem ze zdziwienia. – Toż to, gdy z Angostury wrócą, uczynią Arawaków najwzorowszym i najszczęśliwszym w Wenezueli szczepem!

Hiszpan uważnym wzrokiem starał się przeniknąć moją twarz, ale nie dostrzegłszy w niej nic niepokojącego, uśmiechnął się – oczyma. Po raz pierwszy jego źrenice nabrały życia, aż dziw. Tylko że był to niesamowity uśmiech oczu, po trosze wyniosły, po trosze szydzący i pogardliwy. Don Esteban, widać, nie wyczuł mej ironii.

–Prawda to, panie kawalerze, co mówisz – przyznał mi nieco z góry, jak czasem

mówi się do ubogiego duchem pocziwca – ale to tylko częściowa prawda. Arawakowie, i owszem, będą wzorowym i szczęśliwym szczepem po powrocie tych pięćdziesięciu, przecież w Wenezueli mamy inne szczepy jeszcze szczęśliwsze, które już doznały błogosławieństwa naszej cywilizacji.

–O, jakie w istocie szczęśliwe są te szczepy! – krzyknąłem.

Hiszpan stropił się, bom krzyknął o wiele za gromko, jak na powinny podziw się godziło. Podejrzanе słowa me i wyraz twarzy przypisywał temu, że jako cudzoziemiec, wysławiałem cudacznie, a hiszpańskim językiem kiepsko władałem.

Zataczając ręką krąg dokoła siebie don Esteban powiedział:

–Wiem, że waszmość na krótki przybyłeś tu pobyt i wiem także, że mimo to

wielkie masz u Arawaków zachowanie. Nie u wszystkich, aleś ponoć przywiódł tu szereg ludzi i jesteś nad nimi wozdem. Koneso podsuwał mi, ażebym to twoich Indian i Murzynów wziął do Angostury, ale tego nie chcę robić, bo oni dopiero co tu przybyli i żadnego długu u mnie nie mają, jak to ma Koneso. Więc teraz Koneso, kiedy musi mi dać ludzi, kręci, że niby ludzi nie ma, że ci, których chciał mi wydać, uciekli do lasu. Wiem, że część uciekła, ale wielu jeszcze zostało. Przeto proszę waszmości, abyś przekonał nieufnych, by należycie zrozumieli swój interes i nie wzbraniali się pójść do Angostury. A jeśli Koneso nie dostarczy mi pełnej pięćdziesiątki, powiedz mu od siebie, że pasy z niego zedrę.

–A ci ludzie, cóż to za jedni? – zapytałem wskazując na ową grupę Indian,

stojących niedaleko od nas na majdanie jako jeńcy, pod silną strażą wioślarzy Czaima. – Na co oni czekają?

–Oni pójdą z nami. Ale ich tylko dwudziestu trzech, a potrzeba mi pięćdziesięciu.

–Wyglądają jakoś na markotnych.

–Bo głupi! Nie wiedzą, co ich czeka tam...

–A może – zbyt dobrze... wiedzą?!

Wypowiedziałem to powoli, niby obojętnie, jednak don Esteban utkwil we mnie ostry wzrok, już znowu baczny i niewymownie chłodny. Przystąpił do mnie zupełnie blisko. Miał czarne, krzaczaste brwi i długie, ciemne rzęsy, natomiast tęczówki nie czarne, lecz szare jak olów, co właśnie oczom jego nadawało ów twardy, żelazny wyraz. Teraz już nawet usta jego oziębły i ścięły się wyraźną surowością.

–Panie kawalerze! – rzekł z naciskiem, tak blisko mnie, żem czuł na twarzy jego

oddech. – Panie kawalerze, mam nadzieję, że chyba asan dobrze słyszał i ocenił znaczenie tego, co mu przed chwilą oświadczyłem.

–Niezupełnie sobie uświadamiam co to było. Proszę mi przypomnieć!

–Zapewniłem waszmość, że jego ludzi oszczędzać będę i nie tknę ich.

–Ach, tak, dziękuję za łaskę, don Esteban.

–Lecz czyniłem to w tym przekonaniu, że we własnym interesie waszeć pomożesz mi ściągnąć tych pięćdziesięciu.

–A jeśli i ja, tak samo jak Arawakowie, nie zrozumieć swego interesu, to czy ciężki popełnię grzech?

–Teraz ja nie rozumiem waszeci! Mów jaśniej!

–Jeśli nie pomogę waszmości?

Don Esteban zmrużył oczy, jakby mierzył do mnie z niewidzialnej rusznicy:

–Nie myśl, acan, żem nie widział wprzódki twoich podrwinek! A teraz jawnie kpisz.

Ale kpiny na bok! Jeśli nie uczynisz tego, o co cię proszę, to może się zdarzyć, że przypomnę sobie, co mi radził Koneso względem twoich ludzi.

–Więc już groźbę słyszę?

–Jak chcesz, acan: choćby groźbę!

Przybierając pozory okrutnie przerażonego pokiwałem głową w lewo i w prawo i... parsknąłem głośnym śmiechem:

–Niech waszmość raczy mi wybaczyć brak okrziesania, ale przyszła mi na myśl zabawna możliwość: a nuż ludzie moi uciekną do puszczy, jak ci inni, i co wtedy?

–A czy ciebie tu nie mam na zakładnika?

–A skoro i ja ucieknę?

–Nie dasz waść rady: mam chyżych ludzi i wyśmienitych strzelców.

–Czy pozwolisz mi, senior, zwrócić waszeci uwagę na to, że i moi ludzie mają strzelby?

Don Esteban wzruszył lekceważąco ramionami:

–Pah, Indianie – lichymi strzelcami!

–Może nie wszyscy?

Staliśmy wciąż – aż nazbyt długo! – na tym samym miejscu, na którym podaliśmy sobie dłonie, o kilkanaście kroków od głównego tolda. Pod owym rozłożystym dachem siedział na stołku Koneso czekając na nas, obok niego stał Manauri jako tłumacz, tudzież wodzowie: Pirokaj i Fujudi, a zaraz za nimi kilku znaczniejszych Indian, uzbrojonych. Był tam także Pedro. Nigdzie natomiast nie widziałem czarownika Karapany.

–Zanim waszmości odpowiem – zwróciłem się do Hiszpana nabierając znów godnej powagi – zanim rzeknę ostateczne słowo co do stanowiska, jakie zajmę wobec jego życzenia, pozwól mi wpierw porozmawiać z ludźmi, którzy pójdą do Angostury, i rozpatrzyć się w sytuacji.

Don Esteban na chwilę się zawahał, ale widząc mój uśmieszek i nie chcąc uchodzić za tchórza skwapliwie się zgodził:

–Ależ proszę bardzo!...

Przywołałem do siebie Manauriego i zażądałem, by mi szeptem zdał krótkie sprawozdanie, co tu się działo w ostatniej godzinie. Wódz w całej pełni potwierdził to, com już wiedział od

Aripaja i don Estebana. Gdy skończył, jeszcze się upewnił:

–Tych dwudziestu trzech, trzymany pod strażą, czy to naprawdę wszystko nasi zwolennicy, których Koneso chciał się pozbyć mając na nich chrapkę?

–Wszyscy jak jeden mąż.

–Żadnego swojego Koneso nie dał?

–Żadnego.

–Takie dranisko!... A tych sześciu drabów, stojących pod bronią za plecami

Pirokaja i Fujudiego – to kto?

–Drużyna głównego wodza. Trzech tam synów Konesa, jeden mój bratanek, syn

Pirokaja, dwóch braci Fujudiego – wszystko najbliżsi.

–Trzeba na nich zważać, żeby nie wypuścili podstępnej strzały. Teraz, Manauri,

idź do Wagury po swój muszkiet i resztę broni i zaraz mi wracaj! Muszkiet nabity siekańcami. Pójdziemy razem do jeńców...

–Czy don Esteban pozwoli?

–Już pozwolił.

–A to głupi!

–Nie głupi: dufny w siebie i swe znaczenie.

–Czy będzie walka, Janie?

–Jeszcze nie wiem. Może da się zażegnać...

Gdy Manauri wrócił, poszliśmy, jak zapowiedziałem, do grupy owych dwudziestu trzech nieboraków. Stali w pośrodku majdanu, zbici w żalostną, bezbronną kupę, strzeżeni ze wszystkich stron przez Indian Czaima. Owi Czaima mieli postawę wojowniczą, byli to waleczni Karaibowie, żyjący na llanosach na północ od Orinoka. Każdy nosił na piersi mosiężny krzyżyk zamiast zwykłych talizmanów; byli to więc rzeczywiście chrześcijanie.

Jeńcy, zauważywszy, że do nich idę, zaczęli podnosić głowy i spoglądać żywiej, jak gdyby budząc się z odrętwienia. Ta i owa para oczu zapalała się promyczkiem nadziei.

–Czy chętnie idziecie z Hiszpanami? – zapytałem ich.

Pytanie brzmiało niemal jak obelga lub szyderstwo: wszyscy odpowiedzieli gwałtownym zaprzeczeniem.

–Jeśli tak, to czemuż nie uciekaliście, czemu nie broniliście się?

Jeden ze starszych jeńców, mający około lat trzydziestu, odparł:

–Nie można było, panie, tak nagle nas napadli. Innym się powiodło, nam nie.

–Chciałbym was ratować! Jeśli zacznę z Hiszpanami walkę, to czy pomożecie nam?

Teraz całkiem się rozruszali, opadło z nich przygnębienie. Niektórzy strażnicy Czaima, zaniepokojeni, podeszli bliżej do nas, niedwuznacznie swoją broń przysposabiając.

Jednocześnie szepnął do mnie Arnak, że od głównego tolda zbliża się syn Konesa.

–Wysłano go do nas na przeszeptegi! – zauważyłem. – Lepiej że nie wiedzą, o czym tu rozmawiamy. Skocz mu, Arnak, naprzeciw i z mego rozkazu koniecznie zawróć go z drogi

–A jak nie usłucha?

–Twoja w tym głowa, żeby usłuchał! Do rozlewu krwi jeszcze nie doprowadzaj, rzecz prosta!

–Zbliża się także jakiś Hiszpan! Wysłał go don Esteban.

–Ten nie zrozumie nic po arawasku...

Zwróciłem się znowu do jeńców.

–Jeśli dojdzie do walki – rzekł mój rozmówca – to chcemy pomóc, a jakże!

Tylko nie wiemy, jak to zrobić.

–Uderzyć zniecka na waszych strażników!

–Z gołymi rękoma?

–Będzie wielkie zamieszanie. Ludzie Wagury podrzucą wam nieco maczug i

włóczy, ale głównie liczcie na siebie i na zaskoczenie! Pomożemy wam też, oczywiście, naszymi strzelbami.

–Dobrze, panie, zrobimy tak!

–Teraz wybierzcie spośród siebie dwóch albo trzech ludzi, których zawezwie się za chwilę na naradę do głównego tolda.

–Dobrze, panie!

–Jeszcze jedno: jeśli uwolnimy was od Hiszpanów, to co zrobicie? Czy pozostaniecie w Serimie?

–Nigdy! Za nic! – rozległy się zewsząd zapalczywe głosy. – Przecież Koneso sprzedał nas! Zdradził nas! My nie chcemy z nim pozostać!

–Czy pójdziecie z naszym rodem?

–Gdzie każesz, panie!...

Arnak nie dopuścił do nas syna Konesa i kłócił się z nim w połowie drogi, a teraz już nie było potrzeba: wracaliśmy do tolda. Lecz zanim tam dotarliśmy, na majdanie wszczęła się nowa awantura.

Kilku hiszpańskich żołnierzy przywałęsało się do grupy Wagury i jęło pokpiwać sobie z naszych wojowników. Ci Arawakowie znali język hiszpański, wiadomo, jeszcze z okresu niedawnej niewoli, ale nie odpowiadając na zaczepki, trwali w przykładowej obojętności. Żołdacy za główny cel urągania upatrzyli sobie rusznice, jakie nasi mieli przy sobie, i naśmiewając się wyrażali wątpliwości, czy pukawki w ogóle nabite. A najbardziej rozzuchwalony Hiszpan postanowił wyrwać muszkiet z rąk Wagury, by przekonać się, czy panewka podsypana prochem, i chwycił oburącz za lufę. Wagura nie dał sobie wydrzeć strzelby. Doszło do szarpaniny.

Widząc, że stąd snadnie mogła przedwcześnie wybuchnąć strzelanina, krzyknąłem z daleka do Wagury, by puścił muszkiet. Chłopak natychmiast usłuchał. Na miejsce burdy równocześnie ze mną przybył zaciekawiony don Esteban.

Czupurny żołnierz wśród śmiechów odwiódł kurek i przesadnie się zdumiał ujrzawszy proch na panewce. Z kpiarską gorliwością podtykał strzelbę innym Hiszpanom, także don Estebanowi, by podziwiali proch.

–*Que miraculo!* Jaki cud! – wołał. – *Escopeta* - fuzja w istocie nabita!

Błaznujący cymbał nie zauważył, że Wagura, ze złowróbną zmarszczką na czole, powoli wziął luk do lewej garści, nałożył strzałę, napiął cięciwę i broń trzymał zwróconą ostrzem w kierunku puszącego się zawadiaki. Nieznacznie przystąpiłem do chłopaka i groźną miną ostrzegłem go, by dał pokój. Po czym kazałem żołnierzowi zwrócić muszkiet. Warchoł nie miał

do tego wielkiej ochoty, ale don Esteban dał rozkaz i tamtemu rura zmięła.

–Jakoś szacunku zbytniego do naszych strzelców nie macie! – rozweselony rzekłem do don Estebana.

–Na honor, nie! – zaśmiał się Hiszpan, ale oczy miał nieruchome.

–Może waszmościom jakoś udowodnić sprawność moich Indian?

–Jeno jak? Szkoda zresztą czasu! – don Esteban machnął ręką.

Rozglądając się po majdanie spostrzegliśmy jakie pięćdziesiąt kroków od nas kilka tykw, owoców wewnątrz pustych wielkości głowy ludzkiej, pozawieszanych na poziomej lianie. Widocznie wystawiono je tam dla wysuszenia na powietrzu.

–Może kazać do nich strzelać? – wskazałem na tykwy.

–To cel za mały! – ocenił Hiszpan. – Chybią!

–A może nie chybią?

–To niech spróbuje najlepszy strzelec, zobaczymy! – don Esteban nie ukrywał swego rozbawienia.

–Nie najlepszy – odrzekłem – lecz jakikolwiek. – I nie jeden, lecz trzech! Niech waszmość sam wyznaczy trzech moich Indian do strzelania!

Don Esteban wybrał ich, z góry święcie przekonany, że i oni, i ja mocno się ośmieszymy. Dwóch było strzelców niezawodnych, co do trzeciego miałem niejaki wątpliwości.

–Wybierz największą tykwę! – szepnąłem do niego, ale on, jakby urażony zbędną radą, spojrział na mnie z wyrzutem.

Stałem wraz z don Estebanem nieco z ubocza, podczas gdy Wagura udzielał swoim ludziom ostatnich wskazówek. Czynił to sprawnie. Mimo to hiszpańscy żołnierze kpili sobie z jego młodego wieku, czyniąc przytyki do niemowlęcia, które, zamiast pić mleko, sięga durną rączką po proch.

–Czy możemy strzelać? – zapytał mnie Wagura.

–Czy waszmość rozkaże? – zwróciłem się z wyszukaną grzecznością do don Estebana.

–Nuże, trzy dziury w powietrze! – Hiszpan klasnął w dłonie.

Trzej strzelcy stali jeden obok drugiego, kolby muszkietów opierając na ziemi. Na dany im przez Wagurę znak pierwszy podniósł broń, przyłożył, krótko celował, wypalił, po czym zaraz po kolei drugi i trzeci wykonali to samo. Tykwa pierwsza rozprysła się w kawałki, z drugiej rozbitej pozostał jeno ułamek, trzecia znikła całkowicie tak samo jak pierwsza.

Kamień spadł mi z serca.

Po daniu ognia Indianie zachowali cały swój spokój i tylko natychmiast zabrali się do nabijania rusznic nie zważając na wrzawę, jaką Hiszpanie podnieśli po chwili pierwszego osłupienia. Zdumienie, niedowierzanie, oszłomienie, ba, przestrach odmalowały się na ich brodatych gębach. Drużyna nasza stała nadal niewzruszona, jakby ją nic dookoła nie obchodziło. Jedynie Wagura wesóło błysnął oczami i urągliwy uśmiezek posłał w stronę Hiszpanów. Don Esteban zamilkł, wyraźnie przejęty. Unikał naszego wzroku, jak gdyby chciał ukryć przede mną to, co działo się w jego wnętrzu.

–Dotychczasowe zwycięstwa nasze nad Hiszpanami – uprzejmie, ale z naciskiem wyjaśniłem mu – zawdzięczaliśmy temu, że wrogowie nasi lekce sobie nas wazyli.

Krótkie, ostre spojrzenie don Estebana pouczyło mnie, iż należycie zrozumiał moje słowa.

–A może to przypadek był? – ożywił się myśląc o trzech strzałach.

Jakiś kundel niewielki, niemący, pewnie wylękniony echem strzałów, wypadł z najbliższej chaty na majdan i zamierzał przebiec niedaleko naszej grupy. Gdy go Wagura ujrział, wyskoczył nieco naprzód, zmierzył się i wystrzelił. Nie miałem już czasu powstrzymać narwańca. Pomimo że pies, oddalony o przeszło czterdzieści kroków, był w słusznym biegu, padł jak ścięty i po kilku drgawkach legł nieżywy.

Najbliższy żołnierz hiszpański podbiegł do niego i trącił go nogą.

–W samą komorę dostał! – zawołał spozierając na nas oczyma pełnymi struchlałego podziwu.

Don Esteban porywczym ruchem gładził sobie włosy na brodzie. Zmarkotniał, lica jakoby mu zwiędły nagle. Starał się przywołać na usta uśmiech, z trudem się przebijający.

–Ilu wasza mość masz takich ludzi? – lypnął ku mnie zimnym okiem.

–Niestety, niewielu, niewielu! – odparłem z ubolewaniem. – Mam tych tutaj,

których widzimy, i mam kilka oddziałów, znajdujących się w tej chwili niedaleko w puszczy.

–Oddziałów w puszczy? Co tam robią?

–Odbywają ćwiczenia, czekają na moje rozkazy.

Znowu osobliwie na mnie spojrział.

17. „Don Juan, jesteś szatan”

Gdy powoli ściągałiśmy ku głównemu toldu, gdzie wciąż siedział Koneso w towarzystwie swego pocztu, odwróciłem się do Arnaka i bąknąłem do niego, żeby pchnął posłańca do Lasany, Arasyba i Kokuja: niech niezwłocznie działają, jak się umówiliśmy.

W toldzie don Esteban i ja zasiedliśmy obok naczelnego wodza na dwóch przygotowanych stolkach.

–A Manauri gdzie ma siedzieć? – zgromiłem Konesa. – Każ przynieść stółek!

Naczelny wódz nie sprzeciwił się, posłał człowieka do swej chaty. Czekaliśmy na jego powrót w milczeniu i siedzieli w trójkę, z twarzami do siebie zwróconymi, każdy mając poza plecami swój uzbrojony orszak. Za don Estebanem stał ów sierżant, który onegdaj szukał u nas daremnie żaglowca, oraz naczelnik Indian Czaima.

Oblicza mieliśmy pozornie opanowane, oczy spokojne, ale śledziliśmy siebie uważnie, a wszyscyśmy doskonale odczuwali brzemię ciężące na nas. Dolna warga Konesa, pełna i zmysłowa, teraz wisiała niczym zwiotczały flak, smętny obraz przytępienia naczelnego wodza. Miał Koneso złe sumienie i nie wiedział, co jeszcze na niego spadnie. Don Esteban, przeciwnie, był nad wyraz czujny, ale i niespokojny, wyglądający układow z ledwie ukrywanym podnieceniem. W tym stanie człowiek był szczególnie niebezpieczny, bo pochopny do wzburzenia umysłu i gwałtownych czynów. Uprzytamniałem sobie, że wypadki potoczyły się tak daleko, iż nie było już innego wyjścia, jak odnieść stanowcze zwycięstwo lub wydać śmiertelną walkę. Gdy stółek przyniesiono i Manauri na nim zasiadł, zwróciłem się do niego tak głośno, żeby wszyscy słyszeli:

–Ty, Manauri, możliwie dokładnie przetłumaczysz don Estebanowi każde słowo, które tu będziemy mówili teraz po arawasku, a wy – spojrzalem na Konesa i jego ludzi – odpowiadajcie mi jasno i uczciwie, jeśli chcecie odwrócić nieszczęście od szczepu!

Tamci milczeli ponuro. Za zgodą don Estebana kazałem przywołać trzech przedstawicieli grupy jeńców, ażeby i oni wzięli udział w naradzie. Gdy przybyli, stanęli za mną obok Arnaka unikając ludzi Konesa.

–Jeszcześmy nie wszyscy razem – zawołałem. – Koneso! Zwołaj, proszę, mieszkańców tych najbliższych chat, niech i oni tu będą.

–Czy to konieczne? – naczelny wódz podniósł na mnie podejrzliwy wzrok. –

Tam same baby i dzieci!

–Niech przyjdą baby i dzieci! Zapewniam im zupełne bezpieczeństwo!

Koneso, lubo niechętnie, wydał polecenie i wnet mieszkańcy zaczęli się złączyć z niemalą bojaźnią. Obok kobiet wzięło na odwagę także kilku mężczyzn. Gdy zgromadziła się ich pokaźna kupa, nakazałem ciszę i podniesionym głosem, nie ukrywając gniewu przystąpiłem do natarcia.

–Gdzie Karapana, morderca młodego Kanahola? – rzuciłem wszystkim pytanie. – Czemu jego tutaj nie ma?

Milczenie.

–Mówcie! – nalegałem. – On przecież czarownik!

–Poszedł do puszczy – odburknął Fujudi – ponoć obrzędy odprawiać.

–Co? – oburzyłem się. – Obrzędy odprawiać teraz, kiedy tu w Serimie ważą się losy szczepu? Taki on dbały o waszą dolę? Tchórza macie, nie czarownika.

Ludzie słuchali z przerażeniem, oniemiaли. Karapana był wciąż groźną potęgą. Koneso obok mnie sapał, dusząc w sobie wściekłość i rzucając na mnie wrogie spojrzenia.

–Chcę wam pomóc – mówiłem dalej do starszyny arawaskiej – i pomogę, ale żądam wyjawienia prawdy! Tych dwudziestu trzech ludzi, przeznaczonych dla Hiszpanów, skąd się bierze? Z jakich rodów?

–Ze wszystkich – mruknął Koneso – prócz twojego!

–Ach, tak. A dlaczegoście nie dostarczyli pięćdziesięciu, jak żądał tego don Esteban?

–Inni uciekli do puszczy.

–Jak to inni? Przecież wielu młodych mężczyzn pozostało dotychczas w chatach Serimy i można ich jeszcze wziąć!

–Ci nie są przeznaczeni, tylko tamci.

–Czy tamci gorsi?

Oczy Konesa zaświeciły się gniewną przekorą, gdy odrzekł:

–A tak, gorsi.

–Mówcie szczerze: to chcecie ich się pozbyć, poświęcić ich Hiszpanom? Usunąć ich ze swych rodów?

–Tak jest, usunąć ich z rodów – wmieszał się buńczucznie Pirokaj – ale tylko na dwa lata!

–A ci, co uciekli do puszczy także są usunięci z waszych rodów?

–A już ci, tak samo. Przeznaczamy ich dla Hiszpanów.

–To świetnie! – zawołałem mocnym głosem. – Jeśli więc wy zrzekacie się

władzy nad tymi dwudziestoma trzema i tamtymi w puszczy, to ja ją przejmuję nad nimi i wciągam ich do naszego rodu na te dwa lata. Czy zgadzacie się? – to pytanie skierowałem do trzech jeńców.

–Zgadzą się! – z radością odpowiedział najstarszy. – Chcemy być przy tobie!... Dziękujemy ci, Biały Jaguarze!

Manauri miał tłumaczyć moje słowa na język hiszpański dla don Estebana, ale zauważyłem, że mozolnie mu to szło, a ostatnich słów już zupełnie przekładać zaniechał.

–Jak tylko was uwolnię – mówiłem dalej do jeńców – zawiadomicie tych

wszystkich w puszczy, ażeby niezwłocznie z rodzinami i z dobytkiem przesiedlili się z Serimy do naszego osiedla...

–Zakazuję... – parsknął Koneso, a Pirokaj i Fujudi zawtórowali: – To nie może być!

–Czyście zwariowali? Przed chwilą sami oznajmiliście, że nie chcecie tych ludzi,

że usuwacie ich z rodów. Czy jak chłystki już wypieracie się własnych słów, ledwo wypowiedzianych?

–Zakazuję! – dyszał Koneso ze złości.

Wtedy zwróciłem się do niego pełną twarzą, całą w ognjach oburzenia i ze złowieszczym spokojem, trzymając się w korbach, zacząłem cedzić potężnym głosem każde słowo:

–Milcz, nędzniku! Jeśliś niezdolny obronić własnych ludzi od niewoli, to

przynajmniej nie warchol! Czy wiesz, jak ciebie nazwał don Esteban? Parszywym psem, nieuczciwym lajdakiem i obrzydliwym krętaczem! I tak nazwać ciebie każdy uczciwy człowiek ma teraz prawo! Cóż to za główny wódz, który dobrowolnie, bez walki, ludzi swoich oddaje do ciężkiej niewoli, na pewną zgubę? I jakież ty naczelny wódz, jeśliś tak niesprawiedliwy, że tylko niektórym złośliwie gotujesz zgubę, a innych oszczędzasz?

–To nieprawda! – prychnął Koneso.

–Czymże gorsi oni, których poświęcasz? Czy tylko dlatego gorsi, że nie chcieli żyć pod czarownikiem-mordercą? To ich cała wina?

Koneso, tak piorunowany, nie mógł odeprzeć ciężkich zarzutów i miał minę bitego po łbie złoczyńcy.

–Czemu – wyrzucąłem dalej – nie. oddajesz do niewoli twoich trzech synów tam stojących, dlaczego zostawiasz w spokoju syna Pirokaja albo dwóch braci Fujudiego – czy oni lepsi? Oni nie lepsi niż tamci, tylkoś ty, nikczemny wodzu,

„parszywym psem” ...

Wtem słowa me przerwał huk wystrzału w niedalekim lasku. Groźnym echem rozniósł się po całym osiedlu serimskim. Wszyscy gwałtownie podnieśli głowy, nadstawili ucha. Nie upłynęło wiele chwil, gdy już zagrmociał tam drugi strzał, a po chwili trzeci, a potem czwarty, i jeszcze strzał, i jeszcze. Trudno było się doliczyć, ile ich padło.

–Co to?! – zawołał osłupiały don Esteban, który przy pierwszych odgłosach zerwał się z miejsca.

–To nic. Jeden z moich oddziałów odbywa w puszczy ćwiczenia! – wyjaśniłem mu po hiszpańsku. – Racz waszmość nie turbować się tymi wystrzałami, to swoi ludzie.

Hiszpan badawczo spojrzął na majdan i ujrzawszy drużynę Wagury stojącą na starym miejscu, zdziwił się niezmiernie.

–Ależ oddział stoi tu przecież.

–Ten stoi! – odrzekłem. – Tam w lesie jest inny...

Następnie podjąłem przerwana rozmowę ze starszyzną:

–Naczelny wódz zawiódł i nie chce bronić swych ludzi. Wobec tego ja podejmuję się ich obrony i zapewniam was, że tych dwudziestu trzech nie pójdzie z Hiszpanami. Co więcej, przyrzekam wam, że nikogo innego nie oddamy z Serimy bez walki. A mam niezłomną wolę i mam dostateczne siły, żeby walkę doprowadzić do zwycięstwa...

Wtem uwagę naszą pochłonęły nowe wystrzały. Rozległy się na skraju puszczy, ale w innym niż poprzednio miejscu. Don Esteban powtórnie skoczył na równe nogi, wyraźnie wstrząśnięty.

–To nic ważnego! – drwiąco uspokajałem go. – Wszystko moi ludzie. Nic życiu waszmości nie zagraża, dopóki ja tu jestem!

–Przecież to zupełnie gdzie indziej strzelają aniżeli przed chwilą! – don Esteban otworzył szeroko oczy.

–Być może! To inny oddział. Stoi ich tam kilka w puszczy. Pilnują zewsząd naszego osiedla, żeby gościom nic złego się nie stało...

–Proszę mi natychmiast powiedzieć! – krzyknął do mnie Hiszpan. – Proszę powiedzieć, co waszmość mówił właśnie do Indian! Cóż to było?

–Nader przykre dla wszystkich rzeczy!...

Odgłos strzałów, zwielokrotniony echem, odbijanym od drzew puszczy, rzeczywiście dolatywał do nas groźnie i władczo, spadał niby cios jeden po drugim. Wieścił tajemniczą siłę, niósł jakoby nastrój pogromu. Don Esteban, uważający się dotychczas za pana sytuacji na czele swych zabijaków hiszpańskich i Czaimów, zaczął rozumieć, że mu ziemia spod stóp się usuwa.

–Trzyście strzałów – meldował mu poblady sierżant, gdy strzelanina ustała. – Trzyście strzelb!

–Nie! – potrząsnął głową wódz Czaimów. – Dziewięć!

Mylili się obydwaj: Arasybo miał tylko siedem rusznic.

A tu nagle w innej części puszczy znowu kilka grzmotów.

To Kokuj się odzywał.

–Do stu kaduków! – wrzasnął sierżant chwytając się oburącz za głowę.

Wyskoczył na majdan jak wariat i jał gwałtownie zwoływać do siebie wszystkich swoich ludzi: zarówno Hiszpanów jak Indian. Patrzyliśmy na niego, jakby bzika dostał.

–Czegóż się tak miota chłopisko? – rzekłem do don Estebana, wzruszając ramionami i ostrzegłem: – Bez straży jeńcy mu się rozejdą!

Uważnie przyglądałem się don Estebanowi. Był bliski jakiegoś wybuchu: oczy miał zamglone,

na pół przytomne. Pot perlil mu się na czole i spływał rześście po twarzy.

–Co to wszystko znaczy?! – huknął znowu zdławionym głosem, nie wiadomo:

wściekłym czy przerażonym.

–Zaraz waszmości wyjaśnię! – odrzekłem i zwróciłem się do Manauriego: – Co

ja teraz powiem don Estebanowi, przetłumacz wszystkim tu obecnym na język arawaski.

Po czym dudniącym głosem do Hiszpana:

–Pytasz się waćpan, co te strzały znaczą? Znaczą, że waszmościów, naszych znamienitych gości, mam zaszczyt uprzejmie prosić, aby zachowali się jak najspokojniej, bez niezdrowych uniesień. Dalej to również znaczy, że ani dziś, ani później nie dam żadnego mieszkańca tego brzegu do pracy w Angosturze czy gdzie bądź.

–Co? Co waść?... Co gadasz! – tętnice nabrzmiały mu na karku i na skroniach,

oczy wylazły na wierzch. Szybkim ruchem sięgnął za pas, gdzie miał pistolet.

–Na Boga! – zawołałem uprzejmie. – Niech się waszmość nie gniewa! Spójrz za

moje plecy, proszę cię!

Spojrzał – i to pomogło. Ujrzał tam Arnaka ze zwróconą na siebie rusznicą.

–Już raz mówiłem w tym zacnym gronie – podjąłem – że dwukrotnie musieliśmy zgładzić waszmości rodaków, bo nie doceniali naszych sił. Czy i za trzecim razem to grozi?

Moja pewność siebie ostudziła jego zapędy. Nareszcie zaczęły mu spadać łuski z oczu. Patrzał na mnie, jakby zatruć pragnął spojrzeniem.

–Waszmości sierżant to gorączka i oleju zbytniego w głowie nie ma! – napominałem dalej. – Zechciej mu waszmość poradzić, żeby nie zmuszał nas, wbrew naszej woli, do przecięcia pasma jego żywota!

Don Esteban usłuchał, zgrzytając zębami, i wydał swym żołnierzom odpowiedni rozkaz. Gdy pierwsze chwile wzburzenia minęły, Hiszpan szybko odzyskiwał spokój ducha i spod zmrużonych nieco powiek jął rozglądać się coraz przytomniej i czujniej.

–Do czego zmierzasz waszmość? – nagle obcesem zapytał.

–Do zgody i zawarcia przymierza. Wbił we mnie wzrok niby sztylet.

–Czy to kpiny?

–Uchowaj Boże!

–Czy waszmość myślisz posunąć się do gwałtu?

–Oczywiście, w razie konieczności.

–A nie sądzisz, że i my strzelać umiemy?

–Don Esteban, któż by śmiał w to wątpić? – z grzecznym ukłonem wyraziłem swe uznanie. – Ale opór nic wam się nie zda wobec przytłaczającej przewagi. Jeśli dojdzie do strzelania, to głęboki żal będziemy mieli do was za przykrość odebrania wam wszystkim życia, zanim zdolacie waszmoście zmówić „Ojciec Nasz”. A szkoda!

Nastąpiła chwila głuchego milczenia. Don Esteban pojął, że to nie tylko przechwałki moje. Całkowicie poskromił w sobie burzę i stłumił wściekłość, której nie mógł na nikim wyrzucić. Ze zmienionej, wciąż bladej twarzy patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, jakby dopiero teraz zoczył mnie po raz pierwszy i dostrzegł coś niesamowitego. Patrzył nie tylko zdumiony, ale także z jakimś zapiekłym podziwem.

–Don Juan, chybaś wcielonym szatanem! – wyszemrał. – Ale nie myśl, że tym razem zabicie Hiszpana uszłoby ci na sucho! Nie zapominaj, w którym imieniu my tutaj!

–To i cóż? Czy corregidor w Angosturze to Pan Bóg? Czy znowu przeceniacie swoje siły?

–Człowiecze! – krzyknął Hiszpan oburzonym głosem. – Jesteś w Wenezueli, na włościach Jego Królewskiej Mości Filipa Piątego!

–Jestem na skraju nieskończonej puszczy, w której żaden biały człowiek dotąd

władzy nie ma! – zawolałem jeszcze gwałtowniej niż on, ale zaraz się pohamowałem i uciszyłem: – Powiadasz, to włości hiszpańskiego króla? A czemu zachowujesz się, jakbyś był w obcym kraju i łupił wrogów? Czemu właśnie ty zapominasz, że to Wenezuela?

Nagle powstałem ze stolka, podszedłem do Hiszpana i, przenikliwie zaglądając mu w oczy, rzekłem dobitnie:

–Don Esteban! Dość częściej gadaniny i próżnych sporów! Rozmawiajmy wreszcie jak *gente de razon* - ludzie rozumu – do których zaliczać się pragniemy. Nie darmo przed chwilą wspominałem o zgodzie i przymierzu. Więcej rozsądku, senior, mniej zarozumiałości! Mamy wspólnych wrogów i wspólne interesy, trzeba jeno nieco dalej patrzeć niżeli do końca własnego nosa. Czy dobro Wenezueli waćpanu rzeczywiście leży na sercu? Jeśli tak, to dobrze! Przyjmij

zatem do

wiadomości, że zamierzam oddać waszemu krajowi wielkie usługi wraz z tymi Indianami i bronić jego granic – byleby tylko wasz nierozum temu nie przeszkodził...

I wyluszczyłem mu wszystko, com wiedział o Akawojach i ich przewidywanej wyprawie na dolinę dolnego Orinoka – wyprawie, o której słuchy już dotarły do uszu don Estebana. Także nieobce mu było, że Akawoje przygotowali najazd nie z własnego popędu, lecz podszczuwani przez plantatorów holenderskich, osiadłych w dorzeczu Essequibo. Wszakże dopiero gdy wyjawiał don Estebanowi szersze i głębsze znaczenie tych planów, mianowicie że tu może chodziło nie tylko o zwykłą napaść na Indian wenezuelskich, ale – kto wie? – czy nie o zaborcze zakusy Holendrów na ujście Orinoka, a więc na terytorium Wenezueli – wtedy oczy Hiszpana zaświeciły się dziwnym blaskiem: zrozumiał. Zrozumiał, że taka możliwość istniała, boć dzieje przeszłości uczyły, iż Holendrzy, Anglicy i Francuzi już raz umieli wtargnąć na ziemię hiszpańską, do południowej Gujany, i tam się usadowić prawem kaduka. A teraz któż mógł zaręczyć, że oto Holendrzy ślinki nie dostali na Orinoko tymże samym prawem.

–Więc skoroby przyszli Akawoje, wysłannicy Holendrów – wywodziłem

Hiszpanowi swe wnioski – będziemy bronili, rzecz prosta, i całości Wenezueli. Lecz jakże nam się obronić, kiedy wy sami, Hiszpanie, chcecie osłabić nasze siły o pięćdziesięciu najlepszych wojowników?

–Prawda to! Prawda! – skwapliwie przyznał mi don Esteban, który nagle

przyjaźnie wyszczerzył zęby do mnie. – Całkiem uznaję waszmości stanowisko, które jest słuszne...

Czy je tak bardzo szczerze uznawał, śmiałem wątpić na dnie serca. Od razu przeniknąłem, dlaczego don Esteban tak chętnie podchwycił tę myśl: wiedząc że – osaczony – będzie musiał ustąpić, wolał ustępować z honorami pod wpływem rzekomej rozwagi aniżeli przemocy. Więc Hiszpan rad, iż z tych opalów wyjdzie bez uszczerbku na godności osobistej, pełen zapału jął przytakiwać mi ruchem głowy, a słodko uśmiechać się ą uderzać rękoma po kolanach.

–Jesteśmy zatem – prawilem mu – sojusznikami Hiszpanów w tych okolicznościach i...

Wtem nagle głośnie acz krótkie krzyki urwały moje słowa. Odgłosy przychodziły z daleka, spod puszczy. W pierwszej chwili trudno było odgadnąć, kto się wydzierał i po co. Brzmiały jakoby urywane słowa hiszpańskie. Szybko się zbliżały. Wołający biegł ku nam i ostrzegał. Powstałiśmy wszyscy, zaciekawieni.

–Jakiś Hiszpan pędzi! – wyjaśnił mi Arnak, który uskokzył na bok, by lepiej zobaczyć.

–Sam jeden? – zapytałem.

–Sam jeden. I bez broni.

Uspokojony siadłem znowu na stolku, ciekawy, co przyniosą dalsze wypadki. Od pierwszej chwili domyślałem się, komu tak pilno było do nas, a gdym gońca ujrzał w srodze obdartej odzieży z oczyma błędnymi od zgrozy i biegu i kiedy don Esteban na jego widok wrzasnął zdumionym głosem: Fernando! – wiedziałem dostatecznie: był to Hiszpan, którego ostatniej nocy grzmotnął palką w łeb na wyspie u ujścia rzeki.

–Nieszczęście! – biegnący wołał z daleka, łapiąc powietrze ustami. – Klęska!

Rozpacz! Nieszczęście!

–Gadaj do rzeczy! – huknął nań don Esteban.

–Jeńcy uciekli! – jęknął Hiszpan przybiegłszy.

–Uciekli? Nie może być! Jakże to?

–Uciekli!... Ich duchy im pomogły!... O, kara boska!

–Co za duchy? Nie bredź, hultaju! Łeb ci zdjąć, na toś zasłużył, ciemiego! Czy wszyscy uciekli?

–Wszyscy, senior.

–Dokąd?

–Nie wiemy. Łodzie zabrali.

–I jeszcze łodzie zabrali! – zawołał don Esteban takim głosem, jakby już był u kresu sił. – Spaliście wszyscy, dranie, zamiast pilnować!

–Klnę się na Boga, że nie spałem, czuwałem!

–Senior corregidor wam kości połamać każe, w tym moja głowa! Jak to się stało?

–Sami nie wiemy. Każdy z nas dostał uderzenie w łeb i zaraz zemdlął, a gdy

przyszliśmy do siebie, leżeliśmy powiązani w krzakach. Potem udało nam się uwolnić z łyk... Łodzie i Warraulowie znikli... To złe duchy sprawiły, senior, to nieczysta sprawa!...

–Idiota! – warknął don Esteban, a potem rzucił wymowne, wściekłe spojrzenie na

mnie: – Znam te duchy!

Fernando, dysząc i zdając urywanym głosem sprawę, wciąż straoблиwie obracał się do tyłu, skąd przybył, aż wreszcie wybuchnął:

–Senior commandante! W lesie pełno wrogich Indian!... Gonili mnie!... Strzelby mieli!

–Strzelali do ciebie?

–Nie wiem. Alem widział, mieli rusznice.

–Wielu ich?

–Cały las się roi!

Don Esteban pobladł jeszcze bardziej, wargi przygryzając, i ponuro zapatrzył się przed siebie. Snuły mu się po głowie myśli mało ucieszne.

–Jesteśmy zatem sojusznikami Hiszpanów w tych okolicznościach – podjąłem

zdanie tam, gdzie je przerwał przed chwilą, nie zmieniając ani krzty swego głosu ni wyrazu twarzy, jakoby nie było zajścia z Fernandem – i żądam, żebyście zarówno waszmość jak i corregidor w Angostura, we własnym interesie, uznali moją zwierzchnią władzę nad szczepami północnych Arawaków i Warraulów...

–I Warraulów? – zapytał don Esteban marszcząc brwi.

–I Warraulów! Z ich naczelnym wodzem Oronapim zawarliśmy niedawno temu

uroczyste przymierze i jesteśmy obecnie jakoby jeden naród. Kto krzywdzi jakiegokolwiek Warraula, staje się tym samym i naszym wrogiem, obojętne, kimkolwiek byłby krzywdzący: Akawoj, Holender czy – kto inny...

Na dwa ostatnie słowa położyłem szczególny nacisk.

–A jeśli corregidor na to waszecie sobiepaństwo zgodzić się nie zechce? –

sarknął don Esteban nie bez żółci.

–To będę władzę sprawował bez jego zgody! – podniosłem zaczepnie głos. – I

zapewniam waszmości, że odtąd – czy chcecie, czy nie chcecie – wszystkie siedziby wszystkich Warraulów i wszystkich północnych Arawaków są pod opieką moją i moich muszkietów!

Indian, stojących dookoła, słowa moje silnie poruszyły. Na tyle już mnie ludzie znali, by wiedzieć, że to nie gadanie na wiatr, bo przecież sami doświadczyli choćby podczas dzisiejszych wypadków, jak zwycięsko potrafiłem radzić sobie z przeciwnikiem w potrzebie i narzucić mu swoją wolę. Więc slali mi zewsząd spojrzenia pełne wdzięczności i czci wielkiej, nawet starszyzna raczyła mnie przyjaźniejszym wzrokiem – wszakże jednocześnie zerkali ku don Estebanowi sądząc, że zapalczywy Hiszpan wybuchnie piorunem i wściekłością, a zęby wyszczerzy na mnie jak jaguar.

Nic podobnego nie nastąpiło. Wyszczeryl zęby, owszem, ale w szerokim uśmiechu. Powstał i wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

–Co pomyśli corregidor – zawołał Hiszpan żywo – to jego sprawa. Ja waćpanu przyznaję słuszność i dierz sobie władzę nad obydwojma szczepami. Don Juan, jesteś szatan, powtarzam! Niedobrze mieć ciebie za wroga! Niech przyjaźń

i sojusz będzie między nami! Brońcie się przeciw Akawojom, Bóg z wami – nic już od was nie chcę!

I ściskając mnie patrzył mi w oczy, opromieniony serdeczną życzliwością płynącą z jego słów i z wyrazu roześmianych ust, ale wzrok jego, znowu jak wprzód, był nieodgadniony, obcy, mroził do szpiku.

Do diabła! – pomyślałem sobie – czy za zasłoną tych powiek naprawdę czai się zdrada jakowaś? Niech go kule biją z taką dwoistością w obliczu, może i niezawinioną, przypadkową, aleć uderzającą!

Gdy Manauri przetłumaczył jego słowa, ogromna wśród Arawaków powstała radość. Wesole krzyki rozlegały się zewsząd i roznosiły echem wśród chat. Wciąż powtarzano jedno słowo: Chu – an! Chu – an! wywoływane to rytmicznie, to śpiewane przez gromady ludzkie. Było to moje imię, wymawiane po hiszpańsku. Wiedziano już po samą puszcę, że los się odwrócił, że nikogo stąd do Angostury nie wywloką Hiszpanie. Dwudziestu trzech jeńców dawno rozlazło się po chatach i – czym prędzej zgarniając broń cudziej cały swój dobytek – pośpiesznie przeprowadzało się z rodzinami z Serimy na naszą polanę.

Tymczasem Koneso, wielce rad z tak pomyślnego rzeczy obrotu, przygotował hojną ucztę dla Hiszpanów i dla naszego rodu, ale ja powściągliwie pilem kasziri i tak samo przyjaciółom swoim nakazałem ostrożność. Zaczęły się tańce, śpiewy, wśród których raz po raz rozbrzmiewało gromko, niby radosne hasło, owo: Chu – an! – a dziewczęta serimskie wdzięczyły się na potęgę do Hiszpanów i Indian Czaima.

Przybliżyli się Koneso i Fujudi, już nieco podpici, i rozlażle a niezdarnie wyrażali mi podziękę. Potem Koneso napomknął, że chciałby Hiszpanom coś jednak darować, i zapytał mnie, czy pozwolę dać im konia. Chętnie zezwolił, albowiem nasze konisko w tych przepaścistych lasach na nic się nie zdało, a jęło mizernieć, jeno patrzeć, rychło kopyta wyciągnie. Tak więc lup,

zdobyty ongiś na Hiszpanach, znowu wracać miał na llanosy.

Kiedy na majdanie w godzinach popołudniowych zabawa szła na całego, a godujący weselili się wśród hucznego podniecenia, w innych częściach Serimy wrzało od gorączkowego acz przyciszonego ruchu. Dokonywał się tam przewrót, jakiego w szczepie jeszcze nie było, a który miał przeistoczyć do gruntu skład rodów. Wszystkie rodziny, zagrożone pod mściwymi rządami czarownika Karapany i niecnego Konesa, zbierały swe statki i uchodziły na naszą polanę pod opiekę rodu Białego Jaguara. Nikt im w tym przeszkadzać nie śmiał: w tej chwili wszyscy szanowali naszą siłę.

Wkrótce cały nasz ród opuścił ucztę i wrócił do siebie. Dzień przyniósł nam zwycięstwo piękne, a bez rozlania kropli krwi, przeto radość przejmowała nas niezmierna. Wszystkim wojownikom naszym po kolei z całego serca dziękowałem, bo wszyscy świetnie się spisali, ale najmocniej uściskałem czterech kapitalnych strzelców, którzy, bestie, tyle szczęścia mieli przy strzelaniu, i równie ciepło uściskałem tych trojga w puszczy pukających. Więc gdy do syta naśmialiśmy się z napędzenia Hiszpanom nie byle jakiego strachu, przystąpiliśmy do dalszej, nieodzownej pracy: Arnak w zastępstwie nieobecnego wciąż Manauriego rozmieszczał przychodzców po różnych chatach, Wagurę zaś i część wojowników naszego rodu wysłałem na czaty. Resztę trzymałem pod bronią, pokojowi bowiem ufać nie można było dopóty, dopóki choć jeden Hiszpan pozostawał nad brzegiem Itamaki.

Wszelako nic nie zmąciło spokoju. Uczta w Serimie trwała do zmierzchu, po czym ludzie pokładli się do snu, Hiszpanie i Indianie Czaima nad rzeką przy łodziach, Arawakowie w chatach, wszyscy znużeni, opici, obżarci – i gdy ciemność nastąpiła, już tylko puszcza i nadbrzeżne chaszczce, zwyczajnie jak co noc, doszły do głosu.

18. Czerwony Mor

Wszelako spokoju nic nie mąciło tylko do połowy nocy. Wtedy nagle ze snu wybił nas huk kilku wystrzałów muszkietowych, oddanych na majdanie serimskim w krótkich, nierównych odstępach: był to wyraźnie odgłos jakowejś bójki. Zerwaliśmy się z chat i, uzbrojeni, w kilkunastu chłopów pobiegli co tchu ku miejscu wypadku.

Już z daleka zauważyliśmy w obozowisku hiszpańskim niezwykle ruch. Kilka pospiesznie roznieconych ognisk oświetlało brzeg rzeki, a w ich blasku wicherzyła się ciżba ludzi jak w podnieconym mrowisku. Na dwa stajania od obozu kazałem drużynie ukryć się w mroku, sam zaś z Arnakiem poszedłem dalej.

–Napadnięto na nas! – don Esteban, uniesiony oburzeniem, krzyknął do mnie, ledwom dostał się w krąg światła. – Zdrada! Hańba!

Wydawało mi się to wprost nie do wiary:

–Któż by ośmielił się napaść?

–Któż by! – przedrzeźnił Hiszpan pełen złości. – To acan nie wiesz czy tylko udajesz?

Klnę się na wszystkie świętości: nie wiem!

–Któż by? – Hiszpan zajadle powtarzał. – Waścine czerwone pieszczochy, waścine arawaskie pupilki!

–Nie może to być. Coś wam się przywidziało.

–Przysięgaj, że nie może to być, przysięgaj, że się przywidziało, a potem tu spojrzysz!

Wskazał na sam brzeg rzeki, gdzie tuż nad wodą leżały zwłoki Indianina.

–Kto to? – zapytałem zdębiały.

–Jeden z waszych zbójów. Dziobnęliśmy go; szkoda, że tylko jednego.

–Ilu ich było?

–Cała masa.

–Z osady przyszli?

–Diabeł tam wie! Rzeką podpłynęli!

–Zabili kogo?

–Nie. Całe wasze szczęście! Dwóch białych nam tylko nożami ranili! Drogo zapłacicie mi za zdradę!...

Zagadkowy wypadek spadł niby grom. Byłem nie mniej wściekły niż don Esteban i tak oszołomiony, że na dobrą chwilę niezdolny podjąć jasnej myśli. Wszystko okrutnie się wikłało. Cóż to za niesforni szaleńcy narobili nam bigosu? Kazałem zwłoki przenieść bliżej ogniska i przyjrzałem się twarzy. Nie znałem zabitego; ani ja, ani Arnak.

Przyczłapał z obwisłą szczęką Koneso, jeszcze nie wytrzeźwiały, z bardzo głupią i przerażoną miną. Patrzył długo w oblicze trupa, przewracał go na boki, wreszcie podniósł wzrok na don Estebana i zapewnił rozdrażniony, z jadownicie wykrzywioną gębą:

–Nie nasz! Obcy!

Hiszpan chciał rzucić się na niego sądząc, że kłamie, ale inni mieszkańcy Serimy potwierdzili

słowa wodza z taką mocą, że don Esteban się zawahał.

–To Warraul! – oświadczył nagle Aripaj, który zjawił się krótko po nas. – Znam ich przecież dobrze! To Warraul!

Koneso uważnie przyjrzał się jeszcze raz zwłokom i pokiwał głową:

–Tak, teraz poznaję! To Warraul!

Przypomniał mi się Manduka i jego Warraulowie, umieszczeni w jednej z chat na naszej polanie. Powstało we mnie podejrzenie. Ale niczym nie zdradzając moich domysłów rzekłem do Hiszpana:

–Jeśli się nie myłę, to waszmości żołnierz, który wczoraj przybiegł z lasu taki zziajany – Fernando, zdaje się, było mu na imię – ów żołnierz bredził o jeńcach, którzy się jakoby wyswobodzili...

Don Esteban zazgrzytał przez zęby coś jakby o przeklętych brzegach i nic nie odpowiedział. Musiał i on przyjść do przekonania, że to był napad Warraulów, bo zażądał od Konesa wystawienia licznych straży na resztę nocy, co mu posłusznie a skwapliwie przyznano. Udobruchanyrh po trosze Hiszpanom życzyliśmy dobrej nocy i opuścili Serimę.

W drodze powrotnej zwierzyłem się Arnakowi z moimi podejrzeniami co do Warraulów.

–To z pewnością oni, tak, to oni się wyrwali! – szepnął Arnak strapiony. – Ale

Aripaj mi świadkiem, że dokładnie spełnił twój rozkaz i wbił im w głowę, aby za nic w świecie nie opuszczali ukrycia. Co z nimi zrobimy?

–Pójdziemy do nich.

Poszliśmy całą drużyną i z Aripajem jako tłumaczem. Po drodze zabraliśmy pochodnie, które wszakże rozpaliliśmy na miejscu, dopiero po otoczeniu chaty, której Warraulowie opuszczać nie mieli.

Zastaliśmy ich, leżących pokotem. Gdy pochodnie rozjaśniły wnętrze, Warraulowie jakoby dopiero co się budzili. Ziewając przecierali sobie oczy. Manduka, leżący pierwszy od wejścia, z uszanowaniem powstał.

Liczyliśmy. Było ich dziesięciu, nie jedenastu.

–Gdzie jedenasty? – zapytałem Mandukę przez Aripaja.

Manduka wciąż udawał zaspanego, tarł powieki, coś mamrotał, nie odpowiadał.

–Wyszedł za swoją potrzebą! – ktoś czelnym głosem odezwał się z ciemnego kąta.

–Chodź no tu! – rzekłem do niego.

Ociągając się, śmiałek powstał z nabundziuczoną facjatą. Nie było mu śpieszno podejść bliżej. – Żywiej! – krzyknąłem, aż chrust palmowy zaszeleścił na stropie. Przybliżył się, wciąż nadąsany.

–Czemuś nie spał, zanim tu przyszliśmy? – zapytałem.

–Spałem.

–To skądże wiesz, że ten jedenasty wyszedł za potrzebą, jeśliś spał?

–Wiem. To moja rzecz, skąd wiem!

Namacalem jego przepaskę biodrową, którą miał jeszcze na sobie. Była wilgotna.

–Mokra? Czy wpadłeś do rzeki?

–Nie! – kłamał bez zajakania. – Moczę, bom chory.

Nie wytrzymałem. Zdzielilem zuchwalca w pysk. Zanim się przykrył nogami, złapałem go jedną garścią pod pachę, drugą za nogę i rzuciłem na ścianę. Przebił ją, bo była z trzciny, i na pół ciała zawisł w dziurze.

–Kto jeszcze chce kłamać? – rozejrzałem się dookoła i utkwilem wzrok w Manduce.

Młody wojownik miał skruszoną minę.

–Wybacz, panie! – rzekł układnym głosem. – Nie chcemy taić prawdy.

–Napadliście?

–Tak, panie.

–Dlaczego?

Manduka spojrział na mnie zakłopotany:

–Hiszpanie krzywdę nam uczynili. Nienawidzimy ich. Porwało nas!

Obrzucilem Warraulów piorunującym wejrzeniem:

–Porwało was?! Wy wojownicy czy chłystki? Jednego porywa, inny ponoć zlewa

się jak szczeniak!... Mieliście rozkaz nieopuszczania chaty!

–Mieliśmy, panie! Wina nasza, nie przeczę! Ale... ale w ciągu dnia słyszeliśmy tyle

strzałów, że nie mogliśmy tu usiedzieć... Chcieliśmy też coś zrobić...

–Jak durnie, na własną rękę! Czy nie zaświtało wam we łbie, że swą głupotą mogliście zgubić nas wszystkich, całą Serimę?

–Teraz wiemy! Nigdy to się nie powtórzy, panie!

Mimo wszystko podobał mi się ten Manduka i jego zgraja. Mieli mężne serca, nie bali się uderzyć na silniejszego wroga, a przy tym uczciwie patrzyło mu z oczu, szczerze uznawał swój błąd.

–Pójdiesz teraz ze mną – zarządziłem – i będziesz w łykach tak długo, dopóki Hiszpanie nie odjadą. A wy, reszta, oddacie wszelką broń i pozostaniecie tu w chacie! Kto ją opuści bez zezwolenia, dostanie kulą w łeb.

Kazałem zaraz związać ręce Manduce ażeby jego ludzie widzieli, że to nie przelewki, i stało się, jak mówiłem. Warraulowie zwrócili broń, lubo niechętnie i mitrząc, po czym zostawiwszy na straży dwóch wojowników z naszego rodu tudzież pięciu ochotników spośród serimskich przybyszów, zadowoleni, że wszystko jako tako się ułożyło, poszliśmy spać na parę godzin aż do świtu.

Noc minęła spokojnie. W dwie godziny po wzejściu słońca Hiszpanie jeszcze nie wyruszyli. Otrzymawszy wiadomość, że nawet nie gotują się do rychłego wyjazdu, poszedłem do Serimy wybadać przyczynę zwłoki. Nie znając ich dzisiejszych humorów, udałem się tak jak dnia poprzedniego, ze zbrojną drużyną pod Wagurą i z Arnakiem za moimi plecami.

Jakoż w Serimie nic się nie zmieniło. Znowu ludzie trochę uctowali, trochę uśmiechali się do siebie lub leżeli w hamakach pod cieniem chat lub włóczyli się beczynn timer po majdanie. W świetle dnia niektórzy żołnierze hiszpańscy, jak również Indianie Czaima, rozpoznali w zabitym nocą Indianinie jednego z Warraulów, jakich wieźli – stąd don Estebana wielkie zadowolenie, którego przede mną nie ukrywał: ostatecznie wyjaśniło się, że Arawakowie w nocnym napadzie nie maczali palców.

Rad z tego jestem, wielce rad! – powtarzał mi Hiszpan ze słodkim uśmiechem, pocierając sobie kolana. – I przyznam się waszmości, że nie chciałem opuszczać Serimy bez wyrażenia mu swego ukontentowania. W dowód zaś mych uczuć – przecież sprzymierzeńcami jesteśmy! – mam zaszczyt ofiarować waćpanu i jego dzielnym ludziom skromny dar...

Com słyszał, wydało mi się tak niebywale, że wybałuszylem na don Estebana oczy jak na raroga: toż to w tym kraju brać i wydzierać, lecz nie dawać było Hiszpanów zasadą! Wszelako słuch mnie nie mylił, a uprzejmy brodacz dokładniej wyłożył swe zacne zamiary.

–Pragnę podarować wam wór wojłoków, jakie mi się ostały. Sprawi mi waść wielką

przyjemność nie odmawiając przyjęcia skromnej pamiątki...

–Wojłoków? Der?

–Tak, wojłoków.

Była to rzecz w tym gorącym klimacie i w naszych warunkach leśnych tak niepotrzebna, że wyraźnie okazał zdziwienie: nam doskonale wystarczały plecione na miejscu maty z roślinnych włókien.

–Jeśliś taki hojny – zaśmiałem się – to daj nam wasza miłość rusznic kilka, daj

prochu, a lepiej przysłużysz się nam przeciw Akawojom. Ale wojłoki?

–Rusznic zbędnych ani prochu nie mam – odparł oschle – dlatego daję, co dać

mogę. I proszę wziąć!!

Moje – może nie nadto dworskie, ale słuszne przecież – zastrzeżenia zwarzyły mu humor tak gwałtownie, że się zastanowił. Z nacisku, z jakim on wypowiedział to: „proszę wziąć!”, zaraz się domyśliłem, że mu bardzo zależało na daniu nam onych wojłoków, lecz na jaki pożytek? I dlaczego tak mnie pilił do nich? Spojrzałem mu badawczo w oczy, ale odkryłem w nich znowu tyle zimnej surowości, ba, wrogiego zaczajenia, że nieledwie mrowie po plecach mi przeleciało.

Cóż to za dziwny człowiek?! – przeszło mi przez głowę. – Do czego zmierzał?

A może to wszystko było jeno przywidzeniem i nic więcej? Kiedym tak wygodnie sobie siedział na stolku, z nogą założoną na nogę i z rękami splecionymi na kolanie, czując się bezpiecznym pod puklerzem Wagurowej drużyny i czujności Arnaka, nagle myślą poleciałem w odległą przeszłość mych lat chłopięcych. Na chwilę stanęły mi przed oczami pewne wydarzenia, jakie wtedy rozgłosu nabrały w mej ojczyźnie północnej.

Mianowicie w owe czasy niedaleko ojcowskiej farmy żyło w jednej z dolin w Alleghanach kilkanaście rodzin indiańskich, niedobitków wytępionego przed pół wiekiem szczepu Susquehanna. Żyli w swym ustroniu spokojnie, białym pionierom się nie uprzykrzając, więc dawano im pokój, czasem nawet wspierano drobną pomocą. Kiedyś posłano im kilka starych wojłoków, ale opisać zdumienie okolicznych farmerów, gdy na Indian wkrótce padła zabójcza epidemia i po kilku tygodniach wszyscy do ostatniego dziecka wymarli z objawami choroby, którą nazywaliśmy odrą. Dla nas była to choroba niegroźna, lubo zaraźliwa, jednakże, jak się okazało, okrutnie groźna dla Indian. I zrozumieli farmerzy, że zarazę musiały zawlec darowane Indianom wojłoki, bo one to, krótko przedtem, białym chorym na odrę służyły za nakrycie.

Gdy wiadomość o tym rozniosła się po koloniach angielskich, wielu było takich, którzy zalecali użyć tego sposobu do wytępienia szczepów indiańskich, jeszcze nie ujarzmionych, a dających się mocno we znaki naszym ludziom na zachodnich kresach.

Ciekaw byłem, czy o tym wszystkim wiadomo w koloniach hiszpańskich, a jeśli wiadomo, to czy ludzie tu do tego stopnia wyzuli się z sumienia, by używać tak piekielnych sposobów niszczenia życia ludzkiego? Jakże zatrwajający chłód bił z oczu don Estebana! Oblediał mnie strach przed nieznanym niebezpieczeństwem i postanowiłem więcej niż kiedykolwiek mieć się na baczności.

Proszę mi wybaczyć, don Esteban! – oświadczyłem stanowczo. – Wojłoków waścinych nie potrzebuję i nie chcę ich wam odbierać!

–Nic to! – zaprzeczył Hiszpan równie stanowczo. – Proszę nie pozbawiać mnie przyjemności okazania waćpanu przyjaźni i dlatego – wybacz! – musisz przyjąć skromny tendar!

Usta jego wymawiały to. tak serdecznie, że m grubianinem uważać się był gotów, ale gdy spoglądałem nieco wyżej, w jego wężowe oczy, tym zawzięciej brałem na upór.

A on wzruszył tylko ramionami:

–Zastanów się dobrze, don Juan, zanim mnie urazisz i dotkniesz waszmość tak niedorzeczną odmową. Czemuż to krzywdzisz swoich ludzi?

Don Esteban zwracał ostatnie słowa mniej do mnie, a bardziej do Konesa i do starszyny arawaskiej, będącej w pobliżu – i czynił to nie bez skutku. Starszynę, zawsze łakomą na takie korzyści, niepomierne dziwił i gorszył mój upór, a Koneso zgadzał się z Hiszpanem, że dzieje się tu krzywda Indianom.

–To mnie odstęp wojłoki, jeśli sam nie chcesz – domagał się naczelny wódz.

–A czy ty wiesz, co to wojłoki? – zapytałem.

Dokładnie nie wiedział.

–. Maty z tak grubego sukna, że nie wiadomo do czego je użyć – wytłumaczyłem.

–Pójdę zobaczyć – rzekł i powstał.

–O jedno ciebie proszę: bądź ostrożny, nie dotykaj wojłoków! – ostrzegłem.

–Myślisz, że ugryzą? – pokiwał czupryną.

–Myślę, że mogą zaszkodzić...

Koneso, Fujudi, Pirokaj i inni udali się do itauby Hiszpanów i wrócili dziecinnie uniesieni. Zwłaszcza Koneso nie; szczędził słów zachwyty dla wojłoków.

–Kpy zatracone! – ostudziłem ich zapaly i stanowczo oświadczyłem, że nie będą mieli wojłoków. Ażeby zaś przerwać ich nagabywania, zniknąłem im wszystkim z oczu.

W godzinach popołudniowych Hiszpanie odjeżdżali. Poszedłem pożegnać się z don Estebanem, a przede wszystkim z Pedrem, i zdziwiłem się niepomiarnie ujrawszy wór z wojłokami wyłożony na brzegu.

–Ależ dziękuję, niepotrzebne mi! – zawołałem. – Wszakże mówiłem!...

–Weź waszmość, weź je! – don Esteban kraśniał dobroduszością. – Jeśli sam nie potrzebujesz, to daj przynajmniej dzielnym wojakom z twojej drużyny! Zasłużyli sobie za te dobre strzały!... Piętnaście tam wojłoków...

–Nie broń, nie odmawiaj, Biały Jaguarze! – nalegał również Koneso. – Może one maty jednak się przydadzą na coś...

Nie było już innej rady. Dwie łodzie właśnie odpływały, do trzeciej wskakiwała reszta Hiszpanów i Indian Czaima. Itauba ich odbijała od brzegu.

Gdy zniknęli nam z oczu za skrzyżowaniem rzeki, otoczyliśmy podejrzany worek. A jako że gwałtowny, natarczywy przypływ hojności u don Estebana jeno utwierdzał mnie w posądzeniach, nie zwłócząc wyjawilem obecnym Arawakom, com myślał.

–Ja don Estebanowi nie ufam – oświadczyłem w końcu – i podejrzewam, że w tym worku siedzi straszliwy kanaima białych ludzi, roznoszący śmiertelną chorobę. Patrząc nań wolno, ale dotykać – choroba i śmierć!

Słowa moje nie przeszły bez wrażenia, a ludzie spojierali na worek z niedowierzaniem i zgrozą. Zaglądali ostrożnie do środka, jednak niewiele widzieli prócz zbitej masy sukna. Worek był przywiązany do drąga i widocznie wyniesiono go na ląd dźwigając kłodę na obydwóch jej końcach, a zatem nie dotykając worka – diabli ich wiedzą! – i to także wydało mi się osobliwe.

Arasybo trącił mnie lekko w bok i nieśmiało rzekł:

–Biały Jaguarze, znam takie zaklęcia, które zabijają zły czar, niszczą chorobę...

–Arasybo, przyjacielu! – uśmiechnąłem się. – Na to zło które podejrzewam w worku, nie pomoże żadne zaklęcie i jedna tylko rzecz pozostaje: wrzucić worek do rzeki, niech przepadnie w morzu, albo zakopać go głęboko w ziemię, albo – co najlepsze – spalić do szczętu.

Wtem przystąpił Pirokaj o przebiegłych, ruchliwych oczkach myszy, odzywając się do mnie:

–Prawisz, że tylko podejrzewasz te worki, ale pewności nie masz?

–Nie mam, oczywiście.

–A widzisz!...

Koneso zaś, pożerając worek smętnym wzrokiem, ubolewał:

–Taki niezwykły dar i niszczyć go! Czy to nie szkoda niszczyć, jeśliś niepewny?

Może w tym nie siedzi kanaima!

–A choćby siedział – zawołał wyzywająco Pirokaj – to co? Czy Karapana nie jest czarownik i nie wyżenie każdego kanaimę? Karapana oczyści worek!

–Karapana – chodzący trup! – na to huknął gniewnie Manauri. – Karapana nie żyje!

Zuchwały okrzyk nie omieszkiał wyrzucić silnego na wszystkich wstrząsu. Przyjęto go różnie, bo gdy nasz ród burzliwie potwierdzał potępienie czarownika przyświadczając swemu wodzowi, niektórzy ludzie Serimy zżymali się z oburzenia, a Pirokaj wyskoczył, jakby oczy chciał wydrzeć bratu:

–Łiesz, psie nędzny!

Nakazałem spokój.

–Jeszcze wróg nie odpłynął i mili, a ten kogucik – zawołałem wskazując na Pirokaja – drze się, jakby orłem był!

Śmiechy rozległy się wśród wojowników naszego rodu.

–Manauri ma słuszość! – ciągnąłem. – Karapana dla szczepu już nie żyje! Nie macie czarownika! Gdy niebezpieczeństwo zawisło nad Serimą, kto ukrył się jak gad tchórzliwy? Karapana! Kto spowodował, że połowa waszych braci

opuściła Serimę i nie chce z wami żyć razem? Karapana!...

Zwolennicy czarownika – a była ich zadziwiająco nikła garstka – nie śmieli wszczynać burdy w jego obronie, więc ludzie wnet się uspokoili. Wydałem rozkaz naszym wojownikom wrzucenie obmierzłego worka do rzeki, ale Koneso tak przekładał, tak gorąco prosił, ażeby na razie nie niweczyć wojłoków, że w końcu ustąpił dla milej zgody. Nie chciałem rozjątrzać naczelnego wodza tym bardziej, że mi przysięgał na wszystkie świętości, iż dopilnuje, by nikt nie ruszał podejrzanych darów.

Tak zeszedł dzień na wielkim umysłowym odprężeniu. Z wyjazdem Hiszpanów każdemu spadł ciężar z serca i życie weszło znowu w przyrodzony sprawom porządek. Jedynie nasza polana zamieniła się niby w obóz wojenny, bo rzeczywiście połowa ludności Serimy przeszła na naszą stronę. Wznoszono na gwałt szałas, ludzie krzatali się tam i sam, radosne podniecenie było w gwarze i zgiełku.

Dla pewności Koneso za moją poradą wysłał w ślad za Hiszpanami czterech zwiadowców na dwóch podjazdach, ażeby przez kilka dni śledzili ich poczynania. Natomiast kilku wojowników z naszego rodu wzięło wielką łódź i wypłynęło do Katawiego po zdobytą na Hiszpanach itaubę z zapasami żywności. Wieczorem wróciło z nią.

Zaraz po wyruszeniu Hiszpanów sam przeciąłem więzy Manduce, leżącemu w mej chacie, i poleciłem zwrócić jemu i jego Warraulom wszelką broń. Krótką niewolę młody wojownik przyjął pogodnie i nie miał żalu do mnie.

–To nie była kara, luboś na nią tęgo zasłużył – oświadczyłem – lecz jeno konieczna przezorność.

–Wiem, Biały Jaguarze! – odparł żywo. – I nie zawiodę ciebie w przyszłości.

–Czy chcesz tu zostać? – spytałem zaskoczony.

–Chcę u ciebie służyć, zanim przyjdą Akawoje... Musimy nauczyć się strzelania z muszkietów.

–Dobrze, ale rusznic później nie odstąpimy wam, sami wszystkie potrzebujemy.

–Czy pozwolisz, że odbierzemy je Hiszpanom?

–Jak to: odbierzecie?

–Pożycz nam mniejszą itaubę i pozwól popłynąć za don Estebanem...

Miał junak fantazję, nie brakowało mu przedsiębiorczości i męstwa.

–Manduko, chwat z ciebie, ale żeby być wojownikiem trzeba, prócz odwagi, mieć godziwe zwyczaje. Hiszpanie opuścili nas w pokoju i pokoju dotrzynamy.

–My, Warraulowie, nie zawieraliśmy z nimi pokoju!

–Ej, jesteście naszymi sojusznikami i nasz pokój obowiązuje was również. Ale jest i

drugi powód, żeby was nie puszczać na Hiszpanów: w ich gronie jedzie nasz przyjaciel, Pedro, i w ciemności moglibyście go skrzywdzić. Tego nie wolno!... Nie możesz jechać, Manduko!...

Więc nie pojechał, ale w kilka godzin później zaszły wypadki, które przewracały wszystko do góry nogami i jakże brutalnie zwichrzyły od nowa krótkotrwałą ciszę nad Itamaką.

Gdy po nocy blade światło zwiastowało bliskość dnia, niezwykle gwar na naszej polanie wyrwał

mnie ze snu. Dochodziły z dworu urywane głosy i tupot szybkich kroków kogoś biegnącego do nas. Ciężko zasłonił wejście do chaty i znajomy, zdyszany głos wywołał moje imię. Skoczyłem na równe nogi.

–Pedro, to ty? – ledwom wykrztusił.

–Tak, to ja, Pedro! Uciekłem, żeby ostrzec ciebie...

–Na Boga, co się stało?

–Te wojłoki – chłopak robił ciężko piersiami – te wojłoki... zatrute... morem zakażone...

–Aha!

–Rosa... rosa!

Nie wiedziałem, co to „rosa”, ale z tego, co mi wyłożył pokrótce Pedro, nabrałem przekonania, że była to właśnie odra. Więc złe przeczucia moje nie zawiodły, sprawdziły się.

–Jak się o tym dowiedziałeś? – spytałem zarzucając na siebie odzienie.

–Na wieczornym postoju don Esteban rozgadał się i chętnie opowiadał nam, jak

to on ciebie wywiódł w pole. Zemstę wymyślił za to, żeś go upokorzył. Zatrute morem wojłoki wiozł ze sobą dla takich Indian, których należało wytępić, jeśli stali na drodze panowaniu Hiszpanów. Więc dlatego tak narzucał ci te wojłoki, ażeby pozabawić ciebie drużyny...

Przecież to strasznie zaraźliwe! Nie tylko drużyna, ale i cały szczerp mógł wyginać. Cóż go to obchodzi! Byleby twoja władza niszczała, twój wpływ przepadł – tak się przechwalał i szczycił, a mnie aż włosy dęba stawały.

–Jak uciekłeś?

–W nocy porwałem duszgubkę, jaką don Esteban miał w wyprawie, i rzuciłem się

w drogę powrotną. Niedaleko miejsca, gdzieśmy obozowali, napotkałem arawaski zwiad. Wytłumaczyłem ludziom, o co chodziło i oni pomogli mi wiosłować – oto jestem!

Uściskałem go serdecznie, wzruszony takim dowodem przyjaźni, lecz jednocześnie powstała we mnie troska o niego:

–Czyś sobie uświadomił, Pedro, że nie możesz już teraz wrócić do don Estebana ani pojawić się w Angosturze?

–A co mi tam! Wstrętni mi tacy zdrajcy, nie chcę mieć z nimi nic do czynienia!

Będziemy razem znów, Janie, aż do czasu, kiedy wyjadę na północ, do Cumany. Sposobność chyba kiedyś się znajdzie... Cieszę się, żeśmy znów razem...

–To może długo potrwać!

–Niech sobie! – oczy mu się śmiały z zadowolenia.

Podczas ostatnich słów już pędziliśmy nie tracąc czasu, ja, Manauri, Arnak i kilku wojowników. Broni żadnej nie zabieraliśmy, bo i po co: żeby wyrzucić wór z wojłokami do rzeki, nie potrzeba było rusznic.

Tymczasem...

Wzmagający się blask świtu wydobywał z ciemności coraz dalsze obrazy, a gdy wypadliśmy z lasu na polanę serimską, złe przecucie szarpnęło nas za serce: spostrzegliśmy, że przy nieszczęsnym worku musiało zajść coś niezwykłego. Uwijali tam się ludzie osobliwie ruchliwi, podnieceni. Sięgali do ziemi, podnosili coś, rozdzielali.

–Worek otworzyli!! – wrzasnąłem na pół przytomny.

Niestety. Otworzyli, dobyli wojłoków, a teraz wydzierali

je sobie, każdy z niebywałą chciwością chciał mieć swą część zdobyczy.

–Nie ruszać! – krzyczeliśmy już z daleka. – Puście wojłoki! Mór w nich! Śmierć!... Puście, psiewiary!...

Gdzież im było. do puszczania, kiedy się obłowili łupem i mieli go w garści. Ich było kilkudziesięciu, nas kilku. Gdybyśmy jeszcze posiadali broń, może by widok jej dał im otrzeźwienie i zmusił do posłuchu; ale broni nie mieliśmy.

Dobiegłszy na miejsce, krzykiem oznajmiłem, jakie w tych wojłokach niebezpieczeństwo, i w istocie niektórzy z nich, stropieni moją niezwykłą rozpaczą i wściekłością, zawahali się. Ale wtedy postać, skulona dotychczas nad ziemią, jakby modły odprawiająca, gwałtownie poderwała się i ujrzeliśmy czarownika Karapanę z wykrzywionym od nienawiści obliczem.

–Nie słuchajcie go! – zachrypiał dzikim głosem. – Nie ma w tych matach śmierci! Jam ją zniszczył. On was okłamuje! Chce wszystko zgarnąć dla siebie!...

W niesfornej gromadzie był także Koneso. Dzierzył pod pachą wojłok.

–Wodzu! – krzyknąłem na niego. – Zgubę gotujesz szczepowi! Rzuć wojłok, błagam ciebie!

Gniew, zmieszanie i Czupurność latały po jego twarzy.

–Nie! – parsknął. – Nie będziesz nam, Biały Jaguarze, rozkazywał ni nas zniewalał! Nam. się należy zapłata od Hiszpanów za konia. Chciałeś ich zapłatę wrzucić do wody, żebyśmy jej nie mieli. Niedoczekanie twoje!

Pięści przyciskałem do skroni, wyć mi się chciało.

–Rozum ci odjęło, całkiem zgłupiałeś! – wołałem. – Mówię, mór i śmierć

białych ludzi w tych matach! Pedro przybiegł i zawiadomił nas o zdradzie Hiszpanów. Teraz wiemy na pewno, że w nich zguba...

–Pedro przybiegł, wiemy o tym, i dlatego śpieszyliśmy do mat, byś ich przedtem nie zniszczył.

–Zginiecie, jeśli natychmiast ich nie porzucicie!! – zaklinając powtarzałem sam bliski obłędu.

–Eh, nie zginieemy! Nie boimy się! Karapana przysięga na wszystkie duchy, że ty się mylisz... On wypędził chorobę, jeśli jaka tkwiła w matach!...

Byli zaciekli i głusi. Wszelki nasz wysiłek okazał się daremny, odpadał jak kamień rzucony o skałę. Czarownik rechotał, zachłystując się od szyderstwa i złośliwej radości z odniesionego nade mną zwycięstwa. Niektórzy towarzysze chcieli rzucić się na serimczyków pomimo ich przewagi, aby przemocą odebrać im wojłoki. Ostro ich pohamowałem: dotknięcie wojłoków groziłoby im samym zarażeniem. Zrozumieli to. Widząc, że nikogo z zaślepieńców nie przekonamy, nakazałem szybki odwrót. Wzburzenie moje minęło, należało myśleć o ratunku. Mała odległość polany naszej od Serimy nie zabezpieczała nas od morowego powietrza. W drodze powrotnej w krótkich słowach wytłumaczyłem przyjacielom znamiona szkarłatnej groźby: cechowała ją niebywała zaraźliwość, powstawały czerwone plamy na ciele, gorącość, a kończyło się osłabieniem i – dla Indian – nieuchronną śmiercią. Opowiedziałem o moim przejmującym doświadczeniu z lat chłopięcych, o smutnym losie Susąehannów w dolinie gór alleghańskich.

–Jedno nam pozostaje: natychmiast uciekać, tejże godziny! – oświadczyłem. –

Kto żyw, a jeszcze nie tknął zabójczych wojłoków, musi stąd uciekać!

–Czy starczy odejść do zatoki Potaro, gdzie ukryliśmy nasz szkuner? – spytał

Manauri.

–Ileż to mil od nas, trzy?

–Przeszło trzy.

–Chyba starczy – wyraziłem przypuszczenie. – Byleby nikt z naszych nie zetknął się w następnych tygodniach z chorymi, jeśli tacy będą! To najważniejszy warunek...

–Długo trwa mór?

–Po kilku dniach ponoć pojawiają się pierwsze znaki, a potem dziesięć do piętnastu dni pozostaje do śmierci – albo do powolnego wyzdrowienia.

–A leczy się jak?

–Dokładnie tego nie wiem. Ktoś mi mówił, że tylko trza leżeć spokojnie, nie odkrywać się, gdy gorączka pali, wtedy nie iść, przebóg, do wody, mało co jeść.

–Jeśli tak, to musimy Serimę uwiadomić, jak choremu postępować wypada! – zamyślił się Manauri.

–Koniecznie...

Cieszyło mnie, że przyjaciele nie wazyli sobie lekce moich ostrzeżeń. Natychmiast postawiliśmy na nogi wszystkich mieszkańców polany. Szkuner na szczęście już poprzedniego wieczora wrócił z zatoki Potaro, więc teraz można było załadować na niego wszelki dobytek i zapasy, jakie posiadaliśmy, nawet warsztaty garncarskie i tkackie, nawet słupy, ściany i dachy niektórych chat i szałasów naprędce rozbieranych.

Podczas gdy ludzie prześcigali się w robocie, by jak najwcześniej opuścić niezdarzoną okolicę, dziesięciu Warraulów z całą bronią, jaką od nas otrzymali, ustawiło się przed moją chatą w jednym karnym rzędzie niby oddział żołnierzy, po czym Manduka przybliżył się do mnie w towarzystwie tłumacza Aripaja i poprosił o rozmowę.

–Słucham! – nieco zdziwiłem się jego uroczystej postawie.

–Dla dwóch przyczyn, panie – rzekł Manduka – nie pozwoliłem nam ścigać Hiszpanów, a my posłusznie zaniechaliśmy pogoni. Czy teraz pozwolisz?

–Jako że przyczyny upadły?

–Nie inaczej, Biały Jaguarze. Hiszpanie okazali się zdrajcami, a Pedro jest tu.

–Słusznie myślisz! – stwierdziłem i zaśmiałem się. – A wy wciąż chcecie ich

kąsać?

–Myślmy odebrać im broń palną.

–Bez kąsania?

–Z kąsaniem.

Spojrzałem pytająco na Manauriego, świadka rozmowy. Na dobrą sprawę zdradzieckim Hiszpanom należała się jakaś nauczka, czemu nie był przeciwny także i Manauri.

Zgadzam się – rzekłem – ale popłyniecie na własną odpowiedzialność, my w tym ręki nie maczamy. Dostaniecie najsmiglejszą itaubę i zapas żywności, uzupełnimy wam również broń – ale potem zdacie nam sprawę, jak się powiodło.

–Zdamy.

W niespełna pół godziny później Warraulowie szparko pomknęli w dół rzeki. Byli to najlepsi wśród Indian wioślarze, rodzeni na wodzie. Nikt nie wątpił, że łącznie dogonią Hiszpanów.

Tymczasem wielka wędrówka do zatoki Potaro zaczęła się. Wyruszyło z naszym rodem przeszło pięciuset Arawaków, mężczyzn, kobiet, dzieci. Większość z nich szła pieszo ścieżką wzdłuż brzegu rzeki; inni podążali na szkunerze, inni na kilkunastu itaubach i na licznych podjazdach. Ludzie nie tylko uciekali od złych wodzów i od moru: pragnęli nowego życia. W sercach mieli nadzieję i radość.

19. Śmierć Karapany

Zatokę Potaro tworzyło kształtem do kiszki podobne jezioro, ciągnące się równolegle do brzegu Itamaki i oddzielone od rzeki wąskim, acz długim półwyspem, tak wąskim, że w niektórych miejscach nie przekraczał stu kroków szerokości, za to wydłużał się na milę. Oną mierzeję, pokrytą, jak wszystkie nadwodne skraje, bujną roślinnością, upatrzyliśmy sobie na obóz. Chaty i szałaszy wznieśliśmy po stronie jeziora po ochędożeniu najbliższej puszczy z całego podszycia krzewów i zielsk. Było to miejsce dogodnie do obrony, ukryte przed nieproszonymi gośćmi, a gdy jeszcze wystawiliśmy chaty na obu krańcach półwyspu, nikt od strony lądu nie mógł się do siola dostać bez naszej woli. Ponieważ Indianie lubili wszystkiemu nadawać miano, zaraz nową siedzibę nazwali Kumaka, co w ich języku znaczyło po prostu półwysep.

By dostać się do wielkiej puszczy, należało nam przepłynąć przez jezioro, szerokie w tym miejscu na jakie trzy stajania; nieco dalej było łodzią do samej Itamaki, którą osiągnęliśmy płynąc wzdłuż brzegu półwyspu i następnie ujściem jeziora wynurzając się na przestronną wodę rzeki.

Jezioro – bo tak słuszniej nazywać je niż zatoką – obfitowało w krajobrazy niezwykle piękne,

była to istna uczta dla oka. Co prawda i tu, jak gdzie indziej, straszliwy, nieprzystępny gąszcz zasłaniał brzeg, przyniatającym murem

wpychał się daleko nad powierzchnię wody i uciskał ją drapieźną płataniną zieleni – ale nie wszędzie. Były gdzieś tam wielkie otwory w tej zbitej ścianie, były nawet brzegi piaszczyste, złotymi pasami schodzące do wody, i tu na kuszącym tle piasku pięły się różne palmy wysmukłe, a między nimi bajecznie cudowne asaje i nawet kokosowce: aż dotąd, o sto mil od morza, zapędziły się te rozkoszne córki słonej wody i morskiego piasku. Można by mniemać się w jakimś raj, gdyby nie okropne utrapienie komarów.

Powstające siedlisko zachowało podział rodowy podobnie jak w Serimie, a poszczególne rody budowały swe chaty odrębnymi grupami tworząc niby różne dzielnice osady. Był więc ród Żółwi i ród Sępów, ród Arakangów i ród Kajmanów. Ponieważ dotychczasowi ich naczelnicy pozostali wszyscy w Serimie przy Konesie, przeto jeszcze wieczorem pierwszego dnia mieszkańcy całej Kumaki zeszli się w pobliżu mej chaty, by odbyć narady. Przy blasku dwudziestu kilku ognisk, między pniami leśnych olbrzymów, których szczyty zlewały się ciemnym sklepieniem nad naszymi głowami – każdy ród dokonał wyboru nowego wodza. Po tej uroczystości przyszła kolej na wybór naczelnego wodza i z wrzawą tudzież zapalem zaczęto wywoływać imię Białego Jaguara. Sprzeciwiłem się temu bardzo stanowczo.

–Nikt lepiej na waszego zwierzchnika się nie nadaje niż wasz rodak i wypróbowany wódz: Manauri! – zawołałem.

Odmową wielce spieszyłem większość obecnych Arawaków, którzy różnie sobie tłumaczyli moją powściągliwość, a starszy rodu Kajmanów wykrzyknął:

–Czy to znaczy, że w tej ciężkiej chwili chcesz nas poniechać?

–Ależ bynajmniej! Będę stał przy boku Manauriego i z całych sił pomagał jemu i wam, każdemu z was.

–Tak jak dotychczas?

–Tak jak dotychczas.

Uspokoili się i jednogłośnie wybrali Manauriego. Oczy wodza rozjarzyły się od radości i szczęścia, a niezmierne zadowolenie osiadło na jego obliczu: oto ziszczaly się najśmielsze nadzieje, o których rok temu niewolnik na wyspie Margarita nawet w śnie marzyć nie mógł. Manauri rzucił ku mnie spojrzenie, w którym była wielka wdzięczność i oddanie. Tego wieczora wszystkich ogarniało radosne podniecenie, ale następne dni wykazały, że nie był to słomiany ogień. Trzy główne zadania stanęły przed ludnością Kumaki: obronić się od szkarłatnego moru, zebrać jak największe zapasy żywności, zdobyć sprawność bojową. I do tych obowiązków wszyscy przystąpili z niespożytym a trwałym zapalem. Już mówiłem, że był to szczep, jak na leśnych Indian, wyjątkowo pojętny i robotny; wystarczyło dać mu oto przewodnią myśl i jasny

cel, a dobywał z siebie niespodziewanej prężności i hartu. Tak było i teraz. Wobec Serimy wszyscy zachowywali ostrożność tak wielką, że nawet wyrzeczono się uprawnych pól w pobliżu starej siedziby, byleby nie spotkać się z tamtejszymi ludźmi. Więc tym gorliwiej zabrał się każdy, kto mógł, do kniei i do wody i znosił nie byle jaki plon. A potrzebowaliśmy zapasów okrutnie. Przewidując wojenne wypadki, Kumaka wytknęła sobie taki cel: zebrać jak najspieszniej tyle zapasów suszonego mięsa, ryb tudzież trwałych owoców leśnych, ażeby stu pięćdziesięciu wojowników mogło wyżywić się przez pół roku. Zatem dzień w dzień wyruszały wyprawy łowieckie do puszczy i na rzekę, a gdy wracały, zdobycz dostawała się kobietom do dalszej oprawy, sami łowcy zaś szli doskonalić się w czynnościach wojennych. Arawakowie, jakkolwiek przedni rolnicy, bitni z natury nie byli, więc należało mocno ich podciągać. To, czego im brakło, zapalem nadrabiali. Ostatnie wypadki z Hiszpanami były dla nich pobudzającą ostrogą i tak ich zbatożyły, że teraz każdy chciał zostać pierwszym muszkietnikiem i niechybnym łucznikiem, i rzutkim oszczepnikiem, a w ramionach posiąść moc i sprężystość jaguara. Wojackiego kunsztu uczyli ich ludzie naszego rodu zażywający, rzecz prosta, sławy mistrzów i niezwykniętych wojowników. Szczególnie Arnak i Wagura, zapracowani od brzasku do zmroku, nie mieli chwili wytchnienia i byli szczęśliwi.

Co do mnie, to sprawując ogólny nad wszystkimi nadzór, stworzyłem sobie drużynę kilkunastu zwiadowców, wybierając do niej najbystrzejszych zuchów z każdego rodu. Wprawiałem ich w różnorakie, znane mi z Wirginii sposoby, jak wykrywać i tropić wroga w lesie tudzież poznawać jego zamiary, samemu pozostając niewidzianym. Nie były to wykłady, jak na przykład przy nauce obchodzenia się z bronią palną, lecz swobodne rozmowy i wymiana doświadczeń podczas częstych wycieczek do gąszczy, kiedy każdy w drużynie odsłaniał towarzyszom, co sam wiedział z dawnych przeżyć. Dzięki otrzaskaniu się od najmłodszych lat z tajnikami przyrody i dzięki indiańskiemu wyczuleniu zmysłów ludzie moi szybko dochodzili do takiej doskonałości, jaką w tych sprawach posiadali Indianie na północy.

Przecież przy tym wszystkim dręczyło ich jedno utrapienie, paskudne licho, kłopotliwie mącące im szyki: to ich zawile zabobony. Tyle duchów, trzpiotów i demonów rzekomo snuło się po puszczy i pozostawiało po sobie dziwaczne znaki, że w tej plątaniu trudno było rozpoznać prawdziwe ślady wrogów, tych z krwi i kości. Toteż głównym moim zadaniem było uczyć ich rozróżniania śladów wrogów rzeczywistych od urojonych.

Tymczasem dni mijaly, a przesiąkające z Serimy słuchy nic osobliwego nie przynosiły, żadnej wiadomości o jakimkolwiek nieszczęściu. Ludzie jak to ludzie, zaczęli bąkać o fałszywym wróżbiarzu i niepotrzebnej wędrowce nad jezioro Potaro. Przyjaciele moi przekonywali ich, że tak czy owak lepiej żyć jak najdalej od Karapany i Konesa, tym bardziej że Kumaka dzięki półwyspowi miała znakomicie obronne położenie.

Szepty w istocie niebawem ustały, a wtedy – mniej więcej w dwa tygodnie po naszym przybyciu na nową siedzibę – gruchnęła wieść o dotknięciu kilkorga dzieci w Serimie tajemniczą chorobą. Dochodzące nas nazajutrz szczegóły niestety potwierdziły, że to odra i że więcej dzieci zachorowało tudzież paru dorosłych. Wiadomość wywołała zrozumiałe przygnębienie, a gdy kilka dni później dowiedzieliśmy się o pierwszym wypadku śmierci,

wszystkich ogarnął głuchy lęk przed tym, co jeszcze spadnie. Kazałem wzmocnić warty, przypomniałem o zakazie zbliżania się do Serimy, a ludzie skwapliwie wszystko wykonywali. Rzadziej przedostawały się teraz wieści z nieszczęsnej osady, ale każda była coraz gorsza i bardziej przygnębiająca. Często śmierć kosła tam ofiary, i to przeważnie wśród małych dzieci. Nie przynosiło mi pociechy gorzkie stwierdzenie, że sprawdziły się nadaremne przestrogi i że ludzie mieli teraz do mnie więcej wiary niż kiedykolwiek.

Nieszczęściem Serimy najbardziej przejął się Aripaj. Zazwyczaj spokojny, dobrodusznie zrównoważony, wyglądał obecnie, jak gdyby nosił w sobie niezdrowy ogień i sam był chory. Oczy latały mu spłoszone. Żona jego i dzieci żyły bezpiecznie w Kumace, nic im nie groziło, więc tym dziwniejsze wydawało się zachowanie Indianina.

–Co ci jest, Aripaj? – przyjaźnie zagadnąłem go, gdy spotkaliśmy się nad brzegiem jeziora.

Zmieszał się i nawet uczynił ruch niby do ucieczki, ale przytrzymał go łagodnie za ramię. Był to człek uczynny, chętny do usług każdemu, kto go prosił, a od czasu wspólnej wyprawy na wyspę u ujścia Itamaki zapanowała między nami wielka serdeczność.

–Co ci jest? – powtórzyłem zatroskany. – Źle wyglądasz, przyjacielu. Czy mógłbym ci pomóc?

Uśmiechnął się żałośnie i drwiąco, że to niemożliwe, aby można mu pomóc.

–Uważasz, że nie mogę być ci użyteczny?

–Nie, Biały Jaguarze.

–Więc co tobie? Oczy masz zapadłe.

–Nie ciało choruje – serce.

Przechylił się ku mnie, szczęki mu drżały jakby w febrze. Od gorączki oddech miał cuchnący, skwaśniały:

–Tobie, Biały Jaguarze, mogę zdradzić, co mi jest, ale nikomu innemu nie mów: serce mam chore, kanaima w nim siedzi i zatruwa moją krew. Straszny kanaima nie daje mi spać, żąda więcej krwi...

Gdy to mówił, zaczął dyszeć, jakby mu tchu nie stawało, a oczy zaszły bólem. Czaił się w nich ślad obłąkania.

–Bredzisz, Aripaj, bredzisz.

– Bredzę, ale umysł mam jeszcze cały, tylko serce chore. Kanaima!

Nastąpiła chwila milczenia. Byłem zakłopotany. Chciałbym słowa jego obrócić w żart, ale jakoś nie wypadło. Rozmowę kierując na inny tor, przerwałem ciszę.

–Mówili mi, że podobno często wychodzisz do lasu w stronę Serimy...

Zląkł się:

–Śledzili mnie? Tak prawda, kanaima mnie tam ciągnie!

–Akurat do Serimy? Nie czyn tego, strzeż się! Jeszcze ściągniesz na nas zarazę!

–Muszę tam chodzić. Ludzie giną przez jednego lajdaka, nie mogę tego znieść. Za wiele nieszczęścia! Kanaima...

–Ej, Aripaj, kopnijże tego kanaimę i zamiast włóczyć się, przychodź częściej do naszej chaty na pogawędkę.

–Nie mogę. Kanaima każe mi go zabić...

–Kogo?

–Nie wiesz?...

Spojrzałem nań uważnie. Znów zawahałem się, jak przyjąć cudaczne wynurzenia, ale w oczach jego dostrzegłem takie pomieszanie, że wolałem zamilknąć. Był dla mnie wielką zagadką. Znałem go jako dobrotliwego czleka, pełnego ustępliwości, który nawet zabójstwo syna, Kanahola, przyjął pokornie, z opanowaniem – a teraz? Co kotłowało w jego wnętrzu?

Wyjawilem moją troskę Manauriemu i innym przyjaciółom i postanowiliśmy czuwać na Aripajem.

Osobliwą opiekę rozpostarł nad nim Arasybo. Kulawiec przeżywał swoiste wstrząsy i wrzenia jakiegoś i podlegał dziwnym natchnieniom. W Kumace szły szepty, że z duchami był w konszachtach i że niektóre leśne hebu całkowicie poddać swej woli potrafił. Popłoch, jaki padł tego pamiętnego w Serimie dnia na Hiszpanów, wielu Indian tłumaczyło sobie i tym, że gdy w lesie rozległy się strzały Arasyba na postrach, słyszano tam wyraźnie skowyt i hukanie demonów.

W Kumace Arasybo przywłaszczył sobie na dobre czaszkę mego jaguara i zatknąwszy ją na kołku przed swoim szalase, co dzień dokoła niej sprawował obrzędowe tańce, niby szamańskie. W każdej ręce wymachiwał maraką, nieodzownym godłem czarownika, a donośny grzechot, jaki czyniły kamyczki wewnątrz pustego owocu, magicznym echem odbijał się w duszach mieszkańców Kumaki.

–Śmierć Karapanie! Przepowiadam rychłą śmierć Karapanie! – wykrzykiwał Arasybo swe zaklęcia na najróżniejsze sposoby i tony.

Wszyscy wierzyli, że śmierć teraz czarownika już nie minie, a najgorliwiej wierzył Aripaj. Czary te były dla niego, czym woda dla ryby, czym deszcz dla kielkującego ziarna. Szły mu do głowy, upajały. Choćby nawet chciał otrzeźwieć i wycofać się, już nie dałby rady: przecież – czego nie wiedział – głównie na niego sieci uroczne zarzucał Arasybo.

Bezradni wobec niedoli serimczyków i nie mogąc w żaden sposób nieść im pomocy – wskazówki, jak zachowywać się w czasie moru, już przedtem odebrali – teraz gorliwiej wykonywaliśmy nasze codzienne czynności, a życie Kumaki płynęło wartkim nurtem. Z drużyną zwiadowców co rano wychodziłem na ćwiczenia do pobliskiego gąszczu, przeważnie trzymając się brzegu jeziora.

Był to szmat wody zastalej, nagrzanej słońcem od miesiący, znacznie cieplejszej niż woda w rzece. Z tej zapewne czyny wrzało i klębiło się tu od wszelkiego bogactwa zwierzęcego i roślinnego. Ryby tłoczyły się gęsto niby saku, liczne stada ptactwa wodnego krasily powierzchnię jeziora albo szumiały ostrym lotem w powietrzu, a czaple i brodźce, różowe lub czerwone jak wielkie kwiaty, stały w sitowiu nadbrzeżnym. Uzupełniały, a raczej wicherzyły tę sielankową wybuchającą naturę przykre monstra, kajmany, licznie zwabione tu obfitością żeru rybiego. Wiele onych gadów, olbrzymów, nieraz piętnastostopowej długości, wygrzewało się na brzegu wśród zarośli, a gdy człowiek przechodził мимо, straszyły go raptownym zrywaniem się i wpadaniem z potężnym pluskiem do wody. Indianie twierdzili, że na ludzi, nawet kąpiących się, potwory nie napadały, ale miały tak odrażający wygląd i tyle groźnej siły, że spotkanie ich zawsze wywoływało u mnie wstręt. Polowano na nie gorliwie, mięso ich było przysmakiem dla Indian.

Pewnego razu zaprowadziłem drużynę w okolice górnego końca jeziora. Otoczeni zewsząd nieprzejrzanym gąszczem, staraliśmy się odróżnić poszczególne dźwięki i ustalać ich pochodzenie. Z rozgwaru wylawialiśmy najwięcej hałasu ptaków i piewików, ale poznawaliśmy także niezwykle kumkania żab obok stuku dzięcioła, pogwizdy małp i nawet odgłosy motyli, bo niektóre motyle miały osobliwy zwyczaj trzaskania w locie.

Nagle towarzysze moi natężyli uwagę w kierunku niedalekiego jeziora. Powierzchni jego nie widzieliśmy poprzez zieloną zasłonę, ale od czasu do czasu dochodziły nas stamtąd sapliwe szmery, jakoby ktoś kichał lub poparskiwał. Indianie, zaskoczeni, wielce się wzruszyli i nadstawiali uszu.

–Co to za zwierz? – spytałem. – Nie słyszałem go jeszcze.

–Apia – odrzekli.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, cóż to za bies-apia, a opis, jaki mi dali, brzmiał fantastycznie: to wielkie zwierzaki, ryby czy może nie ryby, bo rodziły młode, ale żyły tylko w wodzie, nie miały nóg, jeno płetwy przednie, a pysk jak małpy.

–To okrutne dziwadła! – zdumiałem się. – Czy drapieżne? Czy smaczne?

–Nie drapieżne. Smaczne! – zapewniali mnie wszyscy w drużynie. Podążyliśmy w

stroną jeziora. Indianie przedzierali się hałaśliwie, nie bacząc na łamanie gałązek ani szelest liści, czemu się stanowczo sprzeciwiłem.

–Niepotrzebna ostrożność! – tłumaczyli mi. – Apia źle słyszą i kiepsko widzą.

–Nie szkodzi! – oświadczyłem. – Nie zapominajcie o leśnym zwyczaju, że do zwierzyny podkrada się zawsze – zawsze! – tak samo jak do wroga na wojnie.

Jezioro kończyło się tu trzęsawiskiem, szuwarami i szeroką mielizną, na której rosły zielska podwodne, ulubiony żer tychże apia, jak objaśniali mnie towarzysze. Dziwolągi żyły tu w licznym stadzie i co chwila któryś zwierzak wypływał do góry wystawiając nos nad powierzchnią wody, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy słyszeliśmy ów znamieny głos chrapliwego sapnięcia. A niedaleko nas jeden apia spał na brzegu jak kamień, z cielskiem prawie do połowy nad wodą wysuniętym. Poznałem, że to zwierz bardzo podobny z kształtu ciała i z pyska do naszych morskich fok, jeno że żyjący w słodkiej wodzie i chyba znacznie większy. Niektóre sztuki mierzyły od głowy do ogona chyba dziewięć stóp. Nie płosząc stada wróciliśmy co ducha do osiedla i donieśli o odkryciu. Dzień zeszedł na ogólnych przygotowaniach do łowów, wyznaczonych na następne rano.

Do dnia byliśmy już na nogach. Myśliwych chyba dwustu wyruszyło na wszystkich łodziach, jakie były w Kumace, a wzięliśmy zarówno duże itauby jak i małe jaboty, wykonane z kory drzewa tejże nazwy. Płynęliśmy powoli, od samego początku jakby w szyku bojowym, jakby do bitwy: w pierwszym rzędzie szło kilkanaście itaub ustawionych jedna obok drugiej, a w odległości rzutu oszczepem ciągnęła druga flotylla, również jedną ławą składającą się z dwudziestu kilku jabot.

Stałem z Lasana na jednej z itaub, obok Murzyna Miguela i Manauriego. Dzierżyłem w ręku łuk ze strzałą, wykonaną umyślnie na dzisiejsze łowy. Strzała była rodzajem harpuna i tak sporządzona, że po wbiciu się w ciało ofiary rozwijała powróż z kawałkiem lekkiego drewna na końcu: raniony i nurkujący zwierz ciągnąc za sobą linę z pływakiem zdradzał łowcy kierunek ucieczki. Łacno było dognać i dobić wtedy łup. Miguel, najbieglejszy w rzucie, nie miał łuku, lecz włócznie-harpuny.

Słońce wyszło już ponad puszcę i wysuszyło nocną mgłę, gdy zbliżaliśmy się do siedliska apia. Parę śpiochów odkryłem z daleka na brzegu, leżących podobnie jak widzieliśmy poprzedniego dnia, ale większość uwijała się w głębinie jeziora żerując na wodorostach. Obecność swą zdradzała tylko wirami, powstającymi ni stąd, ni zowąd w toni, i wypływaniem co chwila do powierzchni wody dla oddechu.

Wspaniały a złowróżbny widok przedstawiała ława skradających się łodzi. Myśliwi, wpatrzeni w wodę, stali nieruchomo niby posągi, gotowi z łukiem i oszczepem, wiosłarze coraz ostrożniej zanurzali wiosła, a wszyscy w najgłębszym milczeniu. Podobała mi się ich karność i przekonany

byłem, że w ważniejszej potrzebie każdy wojownik tak samo spełniłby swą powinność.

Gdy dopływaliśmy na sto kroków do brzegu, niezmienna dotychczas linia myśliwych w jednym miejscu została zaburzona. Na prawym skrzydle coś się poruszyło. To jeden z oszczepników błyskawicznie wznosił prawicę do tyłu i cisnął z całych sił. Oszczep głucho plasnął do wody i musiał trafić, bo tam raptownie się zakotłowało. I ten pierwszy ruch jakby uroki zdjął, nagle ożywiło się w kilku innych łodziach. Nasz najbliższy sąsiad po lewej strzelał z łuku do wody raz za razem.

Także przede mną niedaleko wynurzył się apia końcem szczeciniastego pyska i w następnej chwili zamierzał wrócić do głębin. Lecz zanim znikł, cielskiem zatoczył krąg tuż pod powierzchnią wody, a ja wypuściłem strzałę. Ugrzęzła w jego tłustym boku. Zwierz umknął w dół i zniknął z oczu, przecież ze strzały odwinał się natychmiast powróż z pływakiem. Mój pływak miał kolor czerwony. Najpierw pomknął ku brzegowi, gwałtownie zawrócił i niedaleko naszej itauby minął linię nagonki, by wpaść na drugą linię, gdzie były jaboty. Tam złowili powróż i zaczęli ciągnąć, a żgać.

–Dobrze – Lasana szepnęła obok drżącym głosem. Nie taila swego wzruszenia. Była dumna ze mnie.

Trafione apia swym rzucaniem się na wszystkie strony wywoływały w wodzie zamęt okropny, więc pozostałe zwierzęta starały się uciec w popłochu, jedne w stronę szuwarów, inne ku środkowi jeziora. Ale że co kilka minut musiały wypłynąć na powietrze, a wszędzie, i bliżej brzegu i dalej, czyhały na nie łodzie z nieubłaganymi strzelcami, nie łatwo im było ujść pogoni. Coraz więcej sunęło na jeziorze, prując wodę, kolorowych pływaków, fatalnych zwiastunów śmierci, a gdzie sunęły, tam różowiła się woda od krwi. Ludzi ogarnął szal łowów. I dla nich, tak samo jak dla ich ofiar, była to sprawa bytu. Popędy pierwotnego myśliwego brały w nich górę i odsłaniały się w palającym błysku oczu, w napięciach mięśni, w porywczym ruchu. Ale najdziwniej mnie uderzyło i przejmowało wrażeniem wprost niesamowitym to, że cały ów dramat namiętnych instynktów rozgrywał się w zupełnej ciszy. Nikt nie wołał, nikt nie krzychał, nie wieścił triumfu, a również i zwierzęta nie wydawały żadnego głosu, gdy ginęły. Była to niema walka. Gdy po upływie godziny polowanie dobiegło końca, chyba niewiele żywych zwierząt ocalało uchodząc na środek jeziora. Wtedy zabraliśmy się do przycumowywania zdobyczy z tyłu łódek. Niejedne sztuki dochodziły do pięciu, sześciu cetnarów wagi. Zaciągaliśmy je na mielizny, bliżej brzegu, ażeby praca łatwiej szła, ale okazało się, że powstawały przy tym całkiem nieoczekiwane trudności. Krew zabitej zwierzyny, zmieszana z wodą, zwabiła masę ryb drapieżnego gatunku, niezbyt wielkich, znacznie mniejszych niż stopa, przecież pomimo lichej postaci niepomierne żarłocznych. Arawakowie nazywali je huma. Zębiska miały ostre jak noże. Jednym szybkim zwarciem paszczy wydzierają spory kawałek ciała ofiary i, pośpiesznie umykając, miejsce czyniły innym. A były tak zuchwale, że nacierały i na człowieka i nie można się było obronić inaczej, tylko unikaniem ich niczym ognia.

Otóż te małe potworki spłynęły setkami do naszych apia i nuże uderzać na ich ciała, aż zawrzało dokoła we wodzie. Odpędzaliśmy je kijami, jak mogli, ale skutek był mizerny; one,

nie bacząc na ciosy i wymachiwania, chciwie dopadały do żeru. W miejsce jednego, dwóch drapieżników, ogłuszonych kijem, nacierało dziesięć innych. Nieprawdopodobna ich zaciekłość widziała mi się czymś zgoła upiornym.

Jedną z hum, okaz mało większy niż pół łokcia, wrzucono żywą do łodzi. Chciałem ją chwycić i przypatrzeć się z bliska jej straszliwym zębom.

–Nie dotykaj! – porywczo ostrzegł mnie Manauri. – Tym szatanom nie można ufać! Na powietrzu, a jeszcze kasaają! Niejednemu już ucięły palec!

–To w tym jeziorze jakże się kąpać? – wzdrygnąłem się.

–Zawsze blisko brzegu. Zresztą humy nie wszędzie się znajdują, a są najwścieklesze, gdy poczują krew. Przydybią w wodzie z dala od brzegu kogo, ten stracony...

Dokoła rozpościerał się krajobraz tak piękny, tyle było słodczy i spokoju w widoku nadbrzeżnych palm i nawet potulne, wolowate apie mogłyby uchodzić za cudaczne istoty, wyjęte z jakowegoś rajy bajkowego, a tu nagle tajemnicza groza, niepoahamowana żarłoczność, aż człowiekiem wstrząsało ze wstrętu.

Ostatecznie, opędziwszy się humom, przywiązaliśmy zdobycz do łodzi i zaciągnęli ją do Kumaki. Dziewiętnaście apia dostarczyło nam zapasów tłuszczu i suszonego mięsa na wiele tygodni dla całego osiedla. Kobiety przez sporo dni miały roboty w bród. W tym okresie sytości Aripaj napawał nas wielkim zmartwieniem. Kanaima, który w nim rzekomo siedział, odbierał mu powoli rozum. Biedaczysko czuł się opętany przez szkaradne moce i tracił władzę nad sobą. Do tego stopnia dziwa-czał, że uciekł od rodziny i stale błąkał się jak nieprzytomny po manowcach leśnych. Do Kumaki już nie przychodził wcale, nawet noce spędzał w puszczy, wszakże przebywał w pobliżu, bo nasi myśliwi i zbieracze owoców często go widywali. Nie pozwalał wtedy zbliżyć się do siebie, takie oto zwierza dzikiego przybrał obyczaj, i jeno z daleka zlorzczył ludziom krzykiem bezrozumnym, wygrażał pięścią, a wyjękiwał imię kanaimy.

–Ratujmy go! – nalegałem na przyjaciół. – Bierzmy go do Kumaki, choćby przemocą.

–To być nie może! – odparł Manauri. – On chodzi do Serimy. Może jest zarażony.

–Czy na pewno chodzi?

–Na pewno, Janie!...

Przeto nie było mowy o ściągnięciu go do Kumaki, lecz przeciwnie, należało nie dopuszczać do naszego półwyspu. Wieści o jego markotnej chorobie przyjaciele przyjmowali z cierpliwą wyrozumiałością i tłumaczyli mi jej zjawisko. Ów rodzaj szału, dobrze im znany, niejedną raz porывał leśnych Indian. Mianowicie gdy spotykała ich wielka krzywda, nawiedzał ich duch zemsty i tak długo prześladował, a zmysły im rozstrajał, a myślenie mieszał, dopóki nie ugasili cierpienia w krwi winowajcy – jeżeli przedtem sami nie zginęli od niego. Wtedy dopiero, po nasyceniu zemsty, stawali się znowu zwykłymi ludźmi. Aripaj musiał zabić czarownika Karapanę, dlatego tak szalał.

–A jeśli nie on czarownika zabije, lecz czarownik jego? – zatrwożyłem się.

–To już od kanaimy zależy i na to nie ma rady.

I w istocie nie było rady. Nie mogliśmy Aripaj owi w niczym pomagać, on tymczasem krążył dokola Serimy jak sęp i karmił się żrącą żółcią jej niedoli. Tam wciąż źle się działo. Większość ludzi zapadła na odrę, śmierć szalała, zwłaszcza ginęły dzieci. Żal i rozgoryczenie dręczyły serca tych, co jeszcze pozostali przy zdrowiu, a rozpacz i wściekłość kazały coraz głośniejsze przeklinać starszyznę. Aripaj słyszał ich złorzeczenia i sam podjudzał. Takie były nastroje i tam, i tu, gdy spotkała mnie niesamowita przygoda w naszym piekielnym jeziorze i o kruszynę nie przyplaciłem jej zatonięciem. Diabli nadali jezioro. Ileż tam jeszcze kryło się stworów?!

Spód jego był ciemny, mulisty i tylko w jednym miejscu brzegu jaśniała piaszczysta, kilkudziesięciokrokowa mielizna. Znajdowała się niedaleko Kumaki, więc często przychodziliśmy tu do kąpieli. Liczne w Potaro kajmany istotnie zostawiały nas w pokoju, a że nigdy nie śmieliśmy wypływać poza mieliznę, nie narażaliśmy się również drapieżnym humorem. Tam, gdzie płytkość się kończyła przechodząc w mroczną głębię, woda sięgała mi zaledwie do piersi. Na pograniczu piasku zwykle ochoczo dokazując, zażywaliśmy kąpieli.

Któregoś poranku poszło nas tam kilku. Naraz Pedro, pluskający się niedaleko mnie, wydał zduszony jęk, a gdym spojrzał na niego, przerażenie i ból wykrzywiały jego twarz. W następnej chwili, bez żadnego oporu, zapadł w wodę. Wydało mi się to całkiem nienaturalne, bo wody było tu na trzy, cztery najwyżej stopy.

Rzuciłem mu się na pomoc i widząc go przez czystą wodę na gruncie leżącego, chwyciłem za czuprynę i targnąłem w górę. Głowa jego wychyliła się znów nad powierzchnię, ale właśnie wtedy ja także doświadczyłem czegoś strasznego. Było to uderzenie tak silne i tak bolesne, że na chwilę pozbawiło mnie przytomności. Przy tym ból uczulem wszędzie, a wewnątrz ciała największy, jakby mnie tam cęgami zduszono, bebechy targając i kości łamiąc. Podobnego bólu czy porażenia nigdy dotychczas nie zaznałem. Zanim zemdląłem, przez mgnienie oka widziałem w wodzie czarny kształt jakiejś uciekającej ryby. Czyżby ona była wszystkiego przyczyną?

Tracąc władzę nad sobą, teraz ja dostałem się pod wodę, ale resztkami sił walczyłem, by wypłynąć nad powierzchnię. Wtedy otrzeźwiał Pedro uchwycił mnie za ramię i już po doznanym wstrząsie wracałem do zmysłów, gdy zniemacka ponowne pchnięcie zważyło mnie

doszczętnie z nóg. Jeszcze większa niż wprzód obeszła mnie boleść: to jakby wskroś przeszło me ciało coś, co wilczym szarpnęło kłęb. Mając wrażenie, że to śmierć, straciłem pamięć na dobre.

Leżałem pod palmą kokosową nad brzegiem jeziora, kiedym przychodził do siebie. Wraz z odzyskaniem świadomości coraz silniejszy ból dręczył me wszystkie członki i ścisnął serce, dławil gardziel. W pierwszych minutach palcem ruszyć nie zdołałem, ale potem bezwład z wolna odpływał z ciała i jakby boleść tajała również. Dokoła nade mną stali przyjaciele, a między nimi Pedro, już w siłach, i okazywali radość, gdym wracał do życia.

–Co to było? – szepnąłem nieswoim głosem przez ściśniętą krtań.

–Niewiele ci już brakowało, Janie! – Wagura szczyrzył zęby.

–Do pójścia w zaświaty?

–Aha.

–Co za potwora tak mi dopiekła? – pytałem.

Wagura i inni, promieniejąc z uciechy, wskazali na miejsce

obok mnie. O dwa kroki leżała ryba, może trzyfuntowa, może trochę większa.

–To ona? – zdziwiłem się patrząc z szacunkiem na bestię tak niewielką.

–Ona: arimna.

Ryba, kształtem przypominająca krępego węgorza, była koloru ciemnooliwkowego i po bokach nacętkowana dwoma rzędami żółtych plam.

–Ubiliśmy ją! – cieszył się Wagura. – A ciebie ledwoś-my żywego wyciągnęli.

–Ależ ona mnie wcale nie ukąsiła – stwierdziłem osłupiały.

–Bo też wystarczy, żeby lekko dotknęła, to w tym dotknięciu już taka piekielna siła! – wyjaśniał młody przyjaciel nie bez przechwałki.

–Czy wy, Hiszpanie – zwróciłem się do Pedra – znacie tę przeklętą rybę?

–Owszem, znamy ją! Dość pospolita w niektórych wodach, zwłaszcza bardzo ciepłych. To temblador a Indianie nazywają ją „odbierającą ruch”.

_ Czemu nie nazwali jej smokiem piekielnym? – rzekłem

z taką zawziętością, że wszyscy buchnęli śmiechem, i ja także.

Byliśmy w humorach, bom szybko wracał do sił i już w pół godziny później, podpierany w ramionach, mogłem ruszyć na własnych nogach do Kumaki. Ale mimo to bóleści trwały i ustąpiły dopiero po dwóch dniach.

Odtąd jeszcze większą zgrozą i odrobiną niewytłumaczonej czci napawał mnie widok naszego jeziora. Czy dziwić się, że Indianie, otoczeni tak niesamowitą przyrodą, wszędzie doszukiwali się śladów złych demonów, krwiożerczych widm i upiorów, pomiotu ludożercy Piaimy lub Makunaimy, bóstw zło-czynnych?

Nazajutrz po przygodzie z tembladorem przybyli goście znad Orinoka, Manduka i jego Warraulowie, wracający z pogoni za Hiszpanami. Nikogo nie stracili; było ich dziesięciu jak przy wyruszeniu. Manduka lubił ceremonie i chciał poszczycić się karnością swoich wojowników: zanim wyrzekł jakiegokolwiek powitanie, ustawił swych ludzi w jednym rzędzie przed moją chatą i czekał na przybycie tłumacza. Prócz Aripaja było w Kumace kilku Arawaków, władających trochę językiem warrauskim. Po przywołaniu jednego z nich Manduka doniósł, że wykonali zadanie: zdobyli cztery muszkiety, cztery pistolety i pięć noży.

–Gdzieście ich napadli? – spytałem.

–Na ostatnim postoju przed Angosturą. Wtedy byli już tak pewni siebie, że zaniechali czat.

–Bez walki się obyło?

–Troszkeśmy ich poszturchali.

I Manduka z woreczka wyrzucił na ziemię czternaście odciętych uszu, związanych parami: cztery pary uszu Indian, trzy białych ludzi. Obecni Arawakowie westchnęli z podziwu.

–Czy don Esteban między nimi? – wskazałem na te trzy jaśniejsze.

–Nie.

–Czy zmiarkowali, kto na nich napadł?

–Nie.

–Co zamierzacie teraz robić?

–Pozostać tu, aż nie nauczymy się strzelać, potem wrócić do Kaiiwy, do Oronapiego.

–Dobrze. Odpocznijcie, najedzcie się i jutro do pracy.

Manduka zwlekał, miał jeszcze coś na sercu. Spojrzałem nań pytająco.

–Czy jesteś z nas teraz zadowolony, Biały Jaguarze? – błysnął wesoło okiem.

–Rozlew krwi, jeśli nie w istotnej obronie, nie w moim guście. Ale przyznać się godzi, że odwagi to wam nie brak.

Gdy dowiedzieliśmy się szczegółów napadu, nabraliśmy wielkiego mniemania o zręczności tej garstki Warraulów:

Korzystając z nocy, uporali się w cichości z pięcioma przeciwnikami odbierając im życie i broń, zanim reszta ich odkryła i uderzyła na trwogę, a i potem w dalszym ciągu dwom dali łupnia, sami najmniejszego nie ponosząc szwanku.

–Jeszcze jedno muszę ci donieść – rzekł Manduka na

koniec. – Przeplýwaliśmy obok Serimy. Tam się coś dzieje. Ludzie krzyczeli i biegali, jakby się bili...

Nie przesadzał. Rzeczywiście powstała tam bójka, wybuchł bunt przeciw starszyźnie. Tak długo siali wodzowie zły wiatr, aż zebrali burzę. Rozgoryczenie przeciw nim, długo tłumione, wreszcie zerwało ludzkie tamy i przerodziło się w gwałt. Poturbowano Konesa i pozbawiono go wszelkiej władzy, nawet odebrano mu naczelnictwo rodu. Podobny los spotkał jego zausznika i prawą rękę: Pirokaja. Natomiast najsroźszy gniew Serimy skierował się przeciw czarownikowi Karapanie. Zrozpaczony tłum poprzysiął zemstę i postanowił go zabić, ale on zawczasu przewąchawszy, co go czeka, umknął do puszczy i zaszył się w nie znanym nikomu odludziu. Pewnie liczył na to, że wściekłość serimczyków wnet ostygnie, a uprzytomnią sobie, jakie szalone popelnić chcieli świętokradztwo – i liczył słusznie, gdyby nie cichy oblęd Aripaja.

Jego, który miał duszę podwójnie przeżartą, bo i niedolą szczepu, i własnym rodzinnym nieszczęściem, nic już powstrzymać nie mogło, taka zawziętość wrosła mu w serce. Przymus zabicia czarownika opętał go do tego stopnia, że dniem i nocą, nie znając wyczerpania, czatował na skraju puszczy w pobliżu chaty Karapanowej. I doczatował się. Któ' rejś nocy czarownik się zjawił. Było to na czwarty czy piąty dzień po powrocie Warraulów. Aripaj nie przeląkł się ani czarodziejskiej mocy, ani magicznej czci, jaką roztaczał Karapana: rano następnego dnia ludzie znaleźli sztywne zwłoki czarownika z nożem w przebitym gardle, a obok nich leżał Aripaj, ciężko ranny po stoczonych walce.

Tak więc Karapana nie uniknął swego losu, a tragiczne wypadki ostatnich dni do głębi wzburzyć miały cały dotychczasowy porządek i nadać inny bieg życiu ludzi nad Itamaką.

19. Noc Mukuari

Zaledwie doszła nas wieść o ciężkim stanie Aripaja, tejże chwili czterech ochotników pospieszyło do Serimy, by uchronić go przed jakimikolwiek mścicielami. Udało im się, przydźwigać go żywego na noszach do Kumaki, lubo życie jego wisiało na włosku.

Gdy ujrzałem go w naszym osiedlu, leżał na wpół przytomny, z zamkniętymi oczyma, jakiś szczupły, węższy niż zwykle, a przede wszystkim uciszony. Przejmująco cichy. Spełniając swe krwawe zadanie, wypłoszył ze siebie dręczące demony. Dały mu oto spokój: w tym jego potulnym ukojeniu było coś wielce wzruszającego. W Kumace nie pozostał, zaraz wyniesiono go dalej. W ukrytym miejscu półwyspu wtajemniczeni przyjaciele zbudowali mu szałas i oddali go tam pod pieczę jego żony, zaopatrzywszy rodzinę w zapasy żywności. Miał w tej samotni pozostać aż do wyleczenia się, ażeby, jeśli sam nosił w sobie zaród odry, choroby nie przeniósł na Kumaka.

Jednym z najważniejszych obrzędów arawaskich był w owe czasy taniec mukuari, wykonywany zawsze wtedy, gdy zachodził wypadek śmierci wśród swoich. Ów taniec miał na celu odpędzenie od siedzib ludzkich duszy zmarłego, ażeby nie szkodziła żywym. Śmierć czarownika obchodziła wszystkich mniej lub więcej w szczepie, więc również i Kumaka postanowiła nie uchylać się od mukuari.

Zazwyczaj obrzędu dopełniano zaraz po śmierci, ale tym razem należało odroczyć uroczystość: jeden z naszych rybaków odkrył na Orinoko wyspę, na której właśnie wielkie rzeczne żółwie tysiącami znosiły jaja. Wiadomość ta podnieciła i na nogi poderwała całą Kumakę, jaja żółwie bowiem należały do największych przysmaków indiańskich. Tedy uchwalono wpierw wyruszyć na Orinoko, a potem dopiero rozprawić się z duszą zmarłego.

Prawie połowa ludności Kumaki, i to całymi rodzinami, wzięła udział w wyprawie. Rzeczne żółwie w okresie znoszenia jaj, a więc w naszych okolicach w styczniu, lutym, zbijały się w olbrzymie stada i wyszukawszy ustronną, piaszczystą wyspę, nocami wychodziły z rzeki. Jaja składały na brzegu w piasku, zasypując je w przemyślny sposób, ażeby inne zwierzęta, łakome na specjał, nic nie zauważyły. Żółwie dziesiątki nieraz mil sływały do tej jednej wyspy i jej oraz ciepłym promieniom słońca powierzały losy potomstwa.

Na takiej to wyspie nasz rybak odkrył w piasku tropy znamienne dla lęgów żółwi i powiódł tam flotyllę kumackich łodzi. Gdy łowcy wracali po dwóch tygodniach, wesole ich oblicza już z daleka świadczyły o powodzeniu wyprawy. W istocie dwie łodzie jaboty wypełnione były aż niemal po brzegi żółtą, galaretowatą masą rozbitych z łupin jaj.

Na ten widok chwyciłem się za głowę.

–To chyba więcej niż dwa tysiące jaj! – zdumiałem się. – Wytępicie żółwie, jeśli

tak co rok niszcycie ich zarodek.

–Co rok wszyscy Indianie nad rzeką zbierają jaja od niepamiętnych pokoleń, a

żółwie istnieją – wyjaśnił Mabukuli, głowa rodu Żółwi.

Był jeszcze inny powód do ogólnej radości, mianowicie przesilenie zarazy w Serimie. Jak gdyby między czarownikiem a chorobą istniał jakowyś kaduczy związek, mniej więcej od dnia śmierci Karapany nowych zapadnięć już nie było. Zdjęci chorobą przychodzili powoli do siebie, a lubo niektóre dzieci jeszcze marły, straszliwy mór cofał się wyraźnie jak rzeka po wielkiej powodzi. Ludzie czuli się lepiej i z dnia na dzień nabierali krzepy tudzież otuchy. Czwartą część dorosłych w Serimie zmiotła choroba, a dzieci do lat pięciu prawie wszystkie wyginęły – przecież reszta wylizywała się teraz ku zdrowiu.

Na skraju Kumaki rósł gaj, składający się z palm buriti, i tu, blisko brzegu jeziora, na trzeci dzień po powrocie z wyprawy znad Orinoka, rozpoczęła się uroczystość mukuari. Miała trwać całą dobę i zakończyć się ucztą, na którą przygotowano potrawy z żółwich jaj tudzież wystawiono liczne garnce nieodzownego kasziri.

O świcie tegoż dnia przebudziły mnie gromkie dudnienia bębnów, grzmiące z różnych stron Kumaki – i już nie miały ustać przez wiele godzin. Wtem do mej chaty wśliznęło się upiorowe straszidło. Było w masce, przedstawiającej odpychającą bestię o drapieżnych kłach. Milcząc widmo wykonywało przede mną taneczne, groźne ruchy, jakby chcąc mnie nastraszyć. Po lekkim utykaniu na lewą nogę poznałem przybysza.

–Arasybo! – rzekłem. – Nie wygłupiaj się!

Indianin przystanął i zdjął maskę z głowy.

–Biały Jaguar nie da się otumanić! – stwierdził kulawiec z uznaniem, dodając tajemniczym głosem: – Ale i Arasybo jest dziś nie byle kto.

–Że obleka się w taką poczwarę? – zapytałem wskazując na jego maskę.

–Nie to, bo wszyscy w tańcu pokryją głowy jakąś maskarą. Ale ja dziś wodzirej na mukuari, to wielki zaszczyt...

Teraz dopiero zauważyłem na jego brzydkiej twarzy zajadły wyraz cudacznej dumy. Indianin dobył z worka, wiszącego mu u pasa, dwie maraki, owe oznaki władzy szamańskiej. Wzniósł je nad głowę i puścił w szybki ruch: tkwiące w ich wnętrzu kamyczki ostro, wyzywająco zaterkotały. Równie wyzywająco Arasybo wlepił we mnie zezowaty wzrok czyniąc drobne kroki niby do tańca.

–Ho ho! – zagwizdałem ze zdziwienia. – To ty tak wysoko sięgasz? Godności czarownika ci się zachciewa?

_ Arawakowie stracili czarownika – odrzekł śpiewnie nie

przerwywając grzechotania nade mną. – Arawakowie potrzebują czarownika!

–Ej, przyjacielu, czyżby? – powątpiewałem.

–Potrzebują, potrzebują! – zapewniał, a twarz mu się szpetnie krzywiła uniesieniem. – A kto zabił złego czarownika, twego wroga?

–Ty?

–Kto pokierował ręką Aripaja? Kto nastawił czaszkę jaguara?

–Ty? To moja czaszka przecież.

–Ale moje ręce ją zatknęły na żerdzi. A kto oddanym ci przyjacielem, Biały

Jaguarze?

–Ty?

–Czy nie muszę ci być wdzięczny za to, żeś brał mnie pod Górą Sępów w obronę, gdy inni chcieli ponownie porzucić? Czy nie ty przedłużyłeś kulawemu nogę, gdy miał za krótką?

Odplacając się równą grzecznością przypomniałem mu wesolo:

–A kto uratował dziecko Lasany od trucizny, a moją duszę od niesławy?

Arasybo zaśmiał się chrapliwym głosem – bo inaczej nie umiał się śmiać – schował maraki do worka i nałożywszy maskę na głowę, bez dalszego słowa ulotnił się z chaty: widocznie u progu doniosłego dla niego dnia chciał zapewnić sobie moją przychylność.

Po chwili Lasana wniosła poranne jedzenie. Mieszkała z matką i dzieckiem tuż obok mej chaty, tak samo jak to było wprzódy na polanie obok Serimy. Gdy weszła, aż zajaśniało w mej chacie od blasku, jaki bił od niej, ja zaś oniemiałem z podziwu. Lasana była wystrojona jak nigdy: obnażoną górną część ciała obwiesiła wieloma sznurami, zdobnymi w barwne owoce, tudzież wieńcami wonnych kwiatów czerwonych. Lasana, jak rzadko które Indianki, była wysmukłą kobietą: kibić miała tak wąską, że można było niemal opasać ją parą męskich rąk. Ciało jej, wysmarowane dziś roślinnym olejem, rozlewało przyjemny zapach. Czarne pukle włosów, umyte w mleku kokosowym, tworzyły oprawę twarzy, w której kształtne usta rozkwitały łagodnym uśmiechem, a oczy miały wprost urzekający wyraz. Tak wilgotne były źrenice, że zdawały się rozplywać w czystej, głębokiej toni.

Gdy słońce, które właśnie wychodziło ponad przeciwnym brzegiem jeziora, różowymi promieniami uwydatniało wszelki powab Lasany, nigdy nie była piękniejsza niż tego poranku.

Nie odzywałem się ani słowem, a przecież nie trudno było spostrzec mój szczerzy zachwyt. Ułożywszy na szerokich liściach śniadanie, Lasana nie odeszła. Stała pośrodku chaty, wyprostowana w całej swej okazałości i z lekka rozbawiona, w milczeniu radowała się wrażeniem, jakie na mnie zrobiła.

I ja nie otwierałem ust, jeno wzrokiem pytałem, z jakiej przyczyny to niezwykle jej wystrojenie. Ona pierwsza nie wytrzymała, przerwała ciszę.

–Dziś wielki dla mnie dzień – szepnęła.

–Także i dla ciebie? – wybuchnąłem wesoło. – To już drugi tego rana wypadek!

–Dziś moje święto! – powtórzyła poważnie.

–Chyba nie mukuari? Kobiety w nim nie biorą przecież udziału, tylko sami mężczyźni.

–Nie... Przeprowadzam się...

–Dokąd, Lasano?

–Do twojej chaty.

Spojrzałem jej uważnie w oczy. Nie było w nich ani śladu drwiny. Mówiła to bardzo statecznie, spokojnie, jakby chodziło o drobną rzecz.

–Dobrze, dobrze – wpadłem na ten sam rzeczowy ton. – Moja chata obszerniejsza niż wasza, wygodniejsza...

Nie to! – przerwała potrząsając głową. – Od dziś wieczora będę twoją żoną.

–Ho, ho, ho, ho! Patrzcie, patrzcie! To tak w tajemnicy nagle rozporządziłaś się sama, nikogo nie pytając o zgodę?

–Pytałam.

–Kogo, mnie?

Rozmawiałam z Manaurim. Zgodził się.

–Ach, on zgodził się! A ja? Czy mnie pytano?

–Ciebie... Ty przecież... Myślałam, Janie...

Okropnie biedactwo się zmieszało i teraz ja wodziłem ją za nos. Udałem wielce zaskoczonego jej pomysłem i to zdziwienie było nieomal obraźliwe. Ona nie wiedziała, jak je sobie tłumaczyć. Bodaj czy nie po raz pierwszy straciła zwykłą pewność siebie. Zatliły się w jej źrenicach iskierki buntu:

–Jeśli odmawiasz mi swej chaty, to mogę...

**–Ależ nie, proszę do siebie, proszę! Wszakże – udałem bezlitosną zjadliwość –
wszakże przydasz się u mnie, jeśli w mojej chacie będziesz przyrządzała strawę, a nie przynosiła ją z zewnątrz...**

Pionowa zmarszczka na czole kobiety świadczyła o nadchodzącej burzy. Szlachetny gniew i żal, wypływające na śniade lica, nie pomniejszały jej urody.

–Strawę przygotuję ci zawsze smaczną, nie będziesz głodny przy mnie – odparła obrażonym głosem, ale zaraz dorzuciła z błyskiem w spojrzeniu, zaczepnie: – A synów twoich wykarmię ci na dzielnych wojowników, Biały Jaguarze. Jeśli

nie wierzysz, to patrz!

Odsunęła wieńce kwiatów, zwieszające się jej z szyi. Z wdzięczną prostotą, zaperzona i ujmująca w swej naturalnej niewinności, pokazała zdrowe, wyniosłe piersi.

Nie wypadalo już więcej przeciągać struny. Nagle rozpogodziwszy oblicze, doskoczyłem do niej i chwyciłem ją lewą garścią za włosy w tyle głowy. Potrząsnąłem tego, przysunąłem jej policzek do swego.

–Nie od wieczora będziesz żoną – szepnąłem jej serdecznie do ucha. – Teraz, od tej chwili ja ci mężem!

Widząc, z jak nieopisaną ulgą przyjęła me oświadczenie, nie omieszkałem przymówić jej żartobliwie:

–Ale jedno mi musisz przyobiecać: o ważnych sprawach razem, we dwoje stanowić będziemy...

W gaju palm buriti wzniesiono toldo dla starszyny. Spod cieniściego dachu można było wygodnie obejmować wzrokiem przebieg mukuari. Około południa udałem się na widowisko w towarzystwie Lasany. Według obyczaju kobietom nie wolno było zbliżać się zbytnio, ale ona, ciesząca się wyjątkowym mirem, posiadała wyjątkowe prawa. Wszyscy w Kumace już wiedzieli, że to „jej” dzień i spoglądali na nią z życzliwym szacunkiem.

Zastaliśmy mukuari w pełnym toku od kilku godzin. Oby- 1 czaj ten mało miał wspólnego ze zwykłym tańcem obrzędowym, a lubo uczestnicy wykonywali taneczne ruchy do hucz- nego

taktu bębnow, istota uroczystości polegała na czym innym: na wzajemnym wychłostywaniu się. Wszyscy tańcerze byli przebrani w przeróżne maski i wszyscy podczas płaśów zadawali sobie bolesne cięgi kolczastymi różgami. Cel obrzędu był jasny: zarówno udobruchać duszę zmarłego pokazując, jakie cierpienia śmierć jego sprawiała żywym, jak – i to był najważniejszy cel, ochronny – powszechnym biciem odpędzić duszę od ludzi, jeśliby złośliwe knuła wobec nich zamiary. Wszyscy dorośli mężczyźni musieli brać udział w tańcu, trwającym bez przerwy całą dobę.

Patrzą na uwijające się ohydne maskary i bezustanne ich smaganie się wzajemne, a bez przerwy mając w uszach porywisty rytm bębnow, niesposób było uchylić się od wrażenia, jakie wywierało widowisko. Wciągało wszystkich obecnych niby w wir, obezwładniało duszę, dziwaczne narzucało na stroje i choćby się chciało od nich uwolnić, nic z tego. Człowiek był jakby w zaklęciu.

Przyjrząwszy się płaśom przez dłuższy czas, zapytałem siedzącego obok mnie Manauriego:

–Czy wszyscy muszą odbyć mukuari? Nie ma wyjątku?

–Nie ma: wszyscy, którzy wyrosli z wieku chłopca. Ja tańczyłem rano, na samym początku.

–A ja?

–Ty, Janie? – zamyślił się.

Pod toldem siedziało jeszcze kilku starszyny, a więc Mabukuli, wódz rodu Żółwi, Jaki, głowa Arakangów, Konauro od Kajmanów. Jeśli roztrząsać sprawę, zali winienem uczestniczyć czynnie w obrzędzie czy też nie – i nie doszli do jasnego sądu: zmarły czarownik co prawda miał potężną duszę i złośliwie wysilał się, by mnie zniszczyć, ale przecież czary moje okazały się mocniejsze niż jego zapędy i oto tamtego pokonały. Czy mi teraz groziła dusza czarownika czymkolwiek?

–Z pewnością nie! – odpowiedzieli niektórzy wodzowie, przeświadczeni o mojej potędze, inni natomiast kiwali głową.

Lasana, siedząca nieco za mną, z wielką uwagą przysłuchiwała się rozmowie, sama ani słówka nie wtrącając. Obejrzałem się ku niej:

–A ty, co na to?

–Powinieneś tańczyć! – odrzekła bez wahania.

–To myślisz, że jego dusza mi zaszkodzi? – zdziwiłem się.

–Nie wierzę w to. Plugawa jego dusza nie może nic złego uczynić Białemu

Jaguarowi! – oświadczyła.

–Więc po co mi tańczyć?

–Żeby... – ociągała się szukając właściwego wyrazu – żeby pokazać, żeś z nami duszą i ciałem.

Powstał pomruk uznania wśród wodzów.

–Mądra kobieta! – ktoś wyraźnie pochwalil.

–Dobrze! – zgodziłem się i kazałem Lasanie przynieść skórę jaguara.

Gdy wróciła, zarzuciłem skórę na siebie i w pasie obwiązałem się lianą, ażeby nakrycie podczas hasania nie odchyłało się. Głowa moja cała weszła w głowę jaguara, a tylko z przodu pozostawał niewielki otwór dla oczu i ust. Podano mi tęgą różgę, ale ja zażądałem jeszcze drugiej do lewej garści.

–Weź dwie, dobrze – przyzwolił Manauri i równocześnie upomniał: – A pamiętaj, że im dotkliwiej kogoś zdzielisz, tym lepiej i zaszczytniej dla niego...

Widocznie tancerze chcieli dla mnie „najlepiej i najzaszczytniej”, bo skorom tylko wpadł w ich gromadę, a oni mnie poznali po skórze jaguara i wzroście, kilku na raz mnie obskoczyło. Odbijałem im się, jak mogłem, i niejednemu sierdziej przyciąłem, a przysoliłem, przecież i ja sam tęgo obrywałem. Skóra jaguara sięgała mi jeno do łydek, poniżej miałem nogi obnażone, więc towarzysze szybko odkryli moją słabą stronę i nuże tam godzić. Aby się jako tako obronić, uskakiwałem jak szalony na wszystkie strony, nie wypadając z taktu narzuconego nam przez bębny, ale mimo to niezgorzej mi się dostawało.

Taniec, przy pozornym zamęcie, jednak odbywał się w pewnym porządku, mianowicie tancerze poruszali się naprzód po obwodzie kręgu o średnicy trzydziestu mniej więcej kroków. Dla dopełnienia obrzędu wystarczało jeden raz przetańczyć dokoła. Więc gdy w końcu znalazłem się znowu naprzeciw tolda i z furją wydzieliłem ostatnie razy w prawo i w lewo, dopełniłem swego obowiązku i kilkoma susami wyskoczyłem z koła.

Bębny, jakby dziękując mi, wszczęły na chwil kilka ogłuszający łomot w wariackim tempie, po czym wróciły do zwykłego taktu, a ja podążyłem na swe miejsce pod toldem. Wszyscy mnie chwalili.

Najszcześliwsza była Lasana, wzruszona do głębi. Nogi miałem w wielu miejscach pocięte, a także przez policzek zadano mi dwie głębokie rysy. Na nogach rany wkrótce same zakrzepły, natomiast z policzka Lasana językiem zgarnęła krew raz i drugi i blizny obeschły. Gdy tak ona,

pełna troskliwości, przechylała się nade mną, siedzącym na ziemi, przypomniałem sobie, jak kilka tygodni temu ratowała mi życie wysysając jad wężowy z rany – i taka teraz zdjęła mnie czułość dla oddanej kobiety, że musiałem się powściągnąć, aby nie objąć jej ramionami i nie przycisnąć do siebie.

Wnet przystąpiło do naszego tolda kilkunastu Indian i zapytało starszyznę, kto będzie czarownikiem w miejsce Karapany.

–Zaraz po zakończeniu mukuari – odrzekł Manauri – odbędziemy naradę wszystkich mieszkańców Kumaki i ustalimy, kogo chcemy mieć czarownikiem.

–My już wiemy, kogo chcemy mieć! – buńczucznie oznajmili wojownicy. –

Arasybę.

–Także mieszkańców Serimy godzi się zapytać – przypomniał naczelny wódz.

–W Serimie nie ma nikogo, który by tak się nadawał jak Arasybo! – zapewnili tamci. – My chcemy Arasybę. Czy masz co przeciw niemu, Manauri?

Indianie, podnieceni tańcem, byli nieco natarczywi. Manauri pytająco spojrzął na mnie.

–Czy koniecznie musi być nowy czarownik? – zapytałem z głupia frant.

–Musi być, musi! – odpowiedzieli, bo bez czarownika nie wyobrażali sobie szczepu.

–Przekonany jestem, że dla nas, ludzi z rodu Białego Jaguara, czarownik byłby zbyt cenny – zauważyłem.

–Pah, dla naszego rodu! – Manauri z lekka wyduł wargi.

Siedzący z nami wodzowie innych rodów kwaśno przyjęli

jego słowa dopatrując się w nich poczucia wyższości, a Mabukuli, głowa rodu Żółwi, lubo bliski przyjaciel Manauriego, poderwał się do niego zadziornie: – To uważasz, że inne rody są gorsze niż, wasz?

–Nie gorsze, Mabukuli, ale nasz doświadczeńszy, przetarty, bo nie zaprzeczysz, że otrząsał się w niewoli i miał ciężkie przejścia...

–Temu nie zaprzeczę – przyznał Mabukuli burkliwie. Manauri od nowa spojrzął

na mnie i zapytał:

–Więc co sądzisz, Biały Jaguarze?

–Jeśli musi być czarownik, jak wszyscy twierdzicie, to najlepszy oczywiście Arasybo – oświadczyłem ku zadowoleniu wojowników.

–I ja tak myślę! – zgodził się Manauri.

Indianie radzi, że zadość się stało ich życzeniu, rozbiegli się i wkrótce cała Kumaka wiedziała, że Arasybo będzie czarownikiem.

Pod toldem nastąpiło milczenie. Manauri nie miał wesolej twarzy, był przygaszony. Oczy jego spoczywały na płaszcach mukuari, ale myślami snadź wybiegł gdzie indziej, daleko od palmowego gaju. Odczuwał już teraz przedsmak trudności, jakie napotka na kolczastej drodze rządzenia. Po chwili nachylił się do mnie i szepnął jakby ze skargą w głosie:

–Już zaczęło się. Arasybo urabia ludzi na swą modłę...

–Arasybo pozostanie ci wierny – zapewniłem go.

–Jak długo? – odrzekł z gorzkim uśmiechem w kątach ust.

Jak już zauważyłem, na tych, którzy przyglądali się tańcom, mukuari czynił przejmujące wrażenie. Człowiek podlegał niby odurzeniu i zapadał w jakowąś nicość półsenną, jednocześnie słodką i trapiącą. Staralem się dojść tego przyczyny i spostrzegłem, że mukuari to równocześnie upajająca gra rozpasanych, najwspanialszych barw. Maski i szaty tańczących przeważnie uplecione były z ptasich piór, więc całe skłębione bogactwo tutejszej przyrody mieniło się, lśniło przed nami nieopisanym przepychem kolorów urzekając ludzkie oko i umysł.

Gdy towarzyszący mi zwróciłem na to uwagę, nie szczędząc im cierpkiej wymówki, że dla dogodzenia parszywej duszy niegodziwca Karapany musiało zginąć tyle ślicznych istot, leśnych ptaków – starszyzna z uprzejmym ubolewaniem przyznała mi słusność, ale rozłożyła ręce na znak bezradności, a Jaki, wódz rodu Arakangów, rzucił ni to żartem, ni poważnie:

–Bo widzisz, takie już przeznaczenie ptaków, że ludzie im wrogami.

–Wrogami ptaków? – zdziwiłem się.

–Tak jest! – odparł z przebiegłym uśmieszkiem. – One ciężko naraziły się ludziom.

Jeszcze powiesz, że to ptaki są winne? Dziwnie to jakoś prawisz, Jaki!

Bo też i dziwna to rzecz, Jeśli chcesz słuchać, mogę ci opowiedzieć.

Przysiadł się bliżej do mnie zajmując miejsce tuż przed Lasaną. Ręką pocierał sobie długo usta i brodę, skupiając myśli. Potem rzekł:

Pochodzi nasz ród, wiesz o tym, od ptaków arakang i widziałeś już niejedną arakangę, i podziwiałeś jej piękną szatę: to największa z naszych papug, a pióra ma szkarłatne jak świeża krew, skrzydła zaś modre jak błękit najbardziej niebieskiego nieba. Ten nasz ptak rodowy jest najśmielszy, a jak tego dowiódł, posłuchaj!

I Jaki opowiedział mi następujące podanie:

W dawnych, pradawnych czasach życie było proste, wszystkie ptaki jednakowo szare, a ludzie uważali się za jedną rodzinę ze zwierzętami i ptakami i żyli z nimi w braterskiej zgodzie. Atoli wszyscy mieli jednego strasznego wroga. Był to olbrzymi wąż wodny, istny potwór o cudownie barwnym ciele i o przerażającej żarłoczności. Z wodnej mroczy wypelzał na ziemię i wśród zwierząt, i ludzi czynił okropne spustoszenia pożerając wszystko, co mu pod, paszczę popadało.

Wreszcie przebrała się miara utrapień i powstała rozpaczliwa myśl zabicia zbrodzenia. Ale był to, jako się rzekło, olbrzym, silacz niezwalczony, więc któż by chciał pierwszy targnąć się na takiego możnowładcę? Taki zuchwalec w nagrodę miał otrzymać piękną skórę węża, ale każdy bał się o własną skórę i zwlekał. Ludzie oglądali się na zwierzęta, zwierzęta na ptaki, wszyscy chytrze zachęcali się wzajemnie, wszakże każdy bał się uderzyć pierwszy. Wstyd było patrzeć na taki upadek ducha i słyszeć wszystkie tchórzliwe wykręty.

Wreszcie dzielna papuga arakanga nie mogła ścierpieć sromoty i zgłosiła się z dobrej woli.

O arakango – przypochebnie zaskrzeczały orły i sępy ty masz silny dziób, ty najbardziej się nadajesz, tyś bohaterka!

–Dzielna arakango – skwapliwie podjęli ludzie – zdobędziesz chwałę po wsze czasy!

. Wbijali ją w dumę, wynosili pod niebiosa, kadzili, sławili, byleby tylko szła pierwsza na węża, ale ona poszłaby i bez tego, bo serce miała mężne.

Arakanga wypatrzyła chwilę, kiedy potwór spał niezbyt głęboko pod powierzchnią wody, wzięła w dziób strzałę, umocowaną na końcu długiego powroza, nabrała powietrza w płuca, znurkowała i strzałę wbiła głęboko w cielsko dusiciela. Zebrany na brzegu tłum zaczął z całych sił ciągnąć za linę i wyciągnął węża, a wtedy wszyscy hurmem rzucili się jak jeden mąż na wroga i zatłukli go.

Tedy leżał u ich stóp, błyszczący wszystkimi barwami tęczy, jakby kamieniami drogocennymi wysadzony: wszyscy patrzeli nań pożądlivym wzrokiem, a najpożądlivszym – ludzie. Ludzie, niepomni umowy, pragnęli przywłaszczyć sobie pyszną skórę, więc gdy arakanga zgłosiła się po nagrodę, warknęli na nią:

–Jakże ty, ptak, udźwigasz tak ciężką skórę wielkiego węża? Nam ją pozostaw, nam, silnym, a

ty precz idź!

Ale arakanga nie myślała zrzekać się. Przywołała wiele innych ptaków do pomocy: wszystkim razem powiodło się wspólnymi siłami unieść zdobycz w ustronne miejsce. Odprowadzały je przekleństwa rozwścieczonych ludzi i ich głośnie groźby zemsty.

Ptaki, wiadomo, do tej pory miały jednostajnie szare upierzenie. Zdobywszy skórę węża pocięły ją na drobne części i każdy gatunek sprawiedliwie dostał jeden lub więcej kawałków dla wystrojenia się. Dlatego ptaki mają dziś zdobne pióra, a najbarwniejsze są arakangi, bo zasłużony ptak najpiękniejsze oczywiście dostał kawałki skóry.

Ale zajadli ludzie nie zapomnieli swej złości i długo się mścili na ptakach, prześladując je na każdym kroku. Nawet dziś jeszcze, lubo dawno już zapomnieli o uczuciu zemsty, myśliwi zapalczywie polują na ptaki i jeśli ujrzą którego z nich, pierwszą ich myślą jest, jakby go dostać.

–Tak to – kończył Jaki, wskazując na setki barwnych piór, pokrywających maski tańczących – tak to tych dawnych bohaterskich a smutnych wypadków następstwa masz, Biały Jaguarze, przed własnymi oczyma: ptaki posiadają pstre pióra, a ludzie gorliwie ptaki zabijają – i my, z przyjaznego ptakom rodu Arakangów, nawet my niezdolni ich powstrzymać...

Jaki umiał ładnie opowiadać i wszyscy pod toldem z ciekawością słuchali, chociaż na pewno stare podanie nie było im obce. Gdy skończył, nastąpiło przyjemne ożywienie, a Manauri kazał przynieść kasziri dla przepłukania gardła, lubo właściwa pijatyka zacząć się miała dopiero nazajutrz, po zakończeniu mukuari.

Manauri z dziwnym, wymownym, jakby chytrym uśmiechem zerkał coraz częściej ku Lasanie i ku mnie, wreszcie odezwał się:

–Dziś przeżywamy uroczysty dzień naszych dwojga przyjaciół, ale ona bardzo prosiła, żeby dzień minął jak najskromniej, bez zwykłych obrzędów – i ja się zgodziłem. Czy to dobrze, że się zgodziłem?

–Pewnie chciałbyś wystawić nas na mrówczą próbę, co? – szydziła Lasana wyzywająco.

–Na próbę mrówczą może nie, ale trochę ceremonii...

–Pamiętaj, wodzu – przerwała mu – że on jest obcy, nie dla niego stworzone nasze ceremonie.

–Toś nie widziała, jak przed chwilą sam wyskoczył do mukuari i pięknie dokonał

tańca? On obcy?

Dokonał tańca, obcy nie był, to nawet Lasana przyznać musiała. Zresztą Manauri nie obstawał i przeszedł na inny przedmiot. Był trochę zagadkowy i oznajmił, że chciałby i on poczęstować nas opowieścią. A oto ona:

Wielki łowca i pradziad szczepu Arawaków, Makanauro, z oburzeniem zauważył, że jakiś zuchwały sęp stale wykradał mu zwierzynę z sieci, nastawionych przez myśliwego. Postanowił rabusia ukarać i zaczął się, a gdy sęp, jak zwykle, nadleciał do przynęty – był to młody sęp królewski – Makanauro wyskoczył z ukrycia i złapał go. Atoli za dotknięciem ręki ludzkiej ptak przemienił się w piękną dziewczynę, uroczo uśmiechniętą.

Rozpromieniony myśliwy wziął brankę do siebie i uczynił ją swą żoną. Obydwoje zapłonęli do siebie miłością i żyli szczęśliwie. Lubo Makanauro czuł się jak w raju, przecież z biegiem czasu sumienie gryzło go coraz dotkliwiej, że żyje z żoną bez wiedzy i zgody jej rodziców – w takim to poszanowaniu już wtedy były u Arawaków święte obyczaje i zasady. A ponieważ i ją zdjęła wielka tęsknota za swoimi, któregoś dnia obydwój wyruszyli w jej rodzinne strony.

Młoda żona myśliwego miała tylko matkę, a była to Akatu, sroga władczyni wszystkich sępów królewskich. Makanauro przyjęty na jej dworze niezbyt życzliwie, ciężko musiał pracować, ażeby wkupić się w łaskę teściowej. Z lasu znosił tyle zwierzyny, że wszystkie sępy obżerały się, stale ucztując jego kosztem. Nie dość tego, Akatu chciała się mimo wszystko pozbyć wstrętnego jej zięcia, zatem kazała mu spełnić kilka zadań, przekraczających siły ludzkie. Wszelako Makanauro był niezwykle myśliwym i przy tym czarownikiem. Więc gdy kazano mu w koszyku przynieść wodę z rzeki, mrówki leśne pomogły mu: zalepiły dziurki koszyka gliną i woda nie wysiękała. Kazano mu wyciąć obszar lasu w tak krótkim czasie, że pięciu ludzi nie zdołaloby: pomogły mu różne stwory leśne, chrząszcze, jeże, dzięcioły, gryzonie – i zadanie spełnił. Akatu kazała mu w końcu wykonać wierną rzeźbę swej głowy, co było niemożliwe, gdyż leżąc w hamaku stale kryła głowę pod matą. Wtedy przyjazne myśliwemu mrówki jęły zaciekle kąsać jej ciało, zniecierpliwiona, odkryła matę. Ujrzał jej twarz i mógł ją wyrzeźbić w drzewie.

Dopełnił wszystkich obowiązków, jakie nań nałożono jako na zięcia, i chętnie to uczynił wiedząc, że teściowa miała prawo żądać od niego okupu za córkę. Teraz ostatecznie posiadał żonę zgodnie z obyczajem. Ale Akatu nie mogąc odmówić mu córki, jednocześnie nie chciała się pogodzić z losem i postanowiła go zabić. Podstępem sępy zamknęły myśliwego w ogrodzeniu, ażeby go rozdziobać. Jedynie dzięki temu, że w ostatniej chwili zamienił się w muchę i niepostrzeżony odfrunął, uszedł z życiem.

A piękna żona poszła z nim? – zapytałem.

–Nie – odrzekł Manauri – stracił ją... Jest to dla nas opowieść pouczająca, bo dobitnie przedstawia, jak ważne obowiązki posiadał nowożeniec, i wciąż u nas posiada, wobec rodziców dziewczyny... albo wobec starszyny jej szczepu – dodał z figlarnym mrugnięciem powiek.

Nie potrzeba było ostatniego przytyku, ażebym zrozumiał ukryte znaczenie opowieści i mój obowiązek złożenia starszyźnie daru za Lasanę. Ale jakiego daru? Cóż miałem tu najcenniejszego? Wzrok mój padł na srebrny, wybity drogimi kamieniami pistolet, zatknięty za mój pas. Wyciągnąłem go i podając Manauriemu rzekłem:

–Proszę, weź to! Droższego i milszego dla mnie przedmiotu nie posiadam. Chętnie ci go daję!

Wodzowie ze zdziwienia aż mlasnęli językiem: pistolet był arcydziełem kunsztu rusznikarskiego i miał ogromną wartość. Sam Manauri wielce się speszył, znikł mu figlarny uśmiech, pociemniała jego twarz w zakłopotaniu. Przed pistoletem cofnął się niemal z przerażeniem w oczach.

–Niech mi ręka odpadnie – zawołał – jeśli to wezmę od ciebie!

–A arawaski obowiązek nowożeńca? – zapytałem przekornie.

Manauri wyprostował się, dumny, karcący, a zarazem wzruszony.

–Dawno już go spełnił – oświadczył surowo – i to z jaką nawiązką?! Daleś Arawakom sto razy więcej niżeli wart ten cenny pistolet.

–Aż tyle – zaśmiałem się.

–Daleś nam przyjaźń!

~ I mądrą radę, i silne ramię wodza! – pośpieszył pochlebnie Konauro.

–Nie tyś nam winien, my tobie! – dorzucił Mabukuli.

–Jeszcze powiecie – pożartowałem sobie – że jedna dziewczyna dla mnie to za mało.

–Żebyś wiedział: za mało! – żywo przyświadczył Manauri.

–Ho, ho! – sprzeciwiła się Lasana. – Wódz naczelny, a głupstwa plecie!...

Uśmialiśmy się, było nam razem dobrze i wesoło, a ja schowałem pistolet za pas.

Jaki, głowa rodu Arakangów, dał znać, że chciałby coś powiedzieć, a gdy zwróciliśmy na niego uwagę, on uszczypliwym wzrokiem zmierzył Manauriego i rzekł:

–Wszystko to ładnie, co prawil nam Manauri, ale małżeństwo Makanauriego niezupełnie tak się skończyło, jak wódz nam to przedstawił...

–To myśliwy nie zamienił się w muchę i nie uciekł?

–Aj, zamienił się i uciekł. Ale coś ważnego nam zataiłeś!

–Gadajże, Jaki, com zataił?

–Podanie mówi, że piękna żona myśliwego zdradziła go haniebnie, uległa matce i

innym sępom, i tak samo jak one Chciała go zabić. Czy tak nie było?

–Prawda, było, było! – przyznał Manauri.

–A to podła żmija, jeśli go przedtem kochała! – oburzyłem się półzartem. –

Takie to wasze kobiety?...

–Może są i takie! – buchnęli wodzowie kąśliwie i znów zapanowała w gronie

huczna wesołość.

Lasana zrazu nic nie powiedziała, jakby uraziło ją złośliwe dowcipkowanie, i dopiero znacznie później, po uciszeniu się ochoczości, chwyciła mnie łagodnie za ramię i rzekła dość głośno, ażeby wodzowie ją słyszeli:

–Ty, Janie, nie słuchaj ich, bo to rechocące ropuchy, same rozwiązłe i plugawe mają myśli. Opowiadali ci podania szczepowe, wymyślone przez podobnych jak oni swawolników, a ile w nich prawdy? Mogę i ja ci niejedną podać baśń o wiernych do śmierci żonach i uczciwych kochankach, i o takiej miłości, o jakiej zimnokrwiste ropuchy pojęcia nie

mają.

Wodzowie przyjęli jej obelgi z życzliwą wyrozumiałością i sami zachęcali Lasanę,

by opowiedziała coś miłego.

Czy chciałbyś znać podanie o córce czarownika, zakochanej w myśliwym? – zwróciła się do mnie.

Oczywiście.

Zaczęła swym dźwięcznym, głębokim głosem:

Wawaja, młodziutka córka czarownika, jakkolwiek jeszcze na pół dziecko, posiadała namiętne serce. Zakochała się na zabój w młodym, dzielnym myśliwym. Ale była przy tym tak wstydliwa, że nie umiała ujawnić mu swej miłości, a on niczego się nie domyślał. Podlotki łatwo chwytają uczucie i szybko je tracą, ale u Wawai było inaczej. Im dłużej trwała jej skłonność, tym silniej wzbierała. Trawiąca ją tęsknota stała się tak nieznośna, że szalone pomysły przychodziły dziewczynie do głowy. W końcu nie mogąc wytrzymać rozłąki, a chcąc ukochanego stale widzieć i mu służyć, zdobyła się na krok niezwykły: poprosiła ojca czarownika, żeby zamienił ją w psa, iżby mogła stale towarzyszyć myśliwemu. Ojciec skrzyczał ją i odmówił jej, ale po pewnym czasie widząc, jak schnie z tęsknicy, spełnił jej życzenie i zamienił w psa.

Przyłączyła się do sfory myśliwego. Była rozumniejsza niż inne ogary i w mig zgadywała zamysły pana, który bardzo polubił pojętne zwierzę i chętnie je głaskał. Psina kładła głowę na kolanie myśliwego, gdy on odpoczywał w swej chacie po powrocie z łowów, i godzinami mogła mu patrzeć w oczy. Miała tylko jedną wadę: była niesforna, nabrała

dziwnych nawyków i prawie zawsze na kilka godzin przed zakończeniem polowania uciekała od myśliwego, przepadając w kniei jak kamień w wodzie.

W puszczy, pełnej demonów, dzieją się różne cuda i takie rzeczy działały się w chacie myśliwego. Gdy wracał z lasu, zastawał szałas pięknie wymieciony, ognisko buzujące, a placuszki maniokowe świeżo upieczone, gorące jeszcze. Wkrótce zjawiał się także i pies i lubo od myśliwego dostawał niezłe baty za lataninę, zwierzak rozpływał się z wylewnej radości i podskakiwał.

Myśliwy zrazu przypisywał porządki w chacie życzliwym duchom, ale to później wszystko wydało mu się jednak dziw-ne i postanowił dociec prawdy. Więc któregoś dnia wrócił z polowania znacznie wcześniej niż zwykle i zbliżając się ukradkiem, w chacie usłyszał jakieś krzątanie. Gdy zerknął przez otwór do wnętrza, ujrzał tam młodą dziewczynę rozniecającą ognisko, a na ścianie wisiała skóra ulubionego psa. Od razu zrozumiał wszystko: znienacka wskoczył do chaty, zerwał psią skórę i wrzucił ją w ogień. Dziewczyna, nie mogąc wrócić do poprzedniego kształtu, była na jego łasce. Przytulił ją do siebie i został jej mężem.

–Żyli ze sobą – zamknęła Lasana opowiadanie obrzucając wodzów znaczącym

spojrzeniem – żyli długo, aż do końca życia nierozłączeni, i byli szczęśliwi.

–No, tak, tak! – przyznawali wodzowie pobłaźliwie. – Może są i takie dziewczyny.

–Są na pewno takie dziewczyny! – ucięła Lasana.

Tymczasem dzień, wciąż pełen gwaru ludzkiego i bicia bębnów, zbliżał się ku kresowi. Świat czerwieniał od promieni zachodzącego słońca, cienie wyciągały się coraz dłuższe, w głębinach leśnych gęstniał już mrok. Ruch w samym osiedlu jak i na jego skraju, pod palmami buriti, był nader ożywiony, rozlegały się różne okrzyki, biegały dzieci, dokazywały.

Biegł także i młody Indianin, rączy myśliwy. Biegł ku naszemu toldu. Jeszcze dźwięczały nam w duszy słowa Lasany, j jeszcze okiem wyobraźni widzieliśmy szczęśliwego myśliwca i jego bogdanę, więc na chwilę – o złudo! – biegnącego młodziana mogliśmy wziąć za zjawę z opowieści. Ale tylko na chwilę.

Indianin przybiegł. Miał od szybkiego pędu zamglone oczy, a w oczach przerażenie. Wykrztusił przez zaciśnięte gardło:

–Akawoje – tam!

I wskazał na drugą stronę jeziora.

–Co gadasz? – ledwo wymamrotał Manauri.

Akawoje... przyszli!

Gdyby ziemia pod nogami nagle zapadła, nie byłoby większego wrażenia. Z nieba runęliśmy, zaparło nam dech. Zakotłowało się w głowie. Ktoś w pobliżu boleśnie jęknął.

Jeszcze wciąż siedzieliśmy jak wprzód.

–Gdzie oni, powiadasz? – pierwszy ochłonałem.

–Tam, na brzegu jeziora... Może teraz przepływają do nas. Ilu ich?

–Ośmiu.

–A skąd wiesz, że to Akawoje?

–Byłem tam, nad jeziorem, gdy wyszli z gąszczu. Rozmawiali ze mną.

–Uciekłeś im?

–Chciałem uciec, złapali mnie. Nic mi nie zrobili... Dali znać, że chcą przyjść tu do

Kumaki...

–Ilu ich było, powiadasz?

–Ośmiu.

–A inni?

–Nie wiem. Nie widziałem innych...

Szorstko wyrwany z błógiego nastroju doświadczyłem zgoła wariackiego uczucia: uczucia ulgi, że wreszcie, po tylu miesiącach oczekiwania w napięciu, cios padł, grom trzasnął, Akawoje przyszli.

Wodzowie wpili się we mnie surowymi oczami; w stężałym ich spojrzeniu dostrzegłem zaufanie i lęk. Zerwali się na równe nogi.

–Spokojnie!! – upomniałem ich przyciszonym głosem. – Niczym nie wolno zdradzić po sobie, żeśmy uprzedzeni o niebezpieczeństwie. Od tych ośmiu, jak mi się wydaje, nic nam na razie nie grozi. Ale nie

wykluczone, że na naszym półwyspie wylądowali inni Akawoje i skradają się ku nam. Może już czyhają za najbliższymi krzewami... Mimo woli wodzowie zerknęli na sąsiednie gąszcze. Nie umieli się pohamować, nie leżała im w krwi przebiegłość prawdziwego wojownika. Jedynie Manauri zachowywał się, jak należało.

–Jedno niepotrzebne spojrzenie – ostrzegłem ich – i płaci się życiem w puszczy...

W zwięzłych słowach, ażeby nie tracić czasu, przedłożyłem im plan działania na następne minuty: niepostrzeżenie rozejść się do swych rodów, po drodze ostrożnie zawiadamiając napotkanych i rozsyłać ich również, wszystkim wojownikom kazać z bronią zebrać się drużynami w chatach, równocześnie wysłać zwiadowców poza osadę – na razie na odległość pięciuset kroków – by przepatrzyli gąszcze, otaczające Kumakę.

–Słowem – zakończyłem naradę – działać tak, by drużyny były gotowe do odparcia napaści, a jednak wróg o tym nie wiedział. Niech mukuari w pełni odbywa się dalej, bębny ani na chwilę nie ustają. Ja i Manauri pójdziemy przyjąć ośmiu Akawojów – wy inni z daleka nam się przypatrujcie. Jak najszybciej donieście mi, jaką nowinę zwiadowcy przyniosą z gąszczu...

Rozstaliśmy się, każdy idąc w swoją stronę. Ci, co właśnie spełniali mukuari, tajemnie powiadomieni, bez przerwy dalej tańczyli.

Gdy znaleźliśmy się przed moją chatą, łódka z Akawojami właśnie przybiła do brzegu tuż obok naszego żaglowca. Obecność takiego statku w tym pustkowiu była czymś niecodziennym, a przecież przybysze najmniejszym ruchem czy mrugnięciem powiek nie zdradzili zdziwienia. Umieci znakomicie ukrywać swe myśli. Wszedłszy na brzeg stanęli i

jeden z nich, ich starszy, ręką począł wymachiwać przed swą twarzą na znak przyjaznego powitania. Manauri odpowiedział mu tym samym sposobem, po czym Akawoje wynieśli z łodzi swoją broń i manatki: osiem nieźle wypakowanych worków, w czasie wędrówek zazwyczaj noszonych przez Indian na plecach z podtrzymującą przepaską dokoła czoła.

–Jesteśmy wędrującymi handlarzami ze szczepu Kapong, zwanego również Akawoj

–ten, który powitał nas ręką, odezwał się łamanym językiem arawaskim – i chcemy z wami handlować. Po tośmy tu przyszli.

–Jeśli po toście tu przyszli – odrzekł Manauri uprzejmie, lubo z wymownym

naciskiem – to witamy was serdecznie i rozgoście się.

–Dziękujemy. Nie bierz nam za złe, że użyliśmy waszej łodzi do przeprawy przez

jezioro: przybywamy ścieżkami z południowych lasów i łodzi własnej nie mamy.

–Skąd nauczyłeś się mowy Arawaków?

Siedziby nasze nad rzeką Cuyuni są niedaleko ognisk Południowych Arawaków, żyjących nad rzeką Pomerun. Ja, Dabaro, często się spotykałem z waszymi braćmi...

Zaraz na pierwszy rzut oka poznać było, że to ludzie z in-nego szczepu niż Arawakowie czy Warraułowicze: byli o pół głowy wyżsi niż przeciętni mieszkańcy znad ujścia Orinoka i odpowiednio silniejsi. Lubo zjawiali

się w charakterze handlarzy, w każdym ruchu zdradzali sprężystość, pewność siebie zawołanych wojowników. Mieli spojrzenia bystre acz opanowane, minę dumną, postawę pełną godności. Białe opaski włókniane na przedramieniu i poniżej kolan tudzież czarne kreski namalowane na twarzy od ucha do nosa i do ust – stanowiły, widać, cechę szczepową. Byli w pełnym uzbrojeniu, każdy miał łuk ze strzałami, włócznię, maczugę i tarczę z twardej skóry zwierzęcej. Ani na chwilę nie rozstawali się z okazałą bronią i nosili ją tak zręcznie, że nie przeszkadzała im w innych czynnościach. Powiało od nich orężną sprawnością i ukrytą grozą, złowróżbną, a przecież nakazującą szacunek.

Gdy ceremonii powitania stało się zadość, Manauri kazał zaprowadzić gości do dwóch przeznaczonych dla nich chat, leżących w takim miejscu, że łatwo było można je pilnować ze wszystkich stron dniem i nocą. Poleciał jednocześnie zanieść im jadła i napoju obfitość, jak również drewna na ognisko.

Zwiadowcy, wysłani poza osiedle, nic podejrzanego nie wykryli w najbliższym sąsiedztwie. Więc wyprawilem ich polownie, tym razem znacznie dalej, by przetrzęśli cały nasz półwysep tudzież przeciwny brzeg jeziora. Ponieważ stamtąd przybyli Akawoje, pchnąłem przez jezioro Arnaka poleciewszy, aby szedł ich ścieżką tak daleko, jak tylko pozwoli na to światło dzienne. Potem z Manaurim i wodzami odbyłem naradę.

–Akawoje – rzekłem – ponoć najchętniej napadają nad ranem, w czasie najgłębszego snu. Przez całą noc wystawimy czaty w samej osadzie i poza nią, do czego każdy ród dostarczy ludzi.

–Czy sądzisz, Biały Jaguarze, że w lesie jest więcej Akawojów? – spytał

Mabukuli.

–Wiem na razie tylko tyle, co i wy. Ale coś mi szeptem do ucha, że przybyło ich

więcej aniżeli ośmiu.

–Ja bym głowę dał, że więcej! – oświadczył Konauro.

Wszyscy mniej lub więcej byli tego samego zdania, a że

strach ma wielkie oczy, jasno uświadamiali sobie ogrom niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad nimi: wśród szczepów Gujany i wschodnio-południowej Wenezueli tłukły się najgroźniejsze wieści o waleczności Akawojów, o ich wiecznej żądzy krwi i nieludzkim okrucieństwie. Wodzami arawaskimi nie owładnął popłoch tylko dlatego, że niezłomnie uwierzyli w moją dobrą gwiazdę i ufali mi.

–Czy są wśród naszych ludzie, znający język Akawojów? – zapytałem.

Nie, takich nie było, bo przecież dopiero dwa lata temu mieszkańcy Serimy i Kumaki przywędrowali tu z północy, znad wybrzeża Morza Karaibskiego i nigdy nie stykali się z Akawojami.

–To źle! – zamyśliłem się. – Tych ośmiu, których uważam za szpiegów, zamierza

rozgościć się u nas, jak mi się wydaje, na pewien czas, dopóki nie wywęszą wszystkiego, o co im chodzi. Dobrze byłoby mieć kogoś, kto podsłuchałby ich rozmowy między sobą.

–Nie ma takiego – wzruszył Manauri ramionami.

–Jest! – wyrwał się Mabukuli. – A Fujudi?!

Fujudi, należący do bliższego otoczenia naczelnego wodza Konesa, Arawak, którego pierwszego poznaliśmy u samego ujścia Orinoka w warrauskiej wiosce Jekuany, pochodził z południa, znad rzeki Pomerun i przybył tu dopiero przed rokiem.

–Oczywiście, Fujudi! – podchwycili Konauro i Jaki. – On umie po akawojsku, wiemy o tym na pewno...

Fujudi przebywał wciąż w Serimie nie chcąc swego czasu opuścić Konesa.

–Czy zapadł na szkarłatną chorobę? – spytałem.

–Nie.

–Wobec tego, wodzu – zwróciłem się do Manauriego – Poślij natychmiast do

Serimy szybkiego człowieka z poleceniem dla Fujudiego, by zaraz, jeszcze tej nocy, przybył do nas... Zresztą w Serimie trzeba zrobić porządek: wszystkie chałupy, w których byli chorzy, należy spalić niezwłocznie, możliwie jutro rano.

–Dobrze, Janie.

Podczas ustalania, jak mieć najlepiej ośmiu Akawojów pod strażą, Mabukuli, Jaki i Konauro zaczęli kręcić nosem i objawiać niezadowolenie.

–Sam Biały Jaguar przyznaje – dowodził Konauro – że to szpiedzy. Nie ma wątpliwości, że to nasi wrogowie. Jeśli ich zaraz zabijemy,

wyrwiemy wrzód, jaki nawiedził nasze ciało. Usuniemy niebezpieczeństwo – i zarazem wymierzymy

sobie sprawiedliwość za śmierć naszych myśliwych, którzy zginęli ubiegłej pory suchej w górach.

–Tak, zabić ich! – zawtórowali Jaki i Mabukuli.

Manauri zachnął się, jakby ukąszony przez żmiję. Milczał,

sapał i wściekłym wzrokiem mierzył swoich wodzów. Trwało przydługą chwilę, zanim się odezwał:

–Ludzie dorośli, ale słowa młokosów. Czy my to dzikie bestie, żeby nie szanować wędrujących handlarzy? Czy nikt nie widział, jak Manauri w imieniu całej Kumaki dawał przybyszom przyjazny znak gościnności? Przecz mnie tak srogo obrażacie, wy, moi przyjaciele i wodzowie, iż bezwstydnie żądacie, ażebym się podlił i łamał swe przyrzeczenia? Mej hańby chcecie?

Rozjątrzył się naczelny nie na żarty, a ja w duszy aż zacierałem sobie z radości ręce, bom widział w jego słusznym wybuchu także skutki i mego wpływu. Sfukanie ich przyjęli wodzowie spokojnie, z pewną pokorą, jeno Mabukuli, najbliższy Manauriego druh, zauważył:

–A jeśli Akawoje okażą się zdrajcami, to co?

–To co innego. Wtedy zmiażdżymy ich!

–Oby nie było za późno! – sarknął Mabukuli ostrzegająco.

Wodzowie spojrzeli na mnie, jakby w ostatniej nadziei, że wezmę ich stronę, ale zawiedli się. Całkowicie poparłem stanowisko Manauriego

dodając, że ośmiu gości winno żyć także i dlatego, by mogło posłużyć nam do mimowolnego zdradzenia kryjówki innych Akawojów, jeśli tacy w ogóle przyczaili się gdzieś w pobliżu.

Przed zapadnięciem mroku nocnego odwiedziliśmy gości w ich chatach i przekonali się, że im nic nie brakowało, po czym przyjaźnie ich ostrzegłszy, by w ciemności nie oddalali się dla własnego dobra od miejsca noclegu, pożegnaliśmy ich.

Arnak tudzież inni zwiadowcy wrócili z początkiem nocy do Kumaki. Nie wykryli żadnych śladów obcych ludzi.

W dwie mniej więcej godziny po północy zbudzono mnie. Przyszedł Fujudi. Był przejęty zadaniem, jakie miał spełnić, i cieszył się, że darzono go zaufaniem. Władał niezłe językiem akawojским.

–Poruczam ci Akawojów, będziesz im niby do pomocy i podsłuchiwał każde ich

słowo bacząc, by nie domyślali się, że ich rozumiesz – pouczałem go. – Sęk w tym, żeby nie znali ciebie z dawnych czasów.

–Nie mogą mnie znać – odparł – bo ich języka nauczyłem się od dwóch Akawojów, stale przebywających w naszym szczepie nad Pomerunem. Nigdy nie byłem nad Cuyuni...

–Tym lepiej!... Jakie wieści z Serimy?

–Zaraza jakby na dobre odeszła. Ci, co pozostali przy życiu, przychodzą do sił.

–A Koneso?

–Złamany, otepiały, opuszczony, cały się rozlazł, dniami nie mówi słowa...

–A inni?

–Wierzą w ciebie, Biały Jaguarze, i chcą się połączyć z resztą szczepu pod

Manaurim. Zrobią wszystko, co im każecie.

–Chaty zapowietrzone kiedy spalą?

–Jak tylko dzień nastanie.

Były to pomyślne wiadomości i rokowały zgodną przyszłość – byleby tylko udało nam się teraz szczęśliwie zwalczyć niebezpieczeństwo akawojskie, jeśli ono istniało.

–Czy serimczycy są należycie uprzedzeni o zjawieniu się Akawojów?

–Tak jest. Będą się pilnowali.

Po rozmowie z Fujudim kazałem mu przespać się parę godzin, sam zaś obszedłem wystawione stráže i wszystkich zastałem na posterunkach. Odwiedziłem także gaj palmowy buriti: część wojowników nadal tańczyło mukuari i rozlegały się bicia bębnów wciąż aż do samego rana. Noc minęła bez wypadku.

O świcie cała Kumaka była na nogach. Warty wysunąłem jak najdalej poza sadybę, a drużyny wyjątkowo przebiegłych myśliwych tudzież rybaków wysłałem na przeszpiegi do lasu oraz nad rzekę Itamaka.

Od samego rana dokoła chat z ośmioma Akawojami powstał ożywiony

ruch. Dzień był pogodny, więc przybysze wyłożyli na ziemię zawartość przyniesionych worków, obok których wbili w ziemię swe włócznie i maczugi. Mieli maczugi szczególnego kształtu, bo podobne do olbrzymich sztyletów.

Czego tam wśród towarów nie było? Były maleńkie garnuszki, pełne cennej trucizny urari, które pochodziły od Indian Makuszi, żyjących u podnóża gór Pacaraima. Były poza tym przeróżne naszyjniki i inne ozdoby, wykonane z zębów jaguara, kajmana, małpy, jak również z rzadkich owoców – istna rozkosz dla oka, a Dabaro chętnie naszym mężczyznom i kobietom tłumaczył, które szczepy ich dostarczyły: Karibisi, Wipisana, Arekuna, nawet Arawakowie znad rzeki Essequibo.

Dalej były wielobarwne paciorki szklane różnych rozmiarów, pochodzenia oczywiście europejskiego, którym nasi ludzie nie mogli się napatrzyć do syta. Były i bawełniane chusty holenderskie, i siekiery, również z Holandii, i wszelakie noże, duże i małe, a między nimi i takie, które wydały mi się dziwnie znajome. Gdym wziął jeden z nich do ręki i przyjrzał się dokładniej, odkryłem – a jakże! – wyryty na głowni napis: Liverpool. Poczulem na policzkach jakoby wiatr z ojczystych stron, od którego tkliwe wzruszenie pełzało do serca.

Dabaro, tego dnia jako szczególną ozdobę noszący pod ustami srebrną płytkę wielkości talara zawieszoną u przedziurawionej dolnej wargi, zauważył moje zaciekawienie angielskimi wyrobami. Podszedł do mnie i wskazując na nóż rzekł objaśniająco po arawasku:

–To mamy z faktorii twoich rodaków nad rzeką Essequibo, od Paranakedi –

Anglików.

–A skąd ci wiadomo, żeś Anglik, jeśli nikt ci tutaj tego nie powiedział?

–

zagadnałem go.

Na zamkniętym i ponurawym dotychczas obliczu Akawoj a pojawił się chełpliwy uśmieszek:

–Między rzekami Orinoko a Essequibo i Cuyuni wznoszą się co prawda rozległe

góry i rośnie tam potężna, gęsta puszcza, ale wieści przenikają do nas z szybkością burzy, Biały Jaguarze.

–To znasz także mój przydomek?

–Jak słyszysz.

–A co jeszcze wiecie o nas?

–Wszystko – odrzekł poważnie, z niewzruszoną miną.

Przypatrując się Akawojom, pokazującym swój towar ze skupieniem wytrawnych handlarzy, i ogarniając wielką ilość przedmiotów, jakie przynieśli, mimo woli zacząłem mieć wątpliwości co do naszych podejrzeń. Istniał między szczepami ożywiony handel wymienny i może to w istocie byli prawdziwi handlarze, a nie wojownicy, przybyli we wrogich zamiarach?

Wtem na północnym niebie powstał z ziemi słup czarnego dymu: to w Serimie palili chaty po szkarłatnej chorobie. Gdy dymy pojawiły się w kilku na raz miejscach i łączyły nad puszcza w wielki obłok, przedstawiały widok przejmujący. Mieszkańcy Kumaki nie znali

polecenia starszyny i zdjął ich niepokój. Nikt nie patrzył już na towary Akawojów. Rozległy się wrogie przypuszczenia, że na Serimę napadnięto, a lubo nie wymieniano napastnika, gniewne spojrzenia padały ukradkiem na ośmiu Akawojów. Niektórzy, zdjęci popłochem, spieszyli do swych chat po broń.

Akawoje od pierwszej chwili zauważyli kłęby dymu i również słyszeli niedwuznaczne domniemania naszych ludzi, a Dabaro je rozumiał. Ogarnęło gościa widoczne osłupienie. Więcej: jakby gniew na rzekomych sprawców napaści, a w każdym razie wydawało mi się, że to gniew. Zaczęli porywczo szeptać między sobą półgębkiem. W ich pobliżu stał Fujudi i gorliwie, acz nieznacznie nadstawiał ucha.

Niewiele mógł podsłuchać, bo Akawoje wymienili tylko kilka krótkich uwag i zamilkli. Wówczas Fujudi jął oddalać się, ja po chwili za nim. W bezpiecznym miejscu wśród chat dogoniłem go.

–No i co? – zapytałem.

–Dabaro, skoro zobaczył dym, powiedział: „Głupcy, nie wytrzymali, przedwcześnie się zdradzili”. Inny Akawoj na to: „Popsuli nam szyki”.

–Tak więc Dabaro przypuszcza, że oddział ich rodaków napadł na Serimę?

–Nie inaczej. Jeszcze coś szepnęli, jakoby powinni zaraz uciekać i przebieć się w

stronę naszych łodzi na jeziorze.

–Temu trzeba natychmiast zapobiec! Wracaj pędem do nich i oznajmij głośno, że

sprawa dymu nad Serima się wyjaśniła: że to nasi palą chaty po zarazie.

Pobiegł, spełnił polecenie i w istocie uspokoił wszystkich ludzi, zarówno mieszkańców Kumaki jak Akawojów.

Pełen ciężkich myśli udałem się w stronę chaty Manauriego. Zatem rozwiały się wątpliwości: Akawoje przybyli z większym oddziałem, to pewna. Ukrywali się w pobliżu, więc i to pewne, że mieli złe zamiary. Rozstrzygająca rozprawa była nieunikniona – i to bez ogródek w kilka chwil później oznajmiłem Manauriemu i reszcie wodzów.

–Czułość i otwarte na wszystko oczy i jeszcze raz czułość może nas tylko uratować! – wbijałem im. – Chaty Kumaki rozciągają się na ćwierć mili, to źle obronić. Wszyscy mieszkańcy winni skupić się jak najszybciej w środku wsi,

w pobliżu naszego statku, i tu na razie zamieszkać... Nie zapomnijcie o sprowadzeniu Aripaja!...

Tymczasem targi nie ustawały, ale szły opornie, jak z kamienia, bo Akawoje zbyt wysoko oceniali swoje, a zbyt nisko wyroby Arawaków, głównie różnobarwne tkaniny. Handlarze chcieli również zakupić większe zapasy żywności, ale nam nieskoro było ich pozbawiać się. Więc gdy w południe na skutek gorąca przerwano na parę godzin umawianie się, mało towarów przeszło z rąk do rąk. Zrozumiałem, że Akawojom zależało na jak najdłuższym przebywaniu w Kumace.

Po południa ukończono potajemną przeprowadzkę mieszkańców do środka osiedla. W chatach naprzeciwko żaglowca zaroilo się od ludzi, inne domostwa, na skraju Kumaki, całkiem opustoszały. Akawoje zauważyli wzmożony ruch, wszakże nie mogli dociec sedna rzeczy i – jak podsłuchał ich Fujudi – pozostali w niepewności.

W godzinach popołudniowych wracały wyprawy zwiadowcze z puszczy i znad rzeki. W promieniu dziesięciu mil nic nie zauważyły, co by świadczyło o obecności wroga, żadnych śladów podejrzanych nie odkryły. Należało przypuszczać, że obóz Akawojów albo znajdował się jeszcze dalej od Kumaki, albo tak znakomitą znalazł kryjówkę, że trudno było ją wyśledzić.

Ośmiu Akawojów wcześniej po południu pochowało swe towary i oświadczyło, że zatańczą nam taniec ku czci ognia. Nic przeciw temu nie mieliśmy i wielu mieszkańców Kumaki ściągnęło, by przypatrzeć się widowisku.

Taniec odbywał się przed chatami gości, obok wbitych w ziemię, zwyczajem akawojskim, włóczni i maczug. Obrzęd polegał na tym, że jeden z Akawojów, wzniciwszy wielkie ognisko, to rozdmuchiwał płomienie, to je tłumił, podczas gdy reszta wojowników, trzymając się wzajemnie za ręce i czyniąc drobne kroki prawą nogą w bok tudzież pośpiewując jakieś wojownicze słowa – krążyła dokoła ognia.

–Czy rozumiesz, co oni śpiewają? – zwróciłem się nieznacznie do Fujudiego.

–Coś jakby prosili ognisko, by przyniosło im zwycięstwo... i żeby dymem swym

oślepiło oczy wrogów.

–Czy to ich znany taniec?

–Nie wiem.

–Słyszałeś co o nim?

–Nie. Po raz pierwszy go widzę.

Oczywiście Fujudi mógł go nie znać, ale uderzył mnie przy tańcu ciekawy szczegół: z ogniska, w miarę jak je rozniecano lub przygaszano, wznosiły się zwoje dymu z dłuższymi lub krótszymi przerwami, co wydawało mi się rzeczą nieprzypadkową. Dym w odstępach szedł wysoko w górę ponad wierzchołki pobliskich drzew i był na pewno widoczny znad brzegów całego jeziora Potaro, a może i z drugiej strony rzeki Itamaka.

Po chwili baczego przyglądania się gotów byłem głowę dać, że to jakoweś sygnały wysyłane w przestrzeń.

Trąciłem Manauriego w bok oświadczając:

–Akawoje są niedaleko Kumaki!

–Po czym to poznajesz? – zdumiał się.

–Po dymie, jaki tancerze puszczają z ogniska. Przypatrz się dokładnie!

Wódz przyznał mi słusność. I jemu przerywane puszczanie dymu widziało się nie bez ukrytego znaczenia.

–Co zrobić? – zadyszał rozdrażniony. – Czy przerwać ich tańce i zgasić ognisko?

–Nie. Jeszcze nie pora.

–Ale zdrajcy naprowadzą na nas całą zgraję

–Przecież mamy się na baczności! Zresztą zaraz pokrzyżujemy im plany

wmieszamy się w ich dymną mowę...

Przywołałem Arnaka i Wagurę, stojących niedaleko, i wtajemniczywszy ich w nasze przypuszczenia, kazałem im w pobliżu rozpaść szybko dwa nowe ogniska i puszczać z nich dym w dowolnych odstępach.

–To pogmatwa znaki „handlarzy” – zwróciłem się znowu do Manauriego – ale na tym nie koniec: trzeba wysłać od nowa zwiadowców, by jeszcze raz przeszukali brzegi naszego jeziora, i to całkiem sumiennie.

Polecenia natychmiast wykonano. Nie wiem, czy Akawoje coś Przewąchali, dość że tańczyli jeszcze przez dobrą godzinę wypuszczając osobliwe chmurki dymu ale obok z dwóch podobnych ognisk wzbijały się podobne kłęby, tylko w innych odstępach. Chyba jedynie diabeł wyznałby się z dala w onej mieszaninie. A równocześnie dwa silne oddziały przetrząsały chaszczę dokoła jeziora.

Wysłani wojownicy wrócili późnym wieczorem. O wrogu żadnej wieści nie przynieśli, natomiast inną nowinę, która wstrząsnęła całą Kumaką: Aripaja i jego bliskich zastali wymordowanych. Zaraz odżyły posądzenia, że to zemsta przyjaciół czarownika Karapany. Ponurym wypadkiem najwięcej przejął się Manauri i chodził jak struty nie mogąc sobie wybaczyć, że zawczasu nie sprowadził Aripaja do osiedla.

Wszyscy byliśmy przygotowani na napaść tej nocy, lecz wróg się nie pojawił. Zaledwie świtało, jak zebrała się przed moją chatą drużyna zwiadowców i na jej czele wyruszyłem na miejsce zbrodni. Manauri, widząc nas kilkunastu, zatrzymał pochód i serdecznie oburzony naszą lekkomyślnością dodał nam dwudziestu wojowników na osłonę.

Chata Aripaja wznosiła się o przeszło pół mili od Kumaki i gdy do niej dotarliśmy, było już całkiem jasno. Kazałem ludziom dla bezpieczeństwa otoczyć z daleka miejsce i tylko sam zbliżyłem się do chaty wypatrując śladów. Całą rodzinę, to jest Aripaja, jego żonę i dwoje dzieci, znalazłem w chacie tak, jak zaskoczyła ich śmierć. Zginęli od uderzeń w głowę czymś twardym, pewnie maczugami. Znaków walki nie było ani żadnych śladów, po których można by rozpoznać sprawców.

Dopiero gdy po wyjściu na dwór zacząłem badać najbliższe otoczenie chaty, wśród gmatwaniny śladów stóp, należących niezawodnie także i do członków Aripajowej rodziny, odkryłem dwie niewielkie, podłużne dziury w ziemi. Coś mi zaczęło świtać; gdzieś już widziałem takie niewielkie otwory – i po chwili wpadłem na właściwy trop: to Akawoje mieli zwyczaj wbijania swych maczug w ziemię, a dziury, znalezione Przy chacie, właśnie odpowiadały końcom ich broni.

Więc Akawoje? – pomyślałem ze zgrozą. – Akawoje tutaj, na naszym półwyspie?! Kolejno przywoływałem po kilku wojowników i kazałem im samym szukać. Przedtem towarzysze patrzyli na mnie z daleka, więc teraz łatwo im przychodziło odnaleźć ślad i – trzeba oddać im sprawiedliwość – wyciągnąć stąd słuszne wnioski.

Po powrocie do wsi nowa przykrość: ubiegłej nocy skradziono nam jedną z większych itaub. Łódź leżała w pobliżu szkunera. Nasze straże czuwały przez całą noc, mimo to kradzież się udała. Złodziej, a raczej złodzieje przyplłynąć musieli od strony jeziora, by z niezwykłą zwinnością ściągnąć itaubę na wodę i uprowadzić. Przeto znowu – po raz to który już, do diaska? – wysłaliśmy dwa oddziały zwiadowcze, jeden lądem, drugi wodą, ażeby przetrzasnęły brzegi jeziora w poszukiwaniu itauby. Gdyby jej nie znaleźli, zdobylibyśmy przynajmniej jedną pewność: że złodziej, a co równoznaczne – wróg,

przyplłynął od rzeki.

Przyznam się, że tego poranku doznałem na chwilę popłochu. Jak gdybym poczuł ogień pod stopami, jak gdyby gardło mi zaciśnięto. Zacięty wróg już mordował naszych ludzi, brutalnie wdzierał się do samej wsi, a my jeszcze nie znaleźliśmy ani jego siły, ni jego kryjówki. Co wyknuje przeciw nam za godzinę, skąd padnie następny cios, kto wie, czy nie ostateczny?

Wszakże chwile słabości i zwątpienia nie trwały długo. Szybkiem wróciłem do równowagi. Lasana podała mi śniadanie i widok ukochanej kobiety, a jeszcze więcej jej spokoju i ufności, przywróciły mi wiarę w siebie i w nasze zwycięstwo. Wstyd mi było poprzedniej słabości.

Jeszcze jedząc obmyśliłem nowe sposoby dalszej obrony. Kazałem zwołać starszyznę tudzież Fujudiego, Arnaka i Wagurę, a gdy przybyli, wyłożyłem im pokrótce mój plan: mieszkańcy Kumaki winni byli zachowywać się tak, aby ośmiu Akawojów nie domyślało się odkrycia przez nas morderstwa i kradzieży itauby. Następnie wyznaczyłem za godzinę w gaju] palm buriti przegląd wszelkiej broni ognistej, jaka była w naszym ręku.

–Oddziały wysłane dopiero co na jezioro zabrały kilka rusznic – przypomniał Manauri.

–Trudno, musi obyć się bez nich! – odrzekłem. – Zresztą niewiele wzięli ze sobą, trzy albo cztery guldynki.

–Trzy – zapewnił Arnak.

–To wszyscy inni, którzy mają broń ognistą, winni się stawić w gaju? – zapytał

Wagura.

–Wszyscy.

–Będzie ich blisko czterdziestu. Czy myślisz, Janie, że ujdzie to uwagi naszych

Akawojów, jeśli tylu ściągać będzie do gaju, każdy ze strzelbą albo z pistoletem?

–Prawdopodobnie nie ujdzie.

–To możemy im się otwarcie pokazywać?

–Nie. Akawoje mają odnieść wrażenie, że my ukrywamy przed nimi broń, ale oni

powinni nas podpatrzeć i broń widzieć.

–Ach, rozumiem! – zawołał Wagura. – Mają zobaczyć, ile my broni posiadamy.

–Otóż to! A ty, Arnak, dopilnuj przyniesienia do gaju wszystkich baryłek prochu,

jakie mamy na szkunerze.

–Oczy im zbieleją, gałganom! – cieszył się Wagura.

Tymczasem Akawoje, jak dnia poprzedniego, rozłożyli przed swymi chatami towary i targ zaczął się od nowa. Dziś dokoła nich więcej było kobiet niż mężczyzn, zajętych czymś innym, a obcy handlarze już nie żądali tak wygórowanych cen i chętniej nabywali tkaniny arawaskie.

W oznaczonym czasie gaj palm buriti stał się widownią niepowszedniej prezentacji. Indianie do pni drzew przywiązali drągi poziomo na trzy do czterech stóp od ziemi i na nich rurami oparli swe strzelby: muszkiety, guldynki, garłacze. Nieco wyżej, na lianach, przeciągniętych od pni do pni, pozawieszali jeden obok drugiego pistolety. Ogółem było trzydzieści osiem strzelb i trzydzieści cztery pistolety, okazały zbiór godny podziwu – jeno patrzeć, a gębę rozwierać.

Natychmiast przy pomocy Arnaka i Wagury zabrałem się do przeglądu, a był na to czas najwyższy, bo rdza w wilgotnym klimacie zaczęła już nadgryzać naszą broń, zwłaszcza przydzieloną niedawno nowym strzelcom. Tłuszcz, wytopiony z owych zwierząt wodnych apia, okazał się znakomitym lekarstwem na wszelkie wierzchnie choroby żelaza i doprowadził strzelby jako tako do porządku. Niemniej naszą uwagę zwróciłem na to, aby każda rusznica miała skórzaną pochwę, pokrywającą zamek z kurkiem, a chroniącą panewkę od wilgoci i deszczu.

Przeglądanie broni nie było jeszcze ukończone, gdy nieznacznie zwrócono moją uwagę na to, że Dabaro się zbliża. A więc ryba połknęła haczyk. Nie zważaliśmy zbyt na Akawoja i dopiero gdy był blisko, podniosłem nań pytające spojrzenie.

Goście nasi, jako handlarze, mogli w ciągu dnia po całej Kumace chodzić, gdzie im się podobało.

–Zabrakło nam paliwa na ognisko – odezwał się Dabaro. –
Chcielibyśmy pójść

niedaleko do lasu pozbierać drewna.

–Każę naszym ludziom przynieść wam, ile potrzeba – oświadczyłem

uprzejmie.

–Nie chcemy was trudzić – odrzekł grzecznie on także.

–Dobrze, Dabaro, zatem idźcie sami do lasu! Tylko zważajcie na nasze straże,

wystawione w lesie, żeby wam krzywdy nie wyrządziły.

–A na cóż te straże? – zdziwił się.

–To ci jeszcze nie mówiliśmy? Ponoć Hiszpanie sposobią się na nas, żeby odpłacić

się za niegościnne przyjęcie, jakie ostatnio im zgotowaliśmy.

–Hiszpanie! – zamyślił się Dabaro, po czym dodał: – To daj nam przewodnika,

niech strażom wyjaśni, po co idziemy do gąszczu.

–Dobrze, dostaniecie przewodnika.

Zbierał się do odejścia, gdy przypomniał sobie:

–Po południu chcielibyśmy wam znowu zatańczyć.

–Znakomicie! Niestrudzeni z was tancerze! Dlatego potrzebujecie wiele paliwa na

ognisko?

–Nie, Biały Jaguarze! Ogniska wcale nie będzie. Tym razem zatańczymy

taniec

wojowników...

Odszedł – ani najprzelotniejszym spojrzeniem nie musnąwszy broni. Unikanie jej widoku wydało się nawet przyjaciołom czymś nieprawidłowym, nienaturalnym, a Arnak mruknął:

–Chytry, ale nie dość chytry...

Akawoje udali się do lasu w towarzystwie Fujudiego i jeszcze dwóch naszych wojowników. Broń pozostawili w Kumace. po niespełna godzinie przyszedli nazad, obładowani drewnem. Widzieli strażę, zresztą nic podejrzanego nie zaszło ani Fujudi nic osobliwego nie podsłuchał.

Przed południem oddziały zwiadowcze wróciły po przeszukaniu brzegów jeziora: nic, żadnych śladów skradzionej itauby ani jakichkolwiek szczególnych odcisków przy wodzie.

–Położenie trochę się wyjaśnia – oznajmiłem starszyźnie. – Akawoje są nad

rzeką.

–Widzę, żeś z tego zadowolony – Manauri rzekł cierpko, kiwając głową.

–Tak, jako żywo! Jeśli dziś nie będzie napaści na Kumakę, to dzisiejsza noc z

pewnością wyświetli nam, gdzie leży ich obóz.

–Czy masz już coś na oku?

–Mam... Wyszukajcie mi tylko ze wszystkich rodów w Kumace piętnastu

wojowników o mężnym sercu, ale przede wszystkim o sowim oku, żeby dobrze przenikali noc. Przyślijcie ich do mnie w dwie godziny po południu.

Przysłali i sami przyszli, ciekawi mego planu. Com miał na myśli, wyłożyłem:

–Obsadzimy tej nocy dwiema łódkami cieśninę łączącą nasze jezioro z rzeką.

Przekonany jestem, że tej nocy, tak samo jak poprzedniej, Akawoje znowu przy płyną z rzeki, zachęceni wczorajszym powodzeniem, i będą usiłowali wykraść nam więcej łodzi. Jeśli przepędzimy ich z Kumaki, uciekną na pewno na rzekę i na łeb, na szyję popłyną do swego obozu. Podczas tej ucieczki nasze dwie łodzie, ukryte w cieśninie, pójda niepostrzeżenie za nimi i w ten sposób odkryją miejsce ich obozu. Czy zgadzacie się?

–Czy ty, Janie, także pójdziesz nad cieśninę?

–Oczywiście. Popłyniemy tam zaraz po nastaniu ciemności. Ja poprowadzę jedną

łódź, Arnak drugą.

–A jeśli w czasie twej nieobecności spadnie nieszczęście na Kumakę, Akawoje

zechcą napaść na osadę?

–Od czego wasza czujność? Zresztą cieśnina niedaleko, wnet przy płynęlibyśmy z odsieczą.

Do cieśniny, oddalonej od Kumaki o jakie pół mili, niezwłocznie poszliśmy wszyscy z wyjątkiem Manauriego, ażeby za dnia wyszukać dogodnie miejsce na nocną zasadzkę. Cieśnina, długa na kroków przeszło dwieście, ale dość wąska, miała brzegi zasłane gęstą ścianą gałęzi nadwodnych drzew. W ich cieniu znakomicie można było się ukryć. Wybrawszy dla łodzi nocne stanowiska wróciliśmy do Kumaki.

Niebawem rozpoczął się taniec Akawojów, taniec wojenny, jak zapowiadał Dabaro. Trzymali się znowu za ręce, ale tym razem podskakiwali żywo, wznosząc dzikie okrzyki, a od czasu do czasu któryś wpadał w środek koła, by sam jeden uwijać się i podrygiwać jak szalony. Ogniska rzeczywiście nie rozniecili, natomiast jeden z nich wybijał na bębnie z pustego wewnątrz pnia gromki, wciąż zmieniający się takt.

–Czy domyślasz się? – zagadnąłem stojącego obok Manauriego.

–Niby czego?

–Bębniem przesyłają wiadomości swoim ludziom.

–Co zrobić?

–Jeszcze nie czas zedrzyć im maskę.

–A jak zdradzą tamtym coś ważnego?

Tym razem Arasybo, nasz świeżo obrany czarownik, przyszedł nam z

pomocą. On już wczoraj niedaleko postoju gości wbił drąg do ziemi i zatknął na nim czaszkę jaguara z jednym oczodołem, skierowanym na Akawojów. Dziś zrobił to samo. Gdy wojownicy zaczęli teraz tańczyć, co wyglądało na jakieś czary, on, aby je popsuć, także tańczył, co chwila doskakując do swego bębna i z lekka weń bijąc.

Posłałem do Arasyba Wagurę z prośbą, by czarownik dudnił w bęben bezustannie i głuszył bicie Akawojów. Sprawnie

to zaraz wykonał i odtąd szedł w powietrze pogmatwany róż-dźwięk obydwóch bębnów.

po krótkim, gwałtownym deszczu wieczór układał się cichy i pogodny. Zastanawialiśmy się, czy na nocną wyprawę zabrać Fujudiego, i stanęło na tym, że zabrać. Itauby wyszukaliśmy odpowiednio małe, każdą na ośmiu, mniej więcej, chłopa. Lubo płynęliśmy tylko na wywiad, uzbrojenie kazałem wojownikom wziąć pełne, na wypadek napaści Akawojów na Kumakę.

przed wyruszeniem Lasana przyniosła maść przeciw komarom i natarła mi całe ciało. Gdy ciemność nastąpiła, odbiliśmy od brzegu, wprzód przekonawszy się, że ośmiu Akawojów spoczywało w swych chatach.

Bez wypadku dostaliśmy się do cieśniny i zajęli upatrzone stanowiska, ja z moją itauba u ujścia do jeziora, Arnak u wyjścia na rzekę. Chmury błąkały się po niebie. Księżyc miał wzejść dopiero w drugiej połowie nocy. Było ciemno, gwarnie, rojno i, niestety, trochę mglisto: mgiełka wisiała nad wodą. Zaczęło się czekanie, ciężka próba cierpliwości. Komary tysiącami brzęczały dokoła naszych postaci i kłuły nawet mnie pomimo maści. Odurzone gorącą nocą ćmy latały licznie i co chwila obijały się o nasze ciała: jakieś inne złośliwe owady, turkucie czy coś, wplątywały się we włosy. A tu trzeba było czekać spokojnie, cierpnąc,

cierpieć, być nieczułym i tylko wyłapywać odgłosy nocy, a oczy wytrzeszczać poprzez opary. Na szczęście mgła nie gęstniała.

Liczyliśmy na to, że Akawoje, jeśli w ogóle zamierzali tej nocy przy płynąć, to przy płyną przed pojawieniem się księżyca – i słusznieśmy liczyli.

Okolo północy wyostrzonym słuchem uchwyciliśmy szmer, wywołany jak gdyby ostrożnym wiosłowaniem, i niebawem w cieśninie zamajaczył wśród oparów ciemny kształt. Poruszał się powoli w stronę jeziora. Jakaż odczuliśmy ulgę, jaką radość! Tak, to byli oni, a gdy przepływali mimo, odróżniliśmy Pięć czy sześć postaci, skulonych w łodzi. Baczyliśmy, czy będzie ich więcej; ale nie: Akawoje przy płynęli tylko na tej jednej łodzi.

Zaledwie nas minęli, wyskoczył na ląd jeden z mych wojowników, by pobiec do Kumaki i dać znać o niebezpieczeństwie

W jakie pół godziny później rozległy się w osiedlu okrzyki, odkryto złodziei.

–Wszystko idzie jak z płatka! – zachichotałem do towarzyszy. – Według planu powinni zaraz tu się zjawić, szybko wiosłując.

Nie myliłem się. Przy płynali, co sił w wiosłach. Było im spieszno, widocznie obawiali się pościgu. Wpadli do cieśniny Gdy oddalili się od nas na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kroków, iż prawie, prawie ginęli nam z oczu, ruszyliśmy w pogoń

–Teraz pokażcie, co warte wasze oczy! – szepnąłem do załogi.

Wkrótce zarysowało się przed nami ujście cieśniny do rzeki., Łódź

Akawojów wypłynęła na nieco jaśniejszą płaszczyznę szerokiej wody, a równocześnie z prawej strony pojawiła się łódź Arnaka.

–Nie za blisko podpływać! – ostrzegłem moich wioślarzy. – źle, gdyby nas zauważyli!

Po opuszczeniu cieśniny Akawoje pomknęli zaraz ku środkowi rzeki. My za nimi. Łódź nasza we właściwym trzymała! się oddaleniu, akurat takim, żeby ledwo Widać było przed nami zacierający się kształt: miałem przednich wioślarzy świetnie! się sprawujących.

Akawoje płynęli pewnie dobrą milę środkiem nurtu w górą Itamaki, potem zbliżyli się do przeciwnego brzegu. Wystawał tam w rzekę cypel, do końca którego prosto zmierzali. Gdy byli na jego wysokości, skręcili raptownie na prawo, by dostać się do brzegu.

–Chcą lądować – zauważył Fujudi.

–Tam za tym wybrzuszeniem zalewisko! – objaśnił jeden, z naszych wioślarzy. –

Takie jezioro, jak u nas Potaro...

Wypłynąwszy poza przylądek, w istocie spostrzegliśmy nieco jaśniejszą od otoczenia wyrwę w czarnej ścianie puszczy przybrzeżnej. Rzeka tworzyła tam małą zatokę, za którą ciągnęło się jezioro. Na tę zatoczkę Akawoje skierowali swoją łódź.

Byli od niej jeszcze kilkadziesiąt kroków, gdy nagle zaszła u nich nieprzewidziana rzecz. Łódź ich zahamowała swój bieg, ba, przeciwnymi uderzeniami wiosel Akawoje zaczęli się cofać. Zbyt późno to zauważyliśmy; nasza itauba, płynąca wciąż w dotychczasowym

kierunku, zbliżyła się do nich na groźną odległość, za ledwie na kilkanaście kroków.

Zrozumiałem, co się stało: wpadli na duży pień drzewa, płynący z prądem. A żeby wyplątać się z zapory, musieli łódkę w tył odsuwać.

Stłumiony krzyk ostrzegawczy rozległ się przed nami: odkryli nas. Równocześnie łupnęło w naszą łódź i z jękiem osunął się mój sąsiad, przebity włócznią.

Na to, na takie starcie byliśmy przygotowani. Przedni i tylny wiosłarz nadal wiosłowali, reszta cisnęła wiosła, chwyciła za broń. Furknęły łuki. Strzały nasze dobrze poszły, tam się zagotowało. Już dopływaliśmy. Dzidy grzęzły w ludzkich ciałach. Otrzymałem silny cios w lewe ramię, na szczęście maczuga osunęła się bokiem. Dzidę wbiłem w przeciwnika. Ich zacięty opór w mig się załamał. Jeden chciał uciec i chlupnął do wody. Maczuga dosięgła go i rozbiła mu łeb.

Powaliwszy wszystkich, a tego z wody wpakowawszy do ich łódki, wzięliśmy ją na cumy i odpłynęli na środek rzeki. Tam, gdzie prąd był najwarszy, wrzuciliśmy zwłoki do wody, żeby je zaniósła w dół do Orinoka.

Jeden żył jeszcze. Fujudi starał się wydobyć z niego języka, daremnie. Jeniec stracił przytomność i dogorywał. Poszedł w toń za innymi.

Nasza łódź miała dwóch zabitych i ciężko rannego, a z reszty obsady każdy coś oberwał. Wróg, jakże zajadły i okrutnie waleczny – zaskoczony i liczebnie słabszy, przecież zadał nam dotkliwe straty. Walka rozegrała się tak szybko, że łódź Arnaka nie zdążyła dopłynąć.

Wracaliśmy w milczeniu, jedna łódka tuż obok drugiej, trzecia, zdobyta,

na cumie – wszyscy pogrążeni w swych myślach.

–Arnak! – odezwałem się stłumionym głosem, gdy wpłynęliśmy na nasze jezioro. – Czy rozumiesz, że wojna się zaczęła? Będzie krwawa. Zabiliśmy sześciu. Teraz poznałem ich: albo my ich wybijemy do nogi, albo oni nas.

–My ich! – odrzekł spokojnie, a dziwnie twardo. Potem dodał, jakby dla wyjaśnienia:

–Znamy teraz ich kryjówkę...

Większość mieszkańców Kumaki czuwała tej nocy oczekując naszego powrotu. Cieszyli się, że odnieśliśmy zwycięstwo, ale był i smutek: nie wszyscy wrócili żywi.

Kazałem dla większego bezpieczeństwa podwoić strażę dookoła chat z Akawojami, po czym starszyznę tudzież ważniejszych wojowników zwołałem na drugi koniec osiedla, by im zdać sprawę.

–Mniej lub więcej wiemy, gdzie obozują Akawoje: po drugiej stronie Itamaki, nad

zalewiskiem za cyplem. Jeszcze tej nocy popłyną tam nasi zwiadowcy i rano ustalą miejsce ich obozu. Potem uradzimy, jak ich zniszczyć.

–Kto poprowadzi zwiadowców? – zapytał Manauri.

–Kto? Któż by? – odrzekłem. – To ważne zadanie. Chyba ja...

Rozległy się sprzeciwy, że w nocy nie spał, że niezdolny na lewe ramię, że muszę zachować siły na później – aż mnie ta troskliwość

serdecznie ubawiła.

–Więc kto pójdzie, do licha? – zawołałem.

–Ja! – rzekł Arnak.

22. W Pływa Angielski Bryg

Nad ranem spadła rześista ulewa – przedsmak zbliżającej się pory deszczowej -po czym słońce weszło w krwawej czerwieni, co wielu ludzi w Kumace poczytywało za wróżbę bliskiej bitwy. Zbudziłem się rześki, z lewym ramieniem ciemnosinym, ale już mniej bolesnym.

Po wschodzie słońca Akawoje ponownie rozłożyli na ziemi swe towary, jakich jeszcze nie sprzedali. Arasybo, o niespełna sto kroków oddalony, bezczelnie rzucał na nich uroki spod czaszki jaguara i w gorliwych zaklęciach obezwładniał ich wolę. Podszedłszy do nich przywitałem ich kiwnięciem głowy i zapytałem współczująco:

–Pewnie dzisiejszej nocy przerwano wam sen? Dabaro spojrział mi uważnie w oczy:

–W istocie, zerwaliśmy się ze snu. Była wrzawa.

–I coście pomyśleli?

–Że to napad Hiszpanów, których oczekujecie! – odrzekł bez zajknięcia.

–A tymczasem to nie byli Hiszpanie, lecz Indianie.

–Indianie? – powtórzył Akawoj z wyrazem rzekomego niedowierzania i...

istotnego niepokoju.

–Indianie. Chcieli nam wykraść łodzie. To te łapserdaki z Serimy, z którymi żyjemy

na bakier.

Ledwo widoczny uśmiech poruszył jego wargi.

–Naprawdę? – zdziwił się. – Złapaliście ich?

–Nie.

–To skąd wiesz, że to oni, z Serimy?

–Któż by inny mógł być, jeśli nie oni?

–Tak, to prawda, któż by inny? – zrobił przekonaną minę a po chwili rzekł: –

Słuchaj, Biały Jaguarze, trzeci dzień tu gościmy. Czas nam opuścić waszą wieś.

–Już nie chcecie nam tańczyć? Szkoda.

–Możemy zatańczyć, nawet bardzo chętnie, ale chcieli byśmy już dziś po południu

odpłynąć.

–Odpłynąć? Czyście nie przybyli tutaj pieszo?

Dabaro nie dał się stropić:

–Przybyliśmy, owszem, pieszo, ale chcemy odpłynąć łódką za te wszystkie towary, jakie nam zostały. Chyba warte?.

Było tam sześć siekier, cztery czy pięć noży, kilka glinianych słoików z trucizną urari i trochę drobiazgów.

–Dobrze, Dabaro, zapytam się starszyny, czy chciałyby oddać łódź...

Zaraz udałem się do Manauriego i zwołaliśmy naradę. Gdy wodzom i niektórym obecnym ojcom rodzin przedstawiła prośbę Akawojów, Mabukuli pierwszy zabrał głos:

–Ja radzę z nimi już nie bawić się w gościnność. Wziąć ich do niewoli i trzymać w

dybach jako zakładników, a towary zabrać im. Gdyby tamci napadli, zabić ich.

–A jeśli nie tamci na nas napadną, lecz my na nich, co zapewne nastąpi, to z

jeńcami co zrobimy? – napomknąłem.

–To okrutni wrogowie: zabijemy ich tak samo!

–Wątpię, czy na to bym się zgodził! Tych ośmiu nic złego nam dotychczas nie

wyrządziło.

–Ale mogą nam jeszcze wyrządzić. Co ośmiu wrogów mniej, to mniej! – upierał

się Mabukuli, a większość obecnych, zwłaszcza wojowników, przychyliła się do jego stanowiska.

Wtedy odezwał się Manauri:

–Biały Jaguar pragnie, żebyśmy postępowali jak szczerp uczciwych wojowników, a nie wiarołomnych dzikich. Co Biały Jaguar nam radził, zawsze okazywało się słuszne. Więc do niewoli ich nie weźmiemy i puścimy wolno. Tylko co zrobić z ich żądaniem? Czy dać im łódkę?

Ja bym nie dał! – warknął dotknięty Mabukuli. – Po co im ułatwiać później walkę z nami!

–Czy to nazywasz ułatwianiem im walki, jeśli dobra broń: sześć siekier i pięć noży, przejdzie z ich rąk w nasze ręce? Łodzi do walki pozostanie nam dość.

W tej sprawie niemal wszyscy poparli naczelnego wodza.

–Zresztą – ciągnął Manauri – odstąpimy im najgorszą naszą itaubę, mamy jedną

mocno zbutwiałą.

–A jeśli nie wezmą jej?

–To innej nie damy.

–Jeśli się uprą – wtrąciłem – damy im inną. Przecież najbliższej nocy dojdzie do

rozstrzygającej walki i itaubę znowu im odbierzemy.

–Prawda to! – przyznali.

–I jeszcze jedno – dodałem – przemawia za spełnieniem ich życzenia:
Akawoje

zamierzają opuścić nas dziś po południu. Po kryjomu pójdą za nimi nasi
wywiadowcy i z pewnością dowiemy się ciekawych rzeczy...

Pod koniec naszej rozmowy słyszeć dały się z drugiej strony jeziora
wołania o

łódkę: ktoś chciał się przeprawić do nas. Gdy podpływał do osady,
poznaliśmy w nim syna rybaka Katawiego, mieszkającego u ujścia rzeki
Itamaka do Orinoka. On zauważył naszą gromadę, więc zaraz po
przybiciu do lądu co żywo wyskoczył z łódki i w te pędy do nas. Widać
było po jego twarzy i całym zachowaniu, że miał ważną nowinę.

–Do ciebie, panie – przypadł do mnie dysząc – do ciebie...

–No, mówże! – zaciekawił się Manauri.

Do ciebie, Biały Jaguarze, przyplłynęli Paranakedi – Anglicy!...

–Anglicy?! Co gadasz?! Jacy Anglicy?! Na wielkim żaglowcu. Tak
wielkim jak nasz szkuner?

–O, większym, znacznie większym!

–Gadaj do rzeczy, człowieku! I syn Katawiego opowiedział:
Wczorajszego

wieczora przyplłynął z dołu Orinoka dwumasztowy bryg i stanął na
kotwicy u ujścia Itamaki, bo nastąpił odpływ i prąd na rzekach się

wzmógł. Marynarze na szalupie przyплыли do lądu, a razem z nimi było trzech Warraulów ze wsi Kaiiwa jako pośredników. Odszukali Katawiego i dali mu do zrozumienia, że to statek angielski, a jego kapitan płynie do Białego Jaguara. Katawi poszedł na pokład brygu, by im wskazać drogę na Itamace, podczas gdy syn jego przybiegł pieszo do Kumaki zawiadomić nas o zbliżaniu się Anglików. Ponieważ nad ranem statek miał ruszyć wraz z przyływem od morza, należało się spodziewać lada chwila jego przybicia.

–I wiesz na pewno, że akurat o mnie im chodziło? – spytałem syna Katawiego,

ledwo wierząc własnym uszom.

–Tak jest, o ciebie. Nie bardzom ich rozumiał, ale wciąż powtarzali imię Białego

Jaguara... i jeszcze jakieś inne...

–Może John Bober?

–O, właśnie! John Bober.

Nie ulegało wątpliwości, że owi Anglicy znali mnie i płynęli do mnie. Wiadomość ta, rzecz prosta, niezwykle mnie podnieciła. Uczułem niepokój. Czego chcieli ode mnie, do kroćset, że szukali mnie w tych bezludnych wertepach? Czy groziło mi jakie niebezpieczeństwo z ich strony?

Wypadki w Wirginii sprzed trzech laty stanęły mi żywo w pamięci. Rozzuchwaleni samodzierncy tej kolonii, panowie posiadający olbrzymie obszary ziemi, upowaznili wtedy lorda Dunbury do

zagarnięcia prawem kaduka ziem w dolinie rzeki Potomak, zagospodarowanych od kilku pokoleń przez dzielnych pionierów, a między innymi i przez naszą rodzinę. Gdy chciano przemocą wydzierać nam posiadłości, zrozpaczona ludność chwyciła za broń, mnie zaś wybrano dowódcą jednego z oddziałów. Zdusiła nas przewaga, ponieśliśmy klęskę, a mściwi zwycięzcy nie szczędzili szubienic. Tropiono mnie jak dzikiego zwierza, alem umknął do ujścia rzeki Jakuba, a tu szczęśliwie dostałem się na okręt kaperski. Tak to los wyrzucił mnie na bezludną wyspę na Morzu Karaibskim, a potem zagnał w te oto lasy nad rzeką Orinoko.

Czy pyszni lordowie wirginijscy, dowiedziawszy się o moim ocaleniu, chcieli teraz dostać mnie w swe okrutne łapy? Znałem ich zawziętość, wszakże po namyśle taka dalekosiężna mściwość wydała mi się nieprawdopodobna, albowiem ja już dawno przestałem być im groźny. Mimo to zagadka pozostawała tym bardziej dręcząca: po co angielski bryg przypląwał do mnie w tę puszcze?

–Co myślisz o nich? – zapytałem syna Katawiego. – Czy to nasi przyjaciele?

–Chyba przyjaciele – odparł tamten.

–A ilu marynarzy na statku?

–Może trzy razy tyle, ile palcy u rąk, i to przeważnie białych marynarzy,

Paranakedi...

Wtem wstrząsnął powietrzem huk armatniego wystrzału. Przyszedł z nad Itamaki, od strony cieśniny między jeziorem Potaro a rzeką.

–Należy ich wpuścić na nasze jezioro – nakazałem Manauriemu. –
Wyślij kilka

itaub – niech na linach zaciągną statek przed osiedle.

–Janie! – rzekł wódz ostrzegawczo. – Czyś pewny, że to przyjaciele?

–Sam słyszałeś, co mówił syn Katawiego. Więc prawdopodobnie to
przyjaciele,

ale... ostrożność nie zawadzi!

Podczas gdy sześć wypełnionych itaub śmigło ku ujściu jeziora,
przywołałem do siebie Wagurę i powiedziałem do niego po angielsku:

–Nie wiem, kto ci Anglicy, co oni ode mnie chcą. Musimy się mieć na
baczności! Żałuję, że Arnaka nie ma we wsi, przydałby się... Zbierz za
wiedzą Manauriego kilkunastu najdzielniejszych wojowników,
możliwie z naszego rodu, i z tym oddziałem uzbrojonym jak najlepiej
będziesz czuwał wedle mego

boku, tak samo, jak to było w Serimie podczas obecności Hiszpanów.
Trzymaj się ciągle w moim pobliżu.

–Janie, co to znaczy? – wybuchł Wagura jakby skargą. – Gdzieś nad
rzeką

czyhają na naszą zgubę Akawoje; tutaj tych ośmiu też najchętniej
doskoczyłoby nam do gardła; a teraz jeszcze cały okręt niewyraźnych
osobników zwała nam się na kark, że człek porządny już całkiem
zglupiał, od czego się najpierw chronić. Janie, czy tego już nie za wiele?
– spytał chłopak z komiczną frasobliwością i zaraz parsknął śmiechem.

–Trochę za wiele, masz rację, głowa może zaboлеć, ale byleby pozostała nam na

karku!...

W chacie kazałem Lasanie wydobyć i szybko oczyścić mój hiszpański mundur kapitana i ubrałem się odświętnie, nawet w buty. Do boku przypiąłem sobie szpadę i, oczywiście, zatknąłem za pas srebrny pistolet, podsypawszy panewkę świeżym prochem.

Wnet na końcu jeziora wyłonił się bryg. Przejście przez cieśninę nie nastroczało trudności, woda bowiem miała tam dostateczną głębnię. Lubo wiatru prawie nie było, jednak przednie żagle statek miał rozpięte – i dlatego w tym ciasnym, zielonym otoczeniu wyglądał jak zjawą bajkowa z innego świata, jak coś nad wymiar pompatycznego, budzącego jednako postrach i podziw. Zbliżał się na cumach powoli, majestatycznie. W tej puszczy takim już odwykł od cywilizacji, że widok wspaniałego brygu do głębi mnie wzruszył, co tam: rozrzewnił. Ogarnięty niespodzianą, osobliwą dumą, poczułem wilgoć pod powiekami.

Co przynosił dla mnie potężny statek, jakie przeznaczenie? Uśmiech losu czy nową groźbę, czy niedolę? – cisnęły się pytania do głowy.

Gdy bryg, noszący nazwę „Capricorn”, naprzeciw Kumaki zarzucił kotwicę o kilkadziesiąt sążni od brzegu, kapitan, część marynarzy jak również Katawi i Warraułowicze zeszli po trapie do szalupy i przyплыли na niej do lądu. Zwyczajem indiańskim oczekiwałem gościa pod dachem rozłożystego tolda w towarzystwie Manauriego i reszty wodzów. Niedaleko stał Wagura ze swym oddziałem niby gwardia przyboczna. Wszyscy mężczyźni Kumaki byli pod bronią, ale, rozmieszczeni po różnych chatach osiedla, nie rzucali się w oczy.

Wyszedłem naprzeciw i spotkaliśmy się w połowie drogi. Kapitan był wysokim, słusznej postawy mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, o jasnych włosach i niebieskich oczach. Wyraz twarzy jego, okolonej bokobrodami, znamionował siłę woli, ufność w siebie, niechybnie skłonność do uporów, ale twarz nie była odpychająca, przeciwnie, raczej budziła przychylność.

Uchylając kapeluszy z szerokim rozmachem, podaliśmy sobie prawice, a ja się odezwałem:

–Witam cię serdecznie, sir, w naszej mało gościnnej puszczy!

Kapitan odszedł wstecz o dwa, trzy kroki i natarczywie przyglądając mi się od stóp do głowy z nie ukrywaną, wręcz kłopotliwą ciekawością, miał przekorny uśmiech na twarzy. Wreszcie przeciągające się zbytnio milczenie przerwał dobrodusznie:

–Jak się masz, mister John Bober? *Weil*, tak sobie wyobrażałem waszmości, nie inaczej! Oto patrzę na człowieka, który rebelię podniósł w Wirginii, na którego głowę prawowite władze piękną cenę wyznaczyły, który do kompanii piratów przystał, potem w obronie zbiegów niewolników dwukrotnie w pień wycinał oddziały hiszpańskie i przystojny szkuner tudzież moc broni palnej im odbierał, który don Estebana, wysłannika wenezuelskiego corregidora w Angosturze, w kozi róg zapędzał, a potem jeszcze mu ludzi tłukł, który posiadając zaufanie dwóch szczepów, Arawaków i Warraułów, jest niby królem dolnego Orinoka...

Kapitan wygłaszał długą tyradę w przyjaznym tonie. Słuchałem go z coraz większym zdziwieniem, skąd ten obcy człowiek znał tyle dokładnych o moim życiu szczegółów. Gdy on na chwilę ustał, rozbawiony, przerwałem mu mowę i rzekłem:

–Jeśli wasza miłość zamierzał tymi słowy pogrozić mnie w najgłębszym osłupieniu, toś celu dokumentnie dopiął. Fiu, fiu, wywiad jak się patrzy! Tylko w dwóch miejscach zaszła pomyłka.

–Co powiadasz? – stropił się, jakoby dotknięto jego honor...- W których to

miejscach?

–Nie natłukłem ludzi don Estebana...

–Ale przecież kilku zginęło?

–Owszem, zginęło, aliści nie z mojej przyczyny... No, i z tym królem dolnego

Orinoka to coś się nie klei!... Ale proszę mi zdradzić, sir, jakim cudem dowiedziałeś się o tylu rzeczach?

–Płynę z południa, od naszych faktorii nad rzeką Esseąuibo, i nie myśl, żeś tam

nieznaną figurą.

–To dlatego waszmość przy płynął tu w górę Orinoka, ażeby sprawić mi taką

przyjemność i donieść o tym? – zaśmiałem się.

–Jestem w drodze z Gujany do Nowego Jorku i w istocie zboczyłem z drogi dla

rozmowy z waszmością, ale nie na temat twego rozgłosu, jeno bardziej

ważkiego przedmiotu...

Tymczasem doszliśmy pod toldo, w cień. Kapitanowi przedstawiłem wodzów, po czym zasiedliśmy na stołkach i jęli spożywać podane przez kobiety potrawy. Widziałem, że goście nie bardzo smakowała prosta kuchnia indiańska, a napoju kasziri to już wcale nie chciał próbować, natomiast przywołał marynarza z pojemnym koszykiem i kazał mu postawić przed nami kilka butelek rumu. Tak się odzwyczaiłem od trunku, że niewielki łyk parzył usta niby wrzątek, przyprawiając mnie od razu o silny, choć na szczęście krótkotrwały, zawrót głowy. Było mi błogo na duszy przede wszystkim dlatego, że po dwóch latach mogłem swobodnie rozmawiać znowu z rodakiem i to, jak należało wnosić, z rodakiem przyjaźnie usposobionym.

Gdy kapitan zamierzał uraczyć rumem także i wodzów, nie chciałem im odmawiać tej dla nich szczególnej przyjemności, ale pilnowałem, żeby tylko okruszynę wlewał każdemu do kubka, i już potem im i mnie stanowczo ani kropli więcej.

–Dlaczego taka wstrzeźliwość? – gość nieco się obruszył.

–Dziś czeka nas niemiły obowiązek, rozlew krwi.

–Rozlew krwi?

–Z Akawojami, którzy tu przyszli, stoczemy dziś bitwę.

Kapitan patrzył na mnie, jakby zerwał mu się wąż myśli. Spokój, z jakim mu to obwieszczałem, wytrącił go z równowagi. Po chwili gość odzyskał panowanie nad sobą i rzekł, nieco rozdrażniony:

–Młody człowiek raczy dziwnie sobie żartować.

–Młody człowiek – odparłem pogodnie – chciałby, ażeby to był żart.
Niestety

tak nie jest. Dziś będziemy się bili...

–*Goddam you* - i to prawisz z takim niewzruszonym spokojem?

–Nie było jeszcze wypadku, sir, by wyrywanie sobie włosów z głowy
pobiło

wroga.

–A gdzie ci Akawoje?

–Główny ich oddział ukrywa się gdzieś po drugiej stronie rzeki, o
przeszło milę

stąd, a ośmiu jest tutaj w naszej wsi.

–Jeńców?

–Gdzież tam! Wolni! Przybyli jako rzekomi handlarze na przespiegi...

Widząc oszołomienie na jego obliczu wyjaśniłem mu wyczerpująco, jak
się rzecz miała. Słuchał, pocierał sobie czoło, rzucał na mnie ukosem
dziwne spojrzenia, a gdy skończyłem, zerwał się i poprosił, żeby go
zaprowadzić do tych ośmiu Akawojów.

–Bardzo chętnie – oświadczyłem – bo trzeba ich odprawić. Oni dziś po
południu odpływają.

Właśnie ludzie Manauriego przyciągnęli do brzegu jeziora niedaleko
stanowiska Akawojów itaubę, przeznaczoną dla nich. Dabaro i dwóch

jego rodaków odbierało łódkę i kręciło nosem nad jej lichym stanem.

–Innej nie dostaniecie – rzekł Manauri – mamy na zbycie tylko tę jedną.

Niechętnie, ale zgodzili się. Wtedy kapitan odezwał się do nich po akawojsku:

–Skąd pochodzicie?

Dabaro, zdziwiony tak samo jak my wszyscy kapitana znajomością języka, odpowiedział:

–Znad rzeki Cuyuni.

–Ale z której części? Kto waszym wodzem?

–Mieszkamy nad ujściem rzeki Tapuru. Aharo jest naszym wodzem.

–Gdzie on teraz?

–Nie wiem.

–Toś ty kiepski wojownik, jeśli nie wiesz, gdzie twój wódz... U ujścia rzeki Tapuru

jest faktoria Holendrów. Czy byłeś w niej?

–Byłem. Od Holendrów zakupiłem towar, żeby dalej go sprzedać.

–Holendrzy potrzebują niewolników na swoje plantacje. Czy wiesz o tym?

–Nie wiem, panie.

–Toś ty dziecko – machnął kapitan ręką i wróciliśmy pod toldo, a po drodze

Fujudi, który był obecny, przetłumaczył mi słowa rozmowy.

Kapitan poczęstował nas cygarami z wyspy Jamajka i przez dłuższy czas milczał, coś głęboko rozważając. Potem kazał przynieść sobie mapę Gujany i wschodniej Wenezueli i rozpostarł ją przede mną. Przywołałem Pedra, ażeby karcie się przypatrzył i ją później przerysował, bo była, rzecz prosta, znacznie dokładniejsza niż nasza.

–Tu, u ujścia rzeki Tapuru – kapitan objaśniał mi – nad środkowym biegiem Cuyuni leży owa faktoria Holendrów, ich najbardziej wysunięta na północny zachód placówka. Wdarła się w zaplecze naszej angielskiej strefy wpływów bezprawnie bruździ nam w interesach, bo już dawno rzekę Berbice i jej dorzecze, dalej na południowym wschodzie uzgodniliśmy jako obszar wpływów holenderskich. Tymczasem Holendrzy nad Cuyuni nie tylko podrywają nam interesy ale jednąją sobie tamtejszych Indian, uzależniają od siebie, zwłaszcza Akawojów, wysyłają przeciw innym szczepom po niewolnika. Ci wasi Akawoje przedostali się łodziami z południa z dorzecza Cuyuni poprzez wzgórza Piacoa do źródeł waszej rzeki Itamaka, ot, tędy zapewne, i tak się tu znaleźli. John Bober, to jeszcze jedno ogniwo naszych wspólnych interesów!

Słowo „naszych” wypowiedział z naciskiem i spoza dymu cygara utkwiał we mnie przeciągły wzrok.

–Jeszcze jedno ogniwo? – powtórzyłem. – Czy są inne ogniwa wspólnych interesów?

Był zadowolony, że to zauważył.

–Są inne – oznajmił – i dotyczą spraw o najwyższej doniosłości, a w których tobie, mister Bober, niepoślednią rolę odegrać przypadnie. Lecz najpierw pozwól, że ci się przedstawię.

Nazywał się James Powell i był właścicielem nie tylko brygu „Capricorn”, lecz także faktorii i plantacji u ujścia Essequibo do Atlantyku. Istniejąca tam angielska kompania przedsiębiorców posiadała swego własnego gubernatora, a Powell był jego zastępcą.

Kolonia ta, tak samo jak kolonia holenderska i francuska dalej na południowym wschodzie, rozwijała się na ziemi spornej. Hiszpanie wenezuelscy rościli sobie do niej prawo, lecz na skutek olbrzymiej odległości od ich głównych ośrodków na zachodzie nie byli zdolni siłą wyrzucić wdzierców.

Już od dłuższego ponoć czasu toczyły się rozmowy między Londynem a przedstawicielami Anglików w Gujanie o oficjalne anektowanie kolonii przez Anglię. Wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później do tego dojdzie, przy czym Anglicy nosili się z zamiarem odebrania Hiszpanom także wyspy Trinidad na północ od ujścia Orinoka.

–Przyjrzyj się waszmość dobrze tej mapie – mówił do mnie kapitan – i wyciągnij z geografii właściwe wnioski. Na północy wyspa Trinidad, na południu rzeka Essequibo, a w środku – co? Ujście Orinoka. Jeśli rząd angielski obejmie te dwa skrzydła, położenie ręki na środkową część, ujście Orinoka, będzie już tylko naturalnym wynikiem tamtych posunięć i ich uzupełnieniem. Wtedy cały północny wschód Ameryki Południowej przejdzie w nasze posiadanie, a Hiszpanów odrzucimy daleko na zachód, pod same Andy...

–A jaką rolę ja mam w tym odegrać? – zapytałem.

–Niezmiernie doniosłą. Jesteś waszmość Anglikiem, silną nogą wszedłeś nad

Orinoko, wywierasz nieograniczony wpływ na Arawaków, jesteś wielkim przyjacielem i sprzymierzeńcem Warraułów. Zdobyłeś sławę znakomitego wodza, pogromcy Hiszpanów i obrońcy Indian, a jako przedstawiciel naszych interesów staniesz się niezwalczona potęgą nad dolnym Orinokiem. Pomożemy ci oczywiście pokątnie – pomożemy ci zdobyć Angostura i inne placówki hiszpańskie nad środkowym Orinokiem i obrócić je w perzynę. Urobisz Indian w duchu przyjaznym dla Anglików, iż będą pragnęli naszego przybycia, a gdy wybije wielki dzwonek historii, władzę swą przekażesz koronie angielskiej. Rzecz prosta, zostaniesz gubernatorem dolnego Orinoka, a jeśli zapragniesz odwiedzić Wirginię, bądź pewny, że lord Dunbury poczuje się zaszczycony, gdy podasz mu przyjazną rękę...

Ponętne i słodkie słowa prawil miły kapitan Powell, kuszące obrazy umiał wywoływać, jedynie lekkie wątpliwości nasunęły mi się na myśl o dumnym lordzie Dunbury, zaszczyconym podaniem ręki Johnowi Bobrowi. Zbyt dobrze znałem tego pana.

–Kiedy, według waszmości opinii, wybije ten dzwonek historii? – spytałem.

–Takie rzeczy trudno przewidzieć, albowiem zależne są od tego, co dzieje się na

wielkiej arenie świata. Ale obecność waszmości i twoje działanie nad Orinokiem może walnie przyśpieszyć bieg wypadków.

Następnie Powell opowiedział mi, że nie byłem pierwszym w tych stronach Anglikiem i że mieliśmy tu nasze tradycje. Mianowicie już w

roku 1595 Sir Walter Raleigh wpłynął ze swą flotyllą na czterysta mil w górę Orinoka w poszukiwaniu legendarnej krainy złota. Wówczas uporczywe krążyły pogłoski, że taką krainą istniała u źródeł rzeki Caroni, prawego dopływu Orinoka. Raleigh dobrnął tylko do pierwszych bystrzyn na Caroni i zawrócił bez złota, natomiast z tej wyprawy powstała pierwsza angielska książka z opisaniem wielkiej rzeki. Następnego roku towarzysz Raleigha, Lawrence Keymis, odbył pieszą podróż wzdłuż wybrzeża morskiego od ujścia Amazonki do ujścia Orinoka, a jego ścisły opis kraju i Indian niezawodnie zachęcił później kupców angielskich do zakładania faktorii w Gujanie.

–A obecnie – mówił kapitan Powell – stoimy u progu nowych, brzemiennych wypadków, których plonem dla nas będzie olbrzymi szmat bogatego kraju. A okazja jest nadzwyczajna. Zważ, mister Bober, jacy słabi są w tych stronach Hiszpanie!

Tak, to była prawda! Wschodnią częścią Wenezueli Hiszpanie mało się zajmowali, niewiele tu swych placówek założyli w przeciwieństwie do środkowej i zachodniej części, ośrodków ożywionej ich działalności kolonizatorskiej. Tak, tu na wschodzie byli słabi.

Wtem Dabaro kazał zawiadomić nas, że Akawoje chcieliby rozpocząć taniec pożegnalny. Przeto poszliśmy do nich odkładając rozmowy ciąg dalszy na później.

Taniec mało co różnił się od wczorajszego wojennego. Akawoje trzymali się za ręce i przytupywali pokrzykując, a jeden bardzo głośno bił w bęben. Arasybo, z godną podziwu wytrwałością od samego brzasku rzucający na nich czary, zmącił akawojski takt. Poleciałem Arasybowi nie przeszkadzać im i uciszyć się.

Spotkało mnie pytające spojrzenie Manauriego.

–Niech tamtym spokojnie doniosą, co tutaj zaszło – odrzekłem wskazując oczyma na kapitana Powella. – To tylko na nasz pożytek, a w żadnym razie zaszkodzić już nie może.

Zawczasu wysłaliśmy dwa szybkie podjazdki z dwoma zwiadowcami na każdym, których celem było ukrycie się na rzece o milę powyżej cieśniny i tak samo poniżej, ażeby wypatrzeć, dokąd „handlarze” popłyną.

Akawoje opuścili Kumakę w dwie godziny później.

Słońce spory kawał przechyliło się na zachodnią stronę nieba, a Arnak ze swoimi ludźmi jeszcze nie wracał z drugiej strony rzeki. Mimo to zaczęliśmy przygotowania do nocnej wyprawy, w której miała wziąć udział większość naszych wojowników, prawie stu pięćdziesięciu chłopów. Należało podzielić ich na drużyny, wyznaczyć im łodzie, dać przywódcom wskazówki. Zarządziłem również przytwierdzenie sterczących i gałęzi do boków łodzi dla osłony i niepoznaki.

Coraz niespokojniej wypatrywałem powrotu Arnaka. Czyżby coś mu się przydarzyło? Zacząłem żałować, że lekkoomyślnie go wypuściłem. Już tylko godzina była do zachodu słońca, gdy wreszcie łódka jego pojawiła się na jeziorze. Co za radość! Nie brakowało nikogo z obsady. Wysłałem mu naprzeciw wioślarza na jabocie, by powiadomił go o przybyciu Anglików.

Młodego przyjaciela oczekiwałem nad brzegiem jeziora. Tak go lubiłem, że serce mi skakało na jego widok, a cała gęba kraśniała. On natomiast był markotny i wyskakując z łodzi zaraz oznajmił:

–Nie znaleźliśmy ich obozu.

Był to cios! Wszelkie plany wzięły w łeb. Akawoje stali się znowu nieuchwytni.

–Czy dokładnie przeszukaliście jezioro za cyplem?

–I jak jeszcze. Każdy prawie krok brzegu. Dlatego tak długo to trwało.

–I żadnego śladu? Nic?

–Nic.

–To znaczy, że stanęli obozem wyżej nad rzeką, aniżeli przypuszczaliśmy.

–Ano!

Właśnie podeszli Manauri, Mabukuli i Jaki. W krótkich słowach zdałem im sprawę z położenia, dodając:

–Taki z tego wszystkiego wniosek: przechodzimy znów w postawę obronną,

i to z większą czujnością niż dotychczas. Korci mnie, co tej nocy dzieć się będzie na rzece. Dokąd popłynie ośmiu Akawojów? Nad rzeką rozciągniemy baczny dozór...

Po wzmocnieniu wart dokoła Kumaki nastąpiła dla mnie chwila wytchnienia i mogłem powrócić myślami do tego, co mi mówił James Powell. Czyż nie były to nęcące widoki, pozwalające snuć piękne nadzieje? Niechęć do Hiszpanów i ich okrutnego postępowania z Indianami weszła mi w krew do tego stopnia, że wyparcie ich z tego kraju mogło wydać się rzeczą najbardziej pożądaną. Czyż ponadto objęcie władzy przez Anglię nie wprowadziłoby ładu nad tę rzekę i nie

usunęłoby na zawsze podobnych kłopotów, jakie oto zwały się na nas od Akawojów? I czyż równocześnie nie otwierała się przede mną droga do wielkich, osobistych zaszczytów?

Były to niezmiernie korzyści, a jednak – dlaczego nie wywoływały we mnie takiego zapału, na jaki, biorąc rzecz na rozum, zasługiwały? Czy wiszące nad nami niebezpieczeństwo ze strony Akawojów stępiło moją wyobraźnię, zaćmiewało widzenie dalszej przyszłości?

Anglia wprowadziłaby tu ład – powtarzałem sobie, wszakże potem nasunęło mi się mimo woli pytanie: ład, ale jaki? Co ten angielski ład oznaczał dla Indian, bardzo dobrze wiedziałem z dziejów, jakże mi bliskich, naszych kolonii północno-amerykańskich. Dawniej, kiedy patrzyłem na to wyłącznie okiem białego pioniera, tępienie Indian uważałem za rzecz naturalną i wręcz nieuchronną, ale dziś było inaczej. Dziś przeznaczenie rzuciło mnie na stronę Indian i dziś wiele poczynań białych ludzi oceniałem okiem indiańskim.

Gdy słońce niemal dotykało wierzchołków puszczy za Itamaką, wciąż jeszcze wydawałem polecenia na noc, a w głowie tłukła mi się daleka Wirginia. Jak żywe nachodziły mnie wspomnienia o nie tak dawnych dziejach początków tej kolonii, niezwykle trudnych dla Anglików. Przybywali tam najpierw pionierzy od siedmiu boleści, szumowiny londyńskie, odpadki społeczne. Pohattan i jego Indianie gościnnie ich przyjęli i niejedną raz przez wiele lat ratowali od śmierci głodowej darami hojnymi. Przybysze, dopóki słabi, byli potulni, ale gdy ich więcej się zjawiało, porośli w piórka, odkryli przyłbice, zhardzieli, stali się bezwzględni. Swych niedawnych dobroczyńców uznali teraz za dzikie zwierzęta, które należało zabijać. Nie upłynęło i czterdzieści lat od przybycia pierwszych Anglików, gdy koloniści wytępiali resztki wielkiego ongiś i dzielnego narodu Pohattana.

Powiesz, człowieku, że to nieodmienny bieg historii i że wobec hartu, energii, prężności Anglików taki los musiał spotkać tubylców? Czy wobec tego miałem przyczyniać się do wpuszczenia nad Orinoko tak niebezpiecznych ludzi?

Oczywiście Gujana i ujście Orinoka to nie Wirginia ani Massachusetts. Tu Anglicy przychodzili dotychczas, i przychodziliby w przyszłości, głównie jako kupcy, zakładający faktorie, ale potem musiałyby nastąpić okres plantacji, na plantacjach zaś potrzebne były liczne ręce niewolników. Czerpaliby je z ujarzmionych szczepów indiańskich, jak to już teraz czynili Holendrzy, a gdyby szczepy się broniły, wiadomo z wielu przykładów, co by je czekało. Nie, takich niebezpiecznych ludzi zapraszać nie było roztropnie, ich sprawnej zaborczości należało strzec się uporczywie i jak najdłużej.

Właśnie słońce zachodziło i mroki gęstniały na ziemi, kiedy w mej świadomości wyjaśniały się ważne sprawy. Myśl dojrzewiała: Hiszpanie, dlatego że tacy słabi nad Orinokiem, byli tu najdogodniejszymi zwierzchnikami, ich słabe władanie tym krajem zapewniało tutejszym szczepom względną niezależność i swobodę. Wpuszczenie tu innych europejskich władców, a zwłaszcza moich rodaków, tylko utrudniłoby żywot tubylcom.

Zanim przyszło do rozmowy z Powellem, trzeba było wysłać patrole na rzekę. Wyznaczyliśmy do tego cztery niewielkie jachty, każdą obsadzoną przez dwóch wojowników z sowim wzrokiem, łódki przemyślnie osłonięto gałęziami. Jedna jachta miała pozostać w cieśninie między rzeką a jeziorem, reszta – zająć stanowiska na samej rzece, ale gdzie? Z wodzami w końcu ustaliłem, że około trzy czwarte mili powyżej cieśniny staną czółna na kotwicach z kamieni w odpowiednich odstępach jedno obok drugiego, tak ażeby mieć na oku całą szerokość rzeki: nie zauważony nikt nie powinien był przepłynąć

mimo. Uzgodniwszy jeszcze sposób przekazywania wiadomości, mogłem nareszcie zabrać się do wieczerzy, a następnie poprosić kapitana Powella na rozmowę.

W oględnych, acz jasnych słowach przedstawiłem mu przy ognisku mój pogląd nie ukrywając przyczyn, dla których nie mogłem popierać planów angielskich. Słuchał uważnie i uprzejmie, ale pod koniec mych wywodów zwężyły mu się oczy i maleńka pionowa zmarszczka przecięła jego czoło.

–Młody człowiek – odezwał się, gdy wyjawiłem mu wszystko – młody człowiek jest Polakiem, wszak prawda?

Zaśmiałem się:

–Jaki ja tam Polak? Ani dziesięciu słów nie umiem po polsku. Chociaż moja matka rodziła się w Polsce, a mój ojciec miał w sobie coś polskości od mego pradziadka, przecie babki prababki nasze były rodowite Angielki, ja wychowałem

się w duchu angielskim, w otoczeniu wyłącznie Anglików. Ja jestem Anglik.

Powoli zamyślił się zaciągając cygarem i często buchając dymem, ażeby odpędzić komary. Rzekł:

–Sytuacji Indian nad Orinoko nie można porównać z tym, co działo się na północy – sam to zresztą waszmość zauważył. I dobrze określasz charakter kupiecki naszej kolonii w Gujanie, a wiedz o tym, że Indian my, Anglicy, nigdy nie

uważaliśmy za materiał roboczy dla plantacji. Jeśli będziemy stwarzali

tu kiedyś plantacje, to sprowadzimy Murzynów, Indianom dając pokój, co najwyżej spychając ich nieco w głąb puszczy. Natomiast mylisz się co do Hiszpanów i nie doceniasz niebezpieczeństwa z ich strony. Dziś są tu słabi, ale czy to znaczy, że zawsze tak pozostanie? W niewielu latach może to się gruntownie zmienić. A jacy to okrutni despoci w stosunku do Indian, sam chyba wiesz najlepiej. Bywało w naszej historii, że z wyższej racji stanu musieliśmy zwalczać szczepy indiańskie – co tu, na południu, nie wchodzi w grę, powtarzam! – ale zwalczając nigdy nie dopuszczaliśmy się: okrucieństw.

Obwieszczał to napuszonym nieco głosem, choć w granicach układności, ale z przechwałką, przekonany o słuszności swego zdania i nie dopuszczający, ażeby ktoś mógł myśleć inaczej. Krew napłynęła mi do głowy, ale się pohamowałem i przygryzłem sobie wargi. Dopiero po chwili odpowiedziałem mu:

–Było to, jeśli się nie mylę, w roku 1644, a więc niespełna sto lat temu. Indianie w Wirginii dla naszych coraz liczniejszych kolonistów stali się w końcu – samym faktem; swego istnienia – zakałą nieznośną. Postanowiono zadać tubylcom ostateczny cios. Ażeby to tym gruntowniej wykonać; uciekli się koloniści, wszyscy koloniści na całych kresach, do niecnego kłamstwa: jak jeden mąż zmienili swą postawę wobec Indian i udali ogromną, serdeczną przyjaźń, ażeby wywabić tamtych z ukrycia. Podstęp, wykonany dla wyższej racji stanu, powiódł się w całej pełni i zaczęło się ostatecznie wybijanie narodu Pohattana. Koloniści, jak to już dawniej nieraz bywało, mordowali wszystkich, także kobiety i dzieci, ma się rozumieć, dla wyższej racji stanu. Indianie bronili się rozpaczliwie, lubo daremnie, a jednym z ostatecznych powalonych był sędziwy ich wódz Openczakanuk, brat dawno nieżyjącego już Pohattana. Starca dziwnym trafem nie zabito na miejscu, lecz wzięto do niewoli i zawleczono do Jamestown. Tu gubernator nasz

wymyślił dla niego niezwykłą śmierć. Na środku placu w mieście kazał zbudować klatkę i do niej wsadził jeńca, jak bestię, na pośmiewisko gawiedzi.

Przechodnie w istocie nie szczędzili Indianinowi szyderstwa ani pogardy, wielu pluło na starca i kijami go szturchało. Gubernator skazał go na śmierć głodową i rzeczywiście Openczakanuk po pewnym czasie umarł z wycieńczenia... Jedyłą jego winą, co przyznać musieli nasi dziejopisarze, było to, że sędziwy wódz walczył do ostatka o swoją ziemię i swój naród... Nie, sir, my, Anglicy, nigdy nie dopuszczaliśmy się okrucieństw wobec Indian, nigdy, prawda?

Kapitan przyjął opowieść spokojnie, nawet z przebłyskiem humoru. Spoglądając na mnie długo poprzez kłęby cygarowego dymu w końcu przeciągnął się, ziewnął głośno i oznajmił z bladym uśmiechem:

–*Weil*, mister Bober, masz waszmość uparty łeb i pewnie jesteś dziś zdenerwowany

niewyraźną sytuacją z tymi Akawojami. Jutro pogadamy sobie dalej. Dobranoc, młody człowieku!

–Dobranoc, mister Powell. Nie zapomnij na pokładzie brygu wystawić dziś czujnej

wachty! I każ podsytać na nowo rusznice i pistolety!...

Noc już była gęsta, gdy wróciła jedna z dwóch jobot, wysłanych po południu za ośmioma Akawojami: Akawoje wypłynąwszy z jeziora na rzekę puścili się w dół ku Orinoku, ale nie dotarli nawet do Serimy i przedtem wylądowali, żeby w ukryciu przeczekać do wieczora.

Zwiadowcy nasi wyszli na brzeg przekonać się, czy nie było tam więcej Akawojów: nie było. O zmroku tych ośmiu wsiadło znowu do łodzi i płynęło teraz z powrotem, w górę rzeki; minęło cieśninę między rzeką a naszym jeziorem i wciąż wiosłowało dalej, niestety nasi w ciemnościach stracili ich z oczu. Więc jedna jabota wróciła do Kumaki, druga została w cieśninie.

Wiadomość ta potwierdziła tylko nasze domniemanie, że obóz Akawojów był gdzieś w górze rzeki.

Wróciłem do mej chaty. Lasana usłyszała kroki i natychmiast wstała, by rozdmuchać przygasające ognisko. W jednym kącie spał Arnak, w drugim Wagura i Pedro, dwóch nierozłącznych druhów. Pogrążeni w twardym śnie zdrowych, młodych ludzi po ciężkiej pracy, wszyscy trzymali ręce na swych strzelbach i innej broni, gotowi, tak jak większość mieszkańców Kumaki tej nocy. Pomimo wojowniczego oręża tchnęło od nich kojącym spokojem, na ich twarzach osiadł wyraz łagodności i ufego wytchnienia. Młodzi Indianie ślepo wierzyli we mnie i naraz zdjęło mnie dziwne wzruszenie i niezwalczona chęć cichej w duchu przysięgi, że wiary ich nie zawiodę. Uściskałem Lasanę i rzuciwszy się na posłanie od razu zapadłem w kamienny sen, jakby przejścia ostatnich dni przywalały mnie do ziemi.

Potem budzili mnie długo, zanim wybiłem się ze snu. Jeszcze śpiąc wyczuwałem ich niezwykle podniecenie. Było ich kilku, stali nade mną. Obok Lasany – Manauri, Mabukuli, Fujudi i jeszcze kilku wojowników. Wypełniali całą chatę. Coraz więcej ich wpadało.

–Janie! – usłyszałem przejęty głos Manauriego. – Wstawaj! Akawoje ruszyli!

W okamgnieniu wytrzeźwiałem, odbiegł mnie sen. Zerwałem się:

–Gdzie są?

–Na rzece.

–Na rzece?

–Tak. Popłynęli w dół, minęli naszą wieś, pociągnęli w stronę Serimy.

–Czy stwierdzono, ilu ich?

–Przeszło osiemdziesięciu. Tylu w ciemnościach naliczyły nasze straże.
Byli na

dziewięciu łodziach.

–Kiedy przepływali?

–Właśnie co. Nie mogą być daleko. Kazałem zbudzić całą wieś.

–Dobrze. Czy popłynął kto za nimi?

–Tak, dwie jaboty, które stały na rzece.

Wagura i Pedro już się budzili, Arnak jeszcze spał jak zabity: był biedak zmordowany po poprzedniej nocy nieprzespanej i po wyjątkowo znojnym dniu. Łagodnie potrząsnąłem go za ramiona i rzekłem mu przyjaźnie, acz gromko, do ucha:

–Arnak, chłopie kochany! Wstań, zaczęło się!

Otworzył szeroko oczy.

23. Walka Na Rzece

Wrzało w Kumace jak w ulu. Serima w niebezpieczeństwie! Wszyscy jedną mieli myśl: Akawoje poznali, żeśmy w Kumace czujni i do oporu gotowi, więc postanowili napaść nie na nas, lecz na Serimę. Widocznie dowiedzieli się, że tam zaraza już wygasła. Jak najszybszą należało nieść pomoc rodakom. Pomimo pośpiechu i ciemności nie było zamętu, wojownicy bowiem już przedtem wiedzieli, który do jakiej należał łodzi.

Moja itauba z ludźmi naszego rodu pierwsza wyruszyła. Pruliśmy wodę jak diabły. Już śmignęliśmy przez jezioro, już pozostawili cieśninę za sobą. **Na rzece czuj duch! Wyteżać ślepią, aby nie wpaść w zasadzkę. Ale cisza była przed nami i niebo czarne, bez złowieszczej łuny.**

Wtem – coś zamajaczyło z przodu, jakby łódź. Na cichy rozkaz wiosłarze wyrwali wiosła z wody. Niewątpliwie ruszało się coś przed nami i już było słychać przytłumiony, popędliwy plusk wiosłowania. Pędziła łódź w naszą stronę, wprost na nas.

–Ho! – odezwałem się z cicha.

Tamci porozumiewawczo odchrząknęli.

Była to jedna z **naszych trzech jabor, która wprzódy odbywała nocną straż na Itamace. Gdy o północy zauważyła przepływające łodzie akawojskie, podażyła w ślad za nimi, a teraz wracała z ważną nowiną: Akawoje nie zaatakowali Serimy, minęli ją i popłynęli dalej, ku Orinoku.**

Odetchnęliśmy z ulgą. Odeszło niebezpieczeństwo od Serimy, odsiecz skazała się zbędna.

–Gdzie są te dwie inne jabor, które z wami stały na rzece? – spytałem.

–Cięgną dalej za Akawojami.

–To dobrze!

Tymczasem przyływały z Kumaki następne itauby. Wszystkieśmy otrzymywali wedle siebie i zawiadamiali o stanie rzeczy.

–To nie pozostanie nam nic innego, jak wracać do Kumaki – rzekł Manauri, rad z

takiego obrotu sprawy.

–Tak jest, wracamy! – przyświadczyłem. – Tylko musimy wiedzieć dokładnie,

dokąd oni popłyną: w dół Orinoka czy w górę, co zresztą mniej prawdopodobne.

–Słusznie! Tę trzecią jabotę, która oto wróciła, pošlemy znów zaraz za nimi!

Załoga jej niezbyt się ucieszyła takim poleceniem głównego wodza i coś tam pod nosem pomrukiwała.

–Nie myślcie – ostrzegłem – żeśmy całkowicie uszli niebezpieczeństwa. Nie znamy zamiarów Akawojów, a że coś knują, to pewne! Nie jedną, lecz dwie jaboty powinniśmy rzucić jeszcze za nimi, niech ich śledzą cztery łódki i dają nam

znać o ich ruchach. Tak samo należy zawiadomić o tym, co zaszło, wszystkich Arawaków żyjących poniżej Serimy nad Itamaką i Orinoko.

–Dowiedzą się jeszcze tej nocy! – przyrzekł Manauri.

W górnym nastroju wojownicy wracali do osady. Słusznie spłynęło na nich odprężenie, niestety, zbyt szybko ogarniała ich również beztroska. Było to po kilku dniach ostatnich poniekąd naturalne i zrozumiałe, ale niebezpieczne przecież. Wiedziałem aż nadto dobrze, jak pochopnie Indianie zapominają o jutrze i łatwo poddają się opieszałości. Temu należało zapobiec i już w drodze powrotnej napomknąłem o moich obawach starszyźnie.

Po pierwszych chwilach radosnego uniesienia, którego ja także doznałem, wcześniej na mnie przyszło ochłonięcie. Akawoje odplynęli, prawda, ale dokąd i w jakim celu? Sam kapitan Powell potwierdził, że to łowcy niewolników, zatem jeśli poniechali nas jako łakoć nazbyt najeżoną i dla nich niepewną, a Serimy nie ruszyli z obawy przed zarazą, to na kogo się rzucą, kto był w tych stronach najbliższy? Oczywiście Warraułowie, szczep rybacki, mało bitny a dosyć gęsto zaludniający brzegi Orinoka. Przeto jeśli się okaże, że Akawoje po opuszczeniu Itamaki pójdą w dół Orinoka, wtedy niech bogowie mają Warraułów w opiece.

Zaraz po przybyciu do Kumaki kazałem przywołać Mandukę i jego dziewięciu Warraułów i w obecności Manauriego oraz Fujudiego jako tłumacza wyraziłem im swe zaniepokojenie. Manduce nie trzeba było wiele tłumaczyć.

–Uprzedzimy ich! Ostrzeżemy! – zawołał przejęty. – Akawoje na pewno chcą

uderzyć na naszych, już niejeden raz tak robili. Zaraz wyruszymy, ale pożyczcie nam tę samą itaubę, jaką mieliśmy przeciw Hiszpanom.

–Bierzcie ją! – bąknął Manauri.

Warraułowie pobiegli co do broni i po swoje manatki. Wtedy oświadczyłem starszyźnie, że i nam nie wolno stać na uboczu, kiedy ważą się losy naszych przyjaciół i sprzymierzeńców. Starszyzna słowa me przyjęła bez zapалу, z wahaniem, więc zażądałem natychmiastowego zwołania całej Kumaki na ogólną naradę. Gdy ludzie stanęli na placu przed moją chatą, w blasku kilku ognisk, przedstawiłem im nasze położenie: pomimo sprzyjających pozorów nie wolno nam było spocząć, a dopóki wróg szwendał się w pobliżu, życie nasze wisiało na włosku.

–Warraułom musimy pomóc, i to bez straty czasu! – wołałem. – To nasz święty obowiązek! Jeśli chcecie żyć w przyszłych latach w spokoju, musimy opierać się na tych sprzymierzeńcach, a dziś Akawojom dać takie cięgi, że im się odechce raz na zawsze turbować nas w przyszłości. W gromadzie rozległy się szepty niezadowolenia, a ktoś zajazgotał:

–Przecież jeszcze nie wiemy, czy Akawoje na nich w ogóle się rzucą!

–Słusznie! Ale jeśli Akawoje popłyną w dół Orinoka, to najpewniej się rzucą! A

gdyby nie, to tym lepiej! W każdym razie ja natychmiast wyruszam na Orinoko i kto mi przyjacieł, a serce ma mężne, niech mi towarzyszy!

–Czy wszyscy wojownicy mają pójść na Orinoko? – zapytał Manauri.

–Bynajmniej! Co najwięcej setka. Reszta będzie tu potrzebna, boć jeszcze nie

wiadomo, czy jaki drugi oddział Akawojów nie pozostał w pobliżu. A ty, Manauri, musisz z nimi pozostać!... Więc kto popłynie ze mną?

Rozejrzałem się dokoła po najbliższych twarzach, Arnak i Wagura

porozumiewawczo kiwnęli do mnie głową i już chcieli się odezwać, gdy wojownik Kokuj z naszego rodu – ten sam, który w nocnej wyprawie u ujścia Itamaki uwalniał ze mną warrauskich jeńców wziętych przez Hiszpanów – postąpił ku mnie i huknął stanowczym głosem:

–Ja z tobą! Tyś dobry wódz i zawsze wygrywasz bitwę! A ze mną pójdą wszyscy z rodu Białego Jaguara czy nie pójdą? – potoczył wyzywającym wzrokiem po obecnych, nagle rozsierdzony.

–Tak, tak, pójdziemy! – odezwali się tu, tam nasi ludzie

Zgłosiło się natychmiast pięciu Murzynów z Miguelem na

czele i zgłosili się Pedro tudzież Arasybo, po czym nastała chwila krótkiej ciszy.

–Ja idę z Białym Jaguarem, jeśli wojownicy wolą siedzieć w domu! – wystąpiła Lasana. – I pójdzie ze mną kilka przyjaciółek, biegłych w strzelaniu z łuku. My nieźle zastąpimy gnuśnych wojowników...

Na to powstało wielkie zamieszanie i moc krzyku i oburzenia, i wielu na raz oświadczyło, że pójdzie z nami. Wtedy zjawiała się śpiesząca od rzeki jabota z wiadomością, że Akawoje po wyjściu z Itamaki skierowali się w dół Orinoka, a zatem ku siedliskom Warraułów.

–Nie traćmy ani chwili! – zawołałem. – Trzeba pędzić!

Było nas wyruszających około dziewięćdziesięciorga, bo rzeczywiście towarzyszyły nam także kobiety. Dziesięć strzelb zostawiłem Manauriemu, resztę broni ognistej zabrałem ze sobą, jak również żywności na cztery dni. Pomieściliśmy się w pięciu itaubach pokrytych gałęziami i w trzech małych podjazdach. Młodzi wodzowie, Jaki i

Konauro, wybrali się z nami. Każda itauba mieściła drużynę z dowódcą, a na mojej łodzi była część zwiadowców i kilku wojowników z naszego rodu tudzież Fujudi, Pedro, Arasybo i Lasana z dwiema kobietami. Pedro nie zapomniał zabrać ze sobą mapy dolnego Orinoka, a Arasybo czaszki jaguara.

Głównym celem naszej wyprawy było ostrzeżenie Warraułów i przybycie do nich możliwie przed Akawojami, co niezawodnie ostudziłoby wojenne zbójców zapędy. Więc nie szczędziliśmy sobie ni wioseł i pędzili niby gnani przez demonów. U ujścia Itamaki wpadliśmy w pas gęstych mgieł, zalegających powierzchnię Orinoka. Poza kręgiem dziesięciu kroków świat ginął nam z oczu, ale wioślarze znali okolicę tak dobrze, że płynęliśmy dalej z niemniejszą szybkością. W górnym biegu Orinoka spaść musiały deszcze i przybrały wody, a w rzece toczyło się wiele wyrwanych z korzeniami drzew.

–Mgła utrudni Akawojom jazdę – zauważył Fujudi.

–Może zmusiła ich do wylądowania – odezwał się Pedro z nabożnym życzeniem.

–Wątpię – mruknąłem – prąd w dół rzeki wskazuje im drogę...

Niebawem zmieniła się czarna dotychczas ściana mgły i blade cienie zaczęły wsiąkać w jej mroki. Noc miała się ku końcowi, przechodziła w brzask. Jednocześnie powstał wietrzyk, aleśmy, będąc stale w ruchu, nie odczuli go, jeno zobaczyli: mgła jęła kłębić się, rozdzierać na strzępy, rzednieć. Światło rosło, wzrokiem sięgaliśmy coraz dalej, już z prawej ręki migały nam zjeżone kształty puszczy. Różowe i złote połyski szły po niebie i odbijały się na rzece, a gdy w końcu słońce z puszczy wychynęło i strzeliło nam prosto w źrenice, znad wody także wymiotło

ostatnie obłoczki mgły.

Wielka rzeka rozwarła się w całej swej okazałości, obnażona przed naszym głodnym wzrokiem – i sromotnie zawiodła nas. Na olbrzymiej przestrzeni ni śladu łodzi lub żywej istoty krom niezliczonej ilości ptactwa wodnego w powietrzu i wodzie, a tu i owdzie wyskakujących z toni delfinów rzecznych. Ogarnięcie widnokregu perspektywą nie wykryło nic nowego.

Po godzinie rzeka stanęła, a potem ruszyła w przeciwnym kierunku, ku górze: zaczął się przyptyw morza. Ponieważ coraz trudniej było dążyć naprzód, a wioślarzom po nieprzespanej ostatniej nocy i zmitrężonych poprzednich dobach należał się odpoczynek, wylądowaliśmy w dogodnym miejscu i tam, po spożyciu naprędce posiłku, przespaliśmy się przez cztery godziny.

Około południa prąd zwolniał. Nie zważając na okropny upał ruszyliśmy dalej. Lekki wietrzyk od morza wnosił krztynę orzeźwienia, ale pomimo to moc wysiłku potrzeba było, by rzetelnie pracować wiosłem i nie zemdleć z gorąca. Gdy prąd się całkowicie zmienił i dążył ku morzu, nabraliśmy rozpędu jak w nocy.

Wnet mijaliśmy pierwsze małe osiedle Warraułów, złożone z paru szałasów. Domostwa, widoczne od rzeki, stały niedaleko wody na wywyższeniu wśród niewielkiej polany. Ale co nas uderzyło – nigdzie nie było widać ludzi. Arnaka płynącego najbliżej brzegu wysłałem na ląd dla zasięgnięcia języka, wszakże zaledwie chłopak dotarł do chat, zaczął nam rzucać rękoma gwałtowne znaki. Wylądowaliśmy również i podbiegli.

Osiedle nosiło na sobie ślady niedawnej napaści. Chaty stały co prawda nienaruszone, natomiast między nimi a puszcza odkryliśmy zwłoki

Indianina i trzech kobiet. Zrozumieliśmy łatwo, co działo się tu kilka godzin temu, nad ranem: mieszkańcy sadyby, zaskoczeni przez napastników przybyłych od rzeki, usiłowali pierzchnąć do gąszczu, lecz szybko dogoniono ich i zatłuczono maczugami.

–Obawy nasze się sprawdzają! – rzekłem posepnie.

Nawet dzieciom Akawoje nie darowali. Nie opodał w trawie leżało dwoje pędraków z potwornie rozwalonymi czerepami. Naprędce przeszukaliśmy najbliższą okolicę, aliści żywej duszy nie znaleźliśmy.

–Jeśli kto pozostał przy życiu – przypuszczał Konauro – to pewnie wpadł w

ich ręce i został uprowadzony.

–Ale ciekawe, dlaczego chat nie podpalili? – zastanowił się Wagura.

–Żeby dym nie zdradził ich – wyjaśniłem.

Pozostawiając chaty własnemu losowi, wszyscyśmy co żywo rzucili się między drzewa, aby uzbierać olbrzymią górę gałęzi suchych i gałęzi świeżych. Roznieciwszy potężne ognisko wróciliśmy biegiem do łódek. Odprowadzał nas widok czarnych kłębow dymu, wzbijających się ponad puszcza, daleko widzialny znak ostrzegawczy. A równocześnie straszliwa zaciekłość trzymała w kleszczach nasze serca i pobudzała ramiona wioślarzy do pośpiechu.

Po upływie godziny czy dwóch ktoś zawołał nagle na mej itaubie:

–Uwaga! Patrzcie! Tam!

I wskazał poprzez listowie zasłony na coś podejrzanego, daleko przed

nami.

–Patrzcie! Patrzcie! – zawtórowały mu głosy z innych łodzi.

W istocie, na rozległej przestrzeni wodnej ciemniała niezwykła plamka. Był to krzak płynący na wodzie. Takich krzaków i gałęzistych drzew wyrwanych z lądu moc spływało, jako się rzekło, tego dnia do morza, ale ten poszczególny krzew zachowywał się dziwnie: nie dążył z prądem, lecz przeciwnie, jakoby powoli wdzierał się pod prąd, ku nam. I w istocie, to nie był krzak, lecz mała łódka gałęziami pokryta, o czym łącno przekonałem się przez lunetę. Po kilku minutach zbliżania się można było rozeznać, że to jedna z naszych jabol zwiadowczych, wysłanych w pogoń za flotyllą Akawojów. Daliśmy jej wioślarzom umówiony znak.

Gdy przybili do nas, otrzymaliśmy dokładniejsze o Akawojach nowiny: Byli oni o jakie dziesięć mil przed nami i pędzili z wielkim pośpiechem w dół Orinoka.

–Jak daleko stąd do Kaiiwy? – zapytałem Fujudiego.

–Według tego licząc, co biali nazywają milami, to chyba jakie siedemdziesiąt.

–Może ich przedtem dogonimy, jak myślicie? – zwróciłem się do wojowników na

itaubach, które zatrzymywały się tuż obok naszej.

–Dogonimy, a jakże! Dogonimy! – odkrzyknęli Arnak i inni.

–Czyście ich liczli? – zwróciłem się do zwiadowców. – Ilu jest Akawojów?

–Będzie ich osiem razy tyle co palców u obu rąk. Mają dziewięć itaub.

–Dla osiemdziesięciu ludzi dziewięć itaub? Czemu tak wiele łodzi? –

–To nieduże itauby, mniejsze od naszych. Przed nami płynie osiem, wzdłuż

południowego brzegu rzeki.

–Czy nie mówiłeś o dziewięciu?

–Dziewiąta, największa, dziś nad ranem, przed świtem jeszcze, przepłynęła na

drugą stronę rzeki. Straciliśmy jeszcze ją tam z oczu...

–Więc Akawoje podzielili się na dwie grupy? – zastanowiło mnie. – To nic nie

szkodzi. Gonimy tych na ośmiu łodziach!...

Ruszyliśmy z całych sił.

–Co to był za wielki dym za wami? – jeszcze zapytał jeden z wywiadowców.

–Aa, widzieliście z daleka? To dobrze...

W godzinach popołudniowych duszny żar wzmógł się niebywale. O tej porze ludzie zazwyczaj leżeli w cieniu, odurzeni spiekotą. Słońce przeszło nam nad głowami i zaczęło przyprzącać w plecy. Podziwiałem karność, hart i dobrą wolę wojowników, że pomimo piekła spiekoty nie ustawiali w wysiłku. Zaciskaliśmy kurczowo usta, pogrążeni w

zaciekłym milczeniu. Pod każdym z nas mokro było od ściekającego potu.

Ludzie z itauby Jakiego pierwsi zauważyli obce łodzie. Nie przed nami – za nami. W większej gromadzie Indian zawsze znajdzie się niepospolity osobnik o nieprawdopodobnej bystrości wzroku. Był, widać, taki na itaubie Jakiego, ale już jego pozostanie tajemnicą, jak potrafił dokonać odkrycia patrząc pod słońce tam, gdzie w oślepiającym morzu rozedrganych iskier, blasków i połyskań odbijało się za nami na rzece jakoby milion popołudniowych słońc. Dość, że Indianin spojrzął tam i odkrył.

–Akawoje! – rozeszła się wieść po łodziach.

Nawet przez perspektywę nie łatwo było ich dostrzec. Orinoko w tym miejscu miało szerokości jakie pięć lub sześć mil. To, cośmy zauważyli, płynęło o jakie cztery mile za nami, w naszym kierunku, i właśnie przebijało się przez rzekę z tamtego brzegu ku naszemu. Ale nie była to jedna łódź: naliczyłem cztery.

–Może to nie Akawoje? – padło pytanie. – Oni mieli tylko jedną łódź...

Dzieliła nas zbyt wielka odległość, żeby móc poznać dokładnie. Na zagadkowych łodziach znajdowało się kilkudziesięciu Indian i wszyscy tego wiosłowali, a przecież Akawojów wypłynęło o świcie na drugi brzeg tylko piętnastu mniej więcej. Więc kto oni byli? Czyżby więcej łodzi akawojskich przez rzekę się dostało? A może to jacyś Warraułowie?

Rada w radę postanowiliśmy zaprzestać wiosłowania i czekać na zbliżenie się obcych wiosłarzy. Po przebyciu rzeki sunęli oni.wzdłuż naszego brzegu, oddaleni od niego o jakie dwieście kroków. Więc

odpowiednio kazałem uszykować się naszym itaubom jednej za drugą łańcuchem bojowym, w takim położeniu, żeby tamci musieli przepłynąć tuż wedle naszego boku. Nie było obawy, że nas przedwcześnie odkryją, znakomicie zasłonięci bowiem gałęziami wyglądaliśmy, nawet z bliska, jak płynące powoli z prądem wysepki. Podobnych wysp – prawdziwych – więcej unosiło się w pobliżu na rzece.

Cztery itauby szybko nas doganiały. Bez przerwy badaliśmy je przez perspektywę i gdy podeszły na pół mili, ktoś patrzący akurat przez szkła nagle wykrzyknął:

–Ależ to są jeńcy, tam!!

Byli to jeńcy, dalibóg. Poznaliśmy ich po tym, że siedząc w łodziach rzędem jeden za drugim wszyscy mieli przeguby prawych rąk przywiązane do jednej liny, która ciągnęła się od dzioba łodzi do samej rufy. Tak połączeni ze sobą, mogli wykonywać po społu tylko jeden i ten sam ruch wiosłem, a kto by chciał uchylić się od tego i zrobić coś innego, wspólna lina stanęłaby mu na przeszkodzie. Tak wszyscy wiosłarze byli uwiązani.

Zaciekawili mnie szczególnie, rzecz prosta, ludzie na łodziach, którzy nie wiosłowali i też jeńcami nie byli. Na każdej itaubie siedziało ich po kilku, rozdzielonych równo z przodu i z tyłu łodzi. Dzierżyli w dłoniach długie dzidy, którymi, bijąc czasem po łbach wiosłarzy, naganiali ich do pośpiechu. Rozeznałem na pierwszy rzut oka, że to Akawoje, bo posiadali te same włókniste pasy, obwiązane dokoła każdego ramienia, jakie zauważyliśmy u Dabara i jego ludzi.

Sprawa się wyjaśniła. Była to grupa Akawojów, o której zwiadowcy nam donieśli, że przed świtem na jednej itaubie przepłynęli na lewy brzeg Orinoka. Widocznie udało im się zniecka napaść na ludne

osiedle Warraułów i połapać kilkudziesięciu jeńców, z którymi teraz pędzili na zdobytych itaubach, by połączyć się z resztą swych wojowników.

Nie mogliśmy uniknąć walki, narzucało ją nasze położenie. Ustawiliśmy się tak dogodnie, że pędzące ku nam itauby musiały przeciągnąć obok w odległości mniejszej, niż sięgnie strzała z łuku. Kazałem na wszystkich łodziach przygotować strzelby.

Akawoje zbliżali się nie przeczuwając zasadzki. Niestety, nie płynęli w jednej kupie. Tylko dwie łodzie dążyły razem, blisko siebie, jedna za drugą. Trzecia odbiła się na prawo i szła między tymi dwoma a brzegiem, czwarta zaś zostawała daleko w tyle. Szybko wydałem polecenia: na ostatnią, czwartą, miał uderzyć Arnak, będący na naszej pierwszej z góry itaubie, ja, stojący na dolnym końcu naszego łańcucha, zamierzałem wyprysnąć ku tej trzeciej, a Jaki, Konauro i Wagura – na środku – mieli załatwić się z dwoma pozostałymi, płynącymi razem.

Zbliżające się itauby rosły w oczach. Akawoje nie oszczędzali wiosłarzy, więc łodzie ich pruły wodę z wielką szybkością. Niczym nie pokryte, widoczne z dala jak na dłoni, pozwalały dobrze odróżnić wroga od przyjaciela.

Siedziałem z tyłu naszej łodzi, trzymając wiosło jako ster, a ludzie czekali również z wiosłami w dłoniach. Obok każdego na podporędku spoczywała broń.

Wtem jakiś ruch powstał na naszej itaubie i zmusił mnie do odwrócenia na chwilę uwagi od przeciwnika. Na dnie łodzi przesuwawała się ku mnie Lasana.

–Co się wierzisz? – oburzony syknąłem na nią.

–Nie ma przy tobie Arnaka – odrzekła tajemniczo, z wyzywającym wyrazem

twarzy.

–Nie ma. Czy to powód, żeby wprowadzać zamieszanie?

–Dziś ja będę czuwała nad tobą!

Wypowiedziała to z taką niewymowną powagą, że mimo woli mnie rozśmieszyła:

–Ach, aniele stróżu mój, będziesz chwytala z powietrza strzały akawojskie, tak?

–Tak, będę – odparła i wsadziła mi za pas jakiś owoc jako amulet.

–Ty, Czarowna Palmo, źle się wybierasz! Wiesz przecie, że wasze czary nie dla

mnie.

–Wiem, ale Arasybo kazał ci dać.

–Ha, jeśli Arasybo!...

Przez cały ten czas nie spuszczałem z oczu nadpływającej flotyli. Maskowanie nasze gałęziami było snadź doskonałe, bo pierwsza z obcych itaub właśnie mijała łódź Arnaka zaledwie w odległości około pięćdziesięciu kroków, a nic nie wskazywało na to, by Akawoje powzięli jakiegokolwiek podejrzenie. Tuż za pierwszą itauba pędziła druga. Gdy w następnej chwili znalazły się na wysokości drugiej naszej łodzi, na której dowodził Wagura, krzyknąłem co sił w gardle:

–Wagura – Konauro – Jaki: ognia!

Grzmotnęło równocześnie kilka strzałów i natychmiast po nich huknęły następne. Widząc, że były celne i w obydwóch itaubach piorunujące posiały spustoszenie wśród Akawojów, już na nich więcej nie zważałem.

–Naprzód! – zawołałem do moich wioślarzy.

Łódź pomknęła niby wystrzelona z procy. Z całych sił wparłem ster w wodę, żeby ostrym skrętem zboczyć na prawo, w kierunku brzegu. Sprawnym półkolem wyminęliśmy dwa ostrzelane czółna, które, pomimo że jeńcy przestali na nich wiosłować, sunęły dalej – i wyprysnęliśmy w stronę trzeciej nieprzyjacielskiej itauby.

Tam działy się osobliwe i szkaradne rzeczy. Sternik Akawoj spostrzegłszy, jaką urządziliśmy pułapkę, uznał za jedyny ratunek ucieczkę na brzeg i danie nura w gąszcz. Natychmiast skierował tam itaubę. Ale nie liczył się z oporem Warraułów. Oni tak samo od razu Przewachaii, co się święci, i nie myśleli pomagać swym wrogom. Wciąż wiosła trzymali w dłoniach, ale jedni zaniechali roboty, inni usiłowali nawet się przeciwstawiać. Powstało zamieszanie, łódź utknęła na miejscu.

Akawoje przeraźliwym wrzaskiem napędzali jeńców, a gdy to nie skutkowało, zaczęli najbliższych trzaskać po łbach i kłuć włóczniami. Zabijali ich, pełni niepohamowanej wściekłości. Sami łapali za wiosła i porywczymi uderzeniami walili w wodę. To także niewiele pomogło. Byli jeszcze o sto kroków od brzegu, gdy weszliśmy im na pięty. Stanąwszy między nimi a lądem przecięliśmy im ucieczkę. Los wydał na Akawojów wyrok, ale oni nie poddali mu się biernie.

Było ich pięciu, dwóch z przodu, trzech z tyłu itauby. Gdy ukosem zachodziliśmy im drogę, czterech z nich sięgnęło po rusznicę – mieli broń ognistą, gałgany! –

i wygarnęło do nas.

Posypały się dokoła siekance. Dwóch czy trzech naszych dosięgły i poraniły, ale inni w czas schylili ciała ukrywając się pod burta, a zresztą tamci źle celowali z rozszamotanej itauby.

Nie daliśmy im czasu na ochłonięcie. Przystaliśmy wiosłować, by łódź nie drżała. Obecny na pokładzie ludziom z rodu Białego Jaguara, strzelcom dość niezawodnym, kazałem szybko wypalić z rusznic, nabitych kulami. Sam wziąłem na cel sternika. Po salwie ruszyliśmy co sił ku itauby. Sternik leżał z przestrzeloną głową, wywalony do połowy ciała z łodzi, a trzech innych Akawojów, również trafionych, dogorywało.

Piąty, chłopisko rozrosłe, o sękatych mięśniach i rozjuszonym wyrazie twarzy, zdawał się być nie tknięty. Chwycił błyskawicznie za oszczep i z wielkim rozmachem cisnął go na nas. Nie chybił. Jednemu z wiosłarzy przebił pierś na wylot, następnie z małpią zręcznością stoczył się do rzeki i znikł nam z oczu w mętnej wodzie.

Był, widać, przednim pływakiem, długo pozostał pod powierzchnią. Domyślając się, że popłynie z prądem rzeki w kierunku brzegu, skierowałem w tę stronę łódź. Wojownicy czatowali z bronią, podniesioną do rzutu i do wystrzału. Okazało się, że nie zmyliły mnie rachuby. Akawoj wypłynął o kilka od nas kroków. Zanim zdołał otworzyć usta dla zaczerpnięcia powietrza, już furknęła pierwsza strzała i wbiła mu się głęboko w czerep. Tak zginął ostatni z ich piątki.

Przy czwartej itaubie walka równie szczęśliwie dobiegała końca. Strzały z rusznic przed chwilą tam zamilkły, a Arnak właśnie przybijał do zdobytej łodzi. Bitewna wrzawa ustąpiła miejsca głuchoj ciszy. Nad wodą wznosiły się tumany dymu powoli rzedniejące.

Po dokonaniu krwawej pracy odetchnęliśmy swobodniej. Przebity włócznią towarzysz już nie żył. Chciałem właśnie zwrócić Lasanie amuletowy owoc, mając na ustach jakiś żart złośliwy, gdy uwagę naszą przykuli do siebie Warraułowie na oswobodzonej przez nas itaubie. W czasie gdy goniliśmy piątego Akawója, oni zdołali się uwolnić od więzów i powrzucać zwłoki wrogów do wody. Teraz jęli się wiosła i w pośpiechu, raczej wyglądającym na nieprzytomny popłoch, zaczęli uciekać ku środkowi rzeki.

–Hej! Gdzie tak pędzicie? – krzyknął za nimi Fujudi w ich języku.

Lecz oni ani słówkiem nie odpowiedzieli, obłądzeni, milczący, i nie zważając na nic dokoła, sunęli jak szaleńcy, aż woda wysoko tryskała. Uciekali od nas.

–Powariowali czy co? – zdumiałem się. – Nawet nas się boją?

–Boją się: to dzicy! – rzucił Arasybo pogardliwie. – Dzicy z moczarów!

–Powiedz im szybko, kto my jesteśmy! – nakazałem Fujudiemu.

Indianin zwinął ręce w trąbkę i gromko zakrzyknął:

–My przyjaciele! Płyniemy do Kaiiwy ratować Oronapiego od Akawojów! Akawoje przed nami!... My swoi! Stójcie!

Wezwanie rozniosło się daleko i wszyscy Warraułowie musieli je słyszeć, ale przeszło ono bez najmniejszego wrażenia. Przeciwnie:

pierzchający jeszcze zapalczywiej wiosłowali. Warraułowic na trzech pozostałych itaubach, widząc paniczną ucieczkę tamtych, zerwali się, by tak samo dać drapaka na łeb, na szyję. Zmykali jak przed dżumą. Jedno było tylko na to wytłumaczenie, że strach zamroczył jeńcom rozum.

Gdy tak czmychali, przypominając spłoszone stado lękliwych małpisonów, coraz więcej Arawaków zaczęło z nich śmiać się. W końcu zbiegów odprowadzała istna burza wesołości i donośne, pogardliwe okrzyki, powtarzane za Fujudim:

–Tchórze! Tchórze!

Żałowałem jeno tego, że Warraułowic uwozili ze sobą kilka cennych rusznic, nieużytecznych w ich łapskach.

Całe zajście z Akawojami trwało mniej więcej pół godziny i na szczęście niewiele wyrządziło nam strat w ludziach: mieliśmy tylko jednego poległego, a kilku lżej rannych po opatrzeniu mogło dalej brać udział we wszelkiej pracy.

Prąd rzeki rwał wciąż nader wartko. Ruszyliśmy żywo. Do zachodu słońca były trzy godziny, do Kaiiwy było czterdzieści mil.

24. Puma i małpy

Kilkadziesiąt uderzeń wiosel oddaliło nas od miejsca walki o jakie pół mili. Kto oglądał się za siebie, mógł snadnie dostrzec Warraułów, którzy, zemknawszy ku środkowi rzeki, tam zatrzymali się, jak gdyby dla narady. Następnie dokonywali osobliwej czynności: liczni wioslarze przesiadali z jednej itauby na drugą. Po tej zmianie trzy łodzie ruszyły dalej w stronę drugiego brzegu, czwarta natomiast zawróciła ku nam. Po szybkich błyskach wiosel, w których odbijało się słońce, widzieliśmy,

że zależało im na rychłym dogonieniu nas.

–Czegóż oni chcą? – rzucił Fujudi pytanie urągliwym głosem. – Może poniewczasie nam podziękować? Albo nas przeprosić?

–Wydaje mi się – odrzekłem – żeś niedaleki prawdy.

–To trzeba im ułatwić. Zwolnijmy biegu!

–Oj, co to, to nie! Niech się wysilą i pokażą, co umieją...

Więc płynęliśmy dalej, jak gdyby to był wyścig.

Wygląd puszczy zgoła widocznie dla oka ulegał zmianie. Coraz mniej było na brzegu suchej ziemi, coraz więcej moczarów. Cała kraina przekształcała się w jedno bagnisko, przerywane zaledwie tu i owdzie suchymi kępami, a puszcza, jak okiem sięgnąć, wyrastała z wody. A przecież nie była mniej gęsta ni mniej bujna.

Im bliżej morza, tym obficie występowały cudaczne drzewa, które Pedro nazywał mangrowami. Korzenie ich wystawały wysoko ponad mułem i dopiero tam w powietrzu łączyły się w pień, co wyglądało niesamowicie, jakoby drzewa stały na długich szczudłach. Gdy czasem dla skrócenia drogi wypadało nam zupełnie blisko podpłynąć do brzegu, owe korzenie, powykręcane w najdziwaczniejszych łamańcach jakby w bólu, sprawiały wrażenie zjaw nie z tej ziemi. Były to w istocie twory nie ziemi, lecz obrzydłych mokradeł. Człowiek, wnikający wzrokiem w tę niezgłębioną gęstwę dziwactw i jakoby widm, mimo woli się wstrząsał i rozglądał, azali nie wychynie tu zaraz jakoweś upiorne straszdyło. Żyły w pobliżu mangrowowego lasu wielkie wodne ssaki apia, zwane przez Hiszpanów także krowami wodnymi, ale innych bestii

nie widzieliśmy.

Zależnie od przyływów i odpływów dalekiego wciąż morza woda tu wzbierała i opadała, wszędzie obnażając bagniste trzęsawiska. Człowiek, opuszczający tutaj łódź, od razu by zagrzął po pachy w lepkim błocie i już żywy nie wyszedł bez pomocy. Akawoje, uciekający do brzegu, daleko by nie uszli.

W wartkim prądzie uwiosłowaliśmy przez dwie godziny kilka mil, potem nurt zaczął wątleć. Przez cały ten czas itauba Warraułów ścigała nas uparcie i przybliżyła się na odległość mniejszą niż milę. Byliśmy ciekawi, z jaką do nas sprawą tak im się spieszyło, mimo to nie ustawaliśmy w biegu ani na chwilę.

Przy sterze zmienialiśmy się co pół godziny, a gdy kolej przyszła na Pedra, chłopak jedną ręką trzymając wiosło sterowe, drugą rozłożył przed sobą mapę, jaką zawsze miał przy sobie. O ile mu pozwalało sterowanie, pilnie w niej się zagłębiał. Potem zawołał do mnie, że chciałby mi coś pokazać na mapie.

–Coś ważnego? – niechętnie odwróciłem się od wiosła.

–Myślę, Janie, że warto zobaczyć – odrzekł Pedro przytłumionym, jak zwykle u niego, głosem.

–Może później, na postoju?

–O, nie! – sprzeciwił się łagodnie, acz żywo. – Musisz zaraz zobaczyć!

Odłożyłem wiosło i przysunąłem się do niego marszcząc brwi, że mi przerywa pracę.

–Wkrótce, to jest dwie, trzy mile dalej – zaczął tłumaczyć wskazując na

mapę – główny nurt rzeki, którym płyniemy, zatacza łuk ku północy, potem wraca znów na południe, a tam właśnie leży Kaiiwa. Pomyśl, Janie, gdyby tak ominąć

ów skręt i popłynąć w prostej linii tą odnogą tutaj, która jest niby cięciwa łuku – ile byśmy skrócili sobie drogi, co sądzisz?

Odkrycie Pedra było rzeczywiście doniosłe, pomysł trafny. Tylko czy na pewno istniała taka odnoga, przecinająca skręt rzeki?

–Uzgodniłem moją mapę z mapą pana Powella – zapewnił chłopak.

Nasuwały się jeszcze inne wątpliwości: kraj był pocięty niezliczoną siecią większych i mniejszych rozlewisk, przeróżnych ścieków, przesmyków, więc jakże łatwo zabłądzić w okropnej plątanie wszelakiej wody, zwłaszcza w nocy! Płynący przed nami Akawoje, obcy w tych stronach, na pewno nie zbroczą z głównego koryta rzeki, które i dla nas wydawało się najpewniejszą drogą.

Kazałem wszystkim itaubom zbić się w jedną kupę i nie zwalniając biegu oznajmiłem towarzyszom o odkryciu Pedra. Wtedy przypadkiem spojrzałem poza siebie, w dal, gdzie Warraułowicze wciąż pędzili za nami, i uderzyłem się w czoło.

–Warraułowicze! – zawołałem. – To przecież ich kraj! Ich rzeka!

Wszyscy zrozumieli mnie. Przyhamowaliśmy wiosła i Warraułowicze po kilku minutach doganiali nas. Kazałem im przysunąć się tak blisko, żeby ich itauba i moja szły obok siebie burta w burtę. Było przybyszów osiemnastu, przeważnie w młodym wieku. Na tyle już potrafiłem czytać w twarzach mieszkańców nadorinockich, że mi zmiarkowałem, jacy to ludzie do nas się przyłączyli: junacy o odważniejszym niż u innych sercu,

śmiałkowie pragnący się odznaczyć, a których pewnie paliły nasze szyderstwa i rzucone im słowa o tchórzach. Miny mieli zakłopotane i niewyraźne; nie wiedzieli, jak ich przyjmujemy. Spostrzegliśmy, że przywłaszczyli sobie broń zabitych Akawojów.

Gdy podpłynęli, sternik na itaubie, z wyglądu najstarszy z nich, przemówił usprawiedliwiającym głosem:

–Nie dziwcie się nam! Byliśmy oczadzeni, głowę straciliśmy,

Zamachałem ręką, przerywając mu przyjaźnie:

–Przestań, to nieważne... Czy chcecie z nami płynąć do Kaiiwy?

–Tak jest!

–Broń wszyscy macie?

–Mamy!

–A coście zrobili z palną?

–Jest tu. Nie umiemy z niej strzelać.

–To ją dajcie na moją itaubę!

Było pięć rusznic w paskudnym stanie, mocno zardzewiałych, poza tym kilka rur bambusowych z prochem i ołowiem. Przyjrząwszy się broni dokładniej, odkryłem na żelaznym okuciu rękojeści znak jej pochodzenia. Sprawdzało się: obok zamazanej rdzą nazwy miasta wyczytałem słowo: Nederland.

–Jak ci na imię, druhu? – zapytałem sternika.

–Kuranaj.

–Tyś wodzem?

–Dowodzę teraz tymi ludźmi – odrzekł wymijająco.

–Odtąd będziesz mnie słuchał i nic nie czynił bez mego rozkazu! Czy tu dobrze

znacie rzekę i zalewiska?

–Znamy, panie!

–To wiesz, że Orinoko czyni łuk ku północy?

–A jakże, panie, wiem, wiem! Dlatego właśnie tak się spieszyliśmy. My znamy

krótszą drogę, zwie się Guapo...

–Przecinającą łuk?

–Tak jest, i lepszą, bo na Guapo prąd od morza nie taki mocny jak na głównej

rzece...

–Podczas przypływu morza?

–To, to, panie!

–Spadasz nam z nieba, Kuranaj, jak na zawołanie!... Naprzód! Prowadź przez to

Guapo!

Na dwie godziny przed zachodem słońca spotkaliśmy jabetę z dwoma zwiadowcami arawaskimi, płynącą nam naprzeciw. Dowiedzieliśmy się od nich, że Akawoje płynęli przed nami wciąż o przeszło dziesięć mil, i to z wielkim pośpiechem, głównym łóżyskiem rzeki.

Wkrótce z prawej strony rozstąpiła się ściana puszczy i ujrzeliśmy rozwidlenie Orinoka. Tworzyło ono rodzaj zatoki, która w oddali zwężała się do szerokości niewielkiej rzeki, zwanej przez Warraułów Guapo. Tędy należało nam zboczyć. Ponieważ w głównym korycie rzeki prąd niemal że ustał, a Warraułowie zapewniali, że podjąwszy dalszą jazdę za cztery, pięć godzin, spokojnie przybędziemy do Kaiiwy jeszcze przed nastaniem brzasku – postanowiliśmy w tym miejscu odbyć krótki popas. Brzeg był tu nieco wyższy, niezalewny, wchodzący piaszczystym klinem między rzekę a jej odnogę. Na tym to cyplu znaleźliśmy dogodne miejsce na obóz. Wnet ogniska poczęły trzaskać wesoło i rozniósł się w powietrzu przyjemny zapach pieczeni na roznach.

Najbliższe drzewa puszczy podchodziły bujnym kłębem zieleni na kilkanaście kroków do naszego obozowiska, ale nie zamykały nam widoku, jaki przedstawiały brzegi zarówno olbrzymiej rzeki jak i bocznej jej odnogi. Słońce, lubo zniżające się, wciąż potężnie grzało, toteż roje dziennych owadów szumiały wszędzie dokoła, barwne motyle jak żółte i niebieskie gwiazdy krążyły nad naszymi głowami, z gąszczu zaś dolatywał przedwieczorny śpiew i wrzask ptactwa.

Jeszcześmy posiłku nie zdołali spożyć, gdy w odległości przeszło trzystu kroków spostrzegliśmy u skraju puszczy niezwykle ruch na drzewach i usłyszeli stamtąd przenikliwe skrzeki tudzież piski. Wyrażały strach. Postępowały szybko ku nam, w stronę obozu. Działo się tam coś osobliwego.

–Akalima! – zawołali ludzie przy ogniskach, gdy poznali zwierzęta po głosie. Zrywając się łapali broń i pędzili w zarośla.

–Małpy! Stado małp! – wyjaśniła mi Lasana.

–Akalima dobre mięso! – cmoknął ustami Arasybo, ale nie ruszył się z miejsca.

Lasana tak samo jak inni porwała za łuk i chciała śpieszyć w las.

Przytrzymałem ją mocno za ramię:

–Jesteś mi zbyt droga, moja Palmo, żebym ciebie tak puszczał samą i prawie

bezbronną!

–Puść mnie, mam łuk i strzały!... Gdzie sama? Ilu ich tam już pobiegło!
Nie

widzisz?

–Pobiegło, ale żaden z bronią palną!

–Niepotrzebna na małpy, wystarczą łuki...

–Przecież, Lasano, tam nie tylko same małpy, czy nie słyszysz?

–Słyszę, słyszę, ktoś je goni. To i co?

Błyski wyzywającej przekory zaświeciły w jej źrenicach. Jak zwykle, była prawdziwie Czarowna w dziewczęcym uniesieniu.

–A jeśli to jaguar? – zajrzałem jej pogodnie w oczy.

Zmiękła natychmiast, lecz nie z obawy przed drapieżnikiem.

Fala radości i serdecznego przywiązania spłynęła na jej twarz.

–To ci tak bardzo na mnie zależy? – stłumionym głosem zawahała się.

–Tak, Lasano, zależy mi!

Puściłem ją nie pobięła. Srebrny pistolet miałem za pasem. Sięgnąłem jeszcze po muszkiet i razem pomknęliśmy za innymi w knieję.

O jakie dwieście kroków od obozu zoczyliśmy pierwsze małpy. Wysmukłe, średnich rozmiarów, o wielkich głowach i wełniasto skręconym kożuszku, były na brzuchu białe, a czerwonawoczarne na plecach. Ogarnięte przerażeniem, wydawały żalosne pokwiki.

Skacząc z niebywałą zręcznością z gałęzi na gałąź uciekały przed czymś w jednym kierunku. Widzieliśmy ich kilkanaście, ale to nie było całe stado. Za nimi sypały inne. Liczne matki miały młode uczone im na grzbietach, a wszystkie lamentowały wniebogłosy, nieprzytomne ze strachu. Niektóre małpy toczyły błędnym wzrokiem i chwyciły się oburącz za głowy ludzkim ruchem: nic jeno rozpacz w ich zawodzeniu. Inne, zapewne samce, wydawały zaczepne, zduszone wściekłością chrząknięcia; chwilami przystając, wygrażały do tyłu rękoma i szczyrzyły zęby. Przecież i one nie potrafiły przemóc w sobie zgrozy, jaka owładnęła całym stadem, i także uciekały.

Dziewiczy las odsłonił oto na chwilę przed ludzkim okiem jedną z tragedii, dokonujących się tak często w jego mrocznej głębi. Ale kto wywołał trwogę małp, gdzie był wróg, siejący takie przerażenie? Gąszcz osłaniał go tajemnicą.

Tymczasem kilka zwierząt leżało już na ziemi, ustrzelonych z łuków przez naszych myśliwych. Małpy szybko odkryły nowego wroga – człowieka, i to całkiem doprowadziło je do szału. Teraz, nagle oniemiały, rozpraszały się na wszystkie strony, każda na własną rękę.

O kilkadziesiąt kroków przed nami na mgnienie oka zamigotała w listowiu drzew płowa plama drapieżnika i przepadła. Gonił on tam ostatnie małpy w stadzie i musiał jedną ucapić, bo rozdarł powietrze krzyk ofiary, mrozący krew w żyłach. Potem słyszeliśmy już tylko słabnące rżenie. Co sił w ramionach i co tchu przedzieraliśmy się przez podszycie w stronę głosów.

–To puma! – szepnął do mnie Pedro, któregośmy dopędzili.

Okazało się, że na miejscu byli już inni myśliwi i oni, strzelając do drapieżnika, zmusili go do ucieczki. Zwierz nie schodził wcale na ziemię; sadził po drzewach równie zwinny jak małpy. Naraz ujrzeliśmy go; pędził nad nami. Wielkie, żółtawe kocisko. Pierwsze uczucia, jakie mną targnęły, to podziw i zdumienie. Zdumienie, że tak potężny zwierz, raptem nieco mniejszy niż jaguar, był tak sprężysty i rączy. Dawał susy olbrzymie, a mimo to sunął z niewiarygodną lekkością powiewnej baletnicy.

Odwiodłem kurek muszkietu. Ale nic nam nie groziło, puma bowiem nie myślał nacierać. W barku jego tkwiły dwie strzały, które, lubo nie zadały śmiertelnej rany, jednak uprzytomniły mu niebezpieczeństwo ze strony dwunożnej bestii. Drapieżnik wyrywał jak huragan.

Przebiegał nie dalej od nas niż o trzydzieści kroków. Nie chciałem strzelać, by nie czynić huku bez istotnej potrzeby. Za to Lasana, stojąca o krok ode mnie, wypuściła strzałą. Trafiła zwierza, ale że właśnie pędził szybko po konarze, strzała poszła nieco w tył i ugrzęzła w

brzuchu. Drapieżnik jeno warknął. Okilkadziesiąt kroków od nas rosła stara mora, drzewo rozłożyste i wysokie. Puma doskoczył tam i wspinając się na wierzchołek przykucnął wśród listowia w płonnej nadziei, że go prześladowcy tam nie znajdą.

Kilku myśliwych bez namysłu wlaźło na pobliskie drzewa i stamtąd zasypało zwierza gradem strzał. Miał iście kocią żywotność, ale już nie stać go było na dalszą ucieczkę. Naszpikowany mnóstwem pocisków, wreszcie osłabł i stoczył się na ziemię, a tu przyjęty maczugami niezadługo dokonał zbójckiego żywota.

Śmierć pumy przejęła Indian dziką radością. Upojeni, zaczęli dokazywać jak dzieci i tańczyć dokoła, i wykrzykiwać niestworzone rzeczy, a rzucać obelgi na pokonanego zwierza. Przykuśtykał Arasybo i również wziął udział w tym osobliwym tańcu, ale po niedługiej chwili przerwał wszelkie zaklinania i kazał zwierzynę zanieść do obozu.

–Nie dziw się – tłumaczył mi – że wojownicy tacy rozbrykani. Teraz wiedzą na

pewno, że Akawojów na łeb pobijemy...

–Puma dał im tę pewność? – zapytałem.

–A ino! Drapieżnik ten uosabia nam nieprzyjaciela, no i powaliliśmy go. Wróg

zdeptany. Teraz go zjemy!

Oprócz magicznej korzyści, płynącej z upolowania pumy, mieliśmy także nie lada pożytek namacalny: mięso pumy Indianie chwalili sobie jako wielki przysmak i wkrótce sam się przekonałem, że w istocie nie

chwalili po próżnicy.

Małp ubito osiem, w tym niestety trzy samiczki z przyczepionymi kurczowo do ich sierści młodymi. Pędraki spadając nie odniosły żadnych uszkodzeń i myśliwi chcieli je zabić tak samo na pokarm jak ich matki, gdy temu stanowczo sprzeciwiła się Lasana. Zdjęta litością, wyrwała młode ze srogich łap męskich i zaniosiła do łodzi, by je sobie wychować.

Obficie i smacznieśmy tego wieczoru się najedli. Jakkolwiek jeszcze jasno było, kazałem Indianom położyć się do snu, wszakże wszyscy byli tak podochoceni, że nikt nie kwapił się do spania. Dnia następnego, a może nawet tej nocy ciężkie przejścia nas czekały i straszny wróg, a jednak wojownicy byli najlepszej myśli i pełni bojowego ducha. Tajne potęgi, jak o tym przekonali się Indianie, sprzyjały nam i natchnęły naszą wyprawę wielką otuchą. Ludzie rwali się do zwycięstwa.

Zapewniania Warraułów, jakobyśmy mieli wiele czasu – cztery, pięć godzin – na odpoczynek, nie bardzo trafiały mi do przekonania. Do Kaiiwy przez odnogę Guapo było jeszcze, z grubsza licząc, blisko trzydzieści mil. W wypadku jakiejś nagłej przeszkody po drodze i nieprzewidzianego stracenia choćby paru godzin, na pewno przybylibyśmy za późno z odsieczą. Co prawda Akawoje płynąc głównym nurtem Orinoka mieli dłuższą drogę i prąd przeciw sobie przez godzin wiele, ale jeśli by postanowili nie odpoczywać tej nocy, z całą pewnością mogliby dopaść do Kaiiwy przed świtem.

Gdy siedząc przy ognisku myślałem o tych rzeczach, dręczyły mnie coraz większe wątpliwości. Słońce zachodziło krwawą czerwienią; mroczne cienie zalegały już puszcę i kładły się na wodę, tak samo jak melancholia tej osobliwej chwili na duszę. Bezczynność nasza stawała się w końcu tak nieznośna, że o niepokoju swym oznajmiłem

przyjaciołom, odpoczywającym dokoła. Kazałem przywołać Warrauła Kuranaja.

–Słuchaj! Kiedy myślisz, że trzeba nam ruszyć? – zapytałem go.

–Czy ja wiem? Może za dwie godziny, trzy. Potem będziemy mieli księżyc i jasno...

–Niebo wciąż pogodne. A przy świetle gwiazd nie można wiosłować?

–Można by, tylko to niepotrzebne, bo czasu mamy dość. Popłyniemy później

wygodnie, przy świetle miesiąca...

–A jeśli jakie lichy wejdzie nam w drogę?

–Co za lichy? – w twarzy jego malowało się niedowierzenie.

–No, choćby te pnie drzew, toczące się z góry rzeki. Guapo, jak objaśniałeś,

miejscami jest dość wąskie. Niech się uczyni zator z tych pni, to ile zmarudzimy czasu na przenoszenie łodzi? Powiedz!

Kuranaj nie ukrywał swego zakłopotania i zaczął bezwiednie drapać się po głowie.

–O tym nie myślałem – przyznał półgębkiem.

Arnak zerwał się z ziemi i zawołał:

–Janie, płynmy zaraz! Obzarliśmy się do syta i pokrzepili. Dość

wylegiwania!...

I zaiste w dziesięciu minutach, po ponownym opatrzeniu broni, ruszyliśmy całą flotą postępując gęsiego za itaubą Warraułów. Gdy przemierzywszy zatokę wpłynęliśmy we właściwe Guapo i obydwie ściany gąszczu zwężyły się do gardzieli, nie szerszej niż sto kroków, zapadła noc. Zupełnie ciemno nie było. Roje gwiazd błyszczały na niebie i odbijały się w toni. W miarę jak powietrze stygło, powstawały z ciepłej wody opary szybko gęstniejące i wkrótce mgła nie pozwalała widzieć dalej niż na odległość rzutu kamieniem. Trzeba było zwolnić biegu, ale pocieszaliśmy się tym, że podobna mgła również Akawojom utrudniała pływanie.

–A jeśli na głównej rzece mgły nie ma?... – mruknął Murzyn Miguel.

Była to szalona jazda, koszmarny wyścig. Wróg tak samo jak my do tego samego celu pędził o kilkanaście mil od nas, z boku, i pamięć o tym ani na chwilę nie przestała nas trapić, a kłuc niby ostrogą. Niecierpliwą myślą wybiegaliśmy naprzód, do Kaiiwy, i wiedzieliśmy, że spóźnienie się oznaczało pewną zagładę przyjaciół naszych, a może i nas samych.

Każdy pływający pień, który nam włąził w drogę, nabierał złowróżbnego piętna, każda przeszkoda była nam wrogiem. Warraułowicze sprawnie nas wiedli, przecież nie zawsze dało się gładko omijać zawady.

Potem, po wzejściu miesiąca, lepiej się wiosłowało, lubo mgła nieustannie wisiała nad rzeką. Godziny upływały w milczeniu bez przerwy, jedynie rytmiczny plusk wiosła cicho wybijał monotony takt niby zegar wielkiego przeznaczenia. Rzekłbyś: nie ludzie tam sunęli w mglistym mroku, lecz mary jakoweś, demony leśne, i rzeczywiście zaciekleść była w naszych sercach tak wielka, że nie odczuwaliśmy zmęczenia ni trudu.

Gdy mgła nad ranem zaczęła rzednąć i z lekka płowieć nieuchwytną bladością, zwiastującą bliski świt, przepływaliśmy obok chaty żyjącego tu rybaka. Kaiiwa była niedaleko, ponoć za skretem, o jakie dwie imię, tam, gdzie odnoga Guapo łączyła się ponownie z głównym łozyskiem Orinoka. Wieś Oronapiego leżała na wyspie, otoczonej z jednej strony wielką rzeką, z trzech innych stron odnogą Guapo i dalszymi jej rozlewiskami.

Rybaka zastaliśmy nad brzegiem wody, właśnie wybierającego się na połów ryb. Zagadnięty, oświadczył, że nic porządku i spokoju nie przerwało we wsi, gdzie było cicho jak zwykle, i dziwił się naszemu zaniepokojeniu.

– Bogu dzięki! – westchnął Pedro. – Zdążyliśmy.

25. Na wyspie krwawego żniwa

Gdy parę minut później docieraliśmy do skreту, nagle z przerażenia zaparło nam dech. Przed nami rozległy się dzikie, lubo tłumione odległością, krzyki i zaraz potem na nieboskłonie zapaliła się łuna: to chata z suchej trzciny stanęła w płomieniach. Za pierwszą łuną wystrzeliły inne i wkrótce całe niebo jarzyło się czerwonym blaskiem przez mglistą zasłonę – ponury znak katastrofy.

Trzymając się blisko siebie płynęliśmy co sił aż do skreту. Tam, tuż pod cieniem brzegu, zahamowaliśmy łodzie, wstrząśnięci groźnym widokiem przed nami. Mogliśmy rozpoznać już nieźle, gdyż mgła opadała, a blask rozszerzał świat.

Na wyspie, oddalonej od nas o trzysta mniej więcej kroków, dopalało się kilka chat. W ich złowrogim świetle działy się okropne rzeczy. Zbrojny opór, jeśli Warraułowice w ogóle opór stawili, widocznie już

złamano w części Kaiiwy, zbliżonej do nas, a teraz odbywało się dzikie wyłapywanie ludzi z domostw, nie objętych pożogą. Wszędzie na wyspie, rozległej na blisko dziesięć stajań, mieszkańcy ratowali się obłądną ucieczką, a napastnicy ich gonili i uderzeniami maczug zbijali z nóg. Srożyło się istne piekło gwałtu, rozpaczliwych wrzasków, zażartego szarpania się. Akawojom zależało na żywych jeńcach, ale w starciu nie obyło się bez rozlewu krwi: tu, tam leżały trupy na ziemi.

Wśród zamieszania trudno było rozeznać, gdzie główne siły wroga i jak na niego uderzyć najskuteczniej, więc szybko kazałem przebić się do lądu przez wiszące gałęzie nabrzeżnych drzew. Tam razem z dowódcami załóg tudzież z Fujudim i Pedrem wdrapaliśmy się na najbliższe drzewa. Z wysokości lepiej ogarnęliśmy wzrokiem całą Kaiiwę, pomimo tułających się obłoczków mgły.

Rzut oka wyjaśnił nam ogólne położenie i bieg wypadków. Napadając na osadę, Akawoje wzięli wyspę w dwa ognie. Połową swych łodzi wylądowali na brzegu głównej rzeki, a drugą połową zaszli od tyłu, od strony puszczy, brzegiem odnogi Guapo. Tu i tam leżały teraz w dwóch skupiskach ich itauby, a także wszystkie łodzie Warraułów, przebiegle zawczasu zagarnięte, ażeby napadniętym uniemożliwić ucieczkę z wyspy.

Na straży tych dwóch przystani znajdowało się po czterech czy pięciu wojowników. Głównym ich zadaniem nie było pilnowanie czółen, lecz przede wszystkim wiązanie jeńców, jakich z wielkim pośpiechem przyganiała im ze wsi reszta Akawojów. Ale to nie było jeszcze wszystko. Na dolnym, odległym końcu wyspy, tonącym jeszcze w mroku i zasłoniętym tumanami mgły, rozgrywały się zagadkowe wypadki. Z wrzawy stamtąd dochodzącej można było przypuszczać, jakoby tam walka jeszcze nie ustała. Widocznie broniła się jakaś garstka Warraułów, dotychczas nie pokonana.

Plan działania narzucał się jasny i prosty: należało zdobyć obydwie przystanie i równocześnie rzucić pomoc walczącym na drugim końcu Kaiiwy. Ponieważ Akawoje gorączkowo spieszyli się ze wszystkim, co czynili, więc i my bez chwili marudzenia ześliznęliśmy się z drzew i skoczyli do łodzi. Po drodze wydawałem zarządzenia: załogi dwóch itaub, Wagury i Warraułów, miały uderzyć na przystań bliższą, tu na Guapo; załogi Jakiego i Konaura ogarnąć przystań orinocką, a Arnak razem z czterema jabortami miał piorunem płynąć najdalej, bo na dolny koniec Kaiiwy. Wszyscy po wylądowaniu mieli dążyć ku środkowi Kaiiwy. Ja postanowiłem przybić do wyspy w środku, między przystaniami, ażeby mieć oko równocześnie na obydwie odcinki walki.

–Dalej na pumę! Zabić pumę! – zaczęło wołać kilku zagorzalców.

–Ciiicho! – syknąłem. – Czyście powariowali? Trzeba ich znienacka!...

Na szczęście Akawoje, zbyt oddaleni, głosu naszego nie słyszeli, zajęci wsią.

W mig rozproszyła się nasza gromada. Jedni popłynęli w prawo, drudzy w lewo, itauba moja pozostała sama. Mając do przemierzenia najkrótszą przestrzeń wiosłowaliśmy powoli. Otoczyła nas niezwykła cisza, aż w uchu zaczęło dzwonić i dziwnym wydało się nagłe osamotnienie. Plan uderzenia na Kaiiwę z czterech stron na raz był chyba w tej chwili najodpowiedniejszy, bo wróg był rozproszony po całej wyspie, a po wtóre odcinało mu się wszelkie możliwości ucieczki. Natomiast gdyby Akawojom udało się jakimś cudem skupić w jednym miejscu choćby połowę swych sił i rzucić je wtedy na jeden z naszych oddziałów, zanim inne przyskoczyłyby z pomocą – byłoby źle.

Z mocnym postanowieniem, by do tego nie dopuścić, kierowałem itaubę ku brzegom Kaiiwy. Przed nami mała zatoczka wrzynała się w wyspę

kilkadziesiąt kroków w głąb i w tym kierunku popłynęliśmy. Brzeg wznosił się tutaj blisko sześć stóp ponad wodę, więc nikt z wyspy nas nie zauważył. Gdy po przybyciu do zatoki wychodziliśmy na ląd, nagle z prawej strony, dokąd posłałem Wagurę i Kuranaja, zadudniły strzały. Dwa, trzy, cztery. Poruczając Arasybie i dwom dziewczynom wartę przy łodzi, wyskoczyliśmy w te pędy na pagóreczek, gdzie kilka niewielkich krzaków osłoniło nas niezgorzej. Na całej wyspie kaiiwskiej pozostało z dawnej puszczy jeno kilkanaście drzew.

Nikt naszego lądowania w półmroku nie zauważył. Po prawej stronie, skąd doszły poprzednie strzały, wywiązała się potyczka. Ludzie Wagury i Kuranaja rojem wybiegli na ląd o dwieście od nas kroków i gonili akawojskich strażników tych, którzy nie zginęli od razu przy pierwszym starciu. Strażnikom w pomoc przyskoczyło kilku innych Akawojów, będących w pobliżu. Ale parę celnych strzałów z rusznic i rozpęd naszych ludzi miały ten skutek, że tylko dwóch czy trzech uszło cało i zmykało na złamanie karku w głąb wyspy, w stronę chałup. Tam mnóstwo Akawojów, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, porzuciło Warraułów i zaczęło gwałtownie się nawoływać i zbiegać do kupy.

Podczas gdy drużyna Wagury przystanęła, ażeby broń nabić na nowo, a załoga Kuranaja rozcinała więzy rodakom leżącym przy łodziach, z lewej strony, gdzie kazałem lądować o trzysta kroków od nas drugiej grupie, Jakiego i Konaura, Akawoje stawili silniejszy opór. Widocznie odkryli jeszcze na rzece zbliżanie się dwóch podejrzanych wyspłodzi. Wśród odgłosu strzałów naszym udało się dopaść brzegu i odepchnąć od czołen strażników, ale akurat wtedy kilkunastu Akawojów przypędzało wielką partię pojmanych Warraułów, mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci.

Skoro tylko ci oprawcy zrozumieli, co się działo na brzegu, zostawili jeńców i wyskoczyli naprzód. Ludzie Jakiego i Konaura ujrzeni

rozjuszonych wojowników, pędzących przeciwko nim. Strzelby mieli już przeważnie powystrzelane. Pozostały im pistolety, dali z nich ognia; niewiele poskutkowało. Wyprysły ich strzały z łuków. Tego i owego w biegu zraniły, jeden, drugi zwałił się z nóg, ale reszta wpadła na Arawaków jak drapieżne zwierzęta. Wszczął się ząarty bój wręcz, pierś o pierś, na maczugi, na włócznie, na noże, na pięści – a w takiej walce Akawoje byli niezrównani; nie mieli nad sobą mistrzów.

Świt coraz jaśniał.

Kilka sekund wprzód, z prawej strony, gdzie Wagura i Kuranaj odnosili zwycięstwo, jeden z Akawojów uciekał nie na wprost w stronę chat jak inni, lecz w bok, niedaleko naszego stanowiska. Zamierzał widocznie dostać się do swych towarzyszy przy drugiej przystani, po naszej lewej ręce. Miał, jak wszyscy jego rodacy, ramiona obwiązane paskiem z białego włókna. Nie widział nas: Jeszcześmy stali ukryci w krzewach. Włócznia jego, ubabrana krwią, świadczyła o tym, że tego pchnął naszego druha. Mocne drabisko zamierzało nas minąć wielkimi susami, o półtorej stai.

–On mi zbytńio się śpieszy! – Murzyn Miguel wycedził zawziętym warknięciem i wyprysnął z ukrycia, ażeby Akawojowi przeciąć drogę.

Pędzący ujrzał go od razu, ale nie zboczył ani o krok, jeno śmigał szybciej. Gdy Miguel podskoczył do niego na odległość pięćdziesięciu mniej więcej kroków, Akawoj nie zwalniając biegu wystrzelił do niego z łuku. Był to przedni wojownik. Strzelił pomimo pędu tak celnie, że byłby trafił go w pierś, gdyby Murzyn, zwinny jak kot, błyskawicznie się nie schylił.

Prostując ciało Miguel wydał wściekły okrzyk wyzwania. Przystanął. Szeroko rozstawione nogi wparł w ziemię, ciało ogromne przechylił w

tył, prawą garść z oszczepem jeszcze dalej wygiął wstecz, lewą zaś ręką wycelował do wroga: tak na zmrużenie oka zastygł, podobniejszy do wspaniałej rzeźby legionisty starego Rzymu niż do żywego człowieka – i miotnął. Oszczep z wielką mocą szył powietrze.

Rzut był trudny, przeciwnik sadił w poprzek, należało celować daleko przed niego. Miguel miał niezawodne oko. Oszczep, rzucony z należytą poprawką, nieomylnie ugodziłby w samo sedno, gdyby wróg nie był równie zręczny i bystry jak Murzyn przed chwilą. Trafił frant na franta: Akawoj gwałtownym zatrzymaniem się uniknął włóczni, a gdy przelatywała tuż wedle niego w próżnię, szyderczym rykiem zaznaczył pudło.

Ale frant trafił na jeszcze przebieglejszego niż on. Miguel jak gdyby przewidział wszystko. W pół sekundy po pierwszej włóczni wyrzucił drugą. Nastąpiło to tak odruchowo, że pierwsza jeszcze nie wryła się w ziemię, gdy już druga leciała. I doleciała, tym razem skutecznie doleciała. Wbiła się głęboko w pierś przeciwnika. Stał on chwilę oniemiały, ze, ślepiami straszliwie wytrzeszczonymi. Potem powoli, stopniowo poczęły się uginać pod nim nogi, aż ściał je doszczętny bezwład.

Miguel dopadł do powalonego i przydepnąwszy ciało nogą, wyrwał z niego włócznię. Potem zabrał jego broń tudzież drugi swój oszczep i pędem powrócił do nas.

–Już się nie śpieszy! – stwierdził cierpko.

Widząc z lewej strony, że ludzie Jakiego i Konaura w opałach, skoczyliśmy co żywo całą załogą ku nim. Przeszkadzali nam po trosze warrauscy jeńcy, którzy, rozpraszając się na wsze strony, gnali naprzeciw nam. Murzyni, uniesieni

zwycięstwem Miguela, wyprzedzali nas niczym orkan i oni pierwsi dopędzili walczących. Akawoje przerazili się, mając nagle na karkach słuszne postacie i rozjątrzone gęby nacierających. Chcieli wyrywać, ale było już za późno. Wzięci niby w kleszcze, bronili się z zapamiętałością drapieżnika zapędzonego w ciasny kąt. Byli to straszni zabijacy, niepospolicie wyćwiczeni w rzemiośle mordowania, i niejednego z naszych położyli trupem, zanim sami nie ulegli liczebnej przemocy i nie poszli do diabła. Nikt z nich tym razem nie uszedł, powaliliśmy wszystkich.

Nie podobało mi się, że i Lasana skoczyła do walki, gdzie tak łatwo było dostać w łeb, raz na zawsze. Więc pochwyciłem ją za ramię i szorstko wyciągnąłem z zamętu. Zająwszy stanowisko niedaleko pola walki, zważaliśmy, by żywa noga z rozgardiaszu się nie wymknęła. Dwóch Akawojów próbowało pierzchnąć, wszakże strzały nasze dosięgły ich i rozciągnęły.

Pod koniec okrutnie zaciekłego boju, nasi w pasji swej dobijali powalonych i rannych wrogów. Krzyknąłem na całe gardło, żeby tego zaprzestali, i w istocie udało mi się ocalić kilku Akawojów. Odroczyłem ich śmierć co prawda o niewiele godzin, to wiedziałem z góry, ale nie znosiłem u przyjaciół okrucieństwa i rozwydrzenia. Usłuchali, związali sześciu przeciwników.

Nie dziwiłem się rozgoryczeniu Arawaków: z oddziałów Jakiego i Konaura siedmiu poległo, dwóch, ciężko ranionych, nie było zdolnych do dalszej walki, prawie wszyscy zaś odnieśli jakieś uszkodzenia. Z mojej załogi zginął jeden. Takimi stratami okupiliśmy zwycięstwo niszcząc dziewiętnastu wrogów.

Zwolnionych mieszkańców Kaiiwy uwijało się w tej części wyspy mnóstwo, więc kazałem Kuranajowi zaprowadzić wśród nich porządek:

kobiety, dzieci i starców jak najszybciej usunąć z wyspy wywożąc ich czółnami na sąsiedni stały ląd, a mężczyzn uzbroić, czym się dało, i podzielić na drużyny. Na stałym lądzie tuż w pobliżu Kaiiwy mieszkało również wielu Warraułów, których chaty przeświecały w gąszczu z drugiej strony Guapo, a że Akawoje zostawili ich w spokoju, oni teraz, ośmieleni naszą odsieczą, licznie przyplływali na wyspę. Ponieważ na razie nie było wśród nich wodzów, oddałem ich wszystkich Kuranajowi pod komendę, z tym, że połowa miała pilnować na kilkunastu łódkach wszystkich brzegów naszej wyspy, by odciąć ucieczkę nawet pojedynczym Akawojom – a reszta, zdatniejsza do oręża, miała z Kuranajem pozostać przy naszym boku. Tych było przeszło sześćdziesięciu, siła niezgorsza, i wciąż nowi przybywali przez wodę.

Wypadki, właśnie opisane, rozgrywały się szybciej, aniżeli brzmia słowa, zdolne je wyrazić, i jeszcze dymy się nie rozwiały po ostatnich strzałach, gdy jedną ławą spieszyliśmy ku głównym chatom Kaiiwy. Moja załoga była, tak samo jak wprzód, w środku, na lewym skrzydle miałem oddziały Jakiego, Konaura i kilkunastu Warraułów, na prawym – drużynę Wagury oraz kilkudziesięciu tutejszych mieszkańców z Kuranajem na czele.

Gdy przed chwilą pogramialiśmy ostatnich Akawojów przy oddziałach Jakiego

i Konaura, z drugiej, dolnej strony Kaiiwy rozniósł się huk strzałów muszkietowych: to drużyna Arnaka weszła do walki. Zachodziła obawa, że wróg mógł być rzucić się na Arnaka całą siłą, wciąż groźną, i łatwo go zgnieść. Nie uczynił tego, bo, jak się wkrótce sprawdziło, było tam jeszcze przeszło trzydziestu Warraułów, stawiających rozpaczliwy opór. Widocznie Akawoje woleli wycofać się z Kaiiwy z łupem, dotychczas zdobytym. Zaczęli pośpiesznie dążyć w stronę dwóch przystani w górnej części wyspy, gdzie leżały wszystkie ich osady i łodzie - stanęli jak

wryci. Zobaczyli nasz front, odcinający im drogę do czołen. Świadomi naszej obecności, słyszeli przedtem strzały i odgłosy walki, wszakże, widać, nie przypuszczali, że nas tyłu.

Było już dość jasno, lubo świt nie przelał się jeszcze w pełny dzień i słońce nie wypłynęło, ale tarcza jego stała tuż za progiem widnokręgu i rozpaliała wschodnie niebo różową jutrzenką. Nam, zwróconym twarzami ku tej jasności, blask padał prosto w oblicza i tak Akawoje nas ujrzeli, opromienionych niby magicznym światłem. Przed ich wzrokiem zaroilo się półtorej setki albo i więcej przeciwników, natomiast ich samych było mniej niż sześćdziesięciu.

Przecież i ten hufiec nieustraszonych wojowników jeszcze stanowiłby niezmożoną potęgę, gdyby zaskoczenie nie pozbawiło Akawojów rozwagi. Ducha im nie zabrakło, zabrakło trzeźwego sądu. Wiedzieli, że łodzie i wolność były za nami, i widzieli w naszym szyku dwie luki, między grupą Wagury a moją i między moją a grupą Jakiego i Konaura. Więc zamiast wpaść całym hurmem w jedną z nich i przebić się przemocą, głupcy głowę stracili i rozdzielili się na dwie gromady, by wpaść w obydwa przełomy.

O kilka sekund wcześniej niż drugi ruszył mniejszy oddział na Wagurę. Zrazu sadził wprost na niego, jakby zamierzając go rozbić albo nastraszyć, a był to niezdarny podstęp. Przed zbliżeniem się na odległość strzału Akawoje znieacka skęcili w prawo, w stronę dziury między Wagurą. a mną. Aliści Wagura nie zasypiał gruszek w popiele. Natychmiast pchnął swych ludzi w tę lukę pociągając za sobą Warraułów Kuranaja.

Walna przestrzeń między nami zmniejszyła się do niespełna stu pięćdziesięciu kroków i wciąż malała. Mimo to Akawoje postanowili się przedrzeć za wszelką cenę. Pędzili już od kilku minut, teraz jeszcze

przyspieszyli skoku, by prześcignąć Wagurę. Ziali resztkami sił.

Nie prześcignęli. Wagura, pomny mej nauki, dopuścił ich do siebie jak najbliżej, na pięćdziesiąt kroków, czterdzieści, a potem rzygnął w nich ogniem z muszkietów, guldynek i dwóch garłaczy, nabitych siekańcami. Był to pogrom. Kilku padło, inni, jakoby zdzieleni w łeb, zatrzymali się, natomiast dwóch upartych parło dalej. Dwóch samobójców. Nie ubiegli i piętnastu kroków, gdy spadł na nich taki potok strzał, kul pistoletowych, nawet włóczni, że skosił obydwóch z miejsca.

Na resztę, oszołomioną morderczą salwą, wszyscy Arawakowie społem z Warraułami wpadli nieprzewartą chmarą. Napadnięci nie przyjęli walki. Którzy mogli, uciekali z powrotem do wsi. Pogoń deptała im pięty i co rusz pakowała strzały w plecy.

Stwierdziwszy od samego początku, że wszystko u Wagury rozwijało się pomyślnie, całą uwagę skierowałem na drugą zgraję Akawojów. Była większa, pewnie liczyła do czterdziestu wojowników i parła na lukę po mej lewej ręce.

Wyprzedzało ją okazałe drabisko, wystrojone w kilka barwnych piór na głowie i w naszyjniki z zębami dzikich zwierząt – niechybnie wódz. W miarę jak pędzili ku nam, przeciągałem z moją drużyną w lewo, by lepiej zagrozić im drogę, i widziałem, że także Jaki i Konauro podsuwali się ku mnie.

Miałem dalekonośny muszkiet, doskonale bijący, i miałem wciąż przed oczami, jak pięknie kilka minut wprzód wyróżnił się Miguel w pojedynku z Akawojem. Czyżby podrażnił mnie do współzawodnictwa? Chyba tak, bo zapominając o dawanych innym przestrojach, chciałem widocznie i ja także zyskać jakoweś laury wyjątkowym strzałem. Więc podczas gdy oddział Akawojów biegł ku nam, oparłem muszkiet na

widelkach i strojnego wodza wziętem na cel. Znałem nośność strzelby i wiedziałem, że to jeszcze zbyt daleko, ale okrutnie mnie kusiło. Było nie było, raz należało popróbować szczęścia. Mierzyłem nieco ponad głowę wodza i biorąc wszelkie poprawki pociągnąłem za spust. Dalibóg, udało się! Prowodyr rozłożył szeroko ramiona i runął jak długi na ziemię, przewracając koziołka. Wściekłemu rykowi zgrozy Akawojów towarzyszył okrzyk radości w naszych szeregach a ja – co tu wiele gadać – bardzo się zdumiał.

Śmierć wodza nie powstrzymała pędzących. Nasze trzy oddziały posiadały blisko dwadzieścia strzelb, w tym dobrą połowę w dłoniach pewnych. Akawoje jakby oślepli, nabijali nam się pod same rury. Gdy strzelby nasze zrobiły swoje i zaraz zafurczały w powietrzu strzały tudzież włócznie, a wdały się jeszcze pistolety – na niezwalczonych dotąd wojowników przyszedł sądny dzień. Niecnie poszarpanym odechciało się dalszej walki. Podali sromotnie tył. Sadzili na złamanie karku ku chatom wsi za innymi niedobitkami, tymi z prawego skrzydła, pędzonymi przez Wagurę.

Zmykało ich razem dwudziestu kilku, tyłu raptem pozostało z całej wyprawy. Ale także wśród chałup pierzchnący nie zaznali spokoju, bo tu drużyna Arnaka po społu z uzbrojonymi Warraułami wlaźła im za skórę. Tak przyciśnięci i z przodu, i z tyłu, Akawoje ostatnie schronienie znaleźli w wielkiej chacie na palach, której całe ściany pokrywała trzcina. Był to spichlerz Oronapiego. Otoczyliśmy miejsce zwartym kołem, świadomi tego, że wściekły szczur już się nie wymknie z pułapki. Ale szczur jeszcze gryzł: kilku Warraułów, którzy zbyt śmiało podeszli, przypłaciło nieostrożność życiem, gdy strzały, wypuszczone z ukrycia, przebiły im szyje.

Wśród Warraułów, walczących obok Arnaka, był wódz Oronapi i junak Manduka, który dopiero nad ranem zdążył dopłynąć do Kaiiwy i ledwie

przebudził naczelnego wodza, gdy runęła na wieś nawała Akawojów. Sam wódz był wielce przybity nieszczęściem, jakie spadło na jego szczerp, i wzruszony naszym przybyciem. Uchwyciwszy mnie oburącz za dłoń, chciał rozwodzić się w wielkich podziękowaniach, ale przyjaźnie mu przerwał: wskazałem na spichrz i dałem do zrozumienia, że przykra robota jeszcze nie skończona.

–Wykurzimy ich ogniem! – oświadczył i wydał rozkazy.

W dobijaniu reszty Akawojów nie chciałem brać udziału. Stałem z Lasaną na uboczu i przyglądałem się z daleka końcowej walce. Puszczane strzały z palącymi się wiechciami łatwo wznieciły pożar ścian i dachu spichlerza, ale Akawoje nie wyszli. Sucha trzcina szybko spłonęła. Oblężeni ukryli się za rupieciami i workami z ziarnem. Zatem kilku chwatów podkradło się z zapasem chrustu do spichrza i pod jego podłogą między palami skrzesiło ogień. Podłoga była z suchego drzewa, wnet się zajęła. To rozstrzygnęło los Akawojów. Nie chcąc usmażyć się na śmierć, wyskakiwali, ale tylko po to, by ponieść śmierć od kul, strzał, włóczni i nawet uderzeń maczug, jak od kija giną jadowite węże. Wyskakiwali na raz po kilku i starali się bronić, ale to także na nic się zdało.

Jednym z ostatnich był Dabaro, ów szpieg i rzekomy handlarz. Gdy wypadł, cudem uniknął pocisków i ciosów. W mgnieniu oka przerwał się przez łańcuch naszych wojowników. Wciąż pełen sił niespożytych, niepowstrzymany, leciał jak strzała. Strzelali do niego, nie trafili. Rwał w kierunku, gdzieśmy stali.

Gdy mnie zobaczył, wilczym błyskiem zaświeciły mu ślepia. Skoczył w moją stronę, wzniesiony nóż mordercy trzymał w łapie. Muszkiet odstawiłem przed chwilą na bok, teraz sięgnąć po niego już nie było czasu. Wyrwawszy zza pasa pistolet wymierzyłem mu w pierś,

ściągnąłem cyngiel. Pstyk! Niewypał. Dabaro wydał okrzyk triumfu.

Błyskawicznie dobyłem noża, ale wtem ubiegła mnie Lasana. Miała w ręce małą pałkę: rzuciła nią w szaleńca. Trafiony w głowę, potknął się, z lekka zamroczony. Dосkoczyłem i twardą pięścią zdzieliłem go między oczy. Wypadł mu nóż. Załamały się pod nim kolana. Już go inni dopadli, by mu czaszkę rozłupać. Powstrzymałem ich.

–Żywcem go! – wrzasnąłem. – Wiązać!

Niechętnym szemraniem przyjęli mój rozkaz, ale spełnili go. Spojrzałem ciepło na Lasanę. Jeszcze nie ochłonęła ze wzruszenia i cała drżała.

–Ileż to razy – warknąłem na nią niby rozgniewany – ileż to razy, powiedz,

będę ci jeszcze zawdzięczał życie?

–Tyle razy – odparła łagodnie – ile będzie potrzeba.

Tymczasem wytracono ostatnich Akawojów i nagle nastąpiła wielka, głucha cisza. Wszyscy zamilkli, jak gdyby śmiertelnie znużeni po ciężkiej pracy. Cisza i martwota opadły nasze serca, w głowie poczuliśmy pustkę niemal bolesną. Oczy i uszy mówiły, że koszmar odszedł, a niebezpieczeństwo minęło, tymczasem prawda ta nie docierała jeszcze do umysłu; umysł nie wierzył, nie dowierzał oczom.

Teraz dopiero całe nasze napięcie, przeżywane przez wiele dni i nocy z rzędu, wylazło na wierzch i opadło nas takie znużenie, że ledwo ustać potrafiliśmy. Kazałem Oronapiemu przygotować nam co ducha posiłek. Gdyśmy śniadali, odbywałem naradę z wodzami Warraułów tudzież z arawaską starszyzną, do której zaliczałem także młodych przyjaciół:

Arnaka i Wagurę – i szybko wydawałem niezbędne zarządzenia. Nie zapomniałem o natychmiastowym wysłaniu do Manauriego warrauskiej itauby z wieścią o zwycięstwie oraz z zapewnieniem, że pokój wrócił nad Itamakę i Orinoko, poza tą jedną, wytępioną wyprawą, nie było tu na północy więcej Akawojów. Wyprawa ich liczyła blisko stu wojowników, z czego, jak się okazało, czternastu wpadło w nasze ręce do niewoli, reszta zginęła.

–Co zrobimy z jeńcami? – zapytał mnie Oronapi.

–Bo ja wiem? – odpowiedziałem szczerze. – Kłopot.

–Im się należy kara, chcieli nas zniszczyć. Ale ty jeńców zabijać nie lubisz!

–Nie!

–To ich sprzedamy do niewoli.

–Hiszpanom?

–Nie, na ten wielki statek angielski, co tu kilka dni temu wpłynął do ciebie...

Niech ich zabierze daleko na północ.

Było to możliwe rozwiązanie sprawy jeńców, lubo, przyznam się, nie bardzo przypadło mi do gustu. Zresztą bezmierne zmęczenie gasiło jakąkolwiek żywszą myśl i wszelkie kwestie postanowiliśmy rozstrzygnąć później. Więc oddając pieczę nad jeńcami i nad sobą w ręce Warraułów, legliśmy do snu.

Węzły przyjaźni i braterstwa broni, jakie w tych dniach wielkiej próby

nas wszystkich jeszcze bardziej do siebie zbliżyły, węzły zaufania trwały nawet podczas snu: w kilku odstąpionych nam chatach leżeliśmy wszyscy blisko siebie, jeden obok drugiego, Indianie, Murzyni i biały jednak, mężczyźni i kilka kobiet, razem wszyscy spojeni tym samym przebytym trudem i tym samym zwycięstwem. A każdy z nas, jakby jeszcze nie ufając temu, czego dokonaliśmy, starym nawykiem spał z ręką na broni.

26. Jutrzenka w puszczy

Zbudził nas bliski wystrzał armatni. Był świt. Przespaliśmy jednym ciągiem przeszło dwadzieścia godzin. Rześcy i pogodni, a głodni jak wilcy, zerwaliśmy się ze snu. Wpadł do nas Oronapi z zaniepokojoną miną,

–Wielki statek angielski spłynął w dół rzeki, właśnie zarzuca kotwicę przy naszej

wyspie! – oznajmił. – Co robić?

–Przywitać ich grzecznie! – odrzekłem. – To przyjaciele! Ale przedtem każ nas

nakarmić!

Jeszcze się nie nasyciłem, gdy mi oznajmiono, że kapitan Powełł wyszedł na ląd, a Oronapi witał go uroczyście, według uświęconego nad Orinokiem ceremoniału. Naczelnemu wodzowi dodałem do pomocy jako tłumaczy Arnaka i Wagurę tudzież Fujudiego. Powełł, zniecierpliwiony przydługim obrzędem powitalnym, grzecznie, choć zdecydowanie przeprosił Oronapiego, po czym zażądał od Arnaka i Wagury po prostu, ażeby oprowadzili go po wyspie i wyjaśnili mu wypadki. Gdy w

kwadrans później spotkaliśmy się wśród chałup, kapitan przy powitaniu wykrzyknął do mnie z zachwytem

–Bober, *well*, do kroćset! Uczciwą odwaliłeś robotę waćpan, nie ma co! Toż to i Marlborough albo Francis Drake w danym wypadku lepiej by się nie spisali. Aleś dał Akawojom bobu, że popamiętają przez niejedno pokolenie! Białym Jaguarem będą matki straszyły swe niesforne pociechy!...

I rzeczywiście nikt żywy nie wyszedł z matni, ani jedna dusza?

–Według tego, co wiemy – nikt...

–*Goddam you!* To się nazywa czysta robota! Czy wiesz waszmość, co to znaczy?

Młody człowieku! Czy uświadomiłeś sobie doniosłość tego, coś acan zrobił?

–Przebóg, nie! – wystraszyłem się ubawiony. – Nie miałem jeszcze czasu

pomyśleć!

–Śmiej się, śmiej sobie! A ja ci od nowa wytłumaczę: Hiszpanie słabi nad dolnym

Orinokiem, ledwo tutaj zipią, zresztą napędziłeś im respektu. Akawojom krzyże tak przetrąciłeś, że przyjść już więcej się nie wazą, twoi Indianie teraz w ogień skoczą za tobą, masz ich w garści. Słowem, John Bober, jesteś niepodzielnym władcą nad dolnym Orinokiem! Od ciebie teraz tylko zależy, czy utrwalisz swą władzę przywołując do pomocy rząd angielski.

–Aha, stara piosenka z katarynki! Jeszcze wciąż pokutuje?

–A, żebyś wiedział: pokutuje! I pokutować będzie dopóty, dopóki nie przyoblecze się w realne ciało u ujścia tej rzeki – a waszmość nie zmadrzejesz i nie zostaniesz tu *the big gover-nor*, gubernatorem w administracji angielskiego króla.

–Mister Powell, wolę być gubernatorem w sercach tych Indian niż w administracji jego królewskiej mości!

–Czy jedno wyklucza drugie? Przeciwnie: jako angielski gubernator tym skuteczniej weźmiesz tubylców w opiekę.

–Zbyt piękne miraże, sir, tej angielskiej opieki, i tylko szkoda, że waszmość nie

pamięta tego, com przypomniał mu o losie narodu Pohattana w naszej Wirginii i o śmierci nieszczęsnego Openczakanuka.

–To dawne dzieje, przebrzmiała epoka!

–Terefere!...

Powtórzyłem mu to samo, com mówił w Kumace, i jeszcze dodał, że póki tu moich wpływów, nie dopuszczę nad dolne Orinoko kolonistów żadnej nacji europejskiej.

Spośród czternastu jeńców kilku było całkiem zdrowych, jak Dabaro, reszta odniosła kontuzje mniej lub więcej poważne, lecz wszystkie wyleczalne. Oronapi zwrócił na to uwagę kapitana Powella, gdy

zaofiarował mu sprzedaż niewolników.

–Mam kupić tych Akawojów?! – Powell wybałuszył na wodza zdumiony wzrok

i zaperzył się. – Niech mnie ręka boska broni od tego!

–Tanio sprzedam – zachęcał Oronapi.

–Choćbyś za darmo dał, wodzu, nigdy tego głupstwa nie popełnię!

–Czemu głupstwa? – teraz z kolei wódz zrobił okrągłe oczy, a ja także zdziwiłem się, mimo że nie brałem udziału w rozmowie.

–Czemu głupstwa? – odrzekł kapitan. – Bo Akawoje żyją na południu, niedaleko naszych faktorii nad Esseąuibo. Szybko dowiedzieliby się o moim uczynku, a to srodzy zawadiacy, jakich mało, i honorowi przy tym, i wściekle mściwi. Wam wolno wszystko: zabić ich, poturbować, zakopać żywcem – to wasze wojenne prawo, bo oni was napadli i przegrali. Ale ja, osoba postronna, niechbym ich do dalekiej niewoli wywieźć śmiał, oj, nie miałbym już spokojnego dnia w Gujanie, ani ja, ani inni Anglicy... Nie, Oronapi, wy sami zarznijcie ich sobie, wam wolno!

I odpychającym ruchem machnął ręką na znak, że o tym nawet mówić nie chce.

Więc wyłonił się twardy orzech i przysporzył nam nie lada kłopotu, jak go zgryźć: co zrobić z jeńcami? Oronapi sposepniał, zerkał na mnie lękliwie i rozglądał się po twarzach przyjaciół, jakby szukając u nich zbawiennej rady. Wszyscy mieli zakłopotane miny, tak samo jak ja.

Sprawa była nad wyraz przykra i zawiła, trudna. Całkiem wykluczone okazały się dwa skrajne rozwiązania: nie można było zabić jeńców z zimną krwią, gdyż przeciw temu wszystko we mnie się burzyło, i także nie można było zwrócić im całkowicie wolności, bo temu sprzeciwiały się wszystkie moralne pojęcia i obyczaje Indian. Przeto jeśli jedno i drugie odpadało, jakie pozostało trzecie wyjście? Oto zagadnienie, którego nie umieliśmy rozwiązać.

Ponieważ była to sprawa tak niezwykle ważna, Oronapi zwołał naradę swych wodzów i starszych wojowników, jak również wszystkich obecnych Arawaków i Murzynów. W pobliżu umieszczono czternastu jeńców na wywyższeniu, tak że byli zewsząd widoczni: obecność ich drażniła ludzi i potęgowała ogólną przeciw nim zawziętość.

Mnie pierwszemu udzielono głosu. Ostrożnie napomknąwszy o mojej roli w dziele zniszczenia wrogiej wyprawy i zastrzegając się przeciw przecenianiu tejże roli, jednak wyraziłem stanowczą i usilną prośbę o zwolnienie jeńców z dwóch przyczyn: że to moją niezłomną zasadą nie zabijać wojennych jeńców, a po wtóre, że wielkoduszność tudzież darowanie jeńcom kary może bardzo opłacić się w przyszłości, jednając nam przyjaciół na południu.

Nie umiałem dziś przemówić dobrze do rozumu ani serca, może byłem jeszcze zmęczony albo poprzednia z Powellem rozmowa o angielskich apetytach politycznych nadmiernie mnie zwarzyła. Zwykle bywało tak, że gdy żądałem od Indian czegoś przeciwnego ich upodobaniom, wybuchali namiętym sprzeciwem, ten i ów wypalał jakąś jaskrawą brednię, po czym przy poparciu Arnaka i Wagury łatwo już było ująć wzburzone nurty i skierować je w korzystne dla nas koryto.

Tym razem stało się inaczej. Słowa moje, wypowiedziane po arawasku, a tłumaczone przez Fujudiego dla Warraułów, przyjęli Indianie

nadzwyczaj biernie, chłodno, bez oburzenia. Zamknęli się w sobie i to źle dla mnie wróżyło. Milczenie stało się w końcu przykre dla wszystkich, trąciło zniewagą, więc Jaki odchrząknawszy rzekł do mnie głosem najszczerzym:

–Biały Jaguarze, wielki nasz druhu, mówiłeś do nas dużo słów, by nas przekonać. Ale czy zapomniałeś, że wystarczy tylko jedno twoje słowo, jeden krótki rozkaz, a my, twoi oddani przyjaciele, sumiennie spełnimy twoją wolę, choćby nam serca się krajały? Czemuś tego słowa nie powiedział, jeno prawił o wielkoduszności i darowaniu kary wrogom? Czy nie wiesz, że Akawoje taką niedorzeczność, w myśl prawa puszczy, wzięliby za strach przed nimi, gardziliby nami i myśleli o rychłym powrocie i zniszczeniu nas? Tyś prawy chrześcijanin, Biały Jaguarze, wiemy, ale i my chrześcijanie, jeno leśni. Kiedyśmy żyli jeszcze pod Górą Sępów, był u nas misjonarz, padre. Uczył, że jeśli wróg uderzy nas w policzek, to trzeba mu nadstawić drugi, i okropnie nas przeraził tak niezrozumiały obyczaj. Ale potem się przekonaliśmy, że sprytny padre myślał tylko o naszym policzku, a nie o swoim i przerażenie zmieniło się w wielką radość i uznanie dla filuta... Nieroztropnie, gdybyśmy teraz wobec naszych morderców mieli być tak głupi i wielkoduszni!...

Słowa jego trafiły ludziom do przekonania i ogólny zgiełk potwierdził ich słuszność. Gdy się uspokoili, zadałem wyraźne pytanie, czego wojownicy chcą mianowicie, i nikt znowu, krom jednego Konauro, nie umiał odpowiedzieć, czego chcą.

–Biały Jaguar – powiedział Konauro – słusznie wymaga, żeby puścić jeńców na wolność. Więc puśćmy ich, a jakże, puśćmy, ale za karę i na to, żeby w przyszłości odechciało im się naszej skóry, odetniemy im prawe dłonie!

To się podobało Indianom; Wyczekująco spoglądali na mnie. Ja,

niestety, znowu ich zawiodłem, bo nic nie odpowiadając stanowczym potrząśnięciem głowy wyraziłem swój sprzeciw.

–Odcięcie prawicy nie jest znowu tak okrutną karą – ciągnął Konauro. –

Pamiętam, kiedyś spotkałem angielskiego marynarza i on mi osobliwe rzeczy opowiadał o zwyczajach w jego ojczyźnie. Więc zapewniał, że w Anglii nawet za drobną kradzież złodziejowi odcina się prawą rękę. Tak mówił marynarz, może łgał...

–Nie łgał, to prawda! – odparłem. – Ale w Anglii są lekarze, którzy złodziejowi

zaraz obwiązują kikut, że człowiek nie ginie. Gdybyśmy tutaj tak samo odcięli łapy, wykrwawiliby się na śmierć... Nie, to także trzeba odrzucić.

W oczach Indian byłem nazbyt uparty. Wzrastało wśród ludzi zniecierpliwienie skierowane przeciwko mnie. Znowu zrobiła się bezpłodne zamieszanie i czułem, że tracę grunt pod nogami. Arnak patrzył na mnie z nie ukrywaną troską. Czyżbym przeciągał strunę?

Wtedy Arasybo porozumiewawczo mrugnął do mnie zezowatym ślepskiem i uśmiech podkreślił szpetotę jego twarzy, podobnej w tej chwili do odrażającej gęby złego demona. Powstał, żeby ludzie lepiej go widzieli i słyszeli.

–Dochodziły mnie przed chwilą głosy wielkich wojowników, o dzielni wojownicy – rozpoczął z obleśną drwiną. – Ale, widać, lepiej umiecie rąbać wroga na drzazgi niżeli sięgać do głowy po rozum. Tylu was, wojowników, a rady nijak dać sobie nie możecie ze złapaną gromadką czternastu wrogów? Wiem, dlaczego! Bo sami chcecie znaleźć wyjście, a

tymczasem rozum ludzki zbyt słaby na to! Czy dopiero ja muszę wam mówić, gdzie szukać odpowiedzi na to, co zrobić

z jeńcami, o wy, nieporadne zuchy?!

Umilkł ciesząc się jak dziecko wrażeniem, jakie wywołał.

–Skoro wiesz, jak poradzić – odezwał się wojownik Kokuj – to nie dręcz nas,

czarowniku, tylko powiedz.

–Wiem, jak poradzić! – odpowiedział Arasybo. – Jeśli ludzie się wahają, jak

postępować, to do kogo powinni się uciekać, he? Do sił niewidzialnych. Siły niewidzialne w tym wypadku najlepiej rozstrzygną o życiu lub śmierci jeńców....,

Nasuwały mi się zastrzeżenia co do takich magicznych sposobów, natomiast Indianie byli innego zdania: przyjęli słowa Arasyba z wielkim uznaniem.

–Mów jaśniej! – zagadnąłem go nie ukrywając swego niezadowolenia – Czy

masz coś wyraźnego na myśli?

–Mam, Biały Jaguarze, a jakże, mam! Woda nam powie, który jeniec zasłużył na

to, żeby żyć dalej, a który zginąć musi. Woda to sprawiedliwy sędzia...

I wyłuszczył swoją myśl. Od Warraułów dowiedział się, że tuż poniżej Kaiiwy odnoga Guapo zweża się do szerokości niespełna stu kroków i że tam, w tym miejscu, roi się od drapieżnych ryb huma. Zatem jeśli każemy przepłynąć naszym

jeńcom przez ową cieśninę, to tajne potęgi nie omieszkają wypowiedzieć się na korzyść albo na zgubę pływaków. One to, a nie my, ludzie, wydadzą sąd i będzie to sąd słuszny.

–Mądry wasz czarownik, zna się na rzeczy! – wołał do nas Oronapi, pełen zachwytu, i wszyscy inni Warraułowie pospołu z Arawakami chwalili pomysł Arasyba.

Wobec ogólnego zapału nie wypadało dłużej się przeciwstawiać, zresztą taki „sąd boży” niekoniecznie musiał kończyć się śmiercią jeńców.

–A jeśli przepłyną na drugi brzeg – dowiadywałem się – to czy będą wolni i

mogą odejść swobodnie?

–Mogą odejść swobodnie! – odrzekł Arasybo, a Oronapi potwierdził zapewnienie.

Postanowiliśmy natychmiast zaprowadzić jeńców do cieśniny Guapo, wszakże wyłoniła się nie lada trudność: pięciu z nich odniosło takie rany i potłuczenia, że niezdolnych byłoby do jakiegokolwiek wysiłku, a tym mniej do pływania o życie. Więc wymogłem na Warraułach, ażeby tych na razie oszczędzano i poddano próbie pływania dopiero po miesiącu, gdy przyjdą do siebie.

Cieśnina, przez którą mieli przepływać jeńcy, rzeczywiście nie była

szersza niż osiemdziesiąt kroków. Woda o słabym prądzie wyglądała tak spokojnie i niewinnie, że za nic w świecie nie wpadłbym na myśl o istnieniu pod jej gładką powierzchnią krwiożerczych huma. Raz tylko zetknąłem się z tymi potworkami w jeziorze Potaro w dzień polowania na apia i zawsze na myśl o nich wzdrygałem się, pełen wstrętu. A może akurat w tej chwili nie było ich w cieśninie, przecież ryby wędrują z miejsca na miejsce?

Kilku Warraułów przepравиło się na drugi brzeg cieśniny, by od strony mety przyglądać się widowisku.

Oronapi jako władarz tej krainy objął dozór nad wykonaniem obrzędu i on wyznaczył Dabara na pierwszego do przepłynięcia. Gdy Akawojom wytłumaczono, o co chodzi, twarze ich ledwo się ożywiły, pozostały dumne i zasępione.

Ci wojownicy wobec śmierci okazywali zimną krew, w swej niewzruszoności bardzo podobni do Indian Ameryki Północnej. Dabaro, jakby czyniąc łaskę, wydał dolną wargę i zapytał:

–Jeśli przepłyniemy, to nic nam nie zrobicie?

–Nie! – odparł naczelny wódz. – Możecie cało wrócić nad rzekę Cuyuni.

Dabaro skrzywił się ironicznie:

–Wrócić, ale jak? Nie mamy łodzi!

Oronapi, przekonany, że wszyscy jeńcy zginą od hum, uśmiechnął się pobłażliwie wobec takiej przezorności skazańca i hojnie mu przyrzekł:

–Dostaniecie itaubę, nie obawiaj się...

Dabaro, któremu parę minut wprzód rozcięto więzy, wszedł ostrożnie do wody. Wchodził powoli, ażeby jej nie wzburzyć, i tak samo pływał, niewiele ruszając członkami. Tym sposobem posuwał się naprzód pomału, za to widocznie żywił nadzieję niezwrócenia na siebie uwagi hum, jeśli grasowały w pobliżu.

I w istocie zdawał się mieć słuszność. Płynął i płynął; nic go nie napastowało. Śledziliśmy jego ruchy z ogromnym zaciekawieniem. Wielu chciało jego śmierci i niecierpliwiło się, gdy spokojnie i cało przebrnął połowę drogi. Jakiś zapalczywy Warrauł – kobietę i brata, jak mnie objaśniono, zabili mu Akawoje – rzucił do wody niedaleko płynącego gruby kawał gałęzi, ażeby pluśnięciem zwabić humy. Krzyknąłem gniewnie na niego, że to podły podstęp i że nie wolno oszukiwać ukrytych potęg. Oronapi i Arasybo przyświadczyli mi.

Tymczasem Dabaro płynął dalej – nie napadnięty. Pozostało mu do celu już tylko trzydzieści kroków, już dwadzieścia kroków; trzy czwarte drogi do życia i wolności przebył. Z brzegów kilkaset par oczu wpijało się w każde jego poruszenie. Niektórzy Indianie tak namiętnie pragnęli jego zatonięcia, że bezwiednie grozili mu mściwą pięścią, a twarze ich płonęły złą zawziętością.

Tymczasem zbawienny brzeg był coraz bliżej, tuż, tuż. Dabaro chcąc szybciej dobić, mocniej teraz zagarniał ramionami. Nagle jakby go coś raziło, szalonym uderzeniem wyprysnął ponad powierzchnię wody i zaraz znikł nam z oczu. Wychynawszy w następnej chwili, zaczął jak opętany szamotać się, by dobić do brzegu.

–Złapały go! – wyrwał się z wielu piersi radosny okrzyk. – Napadły go! Zginie!...

Nie ulegało wątpliwości, że humy uderzyły. Ale do brzegu było kilka

kroków jeno. Dabaro, rzucając się jak szalony, przebrnął je. Resztkami sił wydzwignął ciało na ląd. Widzieliśmy z daleka, jak niektóre zapalczywe ryby wyskakiwały jeszcze za nim z wody, ale on znajdował się już poza ich zasięgiem. O trzy kroki od brzegu legł na ziemi; krwawił z kilkunastu ran na brzuchu, piersi i nogach.

–Wygrał! – stwierdził Arnak spokojnie. – Będzie żył.

Następny Akawoj wahał się wejść do wody: widział, co tam

się działo, i zabrakło mu odwagi. Wepchnięto go przemocą. Pływał gorączkowo, szybko bijąc powierzchnię. Nie dotarł nawet do połowy cieśniny, gdy go bestie opadły. Gwałtownie wyrywał się na wszystkie strony, ale po kilkunastu uderzeniach, coraz słabszych, zapadł się i nie wypłynął już więcej z toni. Tym razem nie okrzyk radości, lecz potężny, długotrwały pomruk objawił zadowolenie tłumu.

–Następny! – zawołał Oronapi.

Krwiożerczych rybek było tam coraz więcej, z brzegu widzieliśmy w różnych miejscach na powierzchni wody powstające wiry i zaburzenia, a tu, tam co zapalczywsze humy wyskakiwały błyszcząc na chwilę łuskami w powietrzu. Ryby okazywały piekielną żarłoczność. Więc zginął po krótkim zmaganiu się ten następny, trzeci, zginął czwarty i piąty. Potem Oronapi posłał do wody trzech na raz. Dwóch, płynących nieco z przodu, uległo szybko humom, które zapewne skupiły się wokoło tych dwóch ofiar, zanedbując trzecią, pozostałą o kilkanaście kroków w tyle i z boku, ów trzeci Akawoj przedostał się szczęśliwie przez cieśninę i lubo pokąsany, wydostał się żywy na ląd.

Taka głęboka zajadłość żyła w sercach Indian, a szczególnie Warriaułów, że wyratowanie się drugiego, oprócz Dabara, Akawoja przyjęto ze

złorzeczeniem.

–Dziki naród! – rzekłem głośno do Arnaka i Wagury. – Nie szanuje swego słowa!...

Wtem zauważyłem po drugiej stronie cieśniny osobliwy ruch. Kilku Warraułów z włóczniami w dłoniach zaczęło z tyłu podchodzić do obydwóch leżących tam Akawojów – najwyraźniej w złych zamiarach. Kiedym zwrócił na to uwagę Oronapiego, wódz ostro na nich wrzasnął, by natychmiast zawrócili. Oni przystanęli, ale tylko na chwilę, potem dalej się skradali. Pierwszy zbliżył się do Dabara i podniósł włócznię, by go przebić.

Zerwałem muszkiet, wymierzyłem. Gdy padł strzał, Warrauł boleśnie zakrzyknął i wypuszczając broń chwycił się za prawe przedramię. Tam właśnie celowałem, kula dobrze trafiła. Warrauł poniósłszy karę uciekł, a wraz z nim jego towarzysze. Grobowa cisza padła na otaczających mnie Indian. Wszyscy zdrętwieli. Nabijając muszkiet huknąłem, wściekły na Oronapiego, by go zafukać:

–Dziki naród! Zdradziecki!

Ale naczelny wódz był skruszony. Nie powstał na mnie, przeciwnie.

–Dobrześ zrobił, Biały Jaguarze! – przyznał otwarcie. – Trza było roztrzaskać mu łeb!...

Pragnąc zaś udobruchać mnie, Oronapi wyraził myśl, ażeby ostatniemu Akawojowi, dziewiątemu, darować życie i nie przepuszczać go przez wodę. Wszyscy obecni, również i Arasybo, skwapliwie się zgodzili. Tak oto trzech jeńców uszło śmierci.

Po chwili kapitan Powell, stojący nie opodal, podszedł do mnie z niekłamany zachwytem w oczach.

–Widziałem to ostatnie zajście z Oronapim! – rzekł ujmując moją rękę.
– Boże kochany, jak ci Indianie waszmości uwielbiają! Masz ich całkowicie w garści, zamelduję o tym, gdzie trzeba! Jak świetnie rozegrałeś tę scenę, kapitalnieś udawał zagniewanego!

–Wcale nie udawałem, byłem rzeczywiście wściekły!

powell o pół kroku odstąpił ode mnie, jak gdyby chciał

przypatrzyć mi się lepiej.

–Nie udawałeś? To nie była gra?

–Nie była!

–Zadziwiająca, *by Jove!* - zdumiał się jeszcze bardziej. Ogarnęło mnie lekkie

zniecierpliwienie.

–To zadziwiająca dla wasci – wypaliłem – i niezrozumiałe, bo żyjesz wyłącznie

w swym własnym, bardzo ciasnym światku pojęć. Nie udaję nic z nimi, nie gram! I na tym polega cała różnica między wami a mną: ja nie gram z Indianami. Nie udaję przyjaźni!

–*God dam you*, kto waszmości zrozumie?! – burknął Powell jakby w zadumaniu.

W godzinę później dostaliśmy licznych gości z przeciwległego, północnego brzegu Orinoka. Żył tam ludny odłam Warraułów, nie podlegający władzy Oronapiego. Z tych północnych sadyb przybyli teraz na kilkunastu itaubach wojownicy z odsieczą. Dowodził nimi Abassi, ich naczelny wódz, człowiek o przedsiębiorczej twarzy i w młodym jeszcze wieku. To właśnie tym północnym Warraułom dali się Akawoje we znaki, napadając na jedną z ich wsi i biorąc jeńców, których onegdaj uwolniliśmy w walce na głównej rzece. Przybyli nie tylko ze spóźnioną odsieczą: prosili, ażeby mogli zawrzeć z Arawakami i ze mną przymierze, jak to uczynił Oronapi. Czyśmy gotowi zrobić to dla nich?

–Gotowiśmy! – odrzekłem z oczywistą ochotą.

Tedy w godzinach popołudniowych w wyniku wielkiej narady, w której uczestniczyli wszyscy obecni wodzowie i kilkudziesięciu co wybitniejszych wojowników, zapadła uchwała o dalekosiężnej doniosłości dla Indian nad dolnym Orinokiem. Mianowicie powstał uroczysty szczepeń związek w celach obronnych. W skład jego weszli Warraułowie północni, Warraułowie południowi tudzież Arawakowie itamaccy, a mnie poruczono ogólne nad związkiem zwierzchnictwo. Dla gruntownej nauki sześćdziesięciu młodych Warraułów miało z nami udać się na czas nieograniczony do Kumaki, ażeby przyswoić sobie umiejętność władania bronią palną oraz wszelką sztukę wojowania. Obydwaj naczelni wodzowie warrauscy, Oronapi i Abassi, przyrzekli dostarczać regularnie żywność nie tylko dla tych sześćdziesięciu, lecz dwa razy więcej, jak również pewną ilość hamaków i itaub jako wynagrodzenie dla rodu Białego Jaguara. Utworzenie związku szczepeń wszyscyśmy przyjęli z wielkim zapalem i z niemniejszą radością powitał go kapitan Powell. Nie ukrywał swej nadziei, że związek, z natury rzeczy skierowany przeciw tyranii Hiszpanów, prędzej czy później

ułatwi Anglii wtargnięcie nad Orinoko. Ażeby zaś już teraz Indianie poznali hojność Anglików, Powell, przebiegła sztuka, darował związkowi dziesięć nowiutkich strzelb oraz trzydzieści funtów prochu, cetnar ołowiu i przyrządy do lania kul. Wymogłem na Warraulach, że nie pozostali dłużni Anglikowi i w zamian dali mu odpowiednią ilość hamaków, których mieli wielką masę – kapitanowi zaś oświadczyłem:

Bardzo waszmości dziękuję za piękny dar, tylko pamiętaj, że w niczym nie zmienię mego stanowiska co do przyszłości Indian i tej krainy. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby otrzymane od Anglika strzelby miały kiedyś zabijać Anglików, przybywających bezprawnie nad Orinoko...

Przyjdzie czas, przyjdzie rada i zmienisz swe poglądy!

–Przyjdzie czas, a tych poglądów nie zmienię! – odrzekłem z mocą..

W godzinę później prąd. rzeki zwrócił się ku morzu i kapitan Powell oraz angielska załoga, przyjaźnie żegnani, dokonywali ostatnich przygotowań do odejścia brygu.

–Pedro! – zwróciłem się do młodego Hiszpana, stojącego obok mnie nad brzegiem rzeki. – Jeszcze czas, zastanów się! Kapitan Powell, mijając Trinidad, chętnie wysadzi ciebie w hiszpańskim porcie na tej wyspie...

To chcesz mnie się pozbyć, Janie? – zawołał młodzian z wyrzutem.

–Bój się Boga, nie! Ale musisz teraz wybrać, przyjacielu!

–Wybrałem: pozostaję z wami! Mam tu misję do spełnienia...

–Misję?

–Nauczę Indian czytać i pisać...

–O, psiakość! – wyrwało mi się z niejakim zdumieniem.

Ale kiedym pomyślał o swej własnej przyszłości, odkryłem, że i ja także nie myślałem już tak gorliwie jak dotychczas o powrocie na północ do Wirginii, jak gdybym znalazł tu swą ojczyznę i pokarm dla serca. A czyż ja sercem nie byłem tu związany?

Po odejściu statku Powella kazałem przyprowadzić do siebie trzech uwolnionych jeńców. Mieli bardzo przygnębione miny i tego zrazu nie mogłem pojąć. Arnak zwrócił im broń, a Oronapi kazał wydzielić im zapas żywności na drogę i dał jedną z mniejszych łódek jabot.

–Jesteście wolni – oznajmiłem Akawojom-i wolno wam czynić, co przystoi

niezależnym wojownikom. Ale gdyby w waszej łepetynie powstała głupia myśl szkodzenia nam teraz, to wiedzcie, że tych pięciu waszych rodaków, trzymanyh jako zakładników, natychmiast zginęłoby. A sądzę, że uda mi się po wyzdrowieniu wysłać ich żywych do domu.

–Nie myślimy szkodzić – odmruknął Dabaro.

–Jaką drogą chcecie wrócić nad Cuyuni?

–Brzegiem morza.

–Czegoś taki osowiały? – zagadnąłem go prosto z mostu. – Czyś nierad, że ci

życie uratowałem?

–Nierad! Wolałbym tu zdechnąć jak zbity pies!

–Ach, to tak? Wstyd ci dogryza, żeście dostali baty?

–Wstyd. Nad Cuyuni przyjmą nas z pogardą i szyderstwem, może zatłuką.

–To powiedz im, że pokonywaliśmy także niezgorzej i innych przeciwników,

choćby uzbrojonych po zęby Hiszpanów. Właśnie dlatego cię ratowałem, żebyś nad Cuyuni przestrzegł swych rodaków. Poucz ich o wszystkim, coś tu widział i czegoś doznał, i że my kąśliwie szerszenie i jaguary, z którymi niedobrze zaczynać...

Trudno było mi odgadnąć, co się kryło pod ponurą powłoką jego oblicza: nie wyobrażałem sobie, iżby zuchwaliły się tam mściwe myśli, przebijał raczej srom, było poczucie hańby, przeżuwanie gorzkiego owocu klęski.

–Niedobrze z nami zaczynać! – krzyknąłem i wskazałem ręką na niebo:
– Patrz, Dabaro! Patrz!

Dziesiątki, nie, setki czarnych sępów zleciały się ze wszystkich stron i teraz głodną zgrają kołowały nad wyspą kaiiwską. Poległych Arawaków i Warraułów usunięto już dnia poprzedniego z pobojuwiska, natomiast zostały jeszcze tu i ówdzie trupy Akawojów. One tak gromadnie zwabiały ścierwojady na makabryczną ucztę. Przykry to zaiste widok, gdy ohydne, czarne ptaszyska rozdzierają na strzępy zwłoki wojowników, chociażby to były zwłoki ludzi okrutnych. Przeto poleciłem Oronapiemu, aby jak najszybciej zakopano wszystkie pozostałe trupy – potem odprawiłem trzech Akawojów.

Tak więc okres gwałtownych przeżyć i doniosłych rozstrzygnięć dobiegał końca wraz z tym dniem. Stygło i cichło wszędzie: na niebie o krwawych łunach słońca uchodzącego, na ziemi w pierwszych oparach przedwieczornych, i cichło nawet w duszach ludzkich. Po tylu porywach gasiło ludzi jakoweś znużenie i smętna zaduma. Być może dlatego, że wciąż czuło się spaleniżnę w powietrzu i zapach krwi przelanej, a gdy z wieczora opuścili Kaiiwę nasi nowi przyjaciele, Abassi i jego Warraułowicze z północnych brzegów Orinoka – zawiąło dokoła jeszcze większą ciszą i pustką. Do samego wieczora czarne sępy krążyły nad wyspą.

Atoli nie było ich już następnego dnia i nie było smutku. O pierwszym brzasku ruszyliśmy w drogę powrotną. Dokoła budziła się puszcza. Budziła się radośnie głosem ptaków, zawsze zdumiewająca odwiecznym przepychem zieleni, puszcza rozkipiała żądzą życia, pełna zmysłowego wrzasku i szaleństwa rodzenia.

W pierwszych promieniach porannego słońca ujrzałem na niebie przelatujące od brzegu do brzegu duże ptaki – nie czarne, nie drapieżne. Były to szlachetne papugi ararauny, tak jaskrawe i wspaniałe urzekającą barwą, że w tej chwili widziały mi się najdorodniejszymi stworzeniami pod niebem. Widok ich olśniewał, przepajał wiarą w niewysłowione moce tej puszczy i w niezbadane, niezniszczalne jej piękno.

Czy dziwić się, że tego poranku serce wzbierało mi radością? Tam na górze były czarujące ptaki, a tu na dole, tuż obok mnie, była Lasana, był Arnak i Wagura,

i Pedro, byli ci inni, wszystko przyjaciele moi – i był rażny szum wiosła, którymi wiosłowaliśmy razem ku brzegom naszej Itamaki.

Digitalizował „Bodziokb”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2008-09-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/